

Maeve Binchy

Szklane Jezioro

Z angielskiego przełożyła Anna Kraśko

Świat Książki

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału THE GLASS LAKE

Projekt okładki i stron tytułowych Katarzyna Lubicz-Zaleska

Redakcja Elżbieta Żuk

Redakcja techniczna Alicja Jabłońska-Chodzeń

Korekta: Marianna Filipkowska, Jolanta Rososińska, Jolanta Spodar

Copyright © 1994 by Maeve Binchy

© Copyright for the Polish edition by „Świat Książki”, Warszawa 1997

© Copyright for the Polish translation by Anna Kraśko, 1997

Świat Książki, Warszawa 1997

Skład KOLONEL

Druk i oprawa w GGP

ISBN 83-7129-360-7

Nr 1582

Najdroższemu Gordonowi

z wyrazami miłości

i z głęboką wdzięcznością

za wszystko.

Rozdział pierwszy.

1952.

Kit zawsze myślała, że na ślubie rodziców był papież. Przecież mieli w domu jego zdjęcie - było to zdjęcie innego papieża, tego, który już nie żył - a umieszczony pod nim napis głosił, że Martin McMahon i Helen Healy padają mu do stóp. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby odszukać go na zdjęciu weselnych gości. Bo też i było to zdjęcie naprawdę okropne: przedstawiało ustawione w szereg postacie w szkaradnych płaszczach i równie szpetnych kapeluszach. Gdyby się nad tym dobrze zastanowiła, uznałaby pewnie, że zanim je zrobiono, papież odpłynął już do Rzymu barką pocztową z Dun Laoghaire.

Dlatego przeżyła tak ogromny wstrząs, kiedy siostra Bernard wyjaśniła jej, że papież pod żadnym pozorem nie mógł opuścić Świętego Miasta i że nawet w obliczu wojny nie wolno mu wyjeżdżać z Watykanu.

- Ale przecież chodził czasem na śluby, prawda? - zauważyła Kit.

- Tylko wówczas, gdy odbywały się w Rzymie. - Siostra Bernard umiała wyjaśnić wszystko.

- I tak wiem, że był na ślubie rodziców - upierała się Kit.

Siostra Bernard spojrzała na małą McMahonów, na jej kręcone włosy, czarne i wzburzone, na jej jasnoniebieskie oczy. Owszem, Kit była znana z tego, że chodziła po płotach i organizowała rozmaite figle w szkole, ale jak dotąd nigdy nie zmyślała.

- Nie sądzę, Katherine - ucięła zakonnica z nadzieją, iż położy kres dyskusji.

- Był, na pewno był! - powtórzyła urażona Kit. - Na ścianie wisi jego zdjęcie w ramce, a pod zdjęciem jest napis, że uczestniczył w ślubie.

- To papieskie błogosławieństwo, ty debilko - powiedziała Clio. - Wszyscy takie mają. Po dziesięć pensów sztuka.

- Życzyłabym sobie, żebyś nie wyrażała się w ten sposób o Najświętszym Ojcu, Cliono Kelly - upomniała ją z najwyższą dezaprobatą siostra Bernard.

Ani Kit, ani Clio nie słuchały szczegółowych postanowień konkordatu, w wyniku którego papież został niezależnym władcą maleńkiego państewka. Oburzona Kit McMahon pochyliła się nad ławką i kryjąc twarz za ustawionym na sztorc atlasem, syknęła pod adresem swej najlepszej przyjaciółki:

- Nigdy nie nazywaj mnie debilką, bo pożałujesz, zobaczysz!

Clio nie miała zamiaru wyrazić najmniejszej skruchy.

- Przecież jesteś debilką! Papież miałby przyjeżdżać na ślub twoich rodziców?! Już nie miałby do kogo innego!

- A dlaczego nie, jeśli wypuścili go z Rzymu?

- E tam, lepiej dajmy temu spokój. Kit wyczuła, że Clio coś przemilcza.

- No, mów! Coś w ich ślubie nie grało, czy co? Clio migąła się od odpowiedzi.

- Ciii! Siostra patrzy! Rzeczywiście patrzyła.

- O czym to przed chwilą mówiłam, Cliono Kelly?

- Mówiła siostra, że Ojciec Święty, zanim został Piusem Dwunastym, nazywał się Pacelli.

Aczkolwiek niechętnie, siostra Bernard musiała przyznać, że w istocie tak było.

- Skąd wiedziałaś? - spytała z podziwem Kit.

- Zawsze słuchaj dwóch rzeczy naraz - odparła Clio. Clio była bardzo jasna i bardzo wysoka. Świetnie radziła sobie w grach na boisku, przytomnie odpowiadała w klasie. Miała cudowne długie włosy. Była najlepszą przyjaciółką Kit i czasem Kit jej nienawidziła.

Anna, młodsza siostra Clio, często chciała wracać z nimi ze szkoły, ale Clio zniechęcała ją do tego, jak mogła.

- Zjeżdżaj! Płaczesz się tu jak smród po gaciach.

- Powiem mamie, że tak brzydko mówiłaś. I tak głośno. I do tego przy ludziach.

- Mama ma ważniejsze sprawy na głowie niż słuchanie twoich bajdurzeń. Zmiataj!

- Zawsze się tylko śmiejecie i wygłupiacie... - Anna była urażona tak bezpardonowym traktowaniem. - Nic innego nie robicie. Sama słyszałam, jak mama mówiła, że nie wie, z czego wiecznie tak chichoczenie...

To rozbawiło je jeszcze bardziej. Uciekły, zostawiając Annę samą. Na nieszczęście dla siebie siostra Clio skończyła raptem siedem lat i nie miała jeszcze swoich przyjaciółek.

Tyle rzeczy mogły robić w drodze do domu. To właśnie należało do uroków miejscowości takiej jak Lough Glass, małej miejsciny położonej na skraju wielkiego jeziora. Nie było to największe jezioro w Irlandii, ale na tyle duże, że tylko w bardzo pogodny dzień można było zobaczyć jego drugi brzeg. Pełno przy nim było maleńkich odnóg i dopływów, które

częściowo zarastały trzcina i sitowiem. Nazywano to jezioro Szklanym, choć tłumaczenie nie odpowiadało oryginalnej nazwie. Lough Glass tak naprawdę znaczyło „zielone jezioro” i wiedziało o tym każde dziecko. Ale czasem wyglądało jak lustro.

Powiadano, że jeśli w wieczór świętej Agnieszki wyszło się nad jezioro, można było w nim ujrzeć swoją przyszłość. Kit i Clio wcale to nie obchodziło. Jaką tam znowu przyszłość? Przyszłość to jutro, co najwyżej pojutrze, a poza tym w wieczór świętej Agnieszki zawsze pełno tam było dziewczuch i chłopaków - starych, już prawie dwudziestoletnich - którzy rozpychali się nad brzegiem, żeby zajrzeć w wodę. Zupełnie tak, jakby mogli w jej lustrze ujrzeć coś więcej ponad odbicie własne i kolegów. W drodze do domu Clio i Kit zaglądały czasami do apteki McMahona, czyli ojca Kit. Liczyły na to, że poczęstuje je skręcanymi cukierkami ze słoika. Albo biegły na drewniany pomost wchodzący w jezioro, żeby obserwować

9

wracających z połowu rybaków. Co jakiś czas zahaczały o pola golfowe i szukały zgubionych w trawie piłeczek, żeby móc je potem odsprzedać graczom.

Rzadko zachodziły do domu, bo wiązało się to z wielkim niebezpieczeństwem: ktoś mógł je zapędzić do odrabiania lekcji. I właśnie, żeby tego uniknąć, opóźniały powrót do domu, jak tylko mogły.

Na poczcie nie było nic interesującego. W oknie od lat wystawiano to samo: wzory znaczków pocztowych, informacje o oszczędnościowych zeszytikach i bloczkach ze znaczkami, taryfikator opłat za listy do Ameryki. Nigdy nie zatrzymywały się tam na długo. Natomiast w sklepie

pani Hanley trafiały się niebrzydkie sweterki z Fair Isle bądź para ładnych butów. Pani Hanley nie lubiła, kiedy przed jej sklepem stawały uczennice, bo wtedy nie mogli podejść do wystawy inni. Wychodziła zatem przed sklep i przeganiała dziewczynki jak kury.

- Sio, a sio! Uciekajcie mi stąd! - mawiała, wymachując rękami.

Mijały też bar Foleya owiany kwaśnym odorem portera i warsztat Sullivana nieco dalej. Stary Sullivan często bywał podpity i wywrzaskiwał coś, co zwracało na nie uwagę. Był to niebezpieczny moment dziewczęcych wędrowek po mieście, gdyż apteka McMahona była usytuowana dokładnie po przeciwnej stronie ulicy, więc zawsze się bały, że ktoś w aptece usłyszy krzyki starego. Od czasu do czasu zaglądały też do sklepu z artykułami żelaznymi pana Walla, na wypadek, gdyby akurat miał coś ciekawego, na przykład wielkie ostre nożyce, albo zerkały w stronę hotelu „Centralnego”, gdzie przy odrobinie szczęścia mogły zobaczyć wychodzących gości. Na ogół jednak widywały tylko straszliwego ojca Philipa O'Briena, który toczył dokoła złym wzrokiem. Przy sklepie rzeźniczym trochę je mdliło. Do Dillona wchodziły, żeby przejrzeć karty urodzinowe. Udawały, że chcą którąś kupić, lecz Dillonowie i tak nigdy nie pozwalali im czytać komiksów ani przerzucać pism.

Gdyby zaś poszły do McMahonów, mama Kit od razu wynalazłaby im milion zajęć. Na przykład mogłaby im pokazać, jak robi maślane bułeczki; Rita, pomoc domowa McMahonów,

10

też by na to patrzyła. Mogła je również zagonić do sadzenia kwiatków w okiennej skrzynce albo też pouczyć je, jak przycinać pędy, by ładnie rosły.

McMahonowie nie mieli takiego ogrodu jak państwo Kelly, tylko podwórko na tyłach domu. Za to ich podwórko wprost tonęło w zieleni kipiącej z donic i pnącej się po murach. Mama Kit pokazała kiedyś dziewczynkom, jak się kaligrafuje, więc pewnego razu ślicznie wypisały siostrze Bernard kartkę z życzeniami: Szczęśliwego świątecznego dnia. Kartka wyglądała tak, jakby napisał ją jakiś zakonnik. Siostra Bernard trzymała ją w modlitewniku po dziś dzień. Czasem też mama Kit pokazywała dziewczynkom zeszyt z nalepkami z pudełek papierosów, które zbierała, i zestaw fantów, z których mogła wybrać sobie prezent, gdy już zapełni zeszyt.

Clio często zadawała pytania w rodzaju: „Właściwie to co twoja mama robi cały dzień, skoro ma dla nas tyle czasu?” Kit odbierała takie pytania jako krytykę. Brzmiały w ustach Clio tak, jakby mama powinna robić coś znacznie ważniejszego. Na przykład wzorem pani Kelly bywać na herbatkach. Kit nie chciała dawać Clio powodu do krytyki, dlatego rzadko ją do siebie zapraszała.

Jednak najbardziej ze wszystkich rzeczy lubiły odwiedzać pustelnicę, siostrę Madeleine. Siostra Madeleine mieszkała w małej chatce nad jeziorem. Dobrze się jej wiodło, bo wszyscy się o nią troszczyli, przynosząc jedzenie i drewno na opał. Nikt już nie pamiętał, kiedy zamieszkała w starej opuszczonej chatynce nad brzegiem wody. Na dobrą sprawę nikt już też nie wiedział, do jakiego zakonu niegdyś należała ani dlaczego z niego wystąpiła. Ale przecież nikt nie wątpił w jej świątobliwość.

Dobro dostrzegała jedynie w ludziach i w zwierzętach. Widywano ją, jak zgarbiona we dwoje sypie ptakom okruszki bądź głaszcze najbardziej

zdziechałego psa w okolicy. Miała oswojonego lisa, który zaglądał do niej wieczorami na miseczkę drobionego chleba w mleku. Rzadko też wychodziła z chatki bez szczapek do usztywniania złamanych skrzydeł ptaków, które znajdowała w czasie swych wędrówek.

11

Ksiądz Baily i siostra Bernard oraz brat Healy ze szkoły męskiej, miast boczyć się na nią nieufnie, postanowili przyjąć ją serdecznie. Z tego, co mogli zauważyć, wynikało, że siostra Madeleine wierzy w prawdziwego Boga i nie krytykuje ich sposobu interpretowania Pisma Świętego. W niedziele zjawiała się na mszy i nie wchodząc im w drogę, siadała z tyłu kościoła cichutko jak myszka.

Nawet doktor Kelly, ojciec Clio, przyznawał, że o niektórych sprawach, takich jak odbieranie przychodzących na świat dzieci czy pocieszanie konających, siostra Madeleine wie tyle samo co on. Ojciec Kit uważał, że w dawnych czasach uznano by ją za znachorkę albo nawet za czarownicę. Trzeba przyznać, iż świetnie znała się na robieniu okładów i umiała dobrze wykorzystać jagody i korzenie roślin rosnących wokół chatki. Poza tym nigdy nie rozprawiała o bliźnich, tak więc wszyscy wiedzieli, że powierzone jej tajemnice są zupełnie bezpieczne.

- Co zaniemiemy siostrze Madeleine? - zapytała Kit. Do siostry-pustelnicy nie chodziło się z pustymi rękami.

- Zawsze mówi, że nie trzeba jej nic przynosić - Clio była praktyczna.

- No tak, tak się zawsze mówi - Kit nadal uważała, że coś należy zanieść.

- Może twój tata coś nam da, jak zajrzemy do niego do apteki?

- Nie, nie! Jeszcze powie, żebyśmy szły prosto do domu. - Kit się

przestraszyła: przecież nie mogły aż tak ryzykować. - Lepiej nazbierajmy

jej kwiatów, co?

- Po co jej kwiaty, skoro wśród nich mieszka? - Clio nie była do końca przekonana.

- Wiem! - Kit olśniło. - Rita smaży dziś dzemy! Zaniesiemy jej słoik dzemu!

To naturalnie oznaczało, że musiały zajrzeć do domu. Rita była służącą McMahonów. Na szczęście dżem studził się w oknie od podwórka - wystarczyło tylko sięgnąć ręką. Był to zdecydowanie najbezpieczniejszy sposób zdobycia upominku dla siostry-pustelnicy bez narażania się na przesłuchanie.

McMahonowie mieszkali nad apteką przy głównej ulicy

12

Lough Glass. Do mieszkania można było wejść albo po schodkach od frontu, pnących się obok apteki, albo od tyłu.

Kiedy Kit cichaczem wśliznęła się na kuchenne schody, na podwórku nikogo nie było. Na sznurku schło pranie, ale Rita nie kręciła się w pobliżu. Kit podeszła na palcach do okna, gdzie na parapecie stał dżem w rozmaitych naczyniach. Sięgnęła po jeden z typowych słoików, zmniejszając tym samym prawdopodobieństwo, że jego brak zostanie zauważony.

Zadrżała na widok postaci siedzącej nieruchomo przy stole. Mama! Na twarzy matki dostrzegła głęboką zadumę. Mama nie usłyszała skradającej się Kit i w ogóle nie zważała na otoczenie. Kit z niesmakiem dostrzegła spływające po jej policzkach łzy. Mama nie pofatygowała się, aby je otrzeć.

Dziewczynka szybko odeszła od okna.

Na podwórku czekała Clio.

- Widział cię ktoś? - zapytała.

- Nie.

- No to co się stało?

- Nic. Zawsze chcesz wiedzieć, co się stało, kiedy nic się nie dzieje.

- Wiesz co, Kit? Robisz się tak samo nieznośna jak Anna. Boże, ale ci się udało, że nie masz siostry! - dodała żarliwie.

- Mam za to Emmeta.

Ale obie wiedziały, że Emmet to nie to samo. Emmet był chłopcem, a chłopcy nie latają za siostrami, żeby podsłuchiwać ich sekrety. Emmet prędzej padłby trupem, niż pozwolił na to, żeby ktoś zobaczył go z dziewczynką. Chadzał swoimi drogami i stawał do potyczek, których doświadczał bez liku przez to, że chłopcy wyśmiewali się z jego wady wymowy. „Emm... Emm... Emmemm... Emmet!” - wołali za nim, przedrzeźniając jego jąkanie. Emmet nie pozostawał im dłużny i ripostował: „Ale przynajmniej nie jestem w szkole matołem!” albo: „Ale słoma mi z butów nie wyłazi!” Kłopot jednak w tym, że zanim zdołał to z siebie wydusić, mijało sporo czasu i zdarzyło się nie raz, nie dwa, że kiedy kończył kwestię, prześladowców już od dawna przy nim nie było.

13

- Coś ty taka zła? - drażyła Clio w drodze nad jezioro.

- Wiesz, myślę, że w końcu znajdziesz męża, ale będzie to musiał być człowiek nieludzko cierpliwy, a może nawet głuchy jak pień.

I na mękach nie przyznałaby się przed swoją najlepszą przyjaciółką, iż - o zgrozo! - widziała własną matkę tak dziwnie zamyśloną i do tego we łzach.

Siostra Madeleine ucieszyła się na ich widok.

Miała twarz zniszczoną spacerami na słońcu, mrozie i wietrze, a włosy schowane pod krótkim czarnym welonem. Właściwie było to okrycie bliżej nie określone, coś między welonem a chustką na głowę, spod którego wystawały siwe włosy. Zakonnice w szkole były zupełnie łyse; goliły głowy, a włosy sprzedawały na peruki.

Siostra Madeleine była bardzo stara. Ani Kit, ani Clio nie wiedziały, ile może mieć lat, lecz nie ulegało wątpliwości, iż na pewno bardzo, ale to bardzo dużo. Uważały, że jest o wiele starsza od ich rodziców. Starsza od siostry Bernard. Mogła mieć pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a nawet i siedemdziesiąt lat. Nie dało się tego ocenić. Pewnego razu Clio nawet ją o to spytała. Potem nie mogły sobie przypomnieć odpowiedzi, ale pamiętały na pewno, iż nie usłyszały nic konkretnego. Pustelnica Madeleine doskonale opanowała sztukę omijania właściwego tematu, umiejętność mówienia czegoś, co tylko w niewielkim stopniu miało związek z pytaniem, tak żeby człowiek je zadający nie czuł się grubianinem, a przy tym nie dowiedział się nic konkretnego.

- Słoik dżemu! - cieszyła się siostra Madeleine. Była ożywiona niczym dziecko, które nieoczekiwanie dostaje w prezencie rower. - To najmiłszy upominek na świecie... Napijemy się herbaty?

Picie herbaty w pustelniczej chatce było zdecydowanie ciekawsze niż nudny podwieczorek w domu. Siostra wieszała czajnik na haku nad otwartym ogniem. W minionych latach ludzie znosili pustelnicy piecyki i prymusy, ale ona rozdała je wszystkie tym, z którymi los obszedł się jeszcze gorzej. Udało jej się przy tym nikogo nie urazić owym przekazywaniem darów, ale i tak każdy dobrze wiedział, że jeśli przyniesie

coś dla jej osobistej wygody, jak na przykład

14

chodniczek czy poduszki, to siostra Madeleine prędzej czy później ofiaruje te dary biednej rodzinie jeżdżącej po kraju, jak Cyganie, bądź komuś, komu ów dar będzie bardziej potrzebny niż jej. Mieszkańcy Lough Glass nauczyli się

ofiarowywać pustelnicy tylko to, z czego sama mogła skorzystać na co dzień.

Chatka była utrzymana tak skromnie i tak oszczędnie, że można by pomyśleć, iż nikt w niej w ogóle nie mieszka. I oprócz prostego drewnianego krzyża na ścianach nie wisały żadne ozdoby, żadne obrazy. Były tam tylko kubki i dzbanek mleka, który ktoś przyniósł w ciągu dnia, oraz bochenek chleba upieczony przez inną przyjazną duszę. Pustelnica odkroiła kilka kromek i zaczęła je smarować dżemem w taki sposób, jakby przygotowywała wystawną ucztę.

Kit i Clio nie pamiętały, by kiedykolwiek dotąd tak bardzo smakował im chleb smarowany dżemem. Pod skąpane w słońcu drzwi podeszły kaczątko. Siostra Madeleine zestawiała na podłogę swój talerz, by mogły z niego zdziobać okruszynki. Było bardzo cicho i spokojnie. Nawet wiecznie podminowana Clio przestała się nerwowo kręcić i podskakiwać.

- Opowiedzcie, czego dowiedziałyście się dzisiaj w szkole. Uwielbiam fakty, bo to pożywka dla umysłu.

- Wydało się, że Kit McMahon myślała, iż sam papież przyjechał na ślub jej rodziców - powiedziała Clio.

Siostra Madeleine nigdy nikogo nie strofowała, nikogo też nie upominała, że zachowuje się grubiańsko czy okrutnie, ale ludzie i tak zdawali sobie z

tego sprawę. Clio też poczuła, że powiedziała coś niewłaściwego.

- Naturalnie każdy może się tak pomylić - dodała z niechęcią.
- Być może pewnego dnia papież zawita do Irlandii - odrzekła siostra Madeleine.

Przekonywały ją, iż to się nigdy nie zdarzy. A wszystko przez pewien traktat. Papież musiał obiecać, że nie opuści Watykanu i nie będzie próbował podbić Włoch, jak to mieli w zwyczaju robić jego poprzednicy. Siostra Madeleine słuchała z takim wyrazem twarzy, jakby wierzyła w każde ich słowo.

15

Przekazały jej też nowinki z życia mieszkańców Lough Glass.

Opowiedziały o właścicielu warsztatu mechanicznego, starym Sullivanie, który wyszedł na dwór w środku nocy w piżamie i uganiał się za aniołami. Mówił, że musi schwytać ich jak najwięcej, zanim wstanie świt, i stukał po nocy do domów, pytając ludzi, czy nie ukrywają u siebie aniołów. To ją wyraźnie zainteresowało. Rozważała, czy mógł mieć aż tak realistyczny sen.

- Przecież on jest całkiem zwariowany - tłumaczyła Clio.
- Hm, mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy po trosze zwariowani. To nas właśnie od siebie odróżnia. Dzięki temu nie jesteśmy identyczni jak ziarenka grochu - odrzekła pustelnica.

Pomogły jej zmyć i sprzątnąć resztki poczęstunku. Kiedy Kit otworzyła kredens, zobaczyła w nim słoik dżemu, dokładnie taki sam jak ten, który przyniosła. Może była tu przed południem mama? Jeśli nawet była, to siostra Madeleine nic im o tej wizycie nie wspomniała, tak samo jak nie wspomni nikomu o odwiedzinach jej i Clio.

- Siostra już ma dzem - stwierdziła głośno. Siostra Madeleine tylko się uśmiechnęła.

Odkąd tylko Kit pamiętała, w domu McMahonów do kolacji siadało się kwadrans po szóstej. Tata zamykał aptekę o szóstej, ale nigdy punktualnie co do minuty. Zawsze znalazł się ktoś, kto w ostatniej chwili wpadał po syrop na kaszel czy też po płyn do znakowania owiec bądź bydła. Nie wypadało wypychać ludzi za drzwi. W końcu apteka należała do tych miejsc, dokąd się przychodziło, gdy człowiek kontemlował jedną z większych tajemnic życia: swoje zdrowie lub dobro kogoś z rodziny. Nie była to w żadnym wypadku wycieczka, którą można by traktować lekko. Kit nieraz słyszała, jak matka pytała ojca, dlaczego nie może pomagać mu w pracy. Błagała go, by zechciał posłuchać głosu rozsądku. Twierdziła, że takie artykuły jak podpaski higieniczne czy odciągaczki do pokarmu kobiety wolałyby kupować u niej, no i była jeszcze sprawa kosmetyków. Komiwojażerowie rozmaitych firm kosmetycznych

16

coraz częściej zaglądali do aptek na prowincji, żeby oferować aptekarzom najrozmaitsze cudenka. Nie było tygodnia, by nie przyjechał do nich ktoś od Ponds, Coty'ego, Chawena czy Maxa Factora.

Martina McMahona zupełnie to nie interesowało. „Dajcie, co tam macie” - mawiał i kupował drogie mydła do kąpieli albo zestaw szminek.

Źle je potem układał w oknie wystawowym, gdzie blakły na słońcu i skąd nigdy się nie sprzedawały. Mama uporczywie twierdziła, iż kobiety w Lough Glass są takie same jak w innych częściach świata: chcą wyglądać możliwie jak najlepiej. A przecież przedstawiciele firm kosmetycznych szkolili sprzedawców, żeby umieli jak najkorzystniej prezentować

kosmetyki, i wiedzieli, jak pouczyć kobiety, by używały ich z największym pożytkiem dla siebie. Ale ojciec był nieprzejednany. Farbek czy pudrów nie miał zamiaru wciskać tym, których nie było na to stać, nie zamierzał też sprzedawać im magicznych toników i obiecywać wiecznej młodości...

- Niczego takiego bym nie robiła - często mówiła na to matka. -

Nauczyłabym się, jak z tych rzeczy korzystać, i udzielałabym rad.

- Ci ludzie nie chcą żadnych rad - oponował Martin McMahon. - Nie chcą też żadnych pokus. Wyglądają dobrze takimi, jakimi są teraz... Poza tym pomyśleliby sobie, że zagoniłem żonę do pracy, bo sam nie potrafię zarobić na utrzymanie rodziny.

Zawsze się śmiał, kiedy to mówił, i robił zabawną minę.

Uwielbiał dobry dowcip, znał rozmaite sztuczki karciane i potrafił sprawić, że monety same znikają. Mama nie śmiała się aż tak serdecznie, ale uśmiechała się do taty i w końcu dawała się przekonać. Nie utyskiwała jak mama Clio, kiedy jej mąż wracał późno z pracy lub gdy obaj szli na piwo do Paddlesa.

Kit uważała, że mama pracowałaby w aptece z wielką przyjemnością, ale zdawała sobie sprawę z tego, że przy ich pozycji społecznej tata nie może jej pozwolić na paranie się jakimkolwiek zajęciem przynoszącym dochody.

Na życie zarabiać mogły tylko takie kobiety jak pani Hanley, wdowa

17

i właścicielka sklepu z odzieżą, Mona Fitz, niezamężna kierowniczką poczty, albo pani Dillon, której mąż był pijakiem. Tak to wówczas wyglądało w Lough Glass i w ogóle wszędzie.

Wracając z chatki siostry Madeleine, Kit wciąż miała w pamięci widok matczynych łez. Wchodziła po schodach powoli, prawie niechętnie, jakby nie chciała dowiedzieć się prawdy. Może dostali złe wiadomości? Tylko co to mogło być?

Tacie zupełnie nic nie dolegało. Właśnie zamykał aptekę. Emmet cały i zdrowy wrócił już do domu po wytarzeniu się w błocie bądź po innych tego rodzaju zajęciach, którym oddawał się po lekcjach. Nie mogło więc chodzić o kogoś z rodziny. Z wrażeniem, że stąpa po skorupkach jajek, Kit weszła do kuchni, gdzie zawsze siadali do stołu. Wszystko wyglądało normalnie. Oczy mamy lśniły co prawda odrobinę bardziej niż zwykle, ale zauważyła to dopiero wtedy, gdy bacznie się jej przyjrzała. Miała natomiast na sobie inną sukienkę. Widocznie się przebrała.

Zresztą zawsze wyglądała wspaniale, jak Hiszpanka. Przysłano im kiedyś pocztówkę z Hiszpanii z tancerką w sukni nie namalowanej, lecz zrobionej z prawdziwego materiału. Kit zawsze uważała, że tancerka z pocztówki jest podobna do mamy - miała czarne włosy zwinięte w kok z tyłu głowy i duże smoliste oczy.

Tata był w znakomitym humorze, więc nie mogło dojść między nimi do żadnej awantury. Opowiadał im ze śmiechem, jak to stary Billy Sullivan wpadł do apteki po tonik na winie. Zakazano mu wstępu do wszystkich przybytków, w których sprzedawano alkohol, i nagle odkrył, iż jedynym zbawieniem jest dla niego tonik na winie. Tata świetnie naśladował pana Sullivana, który za wszelką cenę chciał mu udowodnić, że jest zupełnie trzeźwy.

- Upił się tonikiem i pewnie dlatego widział w nocy anioły -

skonstatowała Kit.

- Sam Pan Bóg raczy wiedzieć, co też Billy jeszcze zobaczy po wypiciu emu burgundy - odrzekł tata z troską w głosie. - Musiałem mu powiedzieć, że to już koniec zapasów i że nie będzie tego w sprzedaży.

18

To kłamstwo - zauważył Emmet.

Wiem, synu, ale mamy do wyboru: okłamać Billy'ego albo patrzeć, jak leży na drodze i wariuje.

- Siostra Madeleine mówi, że wszyscy jesteśmy trochę zwariowani i że to właśnie nasze szaleństwo odróżnia nas od innych - zauważyła Kit.

- Święty z niej człowiek - wtrąciła mama. - Rita, zajrzałaś do siostry Madeleine w sprawie, o której mówiłyśmy?

- Zrobię to, pani McMahan, na pewno to zrobię - odparła Rita, stawiając na stole półmisek makaronu z żółtym serem. Chociaż jadalni w kuchni, mama zawsze nalegała, żeby wszystko było podane elegancko. Zamiast obrusu przed każdym biesiadnikiem leżały barwne podkładki, a na środku stołu, pod naczyniem z zapiekanką - mata z rafii. Sama zapiekanka została ozdobiona gałązkami zielonej pietruszki, co było maminym przejawem dbałości o estetykę jedzenia.

- Czy to nie wszystko jedno, jak jedzenie wygląda, pszę pani? Przecież smakuje tak samo - mawiała kiedyś Rita.

- Mimo to dbajmy o to, żeby ładnie wyglądało - odpowiadała łagodnie mama i doprowadziła do tego, że po jakimś czasie Rita sama z siebie kroić pomidory w ładne trójkąciki, a gotowane na twardo jajka w cieniutkie plasterki. I chociaż państwo Kelly'owie zasiadali do stołu nie w kuchni, lecz w jadalni, to Kit i tak wiedziała, iż ich posiłki nie są

podawane tak ładnie jak w jej domu. Również i ten fakt przyczyniał się do tego, że uważała matkę za kobietę wprost wyjątkową.

W odróżnieniu od służącej państwa Kellych Ritę traktowano jak członka rodziny. Emmet ją uwielbiał i zawsze ciekawiło go, co Rita porabia.

- A po co miałaś do niej zaglądać? - spytał.

- Na czytanie - odpowiedziała głośno i wyraźnie, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć Emmetowi, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. - Nie nauczyłam się dobrze czytać, bo rzadko bywałam w szkole.

- A gdzie wtedy chodziłaś? - zapytał z zazdrością. Jakie to cudowne móc tak zwyczajnie powiedzieć, że się wagarowało!

19

- Najczęściej opiekowałam się maluchami, zbierałam też siano albo torf - odpowiedziała po prostu. Mimo że nie czytała książek, tylko niańczyła dzieci, mimo że się przedwcześnie postarzała, by wreszcie pójść na służbę, bawić cudze dzieci i sprzątać cudze domy, w jej głosie nie słychać było goryczy.

* * *

Jakiś czas po tej kolacji pan Sullivan zaczął widzieć diabły. I to wszędzie. W zapadającym zmroku widział, jak uzbrojone w widły zakradają się do domów przy głównej ulicy, w tym również do domu aptekarza. Kto wie, może umiały wnikać do środka przez szpary w podłodze i przez pęknięcia w ścianach. Kit i Emmet siedzieli na szczycie schodów i chichocząc słuchali, jak ojciec dyskutuje z panem Sullivanem i jednocześnie półgębkiem wydaje polecenia.

- Nic ci tu nie grozi, Billy. Poza tobą i mną w tym domu nie ma innych diabłów.

- Helen, zadzwoń po Petera. Powiedz mu, w jakim jest stanie. Niech tu przyjdzie najszybciej, jak się da, i niech nabije strzykawkę jakimś środkiem uspokajającym.

- Usiądź, Billy. Porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną. Posłuchaj mnie, Billy. Sądzisz, że wpuściłbym do domu tych łobuzów z widłami? Siedzieli na szczycie schodów i czekali na przyjście ojca Clio. A potem krzyki i panika minęły jak ręką odjął. Skończyła się gonitwa za diabłami. Słyszeli, jak doktor Kelly mówi, że jedynym rozwiązaniem jest teraz zakład okręgowy, gdyż Billy stał się zagrożeniem nie tylko dla siebie, ale i dla innych.

- A co będzie z jego warsztatem? - zapytał tata.

- Jeden z jego udanych synalków, których wyrzucił z domu, wróci do Lough Glass i nauczy się prowadzić interes. Ich wuj zadbał przynajmniej o to, żeby posłać chłopców do szkoły. Może któremuś z nich uda się ten zrujnowany dom postawić na nogi - odparł doktor Kelly, który nie podzielał poglądu siostry Madeleine, że każdy z nas jest zwariowany na swój sposób i przez to wyjątkowy.

20

Emmet podparł ręką brodę. Gdy był przestraszony, zawsze zaczynał się jąkać.

- Zamkną Billy'ego w zakładzie? - zapytał. Oczy miał duże i okrągłe. Słowo „zamkną” udało mu się wykrztusić dopiero za dziesiątym podejściem.

Kit pomyślała wtedy, że gdyby mogła wypowiedzieć życzenie, poprosiłaby o to, żeby Emmet przestał się jąkać. Czasami chciała mieć długie jasne włosy jak Clio albo marzyło jej się, żeby jej rodzice

przyjaźnili się z sobą, tak samo jak pan i pani Kelly'owie. Jednak tego wieczoru pomyślała o jękaniu się brata.

Kiedy pan Sullivan został zabrany do zakładu, tata i doktor Kelly poszli do baru. Mama bez słowa wróciła do mieszkania. Kit widziała, jak kręci się po saloniku, przestawia jakieś przedmioty, aż wreszcie zamyka za sobą drzwi do sypialni.

Kit zastukała.

- Wejdz, kochanie. - Mama siedziała przy toalecie i szczotkowała włosy. Z rozpuszczonymi włosami wyglądała jak księżniczka.

- Nic ci nie jest, mamó? Jesteś taka smutna.

Mama otoczyła córkę ramieniem i przyciągnęła ją do siebie.

- Nic mi nie dolega. Zupełnie nic. Dlaczego sądzisz, że jest mi smutno?

Kit nie chciała mówić o tym, co widziała przez okno w kuchni.

- Masz to wypisane na twarzy.

- No cóż, tak, naturalnie, smucą mnie różne sprawy... Jak choćby to, że zwięzali biedaka Sullivana i zawieźli go do szpitala dla psychicznie chorych, gdzie spędzi resztę życia tylko dlatego, iż nie potrafił z umiarem pić. Smucą mnie też chciwi rodzice Rity, którzy mieli czternaścioro dzieci i pozwalali na to, żeby starsze wychowywały młodsze aż do chwili, gdy mogli wysłać wszystkie na służbę i zmusić je do oddawania połowy zarobków. Poza tym na nic nie narzekam. A ty, moja mała Kit?

Kit przyglądała się odbiciu matki w lustrze. Nie dowierzała jej zapewnieniom.

21

- Hm... Może trochę...

- A czego ci brakuje?

- Chciałabym być szybsza - odpowiedziała Kit. - Chciałabym wszystko rozumieć błyskawicznie, tak jak Clio, mieć jasne włosy i umieć słuchać jednego, a mówić o drugim. No i być trochę wyższa.

- Pewnie mi nie uwierzysz, kiedy ci powiem, że jesteś sto razy ładniejsza i inteligentniejsza od Clio.

- Wcale nie.

- Ależ jesteś, Kit. Przysięgam. Clio ma styl. Nie wiem, skąd go wzięła, ale potrafi do maksimum wykorzystać każdy swój atut. Mimo że jest dopiero dwunastoletnią dziewczynką, umie się ładnie ubrać i wie, jak się uśmiechać. To wszystko. Nie ma to nic wspólnego z pięknnością, którą masz w sobie ty. I pamiętaj, iż to ty masz moje kości policzkowe, nie Clio. Ona odziedziczyła swoje po Lilian.

Roześmiały się jak dwie dorosłe kobiety zjednoczone żartami z koleżanki. Pani Lilian Kelly miała pulchną twarz bez śladu jakichkolwiek kości policzkowych.

Rita chodziła do siostry Madeleine we czwartki, na swoją połówkę dnia. Jeśli zdarzyło się, że w tym samym czasie zaglądał tam ktoś inny, siostra Madeleine mawiała: „Rita i ja czytamy poezję. We czwartki często to robimy”. W taki oto taktowny sposób dawała ludziom do zrozumienia, iż właśnie ten dzień i akurat ta jego pora należą do Rity, i z czasem wszyscy do tego przywykli.

Rita piekła przed wyjściem kruche rożki albo też zanosila siostrze Madeleine połówkę szarlotki. Siadały razem przy herbacie i pochylały głowy nad książkami. Z biegiem tygodni i z nadejściem lata Rita nabrała nowej wiary w siebie. Potrafiła już czytać nie wodząc palcem pod

wyrazami, a trudniejsze wyrazy potrafiła odgadnąć z kontekstu zdania. Nadszedł więc czas, żeby zacząć uczyć się pisania. Siostra Madeleine podarowała jej wieczne pióro.

- Nie mogę tego pióra przyjąć, proszę siostry. Dostała je siostra w prezencie.

- Skoro należy do mnie, mogę z nim zrobić, co zechcę,

22

prawda? - Siostra Madeleine rzadko zatrzymywała podarunki na dłużej niż na dwadzieścia cztery godziny.

- To może je od siostry pożyczę... Na bardzo długi czas.

- Pożyczam ci je do końca życia.

Nie było żadnych nudnych zdań do przepisywania. Zamiast tego rodzaju ćwiczeń Rita pisała z siostrą Madeleine o Lough Glass, o jeziorze i o nadejściu lata.

- Niedługo będziesz mogła pisać do Ameryki, do swojej siostry - stwierdziła pustelnica.

- O nie, nie napiszę prawdziwego listu. Nie do kogoś, kto to przeczyta.

- Niby dlaczego nie? Twój list w niczym nie będzie odstawał od innych listów, które twoja siostra dostaje z naszych stron. Możesz mi wierzyć.

- Chciałoby się jej czytać o domu? - powątpiewała Rita.

- Ucieszy się z twego listu tak bardzo, że prawie usłyszysz, jak ci za niego dziękuje zza Atlantyku.

- Jeszcze nigdy nikt do mnie nie napisał. Nie chciałabym, aby u McMahonów pomyśleli sobie, że należę do ludzi, co to dostają listy.

- Mogłaby pisać do ciebie pod moim adresem.

- Tylko czy listonosz przynosiłby te listy siostrze?

- Przecież Tommy Bennet to najporządniejszy człowiek pod słońcem!

Przynosi mi listy trzy razy w tygodniu. Przyjeżdża do mnie niezależnie od pogody, a ja częstuję go herbatą.

Siostra Madeleine nie wspomniała jednak o tym, iż Tommy Bennet nigdy nie odwiedzał jej bez daru uzupełniającego zapasy w kredensie. Nie napomknęła też i o tym, że to dzięki niej córka listonosza szybko i po cichu trafiła do domu samotnych matek i że to właśnie dzięki niej ten sekret uchował się przed ciekawskimi mieszkańcami Lough Glass.

- To siostra dostaje aż tyle listów, że nikt by się nie zorientował? - dziwiła się Rita.

- Ludzie są dla mnie dobrzy i często do mnie pisują - odparła siostra Madeleine równie zadziwiona.

* * *

23

Clio i Kit nauczyły się pływać już we wczesnym dzieciństwie. W tym celu doktor Kelly osobiście moczył się w wodzie do pasa. Jeszcze jako student medycyny wyciągnął kiedyś z jeziora troje topiących się dzieci. Tęły, bo nikt nie nauczył ich pływać. I bardzo się wówczas rozgniewał. Ludzie mieszkali u brzegu śmiertelnej pułapki i ospale na to przystając, nie robili nic, by bronić się przed niebezpieczeństwem.

Podobnie było z tymi młodymi rybakami z zachodniej Irlandii, którzy wypływali na wzburzone fale Atlantyku. Każdy z nich miał na sobie różniący go od innych sweter, żeby w razie wypadku na morzu można było rozpoznać zwłoki: każda rodzina miała typowy dla siebie ścieg.

Doktor Kelly uważał, że to skomplikowane, wręcz perwersyjne. Czy nie lepiej byłoby nauczyć ich pływać?

Jak tylko dzieci McMahanów i Kellych nauczyły się chodzić, doktor natychmiast zaprowadził je nad jezioro. Inni też poszli za jego przykładem; doktor Kelly był postacią cieszącą się powszechnym szacunkiem. Nauczył się więc pływać mały Philip O'Brien z hotelu i dziewczynki Hanleyów. Naturalnie, stary Sullivan z warsztatu kazał doktorowi trzymać się z daleka od nie swoich dzieci, dlatego prawdopodobnie ani Stevie, ani Michael Sullivan nie potrafili pływać po dziś dzień.

Peter Kelly bywał w innych krajach, gdzie jeziora, takie jak Szklane, stanowiły atrakcję dla turystów. Na przykład w Szkocji. Ludzie odwiedzali te miejsca tylko dlatego, że były tam jeziora. Albo w Szwajcarii, gdzie wraz z Lilian spędzali miodowy miesiąc - jeziora wszędzie odgrywały bardzo ważną rolę. Ale w Irlandii wczesnych lat pięćdziesiątych nikt nie dostrzegał ich potencjalnego znaczenia.

Ludzie uznali, że doktor zwariował, kiedy na spółkę z przyjacielem, Martinem McMahanem, kupił niedużą łódź. Razem wypływali na okonie, leszcze i szczupaki. Były to duże brzydkie ryby, lecz wędkowanie na wiecznie zmieniających się wodach jeziora stanowiło spokojny odpoczynek. Kelly i McMahan przyjaźnili się od dzieciństwa. Na wylot znali zarośnięte sitowiem zatoczki, gdzie skrywały się kokoszki wodne i dokąd czasem uciekały łabędzie. Bywało,

24

że mieli towarzystwo, gdyż kilku mieszkańców miasteczka zapaliło się do wędkowania tak jak oni, ale zazwyczaj widywało się na jeziorze tylko łodzie przewożące na drugi brzeg paszę bądź maszyny rolnicze.

Ziemia należąca do poszczególnych gospodarzy została rozparcelowana w

bardzo dziwny sposób: jedno pole od drugiego często dzieliła odległość tak wielka, że najkrótszą drogą była przeprawa przez jezioro. Ale tym, co najbardziej dziwiło Petera Kelly'ego i czemu niejednokrotnie dawał wyraz, był fakt, że niewygodny życiowy, jakich nie narzuciła nam obca potęga kolonialna, ściągnęliśmy sobie na głowę sami przez niekończące się właśnie i rodzinne rozgrywki. Martin McMahon odznaczał się o wiele pogodniejszym usposobieniem. Wierzył w ludzi i miał wprost nieograniczoną cierpliwość. Nie było takiej sytuacji, której, jego zdaniem, nie udałoby się rozładować śmiechem. Bał się tylko jednego: Szklanego Jeziora.

Zawsze ostrzegał ludzi - nawet tych, którzy jako klienci wpadali do apteki - żeby nad brzegiem jeziora chodzili bardzo ostrożnie. Clio i Kit miały już wystarczająco dużo lat, by pływać łódką samodzielnie, i chociaż udowodniły to wiele razy, McMahon za każdym razem bardzo się denerwował. Wyznał to Kelly'emu nad kuflem piwa u Paddlesa.

- Jezu, Martin! Robi się z ciebie stara baba! Martin się nie obraził.

- Chyba tak. Zaraz, zaraz, trzeba też sprawdzić inne symptomy. Piersi mi jeszcze nie obwisły ani nic z tych rzeczy, ale przyznaję, że nie muszę się już tak często golić... Wiesz co? Może ty masz rację?

Peter spojrzał na niego z nieukrywaną serdecznością. Pod żartami Martina kryła się najprawdziwsza troska.

- Obserwowałem je, Martin. Przecież i mnie zależy na tym, żeby nie zrobiły sobie krzywdy. Ale na wodzie nie wygłupiają się tak jak na lądzie. Skutecznie wbiliśmy im to do głowy. Poobserwuj je, a sam się przekonasz.

- Dobra. Jutro chcą płynąć. Helen twierdzi, że musimy je puścić, że nie możemy chować ich pod kloszem.

- I ma rację - stwierdził z powagą Peter i zaczęli debatować, czy zamówić jeszcze po kufelku. Jak zwykle

25

przy takich okazjach poszli na wielki kompromis i postanowili zamówić tylko po ćwierć kwarty. I jak zwykle, zanim jeszcze zdążyli złożyć zamówienie, Paddles czekał już na nich za barem z dwoma małymi kuflami piwa.

- Panie McMahan, proszę powiedzieć Annie, żeby poszła do domu - błagała Clio ojca Kit. - Jak ja jej to powiem, to zacznie się ze mną kłócić.

- Nie chciałybyś się ze mną przejść, Anno? - zapytał

Martin McMahan.

- Wolę popłynąć łódką.

- Wiem, ale Clio i Kit są już dużymi dziewczynkami i czasami chcą porozmawiać na osobności. Chodźmy na spacer i poszukajmy wiewiórek, co ty na to? - Spojrzał na dziewczynki w łódce. - Wiem, że robię niepotrzebne zamieszanie, ale przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Pewnie, że w porządku.

- I będziecie ostrożne? To niebezpieczne jezioro.

- Proszę cię, tatusiu!

Odszedł, a za nim poszła jęcząca z niezadowolenia Anna.

- Twój tata jest bardzo fajny - oświadczyła Clio, mocując wiosła w dulkach.

- Tak, zwłaszcza gdy porównać go z innymi, którzy mogliby być naszymi ojcami.

- Na przykład z panem Sullivanem z domu wariatów - podpowiedziała

Clio.

- Czy z listonoszem Tommym Bennetem, który ciągle wrzeszczy.

- Albo z Paddlesem Burnsem, tym wielkostopym barmanem...

Śmiały się, że tak się im udało.

- Ale powiem ci, że ludzie często się zastanawiają, dlaczego twój tata ożenił się z twoją mamą - powiedziała Clio.

Kit poczuła, że narasta jej w gardle gula gniewu.

- Wcale się nie zastanawiają. To ty się nad tym zastanawiasz. Ludzie o tym w ogóle nie myślą.

- Nie denerwuj się tak, powtarzam tylko, co słyszałam.

- Co słyszałaś? Od kogo? - Kit poczerwieniała ze złości.

26

Miała ochotę wepchnąć Clio w ciemne fale jeziora i przytrzymać jej głowę pod wodą. Prawie się przestraszyła gwałtowności swej reakcji.

- No wiesz, ludzie zawsze coś tam gadają... - Clio była bardzo elokwentna.

- Na przykład?

- Na przykład to, że twoja mama jest zupełnie inna, że nie pochodzi stąd...

No, rozumiesz...

- Nie, nie rozumiem. Twoja mama też nie pochodzi stąd, tylko z Limerick.

- Ale przyjeżdżała tu na wakacje, a to tak, jakby była stąd.

- Moja mama przyjechała tu, kiedy poznała tatę, i od tamtej chwili też jest stąd - w oczach Kit zalśniły łzy.

- Przepraszam - powiedziała Clio tonem, w którym zabrzmiała nutka skruchy.

- Za co?
- Za to, co powiedziałam... że twoja mama nie jest stąd. Kit było przykro z powodu innej uwagi, z powodu zawołanej krytyki małżeństwa rodziców, które mocno kulało.
- Daj spokój. Kto by się przejmował tym, czy moja mama jest stąd, czy nie. Jesteś taka nudna. Moja mama pochodzi z Dublina, a to tysiąc razy ciekawsze niż urodzić się w jakimś głupim Limerick.
- Pewnie - przytaknęła Clio.

Słońce zniknęło za chmurami. Pierwsza tego lata przejażdżka po jeziorze nie sprawiła Kit przyjemności. Clio też chyba nie, dlatego z ulgą wróciły do domu.

Co roku w lipcu Rita dostawała dwutygodniowy urlop.

- Będzie mi brakowało wizyt u siostry Madeleine - wyznała.
- Jak można tęsknić do lekcji? - mruknęła Kit.
- Bo nigdy prawdziwych nie miałam, rozumiesz? Wszyscy zawsze chcą tego, czego nie mają.
- A co najbardziej chciałabyś robić w wakacje? - zapytała Kit.
- Nie jechać do domu. Bo to nie jest prawdziwy dom.

27

Moja matka ledwie mnie zauważa, a i to tylko wtedy, kiedy potrzebuje pieniędzy.

- No to nie jedź.
- A co mam ze sobą zrobić?
- Dlaczego nie chcesz tu zostać i odpoczywać? - podsunęła jej Kit. -
Przynosiłabym ci rano herbatę.

Rita roześmiała się.

- Nic by z tego nie wyszło, ale masz rację: nie muszę jechać do domu. - Powiedziała, że omówi tę sprawę z pustelnicą. Może siostra Madeleine będzie miała jakiś dobry pomysł?

I rzeczywiście miała. Wymyśliła, że siostra Bernard na pewno bardzo by się ucieszyła, gdyby ktoś zechciał sprzątać codziennie jej salonik, a może nawet troszkę odświeżyć go farbą. W zamian za to Rita mogłaby zamieszkać w szkole, a siostry udzielałyby jej lekcji.

Rita przeżyła najwspanialsze wakacje w życiu.

- Fajnie było z siostrami?

- Cudownie. Nie masz pojęcia, jaki tam panuje spokój i jak pięknie śpiewają w kaplicy. Poza tym miałam swój klucz i mogłam sobie chodzić do kina albo na tańce. Dostawałam jeść i jeszcze pomagano mi w lekcjach.

- Ale chyba nas nie opuścisz, Rito? - Kit poczuła powiew zmian.

- Nie, dopóki jesteście tacy młodzi i tacy, jacy jesteście - odpowiedziała szczerze Rita. - Nie zrobię tego, dopóki Emmet trochę nie podrośnie.

- Mama by chyba umarła, gdybyś od nas odeszła. Jesteś przecież członkiem naszej rodziny.

- Twoja mama dobrze mnie rozumie. Naprawdę. Często rozmawiamy o tym, iż w życiu trzeba wykorzystać szansę. Sama mnie zachęca, żebym starała się wybić ponad swój stan. Dobrze wie, że mam nadzieję skończyć kiedyś z szorowaniem podłóg.

Oczy Kit nagle wypełniły się łzami.

- Czuję się niepewnie, kiedy tak mówisz. Chcę, żeby wszystko było tak jak teraz, żeby nigdy się nie zmieniło.

- To niemożliwe - odparła Rita. - Spójrz tylko na Farouka: wyrósł na dorosłego kocura, a chcieliśmy, żeby

28

zawsze był małym kociątkiem. Kaczątka siostry Madeleine też urosły i odpłynęły. Wasza mama też chce, żebyście byli tacy mali i kochani jak teraz, ale dorośnięcie i pójście swoją drogą. Tak to w życiu jest.

Kit bardzo pragnęła, żeby w życiu było zupełnie inaczej, lecz obawiała się, że Rita ma rację.

- Popłyniesz ze mną łódką, mamó? - zapytała Kit.

- O Boże, nie, kochanie. Nie mam na to czasu. Popłyni z Clio.

Mam już dosyć Clio. Chciałabym popłynąć z tobą. Chcę ci pokazać miejsca, których nie widziałas.

- Nie, Kit, to niemożliwe.

- Ale co ty robisz popołudniami, mamó? Czy to coś aż tak ważnego, że nie możesz popłynąć ze mną łódką?

Dopiero podczas wakacji Kit wyraźnie dostrzegła, jak bardzo tryb życia matki różni się od trybu życia innych ludzi. Mama Clio zawsze wsiadała do autobusu albo łapała okazję, żeby pojechać do dużego miasta i obejrzeć nowy materiał na zasłonki, przymierzyć ubrania, czy choćby tylko po to, aby zasiąść w gronie przyjaciółek w eleganckiej kawiarni.

Pani

Hanley i pani Dillon pracowały w sklepach, matka Philipa O'Briena chodziła do kościoła, gdzie układała kwiaty, polerowała mosiężne okucia i tabliczki. Inne matki pomagały siostrze Bernard w organizowaniu rozmaitych wyprzedaży, went i jarmarków oraz innych wydarzeń, jakie

regularnie organizowano w Lough Glass, by wspomóc zakon w pracy misyjnej.

Natomiast jej mama nie robiła nic takiego. Przesiadywała w kuchni, eksperymentowała z gotowaniem i w ogóle spędzała z Ritą więcej czasu niż inni ludzie ze swymi służącymi. Stroiła też salon gałęziami oraz liśćmi i oprawiała kolejne obrazy jeziora, tak że na ścianie wisiało ich ponad dwa tuziny. Goście nie mogli się nadziwić tej kolekcji.

Ale goście rzadko do nich zaglądali.

Poza tym mama pracowała szybko i wydajnie. Miała dla siebie dużo czasu

- wystarczająco dużo czasu, żeby wybrać się z Kit na przejażdżkę.

- Powiedz - powtórzyła Kit. - Skoro nie chcesz ze mną wychodzić, to przynajmniej powiedz, co tu robisz.

29

- Żyję najlepiej, jak umiem - odparła matka. A Kit doznała prawdziwego wstrząsu na widok nieobecnego wyrazu jej twarzy.

- Tato, dlaczego ty i mama macie osobne sypialnie? - zapytała Kit.

Skorzystała z okazji, że w aptece było pusto i nikt nie mógł im przeszkodzić w rozmowie. Ojciec w białym fartuchu stał za kontuarem.

Okulary podepchnął wysoko na czoło, a na jego piegowatej twarzy malował się wyraz skupienia. Kit wolno było siadać na jego wysokim stołku tylko pod warunkiem, że nie będzie mu przeszkadzała.

- Co? - rzucił zamyślony.

Zaczęła powtarzać pytanie, ale jej przerwał.

- Słyszałem. Chcę wiedzieć, dlaczego pytasz.

- Tak sobie.

- Pytałaś mamę?

- Tak.
- No i?
- I powiedziała mi, że nie sypiacie razem, bo chrapiesz.
- No to już wiesz.
- Tak.
- Masz jeszcze jakieś pytania, czy mogę zabrać się już za mieszanki?
- Dlaczego wzięliście ślub?
- Bo kochaliśmy się. I nadal się kochamy.
- A skąd to wiedziałeś?
- To się wie, Kit. Rozumiem, iż ta odpowiedź cię nie zadowala, ale nie umiem tego inaczej wytłumaczyć. Poznałem twoją mamę u znajomych w Dublinie. Była śliczna, miła i wesoła. Od pierwszej chwili chciałem się z nią umówić. Udało się. Spotykaliśmy się jakiś czas, a potem poprosiłem ją o rękę i mama się zgodziła. - Wyglądało na to, że mówi całkiem szczerze. Ale Kit nie była do końca przekonana.
- Mama czuła to samo?
- Myślę, iż tak, kochanie. W końcu nikt nie stał nad nią z wielkim kijem i nie zmuszał do małżeństwa z młodym aptekarzem z Lough Glass, który kochał ją do szaleństwa.

30

Jej rodzice nie żyli. Nie musiała za mnie wychodzić, żeby sprawić im przyjemność, ani też dlatego, że byłem dobrą partią.

- A byłeś dobrą partią, tato?
- Byłem człowiekiem ze stałą i pewną pracą. W trzydziestym dziewiątym, kiedy świat balansował na granicy wojny i pogrążał się w zamieszaniu, człowiek ze stałą pracą był dobrą partią.

Dzisiaj jest podobnie.

- Byłeś zaskoczony, kiedy mama powiedziała „tak”?

- Nie, kochanie, nie byłem, wtedy już nie. Przecież byliśmy w sobie zakochani. Wiem, że to wygląda zupełnie inaczej niż na filmach, że nie przypomina to rzeczy, z których wy, słotkie idiotki, tak bardzo chichoczeć, ale właśnie tak z nami było. Kit milczała.

- O co chodzi, Kit? Dlaczego o to pytasz?

- Tak sobie, tato. Wiesz, jak to jest: człowiek się czasem zastanawia, i tyle.

- Wiem, jak to jest, kiedy ty zaczynasz się nagle zastanawiać - odrzekł.

I w ten sposób zakończył rozmowę, tak że Kit nie musiała już dłużej rozmyślać nad tym, co jej powiedziała Clio.

Clio przekazała jej to, co podsłuchała w domu: że Martin

McMahon ma pracę, która uwiązała jego żonę w Lough Glass, a fakt, iż w ogóle dała się do tej dziury zaciągnąć,

Graniczy niemal z cudem.

- Powtarzam ci to tylko dlatego - powiedziała Clio - że jesteś moją najlepszą przyjaciółką i uważam, iż powinnaś o tym wiedzieć.

- Siostrze Madeleine?

- Tak, Kit...

- Czy siostra wie, dlaczego ludzie wszystko siostrze mówią?

- Hm, ludzie mówią mi o rozmaitych rzeczach, bo sama nie mam im wiele do powiedzenia. Całymi dniami tylko się modłę, zbieram roślinki i chrust, i nie mam specjalnie o czym opowiadać.

A czy ludzie zwierzają się siostrze ze swoich tajemnic, albo nawet z grzechów?

Na twarzy siostry Madeleine odbiło się najgłębsze zdziwienie.

- Ależ skąd, Kit! Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że jedyną osobą uprawnioną do wysłuchiwania naszych grzechów jest wyświęcony ksiądz i tylko on może być pośrednikiem między człowiekiem a Bogiem.

- A z tajemnic?

- O czym ty w ogóle mówisz? Cip, cip, cip... Spójrz na te małe kogutki.

Brat Healy był tak dobry. Dał mi parę jajek, z których przy ogniu wylęgły się kurczaczki. Taki mały cud... - Przyklęknęła na podłodze, żeby zawrócić małe kurczątko z niebezpiecznej drogi i zagonić je do wymoszczonego słomą pudełka.

Kit nie dała się zagadać.

- Przyszłam sama, bo chciałam...

- Tak, brakowało mi dzisiaj Clio. To wspaniała przyjaciółka, prawda?

- Czasem tak, czasem nie. Clio powiedziała mi, co ludzie mówią o mojej mamie i tacie, i przyszło mi do głowy, że... tak się zastanawiałam, czy może siostra...

Pustelnica wyprostowała się. Jej pomarszczoną, zniszczoną zmienną pogodą twarz przeciął szeroki uśmiech. Wyglądało to tak, jakby uśmiechem chciała odegnąć niepokój Kit.

- Jesteś już dorosłą, dwunastoletnią kobietką i nie wiesz, iż wszyscy o wszystkich plotkują? Przecież to główne zajęcie mieszkańców wsi i małych miasteczek. Chyba nie będziesz się z tego powodu zamartwiać, co?

- No nie, ale...

Siostra Madeleine chwyciła się tego „nie”.

- Sama widzisz. Wiedziałam, że jesteś mądra. Tak, to bardzo zabawne: ludzie wyjeżdżają daleko, bardzo daleko, byle tylko mieszkać w dużym mieście, gdzie nikogo nie znają i gdzie nikt nie zna ich. A wtedy wszystko się zmienia, bo jak już tam trafią, to bardzo chcą, żeby znalazł się ktoś, kto się zainteresuje i nimi, i ich poczynaniami. My, rodzaj ludzki, jesteśmy bardzo dziwni...

- Chodzi mi o to... - zaczęła rozpaczliwie dziewczynka. Nie chciała rozprawiać z siostrą Madeleine o rodzaju ludzkim.

32

Chciała od niej usłyszeć, iż wszystko jest w jak najlepszym porządku, iż mama nie jest ani nieszczęśliwa, ani dzika i zła, czy co tam jeszcze Clio sugerowała. Jednak nie zdołała powiedzieć nic więcej.

Wiedziałam, że się ze mną zgodzisz. - Siostra Madeleine złapała wiatr w żagle. - A najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że zwierzęta są o wiele bardziej prostoduszne niż my. Naprawdę nie wiem, dlaczego dobry Pan Bóg uznał ludzi za swoich wybrańców. Ani nie jesteśmy w połowie tak dobrzy, ani nie umiemy tak kochać jak one. Staruszek Whiskers, pies, którego siostra Madeleine ocaliła od niechybnej śmierci, jaką ktoś wyszykował mu w worku ciśniętym do jeziora, podniósł na nią oczy. Najwyraźniej rozumiał, iż pustelnica chwali zwierzęta. Zupełnie tak, jakby wyczuł zmianę w tonie jej głosu. Na znak aprobaty wyraźnie mruknął. Whiskers się ze mną zgadza. A jak się miewa Farouk, twój piękny, szlachetny kocur?

Dobrze, proszę siostry. Dlaczego siostra nie przyjdzie go odwiedzić?

Przecież mnie znasz. Nie przepadam za składaniem wizyt. Wystarczy mi sama świadomość, iż Farouk ma się

dobrze i krąży po Lough Glass jak po swoich włościach.

I tak się to skończyło. Rozmawiały o Farouku, o Whiskersie, o rodzaju ludzkim i byłoby dużym nietaktem wracać do tematu stanowiącego główny powód wyprawy przez wysypane liśćmi ścieżki, którą Kit przedsięwzięła, by odbyć samotne spotkanie z pustelnicą.

* * *

- Co słyszeć, Kit?

Wszystko dobrze, proszę pani, dziękuję. Lilian Kelly cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się przyjaciółce córki. Dziewczynka była bardzo urodziwa: miała burze czarnych, kręconych włosów na głowie i zaskakująco niebieskie oczy. Wyrastała na piękność nie mniejszą niż jej matka.

Powiedz mi jedno, Kit, czy nie macie czasem z Clio na pieńku?

Na pieńku? - oczy Kit miały podpadająco niewinny

33

wyraz. Powtórzyła ten zwrot w zadumie, jakby nie rozumiała, co właściwie znaczy.

- No wiesz, do tej pory zachowywałyście się niczym papużki nierozłączki, a w ostatnich tygodniach nie zbliżacie się do siebie nawet na rzut kamieniem. Szkoda, przecież są wakacje. - Umilkła, czekając na reakcję dziewczynki.

Jednak niczego konkretnego się nie doczekała.

- Nie pokłóciłyśmy się. Słowo daję.

- Wiem, Clio powiedziała mi to samo. - Pani Kelly wyraźnie widziała, że Kit chce jak najszybciej odejść. - Własnej matki na ogół się nie słucha, więc może dlatego posłuchasz mnie. Jesteście sobie potrzebne, ty i Clio.

Żyjemy w małym miasteczku i dobrze jest mieć kogoś bliskiego. Bez względu na to, o jakie głupstwo poszło, za chwilę przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Kit, dobrze wiesz, gdzie mieszkamy. Zajrzyj do nas wieczorem, dobrze?

- Clio też wie, gdzie mieszkam.

- Niech nas Bóg chroni przed takimi uparciuchami. Cóż to będzie za pokolenie... - pani Kelly westchnęła dobrodusznie i odeszła.

Kit odprowadziła ją wzrokiem. Doktorowa była duża, zwalista i ubierała się bez żadnych fanaberii. Tego dnia miała na sobie kretonową sukienkę w drobny kwiecisty rzucik, wykończoną białymi mankietami i białym kołnierzykiem. Niosła koszyk na zakupy. Wyglądała jak uosobienie macierzyństwa z obrazka w książce dla dzieci.

Zupełnie inaczej niż mama Kit - wiotka, ubrana w jaskrawe zielenie, szkarłaty, szafiry i dziwnie zwiewne sukienki. Tak, mama Kit zdecydowanie bardziej przypominała tancerkę niż matkę.

Kit siedziała na drewnianym pomoście. Tuż obok niej cumowała łódź, ale żelazna zasada zabraniała komukolwiek samotnie wypływać na jezioro.

Kiedyś pewna kobieta utopiła się podczas samotnej eskapady. Było to dawno, lecz ludzie wciąż o tym mówili. Przez rok nie udawało się odnaleźć jej ciała i przez ten rok dusza topielicy nawiedzała

34

jezioro, wołając: „Szukajcie w trzcinach! Szukajcie w trzcinach!” Wszyscy o tym wiedzieli. To wystarczyło, żeby od samotnych wypraw na jezioro odstręczyć nawet najbardziej nieustraszonych, nawet chłopców.

Kit z zazdrością przyglądała się, jak starsi od niej uczniowie odwiązują łódkę, ale i tak za nic w świecie nie poszłaby po Clio, udając, że nic się nie

stało. Bo przecież się stało.

Dni dłużyły się niemiłosiernie. Nie miała z kim rozmawiać. Samotne wyprawy do siostry Madeleine nie wydawały się Kit na miejscu. W końcu do pustelnicy zawsze chodziły razem z Clio i tylko jeden jedyny raz wybrała się do niej sama, kiedy chciała poznać prawdę. Siostra Madeleine na pewno wiedziała, po co Kit wtedy przyszła. Rita ciągle pracowała, a kiedy miała wolną chwilę, od razu siadała nad książką. Tata był zajęty, a mama... mama... Mama oczekiwała, że Kit będzie bardziej samodzielna, mniej od niej zależna. Kit zdobywała się na to bez trudu, gdy miała przy sobie Clio. Może pani Kelly miała jednak rację? Może są sobie potrzebne, ona i Clio?

Ale i tak nie wybierze się do Kellych.

Usłyszała za sobą czyjeś kroki i poczuła drżenie desek pomostu. To Clio. Niosła dwa herbatniki oblewane mleczną czekoladą, ich ulubione.

- Za żadne skarby nie przyszedłbym do twego domu, tak samo jak ty nie przyszedłabyś do mnie. Ale to jest teren neutralny, prawda? - zaczęła.

Kit zawahała się.

- Tak - odparła, wzruszając ramionami.

- Możemy chyba rozmawiać z sobą tak jak przed awanturą? - Clio chciała, żeby warunki rozejmu zostały jasno określone.

- Przecież nie było żadnej awantury - zauważyła Kit. - Tak, wiem. Ale powiedziałam coś głupiego o twojej mamie. - Zapadła cisza. Clio chciała ją jak najszybciej przerwać. - Prawda jest taka, że zrobiłam to z zazdrości.

Chciałabym, żeby moja mama wyglądała jak gwiazda filmowa. Kit sięgnęła po herbatnik Club Milk.

- Skoro jesteśmy we dwie, możemy wziąć łódkę - skonstatowała.

I tak skończyła się awantura, której nigdy nie było.

Jak co roku podczas letnich wakacji brat Healy przyszedł do zakonu na naradę z siostrą Bernard. Mieli wiele spraw do omówienia i rozprawiając o nich, doskonale się dogadywali. Trzeba było zaplanować kalendarz prac na przyszły rok, mimo trudności znaleźć świeckich nauczycieli odznaczających się głębokim powołaniem do pracy, przedyskutować istotną kwestię rozwyrzenia i braku dyscypliny wśród młodzieży, poutyskiwać na jej skłonność do oglądania filmów stanowiących namiastkę prawdziwego życia, jakim żyło się w Irlandii. Przy okazji tego corocznego spotkania siostra Bernard i brat Healy tak zgrywali rozkład lekcji w obu szkołach, by dziewczęta wychodziły do domu o innej porze niż chłopcy, dzięki czemu młodzi przedstawiciele obu płci mieli mniej okazji do niepotrzebnych zażyłości.

Po latach współpracy byli ze sobą tak zaprzyjaźnieni, że mogli już nawet wspólnie ponarzekać na zbyt długie kazania księdza Baily'ego. Zgodnie przyznawali, iż brat Baily wyraźnie upaja się własnym głosem. Utyskiwali też na nadmierną miłość, jaką dzieci darzyły niesforną siostrę Madeleine. Było w tym coś w najwyższym stopniu irytującego, że ta dziwaczka, osoba o mętym i nie do końca wyjaśnionym pochodzeniu, nieoczekiwanie zajęła tak poczesne miejsce w sercach i umysłach dzieci z Lough Glass, które były gotowe zrobić dla pustelnicy wszystko. Chętnie zbierały dla niej znaczki, srebrne papierki, chrust. Pewnego dnia chłopcy podnieśli wielki rwetes, kiedy brat Healy rozdeptał pająka. W klasie omal nie doszło do buntu. A byli to przecież ci sami młodzieńcy, którzy ledwie

kilka lat temu dla zabawy wyrywali muchom skrzydełka.

Siostra Bernard stwierdziła, że pustelnica Madeleine okazuje światu nadmierną tolerancję, że dla każdego - nie wyłączając nawet wrogów Kościoła - ma dobre słowo. Kiedyś powiedziała jakimś podatnym na wpływy dziewczętom, iż komuniści, dążący do równego podziału bogactw

36

tego świata, mogą kierować się całkiem rozsądnymi przekonaniem.

Siostra Bernard uznała, że jest to poważny i zupełnie niepotrzebny kłopot. Ale nie tylko dzieci pozostawały pod jej wpływem - przypomniał podniesionym głosem brat Healy. Nie, nie, nie tylko one. Urokowi siostry Madeleine ulegał nawet tak, zdawałoby się, inteligentny człowiek jak aptekarz Martin McMahon. Brat na własne uszy słyszał, jak McMahon radził pani Sullivan, której biedny Billy został odwieziony do zakładu zamkniętego, by udała się po radę do pustelnicy i poprosiła ją o dobry, uspokajająco-nasenny wywar.

- Jeszcze trochę i będziemy musieli walczyć z czarną magią - zgodziła się żarliwie siostra Bernard.

Zauważyli też zgodnie, że Martinowi wyszłoby na zdrowie, gdyby więcej uwagi poświęcał swojej miastowej żonie. Brat Healy miał świadomość faktu, iż pograża się w niegodne duszpasterza plotkarstwo. Zdawała też sobie z tego sprawę siostra Bernard. Zaczęli nerwowo szurać papierami i na tym spotkaniu zakończyli.

Milczeniem pominęli fakt, że Helen McMahon, niepokojąco urodziwa kobieta, zbyt często spaceruje samotnie, trącąc gałązką tarniny gęste żywopłoty, jest zbyt często zamyślona, nieobecna duchem, jakby nie miała nic wspólnego z Lough Glass i jego mieszkańcami.

Była środa. Martin McMahon z westchnieniem ulgi zamykał aptekę. Lep pokrywała gruba warstwa martwych much. Wiedział, że musi go szybko wynieść, zanim Kit czy Emmet zrobią mu wykład na temat bożych stworzeń i okrucieństwa wabienia much w śmiertelną pułapkę.

Cieszył się, że Clio i Kit przeszły wreszcie do porządku dziennego nad dziecinadą, która je poróżniła na ładnych

kilka tygodni. Dziewczynki w tym wieku tak bardzo brały sobie do serca różne sprawy, iż trudno się było w tym wszystkim połapać. Pytał Helen, czy powinni się wtrącić, próbując pogodzić małe przyjaciółki, ale Helen stwierdziła, że lepiej tę sprawę zostawić własnemu biegowi. I jak zwykle miała rację.

Przewidywania Helen prawie zawsze się sprawdzały.

37

Mówiła, iż Emmet poradzi sobie z wadą wymowy i z czasem przestanie się przejmować tym, że go przedrzeźniają i wyśmiewają. Tak się też stało. Wszyscy zgodnie uważali Ritę za dziewczynę umysłowo upośledzoną i tylko jedna Helen dojrzała w niej ukryte zdolności. Wiedziała też, iż Billy Sullivan popija w warsztacie, kiedy nikt inny nie miał o tym zielonego pojęcia. A wiele lat temu, jeszcze przed ślubem, powiedziała Martinowi, że nigdy nie pokocha go całą duszą, ale postara się kochać go jak najmocniej. To mu, rzecz jasna, nie wystarczało, lecz mógł mieć tylko tyle albo nic. Kiedy ją poznał, kochała innego i nie robiła z tego tajemnicy. Ostrzegła Martina, że nie chce mu robić nadziei, bo jest już uczuciowo zaangażowana. Zgodził się na nią czekać. Znajdował też coraz więcej pretekstów, by jeździć do Dublina i umawiać się z nią. Stopniowo stali się

sobie bliscy. Nigdy nie wspominała przy nim o mężczyźnie, który porzucił ją dla kobiety z majątkiem.

Na jej policzkach coraz częściej gościł rumieniec. Martin zapraszał ją do siebie do domu... nad jezioro... do ludzi, wśród których żył... A ona przyjeżdżała do Lough Glass i spacerowała z nim nad wodą.

- Być może nie jest to dla ciebie miłość największa na świecie, ale dla mnie zawsze taka będzie - powiedział pewnego dnia.

Stwierdziła, że są to najpiękniejsze oświadczenia, jakie może złożyć mężczyzna. Tak, wyjdzie za niego za mąż. Mówiąc to, westchnęła.

Obiecała mu, że z nim zostanie, a jeśli kiedykolwiek go opuści, wyjaśni mu, dlaczego to zrobiła, i gdyby kiedykolwiek miało do tego dojść, to tylko z bardzo ważkiego powodu. Mówiła też, iż niebezpiecznie jest znać kogoś nazbyt dobrze. Ludzie muszą mieć swoje odskocznie, miejsca, dokąd podróżują w myślach i gdzie przebywają tylko sami ze sobą.

Oczywiście zgodził się z nią. Była to cena, jaką płacił za to, że została jego żoną. Niemniej ubolewał, iż Helen tak często błądzi gdzieś daleko myślami, i naprawdę bardzo pragnął, by zarzuciła spacerowanie nad jeziorem, na które chodziła bez względu na pogodę. Odpowiadała mu, że uwielbia

38

te swoje przechadzki, bo oglądanie jeziora o każdej porze roku bardzo ją uspokaja. Wiedziała różne rzeczy o życiu mieszkających nad wodą zwierząt. Czuła się tam jak w domu, wszystkich wokół znała.

Pewnego razu powiedziała mu nawet, że cudownie byłoby mieć chatkę podobną do chatki siostry Madeleine, domek, przed którego drzwiami pluskałyby fale.

Roześmiał się.

- Nie sądzisz, że nawet to mieszkanko jest trochę za ciasne dla naszej gromadki? Jak zatem byśmy żyli w pustelniczej chatce? - zapytał.

- Nie miałam na myśli nas wszystkich - odrzekła. - Myślałam tylko o sobie.

Tego dnia była bardziej nieobecna duchem niż zwykle. Nie zastanawiał się, co chciała mu powiedzieć, za bardzo się tego bał.

Martin otworzył frontowe drzwi, mieszczące się tuż obok wejścia do apteki. Schody prowadziły prosto na górę do mieszkania, które nazywali domem, choć Kit skarżyła się, iż są jedynymi znanymi jej ludźmi mającymi dom bez parteru.

Rita nakrywała do stołu.

- Pani nie będzie na kolacji. Mam przekazać, że zobaczy się z panem, jak pan wróci z golfa.

Był zawiedziony i nie potrafił tego ukryć.

- Kobiety też muszą mieć czas tylko dla siebie - Kit postanowiła bronić matki.

- Tak, naturalnie - zgodził się nazbyt gorliwie. - A dzisiaj jest środa, więc wszyscy oprócz Rity mamy wolne popołudnie. Wybieram się na golfa z ojcem Clio. Jestem w fenomenalnej formie, położę go na łopatkę. Widzę już te strzały. Głowę daję, że wyjdzie mi kilka wróbelków, orzeł, kto wie, może nawet albatros...

- Dlaczego nadajecie im nazwy ptaków? - zapytał Emmet.

- Pewnie dlatego, że piłka szybuje jak ptak, a w każdym razie powinna... Siadajcie już, dzisiaj ja będę mamą - oznajmił i zaczął nakładać jagnięcy gulasz na talerze.

Uświadomił sobie, że występuje w tej roli coraz częściej. Nie rozumiał, dlaczego Helen nie uprzedziła go, że wieczorem chce wyjść z domu.

Gdzież się ona, u licha, podziewa?

Z pola golfowego rozciągał się piękny widok na jezioro. Ludzie mówili, że to jedno z najpiękniejszych pól golfowych w całej Irlandii. Choć trochę równiejsze niż wielkie pola golfowe na wschodnim wybrzeżu, było bardzo zróżnicowane, z rozległymi, falistymi trawnikami i kępami drzew. No i to jezioro, zawsze widoczne jezioro, tego dnia ciemnoniebieskie, niemal całkowicie pozbawione cieni.

Peter Kelly i Martin McMahon przystanęli, żeby odpocząć, i znad ósmego dołka spojrzeli na pagórki. Nigdy nie było tu tłoku, nikomu nie przeszkadzali. Zawsze mieli czas, by spojrzeć na Lough Glass i na jezioro.

- Oho, wrócili druciarze. - Peter wyciągnął rękę, wskazując kolorowe dachy wozów taboru na odległym brzegu jeziora.

- Są jak wędrowne ptaki, prawda? Zawsze wracają tą samą drogą i o tej samej porze roku.

- Straszne życie dla dzieci - zauważył Peter. - Trafiają do mnie albo pokasane przez psa, albo z odłamkami metalu w rękach. Serce ścisnęłoby ci się na ich widok.

- Do mnie też zagląдают, tyle że bardzo rzadko. Często mówię im, że wiedzą więcej ode mnie. - Martin parsknął śmiechem. Rzeczywiście, nieraz powtarzał, iż stara Madeleine i drużyna przejezdnych stworzyli znakomitą linię obrony przed stosowaniem powszechnie uznawanych lekarstw.

- Niektórzy z nich są bardzo urodziwi. Wpatrując się w dal, Peter wyteżył wzrok. Nad brzegiem

jeziora spacerowały dwie kobiety. Martin powędrował oczami za spojrzeniem przyjaciela, po czym jak na komendę wrócili do przerwanej gry. Wyglądało na to, że obaj pomyśleli to samo. Jedna z kobiet znad jeziora była bardzo podobna do Helen McMahan, ale żaden z nich nie chciał tego przyznać.

* * *

40

Clio powiedziała Kit, że w taborze druciarzy jest pewna kobieta, która przepowiada przyszłość, która wie wszystko, co ma się wydarzyć. Ale oczywiście siostra Bernard gotowa była ukamienować każdą uczennicę, która ośmieliłaby się pójść do tej czarownicy.

Ciekawe, co by na to powiedziała siostra Madeleine - zastanawiała się Kit. To był doskonały pomysł. Siostra Madeleine nie widziała wszystkiego tylko w białych albo tylko w czarnych barwach.

Uradowane, zboczyły ze ścieżki i udały się w kierunku pustelniczej chatki. Siostra Madeleine uznała, że przewidywanie przyszłości jest całkiem możliwe; twierdziła, że niektórzy mają dar jasnowidzenia.

Jak sądzisz, ile pieniędzy trzeba by było jej dać? Wystarczyłyby trzy pensy? - myślała głośno Kit.

Moim zdaniem nie. A co siostra sądzi, proszę siostry? - Clio była podekscytowana. Za tydzień miała urodziny. Może uda im się zdobyć pieniądze jeszcze przed odjazdem taboru. Jakie to cudowne znać swoją przyszłość!

Ku ich rozczarowaniu siostra Madeleine nie była zachwycona projektem.

Pustelnica nigdy nikomu nie mówiła, żeby coś zrobił albo czegoś nie robił, nie używała takich słów jak "głupie" czy „niemądre”, nie wspominała o grzechu ani złych postępkach. Po prostu spojrzała na dziewczynki oczyma płonącymi w ogorzałej, pomarszczonej twarzy i to jej spojrzenie powiedziało im wszystko.

Niebezpiecznie jest znać przyszłość. W ciszy, jaka zapadła po tym stwierdzeniu, zarówno Clio jak i Kit poczuły na plecach zimny dreszcz. Ucieszyły się, kiedy Whiskers wstał i nie wiadomo z jakiego powodu zawył głucho i przeciągle.

Rita szła cichutko ścieżką do chatki Madeleine. Niosła książkę z wierszami i jeszcze ciepłe, niedawno wyjęte z pieca kruche ciasto. Zdziwiła się, słysząc dochodzące z chatki głosy. Pustelnica nie miewała gości w czasie przeznaczonym na lekcje.

41

Rita już chciała zawrócić, ale powstrzymał ją głos siostry Madeleine:

- Wejdz, Rito, wejdz. Napijesz się z nami herbaty.

Gościem pustelnicy okazała się wróżka z taboru druciarzy. Rita poznała ją rok wcześniej. Dała jej wtedy pół korony i usłyszała, iż jej życie ulegnie dużym zmianom. Dowiedziała się, że będzie miała siedem razy więcej ziemi niż jej ojciec, co dawało prawie dwadzieścia hektarów. Wróżka przepowiedziała też, że życie Rity będzie wypełnione nauką i książkami i że poślubi mężczyznę, który aktualnie przebywa za dużą wodą.

Powiedziała również, iż dzieci urodzone z tego związku będą trudne, choć nie widziała jasno, czy kłopoty będą wynikać z ich zdrowia, czy z ich charakteru. Rita usłyszała także, że po śmierci spocznie na dużym cmentarzu, nie zaś przy małym kościółku w Lough Glass.

Było coś niesłychanie ekscytującego w wyprawie do wróżki przepowiadającej przyszłość tylko nad wodą. Nie lubiła wróżyć w pobliżu obozu, między ludźmi, z którymi przyjechała. Podobno nie chcieli, żeby wróżyła, gdyż robiła to nazbyt dobrze. Słuchając jej, Rita była skłonna w to uwierzyć. Wróżka mówiła pewnym, spokojnym głosem. A przepowiednie o nauce i o książkach zaczęły się już sprawdzać. Zarówno wtedy, jak i teraz Ritę uderzyło fizyczne podobieństwo między kobietą z taboru a jej panią. Gdyby ktoś ujrzał Cygankę i panią McMahon w słabym świetle, mógłby je z powodzeniem wziąć za rodzone siostry. Przez chwilę się zastanawiała, co też właściwie ta kobieta robi u siostry Madeleine, ale wiedziała, że nigdy tej tajemnicy nie zgłębi.

- Rita czytuje ze mną wiersze - wyjaśniła siostra Madeleine, uznając, iż nic więcej dodawać nie potrzeba.

Kobieta skinęła głową, jakby właśnie tego oczekiwała. Z jej twarzy biła niezachwiana pewność, że inne rzeczy, które przepowiedziała, też się spełnią.

I nagle Rita stwierdziła z lekkim niepokojem, iż i ją ogarnia owa pewność. Nagle uwierzyła, że istotnie, gdzieś za dużą wodą mieszka jej przyszły mąż, że pewnego dnia zostanie panią na dwudziestu hektarach, że będzie miała swoje własne pieniądze. Uwierzyła w dzieci, które przysporzą

42

jej kłopotów, pomyślała o grobie, w którym spocznie w wielkim mieście pośród setek innych krzyży.

Kobieta cicho wyszła.

Moja ciemnowłosa Rosaleen - zaproponowała siostra Madeleine. - Czytaj ładnie i powoli. Zamknę oczy i będę to sobie wyobrażała.

Rita stanęła w blasku słońca, lejącym się z okienka zastawionego doniczkami geranium, które znosili goście pustelnicy.

U jej stóp kręciły się kurczątki, a ona czytała:

Moja ciemnowłosa Rosaleen! Moja Rosaleen!

Pocieszysz twe serce, da nadzieję, Da ci zdrowie, pomoc i nadzieję, Moja ciemnowłosa Rosaleen! *

* J.C. Mangan, My Dark Rosaleen! w przekładzie tłumaczki.

Prawda, że cudowny? - zachwyciła się siostra Madeleine. Rita roześmiała się rozradowana, że przeczytała wiersz bez dukania.

- Bardzo pięknie, Rito. I już nigdy nie chcę słyszeć, że nie umiesz czytać poezji.

Wie siostra, o czym myślałam?

Nie. O czym? Odplynęłaś myślą w dal. Tak to bywa przy czytaniu wierszy.

Pomyślałam sobie, że gdyby mały Emmet zaczął do nas tu przychodzić...

Emmet McMahon?

Tak, i gdyby siostra dawała mu do czytania sonety, to może wyleczyłaby go siostra z jąkania.

Tego leczyć nie umiem.

Mogłaby mu siostra kazać czytać. On w szkole nie czyta, bo za bardzo się wstydzi.

Z kolegami potrafi się dogadać, ale nie znosi, kiedy w klasie podchodzi do niego brat Healy.

Tak samo było, gdy chodził do zerówki. Ze strachu czerwieniał na twarzy.

Musiałby zechcieć mnie odwiedzać. Inaczej te wizyty stałyby się dla niego torturą.

- Opowiem mu, jakich czarodziejskich rzeczy potrafi siostra dokonać.
- Wiesz, o czarach lepiej tyle nie mówić. Ludzie mogliby w nie jeszcze uwierzyć.

Rita od razu zrozumiała, o co chodzi. Niektórzy mieszkańcy Lough Glass spoglądali na starą pustelnicę bardzo podejrzliwie. Nie wierzyli, że siostra Madeleine pochodzi w prostej linii od Boga. Szeptali po kątach, iż ci, którzy uprawiają ziołolecznictwo i pradawną sztukę uzdrawiania, mogą czerpać wiedzę od sił Bogu przeciwnych. Słowo „szatan” nigdy głośno nie padło, ale wisiało w powietrzu.

* * *

Dan O'Brien stał w drzwiach i spoglądał to w górę, to w dół ulicy. Terminarz zajęć w hotelu „Centralnym” nigdy nie był aż tak bardzo napięty, żeby Dan nie zdołał kilka razy dziennie wyjść przed budynek i sprawdzić, co się dzieje w mieście. Jak wiele miast w Irlandii Lough Glass składało się z jednej długiej ulicy. Pośrodku stał kościół, a na obu jej końcach znajdowały się strategicznie rozmieszczone klasztory - klasztor braci i klasztor sióstr - dzięki czemu uczniowie i uczennice obu przyklasztornych szkół mieli małe szanse na przypadkowe spotkania. Pomędzy zakonami wyrosły sklepy, domy i warsztaty sąsiadów Dana O'Briena. Wszystkie zbudowano frontem do tej samej ulicy, jedynej ulicy w mieście, przy której usytuowany był i jego hotel. Stojąc w drzwiach, można się było dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Na przykład tego, że gdy tylko Billy Sullivan został zamknięty w zakładzie, jego dwaj synowie wrócili do domu. Rodzina udawała, iż pojechali w odwiedziny do wuja, żeby pomóc mu w gospodarstwie, ale wszyscy wiedzieli, że Kathleen odesłała dzieci, aby nie patrzyły na

awantury pijanego ojca i nie wychowywały się w niezdrowej atmosferze. Przebywanie w domu nie mogło wyjść chłopcom na dobre.

Dzieci nic nie zawiniły, że urodziły się w takiej rodzinie. A trzeba przyznać, iż obaj chłopcy byli całkiem przystojni,

44

bardzo podobni do Billy'ego z czasów, kiedy twarz jeszcze nie nabrzmiała mu od alkoholu i zanim zrobił się tak ordynarny, że trudno było rozpoznać w nim dawnego Sullivana.

Teraz będę przynajmniej dotrzymywać towarzystwa ładnej Kathleen.

Stevie miał już pewnie ze szesnaście lat,

a Michael był z tego samego rocznika co syn Dana, Philip.

Philip go nie lubił. Mówił, że Michael Sullivan to zabijaka, który w każdej chwili gotów jest wszcząć bójkę.

Ty też byłbyś taki, gdybyś się wychowywał pod dachem jego ojca - powiedział Dan O'Brien. - Nie wszystkim szczęście dopisało tak jak tobie.

Philip spojrział na niego z powątpiewaniem. Bo też młodzi nigdy nie są zadowoleni z tego, co mają.

Dan obserwował leniwe życie miasta w letnie popołudnie. W Lough Glass nikt się nigdy donikąd nie spieszył. Nawet w dzień targowy panowała dość senna atmosfera. A w upale, jaki tego dnia panował, ludzie ruszali się dwa razy wolniej niż zwykle.

Widział, jak Clio Kelly i Kit McMahon, trzymając się pod ręce i nie zważając na nikogo, ćwiczą na chodniku kroki jakiegoś tańca. Miał wrażenie, że nie dalej jak kilka miesięcy temu obie dziewczynki szalały ze skakanką, a teraz wyraźnie szykowały się do balu. Miały po dwanaście lat, tyle samo co Philip, i był to bardzo niespokojny wiek.

Dostrzegł też stateczną siostrę Bernard w towarzystwie młodszej zakonnicy.

Na jej twarzy malowało się wyraźne niezadowolenie.

Jej podopieczne nawet podczas wakacji nie powinny traktować ulicy jak miejsca do ćwiczenia głupich pląsów.

Wyczuły, że nadchodzi, i natychmiast przestały błażnować.

Dan uśmiechnął się pod nosem na widok skruszonych minek obu huncwotek.

Chciałby mieć córkę, ale po urodzeniu Philipa żona nie czuła się na siłach, aby sprostać następnej ciąży.

Przecież mamy syna. To ci nie wystarcza? - pytała Mildred. Ponieważ nie mieli w planie następnego dziecka, nie było mowy o małżeńskiej miłości. Uznała to za zupełnie oczywiste.

45

Dan O'Brien westchnął, a wzdychał bardzo często. I pomyśleć, że mógłby wieść normalne małżeńskie życie, jak... jak wszyscy dookoła. Jego wzrok padł na Martina McMahona, który właśnie przechodził przez ulicę, zmierzając do warsztatu mechanicznego Sullivana. Mężczyzna o sprężystym kroku i mąż szalenie atrakcyjnej kobiety. Pomyśleć tylko, iż niektórzy brali takie Heleny na górę do sypialni, zaciągali zasłony i... Postanowił przestać się nad tym zastanawiać, bo za bardzo go to frustrowało.

Matka przełożona i brat Healy omawiali jesienne rekolekcje. Czasami księża misjonarze, którzy przyjeżdżali, aby je prowadzić, zupełnie nie radzili sobie w szkole. Jednak tego roku do Lough Glass miał przyjechać słynny ksiądz John, na którego kazania schodziły się setki wiernych.

Ludzie przybywali z odległych miejsc kraju tylko po to, żeby go posłuchać. W każdym razie tak matce przełożonej i bratu Healy'emu opowiadał ksiądz Baily.

- Ciekawe, czy ten ksiądz John potrafi zapanować nad bandą naszych hultajów - powątpiewał brat Healy. Mogło się okazać, że słynny kaznodzieja za bardzo buja w obłokach, przynajmniej jak na gust brata Healy'ego.

- Albo czy się połapie, kiedy nasze pannice zrobią go w balona. - Matka przełożona miała sokole oko i umiała wytropić każdą rozrabiającą andruskę.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle nad tym dyskutujemy. Tego rodzaju decyzje i tak zawsze zapadają bez naszego udziału, czyli za plecami ludzi, którzy wiedzą najlepiej, jak powinny wyglądać rekolekcje.

Często zadawali sobie pytanie, dlaczego rozprawiają o rzeczach, na które i tak nie mają wpływu, ale w głębi serca wiedzieli, że te dyskusje uwielbiają. Jako wychowawcy i nauczyciele młodzieży z Lough Glass jednoczyli siły, stawiając czoło nieczułemu światu.

W głębi duszy matka przełożona uważała, iż brat Healy wie o łatwym życiu. Chłopcy są przecież prostolinijni i mało skomplikowani. Nie mają w sobie przebiegłości, jaką odznaczają się dziewczęta. Natomiast brat Healy żył w głębokim przekonaniu,

46

że to zupełna łatwizna zajmować się małymi dziewczynkami w mundurkach. Małe dziewczynki nie piszą brzydkich słów w szopie na rowery i nie nabijają sobie sińców podczas bójek na szkolnym podwórku. A jednak oboje zgodnie wątpili, czy ksiądz John, ten niezwykły

kaznodzieja, potrafi zająć uwagę i umysły ich podopiecznych z miasteczka nad jeziorem.

Na dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego wszystkie dzieci zebrały się nad wodą, radując się ostatnimi godzinami Wolności i choć jęczały, jakie to straszne, że muszą wracać do znienawidzonych sal szkolnych, niejedno przyjęło z ulgą • fakt, iż wakacje wreszcie się skończyły.

Jednym z tych, którzy cieszyli się z powrotu do szkoły, był Philip O'Brien. Zwłaszcza jemu trudno było zapłacić wolny czas. Ilekroć zostawał w hotelu, ojciec zawsze znajdował mu jakąś robotę: a to wycieranie kieliszków, a to czyszczenie popielniczek.

Emmett McMahon nie mógł się już doczekać, by popisać się przed kolegami, do jakiego stopnia zapanował nad wadą wymowy. Kilka tygodni z siostrą Madeleine odmieniło go nie do poznania. Pewnego dnia spytał ją nawet, czy nie mogliby przeczytać kilku wierszy ze szkolnych wypisów, może przemówią do niego tak samo jak te, które mu podsuwała. Bo te od Madeleine dawało się czytać sercem.

- Dlaczego brat Healy tak nas nie uczy? - zapytał pustelnicę.

Nie umiała mu tego wyjaśnić. Uparcie twierdziła, że brat Healy uczy ich tak samo. Ale takie tłumaczenie wcale go nie zadowalało.

Clio Kelly nie chciała wracać do szkoły. Szkoły miała po dziurki w nosie. Już dość się nauczyła. Teraz chciała się zapisać do szkoły artystycznej w Londynie.

Pragnęła nauczyć się śpiewać i tańczyć, i marzyła, żeby pewnego dnia odkrył ją jakiś miły starszy pan z własnym teatrem.

tymczasem Anna, młodsza siostra Clio, bardzo się cieszyła z rozpoczęcia szkoły. Otóż Anna popadła w niełaskę rodziców. Upierała się, że widziała

ducha. Twierdziła, iż widziała płaczącą kobietę. Nie była pewna, co ta kobieta

47

mówiła, ale zdawało się jej, że powtarzała: „Szukajcie w trzcinach! Szukajcie w trzcinach!” Zupełnie nieoczekiwanie tata bardzo się na nią rozzłościł i zarzucił jej chęć zwrócenia na siebie uwagi.

- Przecież naprawdę ją widziałam! - łkała Anna.

- Nie, wcale jej nie widziałas. I przestań o tym rozpowiadać. I bez twojej gadaniny mamy w mieście dosyć hysterii. To doprawdy głupie i niebezpieczne pokazywać prostym ludziom, że taka wykształcona dziewczynka jak ty wierzy w podobne bzdury.

Nawet mama nie okazała w tej sprawie zrozumienia. A Clio chodziła zadzierając nosa, jakby chciała wszystkim w rodzinie powiedzieć: „A nie mówiłam, jaka ta Anna jest okropna!”

Kit McMahon wracała do szkoły z wielką chęcią. Obiecała, że w tym roku weźmie się do nauki. Złożyła tę obietnicę podczas jedynej naprawdę udanej - od niepamiętnych czasów - rozmowy z mamą.

Było to w dniu, kiedy dostała pierwszej w życiu miesiączki. Mama zachowała się wspaniale i mówiła dokładnie to, co trzeba. Zachwycała się, że Kit jest już kobietą, i tym, że to cudownie być kobietą w Irlandii właśnie teraz, gdy dokoła tyle możliwości i tyle wyborów.

Kit miała w tej kwestii pewne wątpliwości. Lough Glass nie było miejscem, które mogło natchnąć myślą o nieokiełznanym, swobodnym życiu. Zastanawiała się, na czym ma też polegać ów nieograniczony wybór możliwości. Ale mama mówiła najzupełniej poważnie. Twierdziła, że wraz z nastaniem lat sześćdziesiątych nie będzie takiej rzeczy, której kobieta nie

mogłaby robić. Nawet teraz ludzie zaczynali się już przyzwyczajać do myśli, że kobieta może prowadzić interesy.

Wystarczyło spojrzeć na biedną Kate Sullivan z naprzeciwka. Napełniała ropą zbiorniki traktorów i wydawała polecenia kierowcy cysterny, gdy przyjeżdżał ze świeżym zapasem paliwa. Jeszcze kilka lat temu żaden z mężczyzn nie słuchałby poleceń kobiety. Każdy wolałby załatwiać sprawy z pierwszym lepszym mężczyzną, z kimś nawet tak niekompetentnym jak Billy Sullivan.

48

Ale wszystko zależy od tego, czy jesteśmy gotowe te możliwości wykorzystać. Obiecasz mi, iż bez względu na to, co się kiedyś stanie, będziesz się przykładała do nauki? Pewnie, że tak - odparła niecierpliwie Kit. Dlaczego każda rozmowa musiała się kończyć na szkole? Jednak tym razem dostrzegła w twarzy matki coś, co sprawiło, iż obietnica zabrzmiała inaczej niż zwykle.

Usiądź koło mnie, weź mnie za rękę i obiecaj, że nigdy tego dnia nie zapomnisz. To dla ciebie bardzo ważny dzień, dodatkowo go zaznaczmy. Niechaj będzie to dzień, w którym obiecałaś swojej mamie, iż zrobisz wszystko, by jak najlepiej przygotować się do życia. - Kit patrzyła na matkę nic nie rozumiejącym wzrokiem. - Wiem, że to zabrmi jak stara śpiewka, ale... ale gdybym tylko miała twoje lata, uczyłabym się jak wariatka. Och, Kit, gdybym tylko wiedziała...
- na twarzy matki pojawił się wyraz udręki.

Kit była mocno zaniepokojona.

Gdybyś co wiedziała? Mamo, o czym ty mówisz? Czego nie wiedziałaś? Że wykształcenie daje wolność. Że daje zawód, miejsce w świecie, pozycję w społeczeństwie... Że można wtedy robić to, na co ma się ochotę. Ale ty przecież robiłaś to, na co miałaś ochotę, prawda?

Wyszłaś za tatę i urodziłaś nas? - buzia Kit musiała mocno poblednąć, gdyż wyraz twarzy mamy uległ gwałtownej zmianie.

Tak, tak, oczywiście. - Mama głaskała ją po policzku i koła. Zupełnie jak wtedy, gdy tłumaczyła Emmetowi, że w ciemnościach nie kryją się żadne demony, czy też wtedy, gdy nakłaniała Farouka, by wyszedł z kryjówki za kanapą.

Więc dlaczego chciałabyś...?

Nie chciałabym tego dla siebie. To moje marzenie dla ciebie, córeczko.

Żebyś zawsze mogła wybierać, żebyś nigdy nie musiała robić czegoś tylko dlatego, iż nie ma innego wyjścia. Mama trzymała ją za rękę.

Powiesz mi coś? Ale tak całkiem szczerze? - zapytała Kit.

Oczywiście.

49

- Czy ty jesteś szczęśliwa, mamo? Często chodzisz smutna. Na pewno chcesz być z nami?

- Kocham cię, Kit, i kocham Emmeta całym sercem. Wasz tata jest najszlachetniejszym i najlepszym mężczyzną pod słońcem. To szczerza prawda. Nigdy bym nie umiała okłamać ani jego, ani was. - Mama patrzyła jej prosto w oczy. Nie wyglądała w zamyśleniu przez okno, jak się to często zdarzało.

Kit odczuła ulgę.

- To znaczy, że nie jesteś ani smutna, ani zmartwiona?

- Powiedziałałam, iż nigdy bym cię nie okłamała i nigdy tego nie zrobię. Czasami bywam smutna i samotna w tym małym miasteczku. Nie kocham go tak bardzo, jak kocha je wasz tata. On się tu wychował, zna tu każdy kamień. Czasami mam wrażenie, że oszaleję, jeśli codziennie będę widywać Lilian Kelly, codziennie wysłuchiwać, jak Kathleen Sullivan utyskuje na trudy życia w warsztacie, a Mildred O'Brien cierpi z powodu kurzu w powietrzu. Ale sama wiesz, jak to jest... Ty też masz czasem dosyć Clio i szkoły. - Mama potraktowała ją jak osobę dorosłą.

Powiedziała jej prawdę. - Wierzysz mi teraz, Kit?

- Wierzę - odparła Kit, i naprawdę jej wierzyła.

- Więc zapamiętaj, że bez względu na to, co się stanie, twoją przepustką do świata jest wykształcenie i zawód, bo tylko wtedy będziesz mogła dokonywać wolnych wyborów.

To była wspaniała rozmowa i Kit poczuła się o niebo lepiej. Tylko jedno ją trochę niepokoiło, tylko jednym się trochę martwiła. Dlaczego mama aż dwukrotnie użyła słów: „Bez względu na to, co się stanie”? Zupełnie jakby widziała przyszłość. Jak siostra Madeleine. Albo jak ta Cyganka z taboru nad jeziorem.

Ale wkrótce przestała się nad tym zastanawiać. Było tyle innych tematów do rozmyślań. No i czy to nie cudowne, że wyprzedziła Clio i pierwsza dostała miesięczkę? To był naprawdę dzień wielkiego triumfu.

* * *

Doktor Kelly zjawił się, kiedy Martin zamykał aptekę.

- Jestem prawdziwym ucieleśnieniem pokusy. Pójdiesz ze mną na kufelek?

W innym miasteczku doktor i aptekarz chodziliby na kieliszeczek do hotelowego baru, który z pewnością oferował wyższy standard usług, ale bar u O'Briena był tak ciemny i mroczny, że Martin i Peter zdecydowanie woleli bardziej swojską i pogodną atmosferę knajpy Paddlesa. Zaszyli się w kącie.

Potrzebujesz rady? - Martin spojrzał pytająco na przyjaciela i przechylił głowę na bok. Tak naprawdę sądził, że Peterowi zależy wyłącznie na towarzystwie.

Chodzi o Annę. Zaczyna mnie martwić. Wciąż powtarza, że wszyscy są przeciw niej i że naprawdę widziała płaczącą topielicę.

- W tym wieku wszystko nabiera dramatycznych wymiarów - pocieszał go Martin.

Wiem, wiem, jak mógłbym nie wiedzieć! Ale umiem też wyczuć, kiedy ktoś mówi prawdę.

Chyba nie wierzysz, że Anna widziała ducha? Nie ducha, ale z pewnością coś widziała. Martin był głęboko zakłopotany. Nie wiedział, jakiej reakcji Peter od niego oczekuje. Pamiętasz ją? Kogo?

Tę Birdie Daly, Brigid Daly, czy jak jej tam było. Tę, która się utopiła.

Jak miałbym ją pamiętać! Byliśmy wtedy dziećmi. Jak wyglądała?

Nie mam zielonego pojęcia. Kiedy to było? Tyle lat temu.

W dwudziestym roku. Peter, mieliśmy wtedy po osiem lat. Miała długie ciemne włosy? Widzisz, Anna mówi o tym z takim przekonaniem, że... A ty? Co o tym sądzisz?

Zastanawiam się, czy ktoś się czasem nie przebiera, by straszyć dzieci.

Hm, jeśli tak, to udało mu się nastraszyć nie tylko dzieciaka, ale i ojca.

Peter parsknął śmiechem.

Masz rację. To chyba zupełna bzdura. Ale bardzo

51

bym się niepokoił, gdyby ktoś straszył nam dzieci. Anna ma wiele wad, przyznaję to z ręką na sercu, ale uważam, że naprawdę widziała coś, co ją przestraszyło.

- A jak tę kobietę opisała?

- Znasz dzieci. Odnoszą wszystko do tego, co dobrze znają. Powiedziała, że topielica przypominała twoją Helen.

Starsze dziewczęta ze szkoły przyklasztornej miały odbyć osobne spotkanie z księdzem Johnem, co znaczyło, że panienki od dwunastolatek aż po piętnastolatki usłyszą coś, co nie było przeznaczone dla uszu ich młodszych koleżanek.

Annę zżerała ciekawość.

- To będzie o dzieciach? - pytała.

- Prawdopodobnie - odparła wyniośle Clio.

- Ja i tak już wszystko o dzieciach wiem - rzekła wyzywająco Anna.

- Szkoda, że kiedyś nie wiedziałam o nich wystarczająco dużo, żeby cię udusić, póki byłaś mała - powiedziała szczerze Clio.

- Obie z Kit myślicie, że jesteście strasznie mądre, a jesteście po prostu głupie - odparowała Anna.

- Wiem, wiem. Nie widzimy duchów i nie dręczą nas nocne koszmary. To okropne.

Wreszcie udało im się jej pozbyć. Usiadły na niskim murku przed warsztatem mechanicznym Sullivana. Murek przed warsztatem stanowił doskonały punkt obserwacyjny, bo widziały stąd całe Lough Glass i jeśli tylko siedziały spokojnie, nikt nie mógł mieć do nich pretensji, że

przeszkadzają.

- To cud, iż Emmet jest taki normalny. Jak na chłopca, no i w ogóle - oświadczyła z podziwem Clio.

W głębi serca Kit uważała, że Anna Kelly też byłaby znośniejsza, gdyby Clio choć od czasu do czasu zwracała się do niej bez pogardy w głosie.

- Taki się już urodził - odrzekła. - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek sprawiał kłopoty. Nikt na niego nie krzyczał z powodu wady wymowy. To pewnie dlatego.

- Za to na Annę krzyczeli za mało - zauważyła ponuro Clio. - Jak myślisz, o czym ten ksiądz będzie mówił? O tym, jak się robi dzieci?

52

Chybabym umarła.

A ja umrę, jak o tym nie powie - oznajmiła Clio

i obie wybuchnęły tak gromkim śmiechem, że ojciec Philipa

O'Briena wyszedł przed hotel i zajął tradycyjną pozycję

w drzwiach, skąd spoglądał na dziewczynki z wyraźną

dezaprobatą.

Tematu, z jakim ksiądz misjonarz John zamierzał zwrócić się do starszych dziewcząt ze szkoły przyklasztornej Lough Glass, nigdy nie poznano, tak się bowiem akurat złożyło, iż jego wizyta zbiegła się z gorącą dyskusją, która bardzo dziewczynki wzburzyła. Chodziło o Judasza, a głównie o to, czy Judasz smaży się w piekle, czy nie. Uznano, że matka przełożona nie jest wystarczająco dobrym arbitrem w tej kwestii.

Uczennice nalegały, aby to ksiądz John rozsądził spór. Biedne żarliwie wierzyły, iż Judasz trafił do piekła.

Czyż Chrystus nie powiedział, że lepiej by było, gdyby ten człowiek nigdy

się nie narodził?

A to na pewno znaczy, iż jest teraz w piekle. Równie dobrze może to znaczyć, że przez kolejne tysiąclecia jego imię będzie symbolem zdrajcy i człowieka sprzedajnego i właśnie to jest dla niego kara za zdradę swojego Pana, prawda? Nieprawda, to byłyby tylko wyzwiska. Kamienie i kije przetrąca ci szyję, ale żadna głowa nie spadła od słowa. Ksiądz John przyglądał się młodym twarzom, rozgorączkowanym dyskusją i zaczerwienionym z podniecenia. Już od dawna nie słyszał tak ożywionego dyskursu.

Ale Chrystus nie mógł go sobie wybrać na przyjaciela, wiedząc, że Judasz go zdradzi i pójdzie za to do piekła. To przecież znaczyło, iż Jezus Chrystus szykował na niego łapkę!

Przecież Judasz wcale nie musiał go zdradzić! Zrobił to tylko dla pieniędzy!

A na co im były pieniądze! I tak chodzili wszędzie z grupą.

Tyle że to się już kończyło. Judasz dobrze wiedział, że ich dni są policzone, dlatego to zrobił!

53

Ksiądz John przywykł do tego, że dziewczynki, przebierając z zażenowania nogami, pytają go, czy całowanie się po francusku jest grzechem powszednim, czy śmiertelnym, a potem bez dyskusji przyjmują każdy werdykt. Rzadko kiedy stawał wobec pytań i debat dotyczących tak kosmicznych problemów jak wolna wola oraz przeznaczenie.

Usiłował wyjaśnić im tę kwestię zgodnie z własną wiedzą, co niestety nie mogło zakończyć dyskusji żadnym przesądzającym sprawę dowodem.

Powiedział więc, iż jego zdaniem, jak w każdej sytuacji, należałoby

skorzystać z przywileju wątpliwości, że Bóg w swej nieskończonej łaskawości uznał to za stosowne... Dodał również, iż trzeba pamiętać, że nikt z nas nie zna serca grzesznika, nikt też nie wie, jakie słowa padają między Stwórcą a człowiekiem w chwili jego śmierci.

Po spotkaniu ksiądz John rozluźnił nieco koloratkę i spytał matkę przełożoną, skąd u dziewcząt zainteresowanie takimi sprawami.

- Może któryś z mieszkańców Lough Glass targnął się na życie?

- Nie, nie - zaprzeczyła siostra Bernard. - Nic z tych rzeczy. Ksiądz wie, iż dziewczęta potrafią czasem nabić sobie czymś głowę. - W głosie matki przełożonej brzmiały rozwaga i pewność.

- Tak, ale one przejawiają niezwykle ożywione zainteresowanie. Czy siostra wie na pewno, że nie miał tu miejsca żaden przypadek samobójstwa?

- Dawno, dawno temu, na długo przed przyjściem na świat którejkolwiek z nich, mieszkała tu pewna nieszczęsna kobieta, która znalazła się w wiadomym stanie. Tubylcy uważają, że odebrała sobie życie. Mam wrażenie, iż prości chłopcy wymyślili nawet opowieść o jej duchu lub o czymś równie bzdurnym. Może właśnie to zaprzęta dziewczęcą wyobraźnię? - Matka przełożona zacisnęła usta na znak niezadowolenia, że musi mówić o samobójstwie i o pozamałżeńskiej ciąży, w dodatku przed obcym księdzem.

- Owszem, to całkiem możliwe. Zauważyłem dwie małe dziewczynki, siedzące wraz z młodszymi w pierwszym rzędzie

54

ławek: jedna jest bardzo jasna, druga kruczowłosa. Te dwie dyskutowały najzarliwiej, rozważając kwestię, czy ci, którzy odbierają sobie życie,

powinni spoczywać w poświęconej ziemi, czy też nie. Siostra Bernard westchnęła. - To na pewno Cliona Kelly i Mary Katherine McMahon. Gotowe, by w księdza wpierać, iż białe jest czarne.

Hm, dobrze o tym wiedzieć - mruknął ksiądz John i wrócił do kaplicy, gdzie stanowczo oznajmił dziewczętom, że odbieranie sobie życia jest odbieraniem bożego daru, co stanowi jeden z dwóch wielkich grzechów przeciwko Nadziei, dlatego nikt, kto się tego czynu dopuścił, nie zasługuje na pochówek na chrześcijańskim cmentarzu.

Nawet wówczas, gdy skołatany umysł człowieka... - zaczęła blondynka w pierwszej ławce.

Nawet wówczas - uciał kategorycznie ksiądz John. Był już zupełnie wykończony, a czekało go jeszcze spotkanie w szkole dla chłopców. Musiał ich przecież poważnie ostrzec przed pułapkami nadużywania alkoholu i samogwałtu.

Ksiądz John zastanawiał się czasem, czy jego nauki w ogóle czemuś służą. Jednak zawsze przypominał sobie na czas, że tego rodzaju wątpliwości ocierają się o grzech przeciwko Nadziei. A tego musiał się wystrzegać.

Rozdział drugi.

- Ty nie masz prawdziwych kuzynów - skostatowała Clio.

Leżały na kozetkach w jej pokoju.

- O Boże, czego się tym razem czepiłaś? -jęknęła Kit. Z nosem utkwionym w czasopiśmie czytała artykuł na temat zmiękczenia skóry dłoni.

- Nigdy nie odwiedzają was kuzyni i w ogóle nikt się u was nie zatrzymuje.

- A po co mieliby się u nas zatrzymywać? Przecież wszyscy

McMahonowie mieszkają w promieniu kilkunastu kilometrów stąd. - Kit westchnęła. Clio potrafiła być szalenie uciążliwa.

- Do nas zawsze przyjeżdżają ciotki, kuzyni i rozmaici inni ludzie z Dublina.

- A ty zawsze mówisz, że ich nie cierpisz.

- Lubię ciotkę Maurę.

- Tylko dlatego, że za każdym razem, kiedy przyjeżdża, daje ci szylinga.

- A ty wcale nie masz ciotek - nie dawała za wygraną Clio.

- Och, Clio, daj spokój. Pewnie, że mam ciotki. Kim, twoim zdaniem, są ciocia Mary i ciocia Margaret?

- To tylko żony braci twojego taty.

- Mam jeszcze siostrę taty w zakonie w Australii. Ciotka jak się patrzy.

Tylko trudno, żeby przyjeżdżała do nas w odwiedziny, wracała do siebie, znowu przyjeżdżała i za każdym razem dawała mi szylinga, nie uważasz?

- Twoja mama nie ma żadnej rodziny. - Clio zniżyła głos.

56

- To kobieta, która nie ma swoich. - Powiedziała to w taki sposób, że Kit domyśliła się, iż przyjaciółka powtarza zasłyszane słowa.

Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała, rozzłoszczona nie na żarty.

To, co słyszałaś.

Oczywiście, że mama ma rodzinę. Ma nas. To my jesteśmy jej rodziną.

To trochę osobliwe, że nic poza tym.

Nie ma w tym nic osobliwego. Z jakiegoś powodu ciągle się jej czepiasz, a miałaś dać temu spokój.

To ty się lepiej uspokój.

Nie uspokoję się i wracam do domu. - Kit zeskoczyła z kozetki. Clio

wpadła w panikę.

Nie chciałam powiedzieć nic złego.

To po co w ogóle mówiłaś? Co za kretynka mówi rzeczy, których nie chce powiedzieć?

Ja tylko mówiłam...

Co mówiłaś?

Już sama nie wiem...

Ja też nie. - Kit wybiegła z pokoju.

Już wychodzisz? Tak wcześnie? - U stóp schodów stała mama Clio. Pani Kelly zawsze wyczuwała, kiedy Clio i Kit się kłóciły.

- Chciałam wam zanieść kruche ciasto - powiedziała. Wielu awanturom udawało się zapobiec dzięki podanemu w porę poczęstunkowi. Ale nie tego dnia.

Clio na pewno chętnie zje, ale ja już muszę wracać - oświadczyła Kit.

Przecież jest jeszcze tak wcześnie!

Moja mama może się czuć samotna. Widzi pani, ona

jest kobietą, która nie ma swoich. - Kit postanowiła być

Dzielna do granic możliwości. Ciemnoczerwony rumieniec

na policzkach i szyi pani Kelly potwierdził, iż trafiła bardzo

celnie. Wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi, i stwierdziła

z uśmiechem, że Clio zbyt dużo ciasta na pewno nie dostanie.

Dobrze jej tak - pomyślała z satysfakcją. Mam nadzieję,

iż pani Kelly odgryzie jej nos.

57

Mamy nie było w domu. Rita oznajmiła, że pani wyjechała na jeden dzień do Dublina.

- A po co? - zapytała Kit.
 - A czy my nie chciałybyśmy się tam wybrać? - odrzekła Rita.
 - Ja na pewno nie. Nikogo tam nie mam - odparła Kit.
 - W Dublinie są miliony ludzi - zauważył Emmet.
 - Tysiące - poprawiła go zamyślona Kit.
 - No więc? - ciągnął Emmet.
 - No więc nic - Kit nie chciała o tym mówić. - Co czytałeś z siostrą Madeleine?
 - Williama Blake'a. Siostra Madeleine dostała od kogoś jego wiersze i bardzo się jej podobają.
 - Znam tylko jeden wiersz Blake'a, Tygrysa.
 - Napisał ich od groma. Tygrys jest w naszych wypisach, ale Blake napisał tysiące wierszy.
 - Może raczej dziesiątki - poprawiła go Kit. - Może. To powiedz któryś.
 - Nie pamiętam żadnego.
 - Nie daj się prosić. Przecież wciąż je powtarzasz.
 - Znam taki jeden o grajku... - Emmet podszedł do okna, stanął przy nim tak jak w chatce pustelnicy i popatrzył przed siebie.
- "Zagraj piosenkę o Baranku!" Zagrałem ją radośnie, śmiało. "Zagraj mi znów to samo, grajku!" Zagrałem; dziecię zapłakało*.

* William Blake, Pieśni niewinności w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Był z siebie taki dumny. „Grajku”, „zagraj”, „zagrałem” - trudno to było wymówić, zwłaszcza że słowa te tyle razy się powtarzały. Siostra Madeleine musiała być naprawdę genialna, skoro udało się jej Emmeta wyleczyć.

Kit nie zauważyła, że w czasie recytacji do kuchni wszedł tata. Ale Emmet ani razu się nie potknął. Jego wiara w siebie

58

była zadziwiająca. I gdy tak siedzieli w ten wrześnieowy wieczór, Kit przeniknął nagle zimny dreszcz. Doznała wrażenia, że mama w ogóle nie należy do rodziny, że ich rodzina składa się tylko z niej, Emmeta, taty i Rity. I że mama już do nich nie wróci.

Wróciła. Zziębnięta i zmęczona. W pociągu wysiadło ogrzewanie i psuł się po drodze aż dwa razy. Jak było w Dublinie?

- Głośno, tłoczno i wszyscy dokądś pędzili. Właśnie dlatego mieszkamy w Lough Glass - tata promieniał szczęściem.

Właśnie dlatego mieszkamy w Lough Glass - powtórzyła bez entuzjazmu mama.

Kit wpatrywała się w ogień płonący w kominku.

Jak dorosnę, to chyba zostanę pustelnicą - oznajmiła nieoczekiwanie.

Samotne życie na pewno by cię nie cieszyło. To życie dla takich dziwaczek jak ja.

- To siostra jest dziwaczką?

Jestem dość... osobliwa. Czy to nie śmieszne słowo: "osobliwa"? Kiedyś rozmawiałam o tym z Emmetem. rozmyślaliśmy nad tym, skąd się wzięło. Kit przypomniała sobie, iż właśnie tego słowa użyła Clio, mówiąc, że mama nie ma swojej rodziny.

Czy jako dziecko czuła się siostra urażona, kiedy ludzie mówili niepochlebne rzeczy o rodzinie siostry? Nie, moja droga, nigdy. To jak się siostra broniła?

Chyba uważałam, że każdy, kto zarzuca cokolwiek mojej rodzinie, popełnia błąd. - Kit milczała. - Tak jak popełniliby błąd ci, którzy chcieliby zarzucić coś twojej rodzinie.

Wiem - bąknęła Kit bez przekonania.

Twój tata jest jednym z najbardziej szanowanych obywateli trzech okolicznych okręgów. Okazuje biedakom serce. Można nawet powiedzieć, że jest u nas drugim pastorem. Twoja mama jest bardzo dobra i bardzo czuła.

59

Miałam dużo szczęścia, iż dane mi było ją poznać. Twoja mama ma duszę poetki i kocha piękno...

Zapadła cisza, więc po chwili pustelnica wróciła do przerwane go wątku.

Trudno było cokolwiek wyczytać z jej twarzy, nikt by nie odgadł, o czym naprawdę myślała. Mówiła spokojnie i z namysłem:

- Naturalnie, ludzie wygadują różne rzeczy z zazdrości, bo sami nie znajdują w sobie oparcia. I ponieważ sami są niespokojni, wyładowują się na innych. Są niczym ci, którzy biją kijem w żywopłot i utracają główki pięknym kwiatom, nie wiedząc, dlaczego to robią...

Głos siostry Madeleine hipnotyzował. Kit miała wrażenie, iż pustelnica wie wszystko o Clio. Może Clio się jej zwierzyła? Kto to mógł wiedzieć?

- I często bywa tak, że ten, kto bezmyślnie ściał główki kwiatom, potem tego żałuje, tylko nie potrafi swego żalu wyrazić.

- Wiem - powiedziała Kit. Cieszyło ją, iż siostra Madeleine uważa jej mamę za człowieka o dobrym, kochającym sercu, za kobietę o duszy poetki. Postanowiła, że w odpowiedniej chwili wszystko Clio wybaczy. Pod warunkiem, iż Clio należycie ją przeprosi.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała Clio.
- W porządku.
- Nie, to wcale nie jest w porządku - zaproponowała Clio. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłam ani dlaczego wciąż to robię. Pewnie dlatego, że chcę być lepsza od ciebie albo coś w tym rodzaju. Szczerze mówiąc, sama siebie za to nie lubię.
- A ja nie lubię się gniewać - oznajmiła Kit.

Ich rodziny wyraźnie odetchnęły. Każde nieporozumienie między dziewczynkami wprowadzało niepokój. Podobnie jak grzmot, jak obłok zwiastujący srogą burzę.

Czasem trudniej jest zanieść komuś wieść o śmierci, która jest w zasadzie śmiercią bez znaczenia, niż zawiadomić kogoś o śmierci niosącej ze sobą głęboki smutek i ból.

Peter Kelly przystanął, aby zaczerpnąć tchu przed wejściem

60

do domu Kathleen Sullivan. Szedł do niej z wiadomością, że jej mąż uległ chorobie wątroby, która podobnie jak choroba mózgu - bezpośrednia przyczyna jego pobytu w zakładzie - toczyła go od wielu lat. Wiedział, że przy tej okazji nie padną zwyczajowe słowa żalu ani pocieszenia.

Wiedział, że tego rodzaju misje nigdy nie były łatwe.

Kathleen Sullivan przyjęła wiadomość z kamienną twarzą, a Stevie, jej przystojny starszy syn, który nieraz poczuł na sobie twardą pięść ojca i z własnej woli wyjechał na farmę wuja, wzruszył ramionami.

Dla nas on umarł już dawno temu, doktorze - powiedział. W młodszym synu, Michaelu, walczyły sprzeczne uczucia. Ojciec będzie miał pogrzeb?

- zapytał. Naturalnie - odparł doktor Kelly. Nie będzie żadnego pogrzebu - oświadczył niespodziewanie Stevie.

- Nie będzie żałoby ani całej tej szopki. Matka była zaszokowana.

Przecież musi być jakiś pogrzeb... - zaczęła. Wyglądało na to, że wszyscy czekają, aż doktor Kelly zajmie w tej sprawie stanowisko. Jak to już nieraz bywało, doktor Kelly zastanawiał się, co uczyniło zeń wyrocznię w tego rodzaju kwestiach.

Stevie, chłopak pewnie już szesnastoletni, spojrzał mu prosto w oczy.

Pan nie jest hipokrytą, doktorze Kelly. Pan nie chciał przecież urządzać szopki. Na twarzy chłopca malowała się siła i determinacja. Być może te sześć czy siedem lat, o które skrócono mu dzieciństwo, były dla niego nie tylko dobrą szkołą życia, ale i niemałą ceną, jaką musiał zapłacić. Nie powinno się go zmuszać do uczestnictwa w dętej ceremonii. Sądzę, że można będzie załatwić cichy pogrzeb w zakładzie. W podobnych przypadkach często się tak robi. W nabożeństwie bierze udział tylko najbliższa rodzina. a wiem, iż ksiądz Baily może to zorganizować. Kathleen Sullivan spojrzała na niego z wdzięcznością. Dobry z pana człowiek, doktorze. Żałuję, że wszystko się tak potoczyło. - Rysy jej stwardniały. - Nie mam do

61

kogo pójść po słowa pociechy czy współczucia. Wszyscy powiedzą, iż dobrze się stało, jak się stało, bo wreszcie mamy święty spokój.

- Wiem, co ma pani na myśli, Kathleen. - I rzeczywiście tak było. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet on nie jest w stanie znaleźć słów pocieszenia i współczucia dla wdowy, nie zdobędzie się na nie żaden inny mieszkaniec Lough Glass. - Zawsze może pani zajrzeć do siostry Madeleine. Ona na

pewno panią pocieszy.

Wsiadł do samochodu i patrzył, jak Kathleen Sullivan, w płaszczu i w chustce na głowie, wychodzi z domu, by zgodnie z jego radą skręcić na ścieżkę wiodącą nad jezioro.

W drodze powrotnej minął Helen McMahan, która szła z rozwianymi na wietrze włosami. Wiatr był zimny, a ubrana w wełnianą sukienkę Helen nie miała na sobie płaszcza. Była czymś ożywiona, podekscytowana.

Zatrzymał samochód.

- Może cię podrzucić? Nogi trochę odpoczną. Uśmiechnęła się i kolejny raz uderzyło go, jak bardzo

jest piękna. Czasem o tym zapominał i nie dostrzegał urody, która niegdyś

- tam, w Dublinie - łamała im wszystkim serca. Helen, dziewczyna o idealnej twarzy. Helen, która ze wszystkich mężczyzn na towarzysza życia wybrała akurat Martina McMahona.

- Nie, Peter, uwielbiam spacerować w takie wieczory. Czuję się taka wolna... Widzisz ptaki nad jeziorem? Prawda, że są wspaniałe?

To ona była wspaniała. Miała roziskrzzone oczy i rozpromienioną twarz.

Zapomniał już o tym, iż jak na kobietę tak wiotką miała niezwykle zmysłowe kształty. Jej piersi rozsadzały niebieską wełnę sukienki. Doznał prawdziwego wstrząsu, gdy uświadomił sobie, że Helen McMahan jest w ciąży.

- Peter, co się stało?

- Wciąż mnie o to pytasz - odparł rozeźlony. - O co ci chodzi, Lilian?

- Nie odzywasz się przez cały wieczór. Nic tylko siedzisz i gapisz się w ogień.

Myślę.

Widzę. Chcę tylko wiedzieć, o czym. A cóż to znowu? Jesteś wielkim inkwizytorem, czy żoną? Nie wolno mi już myśleć bez twojej zgody? - burknął. Widział, jak w oczach Lilian zaślniły łzy, jak jej pulchna twarz pokrywa się zmarszczkami. Był niesprawiedliwy. W ich związku było miejsce na pytania i o uczucia, i o myśli, zachował się wobec Lilian jak prawdziwy potwór. Otwarcie to przyznał.

Pytałam tylko dlatego, że jesteś taki zafrasowany - powiedziała prawie udobruchana Lilian.

Zastanawiam się, czy dobrze poradziłem Kathleen Sullivan, żeby pogrzeb Billy'ego odbył się w zakładzie -

odparł Peter i na wpół słuchając opinii żony, usiłował rozważyć wszelkie implikacje, jakie niosła ze sobą ciąża Helen McMahon. Wyczuwał w tym wszystkim coś dziwnego.

Nie było powodu, dla którego Helen i Martin nie mieliby się zdecydować tak późno na dziecko. Co prawda Helen musiała mieć już jakieś trzydzieści siedem albo trzydzieści osiem lat, a większość okolicznych kobiet w tym wieku na pewno nie myślałaby o dziecku. Peter poczuł się nieswojo. Przypomnił sobie strzępki zasłyszanych rozmów, które dopiero teraz poważnie go zaniepokoiły. Clio mówiła, że rodzice Kit sypiają w oddzielnych pokojach. Martin wspomniiał kiedyś u Paddlesa stare dobre czasy i mówił o kochaniu się w taki sposób, jakby miłość fizyczna była dla niego przeszłością. A i sama Helen po urodzeniu Emmeta napomknęła, że synek nie będzie miał młodszych braci ani sióstr. Wszystko to tworzyło w jego głowie zwariowaną układankę. Układankę zupełnie zwariowaną, bo gdyby na ten przykład przypuścić - przypuścić czysto teoretycznie - że

strzępki informacji dają prawdziwy obraz sytuacji, to któż, u licha, miałby być ojcem dziecka Helen, jeśli nie był nim Martin McMahon?

Martin usłyszał kroki na schodach. Wstał i podszedł do drzwi saloniku.

Helen? Tak, kochanie.

63

- Szukałem cię. Słyszałaś o biednym Billym Sullivanie?

- Tak, Dan mi mówił. Sądzę, iż w pewnym sensie to prawdziwe błogosławieństwo. Było wiadomo, że mu się nie polepszy.

- Jak sądzisz, czy powinniśmy do nich zajrzeć? - Martin zawsze był dobrym sąsiadem.

- Nie. Kathleen i tak nie ma, są tylko chłopcy. Wstąpiłam do nich po drodze.

- Tak długo cię nie było...

- Spacerowałam. Wieczór jest tak piękny. Powiedzieli mi, że Kathleen poszła do siostry Madeleine. Dobrze zrobiła. Siostra Madeleine zawsze wie, co powiedzieć.

- Więc byłaś i w hotelu?

Na twarzy Helen odbiło się zdumienie.

- Mój Boże, skądże znowu! Po co miałabym tam chodzić?

- Mówiłaś, że Dan ci powiedział o Billym.

- Przecież Dan wiecznie stoi w progu i plotkuje nawet z wiejskimi kundlami. Nie, jak ci mówiłam, spacerowałam nad jeziorem.

- Dlaczego zawsze spacerujesz sama? Dlaczego nie chcesz, żebym ci towarzyszył?

- Przecież wiesz. Chcę porozmyślać w ciszy i spokoju.

- Ale o czym tu myśleć? - zdumiony, patrzył na nią nic nie rozumiejącym

wzrokiem.

- Jest tyle rzeczy, które chcę przemyśleć, że sama się w nich gubię...

- To dobre rzeczy? Te... te, o których rozmyślasz? - jego pytanie zabrzmiało strachliwie, jakby żałował, iż w ogóle je zadał.

- Musimy porozmawiać... Musimy... - spojrzała na drzwi, jakby sprawdzała, czy nikt ich nie podsłuchuje.

Martina ogarnął niepokój.

- Nie ma o czym rozmawiać. Chciałem tylko wiedzieć, czy jesteś szczęśliwa, nic więcej.

Helen głęboko westchnęła.

- Och, Martinie, ile razy mam ci powtarzać. Nie byłam ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa. I nic nie mogłeś na to poradzić. Gdybyś nawet próbował, miałyby to ten sam skutek co prośba o zmianę pogody.

64

Patrzył na nią zdruzgotany. Na twarzy miał wypisane, że zdaje sobie sprawę z tego, iż w ogóle nie powinien był o nic pytać.

Ale teraz wszystko się odmieniło. Teraz wszystko wygląda inaczej. A my zawsze byliśmy wobec siebie uczciwi,

a uczciwość znaczy zdecydowanie więcej niż to, co łączy wiele innych małżeństw. - Helen mówiła tak, jakby ofiarowywała mu okruchy pocieszenia.

Chyba łączy nas coś więcej niż tylko uczciwość? - Wyszeptał z nadzieją.

Tak, naturalnie, ale ponieważ nigdy cię nie okłamałam, dobrze wiesz, że gdyby zdarzyło się coś istotnego, na pewno bym ci o tym powiedziała.

Martin zrobił krok do tyłu, wystawiając przed siebie ręce, jakby pragnął odgrodzić się od wszelkich wyjaśnień. Na twarzy Helen pojawił się wyraz

udręki. Nie mógł tego widoku znieść.

Nie, kochanie, nie miałem racji - powiedział.

- Przecież masz prawo spacerować sama. Nad jeziorem czy gdziekolwiek indziej. Co ja wyrabiam, dlaczego tak cię przesłuchuję? Zamieniam się w starą siostrę Bernard, do tego o parę lat za wcześnie, ot co.

Chcę ci powiedzieć wszystko... -jej twarz była bez wyrazu.

Ciii, czyżby nie dość się już wydarzyło jak na jeden wieczór? Wystarczy, że ten biedak z naprzeciwka udał się na spotkanie ze Stwórcą... Martin...

Przerwała mu, ale on nie miał zamiaru rozmawiać. Ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Gdy przy nim stanęła, mocno opasał ją ramionami.

Kocham cię, Helen - powtarzał raz po raz, szepcząc w jej włosy.

Wiem. Wiem, Martinie, dobrze o tym wiem... - wymruczała.

Żadne z nich nie zauważyło Kit, która niewidoczna w cieniu korytarza mijiała otwarte drzwi. Na chwilę przystanęła,

po czym poszła do swego pokoju. Tej nocy długo leżała w łóżku,

nie mogąc zasnąć. Nie wiedziała, czy to, co zobaczyła,

było znakiem bardzo dobrym, czy też bardzo złym.

65

W każdym razie na pewno nie wyglądało na to, żeby mama była nieokiełznana i swobodna, czy jeszcze tam jakaś, do czego wiecznie piła Clio Kelly.

Halloween wypadło w piątek i Kit chciała zorganizować przyjęcie. Ale wszystko wskazywało na to, że mama nie ma ochoty.

- Jeszcze nie wiemy, co będziemy robić - zaproponowała nieszczercze.

- Oczywiście, że wiemy. - Kit poczuła się dotknięta jej nieuczciwością. -

To będzie piątek. Jak w każdy piątek będziemy jeść jajecznicę z ziemniakami, a ja chciałam zaprosić tylko kilka koleżanek...

Kiedy mama się odezwała, wyglądała tak jakoś inaczej. I akcentowała każde słowo, jakby miał zwyczajnie rozmawiać przekazywała wiadomość albo czytała ogłoszenie.

- Wierz mi, Kit, wiem, co mówię. Nie możemy przewidzieć, co będziemy robić w Halloween. Nie pora myśleć o zabawach i przyjęciach. Zdażysz się jeszcze wybawić. Ale nie teraz.

Zabrzmiało to bardzo ostatecznie. I bardzo przerażająco.

- Czy w Halloween naprawdę przychodzą duchy? - zapytała Clio.

- Dobrze wiesz, że nie ma żadnych duchów - odparła siostra Madeleine.

- No to dusze.

- Dusze są zawsze wokół nas. - Siostra Madeleine była zaskakująco wesoła. Wyglądało na to, że nie ma najmniejszego zamiaru być tak dramatyczna jak Clio.

- I siostra się ich nie boi? - naciskała Clio, próbując wprowadzić do rozmowy element strachu.

- Nie, dziecko, ani trochę. Jak można bać się czyjejś duszy? Dusze są ludziom przyjazne. Zostaje tu życie, które niegdyś w nich istniało, pamięć o tym życiu...

To zabrzmiało całkiem obiecująco.

- A tutaj, wokół jeziora, tu też są jakieś dusze?

- Naturalnie. Dusze tych, którzy to miejsce kochali i którzy tutaj żyli.

- I umarli?

66

- I umarli, oczywiście.

A czy dusza Birdie Daly też krąży gdzieś nad jeziorem?

Birdie Daly?

Tej kobiety, która wołała: „Szukajcie w trzcinach!” Tej, która miała urodzić dziecko, a nie miała męża.

Jak na gust siostry Madeleine w głosie Clio za dużo było podniecenia i zwykłego plotkarstwa. Uważnie przyjrzała się dziewczętom.

Moje drogie, czy wydajecie przyjęcie z okazji Halloween? Kit nie odpowiedziała. Clio głucho jęknęła.

- Kit miała zorganizować zabawę, ale wszystko zostało odwołane.

Powiedziałam tylko, że może ją zorganizuję - odparowała buńczucznie Kit.

Głupio jest coś prawie obiecać, a potem wycofać się bez wyjaśnień.

Pustelnica przyglądała się Kit ze współczuciem. Dziewczynka wyraźnie się czymś gryzła. Dygresja na temat zabawy w Halloween okazała się niefortunną zmianą tematu.

Widziałyście kiedykolwiek oswojonego lisa? - zapytała siostra konspiracyjnym szeptem.

Przecież lisa nie da się oswoić, prawda? - Clio wiedziała wszystko.

Na pewno nie do tego stopnia, żeby zostawić go wśród kur i kaczek - zgodziła się siostra Madeleine. - Nie mam tu cudownego malucha, którego mogę wam pokazać. Trzymam go w pudle w sypialni. Tu urwisa nie wpuszczę, ale mogę was do niego zaprowadzić.

Sypialnia pustelnicy! Dziewczynki spojrzały na siebie rozradowane. Nikt nie wiedział, co kryje się w pokoju za drzwiami. Topielcy z jeziora, dusze zmarłych i nieprzejednana wrogość sprowokowana odwołaniem zabawy natychmiast odeszły w niepamięć. Dziewczynki wkroczyły do sypialni, a

siostra Madeleine zamknęła za nimi drzwi.

W sypialni stało proste łóżko nakryte śnieżnobiałą narzutą i ograniczone z dwóch stron żelaznymi ramami:

67

większą u wezglowia i mniejszą u stóp. Na ścianie wisiał krzyż, nie krucyfiks. Zwykły, prosty krzyż. Była tam jeszcze komoda bez lustra, a na jej blacie leżał grzebień i różaniec.

Naprzeciwko krzyża stało krzesło i klęcznik. Pewnie na tym klęczniku pustelnica się modliła.

- Bardzo tu schludnie - powiedziała wreszcie Clio, gorączkowo szukając jakiegoś komplementu i znajdując tylko tę jedną jedyną szczerą uwagę, jaka przyszła jej do głowy na widok miejsca, które swą surowością przypominało więzienną celę.

- A oto i nasz chytrusek! - zawołała pustelnica i wyciągnęła kartonowe pudło wymoszczone słomą. W pudle siedział maleńki lis z przekrzywionym na bok łebkiem.

- Jaki cudowny! - wykrzyknęły jednocześnie Clio i Kit, Niezdarnie wyciągnęły ręce, jakby chciały go pogłaskać.

- Ugryzie? - spytała Clio.

- Może troszkę skubnąć, ale jest tak mały, że jego ząbki nie zrobią wam krzywdy. - Inni dorośli z całą pewnością nie pozwoliliby im dotknąć zwierzątka.

- Zostanie u siostry na zawsze? - dopytywała się Kit.

- Ma złamaną łapkę, widzicie? Usiłuję go wyleczyć, bo... nie można pójść z nim do weterynarza. Pan Kenny na pewno by nam nie podziękował, gdybyśmy przyniosły mu lisa.

Siostra Madeleine wiedziała, że ciepłe uczucia, jakimi darzono ją w Lough Glass, na pewno nie będą dotyczyły chorego lisa. Lisy to szkodniki - dusiciele kur, gęsi i małych indyków - dlatego nikt, kto chciałby wyleczyć małego liska, nie mógł liczyć na pomoc ani specjalisty, ani instytucji. Dziewczynki z podziwem oglądały deszczułkę unieruchamiającą drobną łapkę.

- Już niedługo będzie mógł chodzić i biegać, a wówczas wyślemy go na spotkanie tego, co czeka go w życiu. - Pustelnica spojrzała na spiczasty pyszczek ufnie zwrócony w jej stronę i pogłaskała mięciutki łebek.

- Dlaczego siostra chce go wypuścić? - szepnęła Kit. - Ja zatrzymałabym go na zawsze.

- Jego miejsce jest tam, na łonie przyrody. Nie można

68

więzić nikogo, kto chce być wolny. Natura liska żąda swobody.

Ale mogłaby go siostra udomowić. Każde zwierzę i każdy człowiek stworzony do życia na swobodzie prędzej czy później odejdzie.

Kit zadrzała. Miała uczucie, jakby pustelnica zajrzała w przyszłość.

Helen powoli zeszła po schodach i otworzyła drzwi do apteki.

Uśmiechnęła się blado.

Szewe bez butów chodzi... Nie mogę znaleźć aspiryny w łazience -

powiedziała. Pobiegł po szklankę wody i dwie tabletki aspiryny. Musnął ręką jej dłoń. Obdarowała go tym samym bladym uśmiechem.

Nie wyglądasz za dobrze, kochanie. Źle spałaś? - zapytał z czułością.

Rzeczywiście, nie spałam najlepiej. Snułam się po domu...

Mam nadzieję, że nie postawiłam wszystkich na nogi.

Trzeba było przyjść do mnie. Dałbym ci coś na sen.

Wiesz, że nie lubię wzywać cię w środku nocy. Wystarczy, iż nie chcę, byś niepokoił mnie w sypialni. Nie chciałabym budzić w tobie nadziei.

Nadzieja jest wieczna, Helen. Może pewnego dnia? - Jego twarz ożyła.

Helen milczała. - Albo pewnej nocy? - Uśmiechnął się.

Muszę z tobą porozmawiać, Martinie. Zatrokał się. Natychmiast przytknął dłoń do jej czoła. Co się dzieje, kochanie? Masz gorączkę? Nie, nie, nie o to chodzi.

Od niepokoju zognomniały mu oczy.

No więc o co? Powiedz, nie dręcz mnie dłużej... Nie tutaj. To długa historia, bardzo zagmatwana i... Muszę stąd wyjść...

- bladość zniknęła bez śladu, twarz Helen poczerwieniała.

Może wezwiemy Petera?

Nie, obejdziemy się bez niego - warknęła. - Chcę rozmawiać z tobą sam na sam. Pójdiesz ze mną na spacer?

69

- Teraz? To nie będziemy jedli obiadu? Przecież już nakryte. - Helen go zdumiewała.

- Powiedziałam Ricie, że dziś nie będziemy jedli. Zrobiłam ci kilka kanapek. - Miała przy sobie paczuszkę schludnie zawiniętą w pergamin. - Muszę ci coś powiedzieć. - W jej głosie nie było nic złowieszczonego, jednak Martin bał się słów, które miał usłyszeć.

- Posłuchaj, kochanie, jestem człowiekiem pracy. Nie mogę ulegać kaprysom i iść gdzie mnie oczy poniosą - zauważył.

- I tak zamykasz dziś wcześniej.

- Ale mam... mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Może weźmiemy

kanapki na górę i zjemy je z Ritą? Czyż to nie cudowny pomysł?

- Nie chcę z tobą rozmawiać przy Ricie.

- Wiesz co? Myślę, że w ogóle nie powinniśmy rozmawiać. Chodź, zapakuję cię do łóżka i skończymy z tymi głupstwami. - Przemawiał do niej tak, jak przemawiał do dziecka, gdy wyjmował mu drzazgę z palca albo smarował jodyną zadrapane kolano. Jego głos brzmiał kojąco i był pełen otuchy.

Oczy Helen wypełniły się łzami.

- Och, Martinie, co ja z tobą zrobię? Poklepał jej dłoń.

- Uśmiechnij się do mnie. Wszystko na tym świecie można naprawić uśmiechem.

Zmusiła się do uśmiechu, a on otarł jej łzy.

- I co? Nie mówiłem?! - wykrzyknął triumfalnie. Wciąż trzymał ją za rękę, tak że kiedy otworzyły się drzwi i do apteki weszła Lilian Kelly wraz z siostrą Maurą, która jak co roku o tej porze przyjechała z wizytą, Martin i Helen wyglądali jak szczęśliwi małżonkowie zjednoczeni wspólnym sekretem.

- No i proszę! To dopiero recepta na szczęście! Pośród mikstur i nalewek wyglądają jak para narzeczonych! - Lilian roześmiała się.

- Witaj, Helen. Widzę, że w tym roku też nic nie przytyłaś. - Maura, podobnie jak Lilian, była kobietą pulchną. Kipiała energią i świetnie grała w golfa. Pracowała u tresera

70

koni i mówiło się, że wiąże z nim pewne nadzieje. Jednak nadzieje nie chciały się jak dotąd zmaterializować. Mimo choć Maura dobijała już czterdziestki, wciąż była kobietą pogodną i energiczną.

Panie zasiadły na dwóch wysokich krzesłach, które Martin trzymał dla klientów apteki. Znalazła się też popielniczka, gdyż zarówno Lilian, jak i Maura paliły. Paliły gold lakeesy i wymachiwały nimi na wszystkie strony, gestykułując przy komentowaniu tego, co się aktualnie działo.

Martin zauważył, że Helen odsuwa się od dymu.

Może uchylić drzwi? - zaproponował. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Zaziebisz nas na śmierć, Martinie. Chodzi o to, że Helen jest troszkę... - jego głos zabrzmiał bardzo opiekuńczo.

Źle się czujesz? - spytała Lilian ze współczuciem. Nie, nic mi nie jest. Ot, trochę mnie dzisiaj mdli, nie wiem dlaczego.

Może to z najstarszego powodu na świecie? - podsunęła filuternie Lilian. Helen spojrzała jej prosto w oczy.

Nie sędzę - odrzekła ze słabym uśmiechem. Stała na progu apteki, łakomie wdychając zimne powietrze. Nawet jak na koniec października było bardzo chłodno, a nad jeziorem snuła się mgła. Od zimna twarz Helen zaróżowiła się jeszcze mocniej.

Słuchajcie, wpadłyśmy do was, bo chcemy coś przemyśleć w „Centralnym”. Co ty na to, Helen? Martin zamyka dziś trochę wcześniej, a Peter też do nas dołączy. Urządzimy sobie małe święto. Pójdziecie z nami, prawda? Helen spojrzała na męża. Ledwie przed kilkoma minutami wykręcał się od spaceru dziesiątkami obowiązków. Nie mógł wygospodarować ani chwili czasu, żeby po wcześniejszym zamknięciu apteki zostać z żoną sam na sam. A teraz, gdy padła propozycja wspólnego obiadu, wyraźnie miał ochotę iść.

Hm, no nie wiem, naprawdę sam już nie wiem... - mruknął. Helen nie

przyszła mu w sukurs ani jednym słowem.

71

- Tak rzadko bywamy w restauracji... - usiłowała namówić go Lilian.

- Martinie, ja też bardzo nalegam - energicznie włączyła się Maura. -

Chodźcie, zapraszam was. Ja stawiam. Wszystkim. Zrobię to z wielką przyjemnością. - Uśmiechała się do nich promiennie.

- Co ty na to, Helen? - Martin był podekscytowany jak dziecko. - Chodź, zaszalejemy.

Lilian i Maura omal nie zaklaskały z radości.

- Idź, Martinie, bardzo cię proszę. Ja niestety nie mogę... Muszę iść... - machnęła ręką w bliżej nie określonym kierunku.

Nikt nie zapytał, dlaczego nie może do nich dołączyć, ani też dokąd się właściwie wybiera.

W środy bracia, w odróżnieniu od sióstr, kończyli lekcje przed szkolnym obiadem. Emmet McMahon wybrał się do pustelnicy, żeby poczytać z nią Podwaliny starożytnego Rzymu. Mógł jej niestrudzenie opowiadać o tym, jak Horacjusz walczył o utrzymanie mostu. Zamykała wtedy oczy i mówiła, że doskonale tę scenę widzi: oto trzech dzielni młodzieńcy sami odpierają ataki wrogich hord, by na koniec powierzyć swe życie falom Tybru*.

* Według legendy Horacjusz Jednooki (Horatius Cocles) wraz z dwoma wojownikami obronił przed natarciem Etrusków most Sublicius na Tybrze, nie pozwalając wrogom wtargnąć do Rzymu (koniec VI w. p.n.e.). Po zerwaniu mostu rzucił się w pełnej zbroi, ranny w nogę, do Tybru i przepłynął rzekę, docierając do swoich (zob. Joel Schmidt, Dictionnaire de la mythologie grecque et romaine. Librairie Larousse, 1985 - wyd. pol.

Słownik mitologii greckiej i rzymskiej, „Książnica” 1992).

Podeksytowany Emmet też doznał wizji i z wielkim przekonaniem wyrecytował:

- O Tybrze! Ojczy Tybrze! Do ciebie wznosimy modły... - Nagle urwał. -

Dlaczego Rzymianie modlili się do rzeki?

- Uważali, że Tybr jest bogiem.

- Chyba zwariowali!

- Czy ja wiem... - pustelnica zamyśliła się. - To była potężna rzeka, rwąca i spieniona. Pod wieloma względami życiodajna. Niektórzy ludzie mogli widzieć w niej boga. - Siostry Madeleine nic nie mogło zadziwić.

72

Czy może mi siostra pokazać tego małego liska, którego widziała Kit?

Oczywiście, ale najpierw poopowiadaj mi jeszcze o dzielnych

Rzymianach. Uwielbiam o nich słuchać.

I Emmet McMahon, który jeszcze niedawno nie był w stanie wykrztusić przed ludźmi swego imienia i nazwiska,

wstał, by deklamować wersety lorda Macaulaya, tak jakby przyszedł na świat wyłącznie z tą misją.

Kiedy wrócę ze szkoły, w domu będzie już ciocia Maura - powiedziała Clio.

To fajnie - stwierdziła Kit.

Mhm. Obiecała dać nam kilka lekcji gry w golfa.

Będziemy się uczyć?

Kit zamyśliła się nad propozycją. Byłoby to zajęcie szalenie dorosłe. Od razu odstałyby od grupy dzieciaków,

które tylko szukają piłek w trawie. Ale czuła też jakiś dziwny opór. Nie

rozumiała dlaczego. Może niechęć ta brała się stąd, iż mama nie grała w golfa i nigdy nie wykazywała tą grą najmniejszego zainteresowania. Kit miała wrażenie, że jeśli zacznie trenować golfa, okaże się wobec mamy nielojalna - zupełnie tak, jakby nie akceptowała jej wyboru.

Zastanowię się nad tym - powiedziała wreszcie. To znaczy, że nie będziemy - stwierdziła Clio. Dlaczego tak mówisz?

Bo dobrze cię znam - odparła groźnie Clio. Kit postanowiła porozmawiać z mamą jeszcze tego wieczoru. Jeśli mama zachęci ją do gry, Kit zacznie się uczyć. W ten sposób udowodni Clio Kelly, iż przyjaciółka wcale nie jest taka nieomylna.

Nie nakładaj mi tak dużo, Rito - mruknął ponuro Martin McMahon. - Zjadłem taki obiad, że nawet skąpcowi nie daliby więcej. Jedzenie ledwie mieściło się na talerzu. To po co tyle jadłeś, tato? - zapytał Emmet. Bo zostaliśmy zaproszeni do hotelu. A ile to kosztowało? - dociekał Emmet.

73

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Stawiała Maura, ciotka Clio.

- A mamie smakowało? - Kit była uradowana, że rodzice byli na wspólnym obiedzie.

- Mama nie mogła z nami pójść.

- A gdzie teraz jest?

- Wróci później.

Kit żałowała, iż mamy nie ma, bo chciała porozmawiać z nią o golfie.

Dlaczego wszyscy uważali, że to zupełnie normalne, iż mama już prawie z nimi nie bywa?

Po kolacji przyszła Clio.

- No i co postanowiłaś?

- A co miałam postanowić?

- Uczymy się golfa czy nie? Ciocia Maura chciałaby wiedzieć.

- Nieprawda. To ty chcesz wiedzieć. - Kit nie miała co do tego żadnych wątpliwości i bez wahania wyraziła swoje przekonanie.

- Ona na pewno też.

- Jeszcze nic nie postanowiłam.

- To co będziemy robić? - Clio rozejrzała się po sypialni, czekając na jakiś olśniewający pomysł albo chociaż na zaproszenie do przećwiczenia kroków czaczy, które opanowały już niemal bezbłędnie. Układ kroków, jaki stopy kreśliły na podłodze, był sto razy trudniejszy niż geometryczne wzory siostry Bernard.

- Nie wiem - odparła Kit. Chciałaby usłyszeć na schodach lekkie kroki mamy.

Zapadła cisza.

- Czy my się na siebie gniewamy? - zapytała Clio. Kit ogarnęły wyrzuty sumienia. Już miała powiedzieć przyjaciółce, że martwi się o mamę. Chciała jej powiedzieć, ale nie powiedziała.

- Clio nie siedziała zbyt długo. - Tata zaciągał zasłony w saloniku.

- Nie - odparła Kit.

- Znowu się pokłóciłyście?

- Nie. Ona też nie była tego pewna.

74

To dobrze. Co za ulga! Tato? Gdzie jest mama?

Mama wróci, kochanie. Nie lubi, kiedy się ją za bardzo kontroluje.

Ale gdzie ona jest?

Nie wiem, skarbie. Uspokój się i przestań chodzić tam i z powrotem jak zwierzę w klatce. Kit usiadła i wpatrzyła się we wzór, jaki tworzyły płomienie splatające się w kominku. Widziała w nich domy, łąki i wielkie ogniste góry. Ten sam wzór nigdy nie pojawiał się dwukrotnie. Co jakiś czas zerknęła na ojca. Siedział z rozłożoną na kolanach książką, lecz ani razu nie przewrócił kartki. Rita siedziała przy piecu w kuchni. W takie wietrzne wieczory kuchenny piec był najprawdziwszym dobrodziejstwem. Siedziała i myślała o ludziach bez dachu nad głową, jak stara kobieta na rozstajnych drogach z wiersza. Na ścianie wisiał oprawiony w ramki poemat Padraica Columa wzięty z „Cuala Press”. Dobrze było mieć choć małą wygodę w życiu.

Myślała o Cygankach jeżdżących z miejsca na miejsce, i ich wilgotnych wozach, o siostrze Madeleine, która nie wiedziała, kto obdaruje ją kolejną kromką chleba, i wcale się tym nie przejmowała. Ktoś na pewno przyniesie jej drewno na opał, czy choćby kilka ziemniaków do ugotowania.

Myślała też o swojej pani.

Czego taka piękna i młoda kobieta, którą rodzina wprost nosi na rękach, szuka nad jeziorem w taką zimną i wietrzną pogodę? Dlaczego nie siedzi w cieple kominka w swoim własnym pokoju, odgradzona od świata kotarami z grubego aksamitu?

Ludzie są dziwni, Farouk. Kot wskoczył na parapet i spojrzał na ciemne Lough Glass, tak jakby i on mógł tam teraz chodzić, gdyby tylko chciał. Emmet leżał już w łóżku. Ojciec nasłuchiwał najlżejszego szmeru przy

drzwiach. Kit czuła, jak miarowe tik-tak zegara
przeszywa jej ciało i niemal nią wstrząsa. Dlaczego mieli

75

w domu tak głośno cykający zegar? A może dopiero niedawno zaczął
głośniej chodzić? Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem jego tykanie
rozlegało się w całym domu.

Jak by to było cudownie, gdyby mama uczyła ją teraz jakiejś gry! Mama
wciąż powtarzała, że z książki można się nauczyć wszystkiego.

Twierdziła, że nie ma czegoś takiego jak „głowa do gier” czy „wycucie
kart”. Wszystkiego można się nauczyć.

Niedługo usłyszą trzask drzwi na dole, a potem lekkie kroki mamy na
schodach. Oczywiście tata wcale jej nie spyta, gdzie tak długo była, choć
nigdy dotąd nie wracała do domu tak późno.

A może właśnie powinien ją o to zapytać? - pomyślała zniecierpliwiona.

Takie zachowanie nie było normalne. Clio na pewno nie uznałaby czegoś
takiego za naturalne.

I wtedy usłyszeli na dole jakiś hałas. Kit poczuła falę gorąca na
policzkach. Wymienili z ojcem ukradkowe spojrzenia - zrobili to z wielką
ulgą, z ulgą, o której mamie nigdy nie wspomną. Ale drzwi się nie
otwierały. To nie była mama. Do drzwi dobijał się ktoś obcy: to naciskał
klamkę, to znów zaczynał stukać. Tata zbiegł na dół, żeby zobaczyć, kto
to.

W progu stał Dan O'Brien z hotelu i jego syn Philip. Byli mokrzy,
wysmagani wiatrem.

Kit obserwowała ich ze szczytu schodów. Miała wrażenie, że ogląda tę
scenę w dziwnie zwolnionym tempie.

- Martin, jestem pewien, że wszystko jest w porządku - zaczął Dan.
- Co się stało? Mów! Mów, do diabła! - tata wpadł w panikę, chciał usłyszeć słowa, które panu O'Brienowi nie mogły przejść przez gardło.
- Na pewno wszystko będzie w porządku. Dzieciaki są w domu, prawda...?
- O co chodzi, Dan?
- O łódkę... o twoją łódkę, Martin. Zerwała się z cumy i pływa po jeziorze do góry dnem. Już ją ściągają do brzegu. Powiedziałem im, że podskoczę do ciebie i sprawdzę, czy dzieci są w domu. - Dan O'Brien z wyraźną ulgą popatrzył

76

na dwoje dzieci spoglądających na niego z góry. Emmet zszedł z łóżka w piżamie i przycupnął u szczytu schodów.

Tak, oczywiście, to tylko łódka... I pewnie nie uszkodzona...

- Urwał, bo Martin McMahon chwycił go za klapy kurtki.

Czy ktoś w tej łódce był? Uspokój się, przecież dzieci są w domu... A Helen? - zaszlochał Martin. Helen? A cóż by tam robiła Helen? O tej porze? Przecież już za kwadrans dziesiąta. Czyś ty, chłopie, zwariował? Helen! - wykrzyknął tata i wybiegł na deszcz, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

Słyszeli, jak wołał mamę, pędząc do jeziora jedyną w mieście ulicą.

Właśnie ten fragment krótkiej sceny rozgrywał się niezwykle wolno i choć pan O'Brien i tata krzyczeli - co Kit

słyszała bardzo wyraźnie - ich słowa docierały do niej z wielkim opóźnieniem. I nawet wtedy, gdy tata biegł ulicą,

zdawało się, że porusza nogami w górę i w dół niczym sportowcy

skaczący wzwyż czy w dal na zwolnionym filmie.

Potem wszystko zaczęło się toczyć z właściwą prędkością.

Kit ujrzała zwróconą ku niej buzię przestraszonego Emmeta.

Co się...? - zaczął, ale nie dokończył, bo nie mógł wykrztusić z siebie słowa „stało”. Wciąż się na nim zacinał, strasznie się dusił.

Kit pobiegła zamknąć trzaskające na wietrze drzwi, a tym czasem Philip O'Brien stał w progu z głupim wyrazem twarzy, jak ktoś, kto nie może w niczym pomóc.

Albo wejdź, albo wyjdź - burknęła. Philip wszedł do środka i ruszył za nią po schodach.

Nikogo tam nie było - powiedział do Kit. - Twojej mamy nie było ani w wodzie, ani nigdzie indziej. Wszyscy

myśleli, że to wasza sprawka, że wygłupialiście się na łodzi.

Na pewno nie ja - odrzekła Kit nieswoim głosem.

Gdzie tata? - spytał Emmet. Słowa „tata” też nie mógł wymówić. On, Emmet, który tak świetnie czytał wszystkie wiersze z elementarza.

77

- Poszedł po mamę - odparła Kit. Wsłuchiwała się w wypowiedziane przez siebie słowa, sprawdzając, co właściwie znaczą. Brzmiały bezpiecznie, więc je powtórzyła: - Taty nie ma. Poszedł po mamę.

Ludzie nad jeziorem mieli latarki.

Był tam i sierżant O'Connor, i Peter Kelly, i dwaj synowie Kathleen Sullivan.

Stali pochyleni nad łodzią, gdy usłyszeli tupot stóp i dziwne odgłosy dobywające się z krtani McMahona.

- To nie Helen! Powiedzcie, że jej nie znaleźliście, że jej tam nie ma! -
przesuwał spojrzenie po półokręgu z twarzy, które znał całe życie. Stevie
Sullivan odwrócił wzrok: łzy na twarzy mężczyzny za bardzo go obnażały.

- Powiedzcie! Proszę!

Peter Kelly wziął się w garść, otoczył rozhisteryzowanego przyjaciela
ramieniem i odciągnął go na bok.

- Opanuj się, Martin. Po co tu w ogóle przybiegłeś?

- Dan przyszedł do mnie i powiedział, że łódź...

- Niech diabli porwą tego Dana! Ciągłe się miesza w nie swoje sprawy!

Po co cię niepokoił?

- Czy Helen...?

- Martin, człowieku, tu nikogo nie ma. Nie ma tu nic oprócz łodzi, która
zdryfowała na jezioro. Koniec, kropka.

Martin drżał, stojąc obok starego przyjaciela.

- Ona nie wróciła do domu, Peter. Czekałem na nią i powtarzałem sobie,
że jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby nie było jej w domu o tak późnej
porze. Chciałem wyjść, chciałem jej poszukać. Gdybym tylko poszedł jej
szukać! Ale ona nie chciała, żeby ją śledzić. Mówiła, że jeśli nie pozwolę
jej chodzić na samotne spacer, będzie się czuła jak więzień.

- Wiem, Martin, wiem... - doktor Kelly słuchał przyjaciela i klepał go po
ramieniu, ale cały czas rozglądał się na wszystkie strony.

Między drzewami, w oknach wozów taboru świeciły ogniki lamp
naftowych. Może Cyganie palili ognisko? Widział zarysy ich postaci. Stali
czujni i milczący, obserwując zamieszanie i dramat rozgrywający się nad
brzegiem jeziora.

Zaprowadzę cię do nich, schowasz się przed wiatrem - powiedział. -
Przetrzymają cię w jakimś zacisznym miejscu, dopóki nie będziemy
pewni, że nic złego... - mówił coraz ciszej, coraz wolniej, wreszcie umilkł,
zdając sobie

sprawę z bezsensu tych słów.

Peter Kelly zawsze żywił bardzo mieszane uczucia wobec Cyganów.

Dobrze wiedział, że kradną drób z okolicznych farm.

W lesie nad jeziorem nie było dość zajęcy, żeby mogli się nimi wyżywić.

Wiedział również, iż niektórzy młodzi Cyganie potrafią narobić
zamieszania w barze Paddlesa.

Chcąc być sprawiedliwym, musiał jednak przyznać, że miejscowi
farmerzy często sami prowokowali bójki.

Bardzo pragnął, by wiecznie podróżujący Cyganie dostrzegli wreszcie, że
koczowniczy tryb życia nie daje wielkich szans ich dzieciom. Cyganiątka
ledwie umiały czytać i pisać, ponieważ tabor nigdy nie zatrzymywał się w
jednym miejscu

na tyle długo, aby mogły skorzystać z nauki w miejscowych szkołach, jeśli
tylko były w nich mile widziane, bo nie zawsze je chętnie przyjmowano.

Koczownicy rzadko też korzystali z jego usług. Z narodzinami, chorobami
i ze śmiercią radzili sobie sami, a ich metody odznaczały się większą siłą
oddziaływania i większą godnością niż te stosowane przez ludność osiadłą.

Peter Kelly nigdy ich dotąd o nic nie prosił.

Moglibyście zarzucić mu coś na ramiona? - zapytał grupkę ponurolicych
mężczyzn.

Mężczyźni rozstąpili się i przepuścili kobietę, która niosła miskę i
parujący kubek. Posadzili Martina McMahona na zwałonym pniu drzewa.

Potrzebujecie pomocy? - zapytał któryś. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyście przynieśli więcej światła nad brzeg - odparł Peter. Wiedział, że do końca życia nie zapomni widoku przyjaciela siedzącego na zwalonym pniu z długą derką na ramionach i obozu rozświetlonego pochodniami z maczanych w smole kijów, które Cyganie zapalali od ogniska. Potem cała procesja smagłych mężczyzn zeszła nad brzeg jeziora. Martin owinał się ciasniej derką i jęknął.

79

- Nie ma jej tam - powtarzał bez przerwy. - Nie ma. Przecież by mi powiedziała. Helen nigdy mnie nie okłamała. Zawsze mi mówiła, że bez mojej wiedzy nic nie zrobi.

Zegar tykał, a między tyknięciami jakby troszkę zgrzytał. Kit nigdy dotąd tego nie zauważyła. Ale też nigdy dotąd nie siedziała na podłodze oparta o szafkę zegara, tuląc do siebie brata. Na schodach wiodących na poddasze, gdzie sypiała Rita, przycupnął Philip O'Brien.

Rita natomiast zajęła miejsce na krześle w drzwiach do kuchni. Raz czy dwa, a może nawet częściej wstawiała i mówiła:

- Dołożę do ognia. Ogrzeją się, jak wrócą.

Ktoś posłał po Clio. Otworzyła frontowe drzwi i weszła na górę. W zamku został klucz. Ogarnęła wzrokiem żywy obraz.

- Mama powiedziała, że powinnam natychmiast do ciebie przyjść - oznajmiła. Czekwała na reakcję Kit. Kit milczała. - Powiedziała, że moje miejsce jest teraz tutaj.

W Kit coś eksplodowało.

Jak ta Clio ma czelność wiecznie gadać o sobie! Bez przerwy tylko ona i ona! Ona powinna przyjść, jej miejsce jest tutaj! Kit wiedziała, że powinna

milczeć, dopóki wielka fala gniewu nie opadnie. Gdyby otworzyła usta w tej chwili, obrzuciłaby Clio stekiem wyzwisk i kazała jej wyjść z domu.

- No, powiedz coś... - Clio stała niepewnie na schodach.

- Dzięki, Clio - wydusiła z siebie Kit, modląc się w duchu, żeby nie powiedzieć nic strasznego, nic takiego, za co musiałaby przeproszać ją do końca życia.

Emmet wyczuł, że atmosfera jest dziwnie napięta.

- Mmmm... - chciał powiedzieć „mama”, ale nie mógł przedrzeć się nawet przez pierwsze "m".

Clio spojrzała na niego ze współczuciem.

- Och, Emmet, znowu zacząłeś się jękać. Philip wstał.

- Za dużo tu nas, Clio. Lepiej wracaj do domu - powiedział.

Clio omal się na niego nie rzuciła.

80

Philip ma rację - odezwała się Kit spokojnym, czystym głosem. - Dziękuję ci, że przyszedłeś, ale Philip ma pilnować, żeby nie było tutaj bałaganu, kiedy wszyscy wrócą.

Ja chcę tu być, kiedy wrócą - Clio zachowywała się, jak rozpieszczone dziecko.

Znowu to „ja” - pomyślała Kit.

Jesteś wspaniałą przyjaciółką, Clio. Wiedziałam, że zrozumiesz - powiedziała. I Clio wróciła do domu. Zegar tykał, pozgrzytywał, dzieci i Rita milczały.

Nic nie znajdziemy po nocy - powiedział sierżant O'Connor, potrząsając głową.

Nie możemy tak po prostu stąd odejść. - Twarz Petera ociekała potem,

łzami albo deszczem, nie sposób było stwierdzić.

Bądźże rozsądny, człowieku. Połowa tych ludzi trafi do ciebie w charakterze pacjentów, reszta pójdzie prosto na cmentarz.

Nic tu nie znajdziemy, ja ci to mówię. No, już, pozwól tym brudasom wrócić do obozu.

Nie nazywaj ich tak, Sean. - Ale Peter dobrze wiedział, że to ani miejsce, ani pora na usubtelnianie sierżanta O'Connora.

To jak ich mam nazywać? Konnicą? Apaczami? Daj spokój, bardzo nam pomogli. Nie mają powodu zachowywać się wobec nas przyjaźnie, a przecież robią, co mogą, żeby...

Z tymi pochodniami wyglądają jak dzicy. Skóra na mnie cierpnie.

Gdyby tylko pomogło to nam ją znaleźć... - zaczął Peter.

O, na pewno ją znajdziemy. Ale czy to będzie dziś, czy w przyszły wtorek, to już naprawdę bez znaczenia. Taki jesteś pewien? - zapytał Peter. Sean O'Connor zawsze widział sprawy jasno i wyraźnie, i tego wieczoru też nie gubił się w zwątpieniu ani w nadziei. Absolutnie - odrzekł. - Przecież ta biedaczka była niespełna rozumu. Nie widziałeś, jak o każdej porze dnia i nocy łąziła nad jeziorem, coś tam do siebie gadając? Dziwi mnie tylko, że doszło do tego tak późno.

81

Wysoka ciemna kobieta wyniosła z wozu filiżankę.

- Pij - zabrzmiało to jak rozkaz. Martin upił odrobinę i wykrzywił usta.

- Co to jest? Myślałem, że da mi pani herbaty - powiedział.

- Nie dałabym ci nic, co by ci zaszkodziło - odparła. Miała niski głos, ledwo słyszalny w szumie wiatru i nawoływaniach nad jeziorem.

- Bardzo dziękuję - powiedział i wypił. Napój miał smak bovrilu z

dotądkiem czegoś ostrego. Było mu wszystko jedno.

- Zachowaj spokój - mówiła kobieta. - Postaraj się tak nie drzeć.

Wszystko może się jeszcze dobrze skończyć.

- Oni myślą, że moja żona... - zaczął.

- Wiem. Nie zrobiłaby tego. Nie odeszłaby, nic ci o tym nie mówiąc - zapewniła go głosem tak cichym, że musiał dobrze wyteżać słuch, aby ją usłyszeć.

Obrócił się, żeby podziękować Cygance i powiedzieć, iż wierzy jej zapewnieniom, lecz kobieta zniknęła w cieniu drzew.

Usłyszał, jak sierżant O'Connor odwołuje dalsze poszukiwania. Widział Petera wracającego do obozu, żeby go zabrać do domu. Wiedział też, że musi być silny ze względu na dzieci.

Helen by tego pragnęła.

Usłyszała ich Rita.

Już po szuraniu w sieni i po zniżonych głosach wiedziała, że nie wracają z dobrymi wiadomościami. Pobiegnęła do kuchni, aby nastawić czajnik z wodą.

Philip O'Brien wstał. Nieczęsto zdarzało mu się być za coś odpowiedzialnym, ale wiedział, iż właśnie teraz nadszedł taki moment.

- Twój tata na pewno przemókł na deszczu - zaczął, ale Kit nie podjęła tematu. - Czy w ich pokoju jest elektryczny kominek? Tata pewnie zechce się przebrać.

- W czyim pokoju?

- W pokoju twoich rodziców.

- Oni mają oddzielne pokoje.

No to w jego pokoju. Spojrzała na Philipa z wdzięcznością. Clio na pewno wykorzystalaby okazję, by zauważyć, jakie to bardzo dziwne, iż rodzice Kit sypiają w osobnych łóżkach. Philip okazywał się szalenie pomocny. Pójdę włączyć ogrzewanie - powiedziała. Dzięki temu mogła zniknąć ze schodów. Nie musiała oglądać twarzy ojca, gdy będzie wchodził na górę. Nie chciała jej oglądać. Emmet nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Nie wiedział, że mama i tata są razem nieszczęśliwi i że mama może już nigdy nie wrócić. Że być może odeszła na zawsze. Kit chciała pobyć przez chwilę sama. W pokoju panował chłód. Znalazła kabel jednoprętowego elektrycznego grzejnika i włączyła go do gniazdka w ścianie nad żółtym wezgłowiem łóżka. Wszystko widziała z dziwną wyrazistością. Wzór na dywanie i nierówno zwisające frędzle przekrzywionej na jedną stronę narzuty. Skoro tata bardzo przemókł, to może zechce nałożyć szlafrok? Nie, nie robi tego, póki po domu kręcą się obcy. Słyszała głos doktora Kelly'ego i głosy ludzi stojących na dworze: ojca Philipa oraz księdza Baily'ego. Nie, w tej sytuacji nałóż marynarkę. Podeszła do wezgłowia łóżka, gdzie na oparciu dużego krzesła wisiała tweedowa marynarka taty. I właśnie wtedy zauważyła na poduszce kopertę. Dużą białą kopertę zaadresowaną do taty tylko jednym słowem: "Martin".

Nad łóżkiem wisiało zdjęcie papieża. Tego samego, który w wyobrażeniach Kit był gościem na ślubie rodziców. Spojrzała na fotografię i czas stanął w miejscu. Papież miał małe okrągłe okulary. O wiele za małe dla dorosłego mężczyzny. Miał też na sobie szatę obszytą białym futerkiem, futerko przypominało wykończenie stroju świętego Mikołaja, którego widywali w Dublinie, gdy z okazji świąt szli kupić coś dobrego do Clery'ego. Papież unosił ręce jak do błogosławieństwa.

Kit wolniutko przeczytała napis:

Martin McMahon i Mary Helena Healy pokornie padają do stóp Waszej Świątobliwości, by prosić o apostołskie

83

błogosławieństwo z okazji zawarcia związku małżeńskiego w dniu 20 czerwca 1939 roku. Pod spodem widniała lekko wypukła pieczęć.

Patrzyła na te słowa, jakby ich nigdy dotąd nie widziała. Zupełnie tak, jakby zapamiętując najdrobniejszy szczegół papieskiej fotografii, mogła zapanować nad tym, co miało się zdarzyć.

I z jakiegoś niejasnego powodu, którego nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć, schyliła się i wyciągnęła wtyczkę z gniazdka. Tak jakby chciała zatrzeć ślady swojej obecności w pokoju.

Stała przy łóżku z listem w dłoni. Mama zostawiła wiadomość.

Wyjaśniała, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Z jakiejś nieznaney przyczyny w uszach Kit zabrzmiały słowa księdza Johna. Księdza, który mówił, że życia nie można sobie odbierać, ponieważ jest darem Boga, a ci, którzy ciskają je w boskie oblicze, nie mogą być oplakiwani przez wiernych. I nie mogą liczyć na miejsce na cmentarzach boskiej rodziny na ziemi.

Przypomniała sobie twarz księdza. Działała jak automat. Wetknęła kopertę do kieszeni niebieskiego fartuszka i wyszła na schody, by powitać wchodzących na górę i ujrzeć przerażający uśmiech taty.

- Ani śladu wypadku. Nie ma najmniejszego powodu do obaw. Mama może zaraz stanąć w tych drzwiach. - Nikt nie odezwał się słowem. - Może w nich stanąć w każdej chwili... - ciągnął tata, a jego twarz tryskała nadzieją.

Rita rozpałała ogień na kominku w salonie i przegoniła Farouka sprzed

kratki chroniącej pokój przed iskrami, gdzie zasiadł z bardzo ważną miną. Wszyscy stanęli wokoło, niepewni i zakłopotani. Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Tylko tata Clio zawsze potrafił się znaleźć. Kit patrzyła na niego z wdzięcznością. To on pełnił rolę gospodarza domu.

- Wszyscy przemarzliśmy na kość od tego wystawania w najzimniejszym miejscu w całej Irlandii. Słyszę, że Rita nastawiła czajnik. Philip, bądź tak dobry, skocz do hotelu ojca i kup flaszkę whisky, to łykniemy sobie po szklaneczce grzańca.

- Przy takiej okazji nie będziemy sięgać do kieszeni - powiedział z pogrzebową miną Dan O'Brien, ojciec Philipa.

84

Doktor Kelly postanowił czym prędzej wprowadzić poufniejszy nastrój. To ładnie z twojej strony, Dan. Wrzucimy do whisky kilka goździków i dodamy parę kropel cytryny, żeby nas dobrze rozgrzała. Mówię to jako lekarz, więc musicie mnie słuchać! - Sierżant O'Connor wciąż powtarzał, że nie

będzie pił, mimo to czekał, aż alkohol zostanie rozlany.

Sean, to dla twojego zdrowia, wypij - namawiał go doktor Kelly.

Nie chcę jego whisky, za to muszę spytać, czy nie zostawiła czasem jakiegoś listu albo...?

Co takiego? - przerażony doktor przeszył go niespokojnym wzrokiem.

Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Przecież muszę go o to zapytać. To odpowiednia pora.

To fatalna pora - szepnął cichutko ojciec Clio. Mimo to Kit go usłyszała.

Odwróciła się, jakby rozmowa

mężczyzn zupełnie ją nie interesowała. Słyszała ściszony głos sierżanta: Chryste, Peter! Jeśli jest jakiś list, to chyba powinniśmy o tym wiedzieć, prawda? Ty go o to nie pytaj. Ja to zrobię. To ważne. Nie pozwól, żeby... Nie pouczaj mnie, co jest ważne, a co nie. I nie mów co mam robić.

Wszyscy jesteśmy wytrąceni z równowagi, nie bierz sobie tego do serca... Wezmę sobie do serca tyle, ile uznam za stosowne. Na litość boską, żłop tę whisky i nie otwieraj ust, dopóki nie będziesz miał czegoś konkretnego do powiedzenia. Kit zobaczyła, jak sierżant oblewa się rumieńcem, i ogarnęła ją fala współczucia. Reagował jak uczeń, któremu nauczyciel zwrócił w klasie uwagę. Potem zobaczyła, że doktor Kelly przeciska się przez zebranych, by podejść do taty Niepostrzeżenie i ona do nich podeszła. Martin, mój stary druhu...

Co się stało, Peter? Co się stało? Wiesz coś, czego nie chcesz mi powiedzieć? Nie, Martin. Nie wiem o niczym, czego nie mógłbym

85

ci zdradzić. - Peter Kelly miał zgnębioną twarz. - Ale posłuchaj mnie uważnie. Czy to możliwe, że Helen gdzieś wyjechała? Na przykład do Dublina? Z wizytą, no wiesz...?

- Na pewno by mi o tym powiedziała. Nigdy dotąd nie wyjeżdżała bez uprzedzenia. Tak między nami było.

- Gdzie zostawiłaby dla ciebie wiadomość, gdyby nie mogła ci o czymś powiedzieć, bo cię akurat nie było?

- Wiadomość... Jakaś wiadomość? - Martin McMahon nareszcie zrozumiał, co przyjaciel usiłuje mu z takim trudem przekazać. - Nie! Nie!

- Wiem, Martin, Chryste, przecież dobrze o tym wiem. Ale ten dumny O'Connor twierdzi, że nie może dalej prowadzić poszukiwań, dopóki nie

będzie pewien, czy...

- Jak on w ogóle śmie sugerować...?
- Gdzie, Martin? Wyjaśnijmy tę kwestię, żeby nam dał wreszcie spokój.
- Chyba w sypialni...

Kit patrzyła, jak wchodzi do sypialni taty. Do zimnego pokoju ze zdjęciem papieża nad łóżkiem. Stała w drzwiach z dłonią na szyi, gdy nagle uświadomiła sobie, że obydwaj ją obserwują.

- Kit, kochanie, wyjdź z tej zimnicy i usiądź z Emmetem przy ogniu.
- Dobrze. - Oczekała, aż znikną w sypialni ojca, potem wśliznęła się do kuchni.

Rita rozlewała whisky do szklanek z goździkami, sokiem z cytryny i cukrem.

- Jak na mój gust za bardzo mi to przypomina przyjęcie - narzekała.
- Tak - Kit stanęła przy piecu. - Wiem.
- Nie sądzisz, że powinniśmy położyć Emmeta spać? Twoja mama byłaby zadowolona, gdyby przyszła do domu.
- Chyba tak. - Żadna z nich nie zwróciła szczególnej uwagi na słowo „gdyby”.
- Pójdiesz po niego?
- Może lepiej ty idź. Ja posiedzę z nim później.

Rita wyniosła z kuchni tacę ze szklaneczkami whisky, tymczasem Kit szybkim ruchem otworzyła drzwiczki pieca. Gdy wrzuciła do ognia białą kopertę z napisem „Martin”

86

- kopertę, która mogła uniemożliwić pochowanie mamy w poświęconej ziemi - z paleniska strzeliły jęzory ognia.

Przez cały tydzień każdy dzień był podobny do poprzedniego. Peter Kelly ściągnął skądś znajomego do pracy w aptece.

Poinstruował go, żeby niepokoił Martina jedynie w uzasadnionej potrzebie. Zdawało się, że mieszkańcy Lough Glass powstrzymali się od stwarzania kłopotów, którym zaradzić mógł jedynie aptekarz.

Mama Clio i ciotka Maura co chwilę zaglądały do domu McMahonów.

Były bardzo taktowne wobec Rity. Wciąż

powtarzały, że, broń Boże, nie chcą się wtrącać, ale tak się akurat składa, iż mają pół kilo szynki albo świeżą szarlotkę...

Albo też oznajmiały, że wpadły po dzieci, aby je zabrać do siebie.

Dni upływały w swoistym zwariowanym rytmie.

Wszyscy spali przy otwartych drzwiach. Tylko drzwi do sypialni mamy były wciąż zamknięte.

Co noc Kit śnił się powrót mamy wymawiającej słowa: „Cały czas byłam u siebie w pokoju, tylko wcale tam nie zaglądałaś”.

Ale zaglądali. Wszyscy tam zaglądali. Łącznie z sierżantem O'Connorem.

Wszyscy szukali śladów świadczących

o tym, że mama wyjechała.

Zadawano najróżniejsze pytania. Ile mieli walizek? Ile zostało? Co mama miała na sobie? Tylko kurtkę? Czy płaszcz? To może pelerynę? Otwierano też szuflady komody i szafę. Ubrania. Może brakuje ubrań?

Kit była bardzo dumna, iż wszystkie rzeczy w sypialni mamy są poukładane tak schludnie, tak porządnie.

Chciała, by sierżant O'Connor opowiedział żonie, że między nocnymi koszulami i halkami pani McMahon leżą płatki lawendy, że jej buty, czyste i wypastowane, stoją równiutkim rzędkiem pod sukienkami w starej szafie

i że

szczotki na toaletce mają srebrne rączki pasujące do ram lustra. Ale najbardziej ze wszystkiego cieszyła się z tego, iż zrobiła wszystko, czego chciałyby mama.

Tak, mama na pewno by tego chciała.

Kit nie miała czasu na myślenie, mimo to raz po raz wymyślała się do swojego pokoju, gdzie próbowała odpowiedzieć sobie na kilka pytań.

87

Czy to możliwe, aby mama, która zawsze wiedziała, co robi, chciała, żeby ktoś odnalazł jej list? A może powinna go była przeczytać? Może mama zawarła w tym liście swoje ostatnie życzenie? Z drugiej strony, koperta była adresowana nie do niej, tylko do tatusia, więc jeśli mama chciała mu coś przekazać...

Kit czuła się jak małe przestraszone dziecko. Ale jedno wiedziała na pewno: pałac list, postąpiła słusznie. Teraz, gdy znajdą ciało mamy, można je będzie pochować we właściwym miejscu. Wszyscy będą mogli odwiedzać grób i zanosić mamie kwiaty.

Nad jezioro zjechali nurkowie, ludzie w kombinezonach z gumy. Kit nie pozwolono schodzić nad brzeg i patrzeć, co tam robią, ale Clio i tak jej wszystko opowiedziała. Clio była bardzo miła. Kit nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego się kiedyś kłóciły.

- Mama i tata chcą, żebyś przeprowadziła się do nas i trochę ze mną pomieszkała - powtarzała w kółko Clio.

- Wiem i bardzo wam wszystkim dziękuję, ale mój tata... Sama rozumiesz. Nie mogę zostawiać go samego.

Clio rozumiała.

- A gdybym to ja wprowadziła się do ciebie? Byłoby lepiej czy gorzej? - spytała.

- Byłoby całkiem inaczej, a bardzo się staramy żyć tak, jakby nic się u nas nie zmieniło.

Clio skinęła głową.

- A tak w ogóle to mogłabym coś dla was zrobić? Zrobię wszystko, żeby tylko pomóc.

- Wiem, Clio. - I Kit naprawdę wiedziała.

- No to pomyśl.

- Chcę wiedzieć, co ludzie mówią, o czym rozmawiają za naszymi plecami.

- Chciałabyś wiedzieć wszystko? Nawet jeśli będzie to coś, czego wolałabyś nie słyszeć?

- Tak.

Tak więc Clio zaczęła znosić jej plotki z Lough Glass, dzięki czemu Kit budowała sobie obraz prowadzonego dochodzenia. Pytano ludzi, czy tamtego dnia nie widzieli pani McMahan w autobusie bądź na stacji kolejowej,

88

w sąsiednim miasteczku czy przy drodze, gdzie mogła złapać jakąś okazję, albo w czyimś wozie. Policja chciała wykluczyć możliwość, że Helen McMahan wyjechała z miasta cała i zdrowa.

Prawda, iż byłoby wspaniale, gdyby na przykład tylko straciła pamięć? - mówiła Clio. - Wyobraź sobie, że

znajdują ją w Dublinie, a twoja mama nie wie, kim jest, co?

Owszem - odparła Kit bez entuzjazmu. Wiedziała, że nic takiego nie może

się wydarzyć. Wiedziała, że mama nie wyjechała z Lough Glass. Bo mama napisała list, w którym wyjaśniała, dlaczego odbiera sobie życie.

Mogła mieć wypadek - spekulowała Clio, przedstawiając tym samym pogląd lokalnej mniejszości.

Większość uważała, iż zanosilo się na to od dawna. Biedna kobieta była niezrównoważona i tylko jedno mogło

tłumaczyć fakt, że tamtej nocy wypłynęła na jezioro sama: zamierzała ze sobą skończyć.

Naturalnie, że to był wypadek - twierdziła Kit z rozplomienionym wzrokiem.

Kiedy wreszcie odnajdą ciało mamy, będą je mogli pochować na cmentarzu - wszystko dzięki jej szybkiemu refleksowi.

Tak, ludzie muszą raz na zawsze uznać śmierć mamy za wypadek. Mama nigdy nie może zmienić się w Bridie Daly,

w ducha straszącego dzieci, w głos nawołujący w trzcinach.

Jeśli jest w niebie, pewnie na nas patrzy - powiedziała Clio, spoglądając w sufit.

Naturalnie, że jest w niebie - odrzekła Kit, odpędzając lęk, który ją od czasu do czasu nawiedzał. Bała się,

iż mama jest w piekle i cierpi katusze grzesznika skazanego na wieczne potępienie.

Gości przychodziło tyle, że drzwi wprost się nie zamykały.

Wszyscy z czymś do nich wpadali: a to ze słowami pocieszenia bądź nadziei, a to znów ze specjalną modlitwą lub

z opowieścią o kimś, kto też niegdyś zaginął, by odnaleźć się dopiero po

trzech tygodniach.

Siostra Madeleine nie przyszła ani razu. Ale też siostra Madeleine nikogo nie odwiedzała. Tydzień później Kit wybrała się do chatki pustelnicy. Po raz pierwszy w życiu nie wzięła ze sobą podarunku.

89

- Siostra ją знаła. Dlaczego ona to zrobiła?

- Pewnie uznała, że poradzi sobie z łódką - dla pustelnicy sprawa była bardzo prosta.

- Ale my nigdy nie wypływałyśmy łodzią w pojedynkę. Ona też nigdy tego nie robiła...

- Widocznie tamtego wieczoru poczuła taką potrzebę. Było wtedy tak pięknie... Chmury pędzące na tle księżyca wyglądały jak dym z ogniska. Stałam przy oknie i długo patrzyłam w niebo...

- Nie widziała siostra mamy?

- Nie, dziecko, nie widziałam nikogo.

- Ale mama nie jest w piekle, prawda, siostrze Madeleine?

Zakonnica odłożyła widelec do grzanek i spojrzała na Kit ze szczerym zdumieniem.

- Chyba ani przez chwilę w to nie wierzyłaś?

- No bo przecież to jest grzech przeciwko Nadziei, prawda? To rozpacz, czyli grzech, za który nie ma przebaczenia.

- Gdzieś ty to słyszała?

- Chyba w szkole. I na mszy. I na rekolekcjach. - Kit usiłowała podeprzeć się konkretami.

- Niczego takiego nie mogłaś słyszeć. Dlaczego sądzisz, że twoja biedna matka targnęła się na życie?

- Na pewno to zrobiła! Na pewno! Była taka nieszczęśliwa...
- Wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi, każdy po trosze...
- Nie, ona naprawdę była nieszczęśliwa. Siostra nawet nie wie...

W tej kwestii pustelnica zajęła bardzo zdecydowane stanowisko.

- Wiem. Ja dużo wiem. Twoja matka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.
- Ale...

- Żadnego „ale”, Kit. Proszę, uwierz mi, ja znam się na ludziach. Ale przypuśćmy, tylko tak przypuśćmy, iż mama doszła do wniosku, że życie nie ma dalszego sensu. Wtedy na pewno zostawiłaby list, w którym wytłumaczyłaby tacie i tobie, dlaczego tak uważa, i w którym prosiłaby

90

o wybaczenie. To pewne jak to, iż obie tu siedzimy. - Zapadła cisza. - A przecież żadnego listu nie było. Cisza stawała się coraz bardziej dławiąca. Kit kusiło, aby wyznać pustelnicy całą prawdę. Siostra Madeleine nikomu nie powie, doradzi, co trzeba zrobić. Ale to by oznaczało przyznać się do wszystkiego. Zatem milczała.

Skoro nie zostawiła żadnego listu, nie ma mowy, by chciała odebrać sobie życie - powtórzyła pustelnica. - Uwierz mi, Kit, i śpij tej nocy spokojnie. Dobrze, siostrze Madeleine. - Kit poczuła w piersi ból. Wiedziała, że ból ten nie opuści jej do końca życia.

Tego wieczoru przyszedł do nich sierżant. Rozmawiał w kuchni z Ritą. Umilkli, gdy nadeszła Kit. Przeniosła wzrok z sierżanta na Ritę. Są jakieś wiadomości? Nic. Nie ma nic nowego - odrzekła Rita. Pytałem Ritę, czy aby na pewno wszędzie szukaliście, Zapewniam pana, że gdyby pani zostawiła jakieś wiadomości o swoich planach, wszystko jedno, jakich... rodzina przyjąłaby je z wielką ulgą. I

nikt nie zatrzymałby tej informacji dla siebie.

Dziecko tak zbladło, jakby za chwilę miało zemdleć. Sierżant spuścił z tonu.

Na pewno masz rację, Rito - powiedział łagodnie.

- No cóż, wszyscy mamy swoje obowiązki. Twoim zadaniem jest pucowanie garnków, moim zadawanie trudnych pytań w domach pogrążonych w smutku.

Kiedy schodził po schodach, jego kroki niosły się ciężkim echem.

Pucowanie garnków! - prychnęła Rita. Jej oburzenie wywołało uśmiech na twarzy Kit. Sierżant jak coś powie, to powie - zauważyła. Do tego wszystkiego przecież naprawdę przeszukaliśmy każdy kąt, żeby znaleźć choć ślad wiadomości od pani!

A gdybyśmy coś znaleźli? To chyba przestaliby przepytawać wszystkich na

91

przystanku autobusowym i na stacji, czy przypadkiem nie widzieli naszej pani, wystrojonej i w chuście na głowie. No i gdyby był jakiś list, nasz biedny pan zaznałby wreszcie spokoju, zamiast tłuc się po domu jak Marek po piekle.

Kit znieruchomiała. Rita nie wiedziała o wszystkim. Rita się myliła.

Gdyby znaleziono list, pochowano by mamę za murami cmentarza. Tak jak Bridie Daly.

A tak, kiedy odnajdą mamę, to będą ją mogli pochować z wszelkimi honorami. Kiedy ją znajdą...

* * *

Brat Healy powiedział chłopcom, że mały Emmet wraca do szkoły.

- Ale jeśli tylko usłyszę to „Mem... Mem... Memmet”, jeśli dojdzie mnie choćby najmniejszy szept czy mruknięcie, jeśli usłyszę, iż któryś się przy nim jąka, to huknę go w łeb tak mocno, że już zawsze będzie widział krzywo - ostrzegał, przeszywając ich wojowniczym wzrokiem.
 - Czy brat uważa, że ona naprawdę się utopiła? - zapytał Philip O'Brien, syn właściciela hotelu.
 - Myślę, iż możemy przyjąć takie założenie i odmówić trzy Zdrowaś Mario w intencji znalezienia jej ciała.
 - Minęło już dziewięć dni, proszę brata - zauważył Philip.
 - To prawda, ale ciała topielców odnajdywano i po znacznie dłuższym czasie. Nasze jezioro jest bardzo głębokie. Właśnie dlatego wciąż przypominamy wam o niebezpieczeństwie.
 - Proszę brata, a co by się stało, gdyby...? - zaczął Michael Sullivan. Chciał zapytać, w jakim stanie byłyby odnalezione zwłoki. Czy już zaczęłyby się rozkładać? Chłopcy w jego wieku bardzo się takimi sprawami interesowali.
 - Proszę otworzyć podręcznik do historii na stronie czternastej! - ryknął brat Healy. Nie pierwszy raz żałował, że nie uczy grzecznych dziewczynek w mundurkach. Siostra Bernard powiedziała mu, że w szkolnej kaplicy organizują nabożeństwo różańcowe za matkę Kit McMahan. Tak, uczyć dziewczynki to sama przyjemność. Nieraz to powtarzałam.
- I To zupełnie co innego niż borykanie się z tym, z czym spotykał się dzień w dzień.
- Martin McMahan prawie nic nie jadł. Twierdził, że gdy tylko przełknie kęs jedzenia, od razu piecze go w przełyku. I to jedzenie tkwi tam boleśnie przez cały długi dzień. Ale bardzo pilnował, żeby dzieci jadły jak trzeba.

Nie mam ochoty na cały obiad - skarżył się Emmet. Musisz być silny, chłopcze. Zjadaj wszystko. Rita upiekła wyśmienity paszтет.

A ty nie musisz być silny, tato? - spytał syn. Ojciec milczał.

Później Kit wniosła do saloniku kubek bovrilu i dwie długie grzanki z masłem. Miały z Ritą nadzieję, że tata musi w siebie wmusić chociaż to.

Proszę cię, tato - namawiała Kit. - Proszę. Co będzie, jeśli się rozchorujesz? Wtedy nie będziemy już mieli nikogo, kto by nam mówił, co robić. - Ojciec posłusznie sprubował przełknąć kilka łyżek płynu. - Czy byłoby lepiej... - zaczęła Kit. Ojciec powoli przeniósł wzrok na jej twarz. Ruszał się jak człowiek przytłoczony ogromnym ciężarem. - Czy byłoby lepiej, gdyby mama zostawiła nam jakąś wiadomość?

Po stokroć lepiej. Wiedzielibyśmy, dlaczego... i co zrobiła.

Przecież to mógł być wypadek. Coś, czego w żaden sposób nie mogła przewidzieć. Owszem, mogło tak być. A gdyby to nie był wypadek, to i tak wolałbyś o tym wiedzieć?

Wszystko byłoby lepsze od tego, co przeżywam teraz.

Od tego zastanawiania się, zamartwiania się i żałowania, że czegoś nie zrobiłem. Nawet gdyby znaleźli ciało mamy, moglibyśmy złożyć je do grobu, a potem ten grób odwiedzać i się nad nim modlić, to przecież i tak byłoby

lepiej niż teraz, nie sądzisz?

Uklękła przy nim, nakryła jego dłoń swoją małą rączką.

Jeśli jest w jeziorze, to chyba muszą ją odnaleźć, prawda?

93

- To głębokie, to zdradzieckie jezioro. Może upłynąć dużo czasu, zanim...

- Ale przecież szukają codziennie.

- Już nie będą. Sierżant powiedział, że odwołują dalsze poszukiwania - na twarzy ojca malowała się żalność.

- Tato, przecież nic więcej nie mogłeś zrobić... Wiem, bo mama mi mówiła. Mówiła, że cię kocha i że nigdy nie chciałyby cię zranić.

- Twoja mama była świętą kobietą, była aniołem. Zapamiętasz to na całe życie, prawda, Kit?

- Nigdy tego nie zapomnę - obiecała.

Czekała ją kolejna noc przerywanego snu, noc nagłych przebudzeń i słów, które brzmiały jej w uszach: „To nie był list do ciebie. Nie trzeba go było ruszać”. A potem oczyma wyobraźni zobaczy pewien obraz, ujrzy go tak wyraźnie, jakby istniał naprawdę: zobaczy grób z prostym drewnianym krzyżem, grób za murami cmentarza. Owce i kozy chodzące po grobie kobiety, której odmówiono chrześcijańskiego pochówku.

- Odwołali przeszukiwanie jeziora. - Matka Philipa O'Briena rzadko wychodziła do miasta, ale i tak wiedziała o wszystkich wydarzeniach.

- Czy to znaczy, że mama Kit wcale nie musiała się utopić? - zapytał chłopak ze słabą nadzieją w głosie. Kit już od długiego czasu była bardzo blada i miała mocno podkrążone oczy.

- Nie, to po prostu znaczy, że leży bardzo głęboko. - Mildred O'Brien mówiła bez większych emocji. Nie była zbyt zaprzyjaźniona z Helen McMahan, która zawsze wydawała się jej dość chłodna i tajemnicza.

- W takim razie co będzie z pogrzebem? - zapytał Philip. Nie podobała mu się wymiana spojrzeń między rodzicami.

- Może go wcale nie będzie - odrzekł ojciec.

- Dlaczego? A gdyby znaleźli ciało...

- Hm... O zmarłych źle się nie mówi - odparł Dan O'Brien najbardziej

bogobojnym tonem. - Z drugiej strony, cóż, skoro napomykano, iż nie bardzo wiadomo, jak

94

się tam znalazła, Kościół musi wykazać ogromną ostrożność. - Czuł, że Philip chciałby poruszyć kolejną kwestię, dla tego nie dopuścił go do głosu. - Rzecz jasna, nie ma potrzeby rozmawiać o tym z nieszczęsnymi dziećmi McMahanów.

One nie miały z tym nic wspólnego.

Sprawa została zamknięta.

Clio udowadniała, że jest prawdziwą przyjaciółką. Nie zadawała trudnych pytań, co w przeszłości robiła nieustannie.

Nie podsuwała zbyt daleko idących rozwiązań. Po prostu była. I czasami milczała. To ogromnie pomagało.

Dawniej to głównie ona występowała z propozycjami zabaw i wycieczek. Teraz czekała na sugestie.

Przeszłabym się nad jezioro - powiedziała Kit. Chcesz, żebym z tobą poszła? - Clio zachowywała się bardzo taktownie. Jeszcze nie tak dawno odrzuciłaby głowę do tyłu i wyrecytowałaby całą listę powodów, dla czego uważa ten pomysł za niedobry.

Jeśli masz czas. Mam. Szły główną ulicą miasta. Kit chciała zostawić w domu torbę z książkami i uprzedzić Ritę, że wróci później. Od kiedy mama zniknęła, ani Kit, ani Emmet nie spóźnili się do domu nawet o minutę. Za dobrze wiedzieli, ile nerwów kosztuje czekanie.

Gdzie będziesz? Ojciec na pewno spyta. Powiedz mu, iż jestem z Clio, to wystarczy. To znaczy, że jesteś u niej w domu? Tak, z Clio. - Kit bardzo się spieszyła do wyjścia. Przed warsztatem mechanicznym stał Michael

Sullivan z kolegą, Kevinem Wallem. Należeli do najbardziej rozbrykanych uczniów szkoły męskiej. Normalnie gwizdaliby i krzyczeli na widok Clio i Kit, ale teraz nic już nie było normalne. Kit widziała, jak Michael otwiera usta, żeby coś powiedzieć - w ostatniej chwili się rozmyślił. Rodzina McMahanów nie stanowiła dobrego celu ataków. Nie po tym, co ich spotkało.

Cześć! - rzucił potulnie. Jego starszy brat, Stevie, wyjrzał spod maski samochodu.

95

- Wracaj do domu i daj dziewczętom spokój! - krzyknął.

Stevie był właściwie dość przystojny. Trudno to było zauważyć, gdy miał na sobie zabrudzony kombinezon i włosy tłuste od smaru albo od brylantyny. Clio powiedziała kiedyś, że gdyby go przyzwoicie ubrać, mógłby wyglądać jak lepszy gość.

I miał miły uśmiech.

- W porządku! - odkrzyknęła Kit. - On tylko powiedział „cześć!”

- To chyba pierwsze kulturalne słowo w jego życiu - skonstatował Stevie i schował się pod maskę.

Kit i Clio spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami. Fajnie było korzystać z opieki wspaniałego, już całkiem dorosłego szesnastolatka, ale nie wtedy, gdy nie zachodziła ku temu potrzeba. Michael Sullivan potrafił być okropnym gburem i chamem. Posuwał się nawet do tego, że pytał je o kolor majtek. Ale tym razem - musiały to uczciwie przyznać - powiedział tylko „cześć!”

Minęły hotel i ukłoniły się stojącemu w drzwiach ojcu Philipa.

- Dziewczynki, już za ciemno na przechadzki po lesie - powiedział,

widząc, że skręcają w wąską dróżkę.

- Idziemy tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Wszyscy wiedzą, gdzie jesteśmy! - krzyknęła Clio.

Szły ramię w ramię ścieżką, którą mama Kit musiała chodzić każdego dnia i każdego wieczoru.

„Przelecę się dookoła” - tak mawiała o swoich spacerach. Skręcała nad jezioro przy hotelu i wracała obok posterunku straży miejskiej albo na odwrót. W ładniejsze dni bądź w dłuższe wieczory szła przez las, aż do obozu Cyganów na krańcu jeziora, albo też chodziła do chatki pustelnicy, a nawet i dalej. Zupełnie tak jakby czegoś szukała. Czegoś, czego nie mogła znaleźć ani w mieszkaniu nad apteką, ani w Lough Glass.

I wcale nie była to ucieczka przed pracą. Helen McMahan pracowała z Ritą, na nowo podszywając zasłony i tak je zakładając, by nie narażać na zniszczenie wciąż tych samych pasemek materiału. Razem z Ritą smażyła dżem,

96

marmoladę, gotowała kompoty, robiła marynaty. Półki kuchni McMahanów wyglądały tak, jakby przez całą dobe ktoś je pracowicie zastawiał.

Kiedy więc chodziła nad jezioro, to nie po to, żeby uciec przed zajęciami domowymi. Wręcz odwrotnie. W domu nie miała czasu, żeby usiąść i pomyśleć. Cóż takiego widziała w ciemnych wodach jeziora? Czyżby coś, co ciekawiło ją bardziej niż widok ulicy, po której tak chętnie spacerowały miejscowe kobiety?

Mama Clio znała na pamięć wszystkie ubrania z jedyne w miasteczku sklepu odzieżowego, prowadzonego przez panią Hanley. Pani Kelly często

wpadała tam nawet wówczas, gdy nie zamierzała nic kupić, ot, tak po prostu, żeby oglądać nowe rozpinane swetry z miękkiej wełny albo bluzki z haftem na kołnierzyku. Inne matki chadzały też do sklepu z artykułami żelaznymi Josepha Walla i Syna, by kupić nowe trzepaczki do piany albo formy do pieczenia.

Ale mamy Kit te rzeczy nie interesowały. Cieszyły ją tylko ścieżki, alejki i las wokół jeziora.

Zastanawiam się, co ją tu tak ciągnęło - odezwała się wreszcie Kit, kiedy zeszły na drewniany pomost, przy którym cumowały łodzie.

Była tu szczęśliwa, sama mówiłaś - przypomniała Clio.

Kit posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie. Clio była niespodziewanie miła i zamiast rąbnąć coś niestosownego, dobierała same właściwe słowa. Zupełnie tak, jakby ktoś ją poinstruował, jak ma się zachowywać.

Kit - zaczęła z wahaniem Clio - znasz moją ciocię Maurę?

Tak. - Kit wzmogła czujność. Czyżby wracały stare czasy? Czyżby Clio znów chciała się przechwalać swoją normalną, stabilną i miłą rodziną oraz pulchną ciotką, która chciała je nauczyć gry w golfa, o czym Kit miała rozmawiać z mamą cztery długie tygodnie temu? No więc ciotka Maura wyjechała już do Dublina... Wiem. Ale zanim wyjechała, zostawiła mi trochę pieniędzy.

97

Powiedziała, żebym ci coś kupiła, sama decydując, co to ma być.

- Hm... - Kit nie wiedziała, jak się zachować.
- Ale ja wcale nie wiem co kupić, Kit. Naprawdę nie wiem.
- To bardzo ładnie z jej strony.
- Powiedziała, że to oczywiście niczego nie naprawi, ale przynajmniej

zajmie naszą uwagę. Mogą to być słodycze, nowe skarpetki, płyta...

Cokolwiek, co ci się spodoba.

- Chciałabym dostać płytę - nieoczekiwanie oznajmiła Kit.
- No to świetnie. W sobotę możemy pojechać do miasta i kupić tę płytę.
- Masz aż tyle pieniędzy? - Kit pomyślała o biletach autobusowych, lemoniadzie i ciasteczkach, które sobie zafundują po zakupach.
- Tak, mnóstwo. Ciocia Maura dała mi trzy funty.
- Trzy funty!

Znieruchomiały na wietrze, porażone ogromem kwoty. Oczy Kit wypełniły się łzami. Ciocia Maura musiała dojść do wniosku, że sprawy rzeczywiście stoją bardzo kiepsko, skoro ofiarowała aż tyle pieniędzy, żeby zająć ich uwagę.

- Stevie?
- Co tam?
- Stevie, chcę ci coś powiedzieć.
- Jestem zajęty.
- Zawsze jesteś zajęty. Masz czas tylko dla samochodów.
- Przecież właśnie temu powinienem poświęcać czas, prawda? Wolisz, aby ludzie pomyśleli, że jak dadzą Sullivanowi forszę, to zamiast ją wydać na zapasowe części od razu wszystko przepije?
- Tylko obiecaj, że łba mi nie urwiesz.
- Tego nie obiecuję. Skąd mam wiedzieć, czy nie będzie ci się należało?
- No to ci nie powiem - tym razem głos Michaela zabrzmiał stanowczo.
- Bogu niech będą dzięki - westchnął Stevie. I tak miał o czym myśleć.

Musiał się umyć i przebrać. Po raz

pierwszy umówił się z dziewczyną. Deirdre Hanley zgodziła się pójść z nim do kina. Miała siedemnaście lat, czyli była od niego o cały rok starsza, i na pewno oczekiwała awansów z jego strony. Stevie chciał wypaść jak należy. Co za ulga, że nie musiał zmywać głowy bratu za wykroczenie, które i tak wyjdzie na jaw przy burzliwej wizycie brata Healy'ego.

- O której wrócisz? - Pani Hanley, właścicielka sklepu z odzieżą, czuła, że z wyjściem córki jest coś nie tak.

- Och, mam. Ile razy mam ci powtarzać? Wrócę tak, jak przyjeżdża autobus.

- Dobrze, a ja będę cię wyglądała, żeby zobaczyć, jak z niego wysiadasz - ostrzegła ją poważnie matka.

Deirdre potulnie skinęła głową. W tej kwestii nie przewidywała problemów. Stevie powozi ją na randce autem, i potem, półtora kilometra za Lough Glass, wsadzi do autobusu. Mama może sobie podejrzewać, co tylko chce, bo i tak na niczym jej nie przyłapie. Deirdre starła z warg szminkę, którą na próbę pomalowała usta. Nikt nie zobaczy, że wychodzi z domu wystrojona. Natychmiast domyśliliby się, iż wybiera się nie tam, gdzie zapowiadała.

A powiedziała, że jedzie z koleżankami do kina.

Chodź ze mną do Paddlesa.

- Nie, Peter.

Martin, ona nie wróci, nie stanie nagle w drzwiach. I ty o tym wiesz, i ja o tym wiem. Nie, muszę tu zostać.

Na zawsze? Do końca świata? Myślisz, że tego by chciała?

Nie znałeś jej - Martin był zdenerwowany. Znałem ją na tyle dobrze, by wiedzieć, iż chciałaby, byś żył jak normalny człowiek, a nie jak pustelnik.

- Zapadła cisza. - Jedną pustelnicę już mamy. Lough Glass stać na utrzymywanie dwojga odludków. Martin uśmiechnął się blado. Myliłem się, Peter. Oczywiście, że ją znałeś. Czy Helen zwracała się do ciebie... Czy kiedykolwiek...?

Nigdy o niczym mi nie mówiła. I nigdy nie prosiła mnie o nic, o czym powinieneś wiedzieć. Przysięgam, tak

99

jak przez ostatnie dwadzieścia osiem dni. Pytasz mnie o to codziennie, a ja codziennie odpowiadam to samo.

- Pytałem cię o to codziennie? Codziennie? - Martin wyglądał żałośnie.

- Nie, chyba przesadziłem. Było kilka dni, kiedy nie pytałeś.

- Nie pójdę do Paddlesa, dopóki nie znajdą jej ciała.

- To znaczy, że jeszcze długo będę pił sam - stwierdził z rezygnacją doktor Kelly.

- Dlaczego tak mówisz? - w bezbarwnym głosie McMahona zabrzmiało przerażenie.

Peter Kelly otarł czoło.

- Chryste, Martin, chodzi wyłącznie o jej ciało. Jej duch, jej dusza odeszła już dawno temu i unosi się gdzieś nad nami. Człowieku, przecież dobrze o tym wiesz. Dlaczego tego nie przyznasz?

Martinem wstrząsnął szloch, zadrżały mu ramiona.

Peter stał tuż obok, ale nie objął przyjaciela. W ich przyjaźni nie było miejsca na kojenie męskiego płaczu. Wreszcie łkanie ustało.

Martin uniósł zaczerwienioną od łez twarz.

- Pewnie dlatego, że wciąż żyję nadzieją... Chodźmy do Paddlesa.

Emmet wyznał siostrze Madeleine, że nie może się skupić na poezji.

Wszystko przypominało mu to... to, co się stało.

- To chyba dobrze, nie sądzisz? Chyba nie chciałbyś zapomnieć o swojej mamie.

- Ale już nie umiem recytować, już nie czuję wierszy tak jak kiedyś...

Jakał się jak za najgorszych czasów. Siostra Madeleine ani razu nie dała mu odczuć, że rozmowa przeciąga się z jego winy.

- No to nie recytuj - dla niej wszystko było proste.

- Nie muszę? To nie jest lekcja?

- Lekcja, ale taka na niby. Raczej pogawędka. Czytasz mi, bo przy blasku świecy czy ognia z kominka moje stare oczy nie widzą już za dobrze.

- Czy siostra jest bardzo stara, siostrze Madeleine?

100

Nie, nie jestem aż tak bardzo stara, ale dużo starsza od ciebie i od twojej mamy. - Pustelnica była jedyną osobą, która w ogóle wspominała o mamie, wszyscy inni unikali rozmów na jej temat.

Czy siostra wie, co się stało z mamą? - zapytał z wahaniem.

Nie, dziecko, nie wiem.

Ale siostra siedzi tu cały czas i patrzy na jezioro, więc... więc może siostra widziała, jak mama wypadła z łódki?

Nie, Emmet, nie widziałam. Nikt jej nie widział. Sam wiesz, że było już ciemno.

Czy to mogło być... straszne? Jak... jak uduszenie? - Nikogo innego nie mógł o to spytać. Od razu zaczęliby go uciszać albo pocieszać. Siostra Madeleine zastanawiała się chwilę.

Nie. Myślę, że mogło się to odbyć bardzo spokojnie. Ot, pochłania cię

masa ciemnej wody, jak jedwab czy aksamit i unosi ze sobą. To chyba nie jest takie straszne. A czy było jej wtedy smutno?

Chyba nie. Pewnie martwiła się o ciebie i o Kit. Mamy zawsze zamartwiają się takimi głupstwami jak ciepłe i suche skarpetki, odrabianie lekcji czy jedzenie. Wszystkie znane mi mamy o to się martwiły, ale nie... chyba nie była smutna, gdy się topiła... - Jeśli siostra Madeleine zauważyła, że jękanie się Emmeta ustąpiło, nie dała tego po sobie poznać.

- Nie, z całą pewnością nie. Raczej miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że dacie sobie radę. Sądzę, że właśnie o tym myślała.

Że też mogła myśleć o czymś takim... - głos mu drżał.

Pustelnica spojrzała na niego, jakby na coś czekała: na jakąś uwagę, coś optymistycznego. I w odpowiedzi na jej oczekiwanie Emmet McMahon dodał:

Niepotrzebnie się martwiła. Naturalnie, że damy sobie radę.

Ksiądz Baily zazgrzytał zębami, gdy na niedzielnej mszy nie było w kościele McMahanów. Szybko wyczerpywały mu

101

się zapasy słów pocieszenia. W końcu ileż to razy duszpasterz może wyjaśniać pogrążonej w żałobie rodzinie wolę Pana?

Przy czym im więcej słyszał, tym trudniej mu było w tę wolę uwierzyć.

Skłonny był raczej sądzić, iż to, co się stało, stało się z woli biednej, zagubionej Helen McMahon, która przychodziła do spowiedzi, klękała w ciemności i mówiła, że ciężko jej na sercu. I cóż to był w ogóle za sposób wyznawania grzechów? Ksiądz Baily miał uczucie, iż często ją rozgrzeszał, kiedy wcale tego nie oczekiwała, i gdy nie wyczuwał w niej ani skruchy, ani niezłomnej woli poprawy.

Teraz już nie pamiętał, o czym mu mówiła.

Gdybyż tylko ludzie wiedzieli, jak podobne do siebie i mało znaczące są ich grzechy dla spowiednika! Mimo to jedno zapamiętał: Helen McMahon uważała, iż nie panuje nad swoim życiem. Miała do siebie pretensje, że do wszystkiego czuje dystans, że stoi obok życia, że jest obserwatorem, a nie uczestnikiem. Ale nie poszła za jego radą, nie wstąpiła do solidalicji, nie zasiłowała szeregów komitetu do układania kwiatów ani kółka pań zajmujących się gotowaniem i wypiekami.

Po mszy witał się z parafianami, zwracając się do nich po imieniu.

- Jak się masz, Dan. Zimno dziś, co?

- Oj, zimno, proszę księdza. Może ksiądz wpadnie do hotelu, żeby się troszkę rozgrzać?

- Chętnie bym wpadł, nie powiem, ale zaraz po śniadaniu mam wizyty u chorych.

Ksiądz Baily z najwyższą chęcią zasiadłby w mrocznym pokoiku na zapleczu „Centralnego” i wypił trzy kieliszki brandy na rozgrzewkę, ale jego gospodyni już nakryła do stołu. Zaraz po śniadaniu wybierał się najpierw do zakonu siostry Bernard, aby odwiedzić pewną zakonnice w podeszłym wieku, potem zaś do wieśniaka z dzikiej głuszy, któremu niósł Przenajświętszy Sakrament, a który nigdy nie chodził do kościoła - gdy się okazało, że ma nieuleczalnego raka, zapragnął, by kościół przyszedł do niego.

A wszędzie, dokąd ksiądz się wybierał, ludzie pytali go,

102

co będzie, kiedy pewnego dnia znajdą ciało Helen McMahon. Unikał

konkretnych odpowiedzi, wyrażał niegasnącą nadzieję i nie deklarował się w żaden wiążący sposób. Przypominał też, by się za biedaczkę modlić.

Ze szczególną serdecznością uściskał dłoń Martina McMahona.

- Dobrze, mój synu, bardzo dobrze. Jesteś skarbnicą wiary, ot co.

Codziennie modłę się za ciebie do Boga o łaskę, której ci potrzeba.

Martin był blady i załamany. Ksiądz zastanawiał się, czy jego modlitwy odnoszą jakiś skutek. - Dziękuję.

Modłę się również za Kit i za Emmeta. Dobrze, mój synu, dobrze.

Słowa były zupełnie bez znaczenia i dobrze o tym wiedział. Ale cóż

innego mógł ofiarować rodzinie jako pocieszenie? Jedynym

błogosławieństwem w tym wszystkim było to, że nieszczęsna kobieta nie zostawiła listu. Kiedy więc pewnego dnia znajdą ciało, koroner z całą pewnością będzie na tyle taktowny, by mówić wyłącznie o wypadku albo niezawinionym zdarzeniu. A wtedy pochowają biedaczkę na cmentarzu, gdzie jej miejsce.

Na mszę przyszła również siostra Madeleine. Cichutko przysiadła z tyłu kościoła, okrywając chude ramiona szarą peleryną.

Może siostra zjadłaby z nami obiad? - nieoczekiwanie zapytała ją Kit.

Dziękuję ci, dziecko, ale nie. Składanie wizyt nie jest moją mocną stroną.

Potrzebujemy siostry - dodała Kit z prostotą. Macie siebie nawzajem.

Ostatnio to nie wystarcza. Wszystko ciągnie się za długo. Tylko siedzimy i patrzymy na siebie.

Może zaprosisz któregoś ze swoich przyjaciół? Na przykład Clio albo małego O'Briena z hotelu?

To siostra jest moją przyjaciółką. Proszę, niech siostra przyjdzie.

Dziękuję, Kit. To bardzo miłe zaproszenie. Rita kroić mięso. Wielką kulę

mięsa od Hickeyów.

103

- W życiu nie widziałam tyle mięsa - powiedziała zadziwiona pustelnica.

- To nie rozrzutność. Dzisiaj będziemy jeść je na gorąco, jutro na zimno i zostanie jeszcze na srodę do potrawki. - Rita nie posiadała się z dumy, że tak gospodarnie prowadzi dom.

Siostra Madeleine rozejrzała się po kuchni, pośrodku której siedzieli przy stole. Znalazła się w domu, nad którym tragedia zawisła tak wyraźnie, że niemal było ją widać.

- Wędrowcy wciąż szukają - powiedziała. Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni i wstrząśnięci, iż gość napomyka o czymś, o czym nikt nie chciał mówić. - Chodzą wokół całego jeziora. Jeśli cokolwiek można tam wypatrzeć, oni wypatrzą to na pewno.

Zapadła grobowa cisza. Ilekroć ktoś poruszał temat, który zaprzętał ich uwagę najbardziej ze wszystkich tematów, McMahonowie nie byli w stanie wydusić z siebie słowa. Siostra Madeleine czekała. Milczenie nigdy jej nie przeszkadzało. Nie chciała ich poganiać, by wypełnili ciszę słowami.

- To ładnie z ich strony, że... wykazują tyle zainteresowania - wybąkał wreszcie Martin.

Pustelnica nie przejęła się jego skrepowaniem.

- Helen zawsze była wobec nich bardzo uprzejma. Znała ich imiona i imiona dzieci. Często wypytywała ich o zwyczaje i o język.

Kit patrzyła na nią zaskoczona. Tego o mamie nie wiedziała. A przecież siostra Madeleine mówiła szczerze, nie zmyślała, aby ich pocieszyć czy ukoić ból gładkimi słówkami.

- Oni rozumieją, co to potrzeba pogrzebu - ciągnęła pustelnica. - Dla swoich zmarłych urządzą cudowne uroczystości. Ściągają taborami z najdalszych stron kraju, żeby wziąć w nich udział. Dla nich pożegnanie to znalezienie miejsca spoczynku na cmentarzu.

- Jeśli w ogóle... - zaczęła Kit.

- Jeśli w ogóle znajdą ciało - przerwała jej siostra Madeleine. - Znajdą, znajdą... Albo wędrowcy, albo ktoś inny,

104

A wtedy będziecie mogli modlić się nad jej grobem - zakończyła stanowczo.

Nie miała żadnych wątpliwości, że ksiądz pochowa Helen w poświęconej ziemi. Mogła za murami cmentarza. Kopiec nagrobka. Piętno samobójczyni. Tego wieczoru Kit usiadła z ojcem.

Minęło już tyle czasu... Ponad miesiąc... Czy z mamy jeszcze coś zostało? To samo pytanie zadałem Peterowi u Paddlesa. Powiedział, iż nie wolno nam w ten sposób myśleć. Mówił, że trzeba myśleć o jej duszy, która tamtej nocy opuściła ciało, to co zostało z ciała, nie ma żadnego znaczenia.

Pewnie ma rację.

Chyba tak, Kit. Chyba tak.

Matka przełożona została wywołana z klasy.

W klasie natychmiast wybuchły rozmowy. Wśród dziewcząt panowało wielkie poruszenie, gdyż ktoś widział w krzakach gimnazjalistkę Deirdre Hanley ze Steviem Sullivanem.

I żeby się tylko całowali, ale nie, bo Deirdre jakby się wokół niego owijała, więc na pewno robili coś znacznie,

znacznie gorszego. Dziewczęta były tak bardzo rozemocjonowane chęcią poznania dalszych szczegółów, że w ogóle nie zauważyły powrotu siostry Bernard. Jej głos podziałał na nie jak trzask bicia.

Liczyłam na to, iż takie duże, już prawie dorosłe panny potrafią pracować samodzielnie. Ale jak widać, byłam w błędzie. I to w dużym błędzie.

Zawstydzona, wracały do ławek na palcach. Matka przełożona miała kredowobiałą twarz. Musiała się rzeczywiście mocno zdenerwować.

Jednak tym razem odwołam się do waszego honoru, każda z was wyjmie zeszyt do wypracowań i zapisze w nim stronę o adwencie, o okresie oczekiwania poprzedzającym Boże Narodzenie. Spojrzały po sobie zrozpaczone. Całą stronę o adwencie!

O czym tu pisać, poza tym, że adwent trwa całą wieczność niemal tak samo okropny jak wielki post?

W wypracowaniu nie będzie ani kleksów, ani dużych

105

odstępów między wyrazami. Będzie to praca, która da wam powód do dumy. - W głosie siostry przełożonej zabrzmiała złowroga nutka.

Dziewczynki ujęły pióra, zdając sobie sprawę, że tym razem to nie żarty. I że o Deirdre Hanley nie dowiedzą się nic więcej, przynajmniej na razie.

- Katherine McMahan, pozwól na chwilę.

Brat Healy stwierdził, że Kevin Wall będzie miał dużo szczęścia, jeśli przeżyje choć jeden dzień, nie poczuwszy na dłoniach razów kija. Chłopak był wystraszony, choć nie tak bardzo, jak pragnąłby tego nauczyciel.

Kręcił kulki z bibuły przesiąkniętej atramentem.

Ktoś poprosił brata Healy'ego do drzwi.

- Za pięć minut wracam! Zrozumiano?! - ryknął brat na chłopców, a potem wyszedł z klasy, by odszukać Emmeta McMahona i powiedzieć to, co miał mu do powiedzenia.

Żadne nauki nie mogły przygotować go do takich zadań. Brat Healy westchnął. Zaszleścił habit i zakonnik ruszył korytarzem do sali, gdzie nieświadomi niczego chłopcy z drugiej klasy odbywali lekcję z bratem Doyle'em.

Do wieczora wiedzieli już wszyscy w mieście.

W trzcinach odnaleziono ciało. Było już bardzo zniszczone rozkładem. Nie dało się go zidentyfikować.

Doktor Kelly udał się do domu przyjaciela. Wszyscy mówili, że Martin McMahon pod żadnym pozorem nie powinien patrzeć na coś, co już w niczym nie przypomina jego żony. Z Dublina przyjechał anatomopatolog. Był tego samego zdania. Ludzie dowiedzieli się, iż prace dochodzeniowe potrwać kilka dni.

Wydzielono i ogrodzono kawałek jeziora. Mieszkańcy Lough Glass opowiadali sobie, że słyszeli nadjeżdżającą karetkę. Zupełnie tak, jakby po upływie ponad miesiąca karetka pogotowia mogła się jeszcze na coś przydać. Jednak, z drugiej strony, jak przewieźć ciało biedaczki do przyszpitalnej kostnicy?

Każdy miał coś do opowiedzenia na temat McMahonów.

Kathleen Sullivan z warsztatu mówiła, że tej nocy

106

u McMahonów świeciło się do rana. Widocznie nikt u nich nie spał.

Clio Kelly opowiadała, iż wszystko się u McMahanów odmieniło, jakby znormalniało. I przestało się u nich rozmawiać dziwnie ściśniętym głosem. Pani Hanley, właścicielka sklepu z odzieżą, powiedziała, że poszła im złożyć kondolencje, ale bezczelna służąca McMahanów nie wpuściła jej za próg, twierdząc, że cała rodzina jest wyczerpana nerwowo.

Pani Dillon, właścicielka sklepu z gazetami i pocztówkami, stwierdziła, iż bardzo wzrósł popyt na karty do mszy, ponieważ teraz, gdy odnaleziono zwłoki i gdy było już wiadomo, że pogrzeb się odbędzie, wszyscy chcieli okazać zmarłej szacunek, zamawiając mszę za spokój jej duszy. Sierżant O'Connor wyznał, iż dwaj funkcjonariusze, którzy ścignęli do Lough Glass aż z komendy głównej w Dublinie, okazali się najwspanialszymi gośćmi, jakich w życiu spotkał. Pochwalili go za bardzo dobre prowadzenie dokumentacji, powiedzieli, żeby nie martwił się tym, iż poszukiwanie ciała trwało tak długo. Uznali, że okolica jest zupełnie dzika. „Głucha dzicz”, jak wyraził się jeden z nich. Nie rozumieli, jak można mieszkać w takiej dziurze, w miejscu, gdzie nie dzieje się dosłownie nic. Ta uwaga nie przypadła Seanowi do gustu, wydała mu się nieco obraźliwa, ale zapewnili go, iż życie w Dublinie też ma swoje słabe strony. No i siedzieli z nim u Paddlesa do nieprzyzwoicie późnej godziny, bo prawie do rana, pozdrawiając skinieniem głowy tych mieszkańców Lough Glass, którzy pili po nocy.

Wszystkich pan tu zna - skonstatował jeden z funkcjonariuszy.

Owszem, i sporo o nich wiem. Zmarłą też pan znał? Oczywiście.

Jak pan sądzi, dlaczego to zrobiła? Hm, nie wiemy, czy to zrobiła - czujności Seana O'Connora nie dawało się uśpić żadną ilością piwa.

Fakt, że nie wiemy, ale podejrzewamy. Jak pan myśli, co ją do tego

przywiodło?

Nie pasowała do Lough Glass. Nie zarzuciła tu

107

kotwicy. Jakby cały czas dryfowała. Może była za ładna, jak na to miasto.

- Miała kogoś na boku?

- Panie, jak się jest mężatką w Lough Glass, to nie można mieć nikogo na boku. Nawet pannie czy wdowie jest z tym trudno, bo wszyscy mają na nią oko.

- Znaczy nie był to zawód miłosny. A nie mówiło się czasem o dziecku albo o czymś takim?

- Nie - sierżant natychmiast oprzytomniał. - Chyba nic takiego nie stwierdzono?

- Nie - odparł pogodnie młody policjant. - Nie. Zresztą na tego rodzaju odkrycia jest już o wiele za późno. Może jeszcze po jednym?

Do McMahonów zajrzał Philip O'Brien. Zapytał, czy Kit nie chciałaby, żeby z nią trochę posiedział.

- No wiesz, jak tego wieczoru, kiedy mama zaginęła. Oczy Kit napęłniły się łzami. Jak ładnie to ujął! Mama zaginęła.

- Bardzo ci dziękuję, Philipie - pogłaskała go po policzku. - Jesteś bardzo dobry, ale myślę, że...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Wiem. Chciałem tylko, byś wiedziała, że jeśli będę ci potrzebny, to wiesz, iż mieszkam niedaleko. - Zszedł po schodach i dotknął miejsca na twarzy, gdzie Kit go pogłaskała.

W domu zrobiło się zadziwiająco spokojnie, dużo lepiej niż w minionym

miesiącu. Wiedzieli, że formalności potrwać kilka dni, ale pogrzeb miał się odbyć już w następny weekend. Wreszcie mogli coś dla mamy zrobić. Mogli ją należycie pożegnać.

- Tatusiu, przykro ci, że znaleźli mamę? - zapytała Kit. - Miałaś nadzieję, że może gdzieś żyje, że może ją porwali?

- Nie, nie. Wiedziałem, iż tak nie jest.

- Więc to lepiej, że ją znaleźli?

- O tak, dużo lepiej. Wystarczy już samo to, iż mama nie żyje. Nie zostanie na wieki w jeziorze, będziemy mogli chodzić na jej grób. -

Zapadła długa cisza. - To był straszny wypadek, wiesz o tym, prawda?

108

Wiem - odparła Kit i spojrzała w płomienie, na czerwonożółte jęzory ognia.

Mieli rację uważając, że dochodzenie wkrótce się skończy.

Ponieważ doktor Kelly, miejscowy lekarz, zidentyfikował ciało, anatomopatologa poproszono jedynie o pobieżne oględziny.

Nikt nie rozważał kwestii ataku na zmarłą czy jakiegokolwiek udziału innego człowieka.

Nie wspomniano też słowem o targnięciu się na własne życie pod wpływem chwilowego zaćmienia władz umysłowych.

Jeśli ktokolwiek dziwił się tak daleko posuniętemu rozkładowi ciała, nie wyraził swych wątpliwości publicznie.

Helen McMahan leżała w wodzie ledwie miesiąc, ale była zima, a ryby w tej części jeziora... Hm, nie było co wdawać się w szczegóły.

Zresztą jeśli to nie ona, to kto? W tej okolicy nikt ostatnio nie zaginął.

Koroner mówił coś o potrzebie oczyszczenia wewnętrznych szlaków

wodnych w Irlandii. W nabrzeżnych szuwarach i zarośniętych trzcina zatoczkach dochodziło do zbyt wielu tragicznych wypadków.

Ciało Helen McMahan zostało wydane rodzinie celem pochówku.

W dniu pogrzebu zajrzała do nich Clio. Przyniosłam ci mantylkę - powiedziała. Co to jest?

Taki stroik, czarny welon z koronki, trochę podobny do hustki na głowę.

Noszą je Hiszpanki i eleganckie katoliczki, kiedy nie chcą nałożyć kapelusza, a zwykła chustka po prostu nie uchodzi.

Mam to nosić w kościele? Jeśli chcesz. To prezent od ciotki Maury. To miło z jej strony, prawda? - Kit na ogół krytykowała ciotkę Clio.

Przyjaciółka była wyraźnie zadowolona. Bardzo. Ona zawsze umie się znaleźć. Kit skinęła głową. Rzeczywiście. Wczoraj wieczorem Rita powiedziała jej, że siostra pani Kelly przyszła doradzić w sprawie jedzenia. Zaproponowała kupno dużej szynki,

109

podpowiedziała też, żeby poprosić panią Hickey, żonę rzeźnika, by tę szynkę od razu ugotowała. Rita protestowała, mówiąc, że Hickeyowie tego nie zrobią, ale ciotka Maura za nic nie chciała ustąpić. W końcu

McMahonowie byli dobrymi klientami Hickeyów i zawsze się w ich sklepie zaopatrywali. Hickeyowie będą zachwyceni możliwością pomocy. I niech przyniosą szynkę w niedzielę po południu - mówiła ciotka Maura - zanim ludzie wrócą z cmentarza.

Rita stwierdziła, że była to naprawdę bardzo duża pomoc. Nie chciała cały dzień tkwić na straży kotła z szynką i zasmradzać gotowaniem mieszkania.

Mogła się teraz skupić na tym, by prosić zaproszonych gości o przyniesienie domowego chleba. Zwróciła się też do pana O'Briena, by

zechciał wypożyczyć z hotelu trzy tuziny kieliszków.

Mimo to Kit czuła, iż przyznając, że ciotka Maura bardzo im pomogła, zachowuje się wobec mamy nielojalnie. Mama jej nie lubiła. Nigdy nie przyznała tego otwarcie, ale Kit nie miała wątpliwości. Jednak idiotyzmem byłoby przypuszczać, że mamie zależałoby na tym, by i ona, Kit, zachowywała wobec ciotki Maury dystans, o którym słowem nie wspomniano.

Czy mama chciałaby, żeby Kit nałożyła mantylkę? Kit znieruchomiała.

Czy mamie w ogóle przemknęła myśl o pogrzebie, zanim wyszła z domu i zrobiła to, co zrobiła? Czy kiedy pisała list, zastanawiała się, jak mieszkańcy Lough Glass będą ją chować?

Ogarnęła ją fala gniewu.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Clio.

- Tak, w porządku.

- Ciocia mówiła jeszcze, żebym ci nie przeszkadzała, gdybyś chciała być sama. - Na twarzy Clio malowała się niepewność, a jej duże niebieskie oczy były pełne troski.

Kit odczuła wyrzuty sumienia. Przecież to Clio, jej najlepsza przyjaciółka, ktoś, kto chce jej nieba przychylić. Dlaczego jest wobec niej taka opryskliwa, dlaczego ciągle skacze jej do oczu?

- Bardzo chcę, abyś ze mną została. Jesteś mi potrzebna. Będzie mi miło, jeżeli zostaniesz. - Uśmiech Clio rozświetlił cały pokój. - Ty też masz mantylkę?

110

Nie, ciocia Maura powiedziała, że mantylka jest tylko dla ciebie. Kit nałożyła ją na głowę.

Wygląda świetnie. Twoja mama byłaby z ciebie dumna.

Wtedy tama puściła i Kit się rozszlochała. Po raz pierwszy przy Clio.

* * *

Pieśni śpiewane na pogrzebach są zawsze smutne, ale zdaniem księdza Baily'ego jeszcze nigdy nie były tak smutne jak tego zimowego popołudnia, gdy wiatr smagał jezioro, a w kościele hulał lodowaty przeciąg. Może wrażenie to potęgowała okrągła, prostoduszna twarz Martina McMahona, zdumionego i nie dowierzającego. A może jego dzieci: dziewczynka w hiszpańskiej mantylce i chłopiec, którego wada wymowy, kiedyś już uleczona, teraz znów odezwała się z dawną siłą. Ksiądz potoczył wzrokiem po kościele. Miał przed sobą stałą trzódkę wiernych. Chór śpiewał Hymn do Maryi. Chórzyści odśpiewali pierwszą zwrotkę, I w drugiej zawtórowali im wierni.

O konwalio, mój kwiecie mistyczny, jakie drzewo,

Jakież kwiat pośród kwiatów najwspanialszy Jest choćby w połowie tak piękny jak ty...

Śpiewali chrząkając i pokaszując, z oczami przysłoniętymi mgiełką łez na myśl o kobiecie, która straciła życie w ich jeziorze.

Odprawiając nabożeństwo ubiegłego wieczoru, ksiądz myślał o śmierci Helen McMahan. A jeśli Helen odebrała sobie życie? Powiedział sobie wtedy bardzo, ale to bardzo stanowczo, że Bóg nie powołał go do roli sędziego, przysięgłych czy kata. Powołał go do roli duszpasterza, jego zadaniem było odprawić mszę za duszę Helen i odprowadzić jej zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku.

111

W końcu mieli rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi. Czasy

średniowiecza dawno minęły. Niech Helen McMahon odpoczywa w pokoju!

Sullivanowie stali ramię przy ramieniu: Kathleen i jej dwaj synowie. Stevie raz po raz zerkał na Deirdre Hanley ze sklepu z odzieżą. Kathleen gromiła go wzrokiem. Kościół nie jest miejscem, gdzie spogląda się łasym okiem na dziewczyny, a pogrzeb nie najlepszą ku temu okazją. Michael kopał nogą, usiłując odkruszyć kawałek obłuzowanej podeszwy z czubka buta. Matka dała synowi kuksańca w bok, przywołując go do porządku. Od pewnego czasu Michael ją martwił. Ciągle plątał się pod nogami i zadawał pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi. Jak na przykład takie: Co trzeba zrobić, jeśli się wie o czymś, o czym inni nie wiedzą? Albo: Załóżmy, że wszyscy mają w danej sprawie określone zdanie, a ja wiem, że na pewno są w błędzie, to czy powinienem im o tym powiedzieć? Kathleen Sullivan nie miała cierpliwości wnikać w tego rodzaju kwestie. W zeszłym tygodniu oświadczyła Michaelowi, że nie ma zielonego pojęcia, o co mu chodzi, i odesłała go do starszego brata. Była absolutnie przekonana, że chodzi o sprawy seksu w tej czy w innej postaci i że Stevie na pewno wyjaśni mu, co trzeba. W każdym razie w ostatnich dniach Michael trochę się uspokoił. Miała nadzieję, że Stevie wypowiedział się w miarę autorytatywnie. Za to zupełnie nie podobały się jej spojrzenia, jakie jej starszy syn posyłał wielkiej jak kopa siana dziewczusze od Hanleyów, która była dla niego i za stara, i zdecydowanie za bardzo rozwinięta.

Kevin Wall uznał, że to potworne, kiedy matkę zjadają ryby. A właśnie to przydarzyło się mamie Emmeta McMahona. I to w dodatku akurat tego samego wieczoru, kiedy obydwaj z Michaelem Sullivanem poszli nad

jezioro. Na dobrą sprawę mogli znaleźć się w pobliżu miejsca wypadku. Michael bardzo się tym denerwował. Uważał, iż powinni powiedzieć ludziom, że tamtego wieczoru to właśnie oni wzięli łódkę. Kevin był temu przeciwny. Bał się, że dostaną w skórę. Michael nie miał ojca, który mógłby spuścić mu tęgie lanie, i pewnie dlatego upierał się, że policjanci z Dublina,

112

mieszkańcy miasta i wszyscy inni nie powinni szukać ciała topielicy, skoro mama Emmeta wcale nie wsiadła do łódkii.

To przecież oni się w niej wygłupiali, to oni wiosłowali wzdłuż pomostu, aż wreszcie łódka odpłynęła za daleko, by mogli jej dosięgnąć. Potem zdryfowała na środek jeziora i przewróciły ją fale. Kevin twierdził, iż nie ma to

żadnego znaczenia, ale Michael cały czas się bał.

Mówił, że skoro zjechali tu ci z Dublina, to obydwaj mogą skończyć w poprawczaku. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Kevin miał rację, iż milczał. Przecież Michael Sullivan to na pół wariat. Jego stary wykitował w wariatkowie. Rzecz jasna, na głos tego nie powiedział.

Maura Hayes i jej siostra Lilian miały na sobie ciemne, skromne kapelusze z weluru. Peter wielokrotnie wydmuchiwał nos w czasie mszy. Clio i mała Anna stały, czekając na ostatnią pieśń.

Kit dzielnie się trzyma - skonstatowała z uznaniem Ilian. - Jest tak opanowana, że nawet nie płacze, zauważyła.

Dużo płakała - odrzekła Clio. - Może zabrakło jej łez? Ilian otaksowała ją

zdzumionym spojrzeniem. Clio nigdy nie była taka wrażliwa. Może to dziecko jest bardziej uczuciowe, niż dotąd myślała? Kiedy żałobnicy wyszli z kościoła na kęsające zimno, Stevie Sullivan dołożył starań, by znaleźć się obok Deirdre. Przyjdiesz do mnie do domu? No wiesz, jak to się liczy...

Do ciebie do domu? Chyba zwariowałeś! Mama idzie do McMahanów. Moja też.

No to będziemy widzieć, kiedy stamtąd wyjdą. Zdażysz się wymknąć. A skąd je będziemy widzieć? Z okna mojej sypialni - odpowiedział. Żartujesz?

W końcu łóżko jest równie dobre jak kanapa, nie? I o wiele lepsze od tylnego siedzenia w samochodzie.

113

- Czy jej dusza zazna teraz spokoju? - spytała Kit siostrę Madeleine, gdy stały przy grobie.

- Jej dusza już dawno go zaznała - odrzekła pustelnica. - Teraz my odnajdziemy spokój, widząc, że ciało mamy trafiło na miejsce wiecznego spoczynku.

Oczywiście wyobraźni Kit zobaczyła białą kopertę adresowaną do taty.

Siostra Madeleine mocno ujęła ją za ramię.

- Bardzo pragnę, żebyś zawsze myślała o jednym, moje dziecko. O tym, że twoja mama chciałaby, byś wyrosła na młodą, silną kobietę, która zawsze spogląda w przyszłość, a nie w przeszłość.

Zdzumiona Kit spojrzała na pustelnicę. Mama rzeczywiście właśnie tego by chciała. Ujęła to niegdyś prawie tymi samymi słowami.

- O tym musisz teraz myśleć - ciągnęła pustelnica. - A mając świadomość,

iż zrobiłaś wszystko, czego mama od ciebie oczekiwała, na pewno zapewnisz jej spokój.

Kit rozejrzała się i zobaczyła, że mieszkańcy Lough Glass szykują się do odmówienia modlitw różańcowych za duszę Helen McMahan. A wszystko dzięki niej, dzięki Kit. To ona spaliła list, przez który mama trafiłaby do nieoznaczonego grobu za murami cmentarza, na którym chowano godnych tego chrześcijan.

Wyprostowała ramiona.

- Robię, co w mojej mocy, mamó - powiedziała i chwyciła dużą, zziębniętą dłoń ojca i małą, drżącą rączkę Emmeta. I stali tak w deszczu nad grobem.

Rozdział trzeci.

Helen McMahan sięgnęła po kolejnego papierosa. Musi się uspokoić. Musiała pomyśleć. Nie mogła uwierzyć, iż Martin zareagował w ten sposób. Przecież dotrzymała słowa, gdy zapowiadając, że nigdy go w pełni nie pokocha, składała mu różne obietnice. Wiedziała, że do końca życia nie zapomni Louisa Graya, mimo to przyrzekła Martinowi, iż nigdy go nie zdradzi i wywiąże się z obowiązków żony najlepiej, jak potrafi, o ile tylko on zagwarantuje jej tyle wolności, że będzie mogła chodzić na spacer, rozmyślać i uciekać od dławiącej nudy małego miasteczka. Przysięgała, iż go nie opuści, nie wyjaśnwszy powodów odejścia. Z dużym bólem napisała mu o tym wszystkim w liście. A przed wyjściem położyła list na jego łóżku, napisała mu o dziecku. O tym, jak ponownie spotkała Louisa, i o tym, jak Louis przyznał, iż popełnił błąd porzucając ją dla innej. Louis i ona - pisała - muszą wykorzystać szansę na szczęście. Nie weźmie z sobą nic. Nic, co dostała od Martina. Cały tydzień pisała ten list, cały tydzień

poprzedzający jej odejście. Napisała, że daje mu wolną rękę w sprawie wyjaśnienia jej nieobecności w Lough Glass, i z góry zgadzała się na wszystko. Mogła odejść z Louisem. Mogła pojechać do krewnych. Mogła zachorować i wyjechać na leczenie. Tylko mogła mu ofiarować: wybór historyjki tłumaczącej jej odejście z Lough Glass.

Nie było to wiele, jeśli chodzi o ratowanie honoru czy duszy Martina, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, ile mu zawdzięczała.

115

Zostawiła mu adres i telefon londyńskiej organizacji zajmującej się ratowaniem Irlandek w potrzebie. Dostrzegając w tym gorzką ironię losu, bo przecież właśnie nią była: Irlandką w potrzebie. Napisała Martinowi, że codziennie między czwartą a szóstą będzie pod telefonem, że czeka na wiadomość.

Do Londynu przyjechali mokrzy i zmęczeni trzydziestego października po południu. Nadal dokuczały jej mdłości związane z ciążą. Zgodnie z obietnicą przez cztery dni siedziała przy telefonie. Martin nie zadzwonił. Napisała, że nie będzie szukała z nim kontaktu, że zaczeka na jego decyzję. W tej sprawie zajęła bardzo wyraźne stanowisko. Dawała mu czas. Dawała mu mnóstwo czasu, by wszystko przetrwał i zareagował tak, jak uzna za stosowne. Wielokrotnie próbowała mu wyznać prawdę, lecz za każdym razem uśmiechał się do niej głupkowskim uśmiechem zakochanego mężczyzny albo robił jakiś dziecinny kawał.

Jedynym sposobem poinformowania go o wadze powziętej przez nią decyzji pozostał list. I teraz, choć nie mogła się już doczekać, co jej Martin powie na temat wersji, którą postanowił przekazać dzieciom, siedziała beczynnie przy telefonie i cierpiała katusze. Lecz uczciwość nakazywała

jej dotrzymać słowa. Nie mogła do niego zadzwonić. Nie mogła do niego napisać.

Dni nowego życia, życia u boku Louisa Graya, do którego tak bardzo się spieszyła - przecież nigdy nie przestała go kochać - były koszmarem.

Uodparniała się psychicznie na okoliczność rozdzierającego telefonu od Martina i zaklęć, by do niego wróciła.

Przygotowała argumenty na wypadek, gdyby próbował zrobić z niej potwora porzucającego własne dzieci: nosiła w sobie trzecie dziecko i była odpowiedzialna za jego przyszłość. Wiedziała, że Martin nie zniży się do tego, by wykorzystać Kit i Emmeta w walce o jej powrót. Nie posłuży się nimi jak zastawionymi fantami. I jeśli będzie zachowywał się spokojnie i rozsądnie, wesprze go kilkoma radami.

Rozważała też w myślach słowa, jakimi zamierzała go pocieszyć. Z czasem ludzie o wszystkim zapomną, tak samo

116

jak o innych, którzy wyjechali z Lough Glass z tego czy innego powodu.

Przez kilka tygodni będą się o nią pytać,

później ich zainteresowanie wygaśnie. Martin nie stanie się obiektem skandalu, litości czy potępienia.

No i oczywiście będzie mu pomagać na warunkach, jakie on podyktuje.

Tyle była mu winna. I czekała. Czekwała cztery dni i cztery noce, a telefon milczał. Zadzwonił do niego - namawiał ją Louis. Nie - była nieugięta.

Chryste, Heleno, jest już poniedziałek wieczorem. Z Lough Glass wyjechałaś w środę. Taką taktyką Martin zapędzi nas do domu dla wariatów!

To nie jest taktyka, Louis. Martin nie posługuje się taką taktyką.

Patrzyła na jego gęste ciemne włosy i przystojną twarz, zapadła ze zgryzoty. Miał na sobie niebieską marynarkę w kolorze oczu. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Poza nim nie liczył się nikt. Nadal nie mogła uwierzyć, że wrócił. Przyjęła za dobrą monetę jego zapewnienia, iż z chciwości popełnił błąd, uciekając z bogatą kobietą. Wiedziała, że to prawda. Na jego twarzy zjawily się pierwsze zmarszczki. Dzięki temu, stał się jeszcze przystojniejszy, choć były to zmarszczki przedwczesne. Ale najwspanialsza była okazywana jej przez niego wdzięczność za to, że mu wybaczyła, że darowała mu jego ucieczkę i zdradę. Nie zasługuję na ciebie - powiedział po raz tysięczny w chwili, gdy po nią wrócił. - Nie miałbym pretensji, gdybyś mnie rzuciła. Gdyby go rzuciła?

Miałaby rzucić Louisa Graya, mężczyznę, którego pragnęła nieprzerwanie od dwudziestego czwartego roku życia? Mężczyznę, o którym marzyła, gdy mając dwadzieścia pięć lat wychodziła za McMahona? Mężczyznę, o którym myślała, mocno zaciskając powieki, ilekroć Martin się z nią kochał? Miałaby go rzucić?

Przewędrowałaby cały świat, gdyby uznała, że to go jej wróci.

117

Ale to on ją odnalazł. To on potajemnie przyjechał do Lough Glass i przekonywał, iż przejrzał na oczy. Mówił, że w życiu pisana jest jedna miłość, i przyznał, że bardzo się mylił sądząc, iż jest w stanie odtworzyć tę miłość z inną kobietą.

Wyglądało na to, że i Helen popełniła błąd, usiłując wykrzesać z siebie uczucie do Martina McMahona, prawego, prostodusznego i nudnego aptekarza. Nie mieli wątpliwości - muszą wykorzystać szansę na szczęście

i uciekać. Godziny wykradzione wiosną i latem tego roku, godziny spędzone w lasach okalających Lough Glass stanowiły najlepszy dowód na to, że magia ich uczucia wciąż żyła, a odkrycie, iż Helen jest w ciąży, było ostatecznym bodźcem do podjęcia decyzji.

Kryjąc się przed wścibskimi spojrzeniami mieszkańców małego miasteczka, zachowywali się jak nieodpowiedzialni i nie dostrzegający świata młodociani kochankowie, podekscytowani czekającą ich przygodą. Jak się będą maskować, gdy przyjadą do Londynu? Przy ich pechu na pewno napatoczą się na znajomego z Lough Glass. Spotkają Lilian, która przyjedzie z sekretną misją usunięcia włosów z twarzy, albo panią Hanley wypatrującą frywolnej bielizny do swego sklepiku z odzieżą. Chichotali z tych szalonych pomysłów, a gdy tylko znaleźli się w Londynie, Helen natychmiast poszła do fryzjera, aby ściąć włosy. Zrobiła to nie tylko dlatego, żeby odmienić wygląd - chciała zaznaczyć, że rozpoczyna zupełnie nowe życie.

Patrzyła, jak długie ciemne loki spadają na podłogę, i czuła, że ubywa jej lat. Z krótkimi włosami wyglądała młodziej i silniej. No i jeszcze bardziej spodobała się Louisowi. To było najważniejsze, bo w tej części Londynu i tak nikt by ich przecież nie znalazł. Przyjeżdżający do Londynu Irlandczycy kręcili się po Piccadilly Circus czy po Oxford Street albo jeździli do Camden Town odwiedzić rodzinę. Nigdy nie zaglądali aż na Earl's Court.

Helen i Louis mieli dużo szczęścia, że znaleźli takie mieszkanie. Na dobrą sprawę był to raptem jeden pokój w wysokim budynku, który właścicielka akurat remontowała. Na razie odnowiła tylko pierwsze piętro i nie doszła jeszcze

do ich pokoiku, a w chwili gdy w dbałości o elegancję posesji zechce go odremontować, oni będą już daleko stąd, w domku odpowiednim dla rodziny z dzieckiem. Będą mieszkać ze swoim dzieckiem. Tymczasem pokoik na Earls Court, Londyn SW5 stanowił ich dom. Helen bez przerwy musiała to sobie powtarzać. W tak olbrzymim mieście trzeba było mówić ludziom, czy jest się z jego północnej, południowej, zachodniej czy wschodniej części. Powiedzenie nazwy ulicy nie wystarczało - trzeba było dorzucić pocztowy numer dzielnicy. Ale po trzynastu długich latach spędzonych w Lough Glass, które miało tylko jedną ulicę i ścieżki wiodące nad jezioro... Była tak podniecona, że aż kręciło się jej w głowie. Pokoik był niewątpliwie mały. Stała w nim rozkładana na noc kanapa. Niewiele było tu ozdób i mebli: kilka zdjęć Mice Springs zostawionych przez poprzednich lokatorów, australijczyków, mały stolik, dwa drewniane krzesła. Na podłodze leżał mocno wytarty dywan, a papier, którym wyłożono półki w szafie, był brudny i cuchnął stęchlizną. pozółkł w miejscu, gdzie kapała woda z kranu, a mała półka obok, pełniąca funkcję to suszarki, to znów toaletki, miała oderwany kawałek ceraty. Lecz był to ich nowy dom, w którym zawsze pragnęła mieszkać u boku

Louisa Graya.

Upłynęły ledwie cztery dni od momentu, kiedy Helen porzuciła dotychczasowe życie, a już zapomniała o rzeźbionych meblach w swojej dawnej sypialni: o mahoniowych meblach - schedzie po teściach - oraz pięknej toalecie na giętych, toczonych nogach. Stały się częścią czegoś, co było daleko poza nią. Albo czegoś, co powinno zostać poza nią, gdyby

tylko Martin we właściwy sposób grał swoją rolę. Louis nie miał wątpliwości, o co chodzi.

Ja mu się nie dziwię, naprawdę. Cierpiał przez nas, teraz chce, żebyśmy my cierpieli przez niego.

Ja też bym tak zrobił, gdyby ktoś mi ciebie zabrał. - Kucnął przy niej na podłodze i podniósł na nią wzrok.

Nie chciała się z nim sprzeczać, ale to ona żyła z Martinem McMahonem przez trzynaście lat, nie on. Przysparzanie

119

ludziom cierpienia czy denerwowanie ich nie leżało w naturze jej męża.

Najbardziej obawiała się tego, że Martin zadzwoni i z płaczem obieca jej, iż będzie lepszy, inny, serdeczniejszy, silniejszy, iż będzie taki, jakim go tylko zechce.

- Chyba dostał mój list, prawda? - powiedziała nagle.

- Mówiłaś, że zostawiłaś kopertę w takim miejscu, gdzie na pewno ją zauważy.

- Na pewno ją zostawiłam.

- No i chyba nikt nie zabrałby listu, skoro był adresowany do Martina?

- Nie, nikt by go nie zabrał. - Już wcześniej rozważała tę kwestię. Takie rozmowy nic jej nie pomagały, a tylko irytowały Louisa. Odpędziła natrętne myśli o liście i o Martinie. - Kocham cię, Louis.

- I ja ciebie, Heleno.

Zawsze się tak do niej zwracał. Dla niego była Heleną, nie Helen.

Przypomniała sobie, jak pewnego dnia pomagała Kit w odrabianiu lekcji z historii. Kit uczyła się o wyspie, na której Napoleon żył na wygnaniu.

Wyspa Świętej Heleny. „Ja też jestem Helena”, powiedziała wtedy. „Ty

masz na imię Helen" - poprawiła ją szorstko Kit, zupełnie tak, jakby w tym, że mama może mieć inaczej brzmiące imię, było coś niebezpiecznego. Jakby już wtedy wiedziała...

- Zabierzesz mnie do miasta? - uśmiechnęła się do niego. Miała nadzieję, że nie wyczyta z jej oczu, jak bardzo czuje się stara i zmęczona.

Ucieszył się.

- O, to rozumiem!

Przyniósł płaszcz i podał jej czerwoną chustę, którą nosiła na głowie.

Zawiązała ją jak Cyganka. Z fantazją, wesoło.

- Jesteś taka piękna - powiedział.

Przygryzła wargę. Tak często marzyła, że po nią wróci, iż z trudem to wszystko ogarniała.

Zeszli na dół, mijając po drodze łazienkę, z której korzystali do spółki z lokatorami trzech innych mieszkań. Na jej ścianie wisiał regulamin użytkownika pomieszczenia, osłonięty plastikową koszulką chroniącą papier przed zaparowaniem.

120

Przypominał, że za używanie gorącej wody z termy trzeba każdorazowo płacić, że łazienkę należy zostawić po sobie w takim samym stanie, w jakim się ją zastało, a lokatorzy nie mogą zostawiać w niej kosmetyczek z przyborami toaletowymi.

Helen pomyślała o przestronnej i wygodnej łazience nad apteką w Lough Glass, gdzie na kaloryferze grzały się ręczniki i gdzie na podłodze leżał futrzak z wełny, chroniący przed zmarznięciem nóg.

Ale fajnie! - wykrzyknęła Helen i lekko zbiegła po schodach. Widząc uśmiech swojego mężczyzny, wiedziała,

że obrała właściwą drogę: Louis Gray lubił, kiedy życie toczyło się gładko i było wolne od zmartwień.

Z pokoju przy drzwiach wyjrzała Ivy. Była to drobna, szczupła kobieta o mocno już siwiejących, szpakowatych włosach. Miała pokrytą zmarszczkami twarz i pogodny uśmiech. Trudno było odgadnąć, czy była bliżej czterdziestki, czy dobiegała już pięćdziesiątki. Miała na sobie bawełniany t-shirt drukowany w małe różowe i czerwone kwiatki. Sprawiała wrażenie osoby, która całe życie ciężko harowała, nie unikając żadnej pracy. Tym bardziej więc obowiązki właścicielki pokoi, wynajmowanych najprzeróżniejszym osobom, nie nastęrczały jej szczególnego wysiłku. Drzwi od pokoju miały okienko z grubą zasłoną, dzięki czemu Ivy mogła obserwować wchodzących i wychodzących lokatorów.

Wychodzicie się państwo zabawić? - zapytała.

Pytania Ivy Brown nie drażniły Helen. Brzmiały inaczej niż te, które słyszała w Lough Glass. „Wybiera się pani na spacer nad jezioro, pani McMahon?”, „Znow na samotnej przechadzce, Helen?”, „A gdzieś ty była po południu?” Nie lubiła takiej indagacji ze strony pani Hanley ze sklepu z odzieżą, Dana O'Briena z „Centralnego” ani Lilian Kelly, żony doktora, której oczy widziały za dużo.

Pytania Ivy były inne. Ivy Brown sprawdzała tylko, czy Australijczycy nie sprowadzają po kryjomu swoich ziomków, którzy potem nocują na podłodze, i czy nikt nie przyprowadza do domu zmiennika, z którym wspólnie korzysta z pokoju, śpiąc na przemian zgodnie z rytmem szych w robocie: jeden w nocy, drugi w ciągu dnia.

- Idę zwiedzić kawałek Londynu, pani Brown - Helen odrzuciła głowę w tył i roześmiała się ze szczęścia.

- Mów mi "Ivy", kochana. Kiedy dokoła są same panie Brown i same panie Gray, życie robi się strasznie ponure.

Louis podszedł do Ivy i wyciągnął rękę: ich znajomość zmieniała charakter, stawała się bardziej osobista.

- Louis i Helena Grayowie - powiedział.

Słyszając to Helen poczuła dreszcz emocji, zupełnie jak szesnastolatka, a nie jak zamężna kobieta w średnim wieku, która uciekła od męża i spodziewała się dziecka obcego mężczyzny.

- Lena Gray - powiedziała Ivy w zamyśleniu. - Jakie śliczne imię!

Filmowe. Bo i mogłabyś zostać gwiazdą, kochana, tak, tak.

Trzymając się za ręce, szli Earl's Court Road, potem Old Brompton Road.

Wszędzie zauważali coś, co miało upamiętniać ważne wydarzenie czy znaczące miejsce. Na przykład Baron Court, czyli Dwór Barona, i place nazwane na pamiątkę bitew: Waterloo i Trafalgar. Nazwy brzmiały tak jakoś szlachetnie i godnie, zwłaszcza dla kogoś, kto przez długie lata mieszkał w zapadłej dziurze wśród takich zakamarków jak Zaułek Paddlesa, tak bowiem mieszkańcy Lough Glass ochrzcili wąziutką przecinękę, biegnącą ku jezioru za barem prowadzonym przez mężczyznę o ogromnych stopach.

- Będziemy tu bardzo szczęśliwi - powiedziała. Uśmiechnęła się do Louisa i ścisnęła go za ramię.

- Wiem - odrzekł.

Sklepikarz wnosił do sklepu niesprzedane za dnia owoce i warzywa. Na

chodnik upadł pojedynczy kwiat. Louis go podniósł.

- Potrzebne to panu? - zapytał sklepikarza. - Mogę go ofiarować mojej pięknej żonie? - Miał zaraźliwy uśmiech.

- To nie jest pańska żona - odparł sklepikarz i odpowiedział mu uśmiechem zmęczonej twarzy.

- Ależ tak! - oburzył się Louis. - To Lena Gray, moja żona.

122

W życiu. Daj jej pan ten goździk, ale to nie jest pańska żona, chłopie. Za dobrze wam razem. Roześmiali się jak dzieci i pobiegli ulicą przed siebie, aż dotarli do włoskiej restauracji. Przy stoliku Louis wziął Helen za rękę. Obiecasz mi coś?

Wszystko, co zechcesz. Przecież wiesz. Obiecuj, że nigdy nie będziemy tacy jak te pary, które nie mają sobie nic do powiedzenia. Obiecujesz? - spytał z niepokojem.

Zawszę będę ci miała o czym mówić, ale nie wiem, czy zawsze będziesz chciał mnie słuchać. - Przed laty znużył się słuchaniem i odszedł. Została wtedy w Dublinie sama i płakała za nim. Miała to wypisane w oczach. Jesteś moją Leną, jak mówiła Ivy, Leną Gray. To imię gwiazdy filmowej. Jesteś piękna i urzekająca, moja najukochańsza. Od teraz myśl o sobie jako o Lenie - Helenie, porywającej jak nowe życie.

Oczy mu płonęły i Helen wiedziała, że jeśli chce go podtrzymać w podobnym nastroju, nie może więcej mówić ani o zapadłych irlandzkich dziurach, ani o tym, że czuje się prowincjuską. Musi się przeobrazić w Lenę Gray, w kobietę zdolną zatrzymać przy sobie mężczyznę takiego jak Louis. I nie może się bać, iż pewnego dnia stanie się starą

matroną.

Od razu sobie założyli, że ten pierwszy tydzień pobytu w Londynie będzie dla nich miodowym miesiącem. Nie musieli szukać pracy ani martwić się, jak związać koniec z końcem, nie w tej chwili. Obiecali sobie, że zejną na ziemię dopiero w poniedziałek, dziesiątego listopada.

Będą mieli jeszcze dużo czasu na zmartwienia.

Louis był komiwojażerem. Nie było takiej rzeczy, której nie umiałby sprzedać. Naturalnie nie mógł liczyć na żadne preferencje, choć pracował kiedyś w dużym przedsiębiorstwie w Irlandii i był ogromnie cenionym pracownikiem. Cenionym do chwili, gdy uciekł z córką właściciela. I na tym opowieść się kończyła. Uciekli do Hiszpanii, i kropka.

Szczegóły ucieczki nie były zbyt dobrze znane, ale też Helen wcale się o nie nie dopytywała. Potem przeżył lata tułaczki,

123

które relacjonował z grubszą i nigdy nie chciał ich zbyt dokładnie analizować. A Lena Gray nie miała zamiaru dociekać szczegółów.

Louisowi zaproponowano pieniądze, byleby tylko zostawił dziewczynę - w dodatku jedynaczkę - w spokoju. Oczywiście odmówił. Ale z czasem, gdy uczucie się wypaliło i Louis stwierdził, że popełnił błąd, przyjął oferowaną kwotę, żeby zapewnić sobie, jak powiedział, „życiowy start”. O tym starcie także zbyt wiele nie rozmawiali.

Helen wiedziała tylko tyle, iż jakiś czas pracował na czarno w Ameryce, a potem spędził parę miesięcy w Grecji.

Chciał po nią wrócić, po Helenę, po swoją jedyną miłość, uznał jednak, że nie byłoby to z jego strony uczciwe. Miała wówczas maleńkie dzieci i

próbowała ułożyć sobie życie. Zdecydował, iż pojedzie po nią dopiero wtedy, gdy zdoła jej udowodnić, że ją kocha i pragnie, by została z nim do końca życia.

Naturalnie wiedział, iż mieszkała w Lough Glass. I prawdę mówiąc, wybrał się z raz czy dwa do miasteczka, żeby popatrzeć na nią z daleka. Tego roku też by się do niej nie zbliżył, gdyby nie spostrzegł, że jest bardzo smutna. Ujrzał ją zimą, ostatniego dnia stycznia, gdy spacerowała nad jeziorem i z zalaną łzami czy deszczem twarzą młóciła różgą pokrzywy i gałęzie głogu. Wtedy się do niej odezwał.

Spojrzała na niego dziko, jakby ujrzała ducha, a potem padła mu w ramiona. Zarzucał sobie wówczas, że chyba zwariował, tak długo zwlekając. Ale Lena była przeciwnego zdania. Twierdziła, iż wszystko złożyło się idealnie, gdyby bowiem zjawił się wcześniej, nie mogłaby z nim odejść.

Dzieci były już duże, więc nawet jeśli nie rozumieją zachowania matki, powinny sobie bez niej poradzić. Szczerze mówiąc, będzie im bez niej lepiej. Bo cóż za życie wiodły one z matką, która nie nosiła w sercu ani radości, ani nadziei, ani najmniejszej chęci, by powitać następny poranek? Kit z pewnością świetnie sobie poradzi. Już od miesięcy Helen przygotowywała ją na swoje odejście. Jeśli zaś chodzi o Emmeta... Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc mu zwalczyć wadę wymowy. Zabrała go do siostry Madeleine, starej pustelnicy, przed której przenikliwym

124

spojrzeniem nic się nie ukryło: Madeleine czytała w ludzkich sercach. Zrobiła też wszystko, co mogła, w trosce o Ritę, swoją pomoc domową.

Zachęcała ją, by zdobywała wiedzę i mogła być lepszą towarzyszką dla dzieci, potem, gdy stanie się to, - co miało się stać.

Martin przetrzyma wszystko. Nigdy w to nie wątpiła.

Przecież się z nią ożenił, wiedząc, że kocha innego. Obiecała mu wtedy, iż nigdy go nie opuści bez wyjaśnienia powodów.

Tak, naturalnie, powinna była powiedzieć mu to prosto w oczy, ale Martin tak łatwo ulegał emocjom. Na pewno by się rozplakał. Zrobiłby coś zupełnie niestosownego, na przykład ukląkłby i błagał, aby została. Kto wie, czy nie zakończyłby nawet samobójstwem? Nie, nie, na takie posunięcie był za bardzo zrównoważony. Zaakceptowałby jej decyzję. Miał na tyle realistyczny stosunek do świata, by od samego początku wiedzieć, iż jej odejście zawsze wisiało w powietrzu. Ale jakie to dziwne, to w jego stylu, że się nie odezwał. Louis opowiadał jej właśnie, dokąd wybiorą się nazajutrz. Chciał ją zabrać pociągiem nad morze. Nie było nic cudowniejszego jak spacer zimą po plaży, którą będą mieć tylko dla siebie. Może pojedą do Brighton, żeby zobaczyć, jak wielkie mola wgrzają się w morze? A może zajrzą do Drum Pavillion, by przejść się wąskimi uliczkami, zwanymi Lanes, i obejrzeć wystawy maleńkich sklepików, z których każda czaruje na swój sposób?

Jego twarz płonęła ożywieniem, gdy zapowiadał, co też jej pokaże.

Nigdy tego nie zapomnisz - obiecywał. Nigdy nie zapomnę niczego, co robię z tobą - odrzekła z prostotą i zobaczyła, jak wilgotnieją mu oczy, to bowiem, co mu przed chwilą wyznała, było najoczywistszą prawdą.

Lena Gray nigdy nie zapomniała Brighton. Właśnie tam miała stracić dziecko. Był to tępy, ciągnący w dół ból, trochę przypominający bóle miesiączkowe. Mimo to postanowiła nie przejmować się dolegliwością.

Szli trzymając

125

się za ręce, jak zapowiadali, śmiejąc się do stalowych chmur i umykając przed ciemnymi grzywaczami nakrapianymi białą pianą.

Mówili, że kiedy dziecko skończy czwarty rok, przywiozą je tu pewnego lata i wszyscy troje będą się bawić w piasku. Zatrzymają się w tym samym hotelu. Będą bogaci i szczęśliwi, a dziecku nie zabraknie niczego.

Lena starała się nie zwracać uwagi na dokuczliwy ucisk w brzuchu.

Na stacji w Brighton, kiedy czekali na pociąg do Londynu, poczuła między nogami wilgoć, ale postanowiła nie iść do toalety i nie sprawdzać, co to jest. Jakiś przesąd kazał jej myśleć, że jeśli nie dowie się tego tu, w Brighton, gdzie była tak bardzo szczęśliwa, nieszczęście samo odejdzie. Kiedy jednak wjeżdżali na Victorię, nie miała już wątpliwości.

- Coś jest nie tak - szepnęła.

- Dojedziesz do domu? - zapytał. W jego oczach załagał się strach.

- Nie wiem.

- To tylko parę przystanków metrem na District Line.

Wszystko rozmywało się jak w koszmarnym śnie. Pamiętała, że położono ją do łóżka, potem ujrzała nad sobą twarz Ivy.

- Wszystko będzie dobrze, kochana. Trzymaj się, trzymaj. Spokojnie, jak najmniej ruchu. - Louis stał przy oknie i ogryzał paznokcie. - Lekarz jest już w drodze, zaraz tu będzie. Weź mnie za rękę.

- Zamierzałam ci powiedzieć... - załkała Lena. Oznajmiono im wyraźnie, że w tym domu dzieci mieszkać nie mogą.

Ból był ostry. Wyjście do łazienki i powrót na górę graniczyły z niemożliwością. Zdawało się, że wszystko jest uwalane krwią, nawet dres

Ivy.

A potem zjawił się doktor o postarzałej, dobroduszej i zmęczonej twarzy. Lena miała wrażenie, że widzi sklepikarza, tego samego, który ofiarował im kwiatek, jednak nie bardzo sobie uświadamiała, kiedy to było. Może w Anglii wszyscy wyglądają tak samo?

126

Padły pytania: który to miesiąc ciąży, czy przy poprzednich ciążach były komplikacje, co zalecał lekarz prowadzący?

Nie było żadnego lekarza - odrzekła.

Ona jest z Irlandii, panie doktorze - wyjaśniła Ivy.

Tam też mają lekarzy - zauważył mężczyzna o zmęczonej twarzy.

Niech pan tylko nie mówi Peterowi. Niech pan nie mówi Peterowi i Lilian, bez względu na to, co pan zrobi.

-Chwyciła lekarza za rękę. Miała rozbiegany wzrok.

Nie, nie - uspokajał ją, a stojącego przy oknie Louisa spytał: - Kto to są Peter i Lilian?

Nie wiem. Ktoś, ktoś stamtąd, skąd przyjechała. Żona straciła dużo krwi... Wyzdrowieje?

Tak, wyzdrowieje. Nie musimy zabierać jej do szpitala. Zrobiliśmy już wszystko. Dam jej coś na uspokojenie. Mają państwo dzieci?

Nie - odparł Louis. Tak - odrzekła Lena. Zapadła cisza.

Ma dzieci z poprzedniego małżeństwa - wyjaśnił Louis.

Biedaczka... - westchnęła Ivy. Rano przyślę tu pielęgniarkę. Zajrzę do państwa, wracając z pracy.

Dziękuję, panie doktorze - odezwała się Lena słabym głosem.

Gdy piła środek uspokajający, lekarz podtrzymał jej głowę.

Najgorsze już za panią, pani Gray - powiedział serdecznie. - Najlepsze przed panią. Jak mnie pan nazwał? - kręciło jej się w głowie. Teraz pani zaśnie. Zwrócił się cicho do Ivy. Mówił o ręcznikach, wiadrach, ogrzewaniu pokoju, o sprawach natury technicznej. Kiedy już sobie poszli, Louis stanął przy łóżku i wziął Helen za rękę.

Tak mi przykro, Leno. Och, Leno, tak bardzo żałuję...

127

- Wciąż mnie chcesz? Chcesz, żebym z tobą żyła, choć nie założymy już rodziny, nie będziemy mieć dziecka? - była bardzo blada i niespokojna.

- Kochanie moje, oczywiście, że chcę. Bardziej niż kiedykolwiek. Teraz, gdy zostaliśmy tylko we dwoje, tym bardziej jesteśmy sobie potrzebni. Już nic nas nie rozdzieli. Nic.

Z jej twarzy zniknęły zmarszczki i Helen zasnęła z policzkiem na jego dłoni. Siedział przy niej długo, głaszcząc po włosach. Słyszał tylko jej równy oddech. Nie docierał do niego ani syk olejowego grzejnika, który przyniosła Ivy, ani ruch londyńskiej ulicy.

Przez kilka dni żyła w dziwnym świecie. Wciąż się jej wydawało, że za chwilę do pokoju wejdzie Rita z herbatą i z babeczkami, ale za każdym razem okazywało się, iż to Ivy z kubkiem bovrilu i z grzankami. Myślała, że to dzieci wracają ze szkoły, tymczasem w drzwiach stawał Louis, przynosząc kolejną niespodziankę. Mały kieliszek wzmacniającego wina na tacce i dwie zawinięte w sreberko czekoladki. Czasopismo z podpiętą wewnątrz kartką z napisem: Kocham Cię. Albo talerz luzowanego kurczaka, którego dostał w restauracyjce naprzeciwko, gdy powiedział, że żona leży chora.

- Masz dobrego chłopaka - skostatowała Ivy, gdy Louis wybiegł po

kolejny sprawunek.

- Myślisz, że nie wiem? - Na policzki Leny z wolna wracały rumieńce.

- Tamten był pewnie okropnym satrapą, co? - spytała Ivy ze współczuciem.

- Tamten? - zdziwiła się Lena.

- Twój pierwszy mąż. Mówiłaś o nim tego wieczoru, kiedy wezwaliśmy doktora.

- Och, nie, Ivy, nie. On nie był satrapą. Ivy poczuła, że strzeliła gafę.

- Hm, nigdy nic nie wiadomo, ludzie są tacy różni... - bąknęła niejasno i niejako nawiązując do ich wspólnego losu, dodała: - Nie żałowałam swego pierwszego męża i mam w nosie, czy ktoś o tym wie.

- Cieszę się - odrzekła Lena. I naprawdę się cieszyła. Ivy okazała jej tyle serca.

128

Dawno się z nim rozeszłaś? Niedawno - ucięła Lena. Jakże mogła jej powiedzieć, że opuściła Martina McMahona raptem dziewięć dni temu? Jak Ivy czy ktokolwiek mógłby zrozumieć, że dwa tygodnie temu Lena Gray chodziła na mszę w Lough Glass z Martinem i z dziećmi, i wszyscy dokoła myśleli, że widzą Helen McMahan?

W niedzielę Lenie wróciły rumieńce. Jak długo leżę?

To było w czwartek, kochana - odrzekła Ivy. - Nie możesz jeszcze wstawać.

Muszę. Umówiliśmy się, że od jutra szukamy pracy. Nie ma mowy.

Jeszcze co najmniej z tydzień. Nic nie rozumiesz...

To ty nic nie rozumiesz. Obiecałam lekarzowi, że będę cię doglądała, a trudno mi będzie to robić, jak pójdziesz do pośredniaka.

Muszę, Ivy. Naprawdę. Zanim Louis dostanie pracę, może upłynąć trochę czasu, za to ja mogę robić wszystko. Mogę...

Z całą pewnością, ale dopiero od następnego tygodnia. Wierz mi na słowo. Potrzebuję pracy. - Lena powiedziała to, czego wcale niechciała powiedzieć. - Potrzebuję pracy, żeby zapłacić czynsz. Przecież musisz dostać swoje pieniądze. - Myślała o niespodziankach, które Louis jej znosił, o tych lekkomyślnie wyrzuconych pieniądzech należących się Ivy. Louis stwierdził, że Ivy ma dobre serce i nie będzie ich jeszcze dusiła przez najbliższy tydzień. Ale Lena miała swoją dumę. Nie mogła pozwolić, by ta dobroduszna kobieta uznała, że ma do czynienia z ludźmi, którzy chcą ją oszukać na tygodniowym czynszu. Nawet gdy miałyby to oznaczać, że już zaraz będzie musiała się wyczołgać z łóżka.

Ivy zagryzła wargę.

Nie dopuścimy do tego, żeby poróżnił nas czynsz za jeden tydzień - powiedziała. Nie, tak nie może być - oświadczyła stanowczo Lena.

129

- Cóż, w takim razie niech Louis na to zarobi, kochana. Nie przyjmę pieniędzy, które zdobędziesz, wstając teraz z łóżka. I nie zmienię zdania. Usłyszały kroki mężczyzny na schodach. Zaniepokojona Lena poderwała wzrok.

- Ivy, tylko ani słowa...

- Dobrze, jeśli tylko nie zapomnisz, kto tu naprawdę rządzi - popatrzyła na Lenę z groźnym marsem na czole, ale obie się roześmiały.

- A co to za konspiracja? - zapytał Louis, wnosząc naręcze gazet.

- Louis, wykupiłeś cały kiosk?! - Lena patrzyła na gazety z przerażeniem.

- Musiałem, kochanie. Nie kupiłem ich dla przyjemności, tylko dla pracy.

Chyba pamiętasz, że jutro muszę coś znaleźć? Muszę zadbać o piękną chorą żonę i zapłacić czynsz okrutnej gospodyni - spojrzał łobuzersko najpierw na jedną, potem na drugą kobietę.

Pierwsza odezwała się Ivy.

- Okoliczności się zmieniły. Chętnie udzielę wam kredytu na jakieś dwa tygodnie.

Nachylił się i poklepał ją po dłoni.

- Jesteś naszą najlepszą przyjaciółką, Ivy, choć znamy się dopiero tydzień.

Nie chciałbym, żebyś miała nas za nieodpowiedzialnych dzikusów z Irlandii, którzy chcą wykorzystać twoją gościnność. Zapłacimy, Ivy - zapewniał. - Chcemy tu długo mieszkać.

Ivy podniosła się z krzesła przy łóżku.

- Trzymam cię za słowo - oznajmiła i zwróciła się do Leny: - Masz szczęście, dziewczyno. Trafił ci się prawdziwy mężczyzna.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - Uniosła ku niemu rozpromienioną twarz.

- A gdyby potrzebne były jakieś referencje, jakaś opinia, to chętnie służę - rzuciła Ivy na odchodnym.

- To bardzo miło z twojej strony - odparł, patrząc na nią z wdzięcznością.

- Ludzie są tacy dobrzy - skonstatował, rozkładając gazety na łóżku.

Lena pogładziła go po ciemnych włosach.

130

Jest taka serdeczna, że ze wzruszenia serce mi omal nie pękło. Biedaczka myśli, że mogłaby wystawiać ci referencje. Chętnie bym z nich skorzystał

- odrzekł poważnie Louis.

Z poręczenia Ivy?! Właścicielki pokoi do wynajęcia?! - Lena była wstrząśnięta.

A któż inny może zaświadczyć, że jestem wiarygodny? Ależ, Louis, przecież nie możesz powołać się na opinię Ivy w firmie, w poważnym przedsiębiorstwie... Westchnął.

Nie ma mowy o żadnym przedsiębiorstwie, kochanie.

Nie będę rozmawiał z dyrektorem do spraw sprzedaży czy marketingu. I dobrze o tym wiesz. Przyjmę każdą pracę.

Jeśli zechcę starać się o posadę szwajcara w hotelu czy kelnera w barze, Ivy będzie mi bardzo pomocna. Powie, że zna mnie od pięciu lat, a nie od dziesięciu dni.

Patrzyła na niego osłupiała.

Przecież nie możesz wziąć takiej pracy, Louis. Nigdy na to nie pozwolę. Nie tak miało być.

Właśnie tak, od samego początku - odrzekł, ujmując jej dłonie. - Tylko byłem tak głupi, że tego nie wiedziałem. To ty dałaś mi drugą szansę.

Długo płakała.

Płakała nad straconym dzieckiem i nad straconymi marzeniami o wspaniałym życiu dla Louisa, marzeniami, które nie miały żadnych podstaw. Płakała, bo gdzieś w zachodniej części Londynu rozbrzmiały dzwony. Pomyślała wówczas, że jej dzieci właśnie idą na mszę, a ona nie ma najmniejszego pojęcia, co Martin im o niej powiedział. Płakała, bo wiedziała, że jest złą matką, najgorszą z najgorszych. Taką, która potrafi odejść od własnych dzieci. Nic dziwnego, iż Bóg odebrał jej tak bardzo oczekiwane dziecko. Wszystko będzie dobrze, uwierz mi - zapewniał ją Louis. On też miał łzy w oczach. Louis, powiedz mi coś... Wszystko, co zechcesz, kochanie. Wszystko. Czy Bóg bardzo się na nas gniewa? Czy właśnie dlatego to się stało?

- dotknęła ręką brzucha. - Może to kara albo ostrzeżenie?

131

- Ależ skąd! - w jego głosie nie było cienia wątpliwości.

- Przecież ty nie jesteś w zażyłych stosunkach z Bogiem. Od chwili przyjazdu do Londynu ani razu nie byłaś na mszy. - Nie przekonał jej.

- Fakt, ale wiem, że jest gdzieś nad nami i że jest Bogiem miłości. Sam to przecież powiedział, prawda? Sam mówił, że najważniejszym przykazaniem jest kochać Jego i bliźniego swego.

- Tak, ale moim zdaniem miał na myśli co innego...

- Twoim zdaniem miał na myśli to, twoim zdaniem miał na myśli tamto. Heleno, Heleno, Heleno. Więc jak to jest z tym twoim zdaniem, co? Kiedy jesteś szczęśliwa, myślisz, że przeznaczył nam najwspanialszy los. Kiedy jesteś smutna, uważasz, że czeka nas kara i potępienie. - Przekrzywił głowę i spojrzał na nią z uśmiechem. - A cóż to za wiara, która każe ci przypisywać innym jak najgorsze pobudki? To był czysty przypadek. Tak powiedział lekarz. Przypadek wywołany stresem. A przecież doktor nie miał pojęcia, jak ciężki przeszłaś okres. Posłuchaj mnie, kochanie. Nie możesz wmawiać sobie, że Bóg jest nam przeciwny. Od samego początku był po naszej stronie.

- Wiem - poczuła się lepiej. Tak cudownie ją uspokajał.

- No więc?

- No więc przestanę Go atakować i zwać wszystko na Niego.

- Świetnie! A teraz mocno wydmuchaj nos i pomóż mi znaleźć pracę. Otarła oczy i z dużo lżejszym sercem spojrzała w rubrykę Dam pracę.

- Pójdę w niedzielę do kościoła - wymamrotała. - W ten sposób dam Mu znać, że się od Niego nie odwróciłam.

- Bóg dobrze o tym wie - zapewnił ją Louis. - Jeśli nie odwróciłaś się ode mnie, a ja cię naprawdę skrzywdziłem, to nie odwrócisz się i od Boga. Był to dziwnie długi tydzień, ciągnął się w nieskończoność.

132

W poniedziałek Louis wrócił do domu przygnębiony, nie znalazł żadnej pracy na budowie. Miał wrażenie, że w Londynie siedzi pół Irlandii i używając do każdego zgłoszenia innego nazwiska, podpisuje umowę za umową z wieloma podwykonawcami. Tymczasem on nie miał ani silnej konstytucji, ani doświadczenia, ani też zamiłowania do walenia kilofem czy noszenia cebrzyka. Poniedziałek był dniem zmarnowanym.

Louis postanowił za wszelką cenę okazać pogodę ducha.

Nie smuć się tak. Tylko nie wychodź z łóżka. Poczekaj. To dopiero dzień numer jeden. Dzień numer dwa będzie udany. Ale twoja zboląta mina wcale mi nie pomoże,

i nie będę mógł wrócić do domu i powiedzieć ci prawdy.

Zmusisz mnie do kłamstwa.

Dostrzegła w tym logikę. Całą noc z poniedziałku na wtorek przeleżała obok śpiącego Louisa, skrywając, jak bardzo jest niespokojna.

Dzień numer dwa był dobry. Louis wrócił do domu jak na skrzydłach.

Znalazł pracę, zaczynał już następnego dnia,

o ósmej rano. Zatrudnił się jako szwajcar w dużym hotelu, do którego miał tylko kilka przystanków metrem. Przez

pierwsze dwa tygodnie miał pracować na dzień, jednak była też możliwość pracy na zmianę nocną, co byłoby na prawdę wspaniałe.

Dlaczego? - dopytywała się Lena.

Ponieważ wówczas za dnia mógłbym chodzić na rozmowy z innymi pracodawcami i szukać innego zajęcia, do którego - oboje to czuli - znacznie lepiej się nadaje. Ale tymczasem świetnie sobie poradziłem, prawda? Nie musieli się martwić o czynsz. No i proszę! Znalezienie przyzwoitej pracy zajęło mu ledwie dobę.

Helena nie mogła wykrzesać z siebie uśmiechu. Usilnie pracowała nad twarzą, ale mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Nie mogę znieść myśli, że będziesz zarabiał na życie w ten sposób.

Chryste! Mało tego, że będę cholernym portierem, jeszcze muszę wysłuchiwać twego biadolenia! - wybuchnął. Patrzyła na niego ugodzona. Natychmiast zaczął

133

ją przeproszać: - Wybacz mi. Wybacz. Nie chciałem na ciebie krzyczeć. Miałem ciężki dzień. Dobiegam czterdziestki. Dano mi do zrozumienia, że jestem cokolwiek za stary do takiej roboty. Nie było łatwo, kochanie. Nie chciałem się na tobie wyładowywać.

Pojednanie było najśłodsze na świecie.

Zawsze wiedzieli, że napotkają na swej drodze wiele przeciwności.

Najważniejsze to rozpoznać je i nazywać rzeczy po imieniu. Obojgu było bardzo przykro.

W środę wieczorem Louis opowiadał już anegdoty o hotelu. Szef portierów był typem spod ciemnej gwiazdy, kierownikowi robota rozłaziła się w rękach, za kontuarem recepcji stała wąsata kobieta, a gośćmi hotelowymi byli głównie amerykańscy szeregowcy służący w rozmaitych bazach brytyjskich: fajne chłopaki, niektórzy to jeszcze dzieci. Dzień był,

owszem, długi, ale i ciekawy.

Lena wykazała wielkie zainteresowanie i od razu nauczyła się wszystkich imion. W czwartek wieczorem opowiadał, że szef chciał sobie przywłaszczyć napiwek, który należał się jemu, Louisowi, i że Szkotka zaprotestowała.

- Ej, przecież to dla tego miłego portiera z niebieskimi oczami!

Szef uśmiechnął się przyjaźnie do Szkotki, ale kącikiem ust syknął do Louisa:

- Uważaj, mam cię na oku.

- I co odpowiedziałeś? - zapytała z ożywieniem.

- Odpowiedziałem, że ja mam na oku robotę, i to go zatkało.

Pękała ze śmiechu.

Wiedziała, że Louis i tak nie zagrzeje tam miejsca, że za kilka dni, najdalej za parę tygodni i tak odejdzie stamtąd do odpowiedniejszej pracy.

W piątek wieczorem był bardzo zmęczony, ale miał już pieniądze. W hotelu płacono co piątek, a jego trzydniowy zarobek załatwiał sprawę czynszu. Wręczyli go Ivy w kopercie.

- Myślę, że czujesz się już na tyle dobrze, aby wyjść na miasto i uczyć dzień wypłaty - oświadczyła. - Ja stawiam.

134

Wypijmy kilka piw. Zabiorę was do baru, w którym pracuje mój znajomy. Pojechali czerwonym autobusem. Lena miała jeszcze miękkie nogi, ale krzepiło ją samo wyjście z domu. Louis i Ivy zwracali jej uwagę na mijane po drodze miejsca. Czowała się, jak dziecko w dniu urodzin.

Ivy pokazała jej biurowiec, w którym pracowała podczas wojny, oraz

ulice, które wówczas zbombardowano. Wskazała również sklep z doskonałymi węgorzami i godny zaufania lombard, przydatny w czarnej godzinie. Musieli tylko powiedzieć właścicielowi, że to Ivy ich do niego przysłała.

Natomiast Louis pokazywał jej restauracje, hotele i bary.

Znał wszystkie nazwy, lecz nie o każdym z tych miejsc przytaczał historyjkę, jak robiła to Ivy.

Wskazywane przez niego lokale były częścią jego przeszłości i Lena nie rządała szczegółów. Wystarczało, że w ogóle je ogląda.

Wstąpili do głośnego pubu, gdzie jak się okazało, Ivy знаła wielu klientów.

Daleko od domu, jak na pobliski pub - zauważył Louis.

Och, kochanku, dawniej tu pracowałam, ale teraz nie trzeba się nad tym rozwodzić.

Naturalnie - zgodził się natychmiast i ścisnął dłoń Leny. Dobry początek.

Rusza na spotkanie kolejnej przygody, a pewnych spraw się po prostu nie porusza. Tak, właśnie to lubili. Usiedli we troje przy stole. Podchodziło do nich wielu ludzi. Poznali jakąś Doris, Henry'ego, Nobby'ego, Steve'a i samego właściciela pubu, Ernesta, drobnego mężczyznę z wytatuowanymi ramionami. Co jakiś czas ktoś specjalnie podchodził do ich stolika. Lena i Louis zwrócili na to uwagę, gdyż w odróżnieniu od barów irlandzkich nie było tu kelnera. Jeśli chciało się wypić następny kufel piwa, trzeba było samemu podejść do kontuaru.

Robili tak wszyscy, tylko nie Ivy. Do szklanek obu pań i do kufła Louisa osobiście dolewał piwa mistrz Ernest, jak go tu nazywano. Lena nie zauważyła przy tym żadnego obrotu gotówki. Ona i Louis mieli dość

pieniędzy, żeby zapłacić za piwo, co zresztą zaproponowali, lecz ich oferta została skwitowana lekceważącym machnięciem ręki.

- Ernest o nas zadba - oznajmiła stanowczo Ivy. - On to bardzo lubi.

Lena zauważyła, że Ivy kilkakrotnie spoglądała w stronę drobnego, zasuszonego Ernesta, który uwijał się przy barze i witał klientów. Od czasu do czasu on też odszukiwał ją wzrokiem i uśmiechał się do niej.

Niektórzy stali bywalcy pytali o Charlotte, a Ernest niezmiennie odpowiadał: „Pojechała do matki, jak w każdy piątek”.

Lena wiedziała już, dlaczego Ivy przychodzi tu wyłącznie w piątki.

Zastanawiała się, od jak dawna to trwa. Może pewnego dnia Ivy jej powie.

A może nie. W końcu Londyn to nie Lough Glass, gdzie życie każdego mieszkańca znano na wylot i przenicowywano tak długo, dopóki nie odarto go ze wszelkiego znaczenia.

Dziś u Paddlesa rozprawiają pewnie o...

Nagle, zaskoczona, zdała sobie sprawę, że wcale nie wie, o czym mogą rozprawiać. Może Martin powiedział im, że wyjechała w odwiedziny? A może, że jest chora? Nie, na pewno nie. W takiej sytuacji musiałby wciągnąć do spisku Petera Kelly'ego.

Ale co powiedział dzieciom? Zapłonęła gniewem, iż nie poinformował jej, jaką historią zwiedzie dzieci. Namawiała go, by powiedział im prawdę, jeśli tylko będzie umiał się na to zdobyć, i żeby pozwolił dzieciom do niej pisać. Ale, jak widać, tego nie zrobił.

Ivy rozmawiała z Ernestem. Siedzieli obok siebie, Ivy zeskubywała mu paprochy z rękawa marynarki - wyglądali jak stare małżeństwo.

Lena poczuła na sobie wzrok Louisa. Uśmiechnęła się, odpędzając od

siebie wspomnienia z Lough Glass.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O tym, że czuję się już na tyle dobrze, by pójść do pracy. I o tym, że w przyszłym tygodniu to ja was gdzieś zaproszę.

- Nie chcę, żebyś musiała pracować.

136

Ja też nie chcę, żebyś musiał robić to, co robisz, ale tylko na jakiś czas. Później będziemy mieć poważne dochody i dom jak normalni ludzie - uśmiechnęła się promiennie. Było to jedno z wielu kłamstw, jakimi go karmiła.

W sobotę Lena ubrała się elegancko i poszła do Agencji pośrednictwa Pracy Millara. Stała przed wejściem i trzy razy głęboko odetchnęła. Wciągała zimne londyńskie powietrze głęboko, haust za haustem. Mogła to być pierwsza

z bezowocnych rozmów. Bo cóż mieliby jej zaoferować?

umiała stenografować. Nie mogła pochwalić się szybkością pisania na maszynie. Nie miała listów polecających.

Była za stara na pomoc biurową i za słabo wykształcona, by podjąć samodzielne stanowisko.

Przy biurku, ssąc ołówek, siedziała kobieta w rozpinanym swetrze. Miała miły uśmiech, fryzurę ułożoną w ptasie gniazdo i nieobecny wyraz twarzy. Była osobą dużej łagodności, przeciwieństwem kogoś, kogo należało się spodziewać w biurze pośrednictwa pracy.

Położyła na biurku formularz, który Lena zaczęła wypełniać drżącą dłonią.

Niemal przy każdej rubryce czuła się

jak nieudacznik. Okaż, że wierzysz w swoje siły - nakazywała sobie w

duchu. To prawda, że nie miała doświadczenia w pracy ani listów polecających, ale mogła się pochwalić czymś, czym potrafi się wykazać niewielu absolwentów szkoły: umiejętnością samodzielnego myślenia i inicjatywą.

Próbując ukryć strach, uśmiechnęła się zachęcająco do kobiety w swetrze. Przynajmniej nie miała przed sobą potwora, który ją wyśmieję i wyprosi z biura, dając jej do zrozumienia, że jest niepoważną klientką, która zabiera jej cenny czas.

Proszę, to już chyba wszystko - stwierdziła pogodnie.

Wbiła paznokcie w skórę i w napięciu obserwowała kobietę, która powoli czytała wypełniony formularz.

Z trudem powstrzymywała się od tłumaczeń i przeprosin.

Hm, trudno mi powiedzieć, co też mogłaby pani... robić... w tej sytuacji moglibyśmy... Helena zrobiła pewną siebie minę.

Tak, naturalnie, wiem, że nie nadaję się na przeciętną

137

urzędniczkę czy sekretarkę - powiedziała, nie wierząc, iż w ogóle to mówi.

- Jednak miałam nadzieję, że znajdę coś, przy czym będę mogła spożytkować swoje niebanalne umiejętności i atuty dojrzałego wieku.

- To znaczy... co?

Lena uświadomiła sobie, iż kobieta z ptasim gniazdem na głowie jest bardziej zakłopotana niż ona.

- Przepraszam, jak pani godność? - zapytała.

- Jestem panną. Park. Jessica Park.

- No cóż, panno Park, mam na myśli firmę, której potrzebna jest osoba do wszystkiego, firmę, która nie jest zainteresowana osobą młodą, skupioną

na robieniu kariery. Myślałam o takim miejscu, gdzie mogłabym zająć się różnymi sprawami. Na przykład odbieraniem telefonów, katalogowaniem, parzeniem herbaty, dbaniem o schludny wygląd pomieszczeń biurowych, proponowaniem nowatorskich rozwiązań... - rozejrzała się po zaniedbanym pokoju agencji Millara i zrobiła kilka wymownych gestów, żeby podkreślić, o co jej chodzi.

- Rozumiem. Każdej firmie przydałby się ktoś taki jak pani - powiedziała marzycielsko panna Park. W tym momencie zadzwonił telefon, chwilę potem przyszły dwie panienki po broszury, a gdy tylko wyszły, telefon rozdzwonił się ponownie.

Lena miała trochę czasu, żeby pozbierać myśli. Kiedy Jessica Park odłożyła słuchawkę, Lena postanowiła przedstawić swoje spostrzeżenia.

- Weźmy choćby to biuro - miała nadzieję, iż panna Park nie zauważy, jak mocno drży jej głos. - Widzę, że ma tu pani huk pracy. Może to właśnie pani mogłabym się przydać?

Jessica Park nie należała do ludzi podejmujących decyzje. Na jej twarzy odbiło się przerażenie.

- Och, nie, nie sędzę, żeby... - bąknęła.

- Dlaczego nie? Mam wrażenie, że jest pani bardzo przepracowana.

Mogłabym odciążyć panią od typowo biurowych prac. Mogłabym zająć się katalogami...

- Ale ja przecież nic o pani nie wiem.

- Wie pani wszystko - Lena wskazała formularz.

138

Ale to nie ja kieruję agencją. Pan Millar będzie musiał podjąć decyzję.

A gdybym tak zaczęła od razu? Przekona się pani, że będzie ze mnie

pożytek, a później porozmawia pani z kierownikiem. Zgoda?

Hm, sama nie wiem... Na pewno... Lena zawahała się. Trudno było ocenić wiek panny Park. Jessica mogła mieć czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Ale równie dobrze mogła nie przekroczyć trzydziestego piątego roku życia, mogła o sobie nie dbać i przedwcześnie się postarzeć. Obstawiła ten ostatni wariant.

Cóż, Jessico, Zwracam się do pani po imieniu, bo widzę, że jestem od pani starsza. Dlaczego by nie spróbować? Nie ma pani nic do stracenia, żadnych finansowych zobowiązań, jeśli sprawa nie wypali.

Proszę mi mówić Jessie i pragnę zauważyć, iż to chyba ja jestem troszkę starsza od pani. Dobrze, zgoda. Pod warunkiem, że nie wpakujemy się przez to w kłopoty.

W jakie kłopoty? Zaraz znajdę krzesło i usiądę obok pani.

Zanim Jessica zdążyła się rozmyślić, Lena już siedziała obok niej.

Zaostrzyła ołówki, ogarnęła biurko, a wszystkie formularze przełożyła kalką.

Nigdy bym na to nie wpadła - przyznała zadziwiona Jessica. Ależ naturalnie, że tak. Rzecz w tym, iż jest pani zbyt zajęta i nie ma pani czasu, aby zaprzętać sobie głowę podobnymi sprawami. - Lena odebrała telefon i rzuciła wesoło do słuchawki:

- Agencja Pośrednictwa Pracy Millara. Czym możemy służyć? -

zabrzmiało to znacznie lepiej niż niepewne „halo”, którym witała klientów Jessie. Powiedziała też, że bardzo by chciała zapoznać się z systemem katalogowania. Dopiero wówczas jej pomoc w pracy stanie się najbardziej wydajna. Jessie zaznajomiła ją ze sposobem prowadzenia katalogów i zajęła się swoją robotą. Lena wertowała listy z ofertami, dopóki nie

znalazła tego, czego szukała. Szybko wytropiła dział, który interesował ją najbardziej.

139

Wolne miejsca pracy w sprzedaży i marketingu. Posady, o jakie Louis mógłby się ubiegać, z chwilą gdy odkryją, czego na rynku trzeba i dokąd należy się udać.

- Chcesz powiedzieć, że weszłaś tam jakby nigdy nic i oświadczyłaś, że jesteś im potrzebna? - nie mógł nadziwić się Louis.

- Mniej więcej. - Roześmiała się, wciąż nie wierząc, że tak jej się udało. Nie widziała powodu, aby mu opowiadać, jak bardzo była przestraszona. Pan Millar pochwalił Jessie Park za inteligencję. Docenił, że spośród wielu kandydatek wybrała osobę dojrzałą. Jessica radowała się nieoczekiwaną pochwałą, a Lena zaczynała pracować już od poniedziałku.

Nie przyznała się Louisowi, dlaczego podjęła akurat tę pracę, i nie mówiła mu, iż nowa posada może okazać się prawdziwą żyłą złota. Najpierw chciała podzwonić po zgłoszonych w rejestrze firmach i jako pracownica agencji zasięgnąć informacji.

Dopiero wówczas Louis będzie mógł ubiegać się o pracę we własnym imieniu.

Wszystko było na najlepszej drodze. Lena czuła, że na niedzielnej mszy uda jej się porozmawiać z Bogiem bez cienia gorzkości.

Ivy z ubolewaniem wyznała, iż nie wie, gdzie są kościoły katolickie.

Wciąż je widywała, ale nie pamiętała gdzie. Obiecała zasięgnąć języka.

Powiedziała, że w Kilburn jest wielki kościół. Tak, przy Quex Road. W niedzielę zawsze wylewały się z niego wielkie tłumy ludzi. Więc może to tam?

- Kilburn? Brzmi to za bardzo z irlandzka. Nikt nas nie rozpozna? - spytała Louisa.

- Nie - uspokajał. - To mało prawdopodobne, żeby od chwili twego wyjazdu z Lough Gass ktoś stamtąd wyemigrował.

- Nie, oczywiście, że nie, ale... Chodzi mi o ciebie. Nikt cię nie rozpozna?

- To nie ma znaczenia, kochanie. Przecież to ty chowasz się przed ludźmi, nie ja. Tak czy inaczej weźmiesz mnie z sobą na mszę?

140

Chciałabym, jeśli tylko pójdziesz bez wstrętu. Żeby "podziękować Bogu".

Rzeczywiście, mam za co. Naturalnie, że z tobą pójdę, kochanie.

Cóż to była za przygoda iść na mszę w Londynie! Najpierw musieli znaleźć właściwy autobus i zapamiętać, w jakim kierunku jadą. Potem przeszli na drugą stronę Kilburn li Road i podążyli za tłumem idącym do kościoła. Było

zimno: kobiety miały na głowach chusty, mężczyźni postawionę kołnierze.

Wśród wiernych zauważyli kilkoro Polaków i Włochów.

Nie natknęli się na żadnych znajomych.

Lena porównywała tę wyprawę z wejściem do kościoła w Lough Glass.

„Dzień dobry, pani Hanley, panie Foley, pani Mildred, panie Hickey, matko przełożona, pani Dillon.

Jak się masz, Lilian! Serwus, Peter! Jak miło cię znowu widzieć, Mauro!

Co słyhać, Kathleen? A u ciebie, Stevie?"

Człowiek opadał z sił, zanim jeszcze dotarł do kościoła.

A i tam rozpoznawał każdego po chrząknięciu czy kichnięciu.

I z góry wiedział, o czym będzie kazanie, zanim ksiądz Baily zdążył

otworzyć usta.

Utonęła w potoku znanych łacińskich słów. Jakże to smutne być protestantem! Przecież nie można pójść na mszę w dowolnym miejscu świata. Protestantów z Afryki albo z Niemiec nie sposób zrozumieć.

Katolicyzm był taki bezpieczny. A jeśli miało się do tego podejście Louisa, wydawał się również bardzo prosty: stamtąd, z góry, spoglądał na nich Bóg miłości.

Gdy wyszli po mszy na zimny wiatr, czuła się spokojna i szczęśliwa. Tuż obok kościoła stał kiosk z gazetami.

To same irlandzkie gazety, regionalne albo katolickie - skonstatował Louis.

- Kupię jakiś porządny dziennik i pójdziemy do baru na niedzielny drinka, co ty na to?

skinęła na znak zgody, mimo to rzuciła okiem na nagłówki.

Znajome irlandzkie nazwy: „Kerryman”, „Cork Weekly i miner”, „Wexford Free Press”, „Connaught Tribune”.

Zauważyła wśród nich gazetę, jaką co piątek przynoszono do apteki Martina. Prenumerowali ją, ponieważ zawierała

141

program kin, oferty sprzedaży domów, wyniki egzaminów na stanowisko urzędnika państwowego, do jakich podchodzili niektórzy mieszkańcy regionu, międzynarodowe taryfy opłat pocztowych i zawiadomienia o ślubach bądź złotych godach.

Już chciała oderwać od niej wzrok, gdy na pierwszej stronie ujrzała zdjęcie jeziora Lough Glass z cumującymi przy pomoście łódkami. Pod zdjęciem znajdowała się informacja: Odwołano poszukiwania zaginionej z Lough

Glass.

Wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami przeczytała, że Helen McMahon, żonę Martina McMahona, cenionego aptekarza z Lough Glass, widziano ostatni raz w środę dwudziestego dziewiątego października, gdy spacerowała nad wodami zdradzieckiego jeziora. Nurkowie i ochotnicy przeszukali zarośnięty szuwarami akwen - to właśnie od zielonych wodorostów wzięła się jego nazwa - ale nie znaleźli nic. Widziano natomiast wywróconą do góry dnem łódkę, stąd przypuszczenie, że pani McMahon wypłynęła na jezioro i nie poradziła sobie z nagłym, porywistym szkwałem, który często nawiedza okolicę.

- Kupuje pani? - zapytał gazeciarz. Helen wręczyła mu pół korony i odeszła, mocno ściskając gazetę. - Hej, paniusiu, drogie są, fakt, ale nie aż tak! - krzyknął gazeciarz, chcąc zwrócić jej resztę.

Nie słyszała go.

- Louis! - zawołała. Własny głos zadźwięczał jej w uszach jak dzwon. - Louis, o mój Boże...

Podnieśli ją z ziemi. Każdy proponował co innego: więcej powietrza, brandy, whisky, wodę, herbatę, spacer, ławkę.

Gazeciarz, usiłujący wcisnąć jej resztę, uparczywie nalegał, żeby schowała pieniądze do torebki.

Louis podtrzymał ją i w końcu ruszyli przez ulicę. Ni to szła, ni to ją niósł, ale wiedziała, że spieszą w ustronne miejsce. Wciąż powtarzał, że powinni pójść do lekarza.

- Wierz mi, już nie poronię. Tylko zabierz mnie gdzieś z dala od ludzi.

- Kochanie, proszę cię, proszę... - W barze słyhać było irlandzki akcent, ale głosy bywalców dochodziły z bardzo daleka. Skupieni na swoich

sprawach, nie zważali na

142

mężczyznę i kobietę siedzących nad nietkniętymi kieliszkami brandy, zaczytanych w niewiarygodnej relacji o poszukiwaniu Helen McMahon. Louis potrząsał głową.

To niemożliwe, żeby ściągnął tam całe miasteczko, policję z Dublina i detektywów z Dublin Castle.

Pewnie nie dostał listu - odrzekła Helen. - Pewnie myślał, że utonąłam w jeziorze. O Boże, o mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam?

Rozmawialiśmy o tym sto razy: - gdzie zostawiłaś list? W jego sypialni.

Więc jak mógł go nie zauważyć? Jak? A jeśli tam w ogóle nie wszedł?

Leno, miej rozum. Przecież musiał tam kiedyś wejść. Poza tym w Lough Glass jest policja, a policjanci na pewno tam weszli.

Nie mógł im tego zrobić, nie mógł ściągnąć na dzieci takiego koszmaru, nie dopuściłby do tego, żeby myślały, iż leżą na dnie jeziora jak biedna Bridie Daly! Jak kto?

Nieważne. Martin na pewno nigdy by tego nie zrobił, nie zrobiłby tego dzieciom.

No to wytłumacz mi, jak to się stało, że nie dostał listu. - Louis raz po raz spoglądał na gazetę, jakby się obawiał, że artykuł za chwilę zniknie. Na jego twarzy czaiła się udreka. - No więc jeszcze raz: ta dziewczyna.

Czy uważasz, że nie mogła zatrzymać listu? Rita? Na pewno nie.

Może chciała cię szantażować?

A skąd! To niemożliwe.

W takim razie dzieci. Przypuśćmy, że jedno z nich zauważyło list.

Przypuśćmy, że nie chciały uwierzyć, iż wyjechałaś. Dobrze wiesz, że

dzieci potrafią zachowywać się niezrozumiale. Schowały go i udają, iż wszystko, co napisałaś, to nie prawda. Nie - zaprzeczyła stanowczo. Skąd ta pewność? Przecież je znam, Louis. To moje dzieci. Po pierwsze,
143

nigdy nie otworzyłyby listu adresowanego do Martina. Ale nawet gdyby to zrobiły... nawet gdyby...

- Założmy, że go otworzyły. Tylko założmy.
- Gdyby to Emmet otworzył list, na pewno pokazałby go ojcu, a gdyby otworzyła go Kit, zadzwoniłaby do mnie do Londynu. Zadzwoniłaby natychmiast po naszym przyjeździe. I zażądałaby ode mnie powrotu do domu.

Zapadła cisza.

Wydawało się, iż trwała wieki.

- Czy kiedykolwiek przyjmiesz do wiadomości, że on ten list przeczytał? - zapytał wreszcie Louis.
- Nie mogę uwierzyć, iż Martin to wszystko rozpętał - machnęła w stronę gazety.
- Może nie umiał sobie inaczej poradzić. Umilkli.
- Ja muszę wiedzieć, Louis.
- Co masz na myśli?
- Muszę do niego zadzwonić - zrobiła gest, jakby chciała wstać.

Spojrzał na nią przerażony.

- I co mu powiesz? Co mu chcesz powiedzieć?
- Żeby skończyli z przeszukiwaniem jeziora. Żeby powiedzieć dzieciom prawdę.
- Ale chyba do nich nie wrócisz? Nie wrócisz, prawda? Z trudem

wytrzymała jego pełne bólu spojrzenie.

- Dobrze wiesz, że nie.

- To pomyśl. Pomyśl przez chwilę.

- O czym tu myśleć? Sam przeczytaj. Przeczytaj sobie, w co byłam ubrana, gdy po raz ostatni wychodziłam z domu. Uznali mnie za osobę zaginioną, taką, o jakich słyszy się w dzienniku. Wszyscy myślą, iż leżę na dnie jeziora... - wpadła w histerię. - Chryste, może nawet pogrzeb mi wyprawili!

- Nie mogli, nie mają zwłok.

- Ale uznali mnie za zmarłą. Nie mogę do tego dopuścić. Ze względu na dzieci. One muszą wiedzieć, że ich matka żyje, jest szczęśliwa, ma się dobrze i nie leży w porośniętym wodorostami mule.

- To nie twoja wina, iż tak myślą.

144

Jak to nie moja? Przecież to ja je zostawiłam. To jego wina - powiedział powoli Louis. Co?!

To on im o tym powiedział. Zostawiłaś mu w tej sprawie wolną rękę. To on zdecydował się na taką wersję.

Nieemożliwe. To całkiem niedorzeczne. Nie mógł im powiedzieć, że umarłam. Chcę je widywać. Chcę patrzeć, jak rosną.

Louis spojrzał na nią ze smutkiem.

Naprawdę wierzyłaś, że ci na to pozwoli? Naturalnie.

Że ci wybaczy i powie: „Dobrze, już dobrze, żyj sobie szczęśliwie z Louistem, a od czasu do czasu wpadnij do Lough Glass, to zabijemy tłustego cielaka i wyprawimy ucztę”? Nie o to mi chodziło.

A o co? Zastanów się, Leno. Pomyśl. Martin postawił sprawę tak, a nie

inaczej. I kto wie, czy nie jest to najlepsze rozwiązanie. Zerwała się z krzesła.

To ma być najlepsze rozwiązanie?! Powiedzieć dwojgu dzieciom, że nie żyję?! Tylko dlatego, że nie miał odwagi wyznać im prawdy?!

Może uznał, iż tak będzie dla nich najlepiej. Zawsze mówiłaś, że Lough Glass to straszliwie plotkarskie miasteczko.

Może współczucie, jakiego doświadczają z powodu śmierci matki, jest lepsze od plotek o matce, która uciekła z mężczyzną.

Nie wierzę. Zadzwoń do niego, Louis. Muszę zadzwonić.

Postępujesz nieuczciwie. Obiecałaś temu biedakowi zdecydować: to on miał wyjaśnić, dlaczego i jak odeszłaś. Pozwoliłaś mu wyjść z tego z twarzą, z godnością. Przecież właśnie to napisałaś mu w liście, prawda?

Nie pamiętam dokładnie słów. Ale tak było, tak czy nie? Nie pisałam przez kalkę - warknęła. Wystarczająco często o tym rozmawialiśmy. Tak, tak mu napisałam. Ale muszę wiedzieć. Muszę

145

wiedzieć, czy rzeczywiście... - Opuściła ją chęć dalszej walki.

- Przyjmijmy, że uznali cię za zmarłą. Błagam cię, pomyśl choć przez sekundę, czy tak nie jest lepiej. Twój telefon nie wyjdzie na dobre ani córeczce, ani synkowi. Jeśli zadzwonisz, będziesz musiała wrócić do domu i wszystko wyjaśnić. Martin będzie w nader kłopotliwej sytuacji.

Skomplikujesz mu życie. Pomyśl o krzywdzie, jaką im wszystkim wyrządzisz.

- Muszę wiedzieć - policzki spłynęły jej łzami.

- Dobrze. Zadzwońmy do nich.

- Co?

- Ja zadzwonię - odparł. - Poproszę cię do telefonu i zobaczymy, co powiedzą.

- Nie możesz tego zrobić.

- Rozmienię pieniądze. - Z ponurą miną podszedł do baru.

Lena wypła brandy jednym haustem. Miała wrażenie, że połknęła pokrzywę.

Nie zadzwonili z baru, bo panował tam za duży hałas. Wyszli na ulicę i znaleźli budkę telefoniczną.

- Co powiesz? - dopytywała się po raz dziesiąty. Louis odpowiadał półgębkiem, ale gdy usłyszeli sygnał, dotknął jej policzka i rzekł:

- To, co trzeba. Zaufaj mi. Najpierw zobaczę, co powie Martin.

Mocno ścisnęła mu rękę i przywarła do niego, żeby wszystko słyszeć.

- Lough Glass trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć - telefon odebrała Kit.

Lena puściła rękę Louisa i zasłoniła dłonią usta, aby powstrzymać cisnące się słowa. W słuchawce odezwała się telefonistka:

- Londyn na linii. Halo, Londyn! Proszę mówić.

- Halo... - zaczął Louis nieco zmienionym głosem. - Czy to dom państwa McMahanów?

- Tak.

- Czy mogę mówić z panem McMahanem?

- Niestety taty nie ma.

146

Lena zrobiła duże oczy. Martin powinien już dawno wrócić ze mszy, o tej porze zwykle jedli obiad. Odkąd

wyjechała, dom się zupełnie rozsypał. Nagle przypomniała sobie, że jest to dom pogrążony w żałobie, dom, którego mieszkańcy wierzą, iż Helen McMahon nie żyje.

Kiedy wróci?

Przepraszam, a kto mówi? Lena uśmiechnęła się z dumą. Kit ma raptem dwanaście lat, a proszę, jaka jest praktyczna i roztropna! Nie udzielaj informacji póki sama się czegoś nie dowiesz.

Nazywam się Smith. Jestem akwizytorem. Bywałem w aptece twoich rodziców w sprawach służbowych.

Dzwoni pan pod numer domowy, nie apteczny - wyjaśniła Kit.

Tak, wiem, przepraszam, że niepokoję państwa w domu. Ale skoro taty nie ma, to może mógłbym zamienić kilka słów z twoją mamą? Lena ścisnęła go za rękę tak mocno, że aż go zabolalo, oczy miała ogromne jak spodki. Co też Kit teraz powie? Zdawało się, iż czekają wieki.

Ale co właściwie chciałyby usłyszeć? Coś w rodzaju: „Było tu sporo zamieszania w związku z mamą, ale do świąt wszystko się wyjaśni”?

Dzwoni pan z Londynu? - zapytała Kit. Tak, tak, z Londynu.

Pewnie dlatego pan nic nie słyszał. Był okropny wypadek, mama się utopiła... - Kit umilkła, z trudem łapiąc oddech. Louis pobladł. Długo milczał.

Bardzo mi przykro - odparł zdławionym głosem. Wiem - odpowiedziała cichutko Kit. Lena często wyobrażała sobie rozmowy swoich dzieci z Louisem. Wiedziała, że na pewno by się polubili. I zawsze czuła, że wszystko się dobrze ułoży. Ale tak było przed tym... Przed tym strasliwym zwrotem wydarzeń. Gdzie teraz jest tatuś? - zapytał Louis. Na obiedzie u naszych przyjaciół. Usiłują zająć jego czas, na pewno u Kellych

- skonstatowała w duchu Lena.

147

- Dlaczego z nim nie poszłaś? - w głosie Louisa zabrzmiała autentyczna troska.

Lena poczuła wielką gulę w gardle.

- Na wypadek, gdyby nadeszły nowe wiadomości...

- Jakie wiadomości?

- Bo nie znaleziono jeszcze... Na wypadek, gdyby znaleziono ciało mamy

- odparła Kit.

Louis to otwierał, to zamykał usta, ale nie mógł wydusić z siebie słowa.

- Jest pan tam jeszcze? - spytała dziewczynka.

- Tttak, tak...

- Poprosić tatę, żeby oddzwonił?

- Nie, nie. Chciałem tylko zamienić kilka słów i uprzedzić go, iż może będę tamtędy przejeżdżał. Proszę, nic mu nie mów, nie zwracajmy mu głowy. Przepraszam, że niepokoję w... w takiej sytuacji.

- To był wypadek - odrzekła Kit. - Na dzisiejszej mszy modliliśmy się za spokój jej duszy.

- Tak, oczywiście, naturalnie.

- Żeby odpoczywała w spokoju - tłumaczyła Kit. -Więc mam nie mówić, że pan dzwonił?

- Nie, nie. A jak sobie radzi twój mały braciszek?

- Skąd pan wie, że mam brata?

- Twoi rodzice wspominali o nim, gdy byłem u nich w aptece.

- No tak, mama ciągle o nas mówiła. - Kit była bliska łez. - To wszystko przez wiatr. Nic by się nie stało, gdyby nie ten wiatr. - Umilkła. W

trzyminutową rozmowę często wkradała się cisza.

- Przedłużyć rozmowę o następne trzy minuty? - zapytała telefonistka.

- Nie, dziękuję. Już skończyliśmy - odparł Louis.

I wówczas, w tę dżdżystą listopadową niedzielę, usłyszeli głos Kit płynący z dalekiej Irlandii:

- Do widzenia... - Po chwili wahania powtórzyła raz jeszcze: - Do widzenia panu. - To na wypadek, gdyby to pierwsze pożegnanie nie wypadło należycie.

Louis odwiesił słuchawkę i przywarli do siebie w ciasnej budce telefonicznej, omywanej zacinającym w szyby deszczem.

148

Każdy, kto nadchodził, żeby skorzystać z telefonu, rezygnował, widząc ich udręczone twarze. Nikt nie śmiał przeszkadzać ludziom, którzy najwyraźniej stanęli oko w oko z nieszczęściem, ani nakłaniać ich do opuszczenia budki i wkroczenia w rzeczywisty świat.

Mam ochotę go zabić - oświadczył Louis, gdy siedzieli już w domu, w półrealnym świecie niedowieżenia.

O ile zrobił to celowo. Przeanalizujmy wszystko od początku. Pierwszym pytaniem, które chciał zadać, było: „Ale jakim cudem mógłby nie wiedzieć?” i jak zwykle pytanie to pozostawało bez odpowiedzi.

Nie mogli spać, choć powinni zasnąć. Rano oboje szli do pracy. Może uznał, że ludzie przestaną u niego kupować leki i syropy na kaszel, kiedy się dowiedzą, iż aptekarka rzuciła go dla innego? - zapytał w pewnej chwili, jeszcze nie rozbudzony. - Gdyby się okazało, że się utopiła, interes kręciłby się jak dawniej. Mnie o to nie pytaj. Ja go w ogóle nie znam. Żyłaś z nim trzynaście lat. Lena milczała.

Co Kit miała na myśli, mówiąc o wietrze? - spytała go później. - Wiatr? Jaki wiatr? Chyba chodziło jej o wieczór, kiedy wyjeżdżaliśmy. Nie pamiętam żadnego wiatru. Ja też nie, ale z drugiej strony... Nie musiał kończyć zdania. Tamtego wieczoru, gdy zaczęli planować nowe życie, nie zauważyliby ani burzy, ani śniegu. Szła wtedy na przeciwległy kraniec jeziora, w okolice obozu Cyganów, gdzie czekał na nią w samochodzie. Dokładniej mówiąc, w samochodzie kolegi. Kolega nic nie wiedział o wyprawie. Louis powiedział mu tylko, że tego dnia potrzebny mu będzie samochód. Pojechali więc do Jima i tam wsiedli do tramwaju, który zawiózł ich do portu. Byli pierwszymi pasażerami na promie.

149

Całą noc z Holyhead do Euston przegadali, potem śmiali się głośno przy śniadaniu w Lyon's Corner House.

Tymczasem każdego dnia i każdej nocy mieszkańcy Lough Glass myśleli, że Helen McMahan spoczywa na dnie jeziora.

Louis miał rację. Martin musiał być o wiele bardziej rozgoryczony, niż zakładali.

Matka Jessie niedomagała. Niedomagała już od dłuższego czasu. I właściwie bez konkretnego powodu. Lena dowiedziała się szczegółów na ten temat w poniedziałek, podczas pierwszego dnia normalnej pracy.

- To może w porze lunchu wpadniesz do domu? - zaproponowała.
- Och, nie, nie mogę - odrzekła nieśmiało Jessie.
- Niby dlaczego nie? Przecież ja zostaję, prawda? Bez obaw, już ja ten fort utrzymam.
- Nie, nie, nie chcę.

- Jessie, nie zamierzam odbierać ci pracy. Jestem twoją asystentką.

Nigdzie stąd nie wyjdę, nie zostawię biura otwartego na oścież. Jeśli ktoś przyjdzie ze sprawą, z którą sobie nie poradzę, powiem mu, żeby zgłosił się do ciebie. Po co masz tu siedzieć, skoro tak bardzo martwisz się o mamę?

- A co będzie, jak zajrzy pan Millar?

- Powiem mu, że poszłaś do papierniczego po lepszą papeterię. I prawdę mówiąc, rzeczywiście mogłabyś ją po drodze kupić. Na rogu jest duży sklep. Wpadnij tam i dowiedz się, czy przy większym zakupie nie udzielają rabatu. W końcu kupujemy bardzo dużo kopert. Powinni dać nam

zniżkę.

- Tak, dobrze, ale... - Jessie wciąż miała wątpliwości.

- Bardzo cię proszę - nalegała Lena. - Przyjęliście mnie do pracy po to, żebyś miała pożytek z rozsądnych rad dojrzałej kobiety, prawda? Pozwól mi zarobić na chleb.

- Nie będzie ci się przykrzyć?

- Ależ skąd! Czeka mnie huk pracy. - Lena miała wrażenie, że uśmiech przylgnał jej do twarzy niczym maska. Gdyby tylko Jessie wiedziała, ile naprawdę ma do zrobienia!

150

Ile decyzji musi powziąć, jeśli tylko nadarzy się okazja!

Udając, że jest zajęta pracą, Lena Gray będzie musiała zadzwonić do Lough Glass i zawiadomić ich, że Helen

McMahon żyje. Nie przekonały jej wielogodzinne rozmowy z Louiisem.

Nie potrafiła wypisać własnego nekrologu i usunąć

się z życia Kit i Emmeta. Nawet gdyby dziecko, które nosiła w łonie, nadal żyło, i tak musiałaby stawić czoło prawdzie, nie dopuściłaby do tego, żeby jej własny syn i córka uwierzyli w śmierć matki. Nie było sensu zżymać się na Martina i psioczyć na jego słaby charakter, musiała mieć czas, aby wszystko sobie przemyśleć. Czas i swobodny dostęp do telefonu. Właśnie dlatego tak bardzo zależało jej na tym, żeby wyprawić biedną Jessie z biura.

Szukanie pracy dla Louisa odłożyła na później. W końcu tak wiele zależało od tego, co zrobi za chwilę. Jeśli zadzwoni do domu i powie, że jest cała i zdrowa, wszystko może ulec zmianie. Mogłoby to oznaczać, iż nie zacznie nowego życia z Louiisem, jak planowali. Mogłoby to oznaczać powrót do domu i konieczność poniesienia konsekwencji tego, czego się dopuściła.

A skoro jeszcze nie wiedziała, czy w ogóle zostaną w Londynie, umawianie Louisa na rozmowę z ewentualnym pracodawcą było czystym nonsensem. Usiłowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby Louis odwiózł ją do Lough Glass.

Nie starczało jej wyobraźni. Nie mogłaby nawet rozpocząć krytycznej rozmowy, jaka odbyłaby się w saloniku między nimi trojgiem: Louiisem, Martinem a nią. Nie znajdowała słów, nie znajdowała wyjaśnień. Myślała o dzieciach, które ścisnęłyby ją i obejmowały. Kit mówiłaby pewnie: „Wiedziałam, że nie umarłaś. Po prostu wiedziałam”. Myślała o Emmecie, który z każdą chwilą jąkałby się coraz bardziej i bardziej, jakby dusiło go każde słowo. Myślała też o snującej się w tle dyskretniej i zdumionej Ricie. O sztucznych konwersacjach z Lilian i Peterem. Maurze, siostrze Lilian, która zachowywałaby nieugiętą pogodę ducha, mówiąc, że życie jest za

krótkie, aby bez

151

końca rozpamiętywać to, co złe. Powinni cieszyć się, bo wszystko dobrze się skończyło.

Cały czas próbowała przypisać Louisowi jakąś konkretną rolę, ale bezskutecznie. Jego uśmiech, jego wdzięk i miłość, którą ją obdarzał, byłyby w Lough Glass zupełnie nie na miejscu.

Musiałaby wracać sama. I przypuszczała, iż tak się to właśnie skończy. Dzieci. Przecież trudno im mówić przez telefon, że mama żyje. Trzeba do nich pojechać, powiedzieć im to osobiście. O rozmowie z Martinem nawet nie myślała. Wieloletni szacunek, jakim go darzyła, prysnął jak bańka mydlana. Nie mieściło się jej w głowie, iż ktokolwiek mógł wziąć taki straszny odwet za to, że zraniono jego dumę.

Chyba rzeczywiście zupełnie Martina nie znała.

Jessie wyszła. Wraz z nią znikło jej nieposkromione gadulstwo. Lena miała nadzieję, że przez jakiś czas nikt jej nie będzie przeszkadzał. Ale przerwa na lunch była w agencji Millara najbardziej pracowitą porą.

Właśnie wtedy odwiedzali ich wszyscy ci, którzy byli gdzieś zatrudnieni, a chcieli zmienić pracę.

Lena nie miała chwili wytchnienia. Druciane tacki wypełniały się nowymi podaniami i formularzami z danymi osobowymi. Może tak było lepiej? Może i tak nie wymyśliłaby nic mądrego, nawet gdyby miała w biurze spokój? Dwukrotnie podnosiła słuchawkę i dwukrotnie odkładała ją na widelki. Gdyby przyszło jej rozmawiać z Martinem, nie umiałaby powściągnąć gniewu. Może więc powinna poczekać, aż dzieci wrócą ze

szkoły? Albo załatwić tę sprawę korzystając z czyjegoś pośrednictwa?
Tylko z czyjego?

Na pewno nie z pośrednictwa Kellych. Co to, to nie. Gdyby tak siostra Madeleine miała telefon! Uśmiechnęła się na myśl o tak nowoczesnym urządzeniu w pustelniczej chatce.

- Uśmiechasz się, to dobrze - zauważyła Jessie.

- Chcesz powiedzieć, iż za rzadko się uśmiecham? -Lena wzięła się w garść.

- Wyglądasz dziś zupełnie inaczej niż w sobotę. Miałam wrażenie, że podczas weekendu przytrafiło ci się coś złego. - Jessie nie posiadała się z ciekawości.

152

Ale Lena była co najmniej równorzędnym przeciwnikiem. Nic podobnego.

Lepiej powiedz, jak tam twoja mama. Cieszyła się, gdy wpadłaś?

Rzeczywiście, dobrze, że do niej zajrzałam. - I Jessie rozpoczęła kolejną opowieść o matczynych kłopotach z trawieniem.

Do tej chwili Lena sądziła, iż pani Hanley ze sklepu z odzieżą w Lough Glass jest jedyną kobietą na świecie,

której pokarm przechodzi dziesiątki najrozmaitszych stadiów, zanim ulegnie kompletnemu strawieniu, przy czym

wszystkie stadia były dla pani Hanley równie fascynujące.

Oraz okazało się, że w zachodnim Londynie mieszka jej siostra bliźniaczka.

Lena miała trzynastoletnią wprawę w przywoływaniu na twarz wyrazu głębokiego zainteresowania dla potworności

układu trawiennego pani Hanley, bez trudu więc zdołała wykazać

przyzwoite zaciekawienie przewodem pokarmowym matki Jessie Park. Ręce zajęła naklejaniem czytelniejszych nalepek na szafki katalogów, myśli zaś - odległym o setki kilometrów jeziorem Lough Glass w zimie. Mina Louisa powiedziała jej, iż tego wieczoru nie będą rozmawiać o jej problemach. Nie był to mężczyzna, który zechciałby po raz setny omawiać z nią kwestię najlepszego sposobu przekazania dzieciom wiadomości, że ich matka żyje.

Zmęczony i wypluty po całodziennej robocie, miał spierzchnięte dłonie i obolałe ramiona.

Wyskrobiemy kilka pensów na gorącą kąpiel, czy to za duże szaleństwo? - zapytał. Brwi miał jak grube, ciemne smugi. Uśmiechał się krzywo i żałośnie, że omal serce jej nie pękło. Poczula tak silny przypływ miłości i opiekuńczych uczuć, iż prawie odebrało jej oddech. Zapragnęła pracować od świtu do nocy i od nocy do świtu, byleby tylko zdjąć z jego barków ten ogrom zmęczenia. Wiedziała, że i on zrobiłby dla niej to samo. Bardzo dobrze pamiętała, jak umierał z lęku o nią, kiedy poroniła. Pamiętała, jak siedział koło niej, jak trzymał ją za rękę i głaskał po czole, że wychodził tylko po to, by przynieść

153

jej coś dobrego. Oczy wezbrały jej łzami. Oto miała przed sobą swojego mężczyznę, swoją wielką miłość.

Dopisało jej szczęście. Przecież niewielu ludziom dane jest żyć ze swoim ukochanym bądź ukochaną. Większość ludzi oplakuje stracone szanse. I nie wykorzystane okazje. Tylko kobieta beznadziejnie głupia zrezygnowałaby z takiej chwili, aby rozpaczać, boleć nad przeszłością, aby na nowo tę przeszłość określać.

Poradzi sobie sama. Nie zmarnuje ani jednej cennej chwili z Louisem na coś, co uważał za kolejną jałową dyskusję.

- Sądzę, że firmę stać na kąpiel dla jednego z pracowników - odparła z roziskrzonymi wesołością oczyma. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że umyję ci plecy.

- Ivy będzie zgorszona bezeceństwami w łazience.

- Mycie pleców to nie bezeceństwo.

- Ale łatwo się może w nie przerodzić, nie sądzisz? - spojrzał na nią z ożywieniem.

- Och, tak, jestem tego pewna - odparła. Dawała mu tym samym do zrozumienia, że znów jest gotowa się z nim kochać. Ba! nie tylko gotowa, ale chętna. Bardzo chętna, zdumiewająco chętna.

- No to chodź, wychlapmy trochę wody - powiedział uszczęśliwiony.

Wziął ręcznik, woreczek z przyborami toaletowymi i sięgnął po sześciopensówkę ze spodeczka z monetami na wydatki bieżące.

Tego wieczoru nie padło między nimi ani jedno słowo na temat tragedii w Lough Glass.

Lena zbudziła się o piątej rano i już nie mogła zasnąć. Może jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy - myślała. Może nadarzy się właściwy moment - mówiła sobie w duchu. Ale dobrze wiedziała, że się oszukuje.

Jeśli chodzi o Louisa Graya, jej życie w Lough Glass skończyło się na dobre. Pod pewnymi względami takie, a nie inne zakończenie owego życia wydawało się najlepszym rozwiązaniem. Louis z przejęciem planował wspólną przyszłość. Nie chciał, by wessała ich przeszłość.

Oczywiście wyobraźni widziała Kit i Emmeta tak dokładnie, jakby ktoś

wyświetlił na ścianie slajd z ich portretami. Kit

154

odgarniała włosy z oczu. Twarz miała zalaną deszczem i łzami, minę zdecydowaną i ponurą. Oszołomiony Emmet podnosił dłoń do gardła jak wówczas, gdy się jąkał, i nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Nie, nie mogła pozwolić na to, by uznali ją za zmarłą. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby im dać o sobie znać.

We wtorek też nic nie wymyśliła. Za to we wtorek do agencji miał zajrzeć pan Millar. Jego naloty zawsze wprawiały Jessie w stan wielkiego zdenerwowania.

Nie wiem, co on sobie w ogóle wyobraża. Wpada bez zapowiedzi, szpieguje nas - wysyczała do Leny.

To jego agencja - zauważyła spokojnie Lena. - Chce mieć pewność, że wszystko dobrze idzie, że niczego nie potrzebujemy.

Jessie miała wątpliwości.

Gdyby uważał, iż wszystko idzie jak trzeba i że dobrze pracujemy, to wcale by nie przychodził - stwierdziła, przygryzając wargę. Lena roześmiała się sztucznie, bo myślami błędziła gdzie indziej.

Daj spokój, Jessie. Spójrzmy na to z innej strony. Ponieważ wszystko idzie dobrze, pan Millar lubi tu przychodzić, chce być częścią agencji. Nigdy w ten sposób o tym nie myślałaś? Okazało się, że nigdy.

To chyba małżeństwo dodaje ci tyle wiary w siebie, no - odrzekła.

Lena przełknęła ślinę. I pomyśleć, że niektórzy uważali ją za kobietę pewną siebie! Gdybyż tylko wiedzieli, iż jest zagubiona jak kocię!

Zachowujmy się dzisiaj tak, jakby był miłym gościem, nie czekajmy, aż sobie pójdzie, tylko od razu wciągnijmy go w pracę.

Bo ja wiem... - zaczęła Jessie i urwała, nie chcąc pogarszać sytuacji.

Tylko spróbujmy, dobrze?

155

- Panie Millar, przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wstawić do biura kilka krzesełek i mały stoliczek, aby czekający na swoją kolej interesanci mogli na chwilę przysiąść.

- Hm, trzeba by się nad tym zastanowić - odrzekł. Był mężczyzną wysokim i łysym. Miał głowę w kształcie jajka, a na twarzy wyraz wiecznego zdumienia.

- Jeśli ich przekonamy, iż stworzyliśmy dla nich miejsce, gdzie mogą w każdej chwili wpaść na towarzyską pogawędkę, a nie po to, żeby stać w kolejce, jak na przykład w banku czy na poczcie, to...

- To co by nam to dało?

Jessie już zaczynała brać ogon pod siebie, ale Lena wiedziała, o co Millarowi chodzi. Nie, Millar nie odzegnał się od przedstawionego projektu.

- Panna Park zwracała mi uwagę, że... Tak na marginesie, Jessica jest wspaniałą nauczycielką i właśnie mówiła mi, że ten rodzaj usług jest w gruncie rzeczy samopowtarzalny. Przecież klient wróci do nas, jeśli przy pierwszym kontakcie załatwimy mu dobrą pracę.

- Tak, ale te fotele...

- Och, nie mam na myśli luksusów, panie dyrektorze. Wydaje mi się, iż panna Park chciała stworzyć tu biuro, któremu ludzie by zaufali, miejsce, gdzie czuliby się jak w domu - uśmiechnęła się pogodnym, przekonującym uśmiechem.

A on już kiwał głową.

- To dobry pomysł, panno Park. Tak, całkiem dobry pomysł. Ciekawe, gdzie można by nabyć odpowiednie meble...

- Nie musiałby pan zbyt dużo wydawać, panie dyrektorze, trzeba by się tylko rozejrzeć. - Wydawał się całkiem zagubiony. - Najwłaściwszą osobą do tego rodzaju zadania jest naturalnie panna Park. Panna Park jest wprost doskonała w wynajdywaniu najodpowiedniejszych rzeczy. - Jessie poderwała głowę. Sprawiała wrażenie osoby, która nigdy w życiu nie znalazła nic właściwego: ani właściwego swetra, ani właściwej fryzury, czy choćby właściwego wyrazu twarzy. Ale Lena nic sobie z tego nie robiła. - Zna pan te sklepiki z używanymi rzeczami. Dam sobie głowę uciąć, że

156

gdy się tam troszkę poszpera, to się znajdzie wspaniałe rzeczy. Panna Park mogłaby zacząć zaraz po lunchu, oczywiście jeśli wyrazi pan... Co pan o tym sądzi? Nawet wolno myśląca Jessie tym razem zrozumiała, do czego Lena zmierza: Lena usiłowała załatwić jej trochę wolnego, aby mogła odwiedzić mamę.

Może gdybym dostała kilka nadliczbówek... - wyskamlą, jak pies czekający na chłostę.

Opłaciłoby się to w trójnasób - dokończyła za nią Lena.

No cóż, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, panno Park... - na każdym kroku miał wątpliwości. Na szczęście zapraszający sposób bycia Jessie ustawiał ją na dobrej pozycji. Nie robiła wrażenia osoby nazbyt gorliwie oddanej projektowi.

No cóż, ostatecznie mogłabym... - zaczęła. W tej samej chwili pan Millar

zapalił się do przedsięwzięcia.

Moglibyśmy zainstalować kilka popielniczek - podsunął. - A nawet stary stojak na parasole na okres takiej pogody jak dziś...

I stolik z informacjami, które klienci mogliby przeczytać siedząc, zamiast stać przy kontuarze i zabierać nam czas - dopowiedziała Lena, powściągając entuzjazm, by nadto nie poniosła jej fantazja i cały pomysł nie przepadł, jak nierealna mrzonka. Tak, tak. I jak to słusznie zauważyła panna Park, to przedsięwzięcie nie musiało kosztować aż tak dużo... Pan Millar wychodził zadowolony. Ba! był wręcz zachwycony. Jessie spojrzała na Lenę, jakby patrzyła na osobę, która obłaskawiła lwa w jego legowisku.

Nie wiem, jak ty to wszystko wymyślasz. Naprawdę nie wiem. I zawsze przedstawiasz mnie w tak korzystnym świetle - patrzyła na Lenę z oddaniem spaniela.

Przecież jesteś świetna, Jessie - zauważyła Lena. - Jesteś znakomita, bo wyszukałaś mnie i zatrudniłaś w agencji.

To była najlepsza rzecz, jakiej udało mi się w życiu dokonać - odparła rozpromieniona Jessie.

157

Lena poklepała ją po dłoni.

- Dobra nasza. Tylko pamiętaj, żebyś nie znalazła tych mebli zbyt szybko. W każdym razie nie wcześniej niż przed upływem dwóch tygodni. Dzięki temu będziesz mogła częściej zaglądać do domu.

Zdała sobie sprawę, że cały dzień gra, udaje.

Od samego rana. Zaczęła udawać w chwili, kiedy wstała i oznajmiła Louisowi, że w jego ramionach spała tak cudownie, tak spokojnie.

Udawała przed Ivy, mówiąc, że sprząta biuro i parzy herbatę, bo nie chce mieć zajęcia lepszego niż Louis. W agencji też cały czas grała. I przed interesantami zgłaszającymi się telefonicznie, i przed tymi, którzy przychodzili szukać pracy osobiście - wszystkich zapewniała o wspaniałych możliwościach.

Czyżby odtąd miała już udawać całe życie?

Tyle się nudawała w Lough Glass. Udawała zainteresowanie topornymi zakietami pani Hanley ze sklepu z odzieżą, które przychodziły pocztą w osobnych pudełkach. Zmuszała się do uśmiechu, słuchając słowotoku Lilian Kelly na temat ludzi, o których sama Lilian wiedziała tylko tyle, że mieszkają w dużym majątku na wsi. Grała przed Hickeyem, któremu mówiła, że pierwsza krzyżowa jest świetna, a łopatką będzie pewnie trochę twardawa, ale z drugiej strony, skoro nie płaci się za to jak za polędwicę, to trudno oczekiwać polędwicy.

Udawała w domu, czując na sobie wzrok Martina, dobrze wiedząc, że za chwilę spyta, jak to miał w zwyczaju: „Jesteś szczęśliwa? Wszystko w porządku?” Udawała, gdy odpowiadając, powstrzymywała cisnący się na usta krzyk.

Nie grała tylko wówczas, gdy była z dziećmi. Mimo to potrafiła nałożyć płaszcz i od nich odejść. Potrafiła zostawić dzieci i pójść za Louisem Grayem.

Myślała, że wszystko będzie inaczej. Że zacznie nowe życie, życie, jakiego zawsze pragnęła. Że będzie miała dziecko, jej i Louisa. No i proszę, co z tego wyszło. Straciła dziecko, rodzina w Lough Glass uznała ją za zmarłą, a ona wciąż udawała.

Zatęskniła za maleńką chatką siostry Madeleine. Zapra gnęła porozmawiać

z pustelnicą, tak jak rozmawiała z nią

158

dawniej: bez rad i bez krytyki - pomagała jej sama rozmowa. Miała uczucie, że gdyby tylko mogła się przed nią wygadać, wszystko stałoby się od razu klarowniejsze. Ale były to niebezpieczne marzenia. Opowiadać zakonniczy, że odkłada na później chwilę, kiedy zdradzi dzieciom, że wcale nie umarła, i że robi to tylko po to, by sprawić radość kochankowi? Nikt by w to nie uwierzył. Westchnęła i na widok młodej kobiety imieniem Dawn, która chciała zostać recepcjonistką w hotelu, przybrała miły wyraz twarzy.

Byłam na wielu rozmowach, ale tylko na mnie spojrzę od razu mówią, że się nie nadaję - powiedziała rozindyczona Dawn.

Wyglądała jak lafirynda. Jej tlenione włosy miały ciemne odrosty, paznokcie - czarne obwódki, a wyszminkowane usta robiły wrażenie dużej krwawej rany.

Pani wygląda zbyt olśniewająco - orzekła Lena. - Sprawia pani niewłaściwe wrażenie. Hotelarze chcą, żeby w recepcji pracowali ludzie nie rzucający się w oczy. Nie zechciałyby pani zmienić wyglądu? Może warto by spróbować...

Dziewczyna słuchała jak urzeczona. Nigdy dotąd nikt się tak nią nie zainteresował.

Znaczy niby jak miałabym się zmienić, pani Gray? - pytała z błyskiem entuzjazmu w oczach. Lena spojrzała na nią w zamyśleniu i udzieliła kilku powściągliwych rad. Nie krytkowała jej. Wszystko, co mówiła, miało pozytywny wydźwięk.

Rozmowa z pracodawcą przypomina przesłuchanie roli w sztuce

teatralnej. Musi się pani poczuć aktorką. Hmm, a teraz zobaczymy, czy uda się nam zdobyć dla pani tę wyśnioną rolę. Dawni posłała jej spojrzenie wdzięczności graniczącej z uwielbieniem. Wychodziła, by zająć się paznokciami, włosami oraz strojem i przygotować się do próby generalnej następnego dnia. To wspaniała agencja - rzuciła od progu. - Więcej niż agencja, naprawdę. To miejsce, dokąd człowiek chce wracać.

159

Lena, Jessie i pan Millar spojrzeli po sobie rozanieleni. O to właśnie szło.

Louis wbiegł po schodach. Był bardzo podekscytowany.

- Chcą, żebym dziś w nocy dyżurował w recepcji - oznajmił.

- W recepcji?

- Tak. Ktoś zachorował, a nie mieli zastępstwa. Awansowali mnie z portiera na kierownika nocnej zmiany.

- Będziesz musiał zostawać na noc?

- Tak jest. Oni tak właśnie pracują. To chyba niezły awans, nie uważasz? - pękał z dumy, niczym szczeniak czekający na nagrodę.

Lena przyjrzała mu się najchłodniej, jak umiała. Nic dziwnego, iż w hotelu doszli do wniosku, że Louis nadaje się do witania późnych gości i załatwiania wszelkich możliwych problemów. To zdumiewające, iż wcześniej nie zerwali z niego munduru portiera. Przecież już na pierwszy rzut oka było widać, że to człowiek, który powinien pracować na wyższym stanowisku.

- Będziesz zmordowany.

- Tak, za to jutro mam wolne - odrzekł. - Pomyślałem sobie, że może złapiesz taktyczną grypkę i dotrzymasz mi towarzystwa.

- Będziesz się musiał wyspać.

- Najlepiej mi się śpi w twoich ramionach.
- Zobaczymy - powiedziała z uśmiechem.

Nie była to pora, aby mówić mu, jak bardzo jest zdruzgotana, iż wieczorem nie będzie go przy niej, żeby raz jeszcze mogli przedyskutować, co powinna zrobić, jak przekazać dzieciom dobre wiadomości. Wiedziała też, że nie powie mu od razu, iż nie ma najmniejszego zamiaru urywać się nazajutrz z pracy.

Zamiast tego uśmiechnęła się tylko, gdy znaleźli koszulę odpowiednią dla jego nowego stanowiska.

- Będziesz za mną tęskniła? Będziesz czuła się samotna?
- Tak, będę tęskniła, ale nie będę smutna. Trochę sobie odpocznę, a potem może wyjdę zwiedzić okolicę.
- Ale nie zrobisz nic... No wiesz... Nie podejmiesz żadnych decyzji?

160

Prosił, żeby nie dzwoniła do domu. Zrozumiała to od razu.

Nie. Z podejmowaniem decyzji zaczekam na ciebie, zdecydujemy wspólnie.

Kamień spadł mu z serca. Zaraz potem wyszedł. Zbiegł lekko po schodach, po tych samych schodach, którymi tak niedawno wbiegł na górę.

Lena zapaliła papierosa i mocno się zaciągnęła. Nareszcie. Była panią siebie. Po raz pierwszy od chwili, gdy otworzyła oczy tego ranka, miała czas, żeby spokojnie pomyśleć. Nikt

jej nie przeszkadzał. Ale nic z tego nie wychodziło. Ogarnęło

ją uczucie, że wyklejone różowo-pomarańczową tapetą ściany,

zaczynają ją osaczać. Przypomniał się jej hrabia Monte Christo: jego cela

też się kurczyła, z każdym dniem coraz bardziej. To samo działo się z jej pokojem. Była pewna, że między stołem i oknem jest coraz mniej miejsca. Kiedy dopalała papierosa, wiedziała już, iż nie usiedzi w pokoju ani chwili dłużej.

Tylko nie pomyśl sobie, że ciągle będę ci zakłócać spokój.

Nie, kochana, nawet tak nie mów. Zawsze się cieszę, gdy ktoś do mnie wpada. - Ivy wypełniała kupony ligi angielskiej. Co tydzień poświęcała temu zajęciu sporo czasu.

Mówiła, że wygrana odmieni jej życie. Kupiłaby wtedy duży hotel nad morzem, zatrudniłaby kierownika i mieszkałaby w apartamencie na górze niczym wielka dama.

Prawda, Bamboszku? - zapytała starego kocura. Uszczęśliwiony kot zamruczał wyczekująco.

Lena pogłaskała go po starej, posiwiałej głowie.

Koty są wielką podporą. Byłam bardzo przywiązana do mojego Farouka, choć prawdę mówiąc, był to kot, który chadzał wyłącznie własnymi ścieżkami. - Zamyśliła się.

Miałś go, jak byłaś małą dziewczynką? Nie, nie, teraz. Tam, w domu - odparła Lena. Po raz pierwszy opuściła gardę. Uświadomiła sobie, że Ivy to zauważyła.

Ivy powstrzymała się od komentarzy. Parzyła herbatę.

161

Nie było potrzeby, aby to wyjaśniać. Lena czuła się z nią równie swobodnie jak z siostrą Madeleine w pustelniczej chatce, choć trudno było sobie wyobrazić dwa miejsca bardziej różniące się od siebie.

W ten zimowy wieczór siostra Madeleine siedziała pewnie przed

kominkiem i rozmawiała z którymś z mieszkańców Lough Glass. Może z Ritą snującą plany na przyszłość? A może z Paddlesem, który od trzydziestu siedmiu lat prowadził bar i nie wypił za kontuarem ani jednego kieliszka? A może z Kathleen Sullivan, pogrążoną w żałobie wdową, właścicielką warsztatu mechanicznego, która ma ogromne problemy dosłownie ze wszystkim, w tym z dwójką synów? Tuż obok siedzi pewnie jakieś zwierzę: lis, pies albo indyk, który szczęśliwie uniknął noża, bo przed Bożym Narodzeniem zawędrował do domu pustelnicy.

Żadnych pytań, żadnych prób obrony tego, co nie do obronienia.

Zupełnie jak tu, na Earl's Court, w zagraconym pokoiku, gdzie trudno było dopatrzeć się choćby skrawka tapety. Niemal całą powierzchnię ściany pokrywały zastawione bibelotami półki, półeczki oraz zdjęcia z dawnych wypraw i majówek. Wielkie lustro było niemal zupełnie bezużyteczne, gdyż na całej długości ramy sterczały zatknięte pod nią listy i pocztówki.

Wszędzie stały wazony z kolorowego szkła, krasnoludki, malutkie kieliszki na jajka i pamiątkowe popielniczki. W pokoju panowała podobna atmosfera. Tu człowiek mógł być sobą.

Tu nikt nie żądał wyjaśnień, na które nie było się przygotowanym.

Zupełnie zwyczajnie, zupełnie tak, jakby specjalnie tu po to przyszła, Lena Gray zaczęła opowiadać Ivy Brown swoją historię. Ivy naląła herbatę, otworzyła herbatniki. A kiedy dotarła w opowieści do ostatniej niedzieli, do artykułu w gazecie oraz do telefonu do Lough Glass, Ivy wstała i bez słowa wyjęła dwa małe kieliszki i butelkę brandy. Wówczas Lena otworzyła torebkę i pokazała jej wycięty artykuł. Podczas całej opowieści z twarzy Ivy nie zniknął wyraz współczucia. Nie okazała po sobie zaszokowania czy niedowierzania nawet wtedy, gdy rozpostarłszy

gazetowy

162

wycinek, zaczęły czytać o śmierci, która wszystkich tak bardzo poruszyła. Przyjmowała wszystko bardzo spokojnie i choć zdawała sobie sprawę z grozy sytuacji, nie wpadała w panikę.

Siostra Madeleine nigdy nie wyciągała ręki, nikogo nie dotykała.

Ofiarowywała ciepło i wsparcie bez fizycznych uścisków. Ivy Brown była taka sama. Stała po drugiej stronie saloniku oparta o komodę z płytami. Splotła przed sobą ramiona. Wyglądała jak wzorowa angielska gospodyni, taka jakie ogląda się na zdjęciach w gazetach. Brakowało jej tylko wałków we włosach. Otulona kwiecistą podomką, w skupieniu słuchała kolejnych fragmentów opowieści. Bijące od niej fale kobiecej solidarności były wręcz namacalne. Nie mogłaby okazać większego zatroskania nawet wówczas, gdyby tuliła łkającą Lenę do piersi.

- Cóż, kochana - zaczęła po długiej chwili milczenia. - Już podjęłaś decyzję, prawda?

- Nie - odparła zdumiona Lena. Nigdy nie miała silniejszych zawrotów głowy.

- Ależ tak, Leno - w głosie Ivy brzmiała niezachwiana pewność.

- Dlaczego tak mówisz? Niby jaką decyzję miałabym podjąć?

- Nie zadzwonisz do nich. Zgadza się? Nie zrobisz nic, absolutnie nic.

Pozwolisz im, aby myśleli, że nie żyjesz.

Rozmawiały dobre kilka godzin.

Lena opowiedziała Ivy o tym, jak Louis ją kochał i jak ją nagle zostawił. I o tym, jak po nią wrócił. Mówiła, że nareszcie żyje życiem, o jakim zawsze marzyła. Odmalowała chyba w miarę sprawiedliwy obraz Martina

McMahona. Jeszcze przed niedzielą mówiłaby o nim z podziwem i z głębokim szacunkiem. Miałaby też poczucie winy, choć przecież ze swej strony dotrzymała warunków umowy co do joty.

Ale list przekreślił wszystko.

Jego reakcja zabiła wszelkie uczucia, jakie kiedykolwiek do niego żywiła. Ten człowiek był istnym potworem, Ofiarą wymogów szacowności maleńkiego miasteczka.

163

Przeanalizowały wszelkie aspekty tej sprawy punkt po punkcie, tak jak to robiła z Louisem. W tym również i ewentualność, iż Martin nie dostał listu. W końcu doszły do wniosku, że nie ma najmniejszych podstaw zakładać, iż tak się właśnie stało.

Jakże łatwo się z Ivy rozmawiało! Lena nie musiała się bać, że zdenerwuje ją byle słowem. I Ivy była do końca równie opanowana jak na początku rozmowy.

Louis Gray był dla Leny miłością życia. Czekwała na niego trzynaście lat i wreszcie byli razem. Obie dobrze wiedziały, iż Lena nie zrobi nic, co mogłoby tej miłości zagrozić.

- Ale co z dziećmi? - spytała Lena drżącym głosem, jakby wiedziała, że za chwilę się rozplacze.

- Cóż możesz im dać swoim powrotem? - zapytała Ivy. Cisza, która zapadła, nie była ciszą wrogą. Lena usiłowała myśleć. Mogłaby dzieci tulić i całować. Ale to byłoby branie, nie dawanie. Swoim przyjazdem ściągnęłaby hańbę na ich głowy, a potem... Potem i tak by je zostawiła. - Po co mają się z tobą znowu rozstawać? Nie dość im tamtego razu?

- Jeśli przeczeszą jezioro i nie znajdą ciała, będą wiedzieli, że żyję.

Zaczną mnie szukać. - Mówiąc to, wiedziała już, co zrobi. W gruncie rzeczy szukała tylko braków czy niedociągnięć w swoim planie.

- Mówiłaś, że to głębokie jezioro.

- Tak.

- Więc mogą tam być inni, którzy utonęli, a których dotąd nie odnaleziono.

- To prawda.

- Kochasz Louisa, Leno. Przekonaj go, że nie wrócisz do dawnego życia.

Niechże będzie tego absolutnie pewny. Niech nie denerwuje się tym, iż nie możesz się zdecydować.

- Pół życia się przez niego denerwowałam.

- Tak, ale mu darowałaś. Uciekłaś z nim. Uważaj, żebyś nie straciła wszystkiego naraz.

- Może tylko gonię niedościgłe marzenie?

- Wydaje mi się, że to marzenie jest najzupełniej realne. Nie strać Louisa, Leno. Za wiele rąk się po niego wyciągnie,

164

kiedy twój uścisk choć na chwilę zelżeje. - Mówiła to z przekonaniem, z wielką pewnością siebie.

Znasz to z własnego doświadczenia? Nie. Znam to, ponieważ sama nigdy tego nie zrobiłam. - Lena patrzyła na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Ernest z pubu. Nie jest takim przystojniakiem jak twój Louis, ale to mężczyzna, którego kochałam i którego wciąż Kocham.

Ernest? Ten, którego poznaliśmy w piątek?

- Ernest, którego widuję od lat w każdy piątek.

- Dlaczego właśnie w piątek?

- Bo dzięki temu tydzień nabiera dla mnie sensu, poza tym w piątki to krówsko, jego żona, odwiedza swoją matkę.

- Co się stało?

- Nie miałam odwagi. Zabrakło mi zdecydowania. - Znów zapadła cisza, cisza niekłopotliwa. Ivy dołała do kieliszków.

- Pracowałam z nim w pubie. Ledwie zaczęłam pracę, gdy wybuchła wojna. Ron, mój mąż, dostał powołanie. Wiesz, to był wspaniały okres. Może głupio to zabrzmie, ale cieszyliśmy się z wojny. Ludzie byli tacy przyjacielscy. Nikt nie wiedział, czy dożyje następnego tygodnia. I dlatego w rozmaitych sprawach chodziło się na skróty. Gdyby nie wojna, pewnie nigdy bym Ernesta nie poznała. Ogłaszali wtedy alarmy przeciwlotnicze, więc schodziliśmy do schronów, słuchaliśmy też radia w pubie. Wszyscy czuli się tak bliscy sobie, jak rozbitkowie na tratwie. Ivy uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Miał dwoje dzieci, no i Charlotte z oczami dookoła głowy. Podejrzewała nas, zanim jeszcze cokolwiek się zaczęło. Ile to było gadania o tym, jak to nasi dzielni chłopcy walczą na froncie, a ich żony-dziwki używają życia i puszczają się na lewo i prawo. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi, zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

Czy ty w ogóle Rona kochałaś?

Nie. Nie takim uczuciem, jakie odkryłam, kiedy pokochałam Ernesta.

Wiesz, w tamtych czasach po prostu wychodziło się za mąż. A jak sama widzisz, nie byłam piękną. Nie miałam wielu konkurentów. I z radością za niego wyszłam. Miałam dwadzieścia dziewięć, prawie trzydzieści

lat. On był dziesięć lat starszy. Chciał, żeby wszystko było jak Pan Bóg przykazał. Żeby dom był wysprzątny, a obiad na stole. Nigdy nie chciał wychodzić na miasto. Kiedy okazało się, iż nie możemy mieć dzieci, nie był tym specjalnie zawiedziony. Pewnie odetchnął z ulgą, że nie będą bałaganiły w domu. Poszłam na badania, on nie chciał. Zaproponowałam adopcję i wtedy usłyszałam, iż nie zamierza chować syna innego mężczyzny.

- Tak bardzo mi przykro, Ivy.

- Tak... Cóż, nie żyłam gorzej niż inni ludzie. A z tego, co mówisz, rozumiem, że w twoim Lough Glass ludzie też muszą żyć z tym, co im pisane.

- Tak, wszyscy oprócz mnie.

- Miałam swoją szansę jak ty, ale nie umiałam z niej skorzystać. Dlatego wiem, co mówię.

- Ernest? - zapytała Lena.

- Tak. Chciał, żebyśmy uciekli. Ale mężczyły mnie wyrzuty sumienia. Straszne wyrzuty sumienia. Mój mąż walczył za ojczyznę, Ernest miał żonę i dzieci. Bałam się. Bałam się, że pewnego dnia zaczniesz tego żałować i że nie jestem dla niego odpowiednią kobietą. Stchórzyłam, bo myślałam, iż Ron tego nie przeżyje. No i, jak widzisz, nie uciekłam.

- A co się działo w pubie?

- W pubie? Tak... Zapewniam cię, że tamtego dnia w pubie działo się więcej niż na froncie. Charlotte włączyła swój radar i wszystko wykryła. Wiedziała, kiedy Ernest poprosił mnie, abym z nim uciekła, i kiedy mu odmówiłam. Wybrała doskonałą porę na działanie. Powiedziała mi, że nie życzy sobie oglądać mnie więcej w pubie. Tego samego dnia odeszłam.

- I co zrobiłaś?

- Wróciłam do naszego mieszkania i wypucowałam je, aż lśniło. Kiedy wrócił Ron, miał jeszcze mniej do powiedzenia niż przed wojną. Był bardzo rozgoryczony. Twierdził, że ojczyzna nie doceniła żołnierzy. Nic go już nie cieszyło. A potem wspaniała Charlotte napisała do niego list, w którym powiedziała mu, co, jej zdaniem, powinien o mnie wiedzieć. Dostał szału. Nazwał mnie obrzydliwą

166

wywłoką, powiedział, że nie chce mnie znać. Ale ci naopowiadałam, kochaneczko... Same ponuractwa, co?

- Co mi chcesz przez to...?

- Że mam swoje piątkowe wieczory.

- A co z Ronem?

- Wyprowadził się. To było bardzo dziwne. Po prostu powiedział, iż nie chce więcej o tym wszystkim słyszeć. Wyprowadził się w tym samym tygodniu, kiedy dostał list od Charlotte.

- Chciałaś, żeby został?

- Wtedy chyba tak. Bałam się. Nie miałam nikogo, nie miałam się czym w życiu pochwalić. Ale Ron musiał odejść. Nienawidził mnie, a ja go nawet nie znałam. Przeprowadziłam się tutaj. Jak sobie możesz wyobrazić, moje dawne mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej. Sprzątałam tu i w innych domach. Odkładałam pieniądze, a kiedy dom wystawiono na sprzedaż, przejęłam hipotekę i odkupiłam tę chałupę.

- Wspaniale - w oczach Leny zabłysł podziw.

- Na otarcie łez, jak mówią. Uwierz mi, tylko na otarcie łez. Kiedy pomyślę sobie, co straciłam...

- A myślałaś chyba... że może ona... No bo gdyby...
- Za późno, kochana. Już dawno podjęłam decyzję. Nie wykorzystałam szansy.

Zapadła cisza.

- Wiem, co mi chcesz powiedzieć - odezwała się wreszcie Lena.
- Masz go przy sobie, kochasz go, zawsze go kochałaś, jeśli zadzwonisz do domu, stracisz wszystko.
- Więc mam udawać, że nie żyję?
- Nigdy tego nie udawałaś. Zostawiłaś list, w którym napisałaś, co robisz. Nie możesz winić siebie za to, co tam sobie pomyśleli.
- A Kit i Emmet? - Lena zbladła.

Zawsze będą wspominać cię z miłością, a nie z nienawiścią.

Chyba się na to nie zdobędę.

Widziałam, jak na niego patrzysz. Zdobędziesz się, zobaczysz.

167

Louis wrócił o wpół do ósmej rano. Był w doskonałym humorze.

- To co? Weźmiesz wolny dzień i będziesz mnie rozpieszczać? - zapytał. Patrzył na nią z przekrzywioną głową i z półuśmiechem na ustach, które tak uwielbiała.
 - Zrobię coś lepszego - obiecała. - Zaciągnę cię zaraz do łóżka, wykochem na śmierć, a potem cały dzień będziesz spał jak suseł.
- Chciał zaprotestować, ale już zdejmowała bluzkę, powoli, tak jak to uwielbiał.
- Szarogęsisz się, moja pani - powiedział. Zaczęła rozpinąć mu koszulę.

Zasnął, nim zdążyła wyjść z pokoju.

- Zawsze wygląda pani tak świeżo i pogodnie, pani Gray - zauważył Millar z aprobatą.

Ucieszona pochwałą, spojrzała na niego znad biurka. Wyśliznęła się z łóżka po cichutku, żeby nie zbudzić Louisa. Ubrała się w łazience i biegła mokrymi ulicami, przeciskając się przez tłum spieszących do pracy. A teraz... Teraz gorączkowo myślała o potwornej zbrodni, jakiej się dopuszczała, utwierdzając dzieci w przekonaniu, że leży na dnie jeziora niedaleko domu. Poroniła.

Mimo to... „Zawsze wygląda pani tak świeżo i pogodnie, pani Gray”.

W Lough Glass wszyscy twierdzili, że jest bardzo zmęczona. „Miała pani grypę, pani McMahan?” - pytali u rzeźnika. „Może dać ci coś na wzmocnienie?” - często proponował Peter. „Jesteś taka blada, kochanie” - mawiał Martin co najmniej sto razy w roku.

A tutaj, w tym obcym środowisku, nie mając nic oprócz ukochanego mężczyzny, po prostu kwitła szczęściem. Wszyscy to mówili. To chyba o czymś świadczyło.

- Bardzo miło się u pana pracuje, panie Millar. I to takie budujące towarzyszyć panu i panie Park w okresie wielkich przemian.

Lena Gray rozjaśniła ich biuro i życie. Widziała to w ich oczach, a to szalenie poprawiało jej humor.

168

Mijały dni. Niektóre jak z bicza trzasnął. Nie mogła się wówczas nadziwić, że jak to, już pora zamykać? Przecież jeszcze nie jadła lunchu! Inne znów okropnie się ciągnęły i zastanawiała się wtedy, czy to aby nie koniec świata i czy życie nie zaczęło już z wolna zamierać. Zaglądała do sklepików z

używanymi rzeczami i do antykwariatów. Znalazła w nich cudowne makatki oraz indiańskie narzuty, którymi przykryła zniszczone meble w pokoju.

Kupiła Louisowi skórzaną aktówkę z mosiężnymi okuciami, które wypolerowała na błysk.

- Portier aktówki nie potrzebuje - zauważył z żalem. Daj spokój. Ile razy prosili cię, żebyś został na noc jako kierownik zmiany? Dni harówki przy drzwiach już się kończą. I rzeczywiście.

Niebawem Louis dyżurował jako kierownik zmiany co drugą noc. Przecież nie uchodziło, aby człowiek, który przyjmował gości w recepcji, targał ich walizki. Pewnego wieczoru Lena wybrała się z nim, aby zobaczyć miejsce, gdzie pracował.

Kiedy wszystko obejrzę, łatwiej mi będzie wyobrazić sobie, jak pracujesz - tłumaczyła. Początkowo protestował.

Nie, nie chcę. Nie umiem ci wyjaśnić dlaczego - mówił. - Muszę tam grać, nie jestem do końca sobą... Ja też nie. Wreszcie pozwolił jej przyjść.

Pan Williams, dyrektor hotelu, był pod wrażeniem. Urodziwa, ciemnowłosa kobieta Irlandczyka bardzo mu się podobała.

Nic dziwnego, że panią ukrywał - powiedział. Lena umiała się znaleźć w każdej sytuacji.

Jest pan bardzo miły, panie dyrektorze, ale to tylko moja wina. Wciąż czuję się w Londynie tak obco. - Zdała się na jego łaskę i niełaskę udając prowincjuszkę zagubioną w wielkim mieście. Nie, nie flirtowała z nim, to byłoby wulgarne. Obrąła najwłaściwszy sposób bycia. Pan Williams, wielki, rasowy mężczyzna, natychmiast stał się szarmancki i opiekuńczy.

- Mam nadzieję, że Londyn się państwu spodoba. Louis jest bardzo cenionym pracownikiem.

- Zapewniam pana, że bardzo chcemy zarobić tu na godziwe życie. Londyn ma tyle do zaoferowania.

- Dziwię się, Louis, że zostawiasz w domu tak piękną żonę i pracujesz na nocną zmianę.

- Gdyby to zależało ode mnie, nie wybrałabym mu takiej pracy - odrzekła szybko Lena. - Ale wiem, że jeśli Louis chce pracować w ciągu dnia, najpierw musi zainwestować w mniej atrakcyjne godziny.

Wszyscy się uśmiechnęli. Oto para, która, miast skarżyć się i narzekać, chce piąć się w górę.

Niedługo potem Louis Gray dostał awans na zastępcę kierownika zmiany. Zawsze był bardzo uprzejmy dla swoich dawnych kolegów. Zwłaszcza dla głównego portiera, który tak bardzo utrudniał mu życie w pierwszych dniach pracy.

Londyn zaczął stroić się w świąteczne lampki. Lena za wszelką cenę usiłowała odegnąć od siebie myśl o indyku, którego trzeba by było zamówić w sklepie u Hickeyów. Wiedziała, że tego roku nad apteką w Lough Glass nie będzie świątecznych dekoracji.

Jak się tego spodziewała, Ivy nie nawiązywała już do rozmowy, którą odbyły pewnego dżdżystego wtorkowego wieczoru, kiedy to Lena postanowiła nie dzwonić do Irlandii. Niczym nie zdradzała, czy rozumie tę dziwną i trudną decyzję, ale pozwalała sobie na drobne gesty przyjaźni.

Podarowała Lenie słoik domowego dżemu, to znów jakieś płyty, których już nie słuchała. Jednak Lena zdawała sobie sprawę, że były to upominki, bo Ivy dobrze wiedziała, iż Louis uwielbia Deszczową piosenkę.

Ivy nie wspomniała też słowem o świętach. Musiała zdawać sobie sprawę, że będzie to dla nich okres pełen dramatycznego napięcia.

Czasami Lena rozmyślała o świętach Bożego Narodzenia, które Louis spędzał podczas ich trzynastoletniej rozłąki. Ale zgodnie z przyjętym planem przyrzekli sobie, iż zbudują przyszłość bez oglądania się wstecz. On miał nie dociekać, jak wyglądały jej noce z Martinem.

170

Ona miała nie pytać o ludzi i miejsca, o których nie wiedziała nic.

Wszystko szło jak trzeba. Stworzyli swój mały odrębny świat. Louis towarzyszył jej czasem na niedzielnej mszy, innym znów razem zostawał w domu. Było jej łatwiej, kiedy z nią nie jechał. Mogła wtedy kupić gazetę i poczytać, co dzieje się w Lough Glass i w promieniu osiemdziesięciu kilometrów wokół miasteczka. Dowiadywała się, kto kupił, i kto sprzedał ziemię, ile dzieci przyszło na świat, ilu ludzi zmarło.

A w niedzielę dwudziestego pierwszego grudnia, kiedy poszła do dużego kościoła przy Quex Road Kilburn, by prosić Boga o pomoc w zorganizowaniu dobrych świąt dla niej i dla Louisa, zawarła z Nim umowę. Przypomniała Mu wówczas, że przecież nigdy nie przestał kochać grzeszników, że zawsze okazywał im litość, a skoro jej jedynym grzechem była ucieczka z Louisem, może więc zechciałby spojrzeć na nią łaskawszym okiem?

- Nie oszukuję - mówiła - nie kradnę. Nie kłamię, wyjąwszy to jedno wielkie kłamstwo, że jesteśmy małżeństwem. Nie obmawiam ludzi. Nie bluźnię. Nie opuszczam mszy świętej. - Nie miała pojęcia, czy Bóg gotów jest przystać na taką umowę. Ale przecież, jeśli nawet nie żyła w śmiertelnym grzechu, i tak trudno było wyczuć, czy Pan Bóg zgadza się na

układ, czy nie. Trzeba było samemu interpretować Jego odpowiedzi, co czasami przychodziło z niemałym trudem, zwłaszcza gdy stało się w dużym, obcym kościele pełnym kaszlących i kichających ludzi. Był to zimny grudniowy dzień.

Lena podeszła do kiosku i kupiła gazetę, w której znajdowała wiadomości z domu. Przeczytała, że znaleziono jej ciało i ogłoszono, iż zginęła w niezawinionym wypadku.

W pogrzebie wzięło udział wielu mieszkańców Lough Glass, trumnę z jej ciałem złożono na przykościelnym cmentarzu.

Przez mgłę łez dostrzegła głównych żałobników w kondukcje: wdowca po topielicy, Martina McMahona, jej córkę

Mary Katherine oraz syna Emmeta Johna. Ich matka nie żyła i już ją pochowano. Odnaleziono inne ciało. I uznano, że to jej zwłoki.

171

Nagle pomyślała - ogarnęło ją niczym nie wytłumaczone przekonanie - że to palec boży. Czyżby Bóg odpowiedział na jej modlitwy? Od tej chwili nie musiała już podejmować żadnej decyzji.

Od tej chwili nie mogła wrócić do domu.

Rozdział czwarty.

Lilian jeszcze raz podjęła ten sam temat.

- Peter, chciałabym, żebyś przedstawił to Martinowi jaśniej. Powiedz mu, że czekamy na nich ze świąteczną kolacją.

- Sugerowałem mu to, ale...

- No właśnie, tylko mu sugerowałeś. Powiedz mu, że to najlepsze, co mogą zrobić. I niech zabiorą tę swoją pomoc kuchenną, jeżeli Martin nie

chce zostawiać jej samej. Przy okazji pomoże naszej Lizzie. Lizzie się ucieszy. Przecież po tym, co się tam stało, nie mogą przesiedzieć całych świąt w domu, wpatrując się milcząco w siebie.

- Tam się nic nie stało, Lilian - zauważył Peter. Jak zwykle czytał pismo medyczne i niewiele uwagi poświęcał żonie.

Lilian szukała ratunku u Maury, która przyjechała do nich na Boże Narodzenie.

Maura, może ty mu coś powiesz. Powiedz mu, że nie •nogą tam siedzieć i patrzeć jedno na drugie...

Prędzej czy później będą musieli zostać sami - odrzekła Maura. - Może powinni do tego przywyknąć, zamiast wciąż gdzieś uciekać. Zdumiony Peter spojrział na nią znad pisma.

Właśnie to usłyszałem od Martina.

No to sprawa jasna.

Dan O'Brien spytał Mildred, czy nie uważa, że powinni zaprosić McMahanów na świąteczną kolację. Nie będziemy się im narzucać.

173

- To nie jest narzucanie się, tylko serdeczność. - Nie uśmiechały mu się kolejne drętwe święta u boku małomównej żony i syna. Obecność McMahanów wymusiłaby przynajmniej rozmowę przy stole.

- Przypuszczam, że zechcą spędzić święta po swojemu, jakby nigdy nic - wtrącił Philip. On też bardzo chciał widzieć Kit przy swoim stole i bardzo chciałby jej pouśmugiwać, ale wiedział, że nic z tego nie będzie.

- Sam widzisz - skostatowała Mildred O'Brien. Nigdy nie lubiła tej Helen McMahan, paniusi o artystycznych zacięciach. Poza tym wszyscy wiedzieli, iż w jej śmierci było coś podejrzanego. Nie szkodzi, że nie

znaleziono pożegnalnego listu - w Lough Glass było wielu takich, którzy sądzili, iż Helen McMahan zakończyła życie z własnej woli.

Pani Hanley ze sklepu odzieżowego miała poważne kłopoty z córką Deirdre.

- Dokąd ty się wybierasz w pierwszy dzień świąt? - zapytała.

- Na spacer. Na groby, no wiesz...

- Nie, nie wiem. Na jakie znów groby?

- Tych, którzy umarli, mam. Właśnie to robi się w święta. Ludzie chodzą na cmentarze i modlą się za bliskich, którzy odeszli.

- Tak się składa, że jak na razie nie masz na cmentarzu żadnych bliskich.

A jak nie będziesz na siebie uważać, rychło sama się tam wyprawisz.

- Jesteś nieczułą egoistką.

- Lepiej powiedz, za kogo chciałabyś się modlić, gdybyś tam poszła.

Wymień choć jedną osobę...

- Mogłabym pomodlić się za ojca Steviego Sullivana.

- On u nas nie leży. Pochowali go przy szpitalu dla wariatów czterdzieści pięć kilometrów stąd - oświadczyła triumfalnie matka.

- No to za mamę Kit McMahan.

- Ledwie ją pochowali. Daj spokój, Deirdre. Chcesz wyjść, bo chodzą ci po głowie różne figle-migle, a jak się dowiem, z kim tak figlujesz, wygarbuję ci skórę, że popamiętasz.

174

- A komu by się chciało tu z kimś figlować? - Deirdre westchnęła.

- Tobie. Ale ja mam cię na oku. To ten młodzik, syn Dana O'Briena, co?

- Philip?! - w głosie Deirdre zabrzmiało niekłamane przerażenie i wstręt.

Pani Hanley wiedziała już, że musi poszukać innego tropu.

Siostra Madeleine nie przyjęła zaproszenia od nikogo, ale wieść niosła, że jej stół ugina się od świątecznego jadła bardziej niż większość stołów w Lough Glass. Wszyscy taktownie robili wywiad, co zamierzają jej przynieść sąsiedzi, żeby czasem nie zdublować potrawy.

Rita zaniósła jej tylko bochenek chleba.

- Przynajmniej wiem, że chleb to siostra na pewno zje - powiedziała. - Śliwkowy pudding odda siostra Cyganom, a kawałki indyka liskowi czy innemu zwierzęciu, które siostra aktualnie hołubi.

- Mam dużą kulawą gęś - odrzekła pustelnica. - Byłoby niezręcznością z mojej strony karmić ją indykiem, bo to przecież bliscy krewni. Ale masz rację, uwielbiam chleb.

- Ciężko będzie w domu w najbliższy czwartek - zauważyła Rita.

- Nie ciężej niż w każdy inny dzień - stwierdziła pustelnica, okazując zaskakująco mało współczucia.

- No tak, ale na myśl o poprzednich świętach Bożego Narodzenia...

Dobrze, że wreszcie ją pochowano. Ludzie zaznają raz spokoju.

Czy ważne jest dla siostry miejsce, w którym siostra miałaby leżeć?

Nie, wcale. Ale nie zapominaj, iż straszna ze mnie • dziwaczka. Sama najlepiej wiesz.

Powiada siostra, że powinnam się w te święta jakoś szczególnie zachowywać?

Nie. Jestem przeciwna udawaniu. Co ma być, to będzie.

175

- Chciałabym, żeby o niej mówili.

- Kto wie, może będą? Przecież to święta.

- Brat Healy! Jak to miło! Żłobek w Saint John jest ponoć tak piękny, że

aż nie do wiary. - Siostra Bernard była wyniośle przymilna.

- To robota tego małego łobuza, Kevina Walla. Pustelnica dała mu rośliny, siano i tak dalej. Niezbadane są drogi Pana, matko przełożona.

- I czyż to nie wspaniale, że Bóg wskazał nam miejsce spoczynku biednej Helen McMahan, tak byśmy zdążyli z pochówkiem przed świętami? -

powiedziała zakonnica, tak jakby była to jeszcze jedna kłopotliwa sprawa, którą Bóg sprawnie uporządkował i rozwiązał przed Bożym Narodzeniem.

Ale brat Healy doskonale rozumiał prawdziwy sens jej słów.

- Panie świeć nad jej duszą. Istotnie, istotnie - przytaknął. Nauczyciele słyszą więcej niż inni, więc i do brata Healy'ego docierały najrozmaitsze spekulacje, głównie ze szkolnego podwórka.

Słyszał na przykład wielce skomplikowaną historię związaną z młodym Wallem, który owego wieczoru wypożyczył sobie łódkę McMahanów, co by znaczyło, że matka małego Emmeta wcale z niej nie wypadła. Szeptano też po kątach, iż Helen McMahan romansowała z jednym z Cyganów. Kto wie, może z nim uciekła? A może ukryli się razem w cygańskim wozie?

Niby z żadnym z tych domysłów nie warto było pędzić na posterunek do sierżanta O'Connora, ale dobrze się stało, że w końcu natrafiono na zwłoki.

Matka przełożona ma rację. To wspaniale, iż Bóg tak pokierował poszukiwaniami, że odnaleziono ciało Helen McMahan, by zakończyła swe niespokojne życie w godny sposób: przy dźwiękach pieśni i w towarzystwie księdza Bailly'ego, który odprowadzał trumnę na cmentarz.

- Co Emmet myśli o świętym Mikołaju? - spytała Clio w wigilijny wieczór.

176

- To, co wszyscy - odrzekła Kit.

- Nie. Chodzi mi o to, czy się czegoś spodziewa. Twój tata może zapomnieć...
- To mama się tym zawsze zajmowała - Kit dosyć namolnie przypominała dobre uczynki mamy.
- O! - Clio była zaskoczona.
- Wszystko w porządku. Tata wie, ale i tak go wyręczone. Podłożę coś przy kominku.
- A kto wyręczy ciebie?
- Może dostanę jakieś mydełko z apteki - odrzekła Kit z powątpiewaniem. Mama zajmowała się tyłoma sprawami, a wszyscy przyjmowali to za coś zupełnie oczywistego. Przed Bożym Narodzeniem ozdabiała dom gałązkami ostrokrzewu. Tata mawiał ze śmiechem, że czuje się jak w lesie - już nigdy tego nie powie. Jeździła też do miasta po świąteczne prezenty i tak sprytnie je ukrywała, iż przepadały dosłownie bez śladu. Kit wciąż się nie mogła nadziwić, jakim sposobem przemyciła do domu rowery - dostali je, gdy nauczyli się jeździć - albo gdzie ukryła gramofon. Gramofon - kiedy to było? W zeszłym roku? Czy rzeczywiście jeszcze rok temu wszystko było w idealnym porządku?

Mama doskonale wiedziała, jakie ubranie kupić w prezencie Ricie. Rita zawsze dostawała coś nowiusieńkiego w stylu sklepu z wielkiego miasta. Ani Kit, ani tata nie wiedzieli nawet, jaki rozmiar Rita nosi, a nie mogli przecież Wziąć jej wymiarów na odległość. Mama chomikowała też pudełka ze strzelającymi cukierkami i długie papierowe łańcuchy, które rozwieszała w kuchni po przekątnych. Kit zastanawiała się, gdzie ich szukać. W kuchennych kredensach ich nie było. Może mama ukryła je w jakimś tajnym miejscu w swojej sypialni?

Ale przecież nosili żałobę. Może nawet nie będą mieli choinki? Ale żłobek mieć muszą, taki z siankiem. Żłobek nie ma nic wspólnego z hucznym świętowaniem, tylko z powitaniem Dzieciątka Jezus. Kit westchnęła przygnieciona pożarem posępnych myśli. Clio wzięła westchnienie przyjaciółki za wyraz problemów ze świąteczną skarpetką.

177

- Moglibyśmy zająć się prezentami, no wiesz, moja mama i tata.

Cieszyliby się, że mogą coś zrobić. - Clio miała łzy w oczach.

Kit potrząsnęła głową.

- Nie, bardzo wam dziękuję, ale jakoś sobie poradzę. Musisz wiedzieć, że prezenty i święty Mikołaj to jeszcze nic.

- Jest coś gorszego?

- Tak. Myśl, że mama nigdy się nie dowie, co ze mnie wyrośnie. Nigdy.

- Będzie widziała cię z nieba.

- Tak - bąknęła Kit. Zapadła głucha cisza. Mimo słów pocieszenia, jakie ksiądz Baily wygłosił nad trumną, Kit wiedziała, że aniołowie nie zabrali mamy do raju. Mama popełniła grzech przeciwko Nadziei i nie mogła oczekiwać wybaczenia.

Mama smażyła się w piekle.

- Wigilia może być istnym piekłem na ziemi - powiedziała Ivy. - Wszyscy biegają po sklepach, robiąc ostatnie zakupy. Zupełnie tak, jakby święta wszystkich zaskoczyły, jakby nikt nie wiedział o nich już od kilku tygodni.

- Pracujemy do południa, choć naprawdę nie rozumiem po co - odrzekła Lena. - Przecież w Wigilię nikt nie szuka pracy.

- Pewnie Jessie Park ani panu Millarowi nigdzie się nie spieszy -

skonstatowała przebiegle Ivy.

- Chyba masz rację - Lena uświadomiła sobie, że istotnie tak było.

Życie niektórych ludzi kręciło się wyłącznie wokół pracy. Hotel Louisa był otwarty w święta głównie dlatego, że pracownicy nie mieli co ze sobą zrobić. Dyrektor Williams zaanonsował, że o czwartej po południu w pierwszy dzień świąt odbędzie się wielki poczęstunek dla wszystkich zatrudnionych. Powiedział też Louisowi, iż będzie ogromnie zaszczycony, jeśli Lena zechce do nich dołączyć. To zaproszenie było dla Leny idealnym rozwiązaniem nurtujących ją problemów. Dzięki hotelowej uroczystości nie będą musieli odgrywać z Louisem sztucznych świątecznych scen. Pokój już co prawda pięknie ozdobiła, lecz będzie jej znacznie

178

łatwiej, gdy w dzień Bożego Narodzenia wyjdą na służbową kolację.

- A ty? Co robisz w pierwszy dzień świąt? - Lena zajrzała Ivy w oczy i od razu wyczuła, że przyjaciółka ją okłamie.

- Och, nawet nie pytaj. Muszę wpaść tu i tam, w najrozmaitsze miejsca. W Boże Narodzenie czuję się jak lekarz. Dawne zobowiązania, aż ich za wiele...

Lena ze współczuciem pokiwała głową. Tak było lepiej.

- Czy to nie barbarzyński kraj? Pierwszy dzień świąt, i wszystkie puby zamknięte - rzekł Peter Kelly w drodze powrotnej z mszy.

- Czy to aby nie ty ciągle utyskiwałeś, że stan naszego państwa jest wypadkową funkcjonowania pubów? - spytał Martin McMahan.

- Tak, tak, ale to argument z zupełnie innej dyskusji.

- Wygląda na to, że miałbyś ochotę wpaść do mnie i posiedzieć przy

kieliszku.

Kit uważała, że tata wygląda okropnie. Przez cały ranek wszyscy znajomi znowu okazywali mu współczucie, co odcisnęło na nim wyraźne piętno.

Zdawało się, iż doktor Kelly też to wyczuwa.

- Nie, nie, skądże! Już dość się dzisiaj nagadałeś. Wracaj na łono rodziny.

- Tak. - To słowo zawisło między nimi puste i smutne.

Zdjęli płaszcze i chuchnęli w dłonie.

- Wspaniale pachnie, Rito.

- Dziękuję, proszę pana.

Usiedli we czworo, tak jak to mieli w zwyczaju od dnia, kiedy dwa miesiące temu Helen po raz ostatni wyszła z domu. Martin siedział teraz na jej dawnym miejscu, a Kit przesiadła się na jego krzesło. Emmet przesunął się o jedno krzesło, a na starym miejscu Emmeta siedziała Rita. Kiedy żyła Helen McMahan, też jadali w kuchni, ale Rita albo przysiadła się na koniec stołu, albo jadła dopiero wtedy, gdy oni skończyli. Mogło się więc wydawać, że odejście pani domu zrównało w prawach wszystkich

179

jego mieszkańców i przyczyniło się do obalenia różnic klasowych. Jednak nie można było jej winić o poprzedni porządek rzeczy. Kit chciała, żeby wszyscy o tym wiedzieli, chciała to w jakiś sposób podkreślić.

- Zawsze mogłaś z nami siadać do świątecznego stołu, Rito, dobrze o tym wiesz, ale zawsze stałaś przy kuchni i mieszałaś sos albo coś innego i...

- Wiem, wiem, oczywiście - odparła Rita.

- Ricie nie trzeba takich rzeczy mówić - tato powiedział to bardzo ostro.

- Ale, tatusiu, o pewnych sprawach trzeba mówić. Siostra Madeleine twierdzi, że rzadko rozmawiamy o rzeczach ważnych, mówimy tylko o

głupstwach.

- I ma rację, ma rację - tato kiwnął głową. Wygląda bardzo staro - pomyślała Kit. Kiwa głową jak starzec i jak starzec powtarza te same słowa. Przez jakiś czas trwała cisza, jakby nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Wreszcie odezwała się Rita:

- Podać już do stołu? Przyszykować panu... nam wszystkim...?

- Tak, Rito, bardzo proszę. - Tato wyglądał fatalnie. Miał duże, ciemne sińce pod oczami. Widocznie ostatniej nocy wcale nie spał i wspominał, jak oni wszyscy, dawne Wigilie, kiedy działo się tyle różnych rzeczy.

Tegoroczna ciągnęła się nieznośnie długo.

- Zaczniemy od grejpfrutów - oznajmiła Rita. - Pani nauczyła mnie przekrawać je takim ząbkowanym nożykiem, dzięki czemu po przecięciu wyglądają jak ozdoba. No i jeszcze nauczyła mnie kłaść na środku połówki grejpfruta kandyzowaną wisienkę naciętą na krzyż i rozłożoną jak kwiat, a do tego kawałeczek dzięgielu, żeby wyglądał jak zielona łodyżka. Pani mówiła, że odrobina starania o ładny wygląd jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Nazywała to estetyką.

Wszyscy gapili się w grejpfruta, usiłując wymyślić jakiś komentarz.

Kit czuła, że w gardle narasta jej dławiąca gęsia skórka.

- Nikt w Lough Glass ani nigdzie indziej na pewno nie będzie jadł nic tak ładnego - odezwała się głosem, który

180

nawet jej samej wydał się nienaturalny. Brzmiało to tak, jakby recytowała tekst z jakiejś sztuki.

- Właśnie, właśnie... - przytaknął tata. - Nikt nie zasiada do takiej kolacji jak my, zawsze to mówiliśmy... - Nie dokończył zdania, bo najwyraźniej dotarło do niego, iż istotnie tylko oni zasiadali do stołu w takich okolicznościach. Za zaciągniętymi kotarami wszystkich pozostałych domów w Lough Glass ludzie jedli i pili albo planowali popołudnie, śmiejąc się, sprzecząc bądź po prostu drzemiąc przed kominkiem. Nie siedzieli sztywno za stołem, usiłując połknąć kawałek grejpfruta tak gorzkiego, że aż język drętwiał, a oczy zachodziły łzami.

A kiedy na stół wjechał indyk, wszyscy odwrócili wzrok od twarzy ojca. Mama mawiała, że to wielkie szczęście, iż tata został aptekarzem, a nie chirurgiem, w przeciwnym razie miejscowa ludność zostałaby zmieciona z powierzchni ziemi. Mama nauczyła się kroić indyka i robiła to nad wyraz zręcznie. Rita nie lubiła jej w tym zastępować.

- Czyż nie jest wspaniały? - rzucił tata z trupio bladym uśmiechem, próbując podnieść wszystkich na duchu. - To najwspanialszy indyk, jaki kiedykolwiek się nam trafił. - Ten komentarz padał co roku, potem zaś następowały uwagi o tym, jak to rodzina Hickeyów wybrała się na oddalony o osiem kilometrów targ, żeby wybrać najlepsze, najmłodsze i najlepiej utuczone ptaki. Zapadła cisza. - Prawda, że jest wspaniały, Emmet?

Biedny tata wymachiwał wielkim nożem i uśmiechając się sztucznie, usiłował ich rozweselić. Nie zdawał sobie sprawy, że wygląda jak żądny krwi morderca z filmu lub teatrzyków objazdowych, które co dwa lata odwiedzały Miasteczko.

Emmet patrzył na niego bez słowa.

Powiedz coś, młodzieńcze. Twoja mama nie chciałaby, żebyście siedzieli

tu struci i milczący. Na pewno życzyłaby sobie, byście trochę porozmawiali. Jest Boże Narodzenie, jesteśmy razem, a wy zachowaliście wspomnienie najwspanialszej z matek, które będzie towarzyszyło wam do końca życia. Przecież to cudowne, prawda?

Emmet wpatrywał się w zaczerwienioną twarz ojca.

181

- To wcale nie jest cudowne, tato - odparł. - To jest sss... straszne. - Jąkał się równie mocno jak przedtem.

- Musimy udawać, że wszystko jest w porządku, synku - odrzekł ojciec. - Prawda, Kit? Rito?

Patrzyli na niego bez słowa.

- Mama by nie udawała - odpowiedziała Kit. - Nie sądzę, żeby mówiła, iż coś jest cudowne, gdyby takie nie było.

Słyszeli tykanie zegara na półpiętrze. W innych domach ludzie przekrzykiwali się nawzajem, aby coś powiedzieć, a tutaj słychać było mruczenie starego kocura, tykanie zegara i perkoczące rondle, zestawione na podręczną kuchenkę marki Aga.

Twarcz taty była ponura, zszarzała i ponura. Kit patrzyła na niego z udręką. Nocą tatuś na pewno przewraca się z boku na bok i rozmyśla, dlaczego tamtego wieczoru mama wyszła z domu i utopiła się w jeziorze.

Setny raz zadawała sobie w duchu pytanie, czy dobrze zrobiła paląc list od mamy. I po raz setny odpowiadała sobie, że dobrze. Wystarczyło tylko pomyśleć, co by się działo, gdyby znaleziono ciało mamy, a ona, Kit, nie zachowała się tak, jak się zachowała. Tata musiał już na pewno słyszeć opowieść, jaką rozgłaszał ten głupi Kevin Wall. Kevin Wall opowiadał, jak to tamtego wieczoru, kiedy mama Kit i Emmeta zaginęła, wypłynął łodzią

McMahonów na jezioro. Ale i tak nikt mu nie uwierzył, bo jemu nie uwierzono by nawet wtedy, gdyby powiedział, że dziś jest dzień Bożego Narodzenia.

- Ja też zacznę mówić prawdę, tak jak to robiła wasza mama - odrzekł tata łamiącym się głosem. - A prawda jest taka, że nic nie jest w porządku - ciągnął przez łyzy. - Jest strasznie. Tak bardzo mi jej brakuje, iż nie pociesza mnie nawet myśl, że kiedyś spotkamy się w niebie. Czuję się bez niej taki samotny... - Ramiona mu opadły. Nastrój się zmienił. Kit i Emmet wstali i objęli ojca. Długo tulili się do siebie. Rita siedziała bez ruchu. Stanowiła tło. Jak kuchenne zasłonki. Jak stary Farouk śpiący na stołku koło agi. Jak szary, mokry deszcz za oknem.

A potem przestali. Zupełnie tak, jakby przeszła nad nimi burza, która oczyściła powietrze. Zaczęli rozmawiać pogodniejszym tonem.

182

Dławiące udawanie pierzchło. Czyż to nie jest niezwykle, że siostra Madeleine przepowiedziała Ricie, iż tak właśnie będzie?

Wtem rozdzwonił się telefon, ostro i przenikliwie. Nikt nie telefonował w dzień Bożego Narodzenia. Chyba że w nagłych przypadkach.

W hotelu „Dryden” zrobiono wszystko, żeby świąteczne przyjęcie dla personelu wypadło naprawdę wesoło. Wielu pracowników było związanych z hotelem od bardzo dawna. Większość lojalnie przetrwała tu lata wojny, a nieliczni, o czym James Williams dobrze wiedział, nie mieli prawdziwego domu, w którym mogliby spędzić Boże Narodzenie.

Choinka, którą ustawiono w holu, żeby wprawić hotelowych gości w świąteczny nastrój, została przeniesiona do jadalni, a każdy z pracowników - łącznie z małżonkami - miał do odegrania określoną rolę.

Do Leny należało przygotowanie wizytówek przy nakryciach.

Louis wręczył jej listę zaproszonych gości.

- Chcą, żeby wizytówki były wypisane artystycznie - powiedział. - To szaleństwo, ale sama się zgłosiłaś.

- Nie, myślę, że to doskonały pomysł. Będą mieli pamiątkę ze świąt. - Poprosiła go o bloczek firmowego papieru, by na każdej wizytówce przykleić drukowaną nazwę hotelu. - Kartonik z takim nadrukiem jest jak zaproszenie - oznajmiła i zaczęła kaligrafować imiona i nazwiska biesiadników: Barry Jones, Antonio Bari, Michael Kelly, Gladys Wood... Każdemu nazwisku poświęcała wiele uwagi, każde z nich ozdabiała domalowywanymi gałązkami ostrokrzewu z kiściami jagód.

Początkowo czuli się niezręcznie, bo krępowało ich, że siedzą przy stolikach, miast przy nich biegać i spod nich wymiatać. Ale James Williams wciąż puszczał w koło wazę z ponczem i wkrótce cała nieśmiałość zniknęła. Gdy nadeszła pora krojenia indyka, niektórzy wyciągnęli już strzelające cukierki z wróżbami, przewidziane dopiero na czas śliwkowego puddingu. Wokół stołu, przy którym siedziało dwudziestu dziewięciu dziwnie dobranych gości, toczyły się ożywione rozmowy.

183

Lena wymknęła się ukradkiem do toalety i tuż za drzwiami dostrzegła automat telefoniczny. Było wpół do szóstej wieczorem. O tej porze w zeszłym roku spacerowała z dziećmi nad jeziorem, wytupując z siebie skutki wieczerzy. Tak to nazywała, ale w gruncie rzeczy była to ucieczka spomiędzy osaczających ścian domu. Martin patrzył na nią z nadzieją, ale zaleciła mu drzemkę przy kominku. Miała wówczas wyrzuty sumienia, że

odmawia mu zwykłej radości świątecznego spaceru z żoną i dziećmi.

Teraz nie czuła dla niego litości. Teraz czuła jedynie gniew wobec mężczyzny, którego zaklinała, by grał z nią uczciwie. To przez niego nie mogła rozmawiać w te święta ani z Kit, ani z Emmetem. Przez niego nie mogła im wysłać prezentów, zapewnić ich o swej miłości, zaplanować ich przyjazdu do Londynu na Wielkanoc.

Za gardło chwycił ją gniew. Zanim uświadomiła sobie, co robi, już stała przy automacie, już wykreślała numer centrali. Podała telefoniście numer w Irlandii i czekała.

Po chwili usłyszała głos telefonisty:

- Lough Glass jest bardzo małą miejscowością, proszę pani. Mają tam mało telefonów i ręczną centralkę. W pierwszy dzień świąt połączenie można uzyskać wyłącznie w sprawach pilnych.

- To jest pilna sprawa - odparła ze ściśniętym gardłem.

Słyszała trzaski na łączach, potem długi sygnał dzwonka na poczcie na rogu Lakeview Road i głównej ulicy miasteczka. Dzwonek dźwięczał i dźwięczał bez końca. Lena dziwiła się, że pani Hanley, która mieszkała tuż obok, jeszcze nie podniosła słuchawki. Była najbardziej wścibską osobą w Lough Glass i na pewno zżerała ją ciekawość, kto i w jakiej sprawie dzwoni w święta.

Jednak w końcu to Mona Fitz przyczłapała do telefonu. Lena usłyszała jej niepewny głos, w którym pobrzmiwała nutka wściekłości, że ktoś śmiał jej zakłócić poobiednią drzemkę.

Telefonista z centrali podał numer w Lough Glass.

- W święta przyjmujemy telefony tylko w sprawach nagłych - oświadczyła Mona.

Lena niecierpliwie zacisnęła pięści. A cóż to znów za fatyga dla tej durnej baby wcisnąć cholerny kabel we właściwą dziurkę! Zamiast wdawać się w męczące przesłuchania i wyjaśnienia mogłaby to po prostu zrobić, i już.

- Osoba zamawiająca rozmowę powiedziała, że sprawa jest pilna.

- No to proszę.

Oczywiście wyobraźni Lena widziała, jak Mona nakłada okulary i łączy rozmowę z domem położonym ledwie kilka kroków dalej przy tej samej ulicy.

Po kilku dzwonek usłyszała głos Martina.

- Halo? - rzucił z podejrzliwym wahaniem. Czyżby wiedział, że w święta do niego zadzwoni? Że nie

utrzyma jej z dala od dzieci, wmawiając im, iż się utopiła? A może się bał, może umierał ze strachu na myśl, jak wyjaśni ludziom to straszliwe zamieszanie, które sam sprowokował?

- Halo? - powtórzył. - Kto mówi?

Straszliwe zamieszanie - można to było odmienić w okamgnieniu. Ale odmieniłaby tym samym swoje życie. Życie, które dopiero co rozpoczęła.

Więc milczała. Przycisnęła widełki. Usłyszała głos londyńskiego telefonisty.

- Halo, proszę pani! Słyszysz mnie pani? Halo! Jest już połączenie z Lough Glass...

Słyszała też głos Mony:

- Cóż to za pilna sprawa, skoro nikt się nie zgłasza? I głos Martina:

- Halo! Halo! Kto mówi?

- Nigdy w życiu bym do tego nie dopuściła, Martinie - usprawiedliwiała

się Mona - ale on powiedział, że to pilna sprawa.

- On? To był mężczyzna? - w jego głosie zabrzmiało zdumienie, lecz nie wyrzuty sumienia. Martin nie sprawiał wrażenia kogoś, kto usiłuje coś zatuszować. Z drugiej strony, cóż, prawie wcale go nie znała.

- Nie, nie, rozmawiałam tylko z telefonistą. Zaczekaj, sprawdzę, czy jest jeszcze na linii.

Lena nie odkładała słuchawki. Martin, Mona i telefonista rozprawiali o tym, że bez wątpienia zamawiano właśnie ten numer.

185

- Nie szkodzi, wiem, skąd telefonowano. Zaraz tam zadzwonię - powiedział.

Odwiesiła słuchawkę. Drżała jak osika. Dlaczego zrobiła coś tak głupiego?

Teraz zatelefonują do hotelu i zapytają, kto zamawiał Lough Glass w Irlandii. Louis się wścieknie. Monety rozgrzały się od ciepła jej dłoni i zwilgotniały od potu.

I wtedy, tak jak się tego spodziewała, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Czy to pani zamawiała Lough Glass w Irlandii Południowej?

- Nie - odparła Lena, usiłując naśladować akcent portowej części Londynu.

- Ale ktoś z tego numeru zamawiał Lough Glass...

- Nie. Zamawiałam Loughrea - odparła. Telefonista zwrócił się do Mony i Martina:

- Pomyłka, to nie ta miejscowość.

- Nie wiem, jak można pomylić Lough Glass z Loughrea - zrzędziła Mona.

- W porządku, nie szkodzi - rzekł Martin.
 - Halo, Londyn? Proszę mi podać numer w Loughrea. - Telefonista musiał dyżurować w święta i bynajmniej nie był z tego zadowolony.
- Lena milczała. W tle słyszała głos córki dopytującej się, kto dzwonił.
- To pomyłka, Kit. Ktoś chciał rozmawiać z Loughrea. Nie słyszała odpowiedzi, ale zaraz potem Martin parsknął śmiechem. Czyżby Kit powiedziała coś w rodzaju: „I wstąpił do Lough Glass, po drodze mu było”?
 - Londyn, słyszy mnie pani? - niecierpliwił się telefonista.
 - Wie pan co? Rozmyśliłam się. Już za późno.
 - Stokrotne dzięki - odparł.
 - Odkładam słuchawkę - bała się, że sprawdzą ten numer po raz drugi.
 - Dobrze, proszę pani.
 - Już pan nie zadzwoni, prawda? - chciała mieć absolutną pewność, że może spokojnie odejść od telefonu.
 - Nie, proszę pani. Do widzenia.

186

Kręciło się jej w głowie. Nie minął tydzień, odkąd ją pochowali, a jej własna córka potrafi się już śmiać! Lena kilka razy głęboko odetchnęła, aby nabrać sił przed powrotem na salę.

- Wszystko w porządku? - zainteresował się James Williams. - Długo pani nie było.
- W porządku... Coś mnie ominęło? - spytała. Pośrodku roześmianej grupki zobaczyła Louisa. Gładys Wood, której imię i nazwisko z takim pietyzmem kaligrafowała, miała na głowie przekrzywiony papierowy kapelusz. Siedziała obok Louisa,

obejmując go za szyję.

- Moja wróżba! - krzyknęła rozanielona. - Przeczytaj mi ją jeszcze raz!

Louis posłusznie zajrzał do karteczki, którą znalazła w strzelającym cukierku.

- Piszą tu, że spotkasz przystojnego ciemnowłosego mężczyznę.

- Już go spotkałam! - pisnęła Gladys.

- O Boże... -jęknął James Williams. Jego dobrotliwy uśmiech właściciela rozradowanego widokiem bawiących się pracowników był już cokolwiek sztuczny.

- Trochę zaszumiało im w głowie. - Lena nie mogła się nadziwić, że jest w stanie dobrać z siebie głos. Bała się, że po przeżyciach przy telefonie nie będzie w stanie mówić.

- Przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku ta kobieta pracuje w spiżarni cichuteńko jak myszka, a w Boże Narodzenie, regularnie jak w zegarku, zawsze się upija. Resztę roku wszystkich przeprasza.

- Myśli pan, że się rozchoruje? - zapytała Lena z chłodną, profesjonalną obojętnością, jak ktoś, kto pyta o godzinę odjazdu pociągu.

- Niestety, chyba tak.

- Nie uważa pan, że na wszelki wypadek należałoby ją stąd wyprowadzić?

- Patrzyła na marynarkę Louisa. Kupiła mu ją pod choinkę, kosztowała majątek. Nie chciała, żeby mu ją zniszczono.

- Owszem, i zastanawiam się, czy nie zdać się w tej kwestii na panią...

- Hm, obawiam się, że nie jestem najważniejszą osobą.

187

W końcu przypięła się do swojego męża. Goście mogą pomyśleć, że mam w tym osobisty interes.

- Doprawdy, jest pani cudowną kobietą, pani Gray - powiedział i pstryknął na Erica, głównego portiera.

- Leno - poprawiła go.

- Leno - uśmiechnął się. Polecił jednej z dziewcząt przy pomocy Erica wyprowadzić pannę Wood do toalety i roztoczyć nad nią opiekę. I to niezwłocznie.

Louis przeciągnął palcem pod kołnierzykiem koszuli i uśmiechnął się do nich ze skruchą.

Miał szansę wyplątać się z tego wcześniej - pomyślała ze złością. Choć z drugiej strony zawsze miał powodzenie u pań i był do tego przyzwyczajony. Bawiło go to, więc nie mogła zapomnieć o uśmiechu.

- Co sobie ślubujesz z okazji Nowego Roku? - zapytała Clio.

- Jeszcze o tym nie myślałam. Za to Clio już pomyślała.

- Postanowiłam, że będę ładna, naprawdę bardzo ładna.

- Przecież już jesteś ładna.

- Wcale nie. Wyglądam jak z obrazka w książce dla dzieci opisującej, jak rondel uciekł z łyżką - powiedziała żałośnie Clio.

Kit zachichotała.

- A kim jesteś? Łyżką czy rondlem?

- Jednym i drugim.

- Nie wygłupiaj się, Clio. Nie możesz być jednym i drugim, bo jedno jest chude, a drugie grube.

- Ale żadne z nich nie ma ani krzty charakteru i oboje wyglądają tak tępo jak księżyc w pełni.

- A jak masz zamiar nabrać charakteru?

- Będę czytała książki i obserwowała, jak dbają o swój wygląd ludzie

prawdziwie światowi.

- Chodzi ci o ubrania? Przecież nie mamy na nie pieniędzy.
- Nie. Chodzi mi tylko o ich twarze, o makijaż.
- Nie pozwalają nam się malować.

188

- Przestań szukać dziury w całym. Tak sobie postanowiłam, i już. Będę zwalającą z nóg trzynastolatką.
- Jasne, bądź ładna. Kto cię powstrzymuje?
- Ty, Kit. Ty zawsze... Ty zawsze tylko wzruszasz ramionami.

Kit okazała skruchę.

- Czego chcesz się nauczyć? Może i ja mogłabym się nauczyć kilku sztuczek?
- Wiem, że rzęsy trzeba smarować wazeliną. Potem lepiej rosną. I myślę, że od czasu do czasu powinnyśmy zasysać policzki, żeby twarz nabrała ciekawszego kształtu.

Robiły miny i pękały ze śmiechu.

- Wiesz, takie zasysanie to chyba za mało - skonstatowała Kit.
- Zobaczymy, nauczymy się - Clio była niewzruszona.
- Wyglądamy tak, jakbyśmy miały kogoś za chwilę pocałować.
- Całowanie też powinnyśmy poćwiczyć.
- Chryste, na kim?
- Na byle kim. Na tym, kto się trafi.
- Chyba nie mówisz poważnie.
- Jasne, że tak. No bo skąd będziemy wiedziały, że robimy to jak należy?
- Niby kto miałby się trafić? - Kit była praktyczna.
- Na przykład ty mogłabyś poćwiczyć z Philipem O'Brienem. Ciągłe

wybałusza na ciebie gały.

A ty z kim?

- Może ze Steviem Sullivanem? - Clio uśmiechnęła się wyniośle.
- Przecież on całuje się z Deirdre Hanley. - Kit była zaskoczona, że Clio wybrała sobie kogoś tak zajętego.
- Deirdre jest stara i niedługo straci całą urodę. Mężczyźni często zajmują się młodszymi.
- Ona ma dopiero szesnaście lat.
- Tak, ale w pięćdziesiątym trzecim stuknie jej siedemnastka i z każdym rokiem będzie się coraz bardziej posuwała.
- Lubisz Stewiego?

Nie, ale jest przystojny.

189

- Philip O'Brien też?
 - Nie, ale on na ciebie leci. - Clio poszufladkowała już cały świat.
- W styczniu spadł śnieg. Anna Kelly rzuciła śnieżną pigułą w Emmeta McMahona. Usankcjonowanym tradycją zwyczajem zgarnął garść śniegu i wcisnął jej za kołnierz, aż zapiszczała z uciechy. On też się roześmiał.
- Przeszło ci już? - spytała.
 - Co miało mi przejść?
 - No... to, że twoja mama nie żyje.
 - Nie. Ale chyba już do tego przywykłem.
 - Mogę bawić się z tobą i z Kevinem Wallem? - poprosiła.
 - Nie. Przepraszam cię, Anno, ale jesteś dziewczynką.
 - To niesprawiedliwe.
 - Ale tak jest - odparł filozoficznie Emmet.

- Kit i Clio też nie chcą się ze mną bawić, a są dziewczynkami.
 - Są od ciebie starsze.
 - A czy są dla ciebie tak samo paskudne jak dla mnie? - Miała nadzieję, że i Emmet jest ich ofiarą.
 - Nie, wcale nie są paskudne.
 - Chciałabym być już bardzo, ale to baaardzo stara i mieć ze dwadzieścia lat. Dałabym im do wiwatu, że hej!
 - Co byś im zrobiła? - zainteresował się Emmet. Anna była zabawnym stworzeniem. Miała karminowy płaszczyk z kapturkiem jak wróżka z bajki i zaczerwienioną z emocji twarz.
 - Przyjechałabym tutaj, wzięłabym Clio i Kit na jezioro i trzymałabym je pod wodą, ażby się potopiły - oznajmiła z triumfem. I dopiero wtedy sobie przypomniała. - Och, Emmet...
Emmet milczał.
 - Przepraszam cię, Emmet, naprawdę. Emmet odchodził. Pobiegła za nim.
 - Jestem taka głupia. To dlatego nikt nie chce się ze mną bawić.
Zapomniałam, Emmet, po prostu zapomniałam, to wszystko.
Zapomniałam.
- 190
- Odwrócił się do niej.
- Dobra, zzz... zapomniałaś, ale to była moja mmm... mama i ja nie zzz...
zapomniałem - wyjąkał.
- Anna zalała się łzami.
- W tej samej chwili z warsztatu wyszedł Stevie Sullivan.
- Hej, daj dziewczynce spokój, Emmet! To jeszcze małe dziecko. Nie

doprowadzaj jej do płaczu.

Emmet odwrócił się na pięcie i poszedł do domu. Anna zwróciła zapłakaną twarz do Steviego.

- Nie mam przyjaciół - wychlipała.

- Hm, to rzeczywiście problem - stwierdził, spoglądając mimochodem w stronę sklepu pani Hanley. Kto wie, może ujrzy tam Deirdre, swoją pełną werwy przyjaciółkę, która idąc spacerkiem zaśnieżoną ulicą Lough Glass, snuje plany kolejnej randki?

James Williams wykazywał osobiste zainteresowanie wyszkoleniem Louisa Graya na człowieka, z którym goście hotelu „Dryden” mieli nawiązywać pierwszy kontakt. Dokładał wszelkich starań, by przystojny Irlandczyk był elegancko ubrany i robił korzystne wrażenie.

- Będą mi pracować koszule w hotelowej pralni - oznajmił z dumą Louis. - Ubędzie ci prania i prasowania.

Rzeczywiście, zaoszczędziła dzięki temu sporo pracy, w domu przybyło miejsca, lecz na swój sposób lubiła pranie i prasowanie: należało do scenariusza zabawy w męża i żonę. W Lough Glass nigdy nie prasowała.

Naturalną rzeczą kolejną zajmowała się tym Rita. Czasami Lena zastanawiała się, co w ogóle robiła w domu, w którym nie spełniała żadnej konkretnej roli.

A Louis opowiadał jej o swych kolejnych sukcesach.

Trafili na takie miejsce i czas, że wystarczyło wykazać się zdolnością do pracy i umiejętnością współżycia z ludźmi. Wojna wszystko odmieniła. Karierę można było robić wszędzie. Pisemne zaświadczenia i doświadczenie zawodowe nie były już konieczne.

Lena wiedziała, iż Louis nie przesadza twierdząc, że na dobrą sprawę to

recepjonista zawiaduje całym hotelem. Konsultowali się z nim wszyscy zatrudnieni w „Drydenie”.

191

To on ustalał harmonogram sprzątanego dla szefowej pokojówek i jej dziewcząt. To on zasugerował szefowi kuchni, żeby na stojaku w holu wyeksponować menu, by zachęcić wychodzących do miasta gości do powrotu na lunch.

I to nie kto inny, jak Louis, zaproponował, by portierzy nosili na liberiach plakietki z nazwiskiem.

- Wielkie dzięki, ale dobrze wiem, jak się nazywam - rzekł na to Erie, szef portierów, który nie przestał żałować, że pozwolił Louisowi zadomowić się w hotelu i tak szybko awansować.

Louis nigdy nie dał po sobie poznać, iż dostrzega niechęć Erica. Być może rzeczywiście jej nie zauważał.

- Oczywiście, że wiesz. Podobnie jak nasi stali klienci. Ale Amerykanie, którzy wpadają do nas na jeden dzień? Na pewno chcieliby znać imię i nazwisko człowieka, który wita ich w „Drydenie”.

Ten argument trafił do Erica, lecz niestety, wbrew oczekiwaniom, plakietka z imieniem i nazwiskiem nie wpłynęła na wielkość napiwków. Na dobrą sprawę lwia część wędrujących z kieszeni do kieszeni dolarów trafiała do Louisa Graya. Amerykanie doceniali jego osobiste starania o ich wygodę, a także to, że pamiętał ich nazwiska oraz umiał podpowiedzieć, dokąd powinni się wybrać i jak spędzić urlop.

Nikt nie zwracał się do Louisa per „panie kierowniku”. Dla wszystkich był „panem Grayem z recepcji”. Goście często się go radzili, a on nigdy ich nie zawodził.

- W życiu nie dostanę tak znakomitej pracy. Muszę zrobić wszystko, żeby uznali mnie za człowieka niezastąpionego - mówił, a Lena przyznawała mu rację. Nawet najznakomitsze listy polecające nie otworzyłyby mu drzwi do tego rodzaju pracy w żadnym innym hotelu. Louis nie miał udokumentowanych kwalifikacji, ale zawsze dawał sobie radę dzięki wdziękowi i czarowi osobistemu.

Czasami zastanawiała się, jak wyglądało jego życie w Hiszpanii czy w Grecji. Nawet wiele lat temu, gdy pracował jako komiwojażer w Dublinie - dzięki czemu w ogóle się poznali - nigdy nie okazywał niecierpliwości w kontaktach z klientami ani chęci, by od nich uciec. Wprost przeciwnie,
192

zawsze chciał zrobić coś więcej, pragnął maksymalnie wykorzystać sytuację. Ten człowiek był przedziwną mieszanką różnych cech. I wyglądał tak żywo z krzywym uśmiechem małego chłopczyka na twarzy. Z miesiąca na miesiąc rosła jego pensja i ambicje. W dużej mierze swój sukces zawdzięczał Lenie. To ona dostrzegła, że za kontuarem recepcji mieści się nieduży magazyn, i pomalutku, krok po kroku doprowadziła do jego przemiany. Usunięto zeń stare skrzynie, zepsute rowery i krzesła z powyłamywanymi nogami. W ich miejscu pojawiły się stare stoliki, zbyt zniszczone, by meblować nimi hotelowe sypialnie czy salony recepcyjne. Louis wytropił też gdzieś stojak na parasole i mahoniowy wieszak z mosiężnymi haczykami. Od tej chwili nie musiał już wciskać swojego płaszcza do maleńkiej pakamery, służącej za szatnię dla całego personelu. I nikt nie mógł mieć o to pretensji. Louis nie wywyższał się nad innych. Po prostu przejął i tak nie używane pomieszczenie. W gruncie rzeczy wprowadził więcej ładu.

Louis z przyjemnością odnotowywał fakt, że starsi rangą pracownicy traktują go z szacunkiem, mimo to zachowywał wielką ostrożność.

- Nie mogę tak po prostu wejść do swojej pakamery i zamknąć za sobą drzwi, kiedy muszę siedzieć za kontuarem - tłumaczył Lenie.

- Masz znajomych wśród obsługi technicznej hotelu? Znasz kogoś, kto mógłby wstawić szybę w górną część drzwi od magazynku? Żeby było jak u Ivy. Mógłbyś nawet przysłonić tę szybę firanką, koronkową firanką, dzięki czemu widziałbyś, kiedy jesteś potrzebny. Mógłbyś decydować, czy chcesz być tu, czy tam.

Wszystko wypaliło.

Nawet jeśli James Williams zauważył ekspansjonistyczne skłonności nowego zastępcy kierownika zmiany, pewnie je zaaprobował, ponieważ nie skomentował ich ani słowem. I nikt nie wchodził do pokoju pana Graya bez pukania.

Mijały miesiące. Miłość Leny i Louisa przybierała na sile. Lena nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie było tematów, których nie mogliby ze sobą poruszać. Mówili o jej dzieciach i o tym, jak to właśnie ze względu

193

na ich dobro zrobiła, co mogła najlepszego. Chwalił jej odwagę. „Jesteś bohaterką, prawdziwą bohaterką codziennego życia” - powtarzał i naprawdę wierzył w to, co mówił. Głaskał ją po włosach, ujmował jej twarz w dłonie, zapewniał Lenę, że jest jak lwica, że nie ma takiej rzeczy, której nie byłaby w stanie dokonać.

Czasami zastanawiała się, czy są w Londynie inni ludzie, którzy tak samo jak ona rozpoczęli nowe życie. Kto wie, może było ich setki tysięcy, setki

tysięcy ludzi, którzy zostawiwszy za sobą dawne życie, zaczęli wszystko od nowa. Wcale nie było tak ciężko, jak mogłoby się wydawać. W końcu mieszkała ze swoim nowym mężem - w każdym razie tak go przedstawiała światu - miała nowy dom, nową pracę i nowy, zmieniony wygląd. Niewielu mieszkańców Lough Glass rozpoznałoby w tej szczupłej, elegancko ubranej kobiecie dawną Helen McMahan, żonę ich wesołego aptekarza. Gdyby ujrzeli ją, jak pochylona nad formularzami zachęca młodych ludzi do pracy w wielkich firmach, byłiby zdumieni. Pani McMahan, osoba tak szalenie zamknięta, kobieta, która nigdy nie wdawała się w dłuższe pogawędki, tutaj nakłaniała dziewczęta, by dały z siebie wszystko, opowiadała im o wprost nieograniczonych możliwościach, zaklinała je, by chodziły na kursy wieczorowe, poprawiły tempo pisania na maszynie i zadbały o swój wizerunek. Skąd Helen McMahan z Lough Glass wiedziałaby o takich sprawach? I czy potrafiłaby przekonać do nich innych ludzi?

Spoglądając wstecz, na trzynaście lat życia spędzonych w małej społeczności nad jeziorem, uświadamiała sobie, że przecież i tam mogła dużo zrobić. Mogła zaproponować pomoc pani Hanley i ożywić jej nijaki sklep, zamawiając odzież, w której mieszkanki Lough Glass chodziłyby z prawdziwą przyjemnością, ściągając do sklepu kolorowe ubranka dla dzieci, proponując, by jedna z córek pani Hanley poszła na kurs krawiectwa, dzięki czemu wszelkich krawieckich poprawek można by dokonywać na miejscu.

Mogła też pomóc Mildred O'Brien w „Centralnym”. Ileż to rzeczy dałoby się zrobić, żeby rozruszać ten hotel jakby żywcem przeniesiony do Lough Glass z dziewiętnastego

wieku! Takich rzeczy jak te, które teraz robili z Louisem w londyńskim „Drydenie”.

Gdyby natomiast nakłoniła Martina, żeby pozwolił jej pracować w aptece, mogłaby wyszykować okna od ulicy i urządzić je podobnie jak wystawy w agencji pośrednictwa, choć tutaj miała bardzo mało pola do popisu.

Pomyśleć tylko, czegoż mogłaby dokonać, mając pod ręką tyle mydeł i najrozmaitszych kosmetyków! Mogłaby na przykład obramować witryny zielenią, a potem wymościć je pięknymi materiałami i bibułkami, tak że nikt nie oparłby się pokusie zajrzenia do środka.

Ale Martin nie chciał nawet o tym słyszeć. „Moja żona nie będzie parała się pracą zarobkową”. Mówił to z dumą, zupełnie tak, jakby fakt, iż godzinę za godziną spędzała w ich ponurym mieszkanku nad apteką, czynił z niej jakąś królową, która w żadnej sprawie nie musi nawet kiwnąć palcem.

Często była mu jednak wdzięczna - jemu, Martinowi, temu nie wymagającemu mężowi, który przywiózł ją do cichego miasteczka nad pięknym jeziorem, gdy serce pękało jej z bólu i tęsknoty za Louisem. Bo Martin o nic nie pytał. Obiecywał tylko spokojne życie z dala od zgiełku i niepokoju.

Jednak teraz żywiła wobec niego zupełnie odmienne uczucia. Teraz nie odbierała jego żartów jako elementu zabawy, a jego komicznych min jako przepojonych miłością zabiegów, mających ją rozśmieszyć. Teraz widziała w nim tylko głęboką i destrukcyjną niepewność, dostrzegała w nim jedynie chęć usidlenia jej, uwięzienia niczym ptaszka w klatce. Widziała w nim mężczyznę, który nie mogąc pogodzić się z faktem, że żona rzuciła go

dla innego, uknuł nieczyny plan, wciągając węć nawet swego przyjaciela, Petera Kelly'ego, który zidentyfikował ciało nieznanej topielicy jako jej zwłoki.

Cóż to byli za ludzie? Istni barbarzyńcy. Wydała na świat dwoje dzieci w kraju barbarzyńców.

Tak boleśnie za nimi tęskniła. To prawda, trochę o nich z Louistem rozmawiała, lecz rozmowy te były ledwie kroplą w morzu potrzeb. Nie mogła dać mu do zrozumienia, że

195

tyle o nich myśli. Pod wieloma względami on sam był dzieckiem i nie chciałby dzielić się nią z Kit i Emmetem. Tak bardzo go kochała, tak bardzo go potrzebowała, że czystym szaleństwem byłoby paść mu w ramiona i wyznać, jak bardzo tęskni za dziećmi. To tak, jakby oznajmiła, że on jej nie wystarcza, a porzucenie Martina oznacza dla niej zbyt wiele wyrzeczeń. A to przecież nieprawda.

Pewnego razu stara pustelnica powiedziała, że koniec końców ludzie i tak zrobią to, na co mają ochotę. Nawet zaniechanie jest swego rodzaju decyzją. Tak więc Lena zdecydowała się porzucić swoje dzieci. Musi to sobie ciągle przypominać i stawiać temu czoło. Nie mogła przecież przewidzieć, iż Martin uknuje ten groteskowy plan, w wyniku którego dzieci uznają, że umarła. Zdecydowała, iż zostawi je z Martinem. Widać bardziej pragnęła być z Louistem niż z nimi.

Trudno było ten fakt zbagatelizować, lecz z chwilą, gdy sama się do tego przed sobą przyznała, poczuła się silniejsza. Teraz musi rzucić się w wir nowego życia i przeżyć je bez żalów, najpełniej, jak się da - zawsze miała po temu odwagę, za to nigdy okazji. Czasami zastanawiała się, czy

mieszkańcy Lough Glass byliby zaskoczeni wiedząc, jak dobrze sobie radzi, wiedząc, iż nie starczyłoby doby, aby zrobić wszystko to, na co ma rzeczywiście ochotę, że biuro pośrednictwa pracy Millara prowadzi praktycznie sama, wedle własnej koncepcji.

Ani pan Millar, ani Jessie Park nie wspomogli jej nawet jedną oryginalną myślą pomocną w reorganizacji biura. Ale łatwo ulegali jej wpływom i szybko wyliczyli, że dzięki staraniom Leny firma podwoiła obroty.

Przedstawiciele większych i bardziej znanych agencji zaglądali do nich, żeby coś podpatrzeć. W lokalnej gazecie pojawił się nawet artykuł o nowym stylu ich pracy. Lena cały czas trzymała się na uboczu.

- Pani Gray, bardzo panią proszę, będzie pani ozdobą naszej fotografii - błagał ją pan Millar.

Lena była na to przygotowana. Dała Jessie kupon do fryzjera i pożyczyła jej elegancki żakiet, który Jessie włożyła zamiast starego, zmechaconego swetra.

196

- Nie, nie, naprawdę. To przecież państwo kierujecie agencją - broniła się, żeby tylko nie pozować do zdjęcia. W końcu podobno nie żyła. Jej zdjęcie nie mogło trafić do gazety. Nigdy nie wiadomo, kto mógłby ją rozpoznać.

- Jesteś bardzo blada - zauważyła Ivy pewnego dnia.

- Nie wiem, co mi jest, ale fakt, nie czuję się najlepiej - przyznała Lena.

- Może jesteś w ciąży?

- Nie, na pewno nie - odpowiedziała kąśliwie.

Ivy przyglądała się jej w zamyśleniu. Jej małe, guzikowate oczy rozumiały wszystko. Pewnie wiedziała już, że Lena i Louis nie będą mieli dzieci.

Tak, poruszyli tę kwestię i dokładnie ją omówili. Z drugiej strony tak

świetnie radzili sobie w pracy. Może więc na razie nie warto myśleć o dziecku? Na razie... Lena uśmiechnęła się cierpko na tę myśl. Miała trzydzieści dziewięć lat. Za rok skończy czterdzieści. Ostatnia chwila na dziecko pewnie i tak już minęła. Dziecko, które zaczęła tracić na plaży w Brighton, było jej ostatnim. Dwoje, które miała w Irlandii, już straciła. Była kobietą bezdzietną. Za to czynną zawodowo. Tak w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim zaczynały mówić o sobie niektóre mieszkanki Londynu.

* * *

- Założmy, że podeślę ci dużo klientek. Myślisz, że mogłybyśmy zawrzeć umowę? - zapytała fryzjerkę Grace.

Jakiś czas temu Grace zajrzała do agencji Millara, bo chciała zostać sekretarką. Wyglądała tak elegancko i tak doskonale umiała radzić sobie z klientami, że Lena doszła do wniosku, iż Grace się w biurze zmarnuje. Jej ujmujący sposób bycia procentowałaby daleko bardziej, gdyby zajęła się pracą wymagającą częstych kontaktów z ludźmi. Grace West, piękna, wysoka kobieta, córka mieszkanki Trinidadu, wymarzyła sobie pracę sekretarki - ta posada oznaczałaby dla niej społeczny awans. Początkowo nieufnie podchodziła do pracy w zakładzie fryzjerskim. Fryzjerstwem parało się

197

mnóstwo dziewcząt z Indii Zachodnich. Nikt nie uznałby tego za wielki sukces.

- Owszem, ale prowadzenie takiego zakładu to sukces - odrzekła Lena.

Grace nie cesała. Grace umawiała wizyty i trzymała rękę na pulsie.

Zawsze elegancka, przechadzała się po salonie, doradzając i podziwiając.

- Odrobinę więcej odżywki dla pani Jones - mówiła. - A może by tak pani Nixon zrobić dodatkową płukanekę z odrobiną soku ze świeżej cytryny?

Klientki dochodziły do wniosku, że są traktowane ze szczególną atencją, i bardzo im się to podobało.

- Jaką umowę? - Grace udawała osobę zrezygnowaną. Stała za fotelem Leny, która jak w każdy piątek przyszła do niej na mycie i czesanie. Tylko najlepszej fryzjerce zakładu wolno było dotykać ciemnych, falujących włosów pani Gray.

Nikt nie wiedział, że robi to za darmo. Grace potrafiła odwdzińczyć się za przysługę. Bo dostała tę pracę tylko dzięki Lenie Gray, dzięki jej szczegółowym radom. Lena przećwiczyła z nią rozmowę z pracodawcą, i to zdanie po zdaniu.

- Wiele spośród dziewcząt, które do nas przychodzą, nie ma pojęcia, co znaczy efektowny wygląd.

- Komu ty to mówisz? - Grace nie zapomniała, że jeszcze niedawno nie dowierzała swoim atutom i była kobietą bardzo skromną. Dopóki nie spotkała Leny. To Lena nauczyła ją, jak się nosić, w jakich kolorach chodzić i jak wykorzystać swoją urodę, tym bardziej że Grace była kobietą uderzająco piękną.

- Ty zawsze rzucałaś się w oczy - stwierdziła Lena. - Nie, one przychodzą przerażone i nie umalowane, a jak już nawet mają makijaż, to i tak wyglądają jak szansonistki z kabaretu. Załóżmy, że podeślę ci dziesięć dziewcząt tygodniowo. Dorzuciłabyś do fryzury darmową lekcję makijażu?

- Dziesięć tygodniowo? - Oczy Grace zogromniały z niedowierzania. - To

ci się w życiu nie uda.

- Umowa to umowa. Jeśli przyślę ci mniej, nie dasz mi rabatu.

198

- Co znaczy lekcja makijażu? Lekcja w klasie?

- Nie. Wystarczy, że podpowiesz im, jak się mają malować. Nic im nie będziesz sprzedawać, powiesz tylko, jak nakładać szminkę i tusz, żeby twarz nie wyglądała jak wytapetowana.

Grace parsknęła śmiechem.

- Ty masz porównania!

- Co ty na to? Myślisz, że warto spróbować?

- No jasne. Pewnego dnia, kiedy będziesz już sławna, powiem, że pomogłam ci w karierze tak samo, jak i ty pomogłaś mnie.

- Sławna. Wątpię.

- A ja nie. Już widzę, jak pan Millar przekazuje ci firmę. Widzę wielkie wywiady w gazetach... - Grace była bardzo podekscytowana.

- Nie, ja tego zupełnie nie widzę - ucięła spokojnie Lena. Bez względu na to, co miałyby się stać, nie udzieli prasie żadnego wywiadu. Nie teraz.

Clio, o miesiąc starsza od Kit, już od początku maja była trzynastolatką.

- W wielu krajach mogłabym wyjść za mąż - powiedziała z wyższością.

- No i co? Czy nie zrobiłabyś wielkiego głupstwa? - zapytała siostra

Madeleine. Dziewczęta przyniosły kwiaty, więc układały je w szklanych słojach na parapecie.

- To źle wychodzić młodo za mąż? - dociekała Clio. Czowała się lepsza, no bo przecież osiągnęła już wiek, w którym, technicznie rzecz biorąc, mogłaby wyjść za mieszkańca jakiegoś dalekiego kraju.

- Źle, bardzo źle - siostra Madeleine była nieubłagana.
- Ale skoro i tak trzeba kiedyś wyjść za mąż, dlaczego nie lepiej zrobić tego wcześniej? - spytała Clio.
- Bo można wyjść za niewłaściwego mężczyznę, ty głupolko - odezwała się Kit.
- To może zdarzyć się zawsze - zauważyła Clio. Czekwały na opinię pustelnicy.
- Wszystko zależy od szczęścia - rzekła siostra Madeleine, grzebiąc w kominku pogrzebaczem.

199

- No jasne, choć dla siostry to co innego, bo siostra miała powołanie. Powołanie nie ma nic wspólnego ze szczęściem. Siostra usłuchała głosu Boga, i już - powiedziała Clio.

Zapadła cisza.

- Siostro, chciałaby siostra być mężatką? - spytała Kit.
- Byłam mężatką. - Siostra Madeleine spojrzała na nie jasnymi, niebieskimi oczyma i uśmiechnęła się, jakby zdziwiona, że dziewczęta jeszcze o tym nie wiedzą.

Patrzyły na nią z rozdziawionymi ustami.

- Mężatką? - dziwiła się Kit.
- Żoną... mężczyzny? - spytała Clio.
- Tak, dawno, dawno temu - odparła pustelnica, jakby to wszystko wyjaśniało. W tej samej chwili w drzwiach stanęła gęś. Przystępując z nogi na nogę, łypała głupio to jednym, to drugim okiem. - Witaj, Bernadette, witaj. - Twarz siostry Madeleine zmarszczyła się w uśmiechu, jak na widok dobrej znajomej, która wpadła na herbatę. - Proszę cię, wejdź.

Dziewczynki nasypią ci do miski rozgotowanej kukurydzy.

I tak skończyła się opowieść o małżeństwie pustelnicy.

- Powiedziała, że była mężatką, prawda?

- Tak, tak mówiła.

- To znaczy, że wzięła ślub z mężczyzną, nie z Chrystusem ani z kimś takim.

- Nie, z mężczyzną. Sama to potwierdziła. Powiedziała, że było to bardzo dawno temu.

Usiadły na obrośniętym mchem kamieniu nad jeziorem.

- To niemożliwe. Niemożliwe, że wyszła za mąż, spała z mężczyzną, i w ogóle.

- Przecież tak mówiła, no nie?

- Ciekawe, czy oprócz nas ktoś jeszcze o tym wie... - zastanawiała się Clio.

- Ja nikomu nie powiem, a ty? - spytała nagle Kit. Na twarzy Clio odmalował się zawód. Miała wielką ochotę to rozpowiedzieć.

- Nie mówiła, żebyśmy zachowały to w tajemnicy.

- Nie, ale okazała nam zaufanie, prawda?

Clio zamyśliła się. Dzięki takiemu postawieniu sprawy

200

niedawno uzyskane informacje nabierały wprost niezwykłej wagi. Gdyby się miało okazać, iż obie z Kit zostały wybrane na strażniczki cennej i zastrzeżonej informacji, informacji, o której nikt inny nie ma pojęcia, gotowa była zatrzymać ten sekret dla siebie.

- Chyba tak.

- Że też powiedziała to akurat nam! Tobie i mnie. - Kit nie mogła się temu

nadziwić.

Clio bardzo to zaimponowało.

- Siostra dobrze wie, że można na nas liczyć - odrzekła.

Wracały wesoło do domu, ścieżką prowadzącą koło baru Paddlesa. W drzwiach baru stał Paddles we własnej osobie.

- A kiedyż to panienki będą na tyle dorosłe, aby zawitać w moje skromne progi? - spytał.

Zachichotały.

- Dopiero za kilka lat - odparła Clio.

- Będę zaszczycony, panno Kelly, będę zaszczycony. Całą drogę do domu zataczały się ze śmiechu. No bo kto

by tam chciał chodzić do Paddlesa! I to niezależnie od wieku!

- Może miałybyś ochotę wydać u niego przyjęcie z okazji trzynastych urodzin, co? Mogłybyśmy wysłać zaproszenia. 2 czerwca 1953 roku panna Kit McMahon zostanie wprowadzona w świat w barze "U Paddlesa". Śmiały się tak bardzo, że musiały oprzeć się o ścianę "Centralnego", inaczej by upadły.

- Ale wam wesoło! - zauważył z zazdrością Philip.

- Planujemy przyjęcie urodzinowe Kit - odparła Clio.

- Przyjęcie? - natychmiast się rozpogodził.

- A skąd! - warknęła Clio. - Przecież Kit nosi żałobę. Ale to jeszcze nie powód, żeby się trochę nie pośmiać.

W Londynie wszyscy szykowali się do koronacji. Domy miały zostać udekorowane flagami. Ivy przygotowywała swoją. Trzymała ją od zakończenia wojny jako pamiątkę niezapomnianych dni przeżytych w pubie „King's Head”. To będzie wielki dzień - stwierdziła.

- Na pewno - odrzekła Lena.

201

- Przepraszam cię, wciąż zapominam, że jesteś Irlandką i wcale cię to nie interesuje.

- Nie, to nie dlatego. Oczywiście, że mnie interesuje, tylko wciąż o tym zapominam. Ostatnio mam tyle pracy, że...

- Widzę, widzę. Wracasz do domu coraz później.

- Louis też.

- Nie przepracowuj się, kochana - radziła Ivy z zatroskaną twarzą.

Ivy miała, oczywiście, rację. Z każdym wieczorem Lena wracała z pracy coraz później. Coraz dłużej zostawała w biurze, wypisując listy do wielkich przedsiębiorstw. Wyjaśniała w nich techniki procesu wstępnej selekcji, jakiej dokonywali w agencji pana Millara, i zapewniała, iż nie mają zwyczaju wysyłać na rozmowy wstępne każdej zgłaszającej się kandydatki. Miała też listę adresów szkół i college'ów dla sekretarek. Zgłaszające się do nich dziewczęta otrzymywały coś więcej niż sam wykaz potencjalnych miejsc pracy: korzystały z doradztwa agencji, przy czym kobiety inteligentniejsze od nich oceniały ich możliwości, dodawały im pewności siebie, przygotowywały je do rozmowy kwalifikacyjnej oraz do pierwszych kroków w pracy zawodowej.

Kierowano je przy okazji do niedrogiego salonu fryzjerskiego, wspomniano o poradach dotyczących makijażu oraz podpowiadano, jak należy się ubierać. Interes szybko się rozkręcał. W ciągu pół roku pan Millar podwoił Lenie pensję. Lena nalegała na taką samą podwyżkę dla Jessie.

- Tworzymy zespół, panie Millar. Bez Jessie nie dałabym sobie rady.

Pan Millar miał bystre oko. Zauważył zmianę w Jessie, jej świeżo nabytą pewność siebie - do niedawna trudno było o bardziej trusiowatą pracownicę. Lena Gray była najprawdziwszym skarbem, skoro potrafiła dokonać aż takiej przemiany w kimś, kogo na każdym polu i pod każdym względem po stokroć prześcigała, pozostając przy tym osobą lojalną i opiekuńczą. Skoro zaś była skarbem, należało zaspokajać jej kaprysy. Zresztą interes kwitł. Pana Millara stać było na podwyżkę pensji Jessie Park.

202

Pan Millar widział męża Leny tylko raz. O ile zdążył się zorientować, ten uderzająco przystojny Irlandczyk był kierownikiem hotelowej recepcji. Lena zachowywała dużą powściągliwość w sprawach prywatnych, co Millar uznał za miłą odmianę po codziennej porcji szczegółów życia domowego, jakimi zasypywała ich Jessie Park.

- Panie Millar, zastanawialiśmy się z Jessie, czy z okazji koronacji nie urządzić specjalnej wystawy w naszym oknie?

- Ale co moglibyśmy tam wyeksponować?

Jessie spojrzała na nich z entuzjazmem. Ostatnio jej wygląd nabrał wyrazistości i charakteru. Miała na sobie elegancką bluzkę spiętą nowoczesną broszą z kameą, na której miast portreciku wymalowano niebiesko-złote literki układające się w nazwisko „Millar”. Kolory niebieski i złoty były od pewnego czasu barwami firmy.

Poduszki nowych krzesełek były złoto-niebieskie, podobnie jak ornament papeterii, świeża farba, którą odmalowano agencję od zewnątrz, i ramki zdobiących wewnątrz obrazów. Jessie nosiła luźno wiszące bluzki z dekoltem, dopóki Lena nie wymyśliła dla nich eleganckiego mundurka

składającego się z białej bluzeczki, niebieskiej spódnicy oraz złotawej apaszki. Nowa fryzura i od czasu do czasu nakładany makijaż odmieniły Jessie nie do poznania.

Lena zasugerowała nawet, żeby dzięki podwyżce Jessie zatrudniła raz na jakiś czas kogoś do opieki nad matką i pomalutku przyzwyczajała się do wolnych wieczorów. Z jaką ulgą wysłuchiwała potem pełnych aprobaty komentarzy na temat Deszczowej piosenki. I Lena, i pan Millar chętnie wysłuchaliby każdej piosenki i każdej linijki filmowego dialogu nawet ze sto razy, żeby tylko nie wracać do kłopotów trawiennych starszej pani Park.

Dawna Jessie od razu przytaknęłaby szefowi i natychmiast przyznałaby, że na dobrą sprawę nie mają co eksponować, ale nowa Jessie umiała przedstawić swoje zdanie:

- Panie dyrektorze, kolory naszej firmy to w gruncie rzeczy barwy królewskie. Wystarczy ładnie przybrać okno: tło z szafiru i złota, na tym tle portret nowej królowej...

- Tak, to znakomity pomysł - przyklasnęła Lena.

203

- I moglibyśmy ułożyć jakieś hasło. Na przykład „Witajcie w epoce nowoelzbietańskiej”. A pod spodem: „Agencja Millara - dbamy o wspaniałą przyszłość dla wszystkich”. Bardzo im się to spodobało. Byli tacy podekscytowani. Patrząc na nich, Lena czuła ucisk w gardle. Czyżby Anglicy byli mniej skomplikowani i krytyczni od Irlandczyków? A może odnosiła takie wrażenie tylko dlatego, że nigdy nie potrafiła sobie znaleźć miejsca w Lough Glass, gdzie usychała przez trzynaście lat?

- Sądzisz, że z okazji koronacji powinni kupić telewizor? - zapytał Louis.

- To znaczy, że jeszcze nie kupili? W całym hotelu nie ma ani jednego telewizora?
 - Nie ma. W pewnym sensie chlubią się tym, że hotel jest taki cichy i spokojny.
 - Niedługo będą dumni z tego, że świeci pustkami. - Spojrzał na nią zaskoczony. Rzadko mówiła tym tonem. Jej słowa zabrzmiały za ostro. Nie, nie, nic się nie stało - dodała czym prędzej. - Jestem po prostu zmęczona.
 - Doskonale. Na przyszłość będę wiedział, że mam nie pytać cię o zdanie
 - oświadczył. Jego usta wykrzywił dziwny grymas.
 - Louis! - krzyknęła zatrwożona. - Och, Louis, tylko się nie gniewaj.
 - Ja się gniewam? Ja?! Ja się wcale nie gniewam. To ty mało mi głowy nie urwałaś. - Był mocno urażony.
 - Przepraszam, to moja wina. - Zapadło głucho milczenie. - Louis, miałam dzisiaj paskudny dzień.
 - Mój też nie należał do najlepszych. Wyciągnęła do niego rękę, ale się cofnęła.
 - Louis, proszę cię, porozmawiajmy o telewizorze. Bardzo mnie to ciekawi, naprawdę. Naprawdę, uwierz mi, proszę - niemal go błagała.
 - Nie, Heleno. Nie ma o czym mówić. Tym razem hotel „Dryden” będzie musiał poradzić sobie bez twoich sugestii.
- Jeszcze się nie poddawała.
- Nie pomyślałam, przepraszam. Tobie też się to często

prawda?

- Oczywiście, że nie - jego głos brzmiał lodowato.

Zagryzła wargę. Zrobiłaby dosłownie wszystko, żeby tylko wprowadzić go w poprzedni nastrój, żeby znowu był takim, jakim był, zanim nierozważnie na niego warknęła. Dalej go przeproszać czy może zmienić temat? Zdecydowała się na zmianę tematu.

- My też cały dzień rozważaliśmy, jak uczcić koronację - zaczęła pogodnie.

- Jakież to zajmujące! - odrzekł z nie ukrywanym szyderstwem w głosie. Nigdy dotąd nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy.

- Kochanie? - czuła, że się czerwieni.

- Mów dalej, słucham. Czekam na następne opowieści o panu Millarze i o pani Jessie Park. To są dopiero interesujący ludzie. Nie jacyś tam pospolici durnie usiłujący zarobić na życie w hotelu „Dryden”.

- Odezwałam się ostrzej, niż chciałam. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro - Lena zwiesiła głowę.

Miała nadzieję, że Louis podejdzie do niej, obejmie ją i powie, że to wszystko bzdura, że są po prostu przemęczeni. Może zaproponuje kolację we włoskiej restauracyjce i to ich znowu zbliży? Lecz milczenie się przeciągało i Lena zaczęła wątpić, czy Louis zrobi to, czego oczekiwała. Usłyszała, że kładzie rękę na klamce, i podniosła głowę.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Wychodzę.

- Ale dokąd?

- Sama mi kiedyś mówiłaś, że dostawałaś szału, kiedy ci z Lough Glass pytali cię, dokąd idziesz. Wychodzę, i już. To chyba wystarczy.

- Nie, nie wystarczy. Przecież my się kochamy... Nie wychodź.
- Nie będziemy się wzajemnie pętać.
- Nie zamierzam cię pętać. Proszę... - błagała.

Czy Martin też ją tak błagał? Louis podszedł do niej i ujął jej dłonie.

205

- Posłuchaj, kochanie. Zdenerwowaliśmy się na siebie.

Ochłońmy trochę.

- Skoro chcesz się przejść, to pozwól, że pójdę z tobą. Tak zachowują się dorośli, a my chyba jesteśmy dorośli.

Jego uśmiech był tak przepojony miłością, było w nim tyle jego samego, że napawał ją najprawdziwszym bólem. Niemal ją sparaliżowało. Wypaść jak burza z pokoju i huknąć drzwiami? A może go jeszcze błagać?

Milczała. Nie odezwała się słowem. Puścił jej dłonie i usłyszała trzask zamykanych drzwi. Przyrzekła sobie, że nie będzie płakać. I że nie zejdzie do Ivy, by się przed nią wyżalić. Ale, owszem, do miasta wyjdzie.

W sklepie na rogu kupiła jabłko i kawałek sera, później poszła do agencji.

Otworzyła drzwi i z przyjemnością omiotła wzrokiem biuro. Tu przynajmniej widziała konkretne osiągnięcia, tu miała coś, czym mogła pochwalić się po kilkumiesięcznym pobycie w Londynie: listy od zadowolonych klientów przypięte z pietyzmem w małej przeszklonej gablotce na ogłoszenia, złoto-niebieskie motywy wnętrza, poduszcзки na krzesła zrobione przez matkę Jessie, która znalazła nową rolę w życiu, wymalowaną na złoty kolor tacę i niebieskie kubki, w których serwowano klientom kawę.

Usiadła przy biurku i wyjęła księgi. Właśnie tego jej było trzeba. Kilka godzin spokoju, żeby uporządkować rozmaite sprawy. Na ogół nie miała

dla siebie ani chwili czasu, gdyż zawsze spieszyła się do domu, aby przygotować wszystko na powrót Louisa.

Louis. Postanowiła o nim nie myśleć, bo natychmiast zaczynała kipieć gniewem na tę jawną niesprawiedliwość.

Czas zleciał jak z bicza strzelił. Nie mogła uwierzyć, że już jedenasta.

Serce skoczyło jej do gardła. Nie miała zamiaru zabawić tak długo. Louis na pewno już wrócił i kiedy usłyszy, iż była w agencji, znowu się posprzeczą. Ale przecież nie mogła udawać, że tak długo włóczyła się po Londynie.

Wbiegając po schodach, ćwiczyła w myślach, co mu zaraz powie, ale wszystko uzależniała od tego, w jakim zastanie go nastroju. Na tym polega cała tajemnica: umieć się do

206

niego dopasować i nie wystrzelać natychmiast całej amunicji. Otworzyła drzwi i zobaczyła pusty pokój. Louis jeszcze nie wrócił. Najwyraźniej wcale nie żartował, zapowiadając, że wychodzi.

Gdy się wreszcie pojawił, nie otworzyła oczu, choć nie spała. Było dwadzieścia po trzeciej. Wśliznął się cichutko do łóżka. Nie objął jej jak zawsze, gdy się kładł.

Gdzie się tak długo szwendał? Za dumny był na to, żeby wrócić do hotelu.

Na pewno nie poszedł nadrabiać zaległości, tak jak ona. To znaczy, że u kogoś był. U kogoś, kogo znał na tyle dobrze, żeby zająć mu czas aż do rana. Postarała się równo oddychać i udawać, że śpi.

Ale mogłaby przysiąc, iż tej nocy nie spała ani chwili.

W głowie roilo jej się sto różnych obrazów, z których żaden nie był sennym marzeniem. Wyobrażała sobie Kit. Drugiego czerwca, w dniu

koronacji, Kit skończy trzynaście lat. Pólsierota bez matki. Gdyby tylko mogła do niej napisać! Szkoda, iż Martin nie powiedział dzieciom, że mama jest bardzo daleko, że już nigdy nie wróci, ale na pewno do nich napisze.

A kiedy słońce zaczęło wschodzić i żółte zasłonki w oknie zaczęły jaśnieć i wytracać czerń nocy, Lena wiedziała już, co zrobi. Napisze do córki list. Poda się za kogoś innego. Ta myśl wydała się jej szalenie ekscytująca. Nikt, kto widziałby, jak wstaje i się ubiera, nie przypuszczałby nawet, iż ma przed sobą kobietę po nie przespanej nocy. Zauważyła, że i Louis bardzo się zdziwił.

- Nie jesteś już taka wściekła na cały świat? - przekrzywił głowę na bok, czekając, aż Lena zacznie go znowu przepraszać. Ale czekał na próżno.

- Wczoraj wieczorem biliśmy się jak dwa irlandzkie koguty, które tak się wzięły za łby, że tylko ogony z nich zostały - odrzekła zdumiona, iż stacją na taką odpowiedź.

Zamarł. Nie tego oczekiwał.

- Jak sądzisz, dlaczego? - zapytał.

- Sam powiedziałeś: dusimy się tutaj, wzajemnie pętamy. - Chciała już wyjść, miała to wypisane na twarzy.

I właśnie dlatego chciał, żeby została.

- Nie powiedziałem, że to źle... - zaczął. Większych ustępstw z jego strony nie mogła oczekiwać.

207

- Nie, oczywiście, że nie. Do zobaczenia wieczorem.

- Nie zbudziłem cię w nocy?

- A skąd! Spałam jak zabita.

Szybko cmoknęła go w czoło, a on posadził ją sobie na kolana.

- My się tak nie całujemy. To dobre dla staruszków.

- Racja - parsknęła śmiechem, pocałowała go mocniej, ale zaraz wyzwoliła się z uścisku. - Lepiej nie zaczynajmy czegoś, czego nie można skończyć. Do zobaczenia wieczorem... koguciku? - Roześmiała się kuszaco.

- Niebywała z ciebie kokietka - powiedział. Znowu byli szczęśliwi. Lecz w tej chwili nie to zaprzętało jej umysł. W tej chwili gorączkowo obmyślała fortele, dzięki którym mogłaby napisać do córki.

Pan Millar przyszedł do pracy przed nią.

- Przywodzi mi pani na myśl opowieści o skrzatach - powiedział.

- O skrzatach? O jakich skrzatach?

- Nie wiem... O takich, które przychodzą nocą do księcia z bajki i przędą dla niego, czy może tkają... Zna pani tę bajkę?

- Chyba ją kiedyś słyszałam, ale skąd u pana takie skojarzenia?

- Wygląda na to, że nocą ktoś się tu zakradł i wyręczył panią w pracy.

Koszyk jest pełen: wszystkie listy są napisane, notatki sporządzone.

- Wpadłam tu wczoraj na godzinę.

- Nie wiem, co za wróżki tu panią sprowadziły. - Zdjął okulary i przetarł szkła. - Mój brat naśmiewał się ze mnie, twierdząc, że nie mam głowy do interesów. Minęło kilka krótkich miesięcy i chce wejść ze mną w spółkę. Co pani na to?

- A pan, panie Millar? - Wiedziała, iż bracia za sobą nie przepadają.

- Wolę prowadzić interes bez jego pomocy, pani Gray. Oczywiście pod

warunkiem, że mnie pani nie opuści.

208

Przez całe przedpołudnie wracała myślami do rozmów z Kit, do rozmów, w których opowiadała jej o swoim przedmałżeńskim życiu. Siłą rzeczy nie odbyły ich zbyt wiele. W końcu trudno było opowiadać córce, że wyszła za mąż tylko po to, by zapomnieć o innym mężczyźnie, i że w owym czasie Louis Gray tak bardzo zajmował każdą jej myśl, iż w ogóle nie zależało jej na tym, co robi. Czy opowiadała Kit o koleżankach z internatu przy szkole dla sekretarek? Niewykluczone, nie mogła sobie przypomnieć. Ale skoro tak, może więc i Kit już tego nie pamięta?

Postanowiła, że napisze list i zobaczy, co z tego wyjdzie.

Droga Kit!

Zapewne wyda Ci się dziwne, że dostajesz list od kogoś, kogo nie znasz. Ale niedawno przeczytałam w irlandzkiej gazecie wiadomość o śmierci Twojej Mamy. Zapragnęłam napisać do Ciebie i przekazać Ci słowa współczucia. Nie znam Twojego Taty, gdyż z Twoją Mamą przyjaźniłam się, kiedy byłyśmy bardzo młode, przedtem, nim Go poznała. Czasem pisała do mnie o Was wszystkich i o Waszym życiu w Lough Glass. Pamiętam nawet datę Twoich urodzin i wiem, że niedługo skończysz trzynaście lat.

Gdy się urodziłaś, Twoja Mama była taka szczęśliwa, że napisała mi o Twoich ciemnych włoskach i mocno zaciśniętych piąstkach. Nie chcę wysyłać tego listu pod Waszym domowym adresem, żeby nie zasmucać Twego Taty. Od Twojej Mamy wiem, że w Lough Glass istnieje drugi obieg pocztowy i ludzie często wysyłają listy na ręce siostry Madeleine. Może zechcesz do mnie napisać i dowiedzieć się czegoś o Mamie, kiedy

była dziewczynką ledwie cztery, może pięć lat starszą od Ciebie?

Wystarczy, że dasz mi znać.

Mam nadzieję, że się odezwiesz, lecz jeśli nie, też to zrozumiem. W Twoim wieku masz pewnie ważniejsze sprawy na głowie niż pisanie do nieznajomych w Londynie.

Z okazji urodzin przyjmij od dawnej przyjaciółki Twojej Mamy najlepsze życzenia i serdeczności.

Lena Gray

209

Wrzuciła list do czerwonej skrzynki na rogu ulicy i długo zakrywała dłonią szczelinę, którą wpada korespondencja. Miała wrażenie, że wyciąga rękę i dotyka córki.

Tommy Bennet pomagał sortować listy na poczcie. Monę Fitz bardzo interesowało to, od kogo i skąd przychodziły. Wiedziała, kiedy Hanleyowie dostawali parę dolarów w pękatym liście z Ameryki. Czasami badała też pocztę adresowaną do siostry Madeleine. Jak na kogoś, kto twierdzi, że na dobre odsunął się od świata, pustelnica korzystała z nader wielu wymyślonych przez ten świat usług. Na przykład z usług pocztowych.

Tommy Bennet uchylał się od wszelkich komentarzy. Jego zdaniem siostra Madeleine była osobą świętą. Dokonała rzeczy niemożliwej i uratowała mu rodzinę, gdy pewnego dnia jego piętnastoletnia córka wróciła do domu z wiadomością budzącą w irlandzkich wsiach największą grozę: była w ciąży. Tommy szlochał wtedy przy kominku pustelnicy, ona zaś sprawiła, że wszystko się dobrze ułożyło. Odnalazła znajomą, która przyjęła córkę do siebie. Znalazła też kogoś, kto adoptował dziecko. I odszukała jeszcze

inną zaprzyjaźnioną osobę, która dała dziewczynie pracę. Nikt w Lough Glass o tym nie wiedział. Nikt nawet nie podejrzewał, iż w długiej nieobecności małej Bennetówny może się kryć coś podejrzanego. Pewnego ciepłego, słonecznego poranka pod koniec maja Tommy zaniósł siostrze Madeleine aż trzy listy. W jednym z nich był pięciofuntowy banknot, który nadawca przesyłał na zbożny cel. Pustelnica natychmiast oddała pieniądze

Tommy'emu.

- Dobrze je spożytkuj.
- Nie podoba mi się, że siostra powierza mi taki kawał grosza. To aż pięć funtów. Nie wiem, czy dobrze je wydam.
- A co ja miałabym z nimi zrobić? Ty wiesz najlepiej, jak je spożytkować - upierała się pustelnica.

W takich przypadkach Tommy zawsze rósł z dumy. Siostra Madeleine uważała go za człowieka godnego zaufania. Nikt inny nie miał o nim tak dobrego zdania. Żona miała go za leniucha, Mona Fitz za mięczaka.

Własna córka zaś,

210

ta, której uratował życie, uznała go za człowieka staroświeckiego i bardzo surowego, nie mając pojęcia, jaką on odegrał rolę w tym, że los się do niej uśmiechnął.

- Pójdę już, żeby siostra mogła spokojnie przeczytać listy.
- Nastaw imbryk z herbatą. Po spacerze przez las zawsze chce się pić.

Pustelnica rozpędziła gromadzące się przy niej stadko zwierząt i przysiadła na trójnóżku, żeby przeczytać adresowany do niej list.

Droga Sostro!

Jestem przyjaciółką świętej pamięci Helen McMahon i chciałabym korespondować z jej córką Kit.

Z rozmaitych powodów wolałabym nie wysyłać listów pod jej adresem domowym. Wyjaśniłam Kit, że nie chcę niepokoić jej ojca wspomnieniami o żonie, ale prawda jest taka, iż byłam częścią życia Helen, gdy kochała innego mężczyznę. Dlatego nie chciałabym budzić w Martinie McMahonie niestosownych wspomnień.

Nie będę pisała do Kit o niczym, co mogłoby ją niepokoić. Zresztą ma Siostra pełne prawo czytać moje listy, jeśli nabierze Siostra podejrzeń, iż wywierają zły wpływ na dziewczynkę. Mam nadzieję, że jest to pierwszy z wielu listów. W rogu koperty będę dopisywała "KM", dzięki czemu będzie wiadomo, że jest to list dla Kit. I może zechciałaby Siostra dać mi znać, czy tę propozycję akceptuje.

Z poważaniem Lena Gray.

List był schludnie napisany na maszynie i zawierał adres zwrotny w jednej z zachodnich dzielnic Londynu. Pod adresem dużymi literami dopisano: PROSZĘ NIE ZAPOMNIEĆ O DOPISKU: „NA RĘCE P. IVY BROWN". Siostra Madeleine długo patrzyła na jezioro. Kiedy Tommy Bennet zaparzył herbatę i przyniósł ją pustelnicy, dobrą chwilę wpatrywał się w tę drobną kobietę bez reszty zatopioną w myślach.

211

- Clio, tak doskonale radzisz sobie z psami. Nie zechciałabyś poszukać Ambrose'a? - poprosiła siostra Madeleine tego samego dnia po południu.
- Ale gdzie, proszę siostry?
- Naprawdę nie wiem. Pewnie gdzieś się ukrył, a ty zawsze umiałaś wabić psy.

Clio ruszyła na poszukiwania, uszczęśliwiona, że siostra wybrała właśnie ją.

Kit patrzyła za nią z wyraźną zazdrością.

- Mnie lepiej idzie z kotami - powiedziała.

- Tak, wiem - zgodziła się pustelnica. - Koty prawie z tobą rozmawiają, moja panno, nawet te na wpół dzikie. - Wręczyła dziewczynce list.

Padło niewiele słów, ale Kit od razu wiedziała, że ma w ręku coś, co lepiej otworzyć w domu. I pewnie lepiej nie mówić o tym Clio. Ani tacie, skoro list był zaadresowany do siostry Madeleine.

Przeczytała go chyba ze czterdzieści razy. Każdą linijkę знаła na pamięć.

Mama opowiadała tej pani o czarnych włoskach i o zaciśniętych piąstkach swojej małej córeczki! Może opowiadała jej jeszcze o czymś? List był napisany na maszynie, dzięki czemu łatwo się go czytało. Z drugiej strony, wyglądał jak pismo handlowe, jedno z tych, które przychodziły do apteki. List brzmiał miło, choć trochę oficjalnie. Ciekawe, czy to panna, czy mężatka. Dowiedzieć się czegoś więcej? Kit miała do niej zaufanie, bo przecież siostra Madeleine mówiła, iż mama tę panią wspominała - były przyjaciółkami.

- Nie wiedziałam, że mama miała jakieś przyjaciółki - powiedziała.

- Twoja mama była przyjaciółką wszystkich - odparła siostra.

- Tak, wiem. - Oczy Kit rozbłysły. - Ludzie bardzo ją lubili, prawda?

- Bardzo - przytaknęła zakonnica.

- Ale siostra nie znała jej tak dobrze. Przecież mama nie przychodziła tu zbyt często. - Kit pragnęła usłyszeć o matce jak najwięcej dobrego. - Ale żeby kogoś poznać, wcale nie trzeba go często widywać. - To prawda.

Człowiek

212

od razu wiedział, kogo lubi, a kogo nie. - O czym rozmawialiście, kiedy mama tu przychodziła?

- O tym i owym - siostra Madeleine traktowała rozmowę jak spowiedź i nigdy nie zdradziłyby jej tematu.

- Ale mama nie opowiadała siostrze o tej Lenie Gray? - spytała zaniepokojona Kit.

- Najwięcej opowiadała o tobie i o Emmecie. - Podczas nielicznych wizyt w pustelni Helen McMahon mówiła o swoich dzieciach z taką miłością, że nie do pomyślenia było, by mogła się utopić i je zostawić.

Siostra Madeleine nigdy w to nie wierzyła.

Dwa tygodnie rozmyślała, co by też odpisać Lenie Gray. Kilka razy zaczynała i nie kończyła, bo to, co napisała, zupełnie się jej nie podobało. Przypominało szkolne wypracowanie albo było zbyt poufale jak na list do kogoś, kogo w zasadzie nie znała. Zastanawiała się, co na jej miejscu zrobiłaby mama. Mama na pewno nie działałaby pochopnie, mama by pomyślała.

Kit postanowiła zachować się tak samo.

- Ivy, podałam twój adres na wypadek, gdyby przyszła do mnie korespondencja - powiedziała Lena.

- Przecież to i twój adres - zauważyła zdziwiona Ivy.

- Nie to miałam na myśli. Podałam numer twojego mieszkania.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

- No to może mi wytłumaczysz?

- Chodzi o to, że od czasu do czasu będę dostawać listy z Irlandii i wolałabym, żeby Louis o tym nie wiedział.
- Bądź bardzo ostrożna, Leno.
- Nie, to nie listy miłosne, Ivy... Zapadła cisza.
- Ale z Irlandii!
- Tak. To taka lina ratunkowa dla mnie i dla mojej córki.
- Która uważa, że nie żyjesz?
- Tak. Udaję, iż ja to nie ja. Udaję kogoś innego. Siebie w innym wydaniu.

213

- Nie robiłabym tego, kochana. Tego bym nie robiła.
- Ja już to zrobiłam.
- Nie gniewasz się za ten telewizor w hotelu? - zapytał Louis.
- Skądże znowu! Prawdę mówiąc, wcale się nie gniewałam. Byłam w kiepskim humorze, i tyle. To ty się pogniewałeś. Mówię to gwoli przypomnienia kolejności zdarzeń - odrzekła z błyszczącymi oczyma. Panowała między nimi miła i pogodna atmosfera.
- Świetnie, to znaczy, że zajrzysz do nas i będziesz oglądała...
- Absolutnie nie. W związku z tak historyczną okazją wybieram się do miasta, żeby obejrzeć wszystko na ulicy.
- Będziesz musiała przekoczyć całą noc z kocem i z termosem.
- Nic podobnego. Ivy i Jessie znalazły zaciszny kącik.
- A co ze mną? Co z panem Millarem, z matką Jessie i resztą towarzystwa?
- Przecież musisz pracować, mówiłeś mi to ze sto razy. Ivy nie chce iść do baru Ernesta, bo będzie tam ta koszmarna Charlotte. Pani Park przysiądzie na nocniku u sąsiadów, którzy mają telewizor. Pan Millar jest umówiony

ze swoim zniechęconym bratem. Czy odpowiedziałam na wszystkie pytania? - spytała żartobliwie.

- Kocham cię - rzekł nieoczekiwanie.
- Mam nadzieję. Przecież z tobą uciekłam.
- A ja? Ja z tobą nie uciekałem? Owszem, ale to nie było to samo.
- Naturalnie - odpowiedziała łagodnie. - Pędziliśmy niczym srebrna ławica przez morze.
- Ja mam Clio. Czy mama też miała przyjaciółkę? - zapytała Kit.
- Hm, miała mamę Clio.

Oboje dobrze wiedzieli, że to nieprawda. Mama Kit nie lubiła Lilian Kelly.

- Nie, przedtem, zanim poznała ciebie.
- Miała koleżanki w internacie. Czasem je wspominała.

214

- A jak się nazywały?
- Od tamtej pory minął szmat czasu, kochanie, nie pamiętam. Była chyba jakaś Dorothy, jakaś Kathleen...
- Myślisz, że mówili na nią Lena?
- Nie wiem. Dlaczego pytasz?
- Zastanawiam się, jak ludzie zdrabniają imiona. Czy z Kathleen można zrobić Lenę? - poczerwieniała z emocji.

Martin McMahon zastanawiał się chwilę. Córce wyraźnie zależało na tym, żeby przytaknął.

- Hm, niewykluczone - zdecydował. - Tak, chyba tak.

Zadowolona Kit skinęła głową. Jak to się często zdarzało, Martin McMahon żałował, że nie wie, co roi się w głowie córki.

Chłopcy byli o wiele mniej skomplikowani. Wieczorami często zabierał

Emmeta na ryby. Początkowo syn nie chciał się nawet zbliżyć do łódki, lecz Martin nie ustępował.

- Nie wiemy, co się wtedy stało, ale co do jednego nie mamy wątpliwości: twoja mama na pewno pragnęłaby, żebyś zżył się z jeziorem, które tak bardzo kochała. Nie chciałaby, abyś od niego stronił.

- Tak, ale ta łódka...

- Łódka jest częścią jeziora, synu. Nigdy się nie dowiemy, co w niej zaszło i jakim sposobem twoja biedna mama wypadła za burtę. Jednak z całą pewnością ona chciałaby, żebyśmy dalej pływali tą łodzią i kochali jezioro tak samo, jak ona je kochała.

Powiedział dokładnie to, co należało powiedzieć. Od tej chwili syn z radością towarzyszył mu w wędkarskich wyprawach. I wyglądało na to, że łapanie sandaczy i okoni sprawia mu przyjemność.

Emmet nigdy nie zauważył, iż wiosłujący ojciec patrzy przed siebie martwym wzrokiem.

- Nie mam dla ciebie żadnych listów, Leno.

- Nie? No to plomba.

- Przynosiłaś sobie mnóstwo londyńskich wyrażen.

- Skoro mam mieszkać w Londynie, muszę nauczyć się mówić jak londyńczycy.

215

- Zastanawiałam się, czy nie rozważasz możliwości powrotu do Irlandii.

- Nie, o tym nie ma mowy.

- A co z tą liną ratunkową? - dociekała Ivy.

- Pewnie tak, jak powiedziałaś. To rzecz bardzo niebezpieczna i bardzo głupia.

- Nie miej takiej zaciętej miny, Leno. Jestem twoją przyjaciółką. Nigdy nie mówiłam, że to niebezpieczne czy głupie. Powiedziałam tylko, żebyś była ostrożna.

- Jesteś wspaniałą przyjaciółką, Ivy.

- Jeśli mam ku temu okazję, ale ponieważ okazji chwilowo zabrakło, lepiej zostawmy ten temat.

Ivy wycofała się do swojego pokoju na parterze. Nie zaprosiła Leny do środka. Wiedziała, że nie jest to moment sprzyjający zwierzeniom.

Jessie Park zamartwiała się, czy podczas koronacji mama zdąży dojechać do łazienki w mieszkaniu sąsiadów.

- Ona tak bardzo przeżywa każdą okazję do wzruszeń... - Lena cierpliwie słuchała. - Och, Leno, wiem, że cię zanudzam opowieściami o moich nieszczęściach, ale nie mam pojęcia, do kogo się z tym zwrócić, a ty zawsze jesteś taka praktyczna i opanowana.

Lena spojrzała na nią z sympatią. Wspaniale jest usłyszeć taki komplement. Praktyczna i opanowana. Ona, uciekinierka prowadząca fałszywe życie u boku mężczyzny, który może ją znowu porzucić. Mieszkała w wielkim, obcym mieście, gdzie zdruzgotana brakiem wiadomości od Kit, umierała z lęku, że jej list małą wystraszył, mimo to w oczach Jessie była silna jak dąb.

- Pomyślmy - zaczęła. - O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że mieszkanie sąsiadów jest jednopoziomowe i nie ma tam schodów, tak?

- Tak, ale mama chodzi bardzo wolno. A jeśli nie zdąży? Jeśli przydarzy się nieszczęście? - Jessie zagryzła wargę.

- W zeszłym tygodniu widziałam w aptece podkładki higieniczne. Mama mogłaby zabezpieczyć się podkładką i problem z głowy - odrzekła

pogodnie i bez cienia wątpliwości.

Jessie dziękowała jej tak serdecznie, że Lena omal się nie popłakała. Jak łatwo jest doradzać innym w drobnych codziennych kłopotach! Jakże trudno jest rozwikłać własne...

W hotelu „Dryden” przygotowania do dnia koronacji były już mocno zaawansowane. Zgodnie z sugestiami Leny, które Louis przekazał dyrektorowi, krzesła w salonie hotelowym ustawiono półkolem.

- Twoja śliczna żona nie zaszczyca nas swoją obecnością? - zapytał rozczarowany Williams. Uważał, iż obecność Leny dodałaby splendoru całej uroczystości.

- Niestety. Potrzebują jej w agencji.

- Nic dziwnego. Jestem przekonany, że jest doskonałą pracownicą. Może i nam wynajdzie posadę, jeśli zwolnią się gdzieś dobre miejsca?

- Oczywiście. Wciąż szuka idealnej pracy dla swego męża - zażartował Louis.

- Byłoby mi bardzo żal, gdybyś oszedł. Ale chyba nie przyjmiesz innej posady, nie omówiwszy z nami ewentualnej zmiany wysokości zarobków i warunków pracy, prawda?

- Panie dyrektorze, mam nadzieję, że nie potraktował pan moich słów poważnie.

- I choć już ze sto razy prosiłem cię, żebyś zwracał się do mnie po imieniu, uparcie mnie tytułujesz.

- Jest mi tu bardzo dobrze.

- A twojej żonie? Jest szczęśliwa w Londynie? Nie tęskni?

Louis zmrużył oczy.

- Dlaczego pan o to pyta, panie dyrektorze?

- Sam nie wiem. Podczas świątecznego przyjęcia mówiła, że każdy człowiek powinien choć przez krótki czas popracować w Londynie. Wydawało mi się, iż jest w tym jakiś podtekst, że chce coś przez to powiedzieć.
- Jest moją żoną i nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego mówiła - powiedział to bardzo uprzejmie, mimo to James Williams postanowił zaniechać drażenia tematu.
- Prawda, że byłoby wspaniale pojechać na koronację do Anglii? - rozmarzyła się Clio.

217

- Tylko gdzie byśmy się zatrzymały?
- Ciocia Maura ma tam znajomych. Ona się wybiera, wiesz?
- Zabrałyby nas, gdybyśmy ją poprosiły? - zastanawiała się Kit.
- Nie, chyba nie. W szkole są normalne lekcje, zresztą powiedzieliby, że jesteśmy za małe.
- Chciałabym gdzieś pojechać, wszystko jedno dokąd.
- Wiem, ja też. Ale kiedy nas wreszcie puszczą, będziemy już za stare - odrzekła z ponurą rezygnacją Clio.
- Philip O'Brien jedzie ze swoją mamą do Belfastu - wyznała Kit.
- Mhm, ale pomyśl tylko, że miałybyś jechać z mamą Philipa.
- Ale Philip jest fajny. Lubię go.
- Wyjdiesz za niego, widzę to jak na dłoni - stwierdziła bez wahania Clio.
- Ciągłe to powtarzasz. Zupełnie nie wiadomo dlaczego. Dlaczego tak mówisz?
- Bo mu się podobasz.

- I co z tego?
- To bez znaczenia, że Philip ci się nie podoba. Ludzie zawsze biorą ślub z tymi, którym się podobają.
- To by chyba nie wypaliło - oponowała Kit.
- Nie, miałam na myśli kobiety, dziewczyny.
- Dlaczego? Wydawało mi się, iż to my wybieramy, przebieramy i odrzucamy.
- Tak jest tylko w książkach i na filmach. W prawdziwym życiu wychodzimy za tych, którzy chcą się z nami ożenić.
- Wszystkie kobiety tak robią?
- Wszystkie. Słowo daję. Kit popadła w zadumę.
- Twoja mama też? I moja?
- Tak, na sto procent.
- A ciocia Maura? Nikt jej nie chciał?
- Z nią było inaczej. Mówiła mi, iż zmarnowała czas dla mężczyzny, któremu się nie podobała. Popełniła błąd.
- Czyżby? - Kit chciała to uściślić. - Przecież zawsze

218

mówiłaś, że jest bardzo szczęśliwa, szczęśliwsza niż inni, których znamy.

- Wiem, co mówiłam, ale to my ją tak widzimy. Może gdzieś w środku ciocia jest tragicznie nieszczęśliwa.
- A co powiesz o siostrze Madeleine? Twierdzi, że wyszła za męża, a teraz jest zakonnica.
- Nigdy tego nie zrozumie. Do końca swoich dni.
- O czym tak myślisz? - zapytała Lena. Louis uśmiechnął się leniwie.
- O tym, że jesteś taka piękna - odparł.

- Nieprawda.
- To po co pytasz?
- Sama nie wiem. Pewnie chciałabym wiedzieć, co roi się w twojej urodziwej głowie. Mieliśmy w domu kota, Farouka. Często go obserwowałam, zastanawiając się, o czym też może myśleć.
- Przypominam ci kota?
- Farouk nie był aż tak przystojny.
- Nie lubię, jak mówisz „w domu”. Lough Glass nie jest twoim domem. To ja jestem dla ciebie domem. W pewnym sensie zawsze tak było. Patrzyła na niego przez chwilę. „W domu”... Kilka tygodni temu rzuciłaby mu się na szyję, biłaby się w piersi, przekonywałaby go, iż to tylko potoczne wyrażenie. Ale od tamtego wieczoru, kiedy ją zostawił, od tamtej nocy, kiedy uświadomiła sobie, że musi napisać do Kit, wszystko się zmieniło. Nie chciała go z sobą wiązać pokornymi przeprosinami; uczucie kupione za taką cenę nie mogło być miłością.
- No? Zgadzasz się ze mną czy nie? - Wyraźnie ją prowokował.
- Nie, kochanie. Nie zgadzam się. Nie chciałam tam żyć, a jednak spędziłam w Lough Glass trzynaście lat. Inni nazywali to moim domem, w każdym razie było to miejsce, gdzie mieszkałam. Jeśli więc mówię, że pewien piękny, wspaniały kot, który mieszkał w moim domu, miał na imię Farouk... Nie sądzę, żeby było to przejęzyczenie, które może przesądzać o naszym być albo nie być.

219

Spojrzał na nią z podziwem.

Z nagłym uczuciem żalu zdała sobie sprawę, że gdyby umiała

zachowywać się tak lata temu, Louis nigdy by jej nie rzucił. Lecz gdyby z

nią został, nie miałyby Kit i Emmeta. Kit i Emmet... Czy byliby wówczas takimi samymi ludźmi, czy zupełnie innymi? A może wcale by ich nie było?

Nie. Ich życie warte było każdej ceny.

- Z okazji koronacji zrobię sobie trwałą - oznajmiła Jessie Park.
- Świetnie - pochwaliła ją Lena.
- Pan Millar zapraszał nas na dzisiejszy wieczór do swego brata - oznajmiła Jessie z rewerencją.
- Tak. Mam nadzieję, że tam pójdziesz, a potem opowiesz mi, jak było. Muszę pobyć z Louistem. Mam wrażenie, iż czuje się rozgoryczony całodzienną rozłąką.

Na twarzy Jessie odmalowało się rozczarowanie.

- Och, Leno, naprawdę musisz? Proszę cię, chodź ze mną do pana Millara. Z Louistem możesz być co wieczór, a ten dzisiejszy jest wyjątkowy. Lena popatrzyła na nią z nie ukrywaną serdecznością. Choć Jessie wciąż nazywała pracodawcę „panem Millarem”, żywiła wobec niego nader ciepłe uczucia. Lena dostrzegła spojrzenia, jakie Jessie rzucała w jego stronę, spojrzenia nie mające nic wspólnego z pracą w agencji pośrednictwa.

- Daję ci słowo, że chętnie bym z tobą poszła, ale muszę być dzisiaj z Louistem. Zresztą beze mnie będziesz się lepiej bawiła. Nie powinnam wam przeszkadzać.

Jessie zrobiła żalowaną minę. Twarz jej się wyciągnęła.

- On wcale tego tak nie widzi.
- Skąd wiesz, jak mężczyźni widzą to czy owo? Trzeba by skrzyknąć sztab tłumaczy, żeby zrozumieć, co myślą. Ale i tak będzie lepiej, jeśli

pójdiesz sama. Lepiej go poznasz, jeśli mnie tam nie będzie.

- Tak sądzisz? Myślisz, że wszystko się uda?

- Na pewno. Przecież to nie jest obcy człowiek, to nie jest ktoś, kogo dopiero co poznałaś na jakimś przyjęciu. Macie ze sobą tyle wspólnego, tyle was łączy... - Lena tryskała optymizmem.

220

- Ale kiedy ciebie nie ma, nie wiem, o czym mówić - Jessie straciła głowę.

- Może nadeszła chwila, aby się wreszcie zdobyć na odwagę.

- Mam nadzieję, że będę dobrze wyglądała. Jak myślisz, warto zrobić trwałą?

- Oczywiście. Poza tym będzie cię to kosztowało symboliczne grosze.

Grace jest naszą dłużniczką. Podsyłamy jej tyle klientek, że chyba nikogo innego nie chesze.

Jessie wyszła do salonu Grace pełna dobrych myśli. Lena podniosła słuchawkę telefonu.

- Grace, mam do ciebie prośbę. Zaraz przyjdzie do ciebie Jessie. Chcę, żebyś się nią zajęła. Manicure, maseczka, farba, i tak dalej. Wszystko, co uznasz za stosowne. Potem się z tobą rozliczę.

- Nie mów mi tylko, że szuka nowej pracy.

- Lepiej. Szuka romansu.

Do apteki weszła Deirdre Hanley.

- Przyszłam zapytać, czy nie przydałaby się panu pomoc w aptece, panie McMahan - powiedziała.

- Chcesz studiować farmację, Deirdre? - zdziwił się Martin.

- Nie, ale chyba nie muszę kończyć farmacji, żeby tu pracować, prawda?

- Uczciwie mówiąc, to tak. Inaczej nie miałbym z ciebie żadnego pożytku

- odparł łagodnie.

Straszliwie niespokojna dusza była z tej Deirdre, córki pani Hanley. Jak daleko sięgnąć pamięcią, zawsze niecierpliwie wyglądała dnia, kiedy wreszcie będzie mogła wyrwać się z Lough Glass. Czasami zwierzała się z tych pragnień Helen, znajdując w niej - tak jak obawiał się tego Martin - aż nazbyt dobrą słuchaczkę.

- Jak to? Przecież cała sprawa polega na tym, żeby namawiać ludzi do kupowania szminek, tuszu do rzęs i innych gotowych produktów.

- Samo namawianie to trochę za mało, Deirdre. Ale miałaś się przecież szkolić na specjalistkę od kosmetyków, prawda?

221

- Do tego nie trzeba specjalnego szkolenia, panie McMahon. Wystarczy namówić kogoś z wytwórni kosmetyków, żeby zorganizował drobny kursik, a potem wciskać ludziom ich produkty i wmawiać im, że są wspaniałe. Sam pan wie, jak to jest.

- I chciałybyś robić to w Lough Glass?

- Tak, dlaczego nie?

- Nie sądzisz, że... Załóżmy, iż mógłbym zatrudnić cię w aptece, co moim zdaniem jest zupełnie niemożliwe. Myślisz, że byłabyś z tej pracy zadowolona?

- Panie McMahon, żeby uzasadnić swój byt, trzeba się czymś zajmować od świtu do zmierzchu. Na tym polega życie - oświadczyła Deirdre.

- I podobałoby ci się życie w Lough Glass? - Dotąd nie słyszał od niej nic oprócz utyskiwań na tę zapadłą dziurę. Co też ją odmieniło? Deirdre zerknęła na warsztat mechaniczny Sullivanów. Rzuciła w tamtą stronę tylko jedno spojrzenie, ale Martin od razu przypomniał sobie, że przy

rozmaitych okazjach widywał ją ze Steviem Sullivanem. Zazwyczaj gdzieś nad jeziorem, z dala od ludzkich oczu. - A jakiego zajęcia pragnęłaby dla ciebie mama? - zapytał zniechęcony.

- Mama chciałaby, żebym się stąd wyniosła. Nie wie dlaczego, ale czuje, że tak byłoby dla mnie najlepiej.

- Jedź, Deirdre. Kiedy staniesz się dziewczyną stamtąd, będziesz dla niego bardziej pociągająca.

- I kto to mówi? Zna się pan i na kobietach, i na życiu, panie McMahan?!

- zapytała zdumiona.

- Tak, wiem - odparł pogodnie. - Czyż to nie zadziwiające?

- Pomożecie mi w pracy w aptece? - zapytał dzieci tego samego wieczoru.

- Teraz? - zdziwił się Emmet. Tata rzadko otwierał zamkniętą na noc aptekę, a jeśli ją otwierał, to wyłącznie w nagłej potrzebie.

- Nie, myślałem o przyszłości - odparł.

- Chciałbyś tego, tato? - zapytała Kit.

- Tylko pod warunkiem, że i wy byście tego chcieli. To mozolna praca i trzeba ją lubić.

222

- Chciałam zostać aktorką - powiedziała Kit.

- A ja misjonarzem - rzekł Emmet.

- No cóż, zatem wszystko postanowione. - Martin przeniósł wzrok z jednego dziecka na drugie. - Ksiądz Emmet w długiej białej sutannie zbawia dusze w dalekiej Nigerii, a potem spieszy na premierowy występ swojej siostry w teatrze „Abbey”. Czekam na pracowite życie. Może jednak skorzystam z pomocy Deirdre Hanley?

- Deirdre Hanley? - zdumiały się dzieci.

- Szukała posady w aptece. Chciała zostać moją pomocnicą.
- Tato, chyba jej nie zatrudnisz? - spytała Kit.
- W końcu nie muszę zostawać misjonarzem - dodał czym prędzej Emmet.
- Tylko tak przyszło mi to do głowy...
- Szczerze mówiąc, mogę nie zostać zaakceptowana na aktorkę...
- I kiedy wszystko zawiedzie, wróćcie do apteki.
- Właśnie - przytaknęła Kit.
- Dzieci są cudowne - rzucił Martin w przestrzeń. - Kim bylibyśmy bez nich?

Drugiego czerwca Lena zbudziła się rześka i ożywiona. Dzisiaj jej córka kończyła trzynaście lat. Lena miała nadzieję, że Martin zadba o to, by ten dzień był dla Kit dniem wyjątkowym i radosnym.

Miała ochotę do niego zadzwonić i szepnąć mu kilka słów zachęty.

Pragnęła rozplakać się do słuchawki i wyznać mu, jak ciężko jej żyć bez dzieci. Jednak dobrze wiedziała, że nawet w myślach nie może sobie pozwolić na takie kaprysy. Musiała żyć swoim życiem. I oto los rzucił ją do Londynu. Dzień koronacji...

Londyńczycy od samego rana słuchali radia. Zupełnie tak, jakby się obawiali, że uroczystość może zostać odwołana. Chcieli znać każdy szczegół. Gazety rozpisywały się o tym wielkim dniu, podając minutowy rozkład planowanych zdarzeń, opisując drogę kawalkady do Westminster Abbey i wyjaśniając znaczenie poszczególnych faz ceremonii.

223

Lena z lubością powiodła wzrokiem po tłumie gapiów, radujących się wspaniałym świętem. Niecałe dziesięć lat temu trwała straszliwa wojna. A trzynaście lat temu, w dniu, kiedy urodziła córeczkę, a Martin rozplakał się

przy jej łóżku ze szczęścia, zachwycając się urodą dziecka, na ulicach Londynu szalał strach i panika.

Doszła do wniosku, że kalendarz Anglików jest za ubogi w święta. Nie mają ani dnia świętego Patryka, ani procesji w dniu Bożego Ciała, ani święta Poświęcenia Łodzi, ani pielgrzymek do Croagh Patrick, ani tych wszystkich rzeczy, dzięki którym ludzie mogą wziąć wolny dzień i porozmyślać o innych sprawach. Jakież to było krzepiące widzieć, że wszyscy się do wszystkich uśmiechają, obcy rozmawiają z obcymi! Lena dotarła na róg ulicy, który - dzięki znajomościom w sklepiku - zdołała dla nich zająć Ivy. Zaklepanych miejsc pilnowały dzieci, i to już na długo przed świtem. Stały tam drewniane stołki, kosze z jedzeniem, flagi i transparenty.

Przez chwilę miała wrażenie, że ogląda wszystko z innej perspektywy. Nie czuła w sobie wielkiej radości i oczekiwania. Świadomość, że młoda królowa przejedzie ledwie kilka metrów od niej, nie budziła w Lenie ekstazy. Ale też nie była jej zupełnie obca. Z tymi, którzy tłoczyli się wokoło, łączyło ją tyle samo, co z mieszkańcami głównej ulicy Lough Glass.

Londyn był dla niej takim samym domem jak każde inne miejsce na ziemi. Zajęły swój punkt obserwacyjny i słuchały wiadomości o zdobyciu Mount Everest. Brytyjczyk wspiął się na najwyższy szczyt świata - podniecenie sięgało zenitu. Ryk tłumu nasilił się jeszcze bardziej, kiedy w polu widzenia ukazały się karety, strojne konie, wspaniałe brokaty i liberie. A potem zobaczyli uśmiechniętą, choć trochę stremowaną twarz księżniczki Elżbiety, jak ją tu wciąż nazywano. Księżniczka machała obleczoną w rękawiczkę dłonią, z radością odpowiadając na wyrazy miłości i serdeczne

powitanie, jakie słała jej ulica.

Zdawało się, że przyszła królowa patrzy każdemu prosto w oczy. Wszyscy tak mówili. Ivy, Jessie, wszyscy dokoła.

224

Lena też miała takie wrażenie. Odpowiedziała więc takim samym spojrzeniem i pomachała przyszłej monarchini. Kobiecie, która nie straciła swej córki i syna. Do oczu napłynęły jej łzy.

Jakiś mężczyzna chwycił ją za ramię.

- Wspaniały dzień, złociutka, prawda? Będziesz o nim dzieciom opowiadać.

W odpowiedzi ścisnęła go za rękę.

- Tak, wspaniały... wspaniały dzień - wyjąkała.

- Czy siostra zawsze wie, co robić?

- Nie, Kit, bardzo rzadko.

- Ale siostra się tym nie przejmuje.

- To prawda.

- I dlatego siostra nie radziła sobie w małżeństwie?

- Nigdy nie powiedziałam, że sobie nie radziłam.

- Nie, ale przecież nie mogła siostra sobie radzić, bo inaczej byłaby siostra mężatką, a nie zakonnica, prawda?

- Myślisz, iż odeszłam od męża, by wstąpić do zakonu?

- Wydaje mi się, że właśnie to nam siostra powiedziała, Clio i mnie. -

Biedna Kit z całego serca żałowała, iż w ogóle poruszyła ten temat.

Zakonnica patrzyła na nią z ożywieniem i zainteresowaniem, ale jej wzrok niczego nie zdradzał. - Chyba sobie tego nie wymyśliłyśmy, prawda?

- Miałam kiedyś męża, ale mnie rzucił. Ruszył w daleki świat.

- Pokłóciliście się? - spytała Kit ze współczuciem.
- Nie. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku. Powiedział, że jest nieszczęśliwy. - Wspominając, spojrzała na jezioro.
- I dlatego zakonnice wzięły siostrę do siebie? Bo on nie wracał?
- Nie. Nie tak od razu. Długo siedziałam w domu, pastowałam i pucowałam meble i podłogi, hodowałam kwiatki i wszystkim dookoła opowiadałam, że mąż niedługo wróci.
- Gdzie to było, siostró Madeleine?
- Daleko stąd. Tak czy inaczej mijały tygodnie i miesiące, aż pewnego dnia spytałam samą siebie, co ja właściwie

225

robię. Wtedy Pan Bóg obudził we mnie taki cichy głosik, który powiedział mi, iż moje życie sprowadza się do dbania o dobra doczesne, do polerowania sreber, do czyszczenia szkła, a przecież powinnam robić coś innego.

- I co siostra zrobiła?
- Wszystko sprzedałam, a pieniądze wpłaciłam do banku na konto męża. Napisałam do jego przyjaciela i zawiadomiłam go, że postanowiłam wstąpić do klasztoru, a jeśli mąż kiedykolwiek wróci, w każdej chwili może odebrać całą kwotę.
- I wrócił, siostró Madeleine?
- Nie wiem, Kit. Nie sędzę. - Zakonnica była bardzo spokojna. Ani smutna, ani zmieszana.
- I była siostra zakonnica?
- Tak, przez jakiś czas. Pewnego dnia zadałam sobie w klasztorze pytanie: co ja tu właściwie robię? Nic, tylko poleruję stoliki w salonie, ławy

kościelne i marmur u stóp ołtarza. I wtedy znów usłyszałam cichutki głos Boga.

- Co powiedział tym razem? - Kit wprost nie mogła uwierzyć, że pustelnica jej o tym wszystkim opowiada.

- To samo, co przedtem. Powiedział, że znów spędzam czas na czyszczeniu i polerowaniu dóbr doczesnych. Co prawda nie były to moje dobra, bo należały do klasztoru, mimo to nie robiłam chyba nic dobrego.

- Więc porzuciła siostra klasztor i przyjechała do nas?

- Tak. Mniej więcej.

- A w tej chatce głos od Boga nie mógł siostrze powiedzieć, że otacza się siostra dobrami doczesnymi, bo tu prawie nic nie ma. - Kit rozejrzała się po skromnej izdebce, nie mogąc się nadziwić dziwnym kolejom losu pustelnicy.

- Tak. Myślę, że postąpiłam słusznie. Taką mam nadzieję.

- Ale to Pan Bóg do siostry przemówił, prawda?

- Oczywiście, On zawsze do nas przemawia. Rzecz w tym, żeby być tego absolutnie pewnym i usłyszeć to, co chce nam powiedzieć.

- Jak wtedy, kiedy człowiek myśli i myśli, i dochodzi do wniosku, że pewne rozwiązanie jest dobre, ale zaraz

226

potem zmienia zdanie, prawda? - Wyglądało na to, iż problem niezdecydowania nie jest Kit obcy.

- Właśnie. Musisz uważnie słuchać i zrozumieć, co właściwie słyszysz... co Bóg chce ci podpowiedzieć.

- I naprawdę słyszeć wtedy głos? Taki jak nasze, siostry i mój?

- Nie. To bardziej odczucie niż głos.

- To znaczy, że jeśli nie wiem, czy coś zrobić, czy nie, muszę po prostu czekać, żeby sprawdzić, co okaże się silniejsze.

- To na ogół działa. - Kit zamknęła oczy. - Ale nie da się tego wymusić, Kit. To nie jest bajka o wróżce i o trzech życzeniach. - Kit wpatrywała się w jezioro. Było takie spokojne, bez jednej zmarszczki na wodzie.

Cudowny czerwcowy dzień. - Napisz do niej, Kit - powiedziała siostra Madeleine.

- Co? - Kit aż podskoczyła z wrażenia.

- Zastanawiasz się, czy napisać do przyjaciółki twojej mamy, czy nie. To nie może nikomu zaszkodzić. Napisz.

- Lena?

- Ivy!

Ivy dopiero teraz zauważyła Louisa.

- Może wpadlibyście do pubu w któryś piątek? Ernest o was pytał.

- Świetny pomysł - odrzekł Louis. - Ale czy naprawdę już nigdy nie będę mógł za siebie zapłacić? Tylko to mnie powstrzymuje. Powiedz Ernestowi, na pewno zrozumie.

- Louis, wszystko, co Ernest może dla mnie zrobić, to postawić parę piw moim przyjaciołom. On to uwielbia, nie odbieraj mu przyjemności.

- Cóż, skoro tak... Łatwo mnie przekabacić, chętnie zostanę jego utrzymankiem - odrzekł Louis, idąc na górę.

- Leno, mam dla ciebie broszurę, o którą prosiłaś! - zawołała za nimi Ivy.

- Wiesz, tę o kursach wieczorowych.

Louis jęknął.

- Czyżby chciała wdać się w coś nowego? Ivy, proszę cię, tylko jej nie zachęcaj. Jeśli choć trochę mnie kochasz, nie rób mi tego.

- To nie dla mnie, głuptasie. To informacje dla klientów. Dzięki, Ivy. Zajrzę do ciebie później i przejrzymy ją razem. - Mówiła spokojnym głosem, wyglądała tak, jakby nie zdarzyło się nic szczególnego. Ale w środku aż kipiała z emocji.

Nadszedł list od jej córki.

Ivy czekała z kopertą w dłoni.

- To dziecięce pismo, Leno. Napisałaś do dzieci.

- Przecież wiedziałaś.

- Nie wiedziałam, że ci odpiszą. Boję się o ciebie. Naprawdę się boję.

- Ja też. - Patrzyły na siebie dłuższą chwilę. Wreszcie Ivy podsunęła jej krzesło.

- Siadaj i czytaj. Zrobię nam drinki. Lena zaczęła czytać.

Szanowna Panno Gray!

A może Pani Gray? Nie napisała Pani, jak się do Pani zwracać. Długo zwlekałam z odpowiedzią, bo nie wiedziałam, co zrobić. Właściwie to się trochę bałam. Nie wiem czego. Chyba tego, że dowiem się od Pani czegoś smutnego o Mamie. Na przykład tego, że Mama nas nie kochała albo że była w Lough Glass nieszczęśliwa.

Chciałabym, żeby Pani wiedziała, iż wszystkim nam było tu bardzo dobrze. Naprawdę bardzo dobrze. Mamy cudowny dom, Tatuś jest dla nas taki dobry, ale najlepszy był właśnie dla Mamy, bo nigdy o nic nie miał do niej pretensji. Wiedział, że lubiła chodzić na samotne spacerki, więc pozwalał jej na to nawet wtedy, kiedy czuł się samotny. Czasami stawał przy oknie w kuchni, skąd widać Szklane Jezioro, i mówił: „Spójrzcie, tam nad wodą idzie Mama. Bardzo kocha nasze jezioro”. Mama miała tu wielu

przyjaciół. Doktorostwo Kelly 'owie i ich dzieci są przyjaciółmi całej naszej rodziny, a Mama знаła w miasteczku dosłownie wszystkich i wszyscy po dziś dzień ciągle o niej mówią. Postanowiłam o tym napisać na wypadek, gdyby chciała Pani powiedzieć mnie i Emmetowi, że Mama była tu nieszczęśliwa, że się na nas skarżyła. Teraz już Pani wie, jak było naprawdę.

228

Nie mówiłam bratu o liście od Pani, bo Emmet jest jeszcze mały i nic nie rozumie. Wiem, że mój list nie jest zbyt udany, ale chciałam Pani wszystko wyjaśnić.

Z poważaniem Kit McMahon.

Lena spojrzała na Ivy. Miała martwą twarz. Zupełnie tak, jakby ktoś wyssał z niej wszystkie uczucia i życie. Ivy bała się, że przyjaciółka zemdleje, bo nigdy dotąd nie widziała tak trupio bladej twarzy.

- Och, mój Boże, Ivy - jęknęła Lena. - Mój Boże, co ja zrobiłam? Ivy, co ja najlepszego zrobiłam?

- Dobrze, już dobrze, wszystko będzie dobrze - uspokajała ją Ivy.

- Zniszczyłam życie tylu ludziom. Szkoda, że nie leżę tam, gdzie moje miejsce: na dnie jeziora. Zasłużyłam na to.

- Przestań! - Ivy powiedziała to głosem, jakiego Lena nigdy dotąd u niej nie słyszała. - I to natychmiast! Nie mogę znieść takiego uzalania się nad sobą. Pomyśl tylko. Na górze jest mężczyzna, który cię kocha, miłość twego życia. Poza tym masz teraz okazję wszystko naprawić, odkupić winy wobec córki.

- Jak? Jak mam naprawić krzywdę, którą jej zrobiłam?

- Napisz, że Helen McMahon była najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Nakłam, ile się da, żeby tylko Kit mogła myśleć o matce z lekkim sercem. Tyle możesz dla niej zrobić.

- To byłoby jedno wielkie kłamstwo. Nie mogę okłamywać córki.
- A możesz napisać jej prawdę? - spytała Ivy, ponownie napełniając kieliszki.

Ciotka Maura przywiozła dziewczynkom kubki upamiętniające koronację. Mówiła, że w Londynie było cudownie. Bardzo podniecająco. Wszyscy tryskali znakomitym humorem.

Ciocia Maura zawsze była dla Kit bardzo miła i częściej niż pani Kelly udawało się jej powiedzieć coś właściwego. „Wyglądasz wspaniale, Kit. Jesteś taka wysoka i silna. Twoja mama byłaby z ciebie dumna”. Pani Kelly zawsze

229

mawiała „twoja biedna matka”, zupełnie tak, jakby mama Kit należała do ludzi, nad którymi należy się uzalać. „Ona bardzo to miejsce kochała, znała tu każdą paproć, każde źdźbło trzciny” - mówiła ciotka Maura, a Kit jej przytakiwała. Pani Kelly stanęłaby na głowie, żeby tylko nie napomknąć o jeziorze, o co w Lough Glass było niezwykle trudno.

A to przecież prawda: mama rzeczywiście znała tu każdą roślinkę. Kit wiedziała o tym od Leny Gray z Londynu. Pani Gray prosiła Kit, żeby zwracając się do niej, używała po prostu jej imienia. Lena Gray wystukiwała na maszynie tak długie i zajmujące listy o mamie, że Kit z największą radością pokazałaby je tacie. Na pewno by się ucieszył czytając, jak bardzo mama kochała Lough Glass, zachody słońca nad jeziorem i małe kępki pierwiosnków. Wiedziała jednak, że Lena Gray ma rację: refleksje o mamie przeznaczone były wyłącznie dla niej, dla Kit.

A Kit nie mogła się wprost nacieszyć: mama kochała ją tak bardzo, że o tylu najrozmaitszych sprawach pisała aż do Anglii! Jakie to dziwne, że nigdy nie wspomniała o swojej przyjaciółce! Musiała być bardzo zamknięta w sobie, skoro zachowała tę przyjaźń w tajemnicy.

Lena przechowywała listy od Kit w mieszkanku Ivy.

- Nie to, żeby Louisowi nie ufała, ale... - powiedziała.
- Wiem, kochana, wiem. - Ivy naprawdę wiedziała.
- To dla mnie tyle znaczy.
- Wiem.
- Ale znowu chcesz mnie przed czymś ostrzec, prawda?
- Nie pisz jej za wiele. Nie zbliżaj się do niej za bardzo.
- Siostrze Madeleine?
- Słucham, Kit.
- Czy ja zadaję za dużo pytań?
- Nie, skądże! Dobrze jest pytać. Ludzie odpowiedzą ci tak, jak zechcą.
- Bo tak się właśnie zastanawiałam... - Urwała. Zupełnie jakby nie chciała usłyszeć odpowiedzi. - Tak się właśnie zastanawiałam, czy mama też odbierała listy u siostry.
- Dlaczego o to pytasz, moje dziecko?

230

- Widzi siostra, ta jej przyjaciółka Lena napisała mi, że cały czas z mamą korespondowała, a przecież nigdy nie widziałam w domu listów z Anglii. Zauważylibyśmy angielskie znaczki.
- Wiem, wiem - odparła siostra w zamyśleniu. Ale nie powiedziała ani tak, ani nie.
- Więc było tak?

- Co, Kit?
- Mama odbierała u siostry listy od pani Gray?
- Mogła odbierać je na wiele innych sposobów. Każdy jest inny, ludzie postępują wedle własnego uznania - pustelnica zbaczała z tematu, choć nie unikała odpowiedzi.
- To znaczy? - Kit nie dawała za wygraną.
- Że ludzie są różni i postępują wedle własnego uznania? Można by o tym rozmyślać od rana do wieczora. Spójrz tylko, jak bardzo różnią się między sobą zwierzęta. Pomyśl tylko, skąd małe kaczęta wiedzą, że potrafią pływać, a małe jaskółeczki - że potrafią latać. Tak samo ludzie. Każdy człowiek patrzy na świat inaczej. Weźmy na przykład twoją mamę. Twoja mama знаła z imienia wszystkie Cyganiątka w taborze, a oni znali ją. A przecież żyli zupełnie innym życiem. Dla twojej mamy Cyganie zrobiliby wszystko.
- Chce siostra powiedzieć, że mama mogła odbierać listy u nich?
- Ani ty, ani ja na pewno byśmy ich o to nie spytały, prawda? Przecież zawsze mówiłyśmy, że ludzie są wyjątkowi. Noszą w sercu własne ścieżki życia. Dlatego ja nie powiedziałabym nikomu o naszych rozmowach ani o tym, kto do kogo pisze. Ty też nie powiedziałabyś Clio, że pucowałam meble i srebra, bo obie wiemy, iż nie trzeba o tym mówić. Nie dlatego, że to sekret czy tajemnica, ale dlatego, że nie ma żadnego powodu, by o tym rozpowiadać.
- Wiem. - Kit zrozumiała, iż nigdy się nie dowie, czy pustelnia siostry Madeleine była skrytką pocztową mamy i Leny Gray. Mimo to była o tym przekonana. Teraz pozostawał już tylko jeden problem: skoro Lena Gray była tak serdeczną i bliską przyjaciółką mamy, dlaczego nie mógł wiedzieć

o tym tata?

231

Matka przełożona z radością powitała Ritę w klasztorze.

- Na pewno chcesz to robić, Rito? - zapytała. - Naturalnie doceniamy twoją fenomenalną pracę, ale nie chciałybyśmy cię wykorzystywać.

- Nie, siostrze przełożona. To dla mnie przyjemność. Uwielbiam czyścić piękne przedmioty. I dostaję tu taki apartament, jakiego nie dostałaby sama królowa Anglii.

- Nie wydaje mi się, żeby miała do nas zawitać podczas swoich podróży. - Oczywiście, siostra Bernard potępiała fakt, że nowa królowa uzurpuje sobie prawo do zwierzchnictwa nad Kościołem. Nad jakimkolwiek Kościołem.

- Cóż, to jej strata, proszę siostry, jej strata. Nie chcę wracać do rodziny. Nie jestem im potrzebna i tylko mnie denerwują. Poza tym... - Urwała.

- A może masz w Lough Glass jakiegoś młodzieńca? - zapytała ostrożnie matka przełożona.

- Nie, proszę się nie niepokoić, siostrze. Nie. Chciałam tylko powiedzieć, że nie czułabym się dobrze z dala od Kit i Emmeta. Bardzo bym za nimi tęskniła.

- Kit nieźle sobie radzi. Powiedziałabym nawet, że nadspodziewanie dobrze.

- Tak, z całej trójki tylko ona odnalazła spokój ducha. Zupełnie tak, jakby miała jakiś sekret. Może modli się do matki? Myśli siostra, że to możliwe? Matka przełożona nie chciała się zapuszczać w tak daleko idące domysły. Choć rozgłaszanie tego rodzaju przypuszczeń byłoby niewątpliwie grzechem przeciw miłości bliźniego, siostra Bernard należała do pokaźnej

grupki mieszkańców Lough Glass, którzy nie wykluczali, że Helen McMahon targnęła się na swoje życie. A skoro tak, to zważywszy, iż trafiła tam, gdzie zapewne trafiła, trudno było mieć nadzieję, że odpowie na kierowaną do niej modlitwę.

Rozdział piąty.

- Między trzynastym a szesnastym rokiem życia wszystkie są okropne - uspokajała Maura siostrę. - To przez te gruczoły. Natura daje o sobie znać.
- Nikt nie ma takiej natury jak Clio - odparła Lilian. - Zwariuję, zanim to się skończy. Naprawdę zwariuję.
- Nie, nie. Wszystkie dziewczynki są takie. To dojrzewanie. Ich ciała dorosły już do założenia rodziny, do rodzenia dzieci, tymczasem społeczeństwo im na to nie pozwala. To bardzo trudny okres.
- Tego by jeszcze brakowało, żeby zaczęły się rozmnażać! Zresztą to chyba jedyna rzecz, jakiej Clio jeszcze nie zaczęła robić - stwierdziła ponuro Lilian.

Clio po prostu rozsadzało. Tymczasem, o dziwo, Kit, ta półsierota bez matki, ten szalony duch, wieczny narwaniec, nagle się uspokoiła.

Jasnowłosa i urodziwa Clio przyciągała uwagę niejednego chłopaka, ale miała bardzo surowych rodziców. Zakazali jej wszelkich randek aż do ukończenia szkoły. Uważali, że nauka jest najważniejsza, że na zabawę przyjdzie czas później.

Maura przyjeżdżała do nich niemal co weekend. Mówiła, że Dublin leży ledwie o rzut kamieniem od Lough Glass. Uwielbiała ich odwiedzać i z biegiem tygodni, a wreszcie miesiący przyjazdy Maury do Lough Glass stały się zwyczajem. Tak więc utarło się, iż w piątek wieczorem Lilian wydaje gorącą kolację. W soboty zaś grają w golfa. Doktor Kelly nieraz

powtarzał Martinowi, że ćwiczenia fizyczne są czterdziestoparolatki po prostu nieodzowne. Później, tego samego dnia wieczorem, siadali do kolacji w klubie.

233

Martinowi musiano wytłumaczyć, że czasem dobrze jest zostawić dzieci ich własnym rozrywkom. „Jestem przekonana, iż Helen życzyłaby sobie, żebyś rozwijał w dzieciach samodzielność” - powiedziała pewnego dnia Maura i to załatwiło sprawę. Podobało mu się, że Maura wspomina zmarłą żonę w sposób tak naturalny. Ilekroć padało jej imię -jeśli w ogóle padało - większość ludzi natychmiast ściszała głos.

Podczas gdy każda dziewczynka w jej wieku walczyła ze swoją matką, Kit McMahan zawierała coraz bliższą przyjaźń z Leną Gray. Pisane na maszynie listy przychodziły do chatki siostry Madeleine co tydzień, całe strony streszczeń zapamiętanych rozmów i zdarzeń oraz odpowiedzi na kwestie poruszane przez Kit.

Pustelnica zainteresowała się nimi tylko raz. Jeden jedyny raz.

- Długie listy pisze ta przyjaciółka mamy? Kit znieruchomiała.

- Pokazałabym je siostrze, ale... Nie wiem, jak to powiedzieć... To swego rodzaju... Nie, to nie jest żadna tajemnica, ale mam wrażenie, że ona pisze tylko do mnie.

- Ależ, dziecko! Ani przez chwilę nie myśl, że chciałabym wiedzieć, co ta pani pisze. Na pewno opowiada o mamie same miłe rzeczy...

- Cudowne, siostro! Musiały wiedzieć o sobie wszystko. No, ale dużo do siebie pisały. Siostra wie o tym najlepiej, bo przecież listy szły przez siostrę.

Pustelnica bez słowa wbiła wzrok w ogień na kominku.

- Dużo łatwiej mi się teraz o niej myśli - ciągnęła Kit. - To znaczy o mamie. Teraz ją wreszcie znam. Wiem, jaka była, zanim dorosła i w ogóle. Jakbym odkryła jej pamiętnik...

- To prawdziwe błogosławieństwo, Kit - rzekła pustelnica, patrząc, jak polano zajmuje się ogniem.

Lena miała swój rytuał związany z czytaniem listów.

Zawsze czytała je u Ivy, przy stole w kuchni, gdzie nad jej głową zwisały półki i gdzie girlandy pocztówek, makatki, ozdóbki i plakaty zasłaniały każdy skrawek ściany.

234

Sączyła mały kieliszek brandy i przenosiła się w świat podmuchów wiatru nad wodami jeziora, końcowych egzaminów, księdza Baily'ego, który spóźnił się o całą godzinę, bo zapomniał, że czas ucieka...

Czytała o tym, że synkowi wycięto migdałki i że jadł potem tylko galaretkę i lody. Dowiadywała się, że Rita skończyła kurs dla sekretarek, ale na szczęście nie wyjechała do Dublina, tylko dostała pracę na miejscu, w warsztacie Sullivanów naprzeciwko.

Czytała o ludziach, których przez trzynaście lat tak bardzo nie lubiła, a którzy teraz wydawali się jej fascynujący.

Dowiedziała się między innymi, że Hickeyowie przestali ze sobą rozmawiać. Jeśli do sklepu wchodził klient i chciał kupić trzy kotlety z jagnięcia, pani Hickey powtarzała zamówienie głosem świętej męczennicy i dopiero wtedy pan Hickey zaczynał rąbać mięso. Dni, kiedy pani Hickey rozmawiała z mężem, a krzyczała na klientów, odeszły w niepamięć. Kit pisała, że fajniej było teraz podglądać Hickeyów niż się w coś bawić.

Czasami wprost błagała Ritę, żeby pozwolono jej iść po sprawunki do

mięsnego tylko po to, żeby móc na nich popatrzeć.

Pisała też o sympatycznym Philipie O'Brienie i jego antypatycznej matce. I o tym, że Clio wiecznie kłóci się z Lilian, oraz o tym, że wystarczy, by Deirdre stanęła w progu sklepu odzieżowego, a już między nią i panią Hanley wybucha awantura.

Czasami myślę, że gdyby Mama żyła, my też byśmy się z sobą kłóciły. Inaczej byłoby nienaturalnie.

Lenie drżały dłonie, gdy czytała ten fragment. W odpowiedzi rozpisała się na wiele, wiele stron:

Twoja Mama zawsze pisała o Tobie z wielką miłością, Kit, pisała, że jesteś silna i odważna. Nie, nigdy byście się nie kłóciły. Na pewno umiałabyś zobaczyć Ją taką, jaką była naprawdę, umiałabyś dostrzec jej słabości... Nie dokończyła, porwała stronicę. Nie, nie mogła się zdradzić. Tyle lat zachowywała się ostrożnie. Nie mogła tego przekreślić jednym listem.

235

Rita prowadziła księgi Steviemu Sullivanowi.

Jego matce, kobiecie nader swarliwej, wydawało się, że to nie uchodzi. Przecież Rita to tylko kuchenna dziewczka McMahanów z naprzeciwka, a teraz przychodzi tutaj i zadziera nosa. Kathleen Sullivan postanowiła naprawić ten stan rzeczy.

- Cieszę się, że będę widywać cię co rano, Rito.
- Dziękuję, pani Sullivan.
- Wiesz, pomyślałam sobie, że dwa razy tygodniowo zostawię ci trochę rzeczy do przemasowania... - Rita spojrzała na nią grzecznie, ale nie odezwała się słowem. - W wolnej chwili oczywiście.
- Słucham, pani Sullivan?

Kathleen wiedziała, kiedy traci grunt pod nogami. Zaczęła się wycofywać.

- O ile w ogóle znajdziesz wolną chwilę, rzecz jasna.

- Tak, a z tym zawsze krucho, prawda? Pani syn płaci mi za trzy godziny pracy dziennie. Mam nadzieję, że uda mi się w tym czasie uporać z jego księgami i korespondencją. To dla mnie poważne wyzwanie, nie uważa pani?

- A potem wrócisz do zajęć domowych po drugiej stronie ulicy? -
podpuszczała ją pani Sullivan.

Rita udała, że nie zwróciła na to uwagi.

- Zawsze miałam uczucie, że dom McMahonów jest pod wieloma względami i moim domem. Dopóki dzieci nie dorosną, za nic nie zostawię pana McMahona samego.

Peter Kelly spytał Martina w barze Paddlesa, jak idzie Ricie w nowej pracy.

- Chyba całkiem nieźle. - Martin był z niej dumny. - Zaczęła od gruntownych porządków.

- Wiem, wiem, widziałem na własne oczy. Świeża farba, półki, szafki na dokumenty. I to wszystko w starym warsztacie Sullivana! Kto by to pomyślał!

- Powiedziałbym tylko, że ciężko jej z Kathleen.

- Wszystkim z nią ciężko - stwierdził Peter. - Z drugiej strony życie nie obeszło się z nią łagodnie, a do tego jeszcze została sama z tymi dwoma urwipółciami.

- Stevie to całkiem przystojny chłopak, prawda?

- Będziemy musieli trzymać nasze panny pod kluczem,

bo Stevie wie o życiu zdecydowanie więcej niż my w jego wieku.

- Az tego małego Michaela to też lepsze ziółko. Przyłapano go na tym, jak spijał za barem resztki z butelek, on i ten młody Wall. A to smarkacze, no! Peter Kelly nie był tym oburzony tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. Miał wyrozumiały stosunek do tego, co inni mieszkańcy Lough Glass nazywali przestępczymi cechami młodzieży. Nie widział na przykład nic złego w tym, że pewnego letniego wieczoru Clio wybrała się do kina w czarnej atlasowej halce matki. A Lilian? Lilian po dziś dzień chodziła oburzona.

- To prawdziwe błogosławieństwo, że Maura przyjeżdża tu co tydzień - zwierzył się Martinowi. - Gdybyśmy nie mieli w domu gościa, wobec którego należy trzymać fason, Lilian czepiałaby się Clio na okrągło. Martin się rozpogodził.

- Maura jest wspaniałym kompanem. Aż dziw bierze, że znajduje tyle wolnego czasu, by tu przyjeżdżać, ale bardzo lubię jej wizyty.

Peter Kelly sączył piwo w głębokim zamyśleniu. Doskonale wiedział, dlaczego Maura znajduje tyle czasu na przyjazdy do Lough Glass.

Zastanawiał się, czy Martin McMahon kiedykolwiek się domyśli, że to właśnie on jest dla Maury główną atrakcją.

Tymczasem Rita już dawno się w tym połapała. I rozmawiała o tym z siostrą Madeleine.

- Tak mi się wydawało, że może do tego zmierzać - wyznała pustelnica.

- Ale skąd, u licha, mogła siostra o tym wiedzieć? Przecież nigdzie siostra nie bywa. Jak siostra zdobywa te wszystkie wiadomości?

- Nijak. Po prostu czuję to przez skórę.

Siostra Madeleine pamiętała opowieści Kit. Wiedziała, że jej tata weseleje,

gdy do Lough Glass przyjeżdża Maura, a ostatnio w każdy weekend grywa w golfa. O ciotce Anny Kelly mówił też Emmet, który zaglądał do pustelnicy, by czytać z nią poezję. Najwyraźniej Maura też lubiła wiersze i często prosiła go, żeby jej poczytał, bo wciąż zapominała swoich okularów.

237

- Czy to miła kobieta? - spytała pustelnica.
- Moim zdaniem bardzo.
- No to może pan Martin powinien ją zaprosić na kolację, nie sądzisz?
- Zastanawiałam się nad tym. Ale pewnie także państwa Kellych, prawda?
- O tak, sądzę, że tak. Zwłaszcza pierwszy raz.

...i tydzień później zaprosiliśmy państwa Kellych i ciocię Maurę na kolację. To był wariacki pomysł, ale Rita uznała, że Tata za często u nich jada i niczym się nie rewanżuje. Powiedziałam jej wtedy, że Tata zawsze płaci za posiłki w hotelu O'Briena i w klubie golfowym, ale usłyszałam, że Tata ma przecież dom, w którym powinien podejmować gości. No więc tak. Ale nas tam nie będzie. I co Pani na to? Nie będzie tam ani mnie, ani Emmeta, ani Anny, ani Clio. Tylko sami dorośli. Rita zrobi zupełną pieczeń jagnięcą i bitą śmietaną z nasączonymi alkoholem owocami. Będzie też wino. Tata jest wniebowzięty. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Może uzna Pani, że to głupie, ale mam wrażenie, że z naszej strony to zdrada. Bo, widzi Pani, gdy Mama żyła, mogła w każdej chwili przygotować kolację dla państwa Kellych i dla cioci Maury, kiedy by tylko chciała. Mama była fenomenalną kucharką. Wydaje mi się, że to głupie: wysilamy się przygotowując przyjęcie, tymczasem Jej wszystko przyszyłoby jak z płatka. Ale Mama nigdy nie wydała przyjęcia. Może nie lubiła państwa

Kellych? Trudno powiedzieć. Cały czas mam wrażenie, że gdyby ich lubiła, to na pewno wydałaby dla nich kolację...

Lena poczuła, że oczy zachodzą jej łzami. Jak niewiele umykało bystremu umysłowi dziecka! Szczerze mówiąc, ani Kellych lubiła, ani ich nie lubiła. Byli dla niej symbolem tego, co w Lough Glass bezpieczne i nudne. Z całym rozmysłem powstrzymywała się od zbyt bliskiej zażyłości z sąsiadami po to, żeby zachować samodzielność i wolność. Zupełnie tak, jakby przewidywała, że pewnego dnia Louis po nią wróci i ją stamtąd zabierze.

A teraz dziedzictwo obojętności przeszło na niewinne dziecko, które przechowywało dobrą pamięć o matce z taką

238

pieczołowitością, że nie chciało dopuścić do niczego, co by tę pamięć mogło pokalać.

Lena natychmiast zabrała się do pisania.

Nie wiem, czy masz rację w sprawie państwa Kellych. Helen zawsze mówiła o nich jak o ludziach, których darzyła sympatią. Pisała, że łączy Cię burzliwa przyjaźń z Clio: to chcecie być razem aż po grób, to jesteście najzaciętszymi wrogami. Wiem, że Helen nie chciała grać w golfa, ale miewała wyrzuty sumienia, iż tym samym pozbawia tej przyjemności Twojego Tatę. Podobno zachęcała Go, by chodził na golfa bez Niej, lecz On zawsze odmawiał.

To dobrze, że znów zaczął grać. Mam nadzieję, że kolacja się uda. Jaka szkoda, że nie mogę być muchą na ścianie Waszego salonu.

- A co będzie, jak on się kiedyś ożeni? - zapytała pewnego dnia Ivy.

- Kto?

- Twój były. Martin.
- Nie, on się już nie ożeni. - Pytanie bardzo Lenę zaskoczyło.
- Tyle mi naopowiadałaś o swoich ziomkach z Lough Glass, że znam ich lepiej niż własną ciotkę. Ta Maura ciągle się koło niego kręci...
- Z Maurą na pewno się nie ożeni - Lena uśmiechnęła się na tę myśl.
- Niby dlaczego nie? Przecież sądzi, że nie żyjesz. Ma wolną rękę, może się żenić. To byłoby nawet rozsądne.
- Martin nie zachowywał się rozsądnie, gdy w grę wchodziła miłość. Gdyby był rozsądny, od razu ożeniłby się z Maurą i nie byłoby tego całego zamieszania.
- A Kit i Emmet nie przyszliby na świat.
- Może tak byłoby lepiej? Dla mnie i tak żyją w niedostępnym świecie.
- Co się stało, kochana?
- Nie wiem, Ivy. Nie wiem.

Ale dobrze wiedziała.

239

Od pewnego czasu Louis chodził podenerwowany. Już od pięciu lat siedział w jednym miejscu. Zaczynało go nosić. Twierdził, że powinni się ruszyć. Na przykład na południe Hiszpanii.

Ostatnio jeździło tam wielu Brytyjczyków. Kupowali w Hiszpanii udziały w interesach. Louis znał się na tym jak mało kto. Mogliby zarobić naprawdę duże pieniądze. I mieszkać w przyzwoitym klimacie.

- A co wtedy będzie z moją pracą? - zapytała.
- To przecież praca, jakich wiele. Weszłaś do pierwszej lepszej agencji i już w niej zostałam.
- Ty też zostałam w pierwszym lepszym hotelu - odparowała. - Ale oboje

trzymaliśmy się naszej pracy, bo dobrze nam było, bo do czegoś doszliśmy.

- Leno, przecież są miliony takich posad.
- Ale to są nasze posady, Louis, nasze kariery. Jesteś właściwie szefem hotelu, a ja szefową agencji Millara.
- No i co z tego? Nie braliśmy z nimi ślubu.
- Ani ze sobą - powiedziała.

Kwestia małżeństwa stwarzała pewien problem. Oficjalnie Helen McMahon nie żyła. Gdyby Lena poprosiła o swoją metrykę, mogłaby otrzymać świadectwo zgonu. Dlatego wolała nie ryzykować i nie uruchamiać lawiny Bóg wie jakich problemów.

Tak to sobie wytłumaczyli. Ale w głębi duszy Lena poczuła się dotknięta faktem, że Louis przyjął tę decyzję zupełnie spokojnie. Gdyby naprawdę kochał ją tak głęboko, jak twierdził, z pewnością należałoby na ślub bardziej zdecydowanie.

Jessie Park i pan Millar mieli długi romans. Romans dzielnie wspierany przez Lenę Gray. Często jadali we troje sobotni lunch. Lena wstawiała od stołu znacznie wcześniej, przeproszała, że musi już iść, i zostawiała ich, by sobie pogawędzili.

Sobotnie lunchy służyły również podejmowaniu ważnych decyzji firmowych. Lena robiła notatki, które w poniedziałek przepisywała na maszynie. Interes kwitł, myśleli zatem o przyjęciu dodatkowej pracownicy. Kogoś młodego. Młodego i oszalamiająco atrakcyjnego.

240

- Może Dawn Jones? - zaproponowała Lena. - Akurat nie ma niczego na oku. Nie sądzę, żebyśmy mogli znaleźć kogoś bardziej reprezentacyjnego

niż ona.

- Pytanie tylko, czy wydamy się jej dość interesujący? - myślała głośno Jessica. - Ona lubi zaczepić się tam, gdzie dużo się dzieje.

- Przecież u nas dzieje się bardzo dużo - zauważył pan Millar, wyraźnie nie zrozumiawszy uwagi.

- Mężczyźni ciągle ją obmacują i mam wrażenie, że Dawn zaczyna to męczyć - wtrąciła Lena. - Kto wie, może będzie zadowolona, gdy podsunie jej bardziej odpowiedzialne zajęcie.

Dawn Jones była jednym z ich pierwszych sukcesów. Na pierwszej rozmowie wyglądała jak dziwka wybierająca się na obchód Soho: miała ordynarny makijaż, głęboko wycięty sweter i poplamione nikotyną palce. „Żadna z moich sióstr nigdy nie siedziała za biurkiem. Chciałabym móc powiedzieć ludziom, że mam biurową pracę” - błagała.

Jessie i Lenie spodobała się niewinność i zapal Dawn. Poradziły taktownie, żeby ubrała się inaczej, i wysłały ją do salonu Grace West, gdzie zrobiono jej nową fryzurę. Tempo, w jakim Dawn pisała na maszynie, nie pozostawiało nic do życzenia, tak więc nietrudno było umieścić tę śliczną dziewczynę praktycznie w każdym dowolnym biurze. Natomiast wielkim problemem okazało się nakłanianie jej pracodawców i kolegów do tego, by trzymali ręce przy sobie. Widok Dawn - nawet w schludnym, skromnym bliźniaku i w bladoniebieskiej spódnicy - musiał sugerować niecodzienne przeżycia i przygodę.

Przez krótki czas pracowała w hotelu „Dryden”, w gabinecie dyrektora Williamsa. Louis twierdził, że, owszem, jest śliczna, ale głupia. W zasadzie nie miał jej nic konkretnego do zarzucenia, lecz utrzymywał, iż nie jest osobą, której można by powierzyć przekazywanie wiadomości czy

napisanie sprawozdania. Dawn odeszła z hotelu po trzech miesiącach, a James Williams zatrudnił sympatyczną sekretarkę w średnim wieku, macierzyńską i sprawną, czyli jak dla niego aż za dobrą. Wystawił Dawn doskonałą opinię,

241

lecz gdziekolwiek dziewczyna poszła, historia się powtarzała - Dawn była zbyt seksowna, by traktowano ją poważnie?

Lena zastanawiała się, czy nie przemawia to na ich korzyść. Młode dziewczęta uwielbiały kogoś naśladować, z kimś się utożsamiać. Ona i Jessie miały ułożone życie, były już za stare do tej roli. Gdyby jednak młode panny ujrzały w agencji Dawn Jones, mogłyby pomyśleć, że praca sekretarki jest znacznie bardziej atrakcyjna, niż to sobie dotąd wyobrażały. Jim Millar przyklasnął pomysłowi. Od razu zrozumiał, w czym rzecz. Jessie zaś natychmiast przyklasnęła jemu. Rozpoczęto pertraktacje z Dawn.

- Nie jestem pewna, pani Gray. Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. Poważnie myśli pani, że się nadaję? - Dawn rozejrzała się nieufnie po biurze.

- Odmładzamy personel, Dawn. Zaprosimy dziennikarzy i fotoreporterów. Pełna gala.

Lena wiedziała już, że wygrała bitwę. Natychmiast rozesłała wici do miejscowych gazet i informatorów handlowych wraz z opisem nowej pracownicy i wiadomością, iż panna Dawn Jones zrezygnowała z pracy w agencji modelek wyłącznie po to, by zasilić zespół Jima Millara. Agencja modelek stanowiła zaledwie krótkie interludium w życiu Dawn, interludium, nad którym Dawn nie chciała się zbyt długo rozwodzić.

Wyglądało na to, że istnieje wiele definicji „pozowania”. Niemniej hasło „modelka” budziło wielkie zainteresowanie prasy.

A jeśli reporterzy zajrzą do biura, aby zrobić Dawn zdjęcie, chciał nie chciał, będą musieli wspomnieć i o agencji Millara, agencji, która przykłada wagę nie tylko do szybkości pisania na maszynie i stenografowania, ale i do dbałości o wygląd zewnętrzny i prezencję. Taka reklama wzbudziłaby błyskawiczny oddźwięk i zaowocowała o wiele większą liczbą klientów zainteresowanych usługami agencji.

Jessie i Jim promienieli ze szczęścia.

- Idzie nam tak świetnie, że aż nie mogę uwierzyć - Jessie nie posiadała się z radości.

- Cóż ja bym bez was zrobił, dziewczęta? - Jim Millar patrzył na nie obie z nie skrywaną dumą.

242

- Myślisz, że Jim mnie lubi? - spytała Jessie szeptem, kiedy Millar wyszedł.

- Naturalnie, oczywiście - uspokajała ją Lena.

- Chciałabym wiedzieć, co robić, jestem taka zielona w tego rodzaju sprawach. Ty, Leno, na pewno wiedziałabyś, jak się zachować.

- Nie, ja też jestem w tym beznadziejna - odparła Lena. Zdawało się jej, że mówi najszczerzą prawdę. Sama nie miała pojęcia, jak radzić sobie z namiętnością, którą do niedawna darzył ją Louis. Za tę wiedzę dałaby wszystko.

- Ale ty... ty wyglądasz tak wspaniale, masz niesamowicie przystojnego męża. Zastanawiałam się, po czym się zorientowałaś, co ci podpowiedziało, że... - Blade, niewinne oczy Jessie patrzyły na nią z

nadzieją.

- Wydaje mi się, że Jim Millar nie należy do mężczyzn podejmujących spieszne decyzje, ale gdy już je podejmie, to zawsze z dobrym skutkiem - odrzekła.

- A jeśli wcześniej pojawi się ktoś inny? - Jessie zagryzła dolną wargę.

- Nie, w jego przypadku nic takiego nie może się zdarzyć. Wierz mi.

I Jessie jej uwierzyła, bo Lena powiedziała to bardzo autorytatywnie.

Biedaczka, gdyby tylko wiedziała - myślała Lena - gdyby tylko wiedziała, do kogo zwraca się po radę w sprawach miłości i małżeństwa...

Dawn rozkoszowała się popularnością.

- Oddała mi pani wspaniałą przysługę, pani Gray - przyznała. - Szczerze mówiąc, polubiłam pracę wśród kobiet. Nie sądziłam, że tak będzie.

Kobiety są rozsądniejsze od mężczyzn, nie uważa pani?

- Niektóre na pewno - przytaknęła Lena, powściągając uśmiech. Dawn okazała się strzałem w dziesiątkę. Wprowadziły nawet jej nazwisko do biuletynu informacyjnego tylko po to, żeby wykorzystać jej zdjęcie.

Lena była tak dumna z ostatnich osiągnięć, że po prostu musiała opowiedzieć o tym Louisowi. Co prawda wciąż był w nie najlepszej formie psychicznej, ale przynajmniej przestał mówić o Hiszpanii.

- Poświęcasz agencji wiele wysiłku - zauważył.

243

- Ty też się nie obijasz. Tacy już jesteśmy. - Usiadła na podłodze i położyła mu głowę na kolanach. Uwielbiała wspólne wieczory. Małe, obskurne mieszkanko nie wydawało się jej wtedy ani małe, ani brzydkie.

- I po co to wszystko? Zaharowujemy się na śmierć, żeby mieszkać w takiej norze?

- To nie jest nora - zaprotestowała oburzona Lena.
- Trudno by to nazwać Camino Real - odrzekł ze ściągniętymi goryczą ustami. Bawił się jej włosami, bezwiednie oplatając je wokół palców. Louis lubił dotykać. Nie należał do mężczyzn, z którymi rozmawia się przez stół. Zawsze kładł dłoń na jej ramieniu, na szyi albo głaskał ją po policzku.
- Co to jest Camino Real?
- Nic takiego... Mógłby się tak nazywać hotel w Hiszpanii, gdzie bez trudu dostalibyśmy pracę. - Milczała. - Bez trudu... - powtórzył, patrząc na nią błagalnie swymi dużymi, ciemnymi oczyma. Poczwała, że ogarnia ją panika. Wiedziała, iż musi zrobić wszystko, byleby tylko uciec od tematu Hiszpanii. Chętnie zrezygnowałaby dla Louisa ze wszystkiego innego, ze spraw znacznie ważniejszych. Kit mogłaby pisać do niej do dowolnego miejsca na świecie. Lena łatwo by to zorganizowała, rzecz nie stanowiła najmniejszego problemu. Problem polegał na tym, że gdyby Louis zdecydował się na wyjazd do Hiszpanii, musiałby jechać sam. Lena nie dostałaby paszportu. Bo Lena Gray po prostu nie istniała.
- Myślisz, że powinniśmy się upić? - spytała Clio.
- Teraz? - Szły do szkoły na kolejną powtórkę. Ostatnie tygodnie przed egzaminami były naprawdę zwariowane.
- No, może nie w tej chwili, ale jak najszybciej. Tego jeszcze nie robiłyśmy.
- Jak najszybciej, to znaczy kiedy? - dociekała Kit. - Zawracamy do Paddlesa? A może idziemy do „Centralnego”, aby poprosić O'Brienów o kilka koktajlów przed lekcjami?
- Ty wszystko potrafisz wyszydzić - utyskiwała Clio.

- Nieprawda - zaprotestowała rozsierdzona Kit. -

244

Jestem gotowa spróbować wszystkiego i dobrze o tym wiesz. Ale uchlać się tuż przed egzaminami? Nie, myślę, że to najgorszy z możliwych momentów. A gdybyśmy tak od razu wpadły w nałóg, jak te stare dziady z załzawionymi oczami i czerwonymi nosami, oczekujący, aż Foley otworzy knajpę?

Clio zachichotała. Kit potrafiła być bardzo zabawna. Ale potrafiła też wybuchnąć gniewem i obrazić się nie wiadomo o co. Niektóre tematy działały na nią jak czerwona płachta na byka. Clio bardzo chciałyby wiedzieć, czy Kit nie uważa, że ciocia Maura zaręczy się w końcu z jej ojcem - Kit miałyby wtedy macochę, one zaś zostałyby kuzynkami.

Zzerała ją ciekawość, jednak zdawała sobie sprawę, iż zadając to pytanie, wkroczyłyby na pilnie strzeżony teren.

Bardzo też chciałyby wiedzieć, czy Martin McMahon i ciocia Maura, hm... czulili się jak zakochani. No i czy po ewentualnym ślubie robiliby ze sobą te rzeczy. Najlepsze przyjaciółki rozmawiały o tych sprawach zupełnie swobodnie, ale w rozmowach z Kit McMahon istniało wiele zakazanych tematów.

- Byłeś kiedyś pijany? Ale tak zupełnie pijany, tak do utraty przytomności? - zapytała Kit Steviego Sullivana.

- Co? - Wyglądał przystojnie nawet w brudnym kombinezonie i z twarzą uwalaną smarem. Ale był człowiekiem zupełnie nieodpowiedzialnym, wszyscy o tym wiedzieli.

- Bo próbowałeś prawie wszystkiego. Clio i ja chciałybyśmy się upić po egzaminach i pomyślałam sobie, że mi coś podpowiesz. Na przykład, co

powinnyśmy kupić, żeby nie było za drogie, żeby szybko podziało i żebyśmy się po tym nie za bardzo pochorowały.

- Źle trafiłaś. Nie wiem.
- Na pewno wiesz - Kit nie dawała za wygraną.
- Słowo daję, że nie wiem. Dość się na to napatrzyłem, kiedy byłem dzieckiem.

Kit zapomniała. Ogarnął ją wstyd. Zapomniała o Sullivanie-alkoholiku, który w ataku pijackiego delirium widywał wyłazące ze ścian zwierzęta i rozmaite stwory. Mimo to postanowiła nie przeproszać. Nie zносиła, kiedy ludzie zagalopowywali się, opowiadając, że ktoś się utopił albo

245

zagiął bez wieści, a potem, strasznie zmieszani, gryźli się w język.

Konsternacji i przeprosin nie lubiła bardziej niż samej gafy.

- Tak, to chyba ma sens - skonstatowała trzeźwo.
- Dla mnie tak, ale nie dla Michaela. On zlizalby wodę nawet z brudnej pięty, jak powiadają.
- Boże, cóż za ludzie tak mówią? - Kit aż się zachnęła.
- Ludzie z samych dołów, panno McMahan, ci, z którymi przestaję - odrzekł Stevie i odszedł.

Między siostrą Bernard i bratem Healym zawsze istniała rywalizacja w kwestii poziomu świadectw ukończenia szkoły. Wyniki egzaminów były publikowane w miejscowej gazecie, więc każdy mógł je sobie obejrzyć i porównać. Brat Healy zawsze twierdził, że los faworyzuje siostrę Bernard. Dziewczynki miały w programie bardzo łatwe przedmioty, jak na przykład rysunki i prace ręczne. Dzięki temu podopieczne siostry Bernard mogły bez trudu wykazać się zastraszającą liczbą dobrze zaliczonych

przedmiotów i zdobytych nagród.

Mimo to zakonnice uparcie twierdziły, że mają znacznie cięższe zadanie. Otóż wielu małorolnych farmerów pragnęło tylko jednego: żeby ich córki opanowały podstawowe umiejętności przydatne żonie rolnika. Nie podobało im się, że dziewczęta uczą się łaciny i francuskiego. Woleliby, żeby uczyły się, jak wyrabiać masło czy hodować drób, i pod wieloma względami mieli rację. Po cóż rozbudzać ambicje w dziewczynie, która z rodzinnego domu miała przenieść się do podobnego gospodarstwa w sąsiedniej parafii?

- Spodziewa się brat dobrych ocen na tegorocznych egzaminach? - spytała uprzejmie matka przełożona, skrywając ciekawość. Była ogromnie zainteresowana, na jakie wyniki może liczyć w tegorocznym współzawodnictwie.

- Mam samych matołów - odrzekł brat Healy. - Matołów, tępaków i baranie głowy. Za to siostra ma pewnie samą śmietankę?

- Niestety, obawiam się, że to tylko puste skorupy, bracie Healy. - Na wierzchu skorupa, a w środku jedno wielkie nic. Nic i jazz.

246

- Przyznaję, że jazz istotnie ich wszystkich rozprasza - rzekł zakonnik. Choć dobrze znali młodzież z Lough Glass, o jej muzycznych upodobaniach wiedzieli niewiele. Jazz nie był już wrogiem, który niszczył poprzednie pokolenie. Dźwięki pobrzmiewające w sercach miejscowej młodzieży stanowiły zapowiedź ery rock and rolla.

* * *

- Peter, porozmawiasz z Clio?

- Nie, Lilian. Szczerze mówiąc, nie chcę.

- Pięknie. Nie chcesz porozmawiać z własną córką.
- Tak, to moja córka, moja własna córka, ale prosisz mnie, żebym z nią rozmawiał tylko wtedy, kiedy dzieje się coś niedobrego i trzeba ją ukarać. A tak się akurat składa, Lilian, tak się akurat składa, że miałem kiepski dzień, dzień wręcz koszmarny. I nie będę dzisiaj rozmawiał ani z moimi córkami, ani nawet z żoną. Idę do Paddlesa na piwo z moim przyjacielem Martinem. Czy to jasne?
- No cóż, przepraszam, że w ogóle żyję. Że prowadzę ci dom, że pilnuję twoich córek, które wyrastają na kryminalistki.
- A niech sobie wyrastają. Kiedy zobaczą, że nie ma w tym przyszłości, na pewno się opamiętają.

Peter Kelly wyszedł z domu. Wiedział, że przestępstwo Anny wiązało się z kosmetykami i perfumami. Podejrzał, iż Lilian miała pretensję do Clio o to, że przekłuła sobie uszy bez jej wiedzy. Trywialne, wprost niewiarygodnie trywialne. Wypadł z domu jak burza i spiesznie podążył w stronę oazy prywatności i spokoju, to znaczy do pubu Paddlesa. Tak się jednak złożyło, że tego dnia nawet u Paddlesa nie zaznał wytchnienia. W rogu sali śpiewał pan Hickey.

- John, nieraz ci mówiłem, że tu nie opera - przywoływał go do porządku Paddles.
- Daj spokój, Paddles. Nie rozpoznałbyś gmachu opery nawet wówczas, gdybyś przed nim stanął.
- Ja stoję za barem, John. Co więcej, ja ten bar prowadzę

247

i zapowiadam ci niniejszym, że jeśli natychmiast nie przestaniesz wyć, nie dostaniesz u mnie ani kieliszka.

- Wyrzucasz mnie? Czy mnie uszy zawodzą, czy też słyszę, że mnie wyrzucasz? Chcesz wyrzucić z tej żalostnej knajpy mnie, Johna J. Hickeya, koncesjonowanego rzeźnika?!

- Uszy masz w porządku, John - odparł Paddles.

- Poczytuję to sobie za zaszczyt, że drzwi do takiej speluny będą przede mną zamknięte. I będę ten zaszczyt obnosił z całą godnością. - Chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. - To chluba nie pić z szumowinami, które tę norę odwiedzają. - Hickey uśmiechnął się przyjaźnie do sąsiadów, przyjaciół i zwykłych klientów, po czym wyszedł na świeże powietrze, które miało mu towarzyszyć w drodze do baru Foleya.

Martin i Peter wymienili spojrzenia.

- Dobra robota, Paddles - pochwalił Peter.

- Nie może go pan porządnie nastraszyć, doktorze? Nie może mu pan powiedzieć, że niedługo siądzie mu wątroba? Bo pewnie i siądzie.

- Nie mogę, Paddles. Widywałem go tu codziennie od niepamiętnych czasów i nie mam do tego prawa. Ty chyba też nie, bo sprzedawałeś mu alkohol. Żyjemy na dziwnym świecie, gdzie nikt nie ponosi za nic odpowiedzialności.

Paddles mruknął coś pod nosem i poszedł obsłużyć klienta po drugiej stronie barowej lady, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła pani Hickey z tacą w ręku. Na tacy leżało coś w najwyższym stopniu niepokojącego.

- Co to jest, pani Hickey? - spytał zatrwożony Paddles.

- Przecież to głowa owcy, Paddles. Pomyślałam sobie, że zechcesz ją sobie obejrzyć, ty i twoi klienci.

Przez salę przetoczył się niespokojny pomruk. Bar był niski, ciemny i

bardzo surowy w wystroju. Z pewnością nie było to miejsce, gdzie zaglądają damy, nie wspominając już o damach z owczą głową na białej rzeźniczej tacy.

- Hm, no tak... Dziękuję, pani Hickey, bardzo pani dziękuję.

248

- Przejdę się z nią po sali, żeby każdy mógł się napatrzeć - oświadczyła. W jej oczach błyszczało szaleństwo. Nikt nie chciał jej zdenerwować, czy choćby tylko wdać się z nią w rozmowę. Wszyscy oglądali łeb owcy, kiwali głowami i wydawali z siebie niewyraźne pomruki aprobaty. - Tak właśnie wygląda John, kiedy co wieczór wraca stąd do domu. Ma ten sam wyraz i kolor twarzy. Pomyślałam sobie, że pozbawić was tego miłego widoku to grzech.

- Hm, Johna akurat tu nie ma... - zaczął niepewnie Paddles. - Ale jak tylko go zobaczymy, to... - reszta zdania rozplynęła się w powietrzu.

- Nie warto mu o tym mówić - odparła wyniośle. - Chciałam tylko, byście mieli świadomość tego, co się dzieje.

- Dziękuję, pani Hickey - rzekł poważnie Paddles, dając wszystkim do zrozumienia, że przedstawienie dobiegło końca.

- Zamieniłbyś Lough Glass na inne miejsce na ziemi? - zapytał Petera Martin, kiedy pani Hickey i jej taca wybyły z baru.

Peter Kelly miał najświętszy zamiar zaatakować społeczność, w której żyli, ludzi, którzy mówili mu, że śmierć dziecka jest najlepszym wyjściem, tak, tak, najlepszym, bo przecież nie miało ojca. Oburzało go, że bogobojną moralność można aż tak przeinaczyć, że można twierdzić, iż śmierć bękarta jest lepszym rozwiązaniem niż wychowanie go w miłości w jakiejś maleńkiej górskiej wiosce. Ale miał przed sobą Martina

McMahona, człowieka beztroskiego i pokojowo nastawionego do świata, dla którego wszystko w Lough Glass było zabawne i cudowne. Nie, nie mógł zadrećzać go swym bólem.

- Masz rację, Martinie - powiedział z wysiłkiem. - Mamy w Lough Glass wszystko prócz cyrku z trzema arenami. Maura twierdzi, iż tu jest więcej życia niż w całym Dublinie.

Kit wróciła do domu i zastała Ritę bielącą podwórko.

- Pomóc ci? Masz drugą szczotkę?

- Może byś się raczej nauczyła?

- O Boże, Rito, ty też? Czekaj, zacznę od drugiego końca.

249

- Najpierw ściągnij szkolny mundurek. - Kit natychmiast się rozebrała, zostając tylko w staniku i w majtkach. Rita parsknęła śmiechem. - Nie to miałam na myśli. Chciałam, żebyś włożyła na siebie coś starego.

- A po co? Zanim dojdę na górę, zanim się przebiorę i zejść na dół, skończysz całą robotę. Poza tym kto mnie tu zobaczy? Chyba tylko Farouk.

Stary kocur spoglądał na nią sennie i obojętnie. Niełatwo było obudzić w nim ciekawość.

Pokryte szarymi zaciekami mury przeszły na ich oczach szybką transformację. Podwórze pojaśniało i wyglądało pogodnie jak przed rokiem, zanim oszpeciły je sine liszaje wilgoci.

- Wiesz, czasem nie rozumiem, po co zadajemy sobie tyle trudu - stwierdziła Kit. - Przecież mur znowu poszarzeje, a i tak nie zauważy tego nikt oprócz nas.

- Twoja mama zawsze powtarzała, że od wyglądu ważniejsza jest sama

dbałość - odparła Rita.

- Naprawdę? - Kit na chwilę odłożyła szczotkę.

- Tak. Mówiła, że powinniśmy być dumni z domu wyłącznie dlatego, że jest naszym domem, a nie dlatego, że sąsiedzi widzą coś czy nie widzą.

- Mama lubiła ładne otoczenie, prawda?

- Tak, lubiła.

- Szkoda, że nie miała ogrodu takiego jak u Kellych. Z jednej strony ulica, a z drugiej łyse podwórko. Musiało jej być ciężko.

- Mówiła, że jej ogrodem jest jezioro - odparła Rita. Nie była zażenowana swymi słowami. Nie zastygła bez ruchu i nie zakryła dłonią ust, jakby nagle przypomniała sobie, iż Helen McMahan się utopiła. - Mówiła, że nikt nie ma piękniejszego ogrodu przed domem.

- Tego zamiłowania po niej nie odziedziczyłam. W nosie mam otoczenie - oznajmiła Kit.

- Poczekaj, aż zamieszkasz w swoim własnym domu, wtedy pogadamy - odrzekła Rita. - A teraz lepiej się ubierz, zanim sierżant O'Connor przeskoczy przez mur, żeby aresztować cię za obrazę publiczną.

250

Lena rozejrzała się po malutkim mieszkanku, próbując zachować obiektywizm. Dlaczego Louis nazwał je norą? Dlaczego twierdził, że po tylu latach harówki nie mają się czym pochwalić?

Kamienica Ivy prezentowała się znacznie lepiej niż wówczas, kiedy w niej zamieszkali. Odmalowano ją od zewnątrz i naprawiono metalowe balustrady. Tyle balustrad zniknęło z londyńskich kamienic w czasie wojny. Zostały zerwane i przetopione na stal w ramach akcji wspomaganie obronności kraju, a Lena dowiedziała się o tym dopiero teraz. W hallu

leżała dywanowa wykładzina, wyreperowano też poręczę przy schodach. W gruncie rzeczy jedynym mieszkaniem, które nie przeszło kapitalnego remontu, było mieszkanie Leny i Louisa.

Upiększyli je sami. Ozdobili obrazami, dywanikami i makatkami. Lenie wydawało się rajem, miejscem, gdzie oddawała się namiętnej miłości z mężczyzną stanowiącym oś jej życia, miejscem, w którym przygotowywała mu drobne posiłki, rozmawiała z nim i obserwowała przez okno niebo Londynu. Każdy kątek mieszkania tchnął wolnością. To prawda, było małe, ale i tak nikogo nie zapraszali, bo nikogo zapraszać nie chcieli. Louis pracował do późnej nocy. Zostawał w pracy coraz dłużej. Wszędzie było tak samo: jak tylko człowiek zdobywał odpowiedzialne stanowisko, życie prywatne przestawało istnieć.

Ale Lena uwielbiała tę małą dziupelkę. Uwielbiała nienamolną przyjaźń Ivy Brown. Wiedziała, że nigdy nie znajdzie powiernicy, z którą tak radośnie dzieliłaby się swymi korespondencyjnymi sekretami. Swoją ulicę też uwielbiała, bo tuż za rogiem, przy pierwszej przecznicy, mieściła się agencja Millara. Dzięki temu Lena mogła wpaść do domu choćby w przerwie na lunch, podłożyć Louisowi kwiat, list miłosny albo lepką bułeczkę z migdałami, by na niego czekały, gdy wróci wcześniej z dyżuru. Louis też to miejsce ukochał. Chodzili razem po sklepach w poszukiwaniu krzyzących barwami narzut. Przy okazji kupili lustro z cherubinkiem, który wyglądał tak niezmiernie dekadentcko. Dlaczego więc nazwał ich mieszkanie norą, koczowiskiem, dlaczego twierdził, że nie mają nic, czym

251

mogliby się pochwalić? Lubił Ivy, a i do stacji metra miał niedaleko. Może mieszkanie nie odpowiadało jego wyobrażeniom o życiu w Londynie?

Fakt, nie mieli łazienki. Ale... ale gdyby tak zwolniło się jedno z sąsiednich mieszkań, gdyby tak... Gdyby.

Niemądrze było tak myśleć. Większość lokatorów kamienicy urządziła się tu na stałe. Lena nie mogła ścigać niedościgłych marzeń.

Jakiś Bóg jednak istniał. Bóg, Opatrzność czy coś w tym rodzaju. Trzy dni później Ivy powiedziała jej, że Nowozelandczycy z drugiego piętra się wyprowadzają.

- Mówią, że tęsknią za krajem. - Ivy potrząsnęła głową. - Nie wierzę, że można za czymś takim tęsknić. - Tak czy owak zapłacili jej za następny miesiąc i spakowali manatki. - Możesz pomóc mi przy wyborze nowych lokatorów - zaproponowała. - W końcu będą waszymi sąsiadami. Pewnie chciałabyś, żeby można się było z nimi dogadać, co?

- W jakim zostawili je stanie? - zapytała Lena.

- Sama zobacz. - Ivy wzięła z półki klucz i poszły na górę.

Mieszkanie miało wysoki sufit i wielkie okna. Nie, tego apartamentu Louis Gray nie mógłby skreślić, nie mógłby nazwać go norą. Zwłaszcza gdyby należycie je umeblować.

- Jaki jest czynsz? - zapytała.

- Nic ci nie proponowałam, bo myślałam, że zbieracie na coś własnego.

- Nie, nie, nic podobnego. - Lena nie chciała zdradzić się przed Ivy, że zaoszczędzili bardzo niewiele, bo wydawali prawie wszystkie zarobione pieniądze. Gdyby chciała wynająć nowe mieszkanie, musiałaby żyć z ołówkiem w ręku. Ale warto było.

- On już wie? - zapytała Ivy.

- A skąd! Sama dowiedziałam się o tym dziesięć sekund temu.

- No to pozwól, że zanim go tu przyprowadzisz, trochę je odświeżę.

- Co chcesz zrobić?

252

- A co byś ty zrobiła? - Oglądały mieszkanie i głowy pękały im od pomysłów. - Może Ernest podeśle mi kilka dziewczyn z pubu, tych co to je browar zatrudnia. One i tak podłapują sześć fuch naraz.

- Może by tak wstawić do sypialni dużą szafę?

- Żeby było gdzie zawiesić garnitury pana Louisa i ustawić jego eleganckie kamasze? - droczyła się z nią Ivy.

- Ani słowa na Louisa.

- Gdzież bym śmiała - odrzekła Ivy. - No dobra, daj mi tydzień, a potem zaproszę was na oglądanie mieszkania. Wtedy zdecydujecie. Jeśli zmienicie zdanie, nie szkodzi. I tak znajdę chętnych.

- Na pewno bardzo mu się spodoba - powiedziała Lena ożywiona nadzieją. Perspektywa przeprowadzki rozwieje jego marzenia o Hiszpanii. Przynajmniej na jakiś czas.

I rzeczywiście. Nowe mieszkanie niezmiernie mu się spodobało. Nie mógł się wprost nacieszyć wielkością pokoi, okien i wysokością sufitu, który jak powiedział Ivy, nadaje całości znacznie lepsze proporcje - lepsze niż te w hotelu „Dryden”. Porwał Lenę do walca w pustych pomieszczeniach, wykrzykując, że wreszcie mają przestrzeń, żeby żyć tak, jak należy żyć w Londynie. I kupił butelkę szampana, którego wypili we troje, wznosząc toasty za nowe mieszkanie.

- Nie mogę się już doczekać przeprowadzki - powiedział. Był ożywiony i rozochocony jak dziecko. Obchodził mieszkanie dokoła, dotykał ścian, klamek, muskał je niemal pieszczotliwie. - Nareszcie widać, że awansujemy - oznajmił, radosny jak szczygieł.

W Scarborough miała się odbyć konferencja dla hotelarzy.

- Zawsze chciałam tam pojechać - powiedziała Lena.
- Wszystko ci opowiem.
- To... nie pojedę z tobą? - Już miała wziąć kilka dni wolnego.
- Niestety, współmałżonków nie zapraszają.
- W takim razie wszystko mi opowiesz - rzekła z promiennym uśmiechem.

253

W Selfridges, gdzie dobierała materiał na zasłony do nowego mieszkania, przypadkiem spotkała Jamesa Williamsa.

- Więcej złota i szafiru dla agencji? - Pamiętał.
- Nie, ciekawi mnie tylko, co tu mają.
- Bardzo ładnie wyglądasz - zauważył. Zawsze patrzył na nią łasym okiem.
- Dziękuję, James - w odpowiedzi na komplement posłała mu zdawkowy uśmiech.
- Baw się dobrze w Scarborough.
- Ty też tam będziesz? - zapytała, czując, że gardło ściska jej lodowata obręcz.
- Nie. Niestety nie mam wymówki. Owszem, trochę tam konferują, ale przede wszystkim jest to krótki urlop dziękczynny za ciężką orkę w pogańskich godzinach. Panowie będą mieć okazję, żeby porządnie zabawić swoje damy i nie trzymać się przy tym za portfel.
- Wszystkie żony tam jadą?
- O tak, nie przegapiłyby takiej okazji. Mimo to baw się dobrze.
- Dziękuję - odrzekła i oparła się o ladę, żeby nie stracić równowagi.

Pewnie wszystko to sobie tylko wymyśliłam, ale mam wrażenie, że Tata i ciocia Maura mają się ku sobie. Wiem, że to staromodne określenie, ale inne nie przychodzi mi do głowy. I nie mam komu o tym opowiedzieć.

Byli razem na kilku kolacjach w hotelu O'Brienów. Philip mówił mi potem, że siedzieli bardzo blisko siebie, ale Philip ciągle mówi, że ktoś tam z kimś blisko siedział. On myśli tylko o jednym.

Myśli Pani, że w ich wieku mogą jeszcze poważnie myśleć o ślubie?

Wiem, że Tata nigdy się nie ożeni, nie porozmawiawszy przedtem z nami, ale bardzo chciałabym wiedzieć, co Pani o tym sądzi.

Tym razem odpowiedź nadeszła błyskawicznie. List musiał nadejść pocztą zwrotną. I był bardzo krótki.

Kit, powiedz mi szczerze: myślisz, że Maura uszczęśliwi

254

Twego Tatę? Miał ciężkie życie. Zasluguje na szczęście. Napisz mi również, czy widok obcej kobiety w sypialni Waszej Mamy nie będzie dla Ciebie i dla Emmeta nazbyt przykry. Kiedy się tego dowiem, powiem Ci, co o tym sądzę.

Kit odpisała:

Skąd Pani wiedziała, że Mama miała osobną sypialnię? Nigdy o tym nie pisałam. Nie wierzę, że Mama mogła Pani o czymś takim powiedzieć.

Proszę mi to wytłumaczyć.

Lena chodziła po biurze jak lwica. Nie powinna tak szybko odpowiadać na listy Kit. Nigdy. W pośpiechu popełnia się błędy. Ale nic się nie stało.

Umiała tę kwestię wyjaśnić.

Bardzo bystra z Ciebie obserwatorka, Kit!

A jednak Twoja Mama mi o tym napisała. O osobnym pokoju. Źle spała,

gdy w sypialni był ktoś jeszcze. Nie musiała mnie prosić, żebym zachowała to dla siebie, bo i tak z nikim o Niej nie rozmawiałam. Korespondencja, jaką z sobą prowadziłyśmy, była naszym sekretnym życiem i w pewnym sensie przypominała to, co robimy teraz Ty i ja. Inni mogą uznać, iż to smutne, nawet żalosne. Inni, ale nie ja. Mam nadzieję, że Ty również nie. Twoja Mama podzielała mój pogląd. Nie masz pojęcia, jak bardzo czułam się osamotniona, kiedy przestałam dostawać od Niej listy. Napisz, że to rozumiesz.

Rozumiem. Nie wiem tylko, dlaczego twierdzi Pani, że o śmierci Mamy dowiedziała się Pani z gazet. Przecież musiała Pani wiedzieć od razu, jak tylko Mama przestała pisać.

Napisałam tak tylko w pierwszym liście, żebym mogła Ci się jakoś przedstawić. Nie wiedziałam, czy zechcesz ze mną korespondować, bo ze względu na lojalność wobec Mamy mogłaś nie życzyć sobie, żebym do Ciebie pisała. Nie chciałam Ci wtedy mówić, że utrzymywałyśmy stały kontakt.

255

To wszystko jest takie zagmatwane. Jest Pani bardzo tajemnicza. Nic o Pani nie wiem, zupełnie nic. A Pani wie o mnie wszystko. Czy opowiadała Pani o sobie mojej Mamie? Czy Mama zniszczyła Pani listy? Po Jej śmierci nie znaleziono żadnej korespondencji. Nic, co wskazywałoby na Pani istnienie.

Wyjaśnię Ci wszystko, co Cię tylko zainteresuje. Zrób listę pytań, a ja spróbuję na nie odpowiedzieć.

Wiedziała, że to ryzykowne. Za bardzo zagłębiała się w szczegóły. Będzie musiała wymyślić historię życia Leny, przeszłość, która nie istniała. I bała

się ewentualnych pytań.

Ale jak się okazało, żadne pytania nie padły. Zupełnie tak, jakby Kit uznała, że niegrzecznie byłoby je zadać. Zdarzyło się za to coś zdecydowanie boleśniejszego, coś, czego Lena nie przewidziała. Kit zachowała się wobec przyjaciółki zupełnie naturalnie: zaprosiła ją do Irlandii.

Czy może Pani przyjechać do nas w odwiedziny? Przecież ma Pani mnóstwo pieniędzy. Gdyby chciała Pani zachować wizytę w tajemnicy, zawsze może się Pani zatrzymać w hotelu O'Briena.

Jednak z rozmaitych powodów Kit miała nadzieję, że Lena nie przyjedzie. Spotkanie mogło ją rozczarować. Lena Gray długo mieszkała w Anglii - kto wie, czy nie nabrała śmiesznego akcentu robotniczych dzielnic wschodniego Londynu. Może wcale nie rozmawiałoby się z nią tak sympatycznie, jak się korespondowało?

Ale sytuacja stawała się coraz głupsza - jeśli Lena była w wieku mamy, musiała mieć teraz czterdzieści kilka lat i naprawdę była już za stara, żeby otwierać serce przed nastolatką z Irlandii i rozpisywać się o wydarzeniach z zamierzchłej przeszłości. Robiła co prawda wrażenie kobiety zupełnie normalnej i miała podobno męża hotelarza. Pracowała w dużej agencji pośrednictwa pracy, czy coś w tym rodzaju. I mieszkała w kamienicy pani Ivy Brown.

Może należała do kobiet w stylu pani Havisham? Tak

256

czy inaczej, jeśli Lena Gray tu przyjedzie, Kit przekona się o tym osobiście.

Droga Siostrze Madeleine!

Niemal od pięćdziesięciu lat jest już Siostra moją skrzynką kontaktową. Pragnę Siostrze podziękować za Jej dyskrecję i takt. Kit McMahon wypowiada się o Siostrze z wielkim szacunkiem i oddaniem, dlatego pozwalam sobie zwrócić się do Siostry z przeogromną prośbą. Kit zaprosiła mnie do Lough Glass. Z rozmaitych powodów nie chcę skorzystać z tego zaproszenia. Nie byłoby to korzystne ani dla niej, ani dla nikogo innego. Nie myślę w tym przypadku o sobie. Proszę mi wierzyć, że naprawdę chodzi mi o innych. Z tego, co Kit mi o Siostrze pisała, wiem, że Siostra zawsze potrafi rozwiązać problemy pozornie nierozwiązywalne. Gdyby zdołała Siostra przekonać Kit, iż spotkanie w Lough Glass, czy gdziekolwiek indziej, nie jest najlepszym pomysłem, na zawsze pozostałabym wielką dłużniczką Siostry.

Nie chcę tworzyć sznureczka kłamstw. Wiem, że Siostra uwierzy moim zapewnieniom, iż tak będzie dużo lepiej.

Z wyrazami szacunku, zrozpaczona

Lena Gray.

Moje Drogie Dziecko!

Zawsze uważałam, że świat wyobraźni bardzo cierpi, gdy mieszać go ze światem rzeczywistym. Oba te światy mogą istnieć obok siebie. Nic nie stoi na przeszkodzie, by życie toczyło się równoległymi ścieżkami, ścieżkami, które nigdy się z sobą nie skrzyżują. Życzę Ci szczęścia, spokoju i wiary w to, że masz tu przyjaciół, że miałaś ich tu zawsze.

Z poważaniem, w Jezusie Chrystusie,

Madeleine.

- Ona wie, prawda? - Lena podała list Ivy.

- Chyba tak - odparła Ivy. - I co teraz?
- Nikomu nie powie. Tego jestem pewna.
- Flirtujesz z Philipem O'Brienem?
- O Boże, Clio. Że też właśnie ty musisz być moją przyjaciółką! Wciąż ci powtarzam, iż z nim nie flirtuję. Cokolwiek by to znaczyło.

257

- On się wiecznie tu kręci, snuje się i snuje - narzekała Clio.
- W końcu to małe miasteczko.
- Całowałaś się z nim?
- Och, dajże wreszcie spokój!
- Przysięgałyśmy sobie, że nie będzie żadnych tajemnic. Ja ci opowiedziałam o zabawie w butelkę na przyjęciu.
- Ja ci też o wszystkim opowiadałam. Rzecz w tym, że nie mam nic więcej do powiedzenia.
- To znaczy, że Philip cię jednak całował, ale nie możesz mi powiedzieć, bo się kochacie, tak?

Kit nie mogła się opanować i zachichotała.

- Nie o to chodzi - odrzekła. - Niby mnie pocałował, ale chybił, bo nie zorientowałam się, co chce zrobić, odwróciłam głowę i trafił w brodę. On przeprosił mnie, ja przeprosiłam jego i spróbowaliśmy jeszcze raz, ale wyszło niezręcznie. Teraz już wiesz wszystko. W szczegółach. I daj mi wreszcie spokój.
- Kiedy to było? - Clio nie była usatysfakcjonowana.
- Och, Clio, w zeszłym tygodniu...
- I nie pisnęłaś słówka!
- Za to powiem ci coś innego. Stevie Sullivan ma nową dziewczynę.

- Nie gadaj! - Clio była zainteresowana i rozczarowana zarazem.
- Tak. Amerykankę, która zatrzymała się w hotelu O'Brienów. Jej rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu swych korzeni. Starzy siedzą cały czas na cmentarzu, tymczasem ona zajrzała na drugą stronę ulicy i poznała Steviego Sullivana.
- No jasne!
- Philip mówi, że dziewczyna wygląda szalowo. No i słuchaj. Pewnego dnia Stevie przyszedł po nią do hotelu, a wtedy ona powiedziała rodzicom, że idą razem na spotkanie z grupą przyjaciół po drugiej stronie jeziora, i starzy ją puścili! Oczywiście żadnego spotkania nie było. Stevie wyciął niezły numer.
- Ona i tak niedługo stąd wyjedzie - stwierdziła ponuro Clio. - Jak tylko jej starzy odnajdą te swoje korzenie,
258
uciekną stąd gdzie pieprz rośnie. I Stevie Sullivan będzie się musiał pożegnać z nową przyjaciółką.
- Dziś po południu mamy kolejną gadkę o perspektywach zawodowych - jęknęła Kit.
- Hm, beznadziejnie - zawtórowała jej Clio. - Pewnie muszą nam powiedzieć, na co możemy liczyć.
- Na nic poza pracą pielęgniarki i nauczycielki, a i to tylko wtedy, gdy dostaniesz nakaz.
- Nie cierpię ani pracy w szpitalu, ani w szkole - oświadczyła Clio.
- Przeorysza na głowie staje, żeby namówić cię na medycynę - zauważyła Kit.
- Tylko po to, aby się potem chwalić, że absolwentka przyklaszkowej

szkoły została lekarką. No i po to, żeby zmusić mnie do siedzenia nad książkami przez następne siedem lat.

- Więc co chcesz robić?

- Studiować, żeby dostać bakalarat. Ciocia Maura twierdzi, iż to dobry start.

- A gdzie meta?

- Mam nadzieje, że w ramionach bogatego męża.

- Nieprawda, to by ci nie wystarczyło.

- Fakt. Musiałby jeszcze być męski i doświadczony. Nie chcę, żeby przy pocałunku pudłował i walił mnie nosem w brodę.

- I dziwisz się, że nikt ci o niczym nie mówi?

- Stałaś się wyjątkowo tajemnicza - skonstatowała Clio, mrużąc oczy.

- O co ci chodzi tym razem?

- Po pierwsze, bywasz sama u siostry Madeleine.

- Mhm.

- Po drugie, szturchacie się nosami z Philipem. No i często znikasz, aby się po kryjomu uczyć.

- Uczę się, to prawda. I na wszelki wypadek przypominam ci, że już za trzy miesiące matura.

- Teraz też się uczysz?

- Tak.

- Przecież nie masz żadnych książek, tylko same kartki...

259

- Robię notatki.

- Zaraz sprawdzimy. - Clio wyrwała jej płaską teczuszkę i rozpięła suwak.

Wewnątrz zobaczyła kopertę z naklejonym znaczkiem i do połowy

napisany list. - Wcale się nie uczysz, tylko piszesz listy... miłosne listy!

- Oddaj mi to - Kit pobladła ze złości.

- Najpierw sobie poczytam...

- Oddaj to, Clio - powtórzyła Kit. Clio zaczęła czytać:

- „Najdroż...” Zaraz, czekaj, nie widzę, co dalej... Kit rzuciła się na nią z krzykiem.

- Jesteś samolubna i zachłanna! Nie masz manier, nie wiesz, co to przyzwoitość!

- Nie mam manier, nie wiem, co to przyzwoitość! - szydziła Clio, wymachując wysoko uniesionym listem.

W tym samym momencie Kit grzmotnęła ją nieoczekiwanie w żołądek.

Clio złamała się wpół, zabrakło jej tchu. Kit chwyciła list i wybiegła z klasy.

W korytarzu spotkała przeoryszkę.

- Damom nie przystoi tak biegać, Mary Katherine.

- Wiem. Bardzo przepraszam, siostrze. Biegłam do biblioteki, żeby zrobić sobie powtórkę.

- Świetnie. Jednak wystarczy iść szybkim krokiem. Nic ci nie dolega? Jesteś jakaś rozpalona.

- Nie, nie, nic mi nie jest, proszę siostry - odparła Kit i szybko uciekła, nie dając przeoryszce szans na odkrycie kłamstwa i zadawanie dalszych pytań.

- Emmet, zanieś Kellym wiadomość ode mnie?

- Nie.

- Zapłacę.

- Ile? Trzy pensy?

- Pensa.

- Za pensa nie pójde.
- Jesteś potworem, najprawdziwszym potworem.
- Dobra. W takim razie się wypchaj.
- Tyle dla ciebie robię! - Kit była urażona.
- Na przykład co?
- Na przykład cię ochraniam.

260

- Niby przed kim?
- Przed ludźmi. Żeby na ciebie nie krzyczeli.
- Nie zalewaj, Kit. Wcale mnie nie ochraniasz. Ludzie zawsze na kogoś krzyczą.
- Mówię o tobie same miłe rzeczy. I nawet ładnie o tobie myślę.
- No i dobra, przecież nie jestem taki zły. Dlaczego miałabyś na mnie wygadywać?
- Wszyscy wygadują na rodzeństwo. A ja nie.
- Niby kto wygaduje?
- Clio. I Stevie. Patsy Hanley obsmarowuje Deirdrę.
- Hm... - Emmet wzruszył ramionami, jakby było zupełnie oczywiste, że wymienieni przez siostrę znajomi dźwigają ciężki krzyż.
- W porządku. Bądź sobie tak samo wstrętny jak oni. Myślałam, że jesteś wyjątkowy.
- No dobra. Co miałbym zanieść?
- Wiadomość dla Clio.
- Ale dlaczego sama nie pójdziesz? Przecież już dawno wydeptałyście ścieżkę między naszymi domami.
- Przestałyśmy ze sobą rozmawiać.

- Aha, mam zanieść propozycję traktatu pokojowego, tak?
- Wcale nie. Napisałam jej, że jest potworna i że wtyka swój straszny nos w nie swoje sprawy.
- To tylko pogorszy sprawę - rzucił filozoficznie Emmet.
- Owszem, ale jest mi wszystko jedno. Jeśli o mnie chodzi, gorzej już być nie może.
- I tak pójdziesz ją przeprosić. Albo ona przyjdzie przeprosić ciebie.

Wszystko będzie dokładnie tak jak przedtem.

- Nie tym razem.
- Zawsze tak mówisz - przypomniał jej Emmet. - Ty wybaczysz jej, ona wybaczy tobie i przez jakiś czas będzie jak dawniej.

Zastanowiła się nad tym. Emmet miał rację. Do tej pory tak zawsze było. Ale nie, nie tym razem. O nie. Niewiele brakowało i Clio poznałaby sekret.

Z głupiej chęci zrobienia jej na złość Clio omal nie odkryła, że to Lena, przyjaciółka mamy, była nadawczynią

261

i adresatką listów. Gdyby się o tym dowiedziała, byłoby po wszystkim. Kit nie potrafiła tego sobie wytłumaczyć, lecz czuła, że korespondencję z Leną należy utrzymywać w tajemnicy. Żałowała, iż Lena nie wymyśliła sensowniejszego wytłumaczenia - nie mogła przyjechać do Lough Glass, ale to, co jej napisała, wydawało się Kit bardzo dętą wymówką.

- No i co teraz? - Emmet rozważał, czy nie spuścić z tonu i nie przyjąć niższej zapłaty.

Ale życie okazało się pełne niespodzianek.

- Zaraz ci powiem - odparła pogodnie Kit, biorąc go pod ramię. - Kupię ci lody, chcesz?
- A co będę musiał za to zrobić?
- Nic. Zupełnie nic. Wystarczy, że przyznasz, iż w tej części kraju nie ma lepszej siostry ode mnie.
- Chyba rzeczywiście nie ma - odrzekł Emmet po namyśle. I szybko pobiegli do sklepu, bo Kit mogła się jeszcze rozmyślić.
- To ty, kochanie? - Louis dzwonił do agencji.
- We własnej osobie - odpowiedziała wesoło.
- Pamiętasz, mówiłem ci o tej konferencji...
- Tak, pamiętam. - Zastanawiała się, czy powiedziała to w miarę naturalnie. Może się zdradziła, że od tygodni o niczym innym nie myśli?
- Zmienili zasady.
- To znaczy?
- Możemy zabrać z sobą żony, przyjaciółki, kochanki, i tak dalej. - Zapadła długa cisza. - No więc?
- No więc co, Louis?
- Czy to nie wspaniałe? Pakuj manatki i jedziemy na bal.
- Nie mogę.
- Co takiego?!
- Nie mogę, kochanie. Dobrze o tym wiesz. Obiecałam Jessie, że posiedzę w weekend przy jej mamie i będę mieć oko na biuro. Nie, mam za dużo klientów. Nie mogę wziąć wolnego.
- Coś takiego już nigdy się nam nie trafi! Nie możesz odrzucać takiej okazji!

- Gdybym wiedziała wcześniej, na pewno zdążyłabym wszystko zorganizować.
 - Dowiedziałem się o tym przed chwilą, do cholery! Tak bardzo chciałyby pojechać pociągiem do Yorkshire, w dodatku na koszt hotelu. Zabrałyby z sobą mapę i odgadywałyby nazwy mijanych po drodze miejsc. Po raz pierwszy od chwili poronienia i od tej strasznej wyprawy do Brighton zatrzymałyby się w hotelu. Mieliby dla siebie czas, czas na rozmowy i na odpoczynek. Mogłyby się dla niego stroić i być szczęśliwa. Mogłyby jaśnieć na tle innych kobiet, a on chodziłby dumny jak paw. Bolesny ucisk w żołądku wreszcie by ustąpił, bo Louis by jej pragnął. Nie przerywała dzielącej ich ciszy.
 - Zastanawiasz się, czy co? - warknął.
 - Dlaczego nie zaproponowałeś mi tego wcześniej?
 - Ponieważ wcześniej o tym nie wiedziałem - wyjaśnił jak niedorozwiniętemu dziecku.
 - James Williams wiedział od dawna.
 - To znaczy?
 - Spotkałam go. Spytał, czy jadę z tobą do Scarborough. Powiedziałam, że żony nie są zaproszone, a on na to, iż jego zdaniem są.
 - I miał rację! - wykrzyknął triumfalnie Louis. - Od samego początku twierdził, że właśnie tak powinno być.
- Lena poczuła się bardzo zmęczona. Co zrobiłaby inna na jej miejscu? Co zrobiłaby kobieta sprytniejsza? Rzuciłaby wszystko i wyjechałaby z Louistem, by szturmem odzyskać jego serce? A może dałaby się prosić, może zmusiłaby go, żeby się bardziej postarał?
- Nie mogę, Louis. - Sądząc, iż spędzi weekend samotnie, zaplanowała

sobie mnóstwo zajęć i miała wypełnioną niemal każdą chwilę. Teraz z gorzką ironią uświadomiła sobie, że nie może się z nich wycofać. Liczyło na nią zbyt wiele osób. Louis był przekonany, iż jest obrażona i robi mu na złość. Doszła do wniosku, że nie będzie go ani przeproszać, ani zbytnio się przed nim tłumaczyć. Tak, to najlepsze wyjście. Da mu do zrozumienia, iż żałuje straconej okazji. To powinno wystarczyć. - Zapraszam cię na lunch, co ty na to?

- Sam nie wiem. Skoro masz czas, żeby wałęsać się po

263

restauracjach z takimi facetami jak ja, dlaczego nie masz czasu na wyjazd do Scarborough?

- Bo nie spodziewałam się, głuptasie, że będziesz mógł mnie zabrać. Daj spokój, lepiej chodźmy na lunch, jak na filmach. - Wreszcie go namówiła. Ale kiedy siedziała w biurze i przyglądała się swemu odbiciu w lusterku puderniczki, z przerażeniem stwierdziła, iż wygląda straszliwie staro. Zobaczyła napiętą twarz, trwałe zmarszczki na czole. Włosy wydały jej się zupełnie matowe, a oczy pozbawione życia. Nic dziwnego, że zaprosił do Scarborough inną. Kogoś, kto w ostatniej chwili wystawił go do wiatru. Nie, nie. Nie może tak myśleć. Zrobiłaby z siebie ponurą heterę.

- Jessie - powiedziała nagle i wstała. - Muszę załatwić kilka spraw. Do zobaczenia po lunchu.

Wiedziała, że jej głos brzmi chropowato i piskliwie. Dawn i dwie inne asystentki spojrzały na nią w zdumieniu. Pani Gray zawsze mówiła łagodnie i elegancko przeplýwała z miejsca na miejsce. Nie chwytiała nerwowo torebki i nie wybiegała z biura, jakby ją ktoś gonił.

Dawn patrzyła za nią zdziwiona.

- Co się jej stało?

Jessica nie lubiła biurowych plotek, zwłaszcza plotek dotyczących Leny.

- Zajmij się pracą, Dawn V- rzuciła surowo. Jednak w gabinecie szefa wyznała Millarowi, że jej zdaniem Lena za dużo pracuje.

- Kiedy wychodzimy, opiekuj się mamą. Pilnuje robotników, tych stolarzy, których gdzieś wytrzasnęła. Namówiła dziewczyny na pracę po godzinach, żeby zdążyć na poniedziałek z nowymi katalogami. Sama nie wiem...

- Co pomyśli sobie ten jej przystojny mąż, jeśli będziemy trzymali ją tutaj dniami i wieczorami?

- Chyba wyjeżdża na jakąś konferencję.

- Może właśnie to tak ją rozdrażniło?

- Grace, dasz radę mnie wcisnąć?

- Jasne. Chodź do ostatniego stanowiska. - Grace wyjęła szampon.

264

^-|--

-

- Nie, nie, nie ty, ty jesteś szefową. Myślałam o którejś z dziewcząt...

- Wszystkie są zajęte, z czego się bardzo cieszę. - Śpiewny głos Grace zawsze brzmiał pogodnie i wesoło, a przecież Lena wiedziała, jak jej ciężko. Mężczyzna, którego Grace kochała, miał żonę i dwoje dzieci z dwiema różnymi kobietami. Nigdy się o nich nie mówiło.

- Czuję się pod psem. Wyglądam staro, jestem smutna i nikomu niepotrzebna.

- Może raczej zmęczona? - podsunęła Grace.

- Obie dobrze wiemy, co znaczy „zmęczona”. - Roześmiały się. Używały tego eufemizmu w rozmowach ze starzejącymi się kobietami.

- Coś w pracy? - spytała Grace, masując jej głowę silnymi palcami.
- Nie - mruknęła w ręcznik Lena, pochylając się nad umywalką. - W pracy wszystko toczy się samo.
- Tak, mam to samo uczucie. Śmieszne, co? Mężczyźni tak się nad tym unoszą. Dla kobiet takich jak my praca to pestka. Betka.
- On kogoś ma - powiedziała Lena. Wyprostowała się i z ręcznikiem na głowie spojrzała w lustro.
- Niemożliwe. To niemożliwe.
- Jestem tego pewna.
- Zrobię ci okład z gorącej oliwy, włosy nabiorą blasku. I wymyślę ci nowy makijaż.
- To mi go nie wróci.
- Może jeszcze go nie straciłaś?
- Nie, myślę, że już za późno. Wiesz, jak to jest. Wyczuwasz pismo nosem.

Grace wtarła jej we włosy ciepłą oliwę i zawiązała na głowie turban z suchego ręcznika.

- Powiedział ci, że kogoś ma?
- Ale skąd!
- No to...
- Nie pytałam - wyznała Lena.
- No jasne - Grace uśmiechnęła się.
- Ale nie mogę przestać o tym myśleć. Myślę o tym bez przerwy, praktycznie wszędzie: w domu, w pracy, w łóżku,

265

nawet tutaj. I dowiem się. Nie będę mogła spać, dopóki się nie dowiem.

- Widać, że ostatnio nie sypiasz - Grace dotknęła sińców pod oczami Leny.

Lena miała ochotę przytulić się do niej i wybuchnąć płaczem. Ale zakład był miejscem publicznym, ona zaś miała za sobą lata treningu w ukrywaniu uczuć.

- Pomyśl o czymś miłym. O czymś, co ma dla ciebie wartość stałą i prawdziwą...

- Moja córka.

Grace spojrzała na nią zaskoczona. Odkąd się poznały, nigdy nie rozmawiały z sobą o dawnym życiu Leny. Tylko Ivy знаła jej historię.

- Ile ma lat? - spytała łagodnie.

- Niedługo skończy siedemnaście.

- Wspaniały wiek. Siedemnastolatki są takie cudowne. Dogadujesz się z nią?

- Niebezpośrednio.

- Jak to?

- Ona myśli, że ja nie żyję - odpowiedziała Lena i zamyśliła się. Czy ktokolwiek na świecie czuje się równie samotny jak ona?

- No, no, wyglądasz przebojowo - powiedział jej w restauracji.

I rzeczywiście wyglądała wspaniale. Grace dokonała cudu.

- Wyjeżdżasz, muszę utrwalić ci się w pamięci - odparła z uśmiechem.

- Szkoda, że będzie mi towarzyszył tylko twój obraz.

- Ja też tego żałuję, ale przecież to tylko jeden weekend... Będą następne.

- Skoro już wyszło tak, jak wyszło, za wszelką cenę chciała podkreślić dobre strony tego rozwiązania.

Nie odrywał od niej oczu, czuła to, choć na niego nie patrzyła.

- Wyglądasz tak młodo - powiedział.
- Dziękuję, Louis.
- Napijmy się wina i chodźmy do domu. Co ty na to?

266

- Co? Przecież dopiero usiedliśmy!
- Za parę minut będziemy na miejscu. Nie mogę wyjechać na dzikie pustkowie, zostawiając w domu nie dokończone sprawy.

Pragnął jej, teraz jej pragnął. Wciąż potrafiła go podniecić, obudzić w nim pożądanie. Uśmiechnęła się.

- Hm, zaproponowałam wspólny lunch, jak to robią na filmach, ale ciąg dalszy podoba mi się jeszcze bardziej - odparła i wyszli z restauracji.

Biegli ulicą jak para nastolatków i jeśli nawet Ivy słyszała, jak wpadają do domu, nie wyszła im na spotkanie. W mieszkaniu objął Lenę i mocno przytulił.

- Na całym świecie nie znalazłbym wspanialszej kobiety - szepnął. - Boże, tak bardzo cię chcę. Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo cię pragnę...

Później pomagała mu spakować walizkę.

- Jestem niezwykle wyrozumiałym mężczyzną - powiedział, gdy składała jego koszule.

- A to niby dlaczego, szanowny panie Gray? - Robiła wszystko, by się śmiać i wyglądać na szczęśliwą. Nie mogła dopuścić do tego, by wyjechał ze wspomnieniem nadętej i obrażonej kobiety.

- Moja żona nie chce towarzyszyć mi w podróży, co znaczy, że odmawia wypełnienia swych obowiązków, swych małżeńskich obowiązków.

Uśmiechnął się do niej znad walizki. Gdy to zobaczyła, omal nie pękło jej serce.

- Ale przecież ja nie jestem twoją żoną.
- A czyja to wina? Jestem chyba jedynym mężczyzną na świecie związanym z kobietą, która oficjalnie nie żyje. Gdybym tylko mógł, ożeniłbym się z tobą choćby jutro. Dobrze o tym wiesz.
- Tak sądzisz? - Nie mogła się powstrzymać.
- Hm, skoro jeszcze tego nie wiesz, to już nigdy nie będziesz wiedziała. -
Sięgnął na półkę, gdzie trzymał bieliznę, i wyjął złożone spodenki, podkoszulki oraz skarpety. Dwie paczki prezerwatyw ostentacyjnie zostawił w szafie.
- Skoro ze mną nie jedziesz, nie mam po co ich brać - oświadczył.

267

- Chyba nie - roześmiała się.

Lecz czuła, że jest to śmiech sztuczny i pusty. Po drodze z Londynu do Scarborough było mnóstwo drogerii i aptek, gdzie mógł kupić kondomy. Zastanawiam się, co będziesz robiła po skończeniu szkoły. Sądzę, że myślę o tym, ponieważ pracuję w agencji pośrednictwa pracy. Dziewczeta mają trudny start, gdyż nikt nie udziela im fachowych porad dotyczących wyboru zawodu. Niewiele o tym piszesz, a bardzo bym chciała poznać Twoje plany.

Nie wiem, czy chciałabyś zostać w aptece Taty, czy może wstąpić na uniwersytet.

Nie spodziewała się tak szybkiej odpowiedzi.

To zabawne, iż pytasz o to akurat teraz, bo właśnie doszłam do wniosku, że bardzo chciałabym pójść do szkoły hotelarskiej. Widzę w tym wiele plusów i minusów. Moje podstawowe wątpliwości wiążą się z Philipem O'Brienem. Pisałam Ci o nim. Jest bardzo miły, ale lubi mnie chyba

bardziej niż ja jego. Nie należę do dziewcząt szczególnie lubianych, więc jego sympatia jest bardzo miła. Nie chciałabym jednak stwarzać wrażenia, iż zapisuję się do szkoły hotelarskiej przy Cathal Brugha Street wyłącznie po to, żeby być koło niego.

Philip często powtarza, że moglibyśmy zarządzać hotelem w Lough Glass, ale szczerze mówiąc, gdybyś ten hotel zobaczyła, wolałabyś chyba wejść w spółkę z Drakulą i zarządzać jego zamkiem.

Znam ten hotel - myślała ponuro Lena - znam. I w życiu nie słyszałam trafniejszego opisu.

Twój Mąż pracuje w hotelu. Jak sądzisz, mogłabym do Niego przyjechać na letnią praktykę? Gdybyś tylko zechciała się za mną wstawić...

268

Przez jakiś czas siedziała z listem w ręku. Przyszła jej do głowy groteskowa myśl, że Louis, zupełnie nieświadom faktów, może zacząć romansować z jej własną córką. Z piękną ciemnowłosą dziewczyną o roztańczonych oczach. Z jej własną, prawie siedemnastoletnią córką, prawdziwym trofeum dla każdego mężczyzny, który uznał, że powoli zaczyna się starzeć. Cóż to za okrutny los, cóż to za fatum: dopuścić do sytuacji, gdy ten sam mężczyzna uwodzi matkę i córkę, gdy i dla matki, i dla córki jest pierwszym kochankiem.

Nie, Kit nie mogła przyjechać do Londynu. Nigdy. Nie mogła się z nią spotkać. Znała tylko adres i nazwisko Ivy. Na drzwiach mieszkań nie było żadnych tabliczek, które pozwoliłyby jej odnaleźć mieszkanie państwa Grayów, gdyby mimo wszystko znalazła się tutaj. Nie znała nazwy agencji Millara. Nie miała pojęcia, w którym hotelu pracuje Louis, bo nazwa „Dryden” nie pojawiła się w żadnym liście.

Nazwisko Louisa oczywiście znała, ale nie wiedziała nic więcej. Problem w tym, Kit, że tu się wszystko zmieniło. Zmieniło się całe hotelarstwo. Louis nie ma dyplomu, nie ma żadnych dokumentów poświadczających wykształcenie w tym kierunku, dlatego przechodzi do innej pracy: do marketingu. Uważa się, że ta dziedzina ma przyszłość. Aktualnie przebywa w Scarborough, gdzie próbuje tę przyszłość jakoś ułożyć, dlatego nie będzie ci pomocny. Wyznam Ci przy okazji, że bardzo za nim tęsknię. Weekend bardzo mi się dłuży...

Kit przeczytała list. Przeczytała go kilka razy. I już nie miała wątpliwości, że Lena i Louis się pokłócili. Niewykluczone, że są w separacji, może nawet wezmą rozwód. W końcu mieszkają w Anglii, a tam zdarzają się takie historie.

Żałowała, że nie ma telefonu Leny. Zadzwoiłaby do niej i powiedziała kilka krzepiących słów. Tylko cóż właściwie mogłaby powiedzieć Lenie prawie siedemnastoletnia panna Kit McMahon, która przygotowuje się do złożenia egzaminu końcowego w szkole? Kit, która wie o mężczyznach

269

tylko tyle, że ma już dość pocałunków Philipa O'Briena. I to właśnie ona? Ona miałaby podtrzymać na duchu kogoś takiego jak Lena Gray, kogoś tak pewnego siebie, kobietę prowadzącą wielką agencję pośrednictwa pracy, żonę przystojnego męża?

Lena wiele razy dawała jej do zrozumienia, że Louis jest przystojny. Pisała na przykład, iż kupił sobie nową marynarkę, napomykała, że świetnie wygląda za kierownicą pożyczonego samochodu, wspominała o smokingu, który wkładał na oficjalne przyjęcia. Kit wiedziała, iż Lena Gray też jest piękna. Nie miała wątpliwości, że Louis musi mieć piękną żonę.

W sobotę Lena grała w remika z panią Park.

- Chciałabym mieć więcej partnerów do gry. Dni są takie długie.
- W takim razie dlaczego nie chce się pani zapisać do świetlicy, o której pani mówiłam? Jest tam jadalnia, gdzie podają lunche, więc do domu wraca się dopiero pod wieczór. Mogłaby pani grać w karty całe popołudnie.

Czy to tylko wyobraźnia, czy pani Park naprawdę słuchała jej z wyraźnym rozmarzeniem?

- Hm, pożyjemy, zobaczymy - oznajmiła wreszcie.

- To zupełnie nie w pani stylu, pani Park. Jest pani kobietą szybkich decyzji i na pewno już coś pani postanowiła.

- Leno, ty nic nie rozumiesz, bo nie masz dzieci. Jestem potrzebna Jessie. Ona uwielbia wracać do domu choćby po to, żeby podać mi obiad.

Dopasowuje do tego rozkład całego dnia. Gotowa pomyśleć, że już jej nie potrzebuję...

- Hm, nie byłabym tego taka pewna - odrzekła Lena. - Z tego, co słyszę od Jessie, wiem, że bardzo by się ucieszyła, gdyby miała pani swoje życie i swoje zajęcia.

- A co by się wtedy stało z życiem Jessie?

- Gdybym wiedziała, że ma pani zajęcia, mogłabym zadbać o to, aby częściej bywała w towarzystwie. Nie chcę jej nigdzie zapraszać, wiedząc, iż Jessie czuje się zobligowana do powrotu do domu.

- Nie jestem przekonana, czy masz rację - powątpiewała pani Park.

270

- Wydaje mi się, że mam, choć nigdy nie wiadomo. Może więc zechce to pani sprawdzić? Może spróbuje jej to pani zasugerować, kiedy wróci do

domu?

- Naprawdę myślisz, że mogłabyś zmusić ją do częstszego bywania między ludźmi?

- Tak, pani Park, na pewno.

- Masz bardzo dobre serce, Leno, lecz nie rozumiesz więzów łączących matkę i córkę. Każda matka chce być zawsze najbliższa swojej małej córeczce. Jest tak od chwili, kiedy dziecko przyjdzie na świat. I nic tej więzi nigdy nie zniszczy.

- Z całą pewnością, pani Park - odparła Lena, uśmiechając się z trudem. Ivy poruszyła zasłonę. Lena zatrzymała się przed drzwiami.

- Jak tam, Florence Nightingale? W porządku? Zajrzysz do mnie na plotki?

- Nie musisz mnie pocieszać - odparła Lena.

- Nie, moja ty egoistko, nie muszę. Ale może chciałabym, żebyś ty pocieszyła mnie.

- Ja ciebie! - Lena wzniosła oczy do nieba.

- Tak, ty mnie. - Ivy ściągnęła usta w cienką linię. Choć raz to ona była w ponurym nastroju. Lena weszła do środka i usiadła. - Chodzi o Charlotte - powiedziała Ivy.

- Charlotte? Co znowu? - Lena nie miała do niej cierpliwości. Charlotte była niczym pies ogrodnika: nie zależało jej na Ernestcie, mimo to nie chciała go nikomu oddać.

- Już po niej. Ma raka, ot co.

- Nie!

- Tak. Ernest mi powiedział. Wyszedł godzinę temu. Wstąpił do mnie w drodze ze szpitala. Ona już tam zostanie, Leno.

Lena patrzyła na Ivy pustym wzrokiem. Był to jeden z bardzo nielicznych momentów, kiedy nie wiedziała, co powiedzieć. Chciałaby się cieszyć, że ta nieznana kobieta, która zagradzała Ivy drogę do szczęścia, zniknie z powierzchni ziemi. Ale nie umiała czerpać radości z faktu, że ktoś jest śmiertelnie chory.

271

- Gdzie ma tego raka?

- Wszędzie.

- Będą operować?

- Nie ma po co.

- Jak Ernest to przyjął?

- Trudno powiedzieć. Głównie milczał. Powiedział tylko, że chce u mnie posiedzieć. Prawie nie rozmawialiśmy. - Ivy spojrzała na nią żałośnie, zaczerwienionymi od płaczu oczyma. - Wiesz, Leno, siedzę tu tak i myślę, że chyba już nic z tego nie wyjdzie. - Lena spojrzała na nią zaskoczona. Nie rozumiała, co Ivy ma na myśli. - Już za późno. Za długo czekaliśmy.

- Przecież byliście sobie tacy bliscy! Prawie w każdy piątek...

- Chyba się tylko oszukiwaliśmy, Leno. Kiedy Charlotte odejdzie, wszystko się skończy. Sama się przekonasz.

- Nie. Niby do czego miałabym się przekonać? Co za bzdurne powiedzenie!

- To tylko słowa - odparła Ivy. - Wy, Irlandczycy, też mówicie mnóstwo słów, z których połowa nie ma najmniejszego sensu.

- W takim razie co chciałaś przez to powiedzieć? - spytała Lena łagodniej.

- Chyba to, że nasz układ trwał wyłącznie dlatego, iż był układem niemożliwym - odrzekła Ivy z bolesnym wyrazem twarzy. - Natomiast

teraz, kiedy ta parszywa choroba może wszystko odmienić, Ernest wieje ode mnie jak oparzony.

- Posłuchaj, to przecież oczywiste, że Ernest jest zdenerwowany. Czuje się winny. Odczuwa ulgę i ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Miotają nim sprzeczne uczucia, dlaczego wybrałaś akurat najgorsze z nich?

- Jeśli kocha się kogoś od tak dawna, czyta się w nim jak w otwartej księdze.

- Ale czasami można źle zinterpretować tekst - zauważyła Lena.

Sama też mogła się mylić. Mogła sobie ubzdurać, iż Louis interesuje się inną, że zaprosił tę kobietę do Scarborough i że w ostatniej chwili zostawiła go na lodzie. W końcu taką wersję też należało rozważyć.

272

A wczoraj po południu, zanim wyjechał? Był taki kochany. Taki ożywiony na myśl o nowym mieszkaniu. I tak ją zapewniał, że będzie tęsknił, że bez niej nie zaśnie. Przecież niewykluczone, iż z przemęczenia dopatruje się zagrożeń tam, gdzie ich nie ma.

Może ktoś z zewnątrz potrafiłby ocenić to lepiej? Tylko kto? Na przykład Grace.

- A nie przyszło ci do głowy, że mówił prawdę? - spytała Grace. - Może po prostu nie wiedział, iż żony są także zaproszone?

- Nie, o tym nie pomyślałam - odpowiedziała Lena. - Co najlepiej dowodzi, jak bardzo mu nie ufam.

Grace próbowała dać jej nadzieję, którą Lena od siebie odpychała.

Teraz z kolei ona chciała zaszcześcić nadzieję w Ivy. Usiłowała przekonać przyjaciółkę, że miłość jej życia nie poszła na marne.

- Wiesz, kobiety są cudowne. Szkoda, że to nie one rządzą światem.

- Kiedy właśnie rządzą - odparła Ivy głosem, w którym pobrzmiwały wesołe nutki. Przyjaciółka wracała do formy.

W niedzielę rano Lena wstała z bólem głowy. Z jakąż rozkoszą budziłaby się w Scarborough w ramionach Louisa! Jakich to określeń użył James Williams mówiąc o tej konferencji? Krótki urlop dziękczynny za ciężką orkę w pogańskich godzinach. Rozrywka dla żon, i to w miłym otoczeniu. Chyba szaleju się napiła. Kto jej kazał wynajdywać sobie tyle zajęć! Musiała doglądać pani Park, pilnować stolarzy, których porwała z pubu Ernesta. Mieli dopeścić wystrój agencji i ich nowego mieszkania u Ivy. Chyba zwariowała, proponując dziewczętom dodatkową zapłatę za przyście do firmy w niedzielę, żeby w poniedziałek rano biuro błyszczało jak nowe.

Miała wrażenie, że dzień nigdy się nie skończy. Wciąż o czymś rozmyślała. Na przykład o tym, co porabiają mieszkańcy Lough Glass w to słoneczne sobotnie popołudnie. Teraz wiedziała o Lough Glass znacznie więcej niż wówczas,

273

gdy tam mieszkała. Na podstawie listów od Kit mogłaby napisać powieść o ludziach z małej społeczności znad brzegu jeziora. Myślała o Jessie i o Millarze. Może podczas tego weekendu podejmą wreszcie wiążące decyzje? To znaczy może Jim je podejmie, bo Jessie jest już zdecydowana, i to od dawna. Myślała też o Ivy, o jej miłości do dziwnego, mrukowatego Ernesta. Myślała o nieznaney kobiecie imieniem Charlotte, która leżała w szpitalnym łóżku, gdzie miała zakończyć życie. Czy Charlotte wierzy w Boga i w to, że Bóg zabierze ją do nieba?

Czy ludzie w ogóle wierzą w Boga?

Ot, choćby Martin McMahon, za którego niewzruszoną wiarę we wszechmogącego Boga dałaby kiedyś głowę - przecież ten człowiek rozważa możliwość bigamicznego małżeństwa z Maurą Hayes!

I dobrze wie, że Lena żyje. Wie, że jego żona nie umarła.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową, wyobrażając sobie, jak Martin i Maura stoją w kościele w Lough Glass, a ksiądz Baily - spytawszy zebranych o ewentualne przeszkody uniemożliwiające zawarcie małżeństwa - ogłasza ich mężem i żoną.

Możliwe, że Kit pewne sprawy wyolbrzymia. Musi być bardzo samotna, w przeciwnym razie nie otwierałaby przed nią serca. A może liczy na to, że będzie miała miłą, spokojną i nie wymagającą macochę, która zastąpi jej najukochańszą matkę? Matkę, którą odebrała jej arogancja i próżność ojca.

Rozmyślając o tych wszystkich sprawach, Lena wynajdywała nowe miejsca na półki i pouczała dziewczęta, jak mają je zapełnić. Koniec kłopotów z wyszukiwaniem odpowiednich kwestionariuszy, broszur i dokumentacji. Biuro zostało urządzone superprofesjonalnie.

Zadbała nawet o mały poczęstunek, który podała o wpół do czwartej po południu, gdy wreszcie usiadły. Pochwaliła je, mówiąc, że spisały się na medal.

- Ale płaci nam pani za pracę do szóstej, więc lepiej szybko zjedźmy i do roboty - powiedziała Dawn.

Piękna Dawn. Nieskazitelna cera, lśniące włosy - jej zdjęcia z powodzeniem mogłyby zdobić okładki czasopism, choć była o wiele starsza, niż mogło się wydawać.

274

- Powoli, nie spieszcie się. Harowałyście jak niewolnice. Dostaniecie

swoje nadgodziny, ale teraz spokojnie. Nacieszmy się poczuciem dobrze wykonanej pracy i naszym wspaniałym biurem. - Lena uniosła filiżankę ze złoto-niebieskiego kompletu, w którym serwowały kawę klientom.

Sprzątnęły po sobie, zjadły przyniesione przez Lenę kanapki i herbatniki.

Każdej z dziewcząt wręczyła kopertę.

- A teraz idźcie nacieszyć się resztką weekendu. Wybiegły jak dzieci ze szkoły. Zresztą jeszcze nie tak

dawno dwie najmłodsze były uczennicami. Dawn przystanąła w progu.

- Było bardzo fajnie, pani Gray, bardzo mi się podobało. Gdyby mi ktoś kiedyś powiedział, że będę zasuwać w niedzielę i do tego będę zadowolona, nigdy bym mu nie uwierzyła.

Lena roześmiała się.

- Nie przemęczaj się, Dawn - ostrzegła ją wesoło. - Gdybyś tylko chciała, mogłabyś zostać prawdziwym tytanem, szefową wielkiej firmy.

- Nie, to nie dla mnie. Niedługo zacznę się rozglądać za miłym, bogatym mężem.

- Małżeństwo nie jest jedynym celem w życiu.

- Jak pani może coś takiego mówić? Przecież ma pani wspaniałego męża.

- Co? - Lena zapomniała, że jakiś czas temu Dawn pracowała w hotelu „Dryden”. Tak, oczywiście, musiała Louisa znać. - To prawda, Dawn.

Miałam dużo szczęścia.

- On też - odrzekła Dawn. Wyglądało na to, że chce coś dodać, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. Lena czekała. - On też... - powtórzyła Dawn i wyszła na ciepłe londyńskie powietrze.

Lena usiadła za biurkiem, zastanawiając się, czy Louis mógł romansować z Dawn Jones. Może to właśnie ją zaprosił do Scarborough? Może to

właśnie ona zostawiła go na lodzie?

Dawn urodziła się w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, więc musiała być złotowłosym bobaskiem, kiedy Lena szła do ołtarza, by zawrzeć małżeństwo z mężczyzną, którego nie kochała. Nie, to niemożliwe. Wzięła głęboki

275

oddech. Niemożliwe. To droga do szaleństwa. Najprostsza i najpewniejsza droga do szpitala dla obłąkanych.

Louis mówił, że ją kocha. Dziś wieczorem znowu będą razem. Dawn jest tylko głupiutką gąską. Kiedy pracowała w hotelu, Louis w ogóle jej nie spotykał. Przecież była sekretarką Williamsa. Wszystko stąd, że jest przepracowana, że ma tyle spraw na głowie.

Siedziała w pustym biurze, kiedy zadzwonił telefon. Jessie.

- Och, Jessie... Tak, wszystko poszło bardzo dobrze. Powiedz Jimowi, że biuro wygląda fantastycznie. Stolarze zabrali resztki drewna, wszystkie ścinki, więc nikt by się nie domyślił, że coś się tu działo - z radością przekazywała dobre wiadomości.

- Leno! Leno! Słuchaj! Wychodzę za mąż! - krzyknęła Jessie. - Jim prosił mnie, abym wyświadczyła mu ten zaszczyt i została jego żoną! To jego słowa, Leno! Czyż to nie cudowne?

Nie wiadomo dlaczego po twarzy Leny spłynęły dwie łzy.

- Tak, to cudowne, Jessie. Tak bardzo się cieszę... - Łzy pacnęły do złotoniebieskiej popielniczki.

- Wieczorem powiemy o tym mamie, ale chciałam, żebyś dowiedziała się pierwsza.

Lena odpowiedziała, że to najwspanialsza nowina, jaką w życiu słyszała.

Odłożywszy słuchawkę, długą chwilę siedziała bez ruchu. Miała nieodpartą ochotę zadzwonić do córki.

Na szczęście zdołała nad sobą zapanować.

Minęło wiele czasu, nim wreszcie wstała, wyczyściła popielniczkę, spakowała do koszyka piknikowe akcesoria i zamknęła biuro. Szła ulicą bardzo powoli, pośród gęstniejącego tłumu ludzi idących się zabawić. W domu położyła się na łóżku i czekała na Louisa.

O jedenastej wieczorem wpadł do mieszkania jak burza.

- O Boże, Leno! Leno, jak ja cię kocham! - wykrzyknął i rzucił się na nią niczym szczeniaczek okazujący przesadną radość. - Przywiozłem ci różę. Był to stroik, róża upięta na paprotce. Nieważne, jak go zdobył. Może go znalazł albo kupił. Może czekał w nieskończoność, aż zrobi mu go kwiaciarka. A może ktoś zostawił go w pociągu.

276

Najważniejsze, że przywiózł go dla niej. Pachniał morzem, a ona go kochała. Poza tym nie liczyło się nic.

- Kit, dobrze znasz tę waszą przyjaciółkę, tę matkę Madeleine? - spytała z wahaniem ciotka Maura.

- Siostrę Madeleine - poprawiła Kit. - Tak, panno Hayes, chyba dobrze.

- Zastanawiałam się, czy nie miałabyś nic przeciw temu, gdybym ją odwiedziła.

- W związku z nami?

Kit i Clio nie rozmawiały z sobą już od dwudziestu dni. Był to prawdziwy rekord. Zdawała sobie z tego sprawę większość mieszkańców Lough Glass.

Ale ciotka Maura tylko się roześmiała.

- Nie, nie. Chodzi o mnie. Podobno jest to osoba, która potrafi doskonale doradzać.

- Tak, ale niektórym sprawom zaradzić się nie da - Kit była nieugięta, a pustelnica jako jedyna osoba w całym Lough Glass nie nakłaniała jej do pogodzenia się z Clio.

- Chodzi tylko o to, że nie wybrałabym się do niej, gdybyś uważała, iż wchodzę ci w paradę.

Kit spojrzała na Maurę z szacunkiem.

- Nie, skąd. Chyba każdy jej coś opowiada, ale ona nikomu tego nie powtarza. Nigdy. Zupełnie tak, jakby przestrzegąca tajemnicy spowiedzi.

- Więc gdybym do niej zajrzała, potraktowałaby mnie jak przypadkowego przechodnia, prawda?

- To bardzo ładnie z pani strony, panno Hayes, że mnie pani zapytała.

- Nie chciałabym ci deptać po piętach. Tak przy okazji: sądzisz, że kiedykolwiek będziesz miała ochotę mówić mi po imieniu?

- Z przyjemnością - odparła Kit. Rzeczywiście, miała na to ochotę. I to wielką.

Zwrócić się do panny Maury Hayes po imieniu. W obecności doktorowej Kelly. Albo jeszcze lepiej: w obecności Clio. Czyż to nie wspaniała perspektywa?

277

- Siostrze Madeleine, nazywam się Maura Hayes.

- Ależ wiem. Przecież często widuje cię na mszy z doktorem Kellym.

- Słyszałam o siostrze same dobre rzeczy.

- To wielkie błogosławieństwo, że dane mi jest mieszkać wśród tak życzliwych ludzi, Mauro. Napijesz się ze mną herbaty i skosztujesz tych

wyśmienitych rogalików? Rita od McMahonów jest wspaniałą gospodynią. Często podrzuca mi zapas słodczy na takie okazje jak ta.

- To rzeczywiście bardzo dobra dziewczyna. Powinna sobie lepiej ułożyć życie.

- Tak, tak, to poważny problem.

Obie wiedziały, w czym rzecz. Wiedziały, że Rita nie opuści rodziny McMahonów, dopóki życie w domu aptekarza nie zacznie toczyć się normalnym torem. Pozostawało otwartą kwestią, która z kobiet pierwsza zdradzi, iż dostrzega jakieś rozwiązanie.

Pustelnica postanowiła to Maurze ułatwić.

- Naturalnie dobrze o tym wiesz, bo przecież regularnie bywasz w Lough Glass.

- Tak, przyjeżdżam dość często. Moja siostra założyła tu bardzo szczęśliwą rodzinę.

- Być może i ty taką założysz pewnego dnia - zauważyła Madeleine.

- Wielu uznałoby, że jestem już na to za stara.

- Nic podobnego. Nigdy nie byłam rzeczniczką młodych małżeństw.

Zazwyczaj źle się układają. Tak, naturalnie, niebezpieczeństwo późnego związku leży w tym, że trudno jest zastąpić czymś to, co działo się w przeszłości. Ale takie zagrożenie istnieje tylko wówczas, gdy próbuje się zastąpić to dokładnie tym samym. Nie wydaje mi się, żebyś chciała tak zrobić.

- Nie, w rzeczy samej. Jeśli w ogóle miałyby do tego dojść, na pewno byłoby to zupełnie coś innego.

- No cóż... Nie mam wątpliwości, że wszystko udałoby się znakomicie. -

Czajnik stojący na środku płyty zaczął syczeć i parskać wodą. Pustelnica

zdjęła go z ognia.

Zanim dopiły herbatę, wyjaśniły sobie wiele kwestii. Siostra nie zdradziła żadnej tajemnicy i nie nazwała nikogo po

278

imieniu, mimo to Maura dowiedziała się, że gdyby Martin McMahon wyraził chęć zawarcia z nią związku małżeńskiego, nie napotkałby oporu ze strony domowników. Kit i tak miała jechać do Dublina, żeby studiować hotelarstwo. Emmet, jak wszyscy chłopcy, nie zaprzętał sobie głowy tym, co działo się obok niego. Natomiast Rita tylko czekała, żeby zostawić rodzinę w dobrych rękach i przeprowadzić się do Dublina, gdzie miała szansę na posadę w agencji wynajmu samochodów. Ze znakomitymi rekomendacjami od Sullivanów z Lough Glass mogła liczyć na dobrą pracę i zacząć nowe pełniejsze życie.

- Nigdy nie próbowałabym zająć miejsca Helen - szepnęła nieśmiało Maura.

- Nie, oczywiście, że nie.

Maura bardzo chciała wiedzieć, jaka Helen była naprawdę, o czym mówiła, czy kiedykolwiek wyznała pustelnicy, co zadreżca jej duszę i co sprawiało, że pogrążona w myślach, obca i nieobecna, odbywała długie, samotne spacerunki wokół Lough Glass. Ale wiedziała, że nie ma sensu o to pytać. Zakonnica popatrzyłaby tylko na jezioro, na to samo jezioro, w którym Helen straciła życie, i powiedziałyby coś, czego Maura by nie zrozumiała. Na przykład, że trudno jest zgadnąć, jacy naprawdę jesteście. Nie, Maura nigdy by jej o to nie spytała. Ale zadała inne pytanie.

- Gdyby wszystko się ułożyło, gdybyśmy zaczęli z Martinem wspólne życie, sądzi siostra, że Helen cieszyłaby się z tego?

Pustelnica patrzyła w pustkę. Zdawało się, że widzi coś więcej niż tylko jezioro, że sięga wzrokiem znacznie dalej. Długo milczała. Wreszcie powoli odrzekła:

- Myślę, że bardzo.

Dwa tygodnie po konferencji w Scarborough Lena i Louis przenieśli się do nowego mieszkania. Louis okazywał Lenie miłość i dużo entuzjazmu z powodu przeprowadzki. Nie wspominał już o Hiszpanii. Przestał też mówić, że Anglia się kończy i że mężczyźni z wyobraźnią masowo stąd emigrują, póki jeszcze się da. Znowu przypominał jej dawnego Louisa. Dni i noce czarnej rozpaczyny odeszły w niepamięć.

279

Odeszły, ale nie całkiem. Louis wciąż wracał późno i bardzo nie lubił, gdy pytała, co go zatrzymało.

- Kochanie, czy i w domu muszę odbijać kartę za każdym razem, kiedy wchodzę i wychodzę? - pytał niecierpliwie.

Naturalnie wiedziała już, iż w sprawie weekendu w Scarborough zrobiła kolosalny błąd. Wiele osób wyrażało żal, że nie przyjechała. Cała historia była wynikiem głupiego zamieszania. No i chyba zupełnie straciła rozum, wyobrażając sobie, iż między Louisem i Dawn mogło do czegoś dojść. Przecież Dawn nie odstępowała jej na krok, była z nią dzień w dzień, poświęciła nawet wolny czas i przyszła na oficjalne otwarcie nowego lokalu agencji. Kiedy dzwonił Louis, mówiła: „Dzień dobry, panie Gray. Oczywiście, zaraz ją poproszę”. Nie umiałaby tak świetnie maskować romansu, chyba że przeszkolono ją w Royal Shakespeare Company. Lena czuła, iż była głupio podejrzliwa, mimo to wiedziała, że nie jest to ten sam Louis, który radośnie i beztrąsko uciekł z nią do Londynu.

Już nie pochłaniała go do tego stopnia, iż zapominał przy niej o bożym świecie - jej tymczasem on wciąż ten świat przesłaniał. Bywało, że zostawał po pracy, bo szli z kolegami na drinka do pubu za rogiem. We własnym lokalu pić nie uchodziło.

- Wolaleś pić z kolegami niż wrócić do domu? - zapytała pewnego wieczoru urażonym tonem. Zapytała tylko raz. Później już nigdy go o to nie pytała.

- Jezu Chryste, Lena. Kiedy mówię ci, gdzie byłem, natychmiast się na mnie obrażasz. Kiedy ci tego nie mówię, też się obrażasz. Może znajdziemy jakiegoś kowala, który skuje nas łańcuchem? Mielibyśmy święty spokój.

- Nie wygłupiaj się - odrzekła, próbując ukryć przerażenie. W oczach Louisa ujrzała zniecierpliwienie i najprawdziwszą złość.

Nowy lokal został otwarty w maju, co - jak należało tego oczekiwać - nie uszło uwagi prasy. Reporterzy znów obfotografowali Dawn. Lena zdołała pozostać w cieniu, jednak tym razem mogła ofiarować im coś w zamian.

- Pan Millar, nasz szef, oraz panna Park, nasza kierowniczka,

280

pobiorą się w tym roku - oznajmiła dziennikarzom przybyłym na oficjalne otwarcie nowego biura agencji.

Nikt nie zauważył, że nie poświęcono Lenie należytej uwagi. Nikt prócz jej współpracownic i kilku klientów. Louis wiedziałby dlaczego. Ivy też.

Natomiast Grace wypaliła:

- Czy ty się przypadkiem nie ukrywasz? - Zadała to pytanie, gdy gazety opublikowały życiorysy pracownic Millara - wszystkich z wyjątkiem życiorysu Leny. Zamieściły też ich zdjęcia - wszystkich, z wyjątkiem

zdjęcia kobiety, dzięki której firma rozkwitła.

- Tak jakby - odparła Lena. - Ale nie, nie uciekam przed prawem. Pod tym względem jestem chyba czysta.

- W takim razie przed mężczyzną.

- Hm... tak. Choć właściwie uciekłam nie tyle od kogoś, co do kogoś.

- Ale ktoś taki istnieje? Córka też?

- Tak. I pewien przystojny młody chłopiec.

- Mam nadzieję, że jest tego wart... ten twój Louis.

- Grace, dobrze wiesz, że nie jest. Przestań robić sobie głupie nadzieje.

I wybuchnęły nieopanowanym śmiechem.

Najbardziej brakuje mi śmiechu.

Nie tęsknię za planami i tajemnicami. To są rzeczy osobne i zupełnie inne.

Nie powinnam była zaglądać do Twego listu i prawdę mówiąc, nie wiem, do kogo był adresowany. Ale i tak nie powinnam do niego zaglądać.

Chciałam tylko zobaczyć, czy to list do Philipa, czy czegoś przede mną nie ukrywasz. Jeśli kiedykolwiek odnowimy naszą przyjaźń, przysięgam, że będę traktowała listy jak największą świętość. I jeszcze jedno. Nie chcę Cię już dłużej namawiać, żebyś poszła ze mną na uniwersytet. Wiem, że tego nie zrobisz, w końcu masz swoje życie. Wiem też, że nie jestem najlepszą przyjaciółką, bo lubię się szarogęścić, no i bardzo mi wstyd z powodu tego nieszczęsnego listu. Ale czuję się samotna i brakuje mi Ciebie. Nie mogę się spokojnie uczyć i tak sobie myślę, czy może nie chciałabyś puścić tego w niepamięć.

Całuję Cię Clio.

281

Droga Clio!

Dobrze. Ale pamiętaj o jednym: nie musimy być przyjaciółkami. Nie ma takiego prawa, które nakazywałoby nam wieczne chodzenie w parze, w tym czy w innym mieście. Cieszę się, że do mnie napisałaś. Lonny Donegan śmiertelnie mnie nudzi. Masz pomysł na lepszą zabawę? Całuję Kit.

Emmet zaniósł list do Kellych.

- One są szurnięte, nie? - spytała go Anna.
- Kompletnie.
- Chodzą do tej samej szkoły, do tej samej klasy, a robią z nas posłańców.
- Musiała być lepsza draka - spekulował zadziwiony Emmet.
- Nie wiesz, o co poszło?
- Nie, Kit mi nie mówiła.
- Za to Clio gada tylko o tym. Podobno Kit upuściła jakiś list. Clio podniosła go, podała Kit i niechcący zerknęła na nagłówek. Wtedy Kit dostała szału.
- Do kogo pisała, że to taka tajemnica?
- Do jakiegoś Lena - wyjaśniła Anna, dumna, że może przekazać Emmetowi tak ważną wiadomość.
- Dzięki, Emmet, jesteś w dechę.
- Nie. Jestem skończonym idiotą.
- Dlaczego tak mówisz?
- Bo czuję się jak ostatni kretyn. Nie wiedziałem, że masz jakiegoś Lena. Dopiero Anna Kelly musiała mi to powiedzieć.
- Jakiego znowu Lena? - Kit nie mogła wyjść ze zdumienia.
- Tego, do którego pisałaś ten list. List, który ci upadł. Kit spojrzała mu prosto w oczy.

- Clio była w domu?
- Nie, tylko Anna.
- Dam ci wszystko, co zechcesz, jeśli tylko przyniesiesz ten list z powrotem.

282

- Nie, Kit. To idiotyczne, oszalałaś.
- Może i oszalałam, ale dam ci sześć pensów.
- Nie masz tyle.
- Dam ci sześciopensówkę z podstawy figurki Dzieciątka z Pragi. Jak tylko dostanę kieszonkowe, od razu ją zwrócę.
- Dlaczego chcesz zabrać list?
- Proszę cię, Emmet, tak cię proszę...
- Jesteś już dorosła. Nie powinnaś się tak zachowywać.
- Wiem, ale taka już jestem. Zrobię dla ciebie wszystko. Zawsze. Ilekroć zechcesz. Do końca życia. Przysięgam.
- Naprawdę? - ciągle jej nie dowierzał.
- Nigdy tego dnia nie zapomnę. Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś.
- I naprawdę zrobisz wszystko? - Emmet przeprowadzał rachunek strat i zysków.
- Tak. Pospiesz się.
- A jeśli już wróciła?
- Wtedy się nie liczy, więc pędź najszybciej, jak potrafisz.
- Co ty jesteś? Przynieś-podaj-pozamiataj? - spytała Anna.
- Nie, ubiłem wspaniały interes - odparł Emmet.
- Jaki?
- Do końca życia będzie robiła wszystko, o co ją poproszę.

Anna parsknęła śmiechem.

- Bajki. Na pewno nie będzie.
- Będzie. Kit dotrzymuje słowa. - Emmet schował list do kieszeni i wrócił do domu.

Następnego dnia w szkole matka przełożona przypomniała uczennicom ostatniej klasy, że zostało im dokładnie dwadzieścia trzy dni na intensywne powtórki, na modlitwę do Ducha Świętego i w zasadzie już na nic poza tym. Wkrótce czekał je egzamin końcowy i związane z nim emocje.

Dlatego matka przełożona nie życzyła sobie żadnych psot i wygłupów.

- Słyszałam, że przesłałaś mi list, a potem się rozmyślałaś - zagadnęła na przerwie Clio.

283

- Twoje służby informacyjne pracują jak zawsze znakomicie.
- Dlaczego, Kit? Dlaczego się rozmyślałaś?
- Przecież nie wiesz, co napisałam.
- Właśnie, że wiem. Anna ten list przeczytała. Odkleiła kopertę nad parą i powiedziała mi, co w niej było. Przyniosłam ci Che sera, sera w charakterze gałązki oliwnej.

- Jesteś potworną kłamczuchą, Clio. Kłamiesz zawsze i wszędzie.

Clio poczerwieniała.

- Nie kłamię. Mam ją w teczce.
- Mówiłaś, że nie wiesz, do kogo pisałam, a dobrze wiedziałaś.
- Widziałam tylko imię...
- Powiedziałaś, że upuściłam list na podłogę. Nie powiedziałaś, że mi go wyrwałaś.
- Cholerna Anna...

Kit się uśmiechnęła. Pierwszy raz.

- No dobra, ty stara oszustko. Dawaj tę płytę i wpadnij do mnie wieczorem, to pójdziemy na spacer.

- Przecież mamy się uczyć! - Clio nie mogła uwierzyć, że długa awantura dobiegła końca.

- No to się ucz. Ja tam idę na spacer.

- I wszystko mi opowiesz?

- Nie opowiem ci nic.

Martin nie poprosił Maury o rękę. Po prostu nie chciało mu to przejść przez gardło. Słowa dzwoniły mu w uszach jak fragment obcej sztuki.

Wiedział, że każda kobieta zasługuje na to, by się jej oświadczyć, ale bał się, iż jego oświadczyzny wypadną niedobrze. Bał się, iż w tym, co powie, zabrzmie echo wyznań sprzed lat, choć wcale tego nie chciał.

Miał nadzieję, że wszystko stanie się samo i samo się ułoży bez jego oświadczyń. Maura była tak wyrozumiała i niewymagająca. Pocieszała go i rozśmieszała. Wprost uwielbiała z nim spacerować, nigdy jednak nie wybierała ścieżek, którymi niegdyś chadzała Helen. Wyszukiwała inne trasy spacerowe, na przykład odosobnioną kotlinkę, z której

284

rozciągał się widok na dalekie góry oraz srebrzącą się linię jeziora.

Czasami zabierała na spacer termos z kawą i kawałek ciasta przywiezionego z Dublina. Byli dla siebie serdeczni i bardzo sobie bliscy, a tego Martin nigdy w małżeństwie nie doświadczył.

Rozmawiał o tym z dziećmi, osobno z Kit, osobno z Emmetem.

Powiedział im, że jego przyjaźń z Maurą jest przyjaźnią wyjątkową. I Kit, i Emmet wyrazili z tego powodu radość.

Zwłaszcza Kit.

- Tato, nie musisz nam tłumaczyć, że to nie nasza mama. Dobrze o tym wiemy. Maura jest bardzo miła. Zawsze lubiłam ją bardziej niż mamę Clio. Co wieczór w barze u Paddlesa Peter i Martin popijali piwo. Byli z sobą bardzo zaprzyjaźnieni, jednak na temat związku z Maurą nigdy nie rozmawiali. Obydwaj wiedzieli, że gdy nadejdzie pora, by coś powiedzieć, na pewno to powiedzą.

Jednak przed powzięciem tej słusznej i honorowej decyzji powstrzymało Martina coś drzemiącego na dnie serca, jakaś nie dokończona sprawa. Przygnębiała go świadomość, że jest taki słaby, niezdecydowany i chwiejny. W tylu dziedzinach życia był stanowczy i pewny siebie: w aptece, gdzie potrafił pokrzepić słowem i podsunąć właściwe lekarstwo, i w domu, gdzie jako ojciec zdobył zaufanie dzieci, które chętnie z nim rozmawiały. Jako przyjaciel też pewnie nigdy nie zawiódł.

Ale nie jako kandydat na męża dla Maury, która była kobietą dobrą i zasługiwała na więcej.

- Dziwię się, że tracisz ze mną czas, Mauro - powiedział pewnego dnia.
- Czasu spędzonego z tobą nie nazwałabym czasem straconym - odrzekła spokojnie, zupełnie nie zmieszana.
- Nie jestem tym, kogo miałaś nadzieję we mnie zobaczyć.
- Jesteś, kim jesteś.

Spojrzał na nią z czułością. Działo się to na dzień przed rozpoczęciem egzaminów końcowych Kit. Maura okazała się wówczas bardzo pomocna, przekonując Kit, że egzaminy

wymyślono po to, by ludzie pokazali na nich, co potrafią, nie zaś po to, by przyłapać ich na tym, czego nie umieją.

Kit uznała, że jest to myśl nie tylko pożyteczna, ale i wręcz rewelacyjna.

- Nigdy nie przyszło mi to do głowy - wyznała.

- Tak to po prostu działa - wyjaśniła Maura, przeglądając stary formularz egzaminacyjny. - Spójrz, masz tu temat wypracowania: Moje najukochańsze miejsce w Irlandii. I tutaj: Moje najwcześniejsze wspomnienie. Pamiętasz, mówiłaś mi, że wiesz wszystko o Glendalough i że chciałabyś dostać temat w rodzaju Moje ulubione miejsce historyczne! I jeden, i drugi temat mogłabyś odpowiednio dopasować.

Maura zaproponowała, żeby Kit poszła do łóżka z herbatą i czekoladowym herbatnikiem.

Potem usiadła z Martinem na dużej kanapie. Tuż obok siebie. Martin nigdy nie siadywał tam z Helen. Helen wolała przysiąść na parapecie okna albo poczytać w fotelu z wysokim oparciem. Z biegiem lat korzystała z niego coraz rzadziej. W sypialni zmarłej żony urządzono teraz magazyn. Ślady jej obecności zostały niemal zatarte, lecz duch Helen McMahan wciąż się tam unosił.

Martin wziął Maurę za rękę.

- To nie jest wobec ciebie uczciwe, Mauro. Widzisz, ciągle nie czuję się na siłach...

- Martin, czy kiedykolwiek cię do czegoś zmuszałam? Nachyliła się i pocałowała go. Pocałowała go tak, jak się zawsze całowali, łagodnie i długo. W tych sprawach nie porównywał jej z Helen. Helen nigdy w życiu nie pocałowała go z własnej woli. Helen po prostu przyjmowała jego miłość. Nie wiedział, czy z przyjemnością, czy

nie. Na pewno nie robiła tego z rozkoszą, ale i nie z obrzydzeniem.

Zawsze była bierna. Nigdy nie uniosła dłoni, żeby choć pogłaskać go po policzku.

Przywarł do Maury.

- Czy to bardzo nieuczciwe prosić cię, żebyś dała mi jeszcze trochę czasu?

- wymruczał jej w szyję. Pachniała talkiem kosmetycznym i mydłem Blue Grass Elizabeth Arden. Podnieciła go myśl, że mógłby przytrzymać ją dłużej

286

i lepiej poznać jej ciało. Ale to byłoby już zdradą ostateczną. Jeśli miałyby przespać się z Maurą Hayes, musiałyby najpierw zostać jego żoną i towarzyszką życia. Na chybcika na kanapie? Nie.

Najwyraźniej i ona zdawała sobie z tego sprawę, gdyż odsunęła się łagodnie.

- Ile ci tylko trzeba, Martinie - odrzekła. - Może robię coś, czego nie powinnam, a ty nie chcesz mi tego powiedzieć?

Właśnie wtedy usłyszeli kroki na schodach. Do drzwi zapukała Kit.

- Chciałam wam tylko powiedzieć, że nie mogę spać. Herbata nie pomogła.

- Może chciałabyś wejść i porozmawiać? - Maura nie rozkazywała. Maura grzecznie pytała.

- Prawdę mówiąc, miałabym ochotę wpaść na pół godzinki do siostry Madeleine. - Kit zawsze mówiła, dokąd idzie. Pamięć o spacerze, z którego ktoś nie powrócił, tkwiła domownikom w pamięci zbyt mocno, żeby pozwalać sobie na tajemnicze wycieczki.

- Hm, nie wiem... Czy to aby nie za późno? - w głosie Martina

pobrzmiewała nutka niepokoju.

- Pustelnia siostry Madeleine jest chyba najlepszym miejscem na ziemi, dokąd warto by się udać - powiedziała Maura. - Ta kobieta umie nadać wszystkiemu sens.

Kit posłała jej pełne wdzięczności spojrzenie i zbiegła po schodach.

- Żałuję, że nie potrafię znaleźć ukojenia w rozmowie z siostrą Madeleine, tak jak inni. - Martin nigdy nie umiał zwierzyć się starej, pomarszczonej kobiecie, do której większość mieszkańców Lough Glass odnosiła się z wielkim szacunkiem.

- Pewnie dlatego, że Helen tak często do niej zaglądała. Boisz się, iż staruszka za dużo wie. Boisz się, żeby nie pomyślała, iż przychodzisz tylko dlatego, by czegoś się od niej dowiedzieć.

- To prawda - potwierdził zaskoczony.

- Ja bym się tym nie przejmowała. To, o czym ktoś jej mówił albo czego nie mówił, na zawsze pozostanie

287

tajemnicą. - Maura sięgnęła po sweter i torebkę. - Pójdę już, Martinie. Nie chcę, by Lilian i Peter pomyśleli, że uprawiam tu jakieś bezceństwa.

Uśmiechnęła się dzielnie. Jeśli nawet niezdecydowanie Martina mocno ją uraziło, nie miała zamiaru tego po sobie okazywać. Zostawiła go w otwartych drzwiach i pomachała mu na do widzenia. Nim odeszła, zdążyła jeszcze dostrzec ruch zasłon w oknach Kathleen Sullivan. Przynajmniej Kathleen będzie mogła powiedzieć, że ta głupia szwagierka doktora wyszła z domu wdowca o przyzwoitej godzinie.

- Powiedz mi, dlaczego ten egzamin jest dla ciebie aż tak ważny - spytała pustelnica.

- Och, siostrze. Jest siostrze chyba jedyną osobą w Irlandii, która nie wie, że wynik egzaminu decyduje o całej późniejszej karierze. Od tego egzaminu zależy moje życie.

- Tak daleko bym się nie posuwała.

- Naprawdę! Jeśli go zdam, będę mogła pójść do college'u przy Cathal Brugha Street i uczyć się hotelarstwa przez całe dwa lata, a potem rozpocząć karierę zawodową. Inaczej jestem skończona. I ja, i moje życie.

- Przypuszczam, że zawsze mogłabyś wrócić do szkoły i powtórzyć ostatni rok - podsunęła nieśmiało pustelnica.

- Jeszcze jeden rok w szkole matki Bernard, razem z tymi okropnymi dziewczątkami, które będą się ze mnie naśmiewały, podczas gdy Clio pojedzie na uniwersytet do Dublina?! Prędzej umrę, siostrze Madeleine, prędzej umrę... Poza tym chcę kimś być. Chcę kimś zostać. I nie tylko dla siebie.

- A dla kogo?

- Choćby dla taty, żeby nie było mu głupio, kiedy pójdzie z doktorem na piwo do Puddlesa. I... i przede wszystkim dla mamy.

- Wiem. - Tak, siostrze Madeleine dobrze o tym wiedziała.

- Obiecałam jej, że coś w życiu osiągnę. Wie siostrze, bardzo dawno temu...

- Już osiągnęłaś i osiągniesz więcej.

- Ale te egzaminy są jak słupy graniczne, jak kamienie milowe...

288

- Mama ci tak mówiła?

- Nie. Lena. Jej przyjaciółka. Ta, która przesyła tu listy. To ona mi powiedziała.

- Bardzo cenisz sobie jej przyjaźń?
- Tak. Bo ona, proszę siostry, dobrze znała mamę. To prawie tak, jakby...
- Wiem, dziecko.
- Bardzo bym chciała, żeby odwiedziła nas w Lough Glass. Zapraszałam ją - wyznała Kit.
- Może Lena woli pozostać w swoim świecie.
- Będę musiała poczekać, a potem sama do niej pojedę.
- Owszem, ale to chyba jeszcze nieprędko. Tymczasem możecie podtrzymywać przyjaźń listownie.
- Nie wiadomo, proszę siostry. Niewykluczone, że spotkamy się wcześniej. Po złożeniu egzaminów zamierzam pojechać do Londynu.
- Do Londynu? - siostra Madeleine była zaskoczona.
- Tak. Tatuś powiedział, że mogę pojechać na wakacje.
- Ale do Londynu? Sama?
- Nie, z Clio i z innymi koleżankami z klasy. Siostra przełożona załatwia nam noclegi w jakimś klasztorze, aby rodzice się nie bali, że zasilimy handel białymi niewolnicami.
- Dobry Boże! A cóż tam będziesz robiła?
- Chcę się spotkać z Leną.
- Uprzedzisz ją, że przyjeżdżasz z wizytą?
- Nie. Chciałabym ją zaskoczyć.

Siostra Madeleine wpatrywała się w spokojne wody jeziora intensywniej niż zwykle.

- No to musimy zadbać o to, żebyś zdała egzaminy. - W końcu przemówiła. - Zmówię w tej intencji specjalną modlitwę.
- Uklęknie siostra i zmówi różaniec? - Kit bardzo chciała wiedzieć, na jak

duże wsparcie może liczyć.

- Posłuchaj, Kit. Jesteś dorosłą siedemnastoletnią kobietą. Dobrze wiesz, że Pan Bóg chce tylko wysłuchać prośby i jej uzasadnienia. Nie interesuje go mechaniczne odklepywanie zdrowasiek. Ten system działa zupełnie inaczej.

Kit wiedziała, że siostra Madeleine ma absolutną rację,

289

ale była też przekonana, iż to z powodu tego rodzaju uwag ksiądz Baily, brat Healy i matka Bernard spoglądają na pustelnicę podejrzliwym okiem. Siostra Madeleine głosiła prawdy, które w innych czasach mogłyby zaprowadzić ją na stos.

Kit wróciła do domu, a pustelnica wyjęła papeterię.

Droga Leno!

Chciałabym Panią uprzedzić, że po egzaminach końcowych Kit ma nadzieję pojechać do Londynu. Chce swoją wizytą sprawić Pani niespodziankę. Mam wrażenie, iż w pewnym wieku niespodzianki tracą swój czar, dlatego pomyślałam sobie, że o tej niespodziance wolałaby Pani wiedzieć, by zawniczasu się do niej przygotować.

Jeśli jest coś, co mogłabym dla Pani zrobić, proszę dać mi znać.

Sugerowałam Kit przyjaźń opartą wyłącznie na Ustach, obawiam się jednak, że za bardzo przywiązała się do Pani, do Pani pomysłów związanych z jej przyszłością oraz do Pani wspomnień o Helen, żeby na tym poprzestać.

Kit jest młodą, bardzo zdecydowaną kobietą, która potrafi z uporem dążyć do celu. Zupełnie jak jej matka...

Z poważaniem, w Jezusie Chrystusie,

Madeleine

- Ona nie wie, pod którym numerem mieszkamy - powiedziała Lena.
- Wystarczy, że spyta kogokolwiek na klatce - zauważyła Ivy.
- Przyjdzie do ciebie. Powiesz, że wyjechaliśmy.
- Dobrze, ale ona przyjdzie jeszcze raz, kiedy uzna, że już wróciliście.
- Napiszę do niej, że wyjeżdżamy na całe lato.
- Nie możesz wciąż od niej uciekać.
- Nie mogę się z nią spotkać. Obie o tym wiemy.
- A może utleniłabyś włosy? I włożyła okulary przeciwsłoneczne? - Ivy nie żartowała.
- Na litość boską, przecież jestem jej matką!
- Próbuję ci tylko pomóc! - zirytowała się Ivy. Życie stało się dla niej trudne. Ernest co wieczór przesiadywał

290

w szpitalu - stan Charlotte szybko się pogarszał - a w drodze do domu wpadał do Ivy na szklaneczkę czegoś mocniejszego. Na szklaneczkę czegoś mocniejszego i na kolejny seans wyrzutów sumienia, jakie odczuwał przez to, że źle traktował żonę. Z każdym dniem jego opowieści stawały się coraz nieznośniejsze.

Lena zawstydziała się swej opryskliwości.

- Przeraza mnie, że tak na ciebie warczę. Przecież jesteś moją jedyną przyjaciółką.
- Nieprawda. Masz tabuny przyjaciół. Masz Louisa i współpracowników z agencji, którzy ci dogadzają i którzy na ciebie liczą. Masz córkę. Ona cię kocha, choć nie wie, kim jesteś. Więc nie gadaj mi tu, że nie masz przyjaciół.

- Och, Ivy. Wiesz, na co miałabym ogromną ochotę? Chciałabym cię zabrać na wakacje do Irlandii.
- No to mnie zabierz.
- Nie mogę. Dobrze wiesz dlaczego. Poznaliby mnie, wszystko by się wydało.
- Rzeczywiście. W portach i na lotnisku rozstawili pewnie uzbrojonych policjantów, którzy tylko na ciebie czekają - burknęła z goryczą Ivy. - W Irlandii to normalka: jak ktoś się utopi, jak go już znajdą i pochowają, to zaraz szuka go uzbrojona po zęby policja.
- Może pewnego dnia... Teraz nie jestem w formie. Wszystko się sypie.
- Nie mów mi takich rzeczy, Leno. Charlotte ma przed sobą najwyżej tydzień.
- Czy ja też mogę pojechać do Londynu? - spytała Anna.
- Tato, zabroń jej nawet o tym myśleć - zaprotestowała Clio.
- Sza, Clio. Oczywiście, Anno. Kiedy skończysz szkołę, pojedziesz do Londynu. To już za trzy lata.
- Tato, przecież to prawdziwy dar niebios! Moja starsza siostra mogłaby się mną opiekować. Wyjazd poszerzyłby moje horyzonty myślowe, przy tym byłabym zupełnie bezpieczna.
- Przestań, Anno, szkoda śliny - ostrzegła ją Clio.

291

- Nikomu bym nie przeszkadzała. Pytałam już Kit McMahon, Jane Wall i Eileen Hickey, które też jadą, i powiedziały, że wszystko im jedno.
- No jasne. Nie jesteś ich cholerną siostrzyczką. - Clio kipiała wściekłością.

Zupełnie nieoczekiwanie odezwała się ciotka Maura:

- Mam nadzieję, że nie pojedziesz, Anno.
- A to dlaczego? - spytała podejrzliwie Anna.
- Bo, widzisz, przyjeżdżam tu na turniej golfowy. Będą nam potrzebni pomocnicy, a wszyscy pomocnicy klubowi są już zajęci, dlatego zastanawialiśmy się z Martinem McMahonem, czy ty i Emmet nie zechcielibyście nam pomóc.
- Nie, chyba nie...
- To doskonale płatne zajęcie - dodała ciotka Maura. - I dużo zabawniejsze niż łażenie po upalnym Londynie w towarzystwie dziewcząt, które nie są twoimi koleżankami. Wiem, usiłuję cię namówić dlatego, że oboje z Martinem chcielibyśmy mieć przy sobie kogoś z rodziny, ale powiem ci jeszcze coś: podczas turnieju będzie mnóstwo przyjęć, potańcówek i tłumy młodych ludzi.
- Ja nie mogłam chodzić na potańcówki, jak byłam w jej wieku - zauważyła urażona Clio.
- Od czasów twojej młodości świat się zmienił, Clio - stwierdziła Anna. Na ułamek sekundy Clio i Maura spotkały się wzrokiem. Clio ujrzała w oczach ciotki cień uśmiechu. Zdała sobie sprawę, że Maura skutecznie ukróciła biadolenie Anny, czyli dokonała czegoś, co nie udałoby się nikomu innemu. Choć Anna Kelly miała ledwie czternaście lat, wykazywała zatrważające skłonności: w każdej sytuacji umiała postawić na swoim.
- Myślisz, że wreszcie podejmą konkretną decyzję, czy będą się tak prowadzić w nieskończoność? - spytała Lilian.
- Nie wiem - odparł łagodnie Peter Kelly.
- Musisz wiedzieć. Przecież to twój przyjaciel.

- I twoja siostra - odparował.

292

- O pewnych sprawach nie rozmawia się z podstarzałymi siostrami, które nie wyszły za mąż.

- O pewnych sprawach nie rozmawia się z podstarzałymi przyjaciółmi, których życie ciężko doświadczyło.

- To miło, że tak regularnie do nas zaglądasz, Mauro - powiedziała siostra Madeleine.

- Cóż, będę tu zaglądała dopóty, dopóki nie uznam, że nie chce już mnie widywać.

- On chce, żebyś tu przyjeżdżała.

- Skąd siostra może wiedzieć? Przepraszam, mam nadzieję, że nie byłam wobec siostry niegrzeczna.

- Wiem, Mauro, wiem. Ludzie lubią mówić.

Maura uświadomiła sobie, iż ludzie rzeczywiście dużo mówili, a siostra mogła dużo słyszeć. Tak, prawdopodobnie wiedziała.

- Siostra jest taka dobra. Chciałabym móc coś dla siostry zrobić.

Pustelnica spojrzała na nią w zamyśleniu.

- Jest coś, na czym mi zależy, ale to sprawa bardzo, bardzo skomplikowana i nie mogłabym ci wyjaśnić dlaczego.

- Nie musiałabym tego wiedzieć.

- Niech cię Bóg błogosławi, chyba istotnie byś nie musiała. No cóż, w takim razie chyba cię poproszę... Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, ale gdybyś mogła...

- Niech siostra powie, o co chodzi, siostrze. Z największą przyjemnością

zrobię dla siostry dosłownie wszystko.

- Zapewne wiesz, że Clio, Kit i kilka innych koleżanek z klasy wybierają się po egzaminach do Londynu.

- Jak mogłabym nie wiedzieć? Praktycznie o niczym innym nie rozmawiają.

- Tak... Otóż zastanawiałam się, czy nie mogłabyś wybić im tego z głowy. To znaczy Clio i Kit.

- Ależ dlaczego?! Przepraszam, zapomniałam... - Maura urwała. Po chwili stwierdziła: - To byłoby bardzo, ale to bardzo trudne.

- Tak też myślałam.

- Czy jest po temu jakiś ważny powód?

293

- Nawet bardzo ważny.

- Nic nie przychodzi mi na myśl... Przecież nie mogę im powiedzieć, że w Londynie szaleje tyfus. Ani zaproponować wyjazdu do Francji, czy czegoś w tym rodzaju. Dopiero co udało mi się powstrzymać Annę. Chciała z nimi jechać, ale zaproponowałam jej, żeby pomagała mi w turnieju golfowym. - Zapadła cisza. - Nie ma siostra nikogo innego?

- Nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić z taką prośbą. Maura poczuła się dumna, że należy do nielicznego kręgu osób godnych zaufania.

- O ile wiem, wycieczkę organizuje matka Bernard z klasztoru. Może gdyby powiedziała...

- Nie. To smutne, ale matka Bernard musiałaby poznać szczegóły, a ja ich wyjawić nie mogę.

Znowu zapadła cisza.

- Naprawdę bardzo się staram, ale nie jestem w stanie wymyślić niczego, co mogłoby je zniechęcić, zwłaszcza w tej fazie przygotowań do wyjazdu.

- Dziękuję za twoje starania. Wiem, że chciałabyś pomóc.

- I co siostra teraz zrobi?

- Pewnie będę się modlić, by Pan Bóg wziął sprawę w swoje ręce i żebyś nie łamała sobie głowy nad moją dziwną prośbą.

- Natychmiast przestanę o niej myśleć i zapomnę, że w ogóle o czymś takim słyszałam - odparła z uśmiechem Maura.

Pustelnica wzięła ją za rękę. Miała przed sobą naprawdę dobrą kobietę, kobietę, która z całą pewnością byłaby świetną żoną i towarzyszką dla biednego Martina McMahona, gdyby... gdyby... hm, gdyby rzeczy miały się inaczej.

Charlotte umarła w szpitalu w czwartek rano. Ivy chciała przyjść do szpitala, aby być przy Erneście, ale on tego nie chciał.

- Zaczekam w poczekalni, z dala od wszystkich, może będziesz mnie potrzebował... - prosiła.

- Nie, serce. Naprawdę. Nie rób zamieszania. Nie stwarzajmy

294

kolejnych problemów. Zostań w domu. Przyjdę do ciebie po południu. Popołudnie minęło, nastał wieczór, a Ernest nadal nie przychodził. Ivy zadzwoniła do pubu tuż przed zamknięciem. Rozmawiała ze znajomym barmanem.

- Jest z rodziną w sali od frontu. Ivy, chyba będzie lepiej, jeśli mu nie powiem, że dzwoniłaś.

- Oczywiście - zgodziła się Ivy.

Siedziała w małym pokoiku. Całą noc nie kładła się spać. Była

przekonana, że jak tylko rodzina odjedzie, Ernest do niej zajrzy.

O trzeciej nad ranem usłyszała zajeżdżającą przed dom taksówkę.

Odsunęła firankę i wyjrzała. Ale to nie był Ernest. Z taksówki wysiadła kobieta w bawełnianym polo. Miała bardzo jasno utlenione włosy, bardzo czerwone usta i bardzo wysokie szpilki. Wysiadła z taksówki, żeby ucałować Louisa na dobranoc. Obejmując go, popiskiwała i na zmianę unosiła to jedną, to drugą nogę. Nie zważała na to, że Louis ją uciska, ani na to, że zapłacił już taksówkarzowi i ponagla go, by jak najprędzej odjechał sprzed domu.

- Iść z tobą na pogrzeb? - zapytała Lena.

- Co?

- Będiesz potrzebowała towarzystwa. Przecież nie możesz dołączyć do pograżonej w żałobie rodziny. Dlatego pomyślałam sobie, że przyda ci się przyjaciółka, jako coś w rodzaju zasłony dymnej.

- Boże, Lena, jesteś wspaniała.

- Dobrze, w takim razie pójdziemy razem. Kiedy pogrzeb?

- Kochana, nigdzie nie pójdziemy. Bez względu na to, kiedy jest pogrzeb.

To nie byłoby stosowne, jak to ujął Ernest. Wyobrażasz sobie, że Ernest zna takie mądre słowo jak „stosowne”?

- Ależ oczywiście, że pójdziemy. Każdy może pójść na pogrzeb.

- Może w Irlandii, ale nie tutaj.

- U was wpuszczają za biletami, czy co? Pójdziemy.

- On nas tam nie chce, Leno. Po co się pchać?

295

- No dobrze, dobrze. Rzeczywiście. Może ona ma krewnych. Może chcą ją pożegnać w gronie najbliższych. Może Ernest ma rację, że nie chce cię

tam widzieć.

- On w ogóle nie chce mnie widzieć. Nigdzie, nie tylko na cmentarzu.

Właśnie to oplakuję, nie tę cholerną Charlotte.

- Jesteś przekonana, że chcesz iść na hotelarstwo? - zapytał Philip O'Brien.

- Absolutnie. Przecież dobrze wiesz.

- A więc będziemy w Dublinie razem.

- W szkole tak, ale poza szkołą nie bardzo. Będę mieszkać w bursie przy Mountjoy Square. Dwa kroki od szkoły. Kiepskawo.

- A ja u ciotki i wujka. I wiem, że będzie nie tyle kiepskawo, co bardzo kiepsko.

Ostatnio Philip chodził dość ponury. Chciał nie chciał, musiał pogodzić się z faktem, że z powodu egzaminów Kit straciła ochotę na pocałunki i obłapianki.

- Nie będę mogła się uczyć - zełgała.

W ostatnim dniu egzaminów Philip pojawił się znowu.

- Teraz już nie musisz się uczyć - rzekł, podrygując ochoczo, jak jeden z dwóch terrierów napastujących gości w „Centralnym”.

Kit musiała wymyślić kolejną wymówkę.

- Siedemnaście lat to dla dziewczyny bardzo trudny wiek. Proszę cię, bądź wyrozumiały. Mogę ci przysiąc, że nikt inny mnie nie interesuje, tylko na razie nie chcę się w nic angażować.

- Nie lubisz mnie?

- Bardzo cię lubię.

- No więc? - Philip był wiecznym optymistą.

- Więc chyba mnie zrozumiesz.

- Ale ty czekasz na mnie, a ja czekam na ciebie, tak? - spytał błagalnie.
- Powiedzmy, że na nikogo innego nie polujemy, ale gdyby ktoś wpadł ci w oko, nie byłaby to z twojej strony ani zdrada, ani nic w tym rodzaju. Ja to zrozumieję.
- A jeśli tobie spodoba się ktoś inny?

296

- Nie będę miała czasu na nikogo innego. Jestem za bardzo zajęta.
- Nieprawda. Teraz masz wakacje.
- Wyjeżdżam do Londynu. Niby kogo miałabym tam znaleźć?
- Do Londynu jedziesz tylko na dziesięć dni.
- I wrócę, Philipie. Proszę cię, daj już spokój. Ponieważ nie chciał być nużący, przestał ją nagabywać.

I poszli do kina. Sami. Czasami chodzili sami, czasami z Emmetem, a czasami z Clio. Ponieważ, jak twierdziła Clio, Anna była straszna i bardzo dokuczliwa, pozwalali jej chodzić ze sobą tylko tam, gdzie nie mogła za dużo namącić i gdzie nikt nie musiał z nią rozmawiać. Na przykład do kina.

Kochana Kit!

Bardzo chciałabym wiedzieć, jak Ci poszły egzaminy. Wybierać program zajęć w szkole hotelarskiej - jakież to będzie ekscytujące! Koniecznie musisz mi o tym napisać. Jak zamierzasz spędzić wakacje? W tym roku często będę w rozjazdach, ale bez względu na to, dokąd pojedę, Twoje listy zostaną mi przesłane. Żałuję, że nie mogę zostać na lato w Londynie, gdyż w odróżnieniu od innych mieszkańców stolicy nie lubię turystów w mieście.

Jeśli siostra Madeleine modli się za Ciebie, jeśli miła przyjaciółka

Twojego Taty, panna Maura Hayes, dzielnie ci sekunduje i jeśli rzeczywiście tak intensywnie się uczyłaś, jestem pewna, że niczego Ci więcej nie potrzeba. Mimo to trzymam za Ciebie kciuki.

Ściskam jak zwykle Lena.

- W Londynie latem może być bardzo tłoczno - powiedziała Maura Hayes w dzień po otrzymaniu przez Kit listu od Leny.

- To chyba miło, kiedy w mieście jest dużo turystów - odparła Kit. - Czuje się wtedy wakacje.

- Ale to nie najlepsza pora na zwiedzanie.

297

- Proszę cię, Mauro, nie odradzaj mi tego wyjazdu jak wszyscy.

- Wcale nie mówię, żebyś nie jechała...

- Tylko?

- Sama nie wiem - odpowiedziała szczerze Maura, co wzbudziło w nich obu nieopanowaną wesołość.

Do kuchni wszedł Martin i zainteresował się, co je tak rozśmieszyło.

- Gdybym miała ci teraz streścić naszą rozmowę, nie byłaby wcale śmieszna - odparła Maura i otarła załzawione oczy.

- A potem zamknęliby nas w wariatkowie - dodała Kit.

Rita kończyła prasowanie. Słyszała tę wymianę zdań i zrozumiała z niej tylko tyle, że nadeszła pora, by pan McMahan wykonał wreszcie pewien ruch. Jej zdaniem panna Hayes była szalenie miłą osobą i pan McMahan nie miał szans na znalezienie nikogo innego, kto tak świetnie dogadywałby się z jego dziećmi.

Siostra przełożona odebrała w szkole telefon. Dzwoniła jakaś pani z Londynu. Chciała się dowiedzieć, kiedy należy oczekiwać wyników

egzaminów końcowych.

- Dostałyśmy je dzisiaj - odrzekła przeorysza z nie ukrywanym zadowoleniem. - Dziewczęta wypadły doskonale. - Nieznajoma z Londynu interesowała się sukcesami oraz niepowodzeniami jej podopiecznych. - Az kim mam przyjemność? - spytała. Nie miała najmniejszego zamiaru zdradzać komuś obcemu, że panna Wall i panna Hickey oblały.

- Jestem daleką krewną Cliony Kelly.

Nawet jeśli matka przełożona uznała, iż to ze wszech miar dziwne, że daleka krewna Cliony nie zadzwoniła bezpośrednio do Kellych, nie skomentowała tego ani słowem i z dumą wymieniła listę ocen celujących, jakie Cliona Kelly zebrała na egzaminach.

- A jej koleżanka Kit McMahan?

- Mary Katherine McMahan też spisała się znakomicie. W tym roku poziom zdających był bardzo wysoki.

298

- I jak rozumiem, dziewczęta przyjeżdżają z wizytą do Londynu.

Zatrzymają się w klasztorze, prawda?

- Owszem, ale skąd...

- Zamierzałam tam napisać, do osoby, którą siostra zechciałaby mi wskazać, żeby ustalić termin ewentualnego spotkania z Clioną. I czy może mi siostra powiedzieć, którego przyjeżdżają?

- Klasztor londyński prowadzi matka Lucy i to ona będzie opiekowała się naszymi dziewczętami. Przyjeżdżają dziewiątego sierpnia i spędzą w Londynie dziewięć dni. Przepraszam, jak pani godność?

- Bardzo dziękuję, siostrze Bernard. - Połączenie zostało przerwane.

Matka przełożona spojrzała na słuchawkę. Skąd ta kobieta wiedziała, z

kim rozmawia?

Podczas niedzielnej mszy siostra Bernard wdała się w rozmowę z Kellymi.

- Dzwoniła do mnie państwa krewna z Anglii. Pytała o wyniki egzaminów końcowych.

- Z Anglii? - zdziwił się Peter.

- Nasza krewna? - zdumiała się Lilian.

- Tak mówiła - odparła zaczepnie matka przełożona. Co też siostra Bernard mogła mieć na myśli? - pytali siebie nawzajem w drodze do domu.

- Może zaczyna mieć starcze przywidzenia? - spekulowała Lilian.

- Sprawia wrażenie osoby nader bystrej - odparł zamyślony Peter.

- Miejmy nadzieję, że doczeka egzaminów końcowych naszej Anny - westchnęła jak zawsze praktyczna Lilian.

...w trasę już ósmego sierpnia. Pisałam Ci, że nie będzie mnie w Londynie mniej więcej dwa tygodnie. Uważam, że to dla mnie wielka szansa. Mam nadzieję, że Twoje wakacyjne plany nabierają rumieńców i że przygotowałaś się już do rozpoczęcia nowego życia w Dublinie.

Jeszcze raz chcę Ci podziękować, że tak szybko dałaś mi

299

znać. Cieszę się, że napisałaś tego samego dnia, kiedy wywieszono wyniki egzaminów. Trzymałam za Ciebie kciuki nawet w czasie pracy. Wczoraj wieczorem razem z Ivy Brown, moją przyjaciółką, piłyśmy Twoje zdrowie.

Jakież to ekscytujące wreszcie dokądś wyruszyć!

- A co zrobię, jak przyjdzie Louis? - zapytała Ivy.

- Nie przyjdzie - odrzekła ponuro Lena. - Dobrze wiesz, że rzadko bywa

w domu.

- Ale nie zdarzyło się, by nie wrócił na noc - Ivy była przerażona.
- Nie, ale przecież Kit nie będzie szukała mnie w nocy. Na pewno się nie spotkają.
- A ty? Co będzie, jeśli wpadniecie na siebie na ulicy?
- W Londynie mieszka osiem milionów ludzi.
- Ale nie na naszej ulicy.
- Kit nie wie, że się przed nią ukrywam. Nie wie, że ja to ja. Uspokój się, Ivy.
- Ty też jesteś zdenerwowana.
- To dlatego, że będzie tu moja córka, że chcę ją zobaczyć.
- Mam okropne przeczucia. Naprawdę.
- Bzdury, Ivy. Po prostu przechowaj mnie w kuchni przez kilka wieczorów, to wszystko.
- Skąd wiesz, że przyjdzie cię szukać?
- Bo wiem.

Podróż była cudownym przeżyciem. Na promie spotkały wielką grupę irlandzkich robotników budowlanych, którzy po urlopie w domu z ulgą wracali do pracy. Płynęli do Anglii i do wolności.

- Dlaczego wszyscy śpiewają, że Irlandia jest taka piękna, skoro z niej wyjeżdżają? - spytała Kit.
- W tym tkwi sedno irlandzkich piosenek. Nabierają sensu tylko wtedy, kiedy śpiewa się je za granicą. - Clio знаła się na wszystkim.
- Coś takiego! - westchnęła Kit. - Jesteśmy za granicą.
- Prawie - rzekła wyniośle Clio.

- Jesteśmy na środku Morza Irlandzkiego, za pięciokilometrowym pasem przybrzeżnym. To już zagranica.

Mężczyźni zaprosili je do słuchania Róży z Tralee. Dla pięknych dziewcząt śpiewało się milej, zwłaszcza tę piosenkę.

- Naprawdę jedziemy do Londynu - szepnęła Clio. - Zobaczymy prawdziwych bikiniarzy, prawdziwe kawiarnie i w ogóle.

- Mhm... - mruknęła Kit.

Układała w myślach plan poszukiwań Leny Gray, przyjaciółki mamy, kobiety, która wiedziała o mamie więcej niż ktokolwiek inny. Postanowiła odszukać jej dom i spytać o nią panią Brown. A kiedy wszystkiego się dowie, zrobi Lenie niespodziankę: pojedzie do niej z wizytą.

Jeśli miały złe zdanie o siostrze Bernard, wkrótce przekonały się, iż w porównaniu z przeoryszą Lucy matka Bernard jest duszą dziką i swobodną. Matka Lucy założyła, że dziewczęta będą zainteresowane zwiedzaniem miejsc związanych li tylko z przeszłością i kulturą, wieczory zaś, po odmówieniu różańca w klasztornej kaplicy, będą spędzać na grze w ping-ponga i na gotowaniu kakao.

Dziewczęta bardzo chętnie obejrzały opactwo westminsterskie, muzeum Tower, planetarium i muzeum figur woskowych Madame Tussaud, były jednak mocno zawiedzione, bo siostra Lucy trzymała je na smyczy. Cały czas dręczyła je świadomość, że centrum wielkiego świata jest tak blisko i tak daleko zarazem.

- Zawsze możemy dać nogę - zauważyła Jane Wall.

- Tylko czy warto? - mruknęła Clio. - Wyobrażacie sobie to koszarne zamieszanie? Napiętnują nas. Pójdziemy do Soho na kawę, a wszyscy pomyślą, że robiłyśmy Bóg wie co.

- Cliono, znowu dzwoniła twoja ciotka - oznajmiła przeorysza Lucy trzeciego wieczoru.
- Moja ciotka? - spytała zaniepokojona Clio. - Mam nadzieję, że nic się nie stało.
- Nie. Pytała o program waszego pobytu w Londynie. Chciała się zorientować, czy macie czas wolny.

301

Clio spojrzała na Kit i wzruszyła ramionami.

- Po co jej to?
- Nie wiem. Skoro tak bardzo chce wiedzieć, kiedy i co robicie, może ma ochotę dokądś cię zabrać.

To ci dopiero zagadka! Ciotka Maura w Londynie.

- Będzie jeszcze dzwoniła? - zapytała Clio.
- Nie wiem, ale spodziewam się, że jeśli zadzwoni, skorzystasz z jej zaproszenia.

Clio spojrzała na Kit roziskrzonym wzrokiem.

- Jeśli zadzwoni, z przyjemnością się z nią zobaczę.
- Naturalnie, naturalnie... Nieco później Kit szepnęła:
- Maury nie ma w Londynie. Maura gra w golfa w Lough Glass.
- Wiem, ale to najwidoczniej cudowna pomyłka tych na górze: świętego Patryka i świętego Judy, patrona spraw beznadziejnych. Wyjdź, zadzwoń tu i poproś mnie do telefonu.
- Dokąd mam wyjść?
- Wszystko jedno dokąd. Na ulicy jest budka telefoniczna. Idź. Pomyśl, że siedzisz w łazience.

Kit odnalazła budkę i włożyła monetę do aparatu. Odebrała drobna

siostrzyczka zakonna, dyżurująca przy drzwiach.

- Czy mogę rozmawiać z Clioną Kelly? Mówi jej ciotka - powiedziała Kit. Zakonnica przełączyła rozmowę do świetlicy.

- Halo? - szepnęła Kit, przerażona, że zostaną zdemaskowane.

- Ciocia Maura! Jak to miło, że ciocia dzwoni. Rodzice mieli nadzieję, że ciocia się ze mną skontaktuje.

Kit słuchała bez słowa, tymczasem Clio sypała łągarstwami jak z rękawa.

- Tak, ależ oczywiście, wprost marzę, żeby spotkać się z ciocią jutro o piątej po południu. Nie, nie, siostra przełożona na pewno nie będzie miała nic przeciw temu, na pewno zwolni nas na kilka godzin, mnie i Kit.

- Ciotka w Londynie - westchnęła Jane Wall. - Ty to masz szczęście.

- Wiem - odrzekła Clio. - Człowiek zaczyna wierzyć w opatrzność.

302

- No i co? - spytała Clio. - Dokąd pójdziemy?

- Idź, dokąd chcesz, ja mam swoje sprawy - odrzekła Kit.

- No nie, Kit, nie możesz mi tego zrobić. Załatwiamy swoje sprawy, ale razem.

- Przecież sama mówiłaś, że to absurdalne, by takie dorosłe kobiety jak my siedziały uwięzane w klasztorze.

- Fakt, ale nie sądziłam, iż będziesz stroić fochy, pójdiesz w miasto i zostawisz mnie samą. W końcu to dzięki mnie będziesz mogła stąd wyjść. To moja ciotka jest w Londynie.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie masz tu żadnej ciotki. Ta biedna siostrzyczka przy drzwiach musiała się przesłyszeć.

- Ale tylko dzięki mnie mamy wychodne.

- Wcale nie. To ja poszłam do budki telefonicznej.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Clio.
- Nie powiem. Donikąd. Chcę poczuć się wolna.
- Czemu nie możemy być wolne razem? I trochę się przy okazji zabawić?
- Bo nie. I przestań wiercić mi dziurę w brzuchu. Rób, co chcesz.

Spotkamy się o dziesiątej i wszystko mi opowiesz.

- Czasami cię nie znoszę.
- Wiem, ja też cię czasami nie znoszę, ale na ogół dobrze nam ze sobą - odrzekła Kit.
- Nie pojmuję dlaczego - mruknęła Clio.

Kit miała mapkę, dzięki której wiedziała, gdzie wsiąść do metra, żeby dojechać do stacji Earl's Court. Jednak najpierw musiała potrząsnąć Clio.

- Odkąd skończyłyśmy piętnaście lat, na okrągło gadasz o Soho. Proszę, teraz masz okazję. Wystarczy wsiąść do autobusu, dojechać do...
- Spotykasz się z kimś. Wiem, że się z kimś spotykasz - powiedziała Clio.
- Tracimy czas. Wsiadasz czy nie?

Kiedy autobus zniknął z pola widzenia, uwożąc Clio, zbiegła po schodach na peron metra i wsiadła do pociągu linii Circle. Przynajmniej obejrzy sobie dom, w którym mieszkają Lena i Louis Grayowie. Zostawi im wiadomość,

303

może nawet porozmawia z panią Ivy Brown. Kilka razy pytała o nią w listach, ale nigdy nie otrzymała konkretnej odpowiedzi. Z podniecenia dławilo ją w gardle. Za dwadzieścia minut powinna dojechać na miejsce. Myślała, że ulica okaże się bardziej elegancka. Zawsze wyobrażała sobie, iż stoją przy niej domy z długimi podjazdami. Sądziła, że pani Brown jest ciotką Leny, w każdym razie jej krewną. Bogatą krewną, którą Lena i

Louis po trosze się opiekują. Jednak bez wątpienia trafiła na właściwą ulicę. I bez wątpienia znalazła właściwy dom, dom numer 27: pisała pod tym adresem niemal przez cztery lata.

Lena nigdy nie twierdziła, że mieszka w eleganckiej dzielnicy, ale też nie napomknęła słowem, iż jest to dzielnica tak pospolita. Z drzwi kamienic obłaziła farba, rdza zżerała balustrady przy zewnętrznych schodkach. Na chodnikach i w piwnicach stały kubły na śmieci. Nie, nie w takim sąsiedztwie powinna mieszkać przyjaciółka jej matki.

Kit zerknęła na swoje odbicie w szybie okna. Ubrała się bardzo starannie. Włożyła najlepszą spódnicę w szkocką kratę i żółtą bluzkę. Na szyi miała pasujący do spódnicy szalik, który dostała w prezencie od Maury. Jak tylko znalazła się za murami klasztoru, natychmiast uszminkowała sobie usta, to oczywiste. Z ramienia zwisała jej czarna torebka. Długie, falujące włosy związała elegancką wstążką. Miała nadzieję, że Lena doceni jej trud - o ile w ogóle się zobaczą. Zresztą co tam! Wystarczy, że pani Brown opowie Lenie, jaka to z Kit elegantka.

Zdenerwowana, by nie powiedzieć, że wręcz przestraszona - choć nie mogła zrozumieć, czego się boi - Kit McMahan zastukała do drzwi domu pod numerem 27.

W porze lunchu do agencji zajrzał Louis.

- Skoczmy na kufelek? - spytał Lenę.

Jessie Park zawsze patrzyła na niego z przyjemnością, bo nosił się godnie i był taki przystojny. Pogroziła mu palcem.

- Za rzadko pan do nas zagłada - powiedziała z udawaną powagą. W ciągu ostatnich lat Jessie zdecydowanie zmieniła się na korzyść. Normalna fryzura - ptasie gniazdo na głowie odeszło w niepamięć - elegancka szara

sukienka,

304

błękitno-złota apaszka, pomalowane paznokcie: Jessie Park wyglądała jak rasowa kobieta interesu.

- Czarująco pani dzisiaj wygląda, Jessie - zauważył Louis.

Jessie uśmiechnęła się i zarumieniła, co było do przewidzenia. Jak tylko Lena sięgała pamięcią, na Louisa reagowały tak prawie wszystkie kobiety. Była to reakcja na pochlebstwo. Niewinna przyjemność płynąca z faktu, że jest się docenianą i podziwianą.

Przeprosiła klientki. Musiało stać się coś ważnego. Louis nigdy nie odwiedzał jej w pracy. Ogarnął ją nagły strach. Czyżby przyjechała Kit? Może spotkała Louisa? Nie. Doszła do wniosku, że to niemożliwe.

Przecież dzwoniła do klasztoru. Kit nie miała szans na wyrwanie się spod opieki sióstr, ponieważ program pobytu ich grupy w Londynie był bardzo napięty.

Ramię w ramię ruszyli do pobliskiego pubu. Usiadła przy stoliku, on poszedł po drinki.

- Pamiętasz, jak namawiałaś mnie, żebym wziął w tym tygodniu urlop?

- Tak. - Błagała go, prosiła, obiecywała, że pojedzie z nim do każdego hotelu, dokąd tylko zechce ją zabrać. Ale odmawiał, twierdząc, że to niemożliwe, że go nie puszczą. Rozzłościł się przy tym, wytknął jej, iż nigdy nie przyjęła do wiadomości faktu, że i on ma swoje obowiązki zawodowe. Zrezygnowała z pomysłu.

- Jeśli tak bardzo potrzebujesz odpoczynku, to jedź sama - powiedział wtedy.

Ale Lena nie mogła wyjechać, wiedząc, iż w każdej chwili może

zaskoczyć ją Kit. Nie mogła ryzykować, że córka wpadnie przypadkiem na Louisa i wszystkiego się dowie.

Uśmiechnął się do niej ciepło, jak to on.

- No i widzisz, kochanie, jak dobrze się stało, że ci nie uległem i nie wzięłem urlopu?

- Tak? Dlaczego? - Robiła wszystko, żeby jej głos brzmiał pogodnie i rześko.

- Bo wysyłają mnie do Paryża - oznajmił triumfalnie.

- Do Paryża? - Zamiast serca miała ciężki kamień.

- Ale nie na zawsze. Tylko na dziesięć dni. Mam się

305

przyjrzeć pracy pewnego francuskiego hotelu. Jadę w ramach wymiany.

Do nas przyjeżdża jakiś Francuz. Wyobrażasz sobie, jak ten facet ożywi atmosferę w naszym „Drydenie”?

- Na pewno nie tak bardzo jak ty - odpowiedziała bezwiednie, automatycznie, lecz, co dziwne, wypadło to nie tak, jak trzeba. Jej słowa były zabarwione goryczą, brzmiały jak oskarżenie.

- No więc jadę.

- Jedziesz?

- Cóż, ty chyba jechać nie możesz, prawda?

- Sądzę, że dostałabym kilka dni...

- Nie masz paszportu - Louis patrzył jej prosto w oczy.

Oczywiście, że nie miała paszportu. Skąd zmarła kobieta miałaby wytrzasnąć paszport? Mógł do końca życia jeździć za granicę bez niej.

- Kiedy chcesz jechać?

- Chyba dzisiaj.

Głowa ciążyła jej tak bardzo, że z trudem zdołała unieść ją na tyle, by spojrzeć mu w oczy.

- Czy ty mnie w ogóle kochasz, Louis? - zapytała.

- Bardzo cię kocham - odparł. Zapadła cisza. - Wierzysz mi? - spytał po chwili.

- Nie wiem - odrzekła słabym głosem. W jego twarzy dostrzegła zniecierpliwienie. Nie znosił takich scen, ale była zbyt zmęczona, zbyt udręczona, aby się tym przejmować. Zresztą Louis wyjeżdżał. Niezależnie od tego, czy była wesoła i pogodna, czy załamana i przybita.

- Chyba powinnaś wiedzieć - zauważył. - Czy byłbym przy tobie, gdybym cię nie kochał? A przecież jestem, prawda?

- Prawda - zgodziła się zrezygnowana.

- Lena, nie odprawiaj mnie w drogę z poczuciem winy. To jest okazja, nasza szansa, właśnie to, na co czekamy. Robisz mi wymówki jak żona, a to do ciebie zupełnie niepodobne.

- Masz rację. Jestem zawsze pogodna i uśmiechnięta i udaję, że nie widzę, co się naprawdę dzieje.

306

- A niby co się dzieje? - zapytał lodowatym głosem.

- To, że traktujesz mnie jak zero. Wracasz do domu o najdziwniejszych porach...

- Boże, tylko nie to. Tylko bez scen w miejscu publicznym. - Chwycił się za głowę.

- Dzieje się to, że pozwalasz sobie na wszystko, na co tylko przyjdzie ci ochota. Nie musisz się ze mną żenić, bo przecież ja nie żyję. Nie musisz zabierać mnie za granicę, bo przecież umarłam i mnie pochowali. Myślałeś

o tym? Myślałeś? - w jej śmiechu pobrzmiwała nutka hysterii.

- Jezu, Lena, opanuj się! - przerażony rozejrzał się po sali.

- Nad sobą to ja panuję, tylko zupełnie nie panuję nad tobą.

To go rozsierdziło.

- I nie powinnaś. Przecież nie chcemy się wzajemnie pętać. Już to przerabialiśmy. Miłość nie polega na ustanawianiu zakazów: nie będziesz robił tego, nie będziesz robił tamtego...

- Iz całą pewnością nie na wyjazdach do Francji z jakąś cizią, z którą akurat sypiasz.

- Jesteś wstrętna, Leno. Zadzwoń do hotelu i spytaj, czy jadę na wymianę, czy nie. Zadzwoń i spytaj.

- Daj mi do czegoś prawo, choćby do odrobiny godności. Sądzisz, że zniżyłabym się do tego, by dzwonić do hotelu i sprawdzać, czy mówisz prawdę?

- Widzisz? Chcesz dowodu, a jak ci go daję, to unikasz potwierdzenia.

- Jedź do Paryża, Louis. Mam cię dość. Jedź i nie wracaj.

- Kto wie, czy tak nie zrobię - odparł. - A jeśli zostanę, pamiętaj, że to ty mnie tam wysłałaś.

Popołudnie było koszmarne. Jessie kilkakrotnie na nią spoglądała, ale Lena za każdym razem opędzała się od wszelkich pytań bądź wyrazów współczucia.

- Chyba nie stało się nic złego? - spytała Dawn.

- Ależ skąd! Louis wyjeżdża do Francji. Niewykluczone, że wpadnę do niego na weekend.

307

- Szczęśliwa z was para - orzekła z podziwem Dawn. O szóstej Lena z

ulgą nałożyła pokrowiec na maszynę do pisania, schowała dokumenty w zamykanej na klucz szufladzie i wyszła z biura. O tej porze na pewno nie zostanie go w domu. Już nie. Prosto z pubu poszedł pewnie spakować walizkę. Pytanie tylko, ile rzeczy z sobą zabrał. Tyle, żeby starczyło mu na dziesięć dni w Paryżu, czy więcej, tak aby pożyć bez niej trochę dłużej? I jak powiedział, to ona go tam wysłała. Chcąc odsunąć od siebie moment powrotu do domu, zaszła do pubu.

- Jest pani za piękną kobietą, żeby pić samotnie - powiedział barman, gdy kupowała dzin z tonikiem.

- No to niech pan ze mną pogawędzi, na pańskie ryzyko - odparowała. Roześmiał się, ale przytomnie się od niej odsunął. Coś w jej oczach ostrzegło go, że to nie żarty.

Ivy parzyła herbatę wyjątkowo urodziwej młodej Irlandce w świeżej żółtej bluzce i kraciastej spódnicy. Dziewczyna była młodszą wersją Leny: miała takie same lśniące, kręcone włosy i duże ciemne oczy.

- Inaczej sobie panią wyobrażałam. Od tylu lat wysyłam do pani listy i nigdy nie sądziłam, że jest pani taka... - Urwała.

- Jaka? - spytała Ivy, posyłając jej dla żartu groźne spojrzenie.

- No, taka młoda i wesoła. Miałam wrażenie, że jest pani stara i że ludzie przy pani cichną.

- Lena tak o mnie pisała?

- Nie. Nic o pani nie pisała. Zawsze pisała o mnie. Bardzo mało wiem o jej obecnym życiu, za to pewnie wszystko o czasach, kiedy znała moją mamę. Lena tak bardzo interesuje się wszystkim, co robię, że pewnie stałam się w listach egoistką...

- Uwielbia twoje listy, to wiem na pewno.

- Jaka szkoda, że jej nie ma!

Było w tym tyle zawodu i rozczarowania, że Ivy z trudem przełknęła ślinę.

308

- Hm... Pewnie nie dałaś jej znać, że przyjeżdżasz, bo gdyby o tym wiedziała, na pewno zostałyaby w Londynie.

- Chciałam jej zrobić niespodziankę.

- Nie wiedziałaś, że wyjeżdża? Nie pisała ci o tym?

- Pisała. Wie pani, to bardzo dziwne, ale miałam wrażenie, że może nie wyjedzie, że jej wyjazd nie jest tak zupełnie pewny. Myślałam, że może ją zastanę.

- I przyjechałaś na darmo.

- Nie, nieprawda, przecież poznałam panią. I wiem, gdzie mieszka Lena. To jedyna osoba, która opowiadała mi o mojej mamie. Bardzo się przyjaźniły. I rozumiem dlaczego. Lena umie tak wspaniale pisać, że kiedy czytam jej listy, mam wrażenie, iż z nią rozmawiam.

- Tak. Tak właśnie myślałam.

- Pewnie nie może mi pani pokazać ich mieszkania. Czuję, że Lena nie miałaby tego za złe.

- Nie, kochana. Lepiej nie. Wynajmuję mieszkania i gwarantuję lokatorom absolutną prywatność. To byłoby nie w porządku.

- Ale tu na ścianie wiszą klucze do wszystkich mieszkań.

- Owszem, ale mogę z nich korzystać tylko w sytuacjach wyjątkowych.

- A mój przyjazd nie jest sytuacją wyjątkową?

- Nie, kochanie. Jesteś osobą, której wizyty Lena nie będzie mogła

odżalować i z całą pewnością powie... - Ivy urwała. Ktoś dobijał się do

drzwi. - Przepraszam cię na sekundkę - powiedziała i skoczyła do wyjścia

z szybkością, o jaką Kit by jej nie podejrzewała.

Zanim Ivy zamknęła za sobą drzwi, Kit ujrzała w nich niezwykle przystojnego mężczyznę w białej, rozpiętej pod szyją koszuli i w spodniach z popielatej wełny. Wyglądał jak gwiazdor filmowy.

- Ivy... - zaczął.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, porozmawiajmy trochę dalej.

- Dlaczego? Pali się gdzieś? - Kit widziała, jak Ivy odciąga mężczyznę w głąb korytarza.

Rozejrzała się po zdumiewającym pokoju Ivy. Każdy centymetr kwadratowy ściany był pokryty obrazkami,

309

plakatami, programami teatralnymi, tekturowymi podkładkami pod kufle z piwem i maleńkimi wycinkami z czasopism. W tym pokoju nie można się nudzić - pomyślała. Aż chce się zostać dłużej. Ale nie mogła nadużywać jej gościnności. Wiedziała, że musi wyjść, jak tylko dopije herbatę. Tak, mogła co najwyżej napisać list do Leny, a potem powinna wyjść.

Miała wrażenie, że z korytarza dobiegają podniesione głosy. Ów przystojny mężczyzna, niezależnie od tego, kim był, nie zyskał aprobaty Ivy.

- Posłuchaj, wniosę tę skrzynię do mieszkania. Chyba nie chcesz, żeby ktoś skręcił sobie kark, a potem włączył cię po sądach.

- Sama ją wniosę, tylko później. Mówiłam już, że sobie poradzę.

Nawet nie chciał o tym słyszeć. Przepchnął drewnianą skrzynię przez drzwi, a kiedy podniósł głowę, zobaczył Kit.

- A niech mnie...

- Dzień dobry - Kit uśmiechnęła się.

Wyglądało na to, iż Ivy chce się go jak najszybciej pozbyć.

- Jeśli to już wszystko... - zaczęła.

- Dam ci swój klucz. Powieś go z innymi. Ktoś się po tę skrzynię zgłosi.

- Dobrze, już dobrze - ucięła Ivy. - Wszystko zrozumiałam. Szczęśliwej podróży!

- A kogóż to gościsz, Ivy? - zapytał z ciepłym uśmiechem.

- To moja znajoma, Mary Katherine... Zaskoczona Kit otworzyła usta.

- Miło mi, Mary.

- Mnie również... - powiedziała to z taką intonacją, jakby pytała go o imię.

Na ulicy zatrąbił klakson.

- Taksówka nie będzie wiecznie czekać - ponaglała go Ivy.

Wtedy wyszedł. Rozmawiali chwilę w hallu i przez okienko w drzwiach.

Mężczyzna usiłował cmoknąć Ivy w policzek, ale się od niego odsunęła.

310

- Kto to? Jest bosko przystojny.

- To ladaco, Kit. Wielkie ladaco.

- Dlaczego powiedziałaś, że mam na imię Mary Katherine?

- Twoja mama... - zaczęła Ivy, ale natychmiast z tego wybrnęła: - Lena mówiła mi, że twoja mama dała ci te imiona na chrzcie, że tak ci mówią w szkole.

- Kto by to pomyślał, że w Londynie tak dobrze mnie znają! - Kit aż zaklaskała z radości.

Ivy nie miała serca jej wypraszać. Bo dokąd by ta biedna Kit poszła? A skoro Lena jeszcze nie wróciła, to pewnie wróci późno. Zresztą uzgodniły, że nie wolno jej tu zaglądać.

- Kit, kochanie, poczekaj sekundkę. Muszę zostawić coś na górze. Zaraz

wracam. - Wbiegła na piętro z ołówkiem i z kartką w ręku. „Ona tu jest” - napisała i wsunęła kartkę pod drzwi. Potem zbiegła na parter, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Kit siedziała na swoim miejscu. Nie przeczytała nalepki na skrzyni Louisa. Nalepki, na której napisał, że skrzynia jest do odbioru i należy do Louisa Graya.

- Napijmy się jeszcze herbaty - zaproponowała Ivy.

- Jeśli tylko pani nie przeszkadzam...

- Nie, kochana. Cieszę się, że mnie odwiedziłaś. - Wiedząc, iż Lenie przyjdzie żyć życiem bez Louisa, doszła do wniosku, że dobrze będzie przekazać jej chociaż garść szczegółów z odwiedzin córki.

Otworzyły się frontowe drzwi. Ivy poderwała głowę. W jej oczach było coś tak dziwnego, że Kit też popatrzyła w tamtą stronę. Przez szybę w drzwiach dostrzegła zarys głowy ciemnowłosej kobiety. Zasłonka uniemożliwiała lepszy widok.

- Wszystko w porządku! - zawołała Ivy nienaturalnie wysokim głosem. - Zostawiłam ci wiadomość na górze! Nie musisz tu zachodzić! -

Odpowiedź była stłumiona, Ivy jej nie zrozumiała. - Zajrzę do ciebie później. Mam gościa. - Recytowała tekst jak kiepska aktorka.

Kit nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć, co kazało jej wówczas podejść do drzwi. Miała uczucie, że to Lena nieoczekiwanie wróciła do domu.

Kobieta, która wchodziła na schody, odwróciła się, słysząc szcęk klamki.

311

Stała tam. W kremowej sukience i kremowym zakiecie na ramionach, z długą błękitno-złotą apaszką na szyi, z twarzą obramowaną ciemnymi, kędzierzawymi włosami.

Kit wydała z siebie zdławiony okrzyk. Chwila przeciągała się w nieskończoność. Kobieta wciąż stała na schodach, Ivy Brown w progu drzwi, a Kit tuż przed nią, z rękami na szyi.

- Mama! - krzyknęła. - Mama! Kobiety milczały.

- Mama - powtórzyła Kit po raz trzeci. Lena wyciągnęła do niej rękę, ale Kit się cofnęła.

- Ty wcale nie umarłaś, ty uciekłaś. Ty się nie utopiłaś, ty po prostu od nas odeszłaś. Odeszłaś...

Błada jak ściana, wpatrywała się w postać na schodach.

- Kazałaś nam myśleć, że nie żyjesz! - krzyknęła ze zgrozą i z oczami pełnymi łez wybiegła na ulicę.

Rozdział szósty.

Ivy dogoniła ją przy światłach.

- Proszę cię - błagała. - Proszę cię, wróć.

Kit miała spopielałą twarz, jakby uszła z niej cała energia i życie. To już nie była ta sama radosna Kit, która kilka minut temu gawędziła u niej w pokoju. To była dziewczyna, która ujrzała ducha.

- Błagam cię, wróć - wyciągnęła do niej rękę, ale Kit się cofnęła. -

Przeżyłaś ogromny wstrząs. Nie stój tak na ulicy.

- Muszę iść... Muszę iść. - Kit rozbieranym spojrzeniem ogarnęła pędzące we wszystkich kierunkach pojazdy, obce, wielkie, czerwone autobusy i ludzi tak niepodobnych do mieszkańców Lough Glass. Londyński wieczór dudnił i huczał.

Ivy nie dotknęła dziewczyny, nie złapała jej za nadgarstek. Bała się, że Kit wyrwie się z uścisku i wybiegnie na oślep na jezdnię.

- Twoja mama bardzo cię kocha - powiedziała z nadzieją, że mówi to, co

trzeba.

- Moja mama nie żyje!

- Nie, nie...

- Ona nie żyje - mówiła Kit wysokim, histerycznym głosem. - Utopiła się w jeziorze, utopiła się, dobrze o tym wiem. Tylko ja o tym wiem, to nie jest moja mama, moja mama się utopiła...

Ivy doszła do wniosku, że musi wkroczyć do akcji. Objęła dziewczynę drobnym, lecz silnym ramieniem.

- Wszystko mi jedno, co teraz mówisz, i tak nie mogę

313

zostawić cię samej. Zabieram cię z powrotem. - I na wpół podtrzymując, na wpół ciągnąc Kit ze sobą, zaprowadziła ją do swojego mieszkania.

Leny już tam nie było. Pokój wyglądał tak jak dziesięć minut wcześniej, ściany były przybrane idiotycznymi ozdobami. Kit usiadła na tym samym krześle, z którego wstała, by spojrzeć na wchodzącą po schodach kobietę.

Co ją pchnęło do drzwi? A gdyby do nich nie podeszła? Miała wrażenie, że czubek jej głowy jest z papieru. Potem usłyszała ryk i podłoga skoczyła jej do oczu. Zewsząd dobiegały ją przytłumione krzyki.

Ktoś poklepał ją po twarzy i poczuła dziwny, wstrętny zapach, który mało jej nie zadusił. Tuż nad sobą ujrzała zaniepokojoną Ivy. Trzymała w dłoni niewielką buteleczkę.

- Nic nie mów, wachaj.

- Co to? Co to takiego?

- Sole trzeźwiące. Nazywają je sal volatile. Zemdlałaś.

- Ja nigdy nie mdleję - oburzyła się Kit.

- Już wszystko w porządku. Chodź, pomogę ci przejść na kanapę.

- Dokąd ona poszła? - Kit przypomniała sobie całe zdarzenie, jego grozę.
 - Na górę. Nie zejdzcie, póki jej nie zawołam.
 - Nie chcę jej widzieć.
 - Ciii... Już dobrze, dobrze. Oprzyj głowę o kolana, żeby poprawić krążenie.
 - Nie chcę.
 - Słyszałaś, co mówiłam? Nie przyprowadzę jej tutaj, dopóki nie będziesz gotowa.
 - Nigdy nie będę gotowa.
 - Dobrze. Teraz wypij filiżankę słodkiej herbaty.
 - Nie piję słodkiej...
 - Dzisiaj wypijesz - oznajmiła Ivy tonem nie znoszącym sprzeciwu.
- Mocna, słodka herbata trochę zaróżowiła dziewczynie policzki.

W końcu Kit zapytała:

- Jest tutaj od początku? Od samego początku? Od chwili, kiedy uznaliśmy, że nie żyje?

314

- Sama ci to powie.
- Nie.
- Napij się jeszcze i zjedz herbatnika. Proszę... Podawaliśmy to w czasie wojny, kiedy ktoś przeżył silny wstrząs. Pomagało. Teraz też pomoże. - Ivy robiła, co mogła.

Miała pomarszczoną twarz i małe, lśniące oczka, jak guziki. Była trochę podobna do przyjaznej, ciekawskiej małpki, którą Kit oglądała kiedyś w zoo. Nie mogła sobie przypomnieć, czy widziała ją wówczas, gdy pojechała do zoo z mamą, czy może rok później, gdy trafiła tam z

Emmetem podczas wyjazdu, który zorganizował im tata, żeby oderwać ich myśli od tragedii, jaka ich dotknęła.

Już chciała odmówić drugiej filiżanki, ale uświadomiła sobie, że Ivy Brown oprócz herbaty nie ma jej nic do zaoferowania. Przyjęła poczęstunek.

- Skąd wiedziała, że może tu przyjechać? - spytała Kit.
- Co masz na myśli?
- Przyjaźniłyście się wcześniej?
- Wynajmuję pokoje i mieszkania. To wszystko.
- Ale teraz już się przyjaźnicie.
- Tak, teraz tak.
- Dlaczego? - pytała Kit. Miała nieszczęśliwą, nic nie rozumiejącą minę.
- Dlaczego? Bo jest wspaniałą osobą. Któż nie chciałby się z nią przyjaźnić? - Ivy mówiła z ożywieniem, pogodnie i z rozmysłem wypaczała sens pytań. Na to pytanie nie miała zamiaru odpowiadać.

Słyszały tykanie zegara ściennego w pokoju i przytłumiony hałas ulicy. Na schodach rozległy się czyjeś kroki, ale nie były to kroki Leny. To para z trzeciego piętra, gdzieś wychodzili. Kit i Ivy wyteęzały wzrok, żeby przez firankę w drzwiach zobaczyć, kto to.

Kiedy usłyszały trzask zamykanych drzwi, Ivy oznajmiła z triumfem:

- A nie mówiłam, że nie przyjdzie tu, dopóki nie będziesz chciała jej widzieć?

Kit milczała.

- Może nawet czeka, że ty do niej przyjdiesz?
- Nie mogę.

- Niekoniecznie już teraz.

- Nigdy.

Znowu zapadła cisza.

- Mogę jej powiedzieć, że już doszłaś do siebie? - spytała wreszcie Ivy. -

Nie, nie ściągnę jej tutaj, to ci obiecuję. Ale ona na pewno chciałaby wiedzieć, jak się czujesz.

- Co ją to obchodzi, czy czujemy się dobrze, czy źle?

- Proszę cię, Kit, nie każ jej tam siedzieć w niewiedzy. Za chwilę będę z powrotem. - Kit milczała. - Tylko nie ucieknij.

- To nie ja uciekam.

- Ona ci wszystko opowie.

- Nie.

- Kiedy zechcesz tego wysłuchać - powiedziała Ivy i już jej nie było.

Kit słyszała, że Ivy weszła na górę i stanęła przy drzwiach.

To do tego pokoju tyle lat przysyłała listy adresowane do Leny Gray, listy, w których zdradzała najintymniejsze sekrety o mamie, w których pisała o jej grobie i o kwiatkach, jakie tam posadziła. Zwierzała się tej Lenie z tajemnic, których nie zdradzała nikomu, a cały czas ją oszukiwano.

Poczuła, jak narasta w niej wstyd i gniew. Nie, nie zostawi tak tej sprawy, nie wymknie się po cichu, jakby nic się nie stało. Mama żyje. Trzeba powiedzieć o tym tacie, Emmetowi, wszystkim.

Sytuacja była zbyt potworna, żeby Kit mogła z nią sobie poradzić. Świat znowu zawirował, jakby za chwilę miała zemdleć. Siłą woli opanowała zawroty głowy. Pójdzie na górę i porozmawia z matką. Dowie się, co się stało i dlaczego. Dowie się, dlaczego ich zostawiła, przyjechała do Londynu i zamieszkała przy tej ulicy, gdy tymczasem oni przeszukiwali

jeziro.

Weszła na schody. Postanowiła pukać do wszystkich mijanych po drodze drzwi, aż trafi na właściwe. Ale nie musiała tego robić. Już na pierwszym piętrze usłyszała głos Ivy.

- Wróć do niej, Leno. Dziewczyna przeżyła tak silny wstrząs, że lepiej nie zostawiać jej samej. - I właśnie wtedy

316

Ivy ujrzała na schodach Kit. Odsunęła się na bok, wpuszczając ją do pokoju.

- Kit? - Matka siedziała na krześle ze szklanką wody w ręce. Ramiona miała przykryte maleńką narzutą. Drżała. Najwyraźniej to Ivy ją przykryła. Ivy cicho zamknęła za sobą drzwi i zostały same. Matka i córka.

* *

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytała Kit. Przeszywała matkę spojrzeniem, mówiła chłodnym głosem. - Dlaczego kazałaś nam myśleć, że nie żyjesz?

- Musiałam - odparła beznamiętnie Lena.

- Wcale nie musiałaś. Jeśli chciałaś od nas odejść, od taty, Emmeta i ode mnie, mogłaś sobie iść. Mogłaś nam powiedzieć, że nas zostawiasz. Nikt by ciebie nie szukał, nie modlilibyśmy się za twoją duszę, nie myślelibyśmy, że jesteś w piekle... - Była tak rozemocjonowana, że łamał jej się głos.

Lena milczała. Miała rozszerzone z przerażenia oczy. Sprawy przybrały jak najgorszy obrót. Córka ją odnalazła, córka nią pogardzała, córka jej nienawidziła. Czy naprawdę musi jej coś tłumaczyć? Czy musi jej mówić, że to ojciec ją zdradził? Może powinna Martina chronić? Może niech Kit myśli, że został jej chociaż jeden rodzic godzien zaufania, że tylko matka

ją zawiodła?

Dziewczyna miała i temperament, i siłę. A Lena z listów znała jej sekrety. Teraz wszystko się skończyło. Ta myśl sprawiała jej równie dużo bólu jak widok otwartej szafy, w której wisały ubrania Louisa.

Wskazała jej krzesło, ale Kit nie chciała usiąść. Rozglądała się po pokoju, starając się trzymać twarz. Lena nie odrywała od niej wzroku.

Zastanawiała się, jak córka widzi jej mieszkanie. Żałowała, że nie może poznać myśli kłębiących się w dziewczęcej głowie.

Kit nabrała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

Podeszła do okna, odsunęła ciężką kotarę i wyjrzała na ulicę. Znowu sprawiała wrażenie kogoś, kto

317

toczy z sobą ciężką walkę o to, żeby zaufać własnemu głosowi.

Lena nadal siedziała. Oczy wciąż miała ogromne. Drżącą ręką odstawiła szklanekę z wodą. Miała uczucie, że wszystko wokół niej dzieje się jak na zwolnionym filmie.

- Powiedz coś - zaczęła.

- Dlaczego akurat ja? - spytała spokojnie. - Niby co miałabym powiedzieć? To ty powinnaś mówić.

- Zechcesz mnie słuchać?

- Tak.

- Podjęłam decyzję. Kochałam innego. Kochałam miłością tak silną, że zostawiłam dla niego ciebie, Emmeta i moje życie przy was.

- I niby gdzie jest teraz ten mężczyzna, którego tak bardzo kochałaś? - spytała z przekąsem Kit.

- Nie ma go tu.

- Ale dlaczego udawałaś, że nie żyjesz? - głos Kit był nienaturalnie spokojny, jakby lada moment miał się załamać.

- Nie udawałam. Tak niechcący wyszło.

- Ach tak... To teraz ty mnie posłuchaj. - Zdenerwowanie Kit wzięło górę.

- Posłuchaj mnie. Myślałam, że nie żyjesz, odkąd skończyłam dwanaście lat. Chodzimy z bratem na twój grób, modlimy się za ciebie w rocznicę twej śmierci. Tata mówi o tobie z takim smutkiem, iż na widok jego twarzy rozplakałby się nawet kamienny pomnik. Tymczasem ty jesteś tutaj... bo kochałaś innego, kogoś, kto ciebie nie kocha. I myślisz, że ludzie uważają cię za zmarłą przez czysty przypadek, że po prostu tak wyszło. Ty chyba zwariowałaś. Zwariowałaś!

Jej gniew zelektryzował Lenę. Zrzuciła kilimek z ramion i wstała, żeby spojrzeć córce w oczy.

- Nie zrobiłam nic, aby tak uważali - oświadczyła. - Nie kryłam przed twoim ojcem, że odchodzę. Zostawiłam mu wolny wybór. Chciałam, żeby wyjaśnił to znajomym i sąsiadom w taki sposób, w jaki uzna to za stosowne. Tyle mu byłam winna, chciałam ratować jego godność. Niczego nie żądałam. Nie miałam do tego prawa. Wyraziłam tylko nadzieję, że pozwoli mi się z wami widywać.

318

- Nieprawda, nie powiedziałaś tacie, że odchodzisz. Nie powiedziałaś. Nie wiem, co sobie wmawiasz, ale mnie nie oszukasz. To ja słyszałam, jak płakał po nocach w sypialni. To ja chodziłam z nim nad jezioro, kiedy je przeszukiwano. Byłam przy nim, kiedy wyłowiono te zwłoki. Cieszył się. Mówił, że wreszcie zaznasz spokoju. Nie wmawiaj mi, iż tato wie wszystko o... o całej tej maskaradzie. On nic o tym nie wie. - Rozgniewane

i zdenerwowane stały o kilka kroków od siebie.

- Skoro nabrał i ciebie, to musi być lepszym aktorem, niż przypuszczałam

- powiedziała z goryczą Lena. - Nigdy sobie nie wybaczę tego, co zrobiłam tobie i Emmetowi, ale wasz ojciec też nie jest bez winy.

Powiedziałam mu. On wie. Zostawiłam mu list.

- Co?!

- Długi list, w którym mu wszystko wyjaśniłam, nie prosząc o nic. Nie prosiłam go nawet o to, by zechciał mnie zrozumieć.

Kit aż się cofnęła.

- List! O Boże! - Przytknęła rękę do szyi. Pobladła. Kit McMahon, która tego dnia zemdląca pierwszy raz w życiu, czuła, że za chwilę zemdleje po raz drugi. Zachwiała się, gdy podłoga zaczęła się unosić, lecz po chwili zdławiła w sobie mdłości i zawroty głowy.

- Wiem, że mi nie wierzysz.

- Wierzę ci - odparła Kit zdławionym głosem.

- Wiedziałaś o liście?

- Ja ten list znalazłam i... i wrzuciłam do agi.

- Co takiego?!

- Spaliłam go.

- Spaliłaś? List adresowany do ojca? Na miłość boską, dlaczego to zrobiłaś?! Chryste, dlaczego?!

- Chciałam, żeby pogrzebano cię na cmentarzu - odrzekła prostodusznie Kit. - Gdyby dowiedzieli się, że popełniłaś samobójstwo, nie pozwoliliby cię tam pochować.

- Ale ja nie popełniłam samobójstwa! O Boże, dlaczego musiałaś się w to wtrącić?

- Myślałam, że...

319

- Skąd ci to przyszło do głowy? Jakim prawem podjęłaś taką decyzję? Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę!

- Wszyscy cię szukali. Ludzie zeszli nad brzeg z pochodniami, a sierżant O'Connor... Łódź wywróciła się do góry dnem...

- Na litość boską, gdybyś oddała ten list ojcu...

- Byłaś taka dziwna, taka nieswoja, nie pamiętasz? Dlatego myśleliśmy...

- To ty tak myślałaś, ty to sobie wmówiłaś.

- Myślało tak wielu ludzi.

- Skąd wiesz?

- Słyszałam, co szeptali.

- A śledztwo? A to przedstawienie, które urządzili wam Peter Kelly i twój ojciec, kiedy w zwłokach jakiejś nieszczęsnicy rozpoznali Helen McMahan?

- Myśleli, że to ty. Wszyscy tak myśleli.

- Ale kto to był? Czyje ciało leży w moim grobie? Kit patrzyła na nią jak porażona.

- Nie wiem. Pewnie ktoś, kto utopił się dawno temu. Lena nie zaprzętała sobie tym głowy.

- Coś takiego! Twój ojciec ważyłby się na wszystko, byleby tylko ukryć fakt, iż od niego odeszłam.

- Tato nie wie, że od niego odeszłaś - odrzekła cichutko Kit. - Dzięki mnie sądzi, iż nie żyjesz.

Lena spojrzała na córkę i dopiero teraz dotarła do niej cała groza minionych wydarzeń. Przez długie lata Martin naprawdę uważał, że

utopiła się w jeziorze niemal tuż przed progiem jego domu. Jak mogło dojść do tak groteskowej sytuacji?

- Czy on wie dlaczego? Myślał, że chcę go rzucić, i dlatego postanowiłam odebrać sobie życie?

- Nie, on nie uważa, że zrobiłaś to specjalnie. Myśli, że to był wypadek. Pewnie niewielu ludzi jest tego zdania, ale tato tak właśnie uważa. Często to powtarzał, mnie i Emmetowi.

Lena sięgnęła po paczkę papierosów. Odruchowo podsunęła ją Kit. Kit potrząsnęła głową. W pokoju, gdzie niedawno było głośno od krzyku, zalegała teraz martwa cisza, cisza tak głęboka, że odgłos tarcia zapalki o pudełko zabrzmiał jak trzask bicia.

320

Zdawało się, iż minęła cała wieczność, zanim Kit powiedziała:

- Przykro mi, że spaliłam ten list. Uznałam to za najlepsze wyjście.

I znowu zaległa długa cisza.

- Nie wiesz, jak bardzo przykro było mi was zostawiać, ale wtedy... wtedy... - Lena usiadła, Kit nadal stała.

- Mogłaś do nas wrócić. Mogłaś nam powiedzieć, że żyjesz, że to pomyłka. - Lena milczała. - Przecież równie dobrze mogłam tego listu nie spalić. Nie wiedziałaś, że go spaliłam. Ale nie, ty nie chciałaś nam nic powiedzieć, prawda? Nie przeszkadzało ci, że zostaliśmy sami, że myślimy... że myślimy...

- Znalazłam się w pułapce - odparła Lena. - Obiecałam waszemu ojcu...

- Sama ją na siebie zastawiłaś - przerwała jej Kit. - I nie mów mi tylko, co obiecywałaś ojcu. Wychodząc za niego obiecywałaś mu pewnie miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Niewiele sobie z tych obietnic robiłaś.

- Usiądź, Kit. Proszę...
- Nie, nie usiądę. Nie mam ochoty siadać.
- Jesteś taka blada. Jakbyś była niezdrowa...
- U nas nie mówi się niezdrowa, tylko chora. Zapominasz nawet słów...
- Usiądź, Kit. Nie mamy wiele czasu na rozmowę. Może to nasza jedyna okazja.
- Nie mam ochoty na miłe pogawędki.
- Ani ja.

Kit z ulgą opadła na krzesło, bo lada chwila zawiodłyby ją nogi.

- Co w tym wszystkim jest dla ciebie najgorsze? - spytała Lena.
- To, co zrobiłaś tacie. Zamilkły.
- A może to, co ty mu zrobiłaś? - spytała łagodnie Lena.
- O nie, to niesprawiedliwe. Nie zamierzam brać na siebie winy.
- Wcale cię o to nie proszę. Proszę tylko, żebyś ze mną porozmawiała.

Powiedz, co powinniśmy teraz zrobić.

321

- Jak mam z tobą rozmawiać? Nie widziałam cię, odkąd skończyłam dwanaście lat. Nie znam cię. Nic o tobie nie wiem. - Jakby się od niej odsuwała.

Lena nie miała odwagi otworzyć ust. Wszystko, co mówiła, wprawiało Kit w jeszcze większe zdenerwowanie. Więc czekała. W końcu nie wytrzymała.

- Przecież mnie znasz. Piszemy do siebie od lat... Kit popatrzyła na nią chłodnym wzrokiem.
- Mylisz się. To ty mnie znasz. Wiesz o rzeczach, o których nikt inny nie wie. Zwierzałam ci się w dobrej wierze. Za to ja nie wiem o tobie

absolutnie nic. Nic oprócz kłamstw.

- Pisałam ci prawdę! - wykrzyknęła Lena. - Pisałam ci, że mama bardzo cię kochała i była z ciebie dumna! Wciąż ci to powtarzałam.

- To kłamstwo. Nie napisałaś mi, że matka od nas odeszła, że uciekła z innym, że pozwoliła, byśmy uznali ją za zmarłą.

Oczy Leny rozbłysły.

- Ty też mi nie napisałaś, że wrzuciłaś do pieca mój list.

- Bo chciałam chronić jej reputację.

Lena poczyniła bolesne spostrzeżenie: córka mówiła o niej w trzeciej osobie. Jakby matka Kit rzeczywiście umarła. Jakby miało tak pozostać już na zawsze.

- Domyśliłam się z twoich listów, że mnie lubisz - spróbowała z innej beczki. - A przecież to ja jestem tą, która do ciebie pisała. I wszystko, o czym ci pisałam, jest prawdą. Pracuję w agencji pośrednictwa pracy, Louis pracuje w hotelu...

- Nic mnie to nie obchodzi. Chyba nie sądzisz, że to mnie interesuje. Chcę już iść.

- Nie idź, błagam cię. Po tym strasznym przeżyciu nie możesz chodzić po mieście sama.

- Dla mnie to nie pierwszozna - odpowiedziała z goryczą Kit. - Przeżyłam tamto, przeżyję i to.

- Usiądź, tylko na chwilę. Jeśli cię denerwuję, nie będę się odzywać. Ale nie chcę, żebyś była teraz sama, nie po takim szoku.

- Nie obchodziło cię to, kiedy... kiedy uciekałaś - Kit

322

przyciskała do ust zaciśniętą pięść, jakby próbowała zatamować nią łzy.

Lena wiedziała, że nie może jej ani przytulić, ani choćby dotknąć.

Dziewczyna była spięta, gotowa do ucieczki. Zatrzymywała ją w pokoju tylko konieczność zebrania w sobie siły i odwagi niezbędnej do wyjścia.

Powstrzymywała łzy. Widać to było po jej twarzy. Kit niemal gryzła kostki u rąk, aby tylko nie wybuchnąć płaczem.

Lena siedziała bez ruchu. Nie patrzyła na córkę. Oparła głowę na dłoni i wyjrzała przez okno na świat, gdzie ludzie żyli normalnym życiem.

Kit popatrzyła na nią.

Mama zawsze była taka. Mogła tak siedzieć w nieskończoność. Kiedy odpoczywały nad brzegiem jeziora, gdzie wszyscy biegali tam i z powrotem, pokazując sobie to czy tamto, mama trwała w idealnym wyciszeniu, nie odczuwając potrzeby rozmowy ani ruchu. A wieczorem, gdy całą rodziną zbierali się przy kominku, gdy tato pokazywał im karciane sztuczki, uczył trudnych do wymówienia wyrazów, podsuwał zagadki bądź grał z nimi w ludo, siedziała spokojnie, wpatrzona w płomienie, i milczała, głaszcząc po karku Farouka.

Wtedy życie wydawało się takie bezpieczne. Dlaczego się ten facet musiał przyplatać i zabrać im mamę? Gniew na mężczyznę, który zniszczył im życie, okazał się silniejszy niż łzy. Kit odzyskała mowę.

- Czy on o nas wie? - spytała w końcu.
- Kto? - pytanie Kit szczerze Lenę zaskoczyło.
- Ten mężczyzna, Louis, czy jak mu tam...
- Louis. Tak, wie o was, oczywiście, że wie.
- I mimo to cię zabrał? - spytała z niesmakiem Kit.
- Odeszłam z nim z własnej woli. Chciałam z nim odejść. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo tego pragnęłam. Gdyby było inaczej, jakże

mogłabym zostawić ciebie i Emmeta?

Kit zasłoniła uszy.

- Nie chcę tego słyszeć, nie chcę wiedzieć, czego chciałaś. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogłaś tego chcieć. Robi mi się niedobrze. - Była bardzo zdenerwowana,

323

miała zaczerwienioną twarz. Z trudem dopuszczała do siebie myśl, iż matka spółkowała z ojcem, nie wspominając już o tym, że mogła pragnąć innego. Lena zdała sobie z tego sprawę.

- Powiedziałam to tylko po to, żeby wziąć winę na siebie.

- Winę! - parsknęła Kit.

Lena przestraszyła się, że Kit zaraz odejdzie, że nagle wstanie i nie odwracając się za siebie, wyjdzie z pokoju.

- Co teraz zrobimy? - spytała ponownie.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Powiesz Emmetowi i ojcu, że... że sprawa wygląda inaczej, niż myśleli?

- Ty zawsze o tym wiedziałaś.

- Kit, proszę cię... Wiesz, że tego nie planowałam. To przez ciebie tak wyszło.

- Więc o co mnie pytasz? - spytała chłodno Kit. Zapadła długa cisza. Lena uniosła wzrok i spojrzała córce prosto w oczy.

- Chyba o to, czy chcesz, bym żyła, czy umarła. Kit milczała chwilę.

- Myślę, że skoro przez ostatnie pięć lat chciałaś być dla nas martwa, to... to tak powinno zostać - odpowiedziała powoli. Potem wstała i wyszła z pokoju. Lena miała wrażenie, iż zamyka się nad nią wieko trumny.

Ivy widziała, jak dziewczyna schodzi na dół i zbliża się do frontowych drzwi. Kit była teraz bardziej opanowana. Nie wyglądało na to, że ktoś musi ją podtrzymywać czy pomóc jej przejść przez jezdnię. Ale twarz miała martwą. Było w niej coś pustego i zimnego, czego Ivy przedtem nie widziała.

Ivy bardzo chciała pobiec na górę do Leny. Nade wszystko na świecie pragnęła pocieszyć kobietę, która jednego dnia straciła kochanka i córkę. Ale miała dość rozumu, by tego nie robić. Lena wiedziała, gdzie jej szukać. Gdy ochłonie, na pewno zejdzie do niej sama. Dopiero wtedy, nie wcześniej.

324

Kit trafiła do jakiejś kawiarni. Stała tam szafa grająca, a dziewczęta, rówieśnice Kit, puszczały płytę za płytą. Być takimi jak one - cudowne uczucie. Mieszkać w normalnym domu. Matki tych dziewcząt nie uciekły od rodzin i nie udawały, że nie żyją. Żadna z tych dziewcząt nie spotkała ducha. I wszystkie miały dosyć pieniędzy, by nastawiać płytę za płytą. Rozmawiały o chłopakach, z którymi chodziły na randki. Dwie z nich były kolorowe i mówiły z londyńskim akcentem. Pomyśleć tylko, jak się tu żyło: ludzie o różnych kolorach skóry, dziesiątki kawiarni na tej samej ulicy i w odróżnieniu od tego, co znała z domu, przechodnie rzadko kiedy się znali.

I właśnie tu, w takim miejscu, mieszkała jej matka od dnia, kiedy się utopiła w jeziorze.

Mama żyje -jak zareagowałby na to Emmet? Na pewno bardzo by się ucieszył. A tatuś? Co by powiedział tatuś, gdyby się o tym dowiedział? I znowu poczuła ten straszny ciężar w sercu. Nie, nie mogli się dowiedzieć.

Nie teraz. Za bardzo by ich to zraniło i unieszczęśliwiło.

A wszystko przez nią.

Jakże często w ciągu minionych lat zastanawiała się z poczuciem winy, czy paląc list matki postąpiła właściwie. Zawsze tłumaczyła sobie, że Pan Bóg zrozumie, iż działała z najczystszych pobudek. Chciała, żeby mama spoczęła na cmentarzu tak jak inni ludzie. Na cmentarzu, a nie za jego murami, jak zbrodniarka. To, co zrobiła, zrobiła z miłości do mamy. Ale kogo to teraz będzie obchodziło i kto zechce zrozumieć, że miała jak najlepsze intencje? Stworzyła sytuację najgorszą z możliwych. Dla wszystkich.

Kawa parzyła jej gardło.

Najlepiej by było, gdyby nikt się o tym nie dowiedział. Nigdy. Przecież... przecież to ona tego chciała. Szczupła kobieta siedząca w eleganckim mieszkaniu, kobieta, która twierdziła, że pragnęła Louisa, że go potrzebowała, czy coś w tym rodzaju - nie, Kit nie myślała o niej jak o matce. Po co Emmet miałby przechodzić przez to wszystko, przez co ona już przeszła? I tatuś. Co by się z nim stało, gdyby się dowiedział, że jego najdroższa Helen, którą tak bardzo oplakiwał, rzuciła go dla innego, dla niejakiego Louisa?

325

A w ogóle to gdzie on był, ten Louis? Skoro tak jej na nim zależało, to dlaczego w mieszkaniu nie było śladów jego bytności? Kit przypomniała sobie mężczyznę, który zaszedł do mieszkania Ivy. Ciemnowłosego mężczyznę, przystojnego jak aktor filmowy. Ale przecież to nie mógł być Louis, dokąd by wyjeżdżał? Zostawił wielką skrzynię swoich rzeczy, po którą ktoś miał się zgłosić później. Nie, to nie Louis. Poza tym był dla

matki o wiele za młody. Za młody, żeby zostać jej kochankiem.

Ktoś dotknął ramienia Kit. Wyrwana z rozmyślań, podskoczyła nerwowo.

Przecież ani mama, ani Ivy Brown nie mogły przyjść za nią aż do kawiarni.

Zobaczyła chłopaka, na oko osiemnastoletniego.

- Jesteś sama? - zapytał.

- Tak - przyjrzała mu się czujnie.

- Nie chciałabyś się do nas przyłączyć? - machnął ręką w kierunku stolika, gdzie siedziała grupa młodzieży. Uśmiechali się zachęcająco.

- Nie, dziękuję... bardzo wam dziękuję, ale...

- No chodź, nie możesz tu siedzieć sama, kiedy gra muzyka - namawiał chłopak.

Popatrzyła na niego nieufnie. Młodzież siedząca w grupie śpiewała i klaskała. Gdyby sprawy wyglądały inaczej, klaskałyby i one, Kit i Clio.

Nie, nie mogła się do nich przysiąść, śmiać się i udawać, że nie wydarzyło się nic złego. Ale nie mogła też ciągle rozmyślać o jednym i tym samym, bo wirujące na próżno myśli wyźłobiłyby w mózgu gorący, czerwony rowek.

- Dziękuję za zaproszenie - odrzekła z uśmiechem. Był najwyraźniej zadowolony, że zdołał przyprowadzić

do stolika ładną i dobrze ubraną dziewczynę. Uśmiechała się pogodnie i kiwała głową, gdy się jej przedstawiali. Ona też musiała się im przedstawić, bo wołali za nią po imieniu, kiedy oznajmiła, że musi już lecieć, i wybiegła z kawiarni, żeby złapać autobus do klasztoru.

Clio chodziła tam i z powrotem z nadętą miną.

- Spóźniłaś się - rzuciła.

- Nie, to ty przyjechałaś za wcześnie - odparła Kit.

326

Zawsze tak z sobą rozmawiały. Ale gdy Kit widziała Clio po raz ostatni, nie znała jeszcze straszliwej prawdy. Nie wiedziała, że mama wcale nie umarła, tylko uciekła z kochankiem. I że to ona pomogła jej w oszustwie, paląc list adresowany do taty.

- Co robiłaś? - Clio była obrażona, że pojechały do miasta osobno.

Kit wzruszyła ramionami.

- Głównie siedziałam w kawiarni.

- To wszystko? Ja zwiedziłam mnóstwo rozmaitych miejsc.

- To się ciesz.

- Rozmawiałaś z kimś? - Clio zmrużyła oczy, zżerała ją coraz większa ciekawość.

- Tak, z całą gromadą. Puszczali płyty w grającej szafie.

- Chłopcy tam też byli?

- Przede wszystkim chłopcy - Kit błędziła myślami daleko i od Clio, i od kawiarni.

- Jacy chłopcy?

- Zwyczajni. A ty co robiłaś? - wiedziała, że musi zachowywać się normalnie.

Ale Clio najwyraźniej nie przeżyła w Londynie żadnej przygody, która by ją usatysfakcjonowała.

- Chodziłam sobie to tu, to tam. Jak się nazywali?

- Kto?

- Ci chłopcy, których spotkałaś.

- Nie pamiętam. - Naprawdę nie pamiętała. Wstępując na schody do

klasztoru, Clio spojrzała na Kit z wyraźnym niepokojem w oczach.

- Kit, chyba nie miałaś z żadnym z nich stosunku, co? - spytała nieoczekiwanie.
- Jezu Maria, skąd ci to przyszło do głowy? - Clio nie przestawała jej zadziwiać.
- Bo jakoś tak... inaczej wyglądasz. Jak dobrze wiesz, zawsze można odróżnić osobę, która już to robiła, od tej, która jeszcze nie...
- Przykro mi, że ci sprawiam zawód, ale nie odbyłam stosunku z żadnym z tych chłopaków. Jakoś do tego nie doszliśmy. Może było tam za dużo ludzi? Sama nie wiem.

327

- Och, daj spokój, Kit, naprawdę jesteś odmieniona. Nie wiem, co to takiego, jednak dobrze cię znam i wiem, że coś się stało.
- Clio, zapewniam cię, że nie straciłam dziewictwa na kawiarnianym stoliku.
- W takim razie co się stało?
- Nic. Chodziłam po obcym mieście i czułam się obco. Była to właściwa odpowiedź. Clio kupiła wyjaśnienie.

Uznała, iż jej samotny wypad był smutną porażką, dlatego pocieszyła ją myśl, że Kit McMahon też nie robiła nic ciekawego. Tylko jedno było bardzo dziwne: Kit wyglądała tak, jakby coś się jej przydarzyło, jakby miała wypadek czy coś w tym rodzaju.

Tej nocy prawie nie spała. Aż do świtu wyglądała przez okno.

Zastanawiała się, czy matka też się martwi, tak jak ona. Pewnie nie, pewnie była z Louisem, którego tak bardzo pragnęła. Zaraz potem zadała

sobie pytanie, czy ten przystojny mężczyzna, który zostawił swój dobytek w skrzyni do odebrania w późniejszym terminie, nie mógł być Louistem. I nagle, z siłą bolesnego podmuchu zimnego wiatru, uderzyła ją pewna myśl: jeśli Louis odszedł i kłamstwo wyszło na jaw, to mama mogłaby wrócić do domu. Mogłaby wrócić do Lough Glass, by po latach odbudować dawne życie. Wrócić niczym duch do biednego taty, który uznał ją za świętą. I do Emmeta, który był małym dzieckiem, kiedy się utopiła. Przeszkodziłaby też Maurze Hayes w ślubie z tatą. Naturalnie, w tej sytuacji Maura nie mogła za niego wyjść.

I nikt nigdy by mamie nie wybaczył.

Twarz Kit to buchała gorącem, to znów była lodowato zimna. Kiedy nastał poranek, Kit czuła się nazbyt chora, żeby wraz z dziewczętami ruszyć na pieszą wycieczkę „szlakiem Dickensa”.

Siostra Lucy bardzo się zaniepokoiła.

- Często ci się coś takiego zdarza? - zapytała. Widziała, że dziewczyna ma wysoką gorączkę.

- Zaraz do siebie dojdę. Muszę tylko trochę poleżeć w łóżku. W miłym, ciemnym pokoju.

328

- Będę do ciebie zaglądać co godzinę - zapowiedziała przeorysza.

- To powstrzyma tę twoją galopadę - prorokowała Clio.

- Jaką galopadę? Nudzisz, Clio. W dodatku wciąż na tę samą nutę.

- Czy jak trafię na twoją kawiarnię, to mam im powiedzieć, że przyjdiesz się jeszcze zabawić? - Clio była zła, że Kit zostaje w klasztorze. Życie stawało się zabawniejsze, gdy miała przy sobie Kit. Tymczasem Kit istotnie wyglądała tak, jakby klęła się w niej mniej lub bardziej poważna

choroba.

Leżała na małym, wąskim łóżku w sypialni dla ośmiu dziewcząt. W ciągu roku szkolnego spało tu osiem Angielek. A w tym tygodniu w sypialni nocowały dziewczęta z Lough Glass. Mogły przyłożyć głowy do poduszek i zasnąć bez strachu, oplatającego serce niczym kolczasty drut.

Leżała w ciemnym pokoju z szeroko otwartymi oczyma i za każdym razem, gdy zakonnica do niej zaglądała, Kit udawała, że śpi. Dzięki temu unikała rozmów dotyczących przyczyny jej gorączki.

Lena nie spała. O szóstej rano wiedziała, że nie ma już szans na sen.

Wstała, ubrała się i zeszła na dół. Wepchnęła kartkę pod drzwi mieszkania Ivy: Porozmawiamy wieczorem - napisała. Nie musiała dodawać nic więcej. Ivy i tak będzie wiedziała, jak bardzo Lena jest wdzięczna za to, iż zeszłej nocy mogła zostać sama. Ivy rozumiała, że Lena nie usuwa jej ze swego życia, do którego niegdyś ją zaprosiła.

W biurze Lena zasiadła do listu do córki. Pisała i pisała, darła kartkę za kartką, wrywała kolejne stronice z maszyny. Próbowwała pisać ręcznie, ale również z marnym skutkiem. Kiedy zakołatały drzwi i do biura weszła Dawn Jones, Lena zdążyła już zrezygnować z pisania. Nie znalazła słów oddających miliony rzeczy, które należało powiedzieć. Odrzucone listy podarła na małe strzępki. Na drobinki wielkości konfetti, z których nie dawało się nic odczytać, zupełnie tak jakby traktowała tę czynność terapeutycznie.

Nikt nigdy nie mógł się dowiedzieć, że opanowana pani

329

Gray spędziła tę noc w udreće. I że w ciągu zaledwie jednego dnia odnalazła córkę, by ją zaraz utracić, że odszedł od niej mężczyzna, z

którym mieszkała pod jednym dachem pięć lat. Nie miała już po co żyć, jednak chciała ten dzień jakoś przetrwać. Rozważania, które zaprzętały jej głowę podczas bezsennych godzin, przywiodły ją do wniosku, że córka miała rację. Helen nie mogła teraz zmartwychwstać. Sprawiała wszystkim wystarczająco dużo cierpienia i bólu.

Lecz nagle, w niemiłym przeblysku pełniejszej świadomości, ogarnął ją strach, iż Kit może zmienić zdanie. Kiedy minie początkowe przerażenie i odraza, kiedy ustaną wyrzuty sumienia, że i ona odegrała w tej historii swoją rolę - w dobrej intencji zrobiła ów tragiczny gest i spaliła list, żeby oszczędzić matce hańby samobójstwa - Kit mogła zacząć myśleć inaczej. Mogła dojść do wniosku, iż jej powinnością jest powiedzieć Emmetowi, że matka żyje - Emmetowi i Maurze.

Poczucie winy wypływające z krzywdy, jaką uczyniła Martinowi, nie miało granic. Całkowicie się co do niego myliła. Ten człowiek całe lata żył w cieniu jej śmierci, w cieniu jej domniemanego samobójstwa. Kit mówiła, że miasto trzęsło się od plotek. Martin to wszystko przeżył, wychował dzieci w czci dla zmarłej matki. Nie można go było teraz pokazać światu jako człowieka, którego żona uciekła z innym mężczyzną i który dopuścił do tego, iż mieszkańcy miasta zaakceptowali kłamstwo o jej śmierci w wodach jeziora.

Nie, Martin zasługiwał na większą godność. Zasługiwał na trochę szczęścia. Trzeba ostrzec Kit, żeby wytrzymała, żeby się nie ugięła.

Tej nocy Lena myślała, że przyjdą do niej odpowiednie słowa, że znajdzie je jak wtedy, gdy siadywała za biurkiem, żeby pisać długie listy do córki rzekomo zmarłej przyjaciółki. Listy, których już nigdy nie napisze, na które już nigdy nie otrzyma odpowiedzi.

Lecz słowa nie przyszły.

Dawn była świeża jak poranek.

- Myślałam, że to ja jestem rannym ptaszkiem, ale okazuje się, że przyszła pani przede mną - zaświergotała.

330

Miała lśniące włosy, idealny makijaż i w błękitno-złotej garsonce wyglądała jak kanarek albo strojna papużka. Lena poczuła się staro, była bardzo zmęczona.

- Dawn, dzisiaj wyjdę z pracy trochę wcześniej. Bądź tak dobra, weź notatnik i przyjdź do mnie. Podyktuję ci listę spraw do załatwienia, którymi podzielisz się z Jessie.

- Oczywiście, pani Gray. - Dawn słuchała z wnikliwą uwagą.

Szcześciara - pomyślała Lena. Dawn, która spokojnie przespała całą noc, która miała tuziny adoratorów. Jediną decyzją, jaką będzie musiała powziąć po pracy, będzie wybór jednego z nich.

Wróciła do domu. Zapukała do drzwi Ivy.

- Ivy, znajdziesz minutkę, żeby wejść ze mną na górę? Lena sprawiała wrażenie tak kruchej i wątlej, że Ivy poważnie się zaniepokoiła.

- Zaprowadzić cię do lekarza? - spytała.

- Nie. Gdybyś tylko zechciała pomóc mi wejść na górę. Gdy Lena się rozebrała, aby położyć się do łóżka, do dużego łóżka, które dzieliła z Louistem, a które teraz było dla niej o wiele za szerokie i za puste, Ivy wzięła jej ubranie. Złożyła je, powiesiła na oparciu krzesła i podała Lenie nocną koszulę. Lena nałożyła ją przez głowę. Twarz miała poorly zmarszczkami bólu i zmęczenia.

Obie milczały.

W końcu Ivy powiedziała:

- To bardzo piękna dziewczyna. Masz wspaniałą córkę, Leno.

Nie mogłaby wymyślić nic skuteczniejszego: tama powstrzymująca łzy wreszcie pękła. Lena nie płakała od chwili, gdy się to wszystko zaczęło, ale słysząc, jak Ivy Brown wychwala piękno i serdeczność córki, którą na zawsze straciła, nie wytrzymała i zaczęła szlochać. Szlochała i szlochała, jak dziecko. Trwało to bardzo długo, ale w końcu Ivy przekonała ją, że warto by wydmuchać nos, po czym Lena opowiedziała jej o tragedii swego życia: o tym, jak wielkie zło nieświadomie wyrządziła jej Kit, przyczyniając się do tego, że Helen McMahan już nigdy nie będzie mogła wrócić do kraju, by spotkać się z rodziną.

331

- Chyba nie bardzo ci się podobało, prawda? - spytał Martin McMahan.

- Ależ nie, wprost przeciwnie, tatusiu. Wydałeś tyle pieniędzy i w ogóle...

- To nie ma znaczenia. Czasami wydajemy dużo pieniędzy na coś, co nie wypala. Było trochę za bardzo jak w szkole, co?

- Nie, było całkiem fajnie, przecież mówiłam. Wysyłałam ci pocztówki, wszystko widziałyśmy...

- Co podobało ci się najbardziej? - spytał Emmet. Kit przeszyla go spojrzeniem. Przypomniały jej się słowa matki: „Co w tym wszystkim jest dla ciebie najgorsze?” Przełknęła ślinę i poszukała odpowiedzi, która by go zadowoliła. - Chyba Tower.

- A skąd ta gorączka? - dociekał ojciec.

- Gorączkowałam tylko dzień, najwyżej dwa, to nic takiego. Wiesz, jakie są te zakonnice, robią zamieszanie o byle co.

- Clio opowiadała o tym Peterowi. Mówiła, że dwa dni leżałaś w łóżku.
- Clio jest jeszcze gorsza niż zakonnice, tatusiu.
- Nie daj Boże, usłyszysz cię biedna matka Bernard. Po tym, ile wysiłku włożyła w wasze wychowanie... - Udało się, ojciec przestał drążyć temat. Tak, Clio zawsze wszystko rozdmucha do niewyobrażalnych rozmiarów.
- A więc jesteś, panno McMahan - ksiądz Baily zawsze się tak z nimi witał, jakby udzielał im pozwolenia na dalsze istnienie.
- Jestem, proszę księdza - odrzekła złośliwie Kit. Otaksował ją baczny spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy Kit się z niego nie naśmiewa, ale nic nie zauważył.
- Powiedz mi, panno McMahan, co wynieśliście z wycieczki do Londynu.
- Wycieczka była bardzo interesująca, proszę księdza. Mieliśmy szczęście, że dano nam taką możliwość. - Kit mówiła z afektowaną sztywnością, jak mała dziewczynka recytująca to, co kazano jej wyrecytować.

332

Clio zachichotała.

- Tak, na swój sposób to ładne miasto - odrzekł ksiądz Baily. - Jeśli widzi się je takim, jakim jest, nie można znaleźć żadnych minusów.
- Kit zastanawiała się, czy można widzieć Londyn inaczej, ale doszła do wniosku, że to nie pora na sprzeczki ze starym księdzem.
- Czy ksiądz był w Londynie? - spytała.
 - Przejeżdżałem tamtędy dwa razy w drodze do Świętego Miasta.
 - A czy były tam wtedy kawiarnie? - zapytała Clio.
 - Nie mieliśmy czasu na chodzenie po kawiarniach - odrzekł ksiądz Baily.
 - No i dobrze - szepnęła Clio, gdy odeszły. - Pomyśl tylko, co mógłby tam zobaczyć.

- Czyż to nie wspaniały przypadek, że była pani w Londynie w tym samym czasie co nasza szkolna wycieczka? - spytała matka Bernard.
- Przypadek? - powtórzyła Maura.
- Prawda? Clio i Kit miały okazję się z panią spotkać. Siostra Lucy mi mówiła.
- Ach, siostra Lucy... - Maura była wielce skonsternowana, lecz nie dawała tego po sobie poznać.
- Cóż za przypadek! - powtórzyła matka Bernard.
- W rzeczy samej... - odrzekła Maura, marszcząc brwi.
- Clio, pozwól na chwilę.
- Tak, ciociu?
- Czy matka Bernard coś poplątała, czy też ktoś powiedział jej, że byłam w Londynie w tym samym czasie co wy?
- Przysięgam, że to nie ja. Przysięgam, ciociu.
- W takim razie kto?
- Nie mam zielonego pojęcia, ale jakaś głucha zakonnica powiedziała, że dzwoniła nasza ciocia, więc natychmiast tę sposobność wykorzystaliśmy.
- Clio zachichotała. - Jakby Bóg ją nam zesłał. Nie odrzuca się okazji zesłanej przez niebiosy, prawda?

333

- I dokąd to poszłyście, wykorzystując tę zesłaną przez niebiosy okazję?
- Nie wiem, dokąd poszła Kit, była bardzo tajemnicza. A ja? Właściwie to się wynudziłam. Podziwiałam wystawy sklepowe, zaglądałam do kawiarni i barów, udając, że kogoś szukam...
- I nie sprawdziłaś, co to za ciotka o was wypytywała? Clio wzruszyła ramionami.

- Nie, pomyślałam sobie, że choć raz miałam szczęście. Ale wychodzi na to, iż się myliłam.

Orla Dillon, obecnie Orla Reilly, odwiedziła sklep matki.

- Dlaczego nie mogę ci pomóc, mamusiu? Zawsze narzekałaś, że ci nie pomagam.

- To było kiedyś, gdy tu mieszkałaś. Teraz mieszkasz z mężem i chcę, żebyś do niego wróciła.

- Boże, mamo. Od czasu do czasu trzeba wyjść z domu. Powiedziałam mu, że potrzebujesz pomocy w sklepie.

- To źle mu powiedziałaś. A kto dogląda dziecka?

- Jego matka. Ta stara prukwa ma wreszcie coś do roboty.

- Powiedziałam raz i więcej tego powtarzać nie będę: nie masz tu nic do roboty, Orlo.

- Proszę cię, mamo...

- Powinnaś była wcześniej o tym pomyśleć. - Matka miała hardą twarz. Nagły ślub Orli nie sprawił przyjemności rodzinie.

Clio i Kit przeglądały czasopisma. Zanim któreś kupiły, zwykle udawało im się przeczytać pięć innych. Clio podsłuchiwała rozmowę między Orlą i jej matką.

- Małżeństwo wcale nie jest takim cymesem, jak powiadają - szepnęła.

- Co? - spytała Kit.

- Znowu odpłynęłaś - skostatowała Clio. Rozmowa z Kit przypominała ostatnio gadanie do ściany. Nic ją nie interesowało.

Przyszedł prospekt z college'u hotelarskiego Saint Mary na Brugh Street.

Od trzech dni leżał na stoliku w holu.

- Nie otworzysz? - spytała Rita. - Podają tam pewnie

wszystkie szczegóły na temat obowiązującego stroju i w ogóle.

- Oczywiście, że otworzę - odrzekła Kit. Ale nie otworzyła.

- Hotelarstwo? - powtórzyła pani Hanley z odzieżowego. - Hotelarstwo...

Hm, bardzo ładnie. Więc nie wybierasz się na uniwersytet, jak Clio?

- Nie. Chciałabym poznać ten zawód. To podobno świetna szkoła. Uczą tam gotować, prowadzić księgi rachunkowe i wielu innych rzeczy.

- Twój ojciec nie jest rozczarowany, że nie idziesz na uniwersytet? Wiem, iż bardzo mu na tym zależało.

Kit spiorunowała ją wzrokiem.

- Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówił. Nigdy. Może wrócę do domu i go spytam. Nic o tym nie wiedziałam i gdyby nie pani...

- Zaczekaj - powstrzymała ją zatrwożona pani Hanley - może się myłę, nie warto denerwować ludzi.

Oczy Kit pałały wściekłością. Nie wiedziała, że pani Hanley tak bardzo wstydzi się tego, iż jej córka pracuje w taniej dublińskiej knajpcie. Deirdre nie podawała nawet do stołu, po prostu sprzątała ze szczotką i ścierką w rękę. Zżerał ją taki wstyd, że robiła, co mogła, by tylko pomniejszyć znaczenie kariery zawodowej i przyszłości innych mieszkańców Lough Glass.

Nie miała pojęcia, że ta dziewczyna może z rozsierdzoną, zaczerwienioną twarzą nie zważać ani na słowa, ani na ich znaczenie i że to ta wzmianka o ojcu wyzwoliła tę burzę.

Kit źle sypiała i nie potrafiła skoncentrować się za dnia. Co będzie, jeśli matka napisze z Anglii albo, co gorsza, jeśli przyjedzie do Lough Glass? Co będzie, jeśli spokojna przyszłość, którą ojciec zdawał się akceptować,

pryśnie na ich oczach jak mydlana bańka?

- Emmet, śmierdzi od ciebie wódką - zauważyła Kit.
- Naprawdę? Myślałem, że już nie.
- Co myślałeś?!
- Nikomu nie powiesz?

335

- Czy kiedykolwiek powiedziałam?
 - Michael Sullivan, Kevin Wall i ja... piliśmy koktajl.
 - Nie wierzę.
 - Tak, koktajl ze zlewek. Przed knajpą Foleya znaleźliśmy furę butelek, zliśmy resztki do słoika i wymieszaliśmy jak w shakerze.
 - Ty chyba oszalałeś, Emmet. Zupełnie oszalałeś.
 - Szczerze mówiąc, smakowało paskudnie. Był tam głównie wodnisty porter, bo z butelek po whisky i po brandy nie dawało się prawie nic wycisnąć.
 - Co za wstyd! - powiedziała Kit.
 - Tak czy inaczej, dzięki, że mi powiedziałaś. Umyję zęby.
 - Po co, u licha, to zrobiłeś?
 - Żeby coś zrobić. Człowiek bywa tu trochę samotny, nie uważasz?
- Kit spojrzała na brata i zagryzła wargę. Powiedzieć mu?
- Jak się masz, Kit? - zawołał Stevie Sullivan.
 - Niezbyt dobrze.
 - Żal serce ściska, że taka piękna dziewczyna jak ty jest w kiepskiej formie - uśmiechnął się do niej krzywym, ale jakże pociągającym uśmiechem.
- Równie dobrze mógłby uśmiechać się do ściany.

- Lepiej wpłynąć na swego braciśka i zabronić mu wydawania przyjęć z koktajlami za knajpami Foleya i Paddlesa.
- Co ci się nagle stało? Zostałaś członkinią stowarzyszenia na rzecz całkowitej abstynencji? Idziesz śladami ojca Mateusza, apostoła wstrzeźliwości?
- Nie, po prostu wolałabym, żeby mój brat nie wracał do domu śmierdząc wódą.

Stevie kiwnął głową.

- Dobra.
- Co dobra?
- Wpłynę na niego.
- Dzięki. - Weszła do domu. Idąc schodami na górę, zastanawiała się, dlaczego zareagowała tak gwałtownie na coś, co było tylko szczeniacką zabawą. Przecież się nie upili. Po prostu udawali dorosłych.

336

Wmówiła sobie, że robi to dla ojca. Tatuś przeżył wystarczająco dużo. I czeka go coś znacznie gorszego. Tak, ponieważ zdała sobie sprawę, iż tej tajemnicy nie będzie w stanie dochować - to przekraczało jej możliwości. Nie będzie w stanie jej ukryć, jak ukrywała przed światem fakt, że spaliła list matki. Wszystko wyjdzie na jaw, absolutnie wszystko, ich życie legnie w gruzach.

Śniło jej się, że mama wróciła do domu, że jedli z nią podwieczorek w kuchni. „Nie bądźcie zbyt surowi dla Kit” - mówiła. Siedzieli razem, Rita stała za nimi, a Kit wyglądała jak wyrzutek na drugim końcu stołu. I słyszała we śnie głośny szloch Maury.

- Mam dla ciebie miły prezent na początek kariery zawodowej - pani

Hanley wręczyła Kit płaskie pudełko.

- To bardzo miło z pani strony.
- Otwórz, zobacz, czy ci się podoba.

Była to cytrynowa bluzka z krótkimi rękawami, coś, czego Kit w życiu by nie nałożyła. Ale pod zakietem mogłaby wyglądać całkiem znośnie.

- Jest piękna, bardzo dziękuję.
- Wczoraj wyrwałam się jak filip z konopi, a ty byłaś tak miła, że puściłaś to mimo uszu.

Kit popatrzyła na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem. Nie miała pojęcia, o czym kobieta mówi. Wszystko było ostatnio takie dziwne. Od powrotu z Londynu nie pamiętała prawie nic z tego, co robiła. Tak, wszystko było jakieś takie... zawieszony, nierzeczywiste.

Noce i dni nie miały końca. Spała, a raczej próbowała spać, zwinięta w rogu wielkiego łóżka, które kiedyś z taką radością dzielili.

W biurze pracowała jak maszyna, praca straciła dla niej wszelki sens.

Żadnych planów kolacyjnych z Louistem, żadnego biegania do domu, aby złapać go w przerwie między zmianami i spędzić z nim chociaż godzinę.

Nie mogła uwierzyć, że jej urodziny przejdą bez najmniejszego echa.

Louis był we Francji i pewnie zapomniał. Kit była w Irlandii i pewnie nie pamiętała. Pozostali znajomi

337

z Irlandii uważali ją za zmarłą. Ivy? Ivy być może wiedziała, ale była na tyle taktowna, by zdać sobie sprawę, że w tym roku nie ma czego obchodzić.

Podczas sobotnich lunchów, gdy zamykano drzwi agencji, gratulowała sobie, że wytrzymała kolejny tydzień. Kto wie, może tak będzie wyglądała

reszta jej życia, chyba że córka nie wytrzyma napięcia. Chyba że ją zdemaskują, że odkryją, iż żyje - choć ma się kiepsko - tu, w Londynie, że spędza czas w pustym łóżku mężczyzny, który ją porzucił tak samo, jak ona porzuciła własnego męża.

Niektóre dni były jeszcze trudniejsze. Kiedyś przyszła do niej pewna wdowa. Szukała pracy na pół etatu, ponieważ o czwartej po południu musiała być w domu, żeby zadbać o syna wracającego ze szkoły.

- Widzi pani - zwierzała się Lenie - on ma trzynaście lat, a dzieci w tym wieku potrzebują matki.

Ku jej zdziwieniu oczy pani Gray wezbrały łzami.

- Tak, chyba tak - odpowiedziała poważnie. - Spróbujmy czego się da, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego zajęcia. - I Lena rzuciła się w wir poszukiwań. Jakby pomagając tej kobiecie w widywaniu syna, wyciągała rękę do Emmeta.

Dużo o nim myślała. Może byłby dla niej mniej surowy, może nie potępiłby jej tak żarliwie jak Kit. Jakkolwiek by na to patrzeć, to chłopiec zupełnie niewinny. On nie spalił żadnego listu. Czy istniał jakiś sposób, aby do niego napisać i zawiadomić go, że matka żyje? A może ta droga wiedzie prosto do szaleństwa?

No i Martin. Martin, którego tak niesprawiedliwie osądziła. Czy rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby pozostała wśród zmarłych, jak chciała tego Kit? Ale przypuśćmy, że Kit zmieni zdanie i zamiary. Czyż nie istniało prawdopodobieństwo, iż ulegnie i wszystko wyzna? Czy nie byłoby uczciwiej wobec Martina powiedzieć mu wszystko już teraz, powiedzieć mu osobiście, niż pozwolić, aby dowiedział się prawdy z drugiej ręki?

Przyrzekła mu kiedyś, że nigdy nie porzuci go bez wyjaśnienia, ale Martin był jak dziecko we mgle. Czy pragnęła mu powiedzieć to tylko dlatego, że zostawił ją Louis? A może Martin tak by pomyślał?

338

Gdy nie spała, myśli czmychały na wszystkie strony jak myszy.

A kiedy spała, śniła, że wrócił do niej Louis. Budziła się skurczona i przemarznięta, by uświadomić sobie, że to nieprawda. Pewnej nocy przyśniło jej się, iż wróciła do Lough Glass: wysiadła z autobusu przed klasztorem i szła przez miasto, mijając po drodze Lakeview Road, która prowadziła do domu Kellych, i pocztę, gdzie Mona Fitz zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Listonosz Tommy chciał wyjść, żeby z nią porozmawiać, ale Mona zawołała go z powrotem. Widziała drganie firanek w oknie posterunku policyjnego po drugiej stronie ulicy, ale nikt nie wyszedł na dwór, aby się z nią przywitać. Pani Hanley wywiesiła na drzwiach sklepu tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, aby uniknąć spotkania.

W drzwiach baru Foley'a stał posepny tłum. Warsztat Sullivana świecił pustkami, sprzedawcy ze sklepu z artykułami żelaznymi Walla odwrócili się w drugą stronę. Ksiądz Baily truchtał spiesznie Church Road, udając, że jej nie widzi. Zmęczona zawróciła i przeszła na drugą stronę ulicy z nadzieją, że kogoś tam spotka, ale drzwi knajpy Paddlesa były zamknięte, a pani Dillon nie chciała z nią rozmawiać. Dan i Mildred O'Brienowie z „Centralnego” uciekli wzrokiem w bok.

Wreszcie dotarła do apteki.

- Wróciłam! - zawołała na schodach.

Nikt jej nie odpowiedział. Na szczycie schodów stanęła ubrana na czarno

Rita.

- Obawiam się, że nie może pani wejść. Nasza pani nie żyje - powiedziała smutnym głosem.

- To ja jestem twoją panią! - krzyknęła Lena we śnie.

- Wiem, ale nie może pani wejść.

W tym momencie obudziła się, zlana potem. To prawda. Nie miała po co żyć. Równie dobrze mogła być martwa.

Straszliwie brakowało jej listów od córki. Zagląwanie do Ivy nie miało sensu. Kit już nigdy nie napisze. A przyjaciółka zmarłej matki już nigdy nie otrzyma nowych wieści.

339

Kit brakowało listów od matki. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, opowiedzieć o tym, co czekało ją w życiu, o college'u hotelarskim, o psim przywiązaniu Philipa O'Briena, o rosnącej apodyktyczności Clio. Lena Gray, do której pisała, na pewno umiałaby jej we wszystkim doradzić - we wszystkim z wyjątkiem tego, co się naprawdę popsuło.

Tak, bardzo brakowało jej listów. Siostra Madeleine już nie wsunie jej do ręki koperty z angielskim znaczkiem pocztowym, którą zabierze do domu, by przeczytać list w swoim pokoju. Świadomość, iż Lena ją oszukiwała, sprawiała, iż listy te stały się zupełnie bezwartościowe. Nie mogła znieść myśli o tym, o czym mówiły. Nie, już jej nie wierzyła. W niczym.

Przyszła pocztówka od Philipa. Pisał z Killarney.

Droga Kit!

Dostałem wakacyjną pracę w hotelu, który widzisz na zdjęciu. Zdjęcie własnego hotelu na pocztówce, wyobrażasz to sobie? Cóż za chełpliwość!

Nie mogę się doczekać rozpoczęcia zajęć. A Ty? Będziemy mieli do przodu, bo ostatecznie z sobą chodzimy, a tamci muszą znaleźć sobie nowych przyjaciół.

Całuję Philip.

Droga Kit!

Twój Ojciec powiedział mi, że zamieszkaż w akademiku na Mountjoy Square, i jestem pewna, że jako słuchaczka college'u hotelarskiego znakomicie się tam poczujesz.

Zdaję też sobie sprawę, że największą radość sprawi Ci w Dublinie poczucie swobody, niezależności od domu i od wszystkiego, co wiąże się z rodzinnymi stronami. Chciałabym, byś wiedziała, że mam bardzo wygodne mieszkanie przy Rathmines. Jeśli kiedykolwiek zechcesz mnie odwiedzić, będzie mi bardzo miło. Ale przede wszystkim chciałabym Cię zapewnić, że nie zamierzam siedzieć w domu i czekać, aż do mnie wpadniesz. Kończę pracę o wpół do szóstej i jeśli pogoda sprzyja, godzinę później często wychodzę na golfa. Albo do

340

kina czy też do przyjaciół. Czasami oni odwiedzają mnie i zostają na kolacji.

Piszę Ci o tym, ponieważ chcę, żebyś wiedziała, iż nie szukam towarzystwa, ani też nie zamierzam Cię pilnować, gdy zamieszkaż w Dublinie. Jednak na wszelki wypadek, gdybyś kiedyś zechciała przyjść do mnie na kolację, podaję Ci swój numer telefonu.

Szczerze oddana Maura.

Drogi Michaelu Sullivanie!

Pisze do Ciebie życzliwy. Widziano Cię, jak spijasz zlewki z butelek na

zapleczu pubów w Lough Glass.

Musisz z tym skończyć.

I to natychmiast.

W przeciwnym razie dowie się o tym sierżant O'Connor.

I ksiądz Baily.

A przede wszystkim Twój brat, który tak Cię zleje, że tyłek Ci odpadnie.

Zostałeś ostrzeżony.

Drogi Philipie!

Bez względu na to, co czeka nas w Dublinie, na pewno nie będziemy z sobą chodzić. Chcę, byś wiedział o tym od samego początku, żeby uniknąć wszelkich nieporozumień.

Całuję (ale tylko pod warunkiem, że właściwie to zrozumiesz)

Kit.

- Chcą, żebym przyjechała do Dublina - oznajmiła Rita.
- O Chryste! Prowadzisz tu wszystko po mistrzowsku.
- Już prawie pora, Stevie.
- Ale ta twoja jeszcze się do niego nie wprowadziła.
- Jeśli masz na myśli panią Hayes i pana McMahona, to są bardzo bliskimi przyjaciółmi. Ale masz rację, jak na razie o zaręczynach nie wspominają.
- Myślałem, że ze mną zostaniesz, że pomożesz mi prowadzić warsztat.

341

- Twoja matka mnie nie aprobuje, Stevie.
- Nie zwracaj na nią uwagi. Bierz przykład ze mnie.
- Każe mi opróżniać kosze na śmieci, szorować garnki i robić przepierki, a to niezbyt przyjemne.

- Daj spokój, Rito, przecież tego nie robisz. Matka wydaje ci polecenia, a ty odmawiasz. To tylko taka zabawa.

- Dla mnie to nie zabawa.

- Nie mogę w to uwierzyć. Musi istnieć jakiś inny powód.

Zaproponowano ci lepszą pracę?

- Nie, to nie to.

- W takim razie co?

- Byłam nikim, teraz jakoś mnie trawicie. Chcę wyjechać gdzieś, gdzie mnie w pełni zaakceptują.

- Przecież dobrze ci płacę.

- Gdybym wyszła na ulicę, płaciliby mi jeszcze lepiej. Pieniądze to nie wszystko.

- Dobra, zgoda, haruję tu jak wół i nie mam czasu na uprzejmości.

- Dla klientów jesteś bardzo uprzejmy. I dla ludzi, którzy mogą załatwić ci przedstawicielstwo Forda.

Stevie był oszołomiony.

- To prawda.

- I dla dziewcząt, które wpadną ci w oko, i dla bankierów, którzy mogą dać ci kredyt, i dla tych, którzy zamierzają kupić samochód.

- Jesteś dobrą obserwatorką.

- Tak, i szczególnie podoba mi się to, co widzę.

- Jezus Maria, Rito, strasznie mnie zawstydziłaś. To wszystko, co mogę powiedzieć.

- To zabawne, ale myślę, że mówisz szczerze.

- No więc jak? Już wszystko w porządku? Dałaś mi nauczkę, będę grzeczny jak aniołek - uśmiechnął się do niej uwodzicielsko.

Rita roześmiała się.

- Dzieciak z ciebie, Stevie, to na mnie nie działa.
- Więc co mam zrobić?
- Nic, naprawdę nic. Wystarczy, że wystawisz mi dobre referencje, i dziś wieczorem wyjadę. Zostawiam wszystko w idealnym porządku.

342

- Nie, nigdy ode mnie nie odejdiesz.
- Odchodzę od twojej matki, to bliższe prawdy.
- Ona nie ma z tym nic wspólnego.
- W takim razie co robi w twoim biurze?
- Twarda jesteś. Kto cię tego nauczył?
- Pani McMahan, niech Bóg ma ją w opiece.
- Wątpię, czy zechce. Helen McMahan popełniła samobójstwo.
- Za dużo gadasz, Stevie.
- Dam ci podwyżkę. Zostań, Rito. Proszę.
- Nie, mimo to dziękuję.
- I kogo ja wezmę na twoje miejsce?
- Starszą kobietę. Kobietę starszą ode mnie.
- Ile ty masz lat, Rito? Jesteś jeszcze młodą dziewczyną.
- O dobre pięć lat starszą od ciebie.
- Cóż to znaczy w dzisiejszych czasach!
- Zatrudnij kogoś starszego. Kogoś, kto da sobie radę z twoją matką.
- Co mam napisać w referencjach? Rita uśmiechnęła się.
- Już je napisałam.
- Nie mogę w to uwierzyć, Rito - powiedział Martin McMahan. -
Naprawdę nie mogę w to uwierzyć.

- Pora, żebym odeszła, proszę pana.
- Czy mógłbym cię w jakiś sposób zatrzymać?
- Był pan dla mnie bardzo dobry, chętnie kogoś panu znajdę. Kogoś na moje miejsce.
- Nikt ci nie dorówna, Rito.
- Chciałam zaproponować panu moją młodą kuzynkę. Przychodziłaby tylko rano, trochę by posprzątała, poprasowała, umyła warzywa... Pewnie zechce pan zorganizować tu wszystko inaczej, poprowadzić dom po swojemu. - Wyraźniejszej aluzji zrobić nie śmiała. Nadeszła pora, żeby Martin McMahon ożenił się z Maurą.

Maura Hayes otworzyła list. Był napisany na maszynie, a na znaczku pocztowym widniał stempel pocztowy Lough Glass.

343

Ten list może wydać się Pani listem dość niezwykłym i jeśli poczuje się Pani urażona, dojdę do przekonania, że bardzo się myliłam...

Maura szybko spojrzała na podpis. Rita Moore. Nic jej to nie mówiło. I nagle zrozumiała. Dziewczyna pracująca u Martina McMahona pisała, że odchodzi. Że w Lough Glass są dwie wolne posady. Gospodyni domu i księgowej w warsztacie samochodowym naprzeciwko.

- Ta młoda Kit McMahon... Czy coś między wami jest? - spytał syna Dan O'Brien w przeddzień jego wyjazdu do college'u hotelarskiego przy Brugh Street w Dublinie.
- Co masz na myśli, tato?
- Dobrze wiesz.
- Nie, nie wiem.
- W takim razie zapytam inaczej. Macie się ku sobie? Zamierzacie z sobą

chodzić?

- A gdyby nawet?

- Gdyby tak było, to chcę cię ostrzec, że ta dziewczyna jest trochę nieźrównoważona, jak jej matka, i nie chciałbym, żebyś się z kimś takim zadawał.

- Wielkie dzięki, ojcze.

- Nie mów do mnie tym tonem.

- Jakim tonem?

- Mildred, porozmawiaj z nim.

- Chyba nie ma sensu. Philip postanowił iść w ślady współczesnej młodzieży.

- Siostrze Madeleine, chciałam siostrze coś powiedzieć. Coś na temat tych listów z Londynu.

- Co takiego?

- Myślę, że przyjaciółka mojej matki będzie pisała do mnie do Dublina, do akademika.

- Tak, naturalnie.

- Po prostu nie chciałam, aby siostra pomyślała sobie, że przesądzam sprawę albo że mam przed siostrą jakieś tajemnice.

- Nie, oczywiście, że nie. Problemy pozornie skomplikowane

344

są bardzo często niezwykle łatwe do rozwiązania. - Pustelnica nie przejęła się zbyt utratą posady listonoszki. - Tak czy inaczej, kiedy człowiek jest w moim wieku i zaczyna rozmawiać z liskami, ptakami i motylami, które zlatują tu pod koniec lata, nie wie już, co jest jawą, a co tylko snem.

- Myśli siostra, że wszyscy mają jakieś sekrety?

- Naturalnie. Oczywiście, jedne są ważniejsze, inne mniej ważne.

Kit spojrzała na nią niepewnie. Chciała zapytać o coś jeszcze, ale trudno jej było ująć to w słowa.

- A gdyby siostra o czymś wiedziała... Gdyby siostra wiedziała, że trzeba z czymś skończyć, coś powstrzymać... - Oczy pustelnicy były błękitne jak niebo i Kit nie umiała z nich nic wyczytać. - Zastanawiałam się, czy gdyby coś takiego miało się komuś przytrafić, to czy ten ktoś powinien to w jakiś sposób zmienić? No, wie siostra, czy powinien wszystko wyznać, czy też pozwolić, żeby życie toczyło się swoim torem?

- Bardzo trudne pytanie - skostatowała ze współczuciem pustelnica.

- Pewnie musiałyby siostra wiedzieć trochę więcej, zanimby siostra odpowiedziała, prawda?

- Nie, nie. Nie potrafiłabym odpowiedzieć na to pytanie bez względu na to, kto by mi je zadał. Pytający musiałyby odpowiedzieć na nie sam. I odpowiedziałby, słuchając swego serca.

- Tak, wiedząc, czego pragnie, co wcale nie znaczy, że byłoby to rozwiązanie właściwe.

- Gdyby pomogło innym, gdyby ich uszczęśliwiło... - Siostra Madeleine nie dokończyła.

Nie po raz pierwszy Kit stwierdziła, że pustelnica interpretuje prawa boże w sposób bardzo wygodny i wielce uproszczony, czego oficjalne kręgi kościelne nie mogłyby całkowicie zaakceptować.

* * *

Co tydzień kupowała gazetę. Czytała ją od deski do deski, pragnąc, żeby zawierała więcej wiadomości o samym

Lough Glass, a mniej o okolicznych wioskach i miasteczkach.

Początkowo towarzyszył jej strach. Strach, że w Lough Glass doszło do wielkiego skandalu, że wszystko się wydało. Ale w miarę upływu tygodni zdała sobie sprawę, że Kit nie załamała się pod ciężarem tajemnicy, którą odkryła. Że nikt nie napisze artykułu demaskującego wielki błąd, jaki popełniono przed laty przy identyfikacji zwłok.

Przeczytała, że do college'u hotelarskiego Saint Mary przyjęto dwoje słuchaczy z Lough Glass. O Kit pisano jako o córce Martina McMahona, znanego aptekarza, i jego zmarłej żony Helen McMahon.

Czytała o nowym systemie kanalizacyjnym, o naprawie nawierzchni dróg, o batalii na rzecz oświetlenia ulic. Widziała zdjęcie przystanku autobusowego, przeczytała pełen oburzenia artykuł, gdy zdemolowali go jacyś wandale.

A pewnego dnia nieoczekiwanie przeczytała, że ogłoszono zaręczyny Martina McMahona, aptekarza z Lough Glass, i Maury Hayes. Długo siedziała bez ruchu. Potem przeczytała wiadomość raz jeszcze.

Kit McMahon musiała być silną dziewczyną, skoro potrafiła to przełknąć. Dopuści do tego, żeby jej ojciec został bigamistą? W jej wieku? Wiedząc, że matka żyje, znajdzie w sobie odwagę, by pójść do kościoła na ceremonię, która będzie jedną wielką błagą? Tak, naprawdę twarda z niej dziewczyna, bo nie każdy potrafiłby znieść gniew Kościoła albo nawet państwa, gdyby prawda wyszła na jaw.

Albo jest niezwykle dzielna, albo nienawidzi jej do tego stopnia, że wmówiła sobie, iż matka naprawdę nie żyje.

Kit wiedziała, że postępuje słusznie. Nie dręczyły jej żadne wątpliwości. Siostra Madeleine miała rację: trzeba iść za głosem sumienia.

Lecz niepokoiło ją jedno. Co będzie, jeśli dowie się o tym Lena? Co będzie, jeśli Lena zechce wyjawic prawdę? Może przyjechać w ostatniej chwili. Byłoby niewybaczalne, gdyby zepsuła ojcu jego wielki dzień i wystawiła narzeczonych na pośmiewisko całego miasta. Jednak w tej sytuacji nie mogła do niej napisać, nie mogła jej prosić o żadną przysługę.

346

Wyszła z domu Leny wiedząc, że robi słusznie. Ich matka już dla nich nie istniała, przynajmniej nie w tym sensie co kiedyś. Kit nie mogła do niej wrócić, by pełzając u jej stóp, błagać ją i przekonywać, żeby nie przyjeżdżała do Lough Glass, żeby nie burzyła szczęścia, które przyszło do nich tak niespiesznie. Będzie musiała modlić się z nadzieją, iż Lena nigdy nie dowie się o ślubie ojca. Zresztą niby jakim cudem miałyby się dowiedzieć? Nie utrzymywała kontaktów ze znajomymi z Lough Glass, a wiadomość o ślubie na pewno nie trafi na łamy gazet.

Trudno było modlić się o to w sposób konwencjonalny, dlatego Kit wznosiła długie modły, w których omijała kwestię prawa bożego, regulującego sprawy małżeńskie.

Ostatecznie Bóg też pragnie naszego dobra, prawda?

Lena rozmyślała nad tym bardzo długo.

Martin trzymający za rękę Maurę Hayes. Martin wypowiadający słowa, jakie mówią narzeczeni na całym świecie. Martin prowadzący Maurę do domu, do swego łóżka. Maura zasiadająca na honorowym miejscu przy kuchennym stole. Maura na uroczystości zakończenia roku szkolnego w college'u Kit. Maura kupująca ubranie Emmetowi...

Do późna paliła papierosa za papierosem. Cóż znaczy jeszcze jedna nie przespana noc? Tyle ich miała za sobą.

Nad ranem podjęła decyzję. W przerwie na lunch pojechała autobusem na jedną z najelegantszych ulic Londynu i spędziła dwie godziny wybierając sukienkę dla córki. Kazała ją sobie starannie zapakować i poszła na pocztę. Zaadresowała paczkę do Kit McMahon, słuchaczki pierwszego roku college'u hotelarskiego przy Cathal Brugha Street w Dublinie. I szybko, żeby w ostatniej chwili nie zmienić zdania, wrzuciła do paczki karteczkę ze słowami: Pomyślałam sobie, że zechcesz nałożyć ją na ślub. L.

Zostawiła paczkę w okienku i natychmiast wyszła, żeby nie ogarnęły jej wątpliwości.

Nie powiedziała Ivy ani o sukience, ani nawet o ślubie Martina i Maury. Uznała, że tak jest lepiej. Była dzięki temu mniej podatna na ciosy, mniej osamotniona.

Śniła o dzieciach każdej nocy. O Emmecie, który wszędzie

347

jej szukał - za głazami na brzegu jeziora, za drzewami w lesie - i który zawsze przywoływał tymi samymi słowami: „Wiem, że tu jesteś. Proszę cię, wyjdź, wróć do mnie, wróć”. I o Kit w nowej sukience z Londynu, która stojąc murem przed wejściem do kościoła mówiła: „Nie możesz tu wejść, nie masz prawa przychodzić na ślub. Leżysz na cmentarzu.

Pamiętaj o tym i odejdź stąd”.

Maura Hayes poświęciła przygotowaniom wiele uwagi.

Uznała, że ślub powinien być skromny, ale nie przaśny. Pobiorą się w Dublinie. Tak, w Dublinie, z dala od oczu wścibskich mieszkańców Lough Glass. Druhną będzie Lilian, a drużbą Peter. A może popełniają błąd?

Jakkolwiek by na to patrzeć, Peter był drużbą Martina na jego pierwszym

ślubie, gdy pełen nadziei na przyszłość McMahon zenił się z Helen. Ale jeśli nie Peter, to kto? Martin nie miał bliskich przyjaciół w Lough Glass ani nigdzie indziej. Nie, wykluczenie Petera byłoby posunięciem błędnym i perfidnym.

Zamierzała wystąpić w kremowej sukni i w niebieskim kapelusiku z kremową wstążką.

Jej ślubne plany zaskoczyły dublińskich przyjaciół, którzy nie mogli sobie wyobrazić, że ta rozsądna, rozmiłowana w golfie Maura wkrótce będzie mężatką. Owszem, opowiadała im o jakimś wdowcu, o aptekarzu z małego miasteczka, o jego dzieciach, które bardzo lubiła i które zdawały się zadowolone, że Maura wychodzi za ich ojca. Nie mogli się nadziwić, że już znalazła pracę w Lough Glass: czekała na nią posada księgowej i administratorki szybko rozwijającego się zakładu motoryzacyjnego. Zakład mieścił się po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko jej nowego domu.

Poza tym jej siostra była żoną miejscowego lekarza i mieli tam doskonałe pole golfowe. Koledzy, koleżanki i przyjaciele Maury okazywali wstrzemięźliwą radość z jej decyzji. Wśród zaproszonych miał być ksiądz Baily z Lough Glass, ale ślubu udzieli im znajomy ksiądz z dublińskiej parafii. A na lunch zaproszą około dwudziestu osób.

Maura przyjrzała się starej fotografii ślubnej Martina, tej z 1939 roku.

Mieli wtedy sześćdziesięcioro gości. Rozpoznała

348

wśród nich brata i siostrę Martina, członków cichej, rozproszonej rodziny, która spotykała się tylko na pogrzebach i ślubach.

Tym razem ich nie zaproszą. Wyglądałoby to tak, jakby Martin

przymawiał się o drugi prezent. Rozpoznała też swoją siostrę Lilian, młodą i niewinną, odszukała na zdjęciu Petera z surową miną oraz druhnę, dziewczynę imieniem Dorothy. Ale najdłużej wpatrywała się w twarz pięknej Helen Healy, kobiety, którą Martin McMahon pokochał miłością szaloną i nierozsądną.

Pewnego dnia nad jeziorem o wszystkim jej opowiedział. Mówił szczerze, chciał być sprawiedliwy względem siebie, względem Helen i Maury.

Wyznał jej wtedy, że Helen wypełnia mu umysł niczym pył niesiony burzą.

Jeszcze raz zbadala wzrokiem oblicze młodej Helen. O czym myślała, pozując do zdjęcia? Miała nadzieję, że lata spędzone u boku tego serdecznego, dobrego człowieka uśmierzą ból po stracie mężczyzny, który ją zostawił, którego kochała, którego, chciała poślubić? Owalna twarz, duże ciemne oczy, łagodny uśmiech. Lecz nawet postronny obserwator, ktoś, kto nie znał całej historii, mógł stwierdzić, że w wyrazie twarzy panny młodej jest coś dziwnego i nienaturalnego. Helen spoglądała w dal, w pustkę za obiektywem aparatu, patrzyła na coś, czego nie dostrzegał nikt inny.

Maura odłożyła rozmyślenia na później i wróciła do swojej listy.

O'Brienów z hotelu zaprosili głównie dlatego, aby ich pocieszyć. Dan i

Mildred mieli nadzieję, że przyjęcie odbędzie się w „Centralnym”. A

Philip? Zaprosić go z Kit? Maura będzie musiała ją o to zapytać. Głupotą jest zakładać, iż młodzi ludzie lubią się tylko dlatego, że razem dorastali.

Ivy zadzwoniła do agencji Millara.

- Przykro mi, ale pani Gray rozmawia z klientem - poinformowała ją

Dawn. - Może ja postaram się pani pomóc?

- Nie, kochana. Powiedz jej, że dzwoni Ivy. Zajmę jej tylko pół minutki.
- Wiem, że jest pani jej przyjaciółką i w ogóle, ale pani

349

Gray rozmawia z poważnym przedsiębiorcą, który może zapewnić nam bardzo wielu klientów. Nie jestem pewna, czy podziękuję nam za to, że jej przerywamy.

- Podziękuję, na pewno nam podziękuję.
- Przepraszam, pani Gray, ale pani Ivy Brown bardzo nalega. Czy mogę ją z panią połączyć?
- Tak, Dawn, dziękuję - odrzekła nieporuszona Lena. Ivy wiedziała, iż Dawn będzie podsłuchiwać.
- Leno, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale odwiedził mnie pan Tyrone. Szukał klucza, więc powiedziałam mu, że dałam go tobie.
- Bo mi go dałaś - odrzekła wesoło Lena.
- W takim razie pewnie chcesz, żebym powiedziała mu, kiedy będziesz w domu.
- Tak, niech przyjdzie wieczorem, najwcześniej o ósmej, i dziękuję, że zadzwoniłaś. - Lena odłożyła słuchawkę.

Lecz Ivy pozostała na linii dopóty, dopóki nie usłyszała cichego kliknięcia świadczącego o tym, iż Dawn odłożyła swoją. Uśmiechnęła się do siebie ponurym uśmiechem. Nigdy dotąd nie musiały korzystać z kodu. I jak szybko Lena go podchwyciła. Kiedyś, chichocząc wesoło i plotkując, uznały, że Louis jest superprzystojny, że wygląda jak gwiazdor filmowy. Że przypomina Tyrone'a Powersa.

Ivy nie zamierzała dawać Dawn satysfakcji i zdradzać jej, iż chimeryczny mąż pani Gray wrócił do domu. A już na pewno nie chciała zdradzać ani

jej, ani nikomu innemu, że Lena, która wyczekiwała go z takim utęsknieniem, chętnie przyjmie go z powrotem.

Była ósma. Co znaczyło, iż Lena musi być u fryzjera.

Grace była w filozoficznym nastroju.

- Ależ skąd, wcale nie postępujesz głupio. Wprost przeciwnie. Musisz wyglądać jak najlepiej, bo jeśli zostanie, docenisz swój wysiłek, a jeśli sobie pójdzie, stwierdzisz, że wyglądasz tak wspaniale, iż bez trudu znajdziesz sobie innego.

- Ale ja nie chcę innego.

- Oczywiście, w tym sęk. Cały wszechświat się wokół tego kręci, prawda?

Ivy wysprzątała pokój. Wypolerowała stolik przy oknie

350

i postawiła na nim szklany wazon ze złocistymi różami. Odprasowała kilka bluzek Leny i zmieniła prześcieradła. Wyrzuciła resztki pospiesznie jedzonych posiłków, paczki lekko szcerstwiałych herbatników, kupiła świeży chleb, szynkę, pomidory. I butelkę wina. Nie chciała przesadzić, żeby nie wyglądało na to, iż Lena się go spodziewała, i żeby nie odniósł wrażenia, że w rozpaczy po stracie ukochanego zapuściła mieszkanie. Ostatnimi laty Ivy modliła się niezbyt często, lecz tego dnia już od rana prosiła Najwyższego, by zechciał uświetnić powrót Louisa Graya. Tak, tym razem Bóg znajdzie coś, co sprawi, że Louis zostanie z Leną na zawsze.

Po drugiej stronie ulicy była mała knajpka, gdzie robotnicy jedli sążniste kanapki, które zapijali herbatą z wielkich kubków. Siedział tam Louis Gray. Opalony, elegancko ubrany, zupełnie nie pasował do otoczenia, mimo to klienci szybko go zaakceptowali, ponieważ umiał rozmawiać z

ludźmi, no i wypytywał ich o szanse poszczególnych koni na wyścigach następnego dnia. Kątem oka cały czas obserwował drzwi domu pod numerem 27.

Siedział tam od godziny. Ivy powiedziała mu, że Lena wróci o ósmej, że się go nie spodziewa. Gdy ją dostrzegł, przeprosił swoich rozmówców i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Chciał złapać Lenę na schodach. Zobaczył jej stopy znikające za rogiem.

- Leno! - zawołał cicho.

Obejrzała się promienna i pewna siebie. Kobieta, za którą obejrzałby się każdy mężczyzna. Lśniące włosy - te same włosy, którymi zawsze tak się zachwycał - idealny makijaż. Żadna inna kobieta wracająca do domu po długim dniu pracy nie wyglądała tak pięknie jak ona. Podeszedł bliżej. Pachniała świeżością, a w jej dużych, roztańczonych oczach dostrzegł zainteresowanie i zdziwienie.

- Proszę, proszę - powiedziała powoli.

- Nie wstąpiłaś do Ivy.

- Nie, nie zachodzę do niej codziennie. - Rozmawiali jak starzy przyjaciele.

Ruchem głowy wskazał szczyt schodów.

- Mogę wejść?

351

- Przecież to twój dom, Louis. Oczywiście, że możesz. - Gdzie nauczyła się tak znakomitego aktorstwa? Podziwiała samą siebie.

- Zwróciłem klucz Ivy. Mówiła, że go masz.

- Owszem, mam. - Wiedziała, że podczas jej nieobecności Ivy podrzuciła klucz na górę. Gdy wchodzili do świeżo wysprzątanego mieszkania, serce

wesbrało jej miłością dla przyjaciółki z dołu. Dzięki niej mieli idealne warunki do pojednania, do obietnic i zapewnień, do miłosnej nocy. A w szklanej wazie na kominku, tam gdzie trudno było go nie zauważyć, leżał klucz. Lena wyjęła go i wręczyła Louisowi.

- Kupiłem szampana.

- To miło - Lena była spokojna i twarda jak stal; hartowała się cały dzień.

- Pomyślałem sobie, że jeśli wpuścisz mnie do domu, będziemy mieli co oblewać; jeśli nie, to wypiję sam, żeby się pocieszyć - uśmiechnął się do niej swoim chłopięcym uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech. Louis rozumował tak samo jak Grace: jeśli makijaż i fryzura odniosą pożądany efekt, Lena będzie miała co oblewać; jeśli nie, trochę ją pocieszą.

- W takim razie oblejmy to - rzekła, lekko odwracając głowę, gdy podszedł bliżej, żeby ją objąć. Nie chciała, żeby spostrzegł, jak bardzo pragnie zniknąć w jego ramionach, aż do utraty tchu, obsypać pocałunkami jego usta, oczy, szyję, jak bardzo pragnie powoli go rozebrać i zaprowadzić do łóżka. Nie, nie mogła tego po sobie okazać.

Zbliżył usta do jej ust.

- Jestem głupcem, Leno - szepnął.

- Nie większym niż inni.

- Tu jest mój dom. Zdałem sobie z tego sprawę pięć minut po wyjściu stąd.

- Ale teraz wróciłeś.

- Czy... czy chcesz wiedzieć, czy zechcesz mnie wysłuchać...?

- O nie, o niczym nie chcę wiedzieć. No więc jak będzie? Należysz mi szampana czy to tylko pusta obietnica?

- Już nie będzie pustych obietnic, Leno. Nigdy nie przestanę cię kochać i nigdy cię nie opuszczę.

Kit była bardzo taktowna.

- Co mam na siebie nałożyć, Mauro? - spytała.

- Och, Kit, co tylko zechcesz. Kup sobie coś, co przyda ci się na przyszłość.

- Nie, to twój dzień i powinnaś mieć coś do powiedzenia. - Oczy Maury wezbrały łzami. Próbowала coś powiedzieć, ale nie mogła. - Twój i tatusia

- dodała Kit. - Ale mężczyźni nie zauważają rzeczy naprawdę ważnych.

Powiedz, co mogłabym zrobić, żeby ci ten dzień uprzyjemnić.

- Jesteś szczęśliwa, że twój ojciec się ze mną żeni, to dla mnie największa przyjemność - odrzekła Maura, z trudem odzyskując głos.

- Emmet też jest szczęśliwy, tylko nie umie tego powiedzieć, niemota.

- Myślę, że chłopcy pamiętają matkę inaczej niż dziewczynki.

- Nie, to nie tak. On miał tylko dziewięć lat, kiedy to się stało. Poza tym zawsze byłam z nią bliżej niż on. Lepiej ją rozumiałam, a on był jeszcze małym dzieckiem. I traktował ją jak dziecko. „To moja mama”, na tym koniec. Nie znał jej jako kobiety, a ja trochę ją znałam.

- Mam nadzieję, że byłaby zadowolona z ponownego ożenku Martina.

Widzisz, jestem zupełnie inna. Nie ma mowy, żebym próbowała udawać drugą Helen.

- Na pewno by to pochwaliła.

Kit zastanawiała się, jak to możliwe, iż dopuszcza do tak grzesznego małżeństwa. Wiedziała, że podczas ceremonii ksiądz spyta zebranych, czy istnieją przeszkody uniemożliwiające Maurze i ojcu zawarcie małżeństwa,

czy ktoś te przeszkody zna. Wiedziała również, iż nie otworzy wówczas ust. Ostatecznie rozmawiała z siostrą Madeleine - pustelnica uważała, że Kit powinna iść za głosem sumienia.

To wielka odpowiedzialność, lecz Kit McMahon postanowiła wziąć ją na swoje barki.

353

Z wielką łatwością dostosowała się do nowego życia w college'u.

Już pierwszego tygodnia poznała Frankie Barry, buntowniczą dziewczynę z roztańczonymi oczyma. Po skończeniu szkoły Frankie zamierzała wyjechać do Ameryki, by przemierzając kontynent od wybrzeża do wybrzeża, zarządzać różnymi hotelami.

- Myślisz, że będziemy mogły to robić? - powątpiewała Kit.

- No jasne. Przecież kończymy naukę egzaminem City and Guilds, co znaczy, że zostaniemy członkiniami cechu hotelarskiego i będziemy miały najwyższe kwalifikacje z możliwych - odrzekła z przekonaniem Frankie.

Kit bardzo się z tego ucieszyła. Precz z obawami, że po dwóch i pół roku nauki nie znajdzie pracy, że będzie musiała potulnie wrócić do

„Centralnego”, pracować ze strasznymi rodzicami Philipa i w końcu zostać jego żoną, żeby tylko się jej nie czepiali.

Philipowi też podobało się w nowej szkole. Z dumą pokazywał Kit tasiemki ze swoim nazwiskiem, które własnoręcznie ponaszywał.

- Prawdziwy z ciebie skarb - drażniła się z nim Kit - bezcenny skarb dla każdej dziewczyny. - Philip spiekł raka i Kit się zawstydziła. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby zagustował we Frankie? Próbowała ich wyswatać, ale nic z tego nie wyszło, bo Frankie mieszkała z dwiema koleżankami, Philip w domu wuja, a ona w akademiku.

W Dublinie było tyle ciekawych rzeczy do zrobienia. Problem polegał tylko na tym, co wybrać. Umówiła się na spotkanie z Ritą. Zgodnie z przewidywaniami Philip czekał na nią cierpliwie po wykładzie.

- Nie, Philip. Umówiłam się z kimś, naprawdę.
- Z kim?
- No nie, chyba się przesłyszałam.

Philip zdał sobie sprawę, że jest zbyt zaborczy i bezceremonialny.

- Chodziło mi tylko o to, czy tego kogoś znam.
- Owszem, znasz. To Rita Moore.
- Rita, wasza służąca z Lough Glass?

354

- Tak - odpowiedziała Kit. Nie lubiła u Philipa tego wyniosłego tonu, którym przypominał swą matkę.
- Znaczący spotkasz się z nią w kawiarni i... i w ogóle? - spytał zdumiony przejawem aż tak wielkiego demokratyzmu.
- Ależ skąd! Usiądę, poproszę ją, żeby podała do stołu i zjem sama.
- Tylko pytałem...
- A ja ci odpowiedziałam - ucięła Kit.

Rita chciała znać wszystkie nowiny i wypytywała ją, jak radzi sobie Peggy, która przychodziła do McMahonów na kilka godzin dziennie.

- Myślisz, że pani Hayes wprowadzi w domu jakieś zmiany?
- Mam nadzieję - odrzekła Kit. - Chciałabym, żeby stworzyła sobie nowy dom, zamiast przychodzić na gotowe.
- Zaprosili mnie na ślub.
- Wiem. Co nałożysz?
- Widziałam u Clery'ego jasnozieloną sukienkę. Będzie w sam raz. No i

muszę kupić podchodzące buty. A ty?

- Nie wiem. Tatuś dał mi pieniądze, ale nie wypatrzyłam jeszcze nic, co by mi się podobało.

Gdy następnego ranka przyszła do college'u, zawiadomiono ją, że dostała paczkę.

Kiedy zobaczyła, że paczka jest z Londynu, zaniósła ją do damskiej szatni, gdzie z walącym jak młot sercem szybko rozerwała papier. Lena Gray - co ona wyczynia? Czyżby zamierzała wyjawić córce kolejny sekret? Straszny sekret, który ich wszystkich dobije?

Zdumiona wyjęła z pudełka szaro-białą sukienkę i przeczytała list.

Sukienka nie była zbyt wystrzałowa, ale to nieważne. List - oto co interesowało ją najbardziej.

Pomyślałam sobie, że zechcesz nałożyć ją na ślub. L.

Przeczytała to z dziesięć razy.

Sprawa była oczywista: Lena błogosławiła ich ślub, ślub

355

Maury z ojcem. Helen McMahon dawała im zielone światło, mówiła, że nie zamierza się wtrącać. Do oczu Kit napłynęły łzy, łzy głębokiej ulgi.

Obejrzała sukienkę. Jedwab, może nawet czysty jedwab - musiała kosztować fortunę. Przymierzy ją wieczorem i pomyśli, co odpisać matce. O ile w ogóle zdecyduje się odpisać.

Ale chyba powinna przynajmniej podziękować. Lena nie pragnęła pewnie niczego więcej.

Akademik Clio mieścił się w pobliżu uniwersytetu. Mieszkały w nim dziewczęta z całej Irlandii, wszystkie z bardzo zamożnych rodzin.

Większość z nich nigdy nie słyszała o Lough Glass. Pokończyły dobre

szkoły z internatem i stamtąd się znały. Zaprzyjaźnić się z nimi było o wiele trudniej, niż Clio przypuszczała. Tak samo na wykładach - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki okazywało się, że przychodzą na nie ci, którzy dobrze się znają.

Pierwsze dni na uniwersytecie wcale nie były tak zabawne, jak się spodziewała. Pierwszy raz w życiu czuła się trochę osamotniona. I pierwszy raz w życiu uświadomiła sobie, iż jest tylko maleńką rybką w stawie tak olbrzymim, że niemal bezbrzeżnym.

Pocieszała się myślą, że Kit musi czuć się jeszcze gorzej. Tkwiała w zbieraninie strasznych hotelarzy, mieszkała na drugim końcu O'Connell Street, o kilometry od miejsca, gdzie coś się działo.

Kit poszła na kolację z Philipem O'Brienem. Zaprosiła go mówiąc, że to ona stawia.

- O co tu chodzi? - spytał podejrzliwie Philip.
- Chcę z tobą porozmawiać, a ilekroć jestem twoim gościem, zawsze pamiętam o tym, że mnie zaprosiłeś, i czuję się jak na randce.
- Teraz ty mnie zapraszasz, to nie to samo?
- Dobrze wiesz, że nie - odrzekła stanowczo Kit. Wysoki był ten Philip. Jego piegowaty nos i czoło wyszlachetniały, włosy nie stały już dęba pod dziwnym kątem i nie miał już tego lekko zdziwionego wyrazu twarzy jak kiedyś. I zyskał poczucie humoru. Tak, pod wieloma względami

356

był idealnym przyjacielem. Pod wieloma, lecz nie pod wszystkimi i właśnie o tym Kit chciała z nim porozmawiać.

- Wezmę spaghetti - oznajmiła, zaglądając do menu.

- Pewnie jest z puszki.
- To dobrze. Uwielbiam spaghetti z puszki. Łatwiej je jeść.
- Tylko nie chlupnij tego w college'u. Pomyślą, że mają do czynienia z parą wsioków.
- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.
- To znaczy o czym? O spaghetti?
- Nie, o słowie, którego przed sekundą użyłeś. Powiedziałeś, że jesteśmy parą wsioków...
- Bardzo wielu z nich jest z Dublina albo z dużych miast. Wszystkich, którzy przyjechali tu z miejsc takich jak Lough Glass, uważają za...
- Nie o to chodzi. Niepokoi mnie słowo „para”.
- Para? To dwoje ludzi - mruknął poirytowany Philip.
- Tak, ale nas to nie dotyczy. Mam przed sobą całe życie i wiele zmartwień na głowie. Przy tym wszystkim nie mogę sobie pozwolić na łączenie się z tobą w parę.
- Nie rozumiem, co w tym straszego.
- Słusznie, to wcale nie jest straszne, ale wymaga obopólnej zgody. Nie może być tak, że jedno tego chce, a drugie jest jak bezwolne ciele.
- Zostaniesz moją dziewczyną?
- Nie, Philipie.
- Dlaczego?
- Ponieważ chcę być sobą, ponieważ nie chcę mieć chłopaka.
- Nigdy?
- Dopóki jakiegoś nie poznam. Kto wie, może zostaniesz nim ty, ale powtarzam: musi temu towarzyszyć obopólna zgoda.
- Przecież już mnie poznałaś - odrzekł skonfundowany Philip.

- Philipie, jestem twoją przyjaciółką i jeśli zaraz powiesz mi „przecież jesteś dziewczyną”, wykluję ci widelcem oczy.

- Zawsze będę chciał, żebyś została moją dziewczyną

357

- odrzekł prostodusznie Philip. - Możesz sobie chodzić, z kim chcesz, a ja i tak będę na ciebie czekał w „Centralnym” w Lough Glass. Kto wie, może się nawet pobierzemy.

- Masz dopiero osiemnaście lat. Nikt nie pobiera się w wieku osiemnastu lat. - Przy stoliku stanęła kelnerka.

- Z wyjątkiem osiemnastolatków, którzy się kochają - odparł Philip, nie zwracając uwagi na dziewczynę z bloczkiem zamówień w ręku.

- Chyba że osiemnastolatka zajdzie w ciążę - skontrowała porywiście Kit.

- To się da załatwić, świetny pomysł.

- Chryste! - wtrąciła kelnerka. - Wrócę, kiedy będziecie rozmawiali o czymś mniej dramatycznym, jak na przykład o tym, co zjecie na kolację.

- Straszny tłum wsioków. I wszędzie od was daleko - skostatowała Clio. Piły kawę w kawiarni przy Grafton Street.

- Przestań z tym „wszędzie od was daleko” - odparła Kit. - Mam bliżej do college'u niż ty na uniwersytet.

- Ale jacy oni tak naprawdę są?

- Większość jest bardzo miła. Mamy bardzo dużo nauki. Trzeba się trochę skoncentrować, ale myślę, że dam sobie radę.

- A potem? Dokąd cię to zaprowadzi?

- Jezus Maria, a skąd mam wiedzieć? Jestem tu dopiero od tygodnia. A dokąd zaprowadzi cię twój bakalarat?

- Ciotka Maura mówi, że to wspaniała podstawa do nawiązywania

kontaktów z ludźmi.

- Ciotka Maura mówi, że nic takiego nigdy nie powiedziała.
- Chciałabym, żebyś przestała rozmawiać z nią za moimi plecami o sprawach, w które cię wtajemniczam. Nie zapominaj, że to moja ciotka.
- Twoja ciotka, a niedługo moja macocha. - Parsknęły śmiechem. Sprzeczały się jak niegdyś, kiedy były siedmioletnimi dziewczynkami.
- My się chyba nigdy nie zmienimy - powiedziała Clio.

358

- Nigdy. A kiedy będziemy staruszkami odpoczywającymi na południu Francji, będziemy się żreć o leżaki i o nasze pudelki.
- Akurat! Nie oderwiesz się od swego zdziwaczałego i stetryczałego Philipa, właściciela „Centralnego” w Lough Glass.
- Dlaczego nie widzisz mnie jako właścicielki całej sieci hoteli?
- Bo kobiety robią inne rzeczy.
- A ty? Wyjdiesz za mąż za stosownego kandydata z wydziału sztuk pięknych?
- Boże ucho! Tam nie ma odpowiednich kandydatów. Rozejrzę się wśród prawników i lekarzy.
- Żona lekarza? Clio, nie miałabyś cierpliwości. Spójrz tylko, z czym musi godzić się twoja matka.
- Zostanę żoną chirurga, żoną specjalisty. Starannie to sobie zaplanuję. - I nagle spytała: - W czym wystąpisz na ślubie?
- W takiej... w takiej szaro-białej sukience.
- Z czego?
- Z jedwabiu, chyba z jedwabiu.
- Coś ty? Skąd ją wytrzasnąłaś?

- Kupiłam ją w małym sklepiku przy bocznej uliczce - odrzekła wykrętnie Kit.

- W takim razie dużo cię chyba nie kosztowała, co?

- Jest bardzo ładna - broniła sukienki Kit. - W sam raz na ślub.

- Szaro-biała? Będiesz w niej wyglądała jak kandydatka na zakonnicę.

- Poczekamy, zobaczymy, dobra?

- Twój ojciec żeni się po raz drugi. Czy to nie zabawne uczucie? - spytała Emmeta Anna Kelly, gdy spotkali się przy ladzie z cukierkami w sklepie pani Dillon.

- Co znaczy zabawne? - Anna stała się piękną dziewczyną. Miała jasne, kręcone włosy i oszałamiający uśmiech. Po ślubie Martina McMahona mieli być ze sobą spokrewnieni.

- No wiesz, będziesz mówił do niej „mamo”?

359

- Coś ty! Już teraz mówimy jej po imieniu.

- Będzie spała w pokoju twego taty czy w dawnym pokoju mamy? - Anna chciała znać wszystkie szczegóły.

- Nie wiem. Nie pytałem. Chyba w pokoju taty. Mąż i żona sypiają razem.

- To dlaczego twoja mama spała oddzielnie?

- Była przeziębiona i nie chciała zarazić taty.

- Przeziębiona? Cały czas?

- Tak mi powiedzieli - wyznał szczerze Emmet. W Annie zaszła nagła zmiana.

- Tak, podobno bywają takie przypadki - powiedziała i jak dwoje najlepszych przyjaciół zaczęli omawiać zalety toffi Cleevesa, które były bardziej płaskie, i toffi Scots Clan, które były bardziej ciągliwe, za to

droższe.

Obserwowała ich pani Dillon. Tych dwoje nie wyglądało na takich, co to zwędną połowę cukierków z lady, gdy nikt nie patrzy, ale ostrożności nigdy za wiele.

Maura nie chciała pierścionka zaręczynowego.

- Jesteśmy na to za dojrzały - powiedziała.
- Jeszcze nie jesteśmy starzy, nie mów tak - odrzekł Martin.
- Nie powiedziałam „starzy”. Chodzi mi tylko o to, że nie musimy się zaręczać. Porozumieliśmy się w dosłownym tego słowa znaczeniu.
- Nie wiem, jak mogłaś tak długo na mnie czekać, jak mogłaś być tak bardzo wyrozumiała, podczas gdy ja cały czas trząsałem się jak galareta.
- Ciii... już to przerabialiśmy. Musiałeś przemyśleć znacznie więcej spraw niż ja. - Maura doszła do wniosku, że teraz może pozwolić sobie na gest.

Długie miesiące cierpliwego godzenia się z niezdecydowaniem narzeczonego dobiegły końca. Martin był głęboko zaangażowany w nowe małżeństwo. Postanowił, iż da z siebie wszystko, żeby wypaliło, żeby uszczęśliwić Maurę. Wiedział, że to możliwe. Natomiast Maura nie dowierzała własnemu szczęściu. Nie wierzyła, że zdołała przepędzić ducha niepokojąco pięknej kobiety, która była jej poprzedniczką. Teraz mogła już spacerować z Martinem nad brzegiem jeziora, teraz nie

360

paraliżowała jej świadomość, iż właśnie tu, w tych wodach, zakończyła życie Helen McMahan.

- Chciałbym, żeby dzień naszego ślubu był najpiękniejszym dniem w twoim życiu.
- Na pewno tak będzie - odrzekła Maura.

- Skoro nie chcesz pierścionka zaręczynowego, pozwól przynajmniej podarować sobie jakiś klejnot. Chciałbym, żebyś nosiła coś więcej niż tylko zwykłą obrączkę. Może brylantową broszkę? - Z jego twarzy wyczytała, że bardzo chce się jej przymilić.

- Nie, kochanie, naprawdę.

- Mam w pudełku klejnoty Helen. Mówiłem ci o tym. Może zawiózłbym je do jubilera i kazał zrobić z nich coś zupełnie innego, żeby nie martwiły cię koszty? - potrafił już mówić o Helen w sposób naturalny, bez bolesnego grymasu twarzy.

- Nie, Martin. Ta biżuteria należy do Kit. Pewnego dnia będziesz musiał przekazać ją córce. Może kiedy skończy dwadzieścia jeden lat. To już za trzy lata. Tak, musisz przekazać to Kit. Będzie ją nosić z przyjemnością. Nie przerabiaj jej dla mnie. Wystarczy mi to, co mam.

- Ona gdzieś tu jest, nawet do niej nie zajrzałem...

- I dobrze. Zrobimy to w dniu dwudziestych pierwszych urodzin Kit. - Ale Maura zajrzała do pudełka znacznie wcześniej. Ze smutkiem przebierała palcami wśród klejnotów: markazytowa brosza, medalionik, brylantowa spinka, kolczyki z rubinami, prawdziwymi albo i nie.

Lecz przede wszystkim zauważyła dwa pierścionki: pierścionek zaręczynowy i obrączkę ślubną. Helen McMahon nie nałożyła ich tamtej nocy, gdy wybrała się łódką na jezioro. Maura zastanawiała się, czy pytał o to sierżant O'Connor albo detektywi z Dublina. Przecież była to doskonała wskazówka ilustrująca stan jej umysłu. No bo jeśli domniemana samobójczyni pamięta o zdjęciu biżuterii...

- Ciociu, zaprosisz na ślub Steviego Sullivana? - spytała Clio.

- Nie - odrzekła Maura. - Długo nad tym dyskutowaliśmy. Jest moim

przyszłym szefem, co by znaczyło, że

361

powinniśmy go zaprosić, ale z drugiej strony, gdy pomyślę o jego matce, wszystkiego mi się odechciewa. Jest naszym sąsiadem, a więc tak, ale ma okropnego braciszka, a więc nie.

- Jest kawalerem, w dodatku całkiem przystojnym kawalerem - dodała Clio.

- Tak, ale ma również reputację człowieka, który wychodzi z oficjalnych przyjęć w towarzystwie młodych kobiet. - Maura zdążyła poznać wszystkie zakątki małego światka Lough Glass. - Zbilansowaliśmy z Martinem wszystkie „za” i „przeciw” i wyszło nam, iż lepiej go nie zapraszać.

- Pomyśleć tylko, że będziesz u niego pracowała! Był nikiem.

- Pomyśleć tylko, że taka młoda dziewczyna jak ty używa takich określeń!

- Maura przeszyła ją zimnym spojrzeniem.

Clio zbyt późno uświadomiła sobie, że często się co do niej myliła. Ciotka nie patrzyła na świat oczyma wygodnej plotkareczki takiej jak choćby jej siostra Lilian. W świecie Maury plotkowano niewiele i powszechnie uważano, że wszyscy ludzie są sobie równi.

Tydzień przed ślubem do apteki zaczęły napływać liczne podarki. Dla Martina i Maury ważniejsze od podarków były dołączone do nich kartki z najlepszymi życzeniami dla pary młodej. Ludzie pisali, że miło jest widzieć, jak dwoje uroczych mieszkańców miasteczka znajduje szczęście. Maura przyjeżdżała do Lough Glass od wielu lat i dobrze ją znano, poza tym wychowała się ledwie kilka kilometrów dalej. Nie, Martin McMahon nie brał za żonę kobiety obcej - żenił się ze swojaczką.

Obca była Helen.

Mona z poczty dała im kilka sztuk lśniącej irlandzkiej porcelany z Belleek. Powiedziała, że jest w niej coś wdzięcznego, coś, co na pewno będzie odpowiadało nowej pani McMahan. Mildred O'Brien wybrała na prezent mały komplet srebrnych łyżeczek do kawy. Wallowie przysłali szklaną czarę na cukierki, w srebrnym kielichu. Hickeyowie, którzy początkowo zamierzali przysłać młodym mięso - obdarowywali

362

nim wszystkich miejscowych nowożeńców, o ile tylko ślub odbywał się w Lough Glass - szarpnęli się na coś podejrzanego, co przypominało kocyk do dziecięcego wózka.

Paddles przysłał cztery butelki brandy i cztery butelki whisky z głębokim przekonaniem, że pan młody tudzież szwagier panny młodej bez trudu skonsumują tę ilość alkoholu w niecały rok. Wśród prezentów znalazły się również wzory haftów dla początkujących od siostry Bernard i jej zakonnic, historia hrabstwa od ojca Healy'ego i braci zakonnych ze szkoły, komplet sosjerek od pani Hickey oraz wielka kępa wrzosu tudzież doniczka od siostry Madeleine. Pustelnica powiedziała, że chociaż przesądem jest wierzyć, iż wrzos przynosi szczęście, to niechaj przynajmniej będzie symbolem ich małżeństwa, niechaj rośnie i co roku przypomina im o szczęściu, jakie ich spotkało.

Kit patrzyła na wrzos w głębokim zamyśleniu. Siostra Madeleine wiedziała, że w oczach Boga małżeństwo ojca i Maury jest nieważne, mimo to uznała, iż wszystko jest w porządku.

Tak, świat stawał czasami na głowie.

- Nigdy nie opowiadasz mi o Lough Glass - skostatował Louis pewnego

sobotniego ranka.

- Kiedyś ci opowiadałam, kochanie, ale mówiłeś, że to trywialne.
- Owszem, mało ważne drobiazgi są trywialne, ale nie jestem zimny jak gład. Wiem, że myślisz o dzieciach i o Martinie.
- Tak, od czasu do czasu.
- Nie wykluczaj mnie ze swego świata. Interesuje mnie wszystko, co cię dręczy i niepokoi. Kocham cię, Leno - dodał z wyrzutem.
- Wiem.
- Skąd wiesz? - odpowiedź była krótka, bardzo oschła i Louis miał wątpliwości.
- Ponieważ wróciłeś - odrzekła Lena. Znowu wyrecytowała to jak fragment wiersza, znowu powtarzała jego własne słowa: „Czyż wróciłbym, gdybym cię nie kochał?”

363

- W takim razie wszystko w porządku. - Mimo to Louis zachowywał czujność. Tego ranka Lena była jakaś taka dziwna.
- Jak myślisz, jak tam teraz jest?

Patrzyła na niego i długo milczała. Króciutką, zupełnie szaloną chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, że o jedenastej jej mąż zeni się z Maurą Hayes i z tej okazji kupił córce sukienkę, wydając na nią całą tygodniówkę. Zastanawiała się też, czy to możliwe, żeby Louis, wprowadzony w najważniejsze sprawy jej życia, był w stanie zainteresować się nią do tego stopnia, by zapomnieć o licznych pokusach swego świata. Lecz chwila szybko minęła. Lena wiedziała, że to niemożliwe. Nie, Louis zareagowałby zupełnie inaczej. Zacząłby ją obwiniać, zacząłby jej zarzucać, że ukrywała przed nim fakt, iż

korespondowała z córką od lat, by w końcu spotkać się z nią w Londynie.

- W Lough Glass? Och, przypuszczam, że tak samo jak zawsze - odrzekła.

- Jak w każdą sobotę.

Stevie Sullivan oświadczył, że skoro i tak ma być w Dublinie, chętnie zawiezie pannę młode do kościoła, po czym odwiezie nowożeńców na przyjęcie.

- Nie możemy się na to zgodzić Stevie - zaprotestował Martin.

- Chryste, Martin, przecież to najtańszy prezent ślubny, jaki dostaniecie.

Pozwól, że oddam ci tę przysługę.

Stevie był przystojnym, ładnie opalonym dwudziestojednolatkiem, z długimi, ciemnymi włosami opadającymi na oczy. Będąc małym chłopcem, często słyszał, jak pijany i rozwścieczony ojciec zarzucał matce, że puszczała się z wędrownymi druciarzami, bo niby jakim cudem urodziła takiego odmienca? Słyszał też odpowiedź matki, która wrzeszczała, że skoro sypianie z nim było czymś najohydniejszym pod słońcem, mało prawdopodobne jest, żeby chciała pójść do łóżka z jakimś druciarzem czy z kimkolwiek innym. Osobiste doświadczenie seksualne Stewiego kazało mu myśleć, że skoro matka naprawdę podchodziła do spraw łóżkowych tak, jak podchodziła, wiele w życiu straciła. Ale z nikim się tym poglądem nie podzielił.

364

- Tak czy inaczej możesz na mnie polegać, Mauro. Chyba nie chciałabyś, żeby wiózł cię do ślubu jeden z tych dublińskich taksjarzy.

Maura była mu wdzięczna. Cieszyła się, że przed wyjazdem do kościoła zobaczy znajomą twarz. Rzeczy, których potrzebowała z dublińskiego mieszkania, już dawno spakowała i przywiozła do Lough Glass.

Mieszkanie zostało odmalowane i wynajęte dwojgu młodym ludziom, którzy już się tam wprowadzili. Maura miała nadzieję, iż pewnego dnia dzielić je będą Kit i Clio. Byłoby im wygodnie; mieszkanie miało dwa pokoje i mieściło się w domu niedaleko centrum miasta. Mimo to uważała, że dziewczęta nie odpowiadają sobie temperamentem. Było między nimi dużo zjadliwości, co nie wskazywało na prawdziwą przyjaźń, lecz raczej na rywalizację. Postanowiła, iż zaproponuje im to dopiero wówczas, gdy wyrobią sobie dojrzalszy pogląd na życie.

Gdy Stevie przyjechał po nią do hotelu, miał na sobie ciemny garnitur, który mógł uchodzić za uniform.

- Cudownie wyglądasz, Mauro.

Widział ją pierwszy i chociaż miał jeszcze mleko pod wąsem, Maura była mile połączona. Zaczerwieniła się i powiedziała:

- Dziękuję, Stevie.

- Cieszę się, że mój personel wie, jak się ubierać - dodał Stevie.

W kościele Kit i Clio stały obok siebie. Clio nie przestawała wypytywać ją o nową sukienkę, odkąd tylko przyjechała.

- W jakim sklepie? Gdzie?

- Mówiłam ci, w maleńkim sklepiku w bocznej uliczce.

- Kłamiesz w żywe oczy.

- Dlaczego miałabym kłamać?

- Bo masz to we krwi.

- Spytaj kogo chcesz. Spytaj ojca. Albo Maurę.

- Im też zełgałaś. To bardzo elegancka sukienka. Musiała kosztować fortunę. Ukradłaś ją, czy co?

- Jesteś chora. Zamknij się wreszcie i pozwól mi nacieszyć się ślubem

ojca.

365

W tym samym momencie grupka zebranych odwróciła głowy. Do kościoła wchodziła Maura Hayes prowadzona przez swego brata. Rozpromieniony Martin McMahon czekał na nią przed ołtarzem.

- Wspaniale wygląda - szepnęła Clio. - Ekstrakiecka.

- Pewnie ją ukradła, jak większość z nas - odrzekła wyniośle Kit.

Stevie stał przed kościołem, przytrzymując otwarte drzwi samochodu.

- Nie wiedziałem, że on też tu będzie - szepnął Philip.

- Stevie Sullivan wejdzie na każdą uroczystość - odszepnęła Clio. - Jeśli jesteś równie bezczelny i przystojny jak on, świat stoi przed tobą otworem.

Wyglądało na to, że Philip jest tym nieco rozczarowany.

- To jego wóz? - spytał.

- Jego - odrzekła z pogardą Clio. - Właściciel warsztatu samochodowego Sullivan Motors chce nam dać do zrozumienia, że są w życiu takie chwile, takie imprezy, kiedy człowiek potrzebuje czegoś z klasą. Stevie wyprzedza swój czas.

- Podoba się kobietom?

- Tak, ale tylko pod bardzo oczywistym względem. Jeśli chodzi o mnie, nie dotknęłabym go nawet drągiem do popychania barki. Miał każdą służącą i każdą kuchnię od Dublina do Lough Glass i z powrotem.

- Chcesz powiedzieć, że z nimi... spał? - oczy Philipa zrobiły się okrągłe.

- Tak słyszałam.

- I żadna z nich nie... nie zaszła w ciążę?

- Najwidoczniej nie. Albo nic o tym nie wiemy.

To Maura wybrała hotel i okazało się, że wybrała bardzo dobrze. Najpierw

wypili sherry w dużej, jasno oświetlonej sali z sofami i fotelami pokrytymi perkalem. Kelnerki poruszały się zwinnie i cicho, dbając o pełne kieliszki. Kiedy przeszli do jadalni, przez okna zajrzało późnojesienne słońce. Gości usadzono za stołem wedle starannie przemyślanego planu. Między Kit i Emmetem siedziała Rita. O'Brienów rozdzielono, żeby nie łypali na siebie spode łba. Lilian

366

Kelly posadzono obok dwóch koleżanek Maury, żeby mogły porozmawiać o dublińskich sklepach i o wyścigach.

Podano koktajl grapefruitowy, potem kurczaka i szynkę, a na deser lody w czekoladowej polewie. Weselny tort był mały, jednowarstwowy.

- Nie będzie potrzeby przechowywania jednej warstwy na chrzciny - wyjaśniła Mildred O'Brien sąsiadce, która, oszołomiona uroczystością, tylko kiwnęła głową.

Przemówienia były bardzo proste. Peter Kelly stwierdził, że już od dawna nie przeżył równie pięknego dnia. Że to wspaniale, iż jego stary przyjaciel znalazł w końcu towarzyszkę na resztę życia. Wszyscy klaskali.

Martin podziękował gościom za życzenia. Powiedział, że jest mu szczególnie miło, bo Maura znalazła w Lough Glass mnóstwo przyjaciół i pod wieloma względami jest to dla niej powrót w rodzinne strony.

Myśleli, że to już koniec przemówień, ale nagle wstała Maura McMahan. Za stołem zafalowało. Kobiety bardzo rzadko zabierały głos publicznie.

Panny młode - nigdy.

- Chciałabym przyłączyć się do podziękowań Martina i powiedzieć, iż jest to najszcześniejszy dzień w moim życiu. Ale chciałabym również podziękować Kit i Emmetowi McMahanom za to, że z taką

szczodropliwością podzielili się ze mną swoim ojcem. Kit i Emmet są dziećmi Martina i Helen i zawsze nimi pozostaną. Mam nadzieję, że nigdy o matce nie zapomną. Ani oni, ani my. Bo gdyby nie Helen McMahon, nie byłoby Kit i Emmeta. Gdyby nie Helen, Martin nie zaznałby tylu lat szczęścia w pierwszym małżeństwie. Dziękuję jej za to, co nam wszystkim dała, i mam głęboką nadzieję, że jej dusza odczuwa serdeczność i ciepło, jakie tego dnia chcielibyśmy jej przekazać. Zapewniam was wszystkich, iż zrobię, co w mojej mocy, żeby Martina uszczęśliwić. Zasługuje na to. To naprawdę dobry człowiek.

Zapadła cisza. Ludzie chłonęli głębię uczucia bijącego z jej słów. A potem zaczęli klaskać. Klaskali i klaskali, wznosili kieliszki jak do toastu.

Pianista w rogu sali zaczął grać, żeby goście mogli zaśpiewać parę piosenek. Maura dokładnie to sprawdziła: na weselu Martina i Helen żadnych piosenek nie śpiewano.

367

Stevie Sullivan stał za drzwiami. Maura nie przebrała się przed wyjazdem. Ślubna suknia i żakiet znakomicie nadawały się do podróży. Walizki już spakowano i włożono do bagażnika samochodu.

- Wyglądasz tak pięknie, że trudno ci się oprzeć, Kit - powiedział.
- To lepiej trzymaj się w garści - odrzekła Kit. - Wieziesz ich na pociąg, jak sądzę.
- Słyszałem co innego.
- Przecież wyjeżdżają na miodowy miesiąc.
- Zgadza się.
- No więc?
- Ale nie jadą na stację, tylko na lotnisko.

- Na lotnisko? - Kit myślała, że ojciec i Maura zamierzają wyjechać do Galway.

- Lecą do Londynu. Nic ci nie mówili?

Rozdział siódmy.

Ivy nie wierzyła własnym oczom, gdy zobaczyła list z irlandzkim znaczkiem pocztowym i z egzotyczną pieczęcią, której w żaden sposób nie dawało się odczytać. Słyszając na schodach kroki wychodzącej do pracy Leny, lekko poruszyła zasłonką w okienku drzwi.

Lena nie śmiała mieć nadziei. Usiadła w kuchni przyjaciółki i przeczytała list. Zajmował tylko jedną stronę. Nie miał ani nagłówka, ani zakończenia. Cóż, jej list do Kit wyglądał podobnie.

Dziękuję za piękną sukienkę. Wyglądała bardzo dobrze i wszyscy ją podziwiali. Przyjechałam do college'u ponad tydzień temu, ale zwlekałam z odpowiedzią aż do tej chwili.

Chyba po to, żeby zawiadomić Cię, że jest już po ślubie. Wszystko poszło dobrze i młodzi wyjechali dzisiaj do Londynu. Sądziłam, że pojedą do Galway, jak planowali, ale najwyraźniej zmienili zdanie i zamierzają zatrzymać się w hotelu "Regent Palace".

Wiem, że Londyn to olbrzymie miasto, ale pomyślałam sobie, że zechcesz o tym wiedzieć. Tak na wszelki wypadek.

Jeszcze raz dziękuję za sukienkę.

Kit.

Lena siedziała z listem w ręku.

- Złe wiadomości? - spytała Ivy.

- Złe? Nie, nie...

- Chce się dogadać?

- Nie, nie powiedziałabym... Nie, jeszcze nie.

369

- Daj spokój, Leno. Nie każ mi błagać. Co pisze?

- Próbuje nawiązać kontakt, chce mnie przed czymś przestrzec... Nie opowiedziałam ci wszystkiego, Ivy. Czy mogłabym to zrobić któregoś długiego, samotnego wieczoru?

- Wiele takich przed nami, kochana.

W biurze czekała na nią Jessie Park. Jessie odmieniona, Jessie ani trochę nie przypominająca niskiej, zmęczonej i roztrzepanej kobiety, którą Lena poznała podczas pierwszej wizyty w agencji Millara. Miała teraz czterdzieści siedem lat, była zadbana i pewna siebie. Jej matka ogrywała w remika wszystkich bywalców świetlicy i wyglądało na to, że zapomniała o kłopotach z trawieniem.

Ustalili datę. Ślub miał być bardzo skromny, a na przyjęcie zaprosili tylko ośmioro gości - ot, zwykły lunch w hotelowej restauracji. Czy Lena zechciałaby im świadcować? Drugim świadkiem będzie brat Jima Millara. No i oczywiście z wielką radością powitają na ślubie Louisa. Lena objęła Jessie i powiedziała jej, że jest bardzo szczęśliwa. Miała nadzieję, iż Louis będzie wolny, bo pracuje w zupełnie zwariowanych godzinach. Mówiła to, co trzeba, lecz myślami błądziła gdzie indziej.

W duchu wznosiła modły dziękczynne do Kit za to, iż córka uprzedziła ją o przyjeździe Martina i Maury. Bo gdyby na przykład przyjęcie weselne Jessie odbywało się w hotelu „Regent Palace”? Przecież bywały dziwniejsze przypadki. Dobrze, że Kit ją ostrzegła.

Louis nie chciał pójść ani na ślub, ani na przyjęcie.

- Serce ty moje, przecież ja mam tego dosyć na co dzień - powiedział,

uśmiechając się rozpaczliwie i wyciągając przed siebie ręce, jakby opędzał się przed zalewem weselnych przyjęć, które czyhały na niego, gdziekolwiek się ruszył.

Lena wiedziała, że „Dryden” bardzo rzadko organizuje tego rodzaju imprezy, ale nie poruszyła tej kwestii.

- Rozumiem - odrzekła. - Mówię to tylko dlatego, żebyś wiedział, iż cię zapraszają i bardzo by się cieszyli, gdybyś zdołał się wyrwać. To wszystko.

370

Wyraźnie mu to pochwaliło.

- Możesz mnie z tego wykryć?

- Bez problemu.

Drobne zmarszczki pod oczyma zniknęły, Louis się odprężył. Kto wie, może myśl, że miałby pójść z nią na ślub, usłyszeć, jak młodzi przysięgają sobie wspólną przyszłość, nie przypadła mu zbytnio do gustu. A był ostatnio w tak dobrej formie, był taki beztroski, taki szczęśliwy. Zmuszać go do tego? Nie, to idiotyczne. Ślub, jak to ślub - będzie surowo i poważnie. Louis tego nie cierpiał.

Ponieważ nie utyskiwała i do niczego go nie namawiała, był miłszy i bardziej kochający niż zwykle. A kilka dni później wpadł do agencji z butelką szampana dla szczęśliwej pary.

- Tak mi przykro, że nie mogę przyjść. - Powiedział to z prawdziwym żalem w głosie i w oczach.

Lena słuchała go czując, iż na swój sposób Louis Gray naprawdę żałuje, że nie może przyjść.

Oczywiście Jim Millar i Jessie Park byli nim zachwyceni.

- Wspaniały facet z tego twojego męża, Leno - powiedział Millar. - Jestem pewien, że to jeden z najlepszych fachowców w branży.

- O ile wiem, pracodawcy bardzo go sobie cenią - zgodziła się z nim Lena.

- Dziwne, że jeszcze nie prowadzi własnego hotelu - zauważyła Jessie.

- Kto wie, może pewnego dnia... - Nie, Lena nie chciała sięgać myślą zbyt daleko. Odkryła, że lepiej jest żyć z dnia na dzień.

Ubierała się przed Louistem. Leżał w łóżku i pomrukiwał z uznaniem. Było wczesne przedpołudnie.

- Jesteś zbyt olśniewająca na ten motłoch - skonstatował. - Chodź, pójdziemy oszołomić świat. Tylko ty i ja.

- Zobaczymy się później - posłała mu całusa.

- Tylko wróć trzeźwa! - zawołał za nią. Roześmiała się.

- Nie ma sprawy.

Weselny lunch skończył się miło i wczesnie, zgodnie

371

z oczekiwaniami. Panią Park odprowadzono do jej nowych przyjaciół, a Jessie i Jim popędzili na stację, żeby złapać pociąg do Saint Ives. Jechali w podróż sentymentalną do Kornwalii, gdzie zaczął się ich romans. Lena zapewniła nowożeńców, że czeka ją mnóstwo roboty.

Zupełnie nieświadomie ruszyła w kierunku „Regent Palace”. Po drodze przystanęła i uważnie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze na wystawie jednego ze sklepów. Miała na sobie kremowy żakiet wykończony lamówką z aksamitu, na głowie aksamitny kapelusz i dużą czarną torebkę na ramieniu. Czarne rękawiczki, wysokie szpilki, dobrze nałożony makijaż - ktoś rozpoznałby w niej kobietę sprzed lat, matronę w długiej do ziemi

spódnicy albo w luźnej sukni?

Oczy. Tak, mogły ją zdradzić oczy. Często rozpoznaje się kogoś tylko po oczach. Wstąpiła do Bootsa i kupiła przeciwsłoneczne okulary.

- Teraz nie ma na nie zbyt dużego zapotrzebowania - powiedziała młoda sprzedawczyni.

- Zamierzam obrabować bank - wyjaśniła Lena.

- Nie potrzebuje pani kogoś do pomocy przy wynoszeniu forsy? - spytała dziewczyna. Louis miał rację co do Anglików: zrobiliby wszystko, żeby z kimś porozmawiać, wystarczyło ich tylko rozruszać.

Lena przejrzała się w lustrze. Tak, o to chodziło. Zajęła strategiczną pozycję w holu. Nie miała planów na resztę dnia - postanowiła, że będzie czekać dopóty, dopóki nie zobaczy, jak wchodzi albo wychodzą z hotelu. James Williams nie wierzył własnym oczom. Wiedział, że kobieta w przeciwsłonecznych okularach to nie kto inny jak Lena Gray, żona Louisa Graya; niewiele kobiet ma takie włosy i takie nogi. Tylko co, u licha, mogła robić w foyer wielkiego hotelu, w dodatku sama? Wyglądało to tak, jakby chciała tu kogoś poderwać. A może po prostu czeka na swego przystojnego, choć nieudolnego męża?

James Williams zastanawiał się, czy pani Gray zdaje sobie sprawę z popularności, jaką jej mąż cieszy się wśród pań. Nie chciał słuchać cichych plotek krążących po „Drydenie”, uznawszy, że to poniżej jego godności. Ale musiałyby

372

być głuchy, by nie wiedzieć, że nie tak dawno temu Louis Gray pojechał do Paryża z pewną młodą, bogatą i zepsutą Amerykanką. Cóż, możliwe, że pani Gray się z tym pogodziła.

Jak zawsze elegancka, przyglądała się przez ciemne okulary stojącej przed nią szklaneczkę. A może... Może przyszła się tu pocieszyć? Myśl była nader ciekawa i zachęcająca, ale James Williams miał zaraz spotkanie w jednej z sal konferencyjnych hotelu.

Kiedy po spotkaniu zszedł na dół, stwierdził, że pani Gray wciąż siedzi w holu.

- Co pije tamta pani? - spytał kelnera.
- Proponowaliśmy coś innego, ale odmówiła.
- Mnie nie odmówi, ja ją znam. - Dowiedział się, że pani Gray pije dżin z sokiem pomarańczowym. Zamówił dwa drinki i stanął przed jej stolikiem w chwili, gdy zjawił się kelner z tacą.
- Och, pan Williams. Czyż to możliwe? - powiedziała z udawaną egzaltacją.
- Och, pani Gray. Czyż to możliwe? - Zawsze tak z sobą żartowali.
- Czyżby czekała tu pani z nadzieją, że się przypadkiem zjawię? - był swawolny, filuterny, przymilny i wyraźnie z nią flirtował.
- Nie. Przykro mi, ale muszę pana rozczarować. Wpadłam tu przed chwilą, żeby trochę odpocząć.
- Przed chwilą? Ależ mam szczęście!
- Tak, dosłownie kilka minut temu.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem. Siedziała w holu od ponad dwóch godzin - dlaczego, u licha, kłamie?

Rozmawiali i rozmawiali, ona i James, o świecie w ogólności i o hotelach w szczególności. I ani razu żadne z nich nie wspomniało o Louisie Grayu, jedynym wspólnym znajomym. Zamówili następną kolejkę dżinu z sokiem pomarańczowym, i jeszcze następną.

Wypiła przy nim trzy drinki. Piła, zanim się do niej przysiadł. James zastanawiał się, czy dzięki temu zdumiewającemu przypadkowi nie poszczęści mu się z tą atrakcyjną Irlandką. Przez te śmieszne okulary nie widział jej oczu, ale

373

powiedziała, że ma infekcję i musi je nosić. Zachowywała się trochę dziwnie. Była roztargniona, a w pewnym momencie nagle przeprosiła go i odeszła od stolika. Myślał, że pójdzie do toalety, ale nie, ruszyła prosto w stronę windy. Stała obok kobiety i mężczyzny w średnim wieku, którzy dźwigali mnóstwo toreb z zakupami, jak większość turystów odwiedzających Londyn. Gdyby nie było to aż tak absurdalne, Williams pomyślałby, iż elegancka Lena Gray chce podsłuchać, o czym rozmawiają. Minęło pięć lat, odkąd widziała ich ostatni raz. Lekko kręciło się jej w głowie. Musi, musi ten moment zapamiętać.

Martin wciąż nosił zbyt obszerne garnitury. Ten sprawiał wrażenie nowego, ale na pewno nie sztyto go na miarę. Miał czterdzieści pięć lat, był ledwie o rok starszy od Louisa, ale równie dobrze można by go wziąć za pięćdziesięciolatka. Pochylony jak kiedyś, z tym samym uśmiechem na twarzy, dźwigał wypchane torby z British Home Stores, C & A, a nawet z Liberty. Zmienił się? Robił wrażenie szczęśliwego, wyglądał jak przed laty podczas zabawy z dziećmi albo tuż po odepchnięciu łodzi od brzegu. Może tylko już się tak nie przymilał.

I Maura Hayes. Maura, jowialna siostra Lilian, kobieta, której Lena unikała jak ognia, bo trudno było jej odmówić. Jest starsza od Lilian czy młodsza? Była zarumieniona i sprawiała wrażenie szczęśliwej.

- Chętnie napiłabym się herbaty - usłyszała Lena. - Myślisz, że uznano by

to za życzenie wiejskiej prostaczki?

- I kto to mówi? - odparł ze śmiechem Martin. - Ty? Doświadczona mieszcza, która przepracowała w Dublinie tyle lat? Sądzę, że nie będzie żadnych kłopotów z zamówieniem herbaty do numeru.

- Naprawdę? - zrobiła taką minę, jakby jednym zdaniem rozwiązał jej wszystkie problemy.

- To nie „Centralny” w Lough Glass, moja droga. Lena stała tak blisko, że mogłaby ich dotknąć - ona, duch żony, którą uznali za martwą. Nie, jej pojawienie się zniszczyłoby życie zbyt wielu ludzi. Pełna podsyconego

374

dżinem samowspółczucia, zaczęła szlochać. Byłoby lepiej, gdyby się tamtej nocy naprawdę utopiła.

Wróciła do stolika z zaczerwienioną twarzą. James Williams nachylił się ku niej.

- Jeśli nie spieszysz się pani do domu... - pytał bardzo grzecznie, tak by nie zabrzmiało to jak propozycja.

- A jeśli rzeczywiście się nie spieszę, panie Williams?

- Zastanawiam się właśnie, co moglibyśmy robić... - Stąpił po bardzo kruchym lodzie. Lena miała drżący głos. Zdawało się, że na jej twarzy błyszczą łzy. - Może wezwę taksówkę i... i... pojedziemy?

- Dokąd?

- Dokądkolwiek pani sobie zażyczy. Może na jeszcze jednego drinka? Albo do restauracji, żeby coś zjeść? A może do domu? Albo do „Drydena”?

- Gdzie pan woli - zdjęła okulary i spojrzała na niego. Płakała, ale nie

wyglądało na to, żeby miała infekcję oczu. Była bardzo zdenerwowana. - Jest pan bardzo inteligentnym i obytym człowiekiem, panie Williams, człowiekiem z ogładą. Nie pasuję do pana. Uważam się za osobę zdolną i panującą nad własnym losem, ale tak naprawdę jestem biedną, wiejską prostytutką. Kilka minut temu usłyszałam to określenie z ust pewnych ludzi. Tak, jestem wiejską prostytutką.

- Nie, nie - zaprotestował Williams. - Proszę tylko powiedzieć... Co mógłbym pani zaoferować?

- Szansę, mój drogi. Chciałabym stąd wyjść, dopóki nogi doniosą mnie jeszcze do drzwi.

Nałożyła okulary. Tak, była bardzo atrakcyjną kobietą. Jeśli kiedykolwiek spotkał kobietę potrzebującą silnego ramienia, żeby się na nim wypłakać, to kobietą tą była Lena Gray.

A kiedy by się już wypłakała, byłaby mu wdzięczna. Rozważał to chwilę. Ale tylko chwilę.

- W takim razie chodźmy - powiedział. - Znajdę dla pani taksówkę - położył Lenie rękę na ramieniu i wyprowadził ją na ruchliwy Piccadilly Circus.

- Widzę, że nie skorzystałaś z mojej rady - skonstatował Louis, gdy potknęła się o próg.

375

- Z jakiej rady? - z trudem wymawiała poszczególne słowa.

- Radziłem, żebyś wróciła trzeźwa. Powiedziałaś, że nie ma sprawy. - Spojrzał na nią pytająco.

Zrzuciła szpilki. Kapelusz miała dziwacznie przekrzywiony.

- Tak - odrzekła z uśmiechem. - Tak myślałam. Ale się myliłam.

- Jesteś cudowna - zdjął z niej żakiet, powiesił go starannie na wieszaku w szafie i zaprowadził Lenę do łóżka.

W nocy czuła się źle i miała kłopoty.

Nawet jeśli Louis to słyszał, nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Leżał, łagodnie oddychając. Nigdy nic mu się nie śniło, a przynajmniej nigdy swych snów nie pamiętał. Człowiek, który miał tyle do rozpamiętywania - dlaczego żadne wspomnienie nie wracało do niego w snach?

Natomiast Lena śniła nieprzerwanie o Jamesie Williamsie i o tym, co mogłoby się stać, gdyby przyjęła jego jednoznaczną propozycję.

Wzdrygała się na myśl, że była tego tak blisko, iż o mały włos nie powiedziała „tak”.

Louis szedł na dzienną zmianę i zostawił liścik: Nie chciałem Cię budzić. Tak smacznie pochrapujesz, że chyba zasługujesz na dłuższy wypoczynek. Do zobaczenia wieczorem.

Nigdy w życiu nie czuła się gorzej. Dlaczego ludzie tyle piją, skoro nazajutrz rano czują się tak koszmarne? Nie była pewna, czy da radę dotrzeć do agencji.

Począpała do Ivy.

- Jak tam ślub? - spytała Ivy, nalewając jej kawy.

- Chyba są szczęśliwi. Obkupili się na Oxford Street, wrócili do hotelu, zamówili herbatę do pokoju...

- Pojechałaś z nimi na miesiąc poślubny, czy co? - spytała zaszokowana przyjaciółka.

- Nie, nie, ja nie o tym... Ivy, myślisz, że powinnam wypić tę... jak jej tam... tę ostrygę prerii?

- Co?

- To lekarstwo na kaca.
- Ostrygę... Co to jest?
- To ty masz znajomych w pubie, nie ja.

376

- Miałam. Już nie mam.
- Wszystko jedno. Myślisz, że Ernest będzie wiedział?
- Chyba tak.
- Daj mi jego numer.
- Oszalałaś? Jest dopiero wpół do dziesiątej rano!
- Tak. Od pół godziny powinnam być w pracy. Ale nie mogę tak wyjść, bo nie dojdę. Dawaj numer albo zadzwonię do informacji.
- Zawsze mówiłam, że z ciebie wariatka.
- Halo? To ty, Ernest? Mówi Lena Gray.
- Tak? - rzekł ostrożnie.
- Pamiętasz mnie?
- No... tak.
- Ernest, mam do ciebie szybkie pytanie: co to jest ostryga prerii? Wiem tylko tyle, że to ma coś wspólnego z surowym jajkiem, a nie z prawdziwą ostrygą, prawda?
- Trzeba wbić jajko do szklanki, dodać łyżeczkę sherry, szczyptę soli, trochę sosu worcestershire, mocno wstrząsnąć i wypić jednym haustem.
- Dziękuję, Ernest.
- Masz wszystkie składniki?
- Tak, chyba tak. Dzięki.
- Myślisz, że nic jej nie będzie?
- Komu?

- Ivy. Ostatnio przesadza z alkoholem.

Lena chwilę milczała. Może to jest właśnie to? Może tym sposobem Ivy odzyska Ernesta?

- Cóż, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze - odrzekła. - Ivy nic ci nie mówi, ale bardzo to wszystko przeżywa.

- Czy mogłabyś... eee... powiedzieć jej, że...

- Tak?

- Żeby... żeby na siebie uważała?

- Może lepiej sam jej to powiedz?

- To trudne.

- Przeciwnie, uważam, że łatwe.

- Ale ona jest ciągle wlana.

- Nieprawda. Wczorajszy wieczór był zupełnie wyjątkowy. Mieliście jakąś rocznicę, ona i ty. Nie wiem

377

dokładnie, jaką. Tak czy inaczej mocno to przeżyła. - Lena nie śmiała spojrzeć na Ivy.

- Tak, mniej więcej o tej porze roku ona i ja... Ale nie chcę cię zanudzać.

- To nie moja sprawa, Ernest. Wiem tylko tyle, że nie pozwala powiedzieć na ciebie złego słowa. Próbowałam, Bóg mi świadkiem, próbowałam na ciebie nagadać, ale nie chciała mnie słuchać.

- Dobra z ciebie przyjaciółka, Leno. Mimo że jesteś Irlandką i zupełnie nas nie rozumiesz.

- Dziękuję ci, Ernest - rzekła pokornie i odłożyła słuchawkę.

- Zamorduję cię. Tu i teraz, w mojej własnej kuchni - powiedziała Ivy.

- Najpierw daj mi dwa jajka, sherry, sos worcester i spodeczek do

przykrycia szklanki.

- Niby dlaczego?
- Żeby nie wyciekło, jak będę wstrząsać.
- Nie o to pytam. Dlaczego miałabym ci pomagać?
- Ponieważ myślę, że udało mi się uratować wasz wielki romans. Szybko, Ivy, bo zaraz umrę.
- Ślub był udany? - spytała Dawn.
- Po prostu uroczy - odrzekła Lena.
- Miałam nadzieję, że mnie zaproszą.
- Było nas tylko kilkoro. Naprawdę, ledwie garstka.
- A pani mąż?
- Nie. Niestety, Louis nie mógł przyjść. Dawn wróciła do pracy.

Lena popatrzyła na jej jasną głowę pochyloną nad dokumentami na biurku. Tak, Dawn to bardzo efektowna dziewczyna. Lena i Jessie namówiły ją do poprowadzenia cyklu wykładów, i był to mądry pomysł. Dawn mogła stanąć przed każdym audytorium, przed każdą grupą absolwentów szkół średnich. Lena wiedziała, że uczennice uważnie wysłuchają słów młodej, szczupłej, oszałamiająco urodziwej dziewczyny, ledwie kilka lat starszej od nich samych. I kiedy Dawn mówiła o potrzebie nabycia umiejętności szybkiego pisania na maszynie, o konieczności biegłego

378

i wyraźnego stenografowania i o metodach organizacji pracy biurowej, chłonęły jej każde słowo. Te same rady płynące z ust Leny czy Jessie zostałyby potraktowane z przymrużeniem oka.

Lena miała ciężką głowę i niewytłumaczalne pragnienie. Do lunchu wypiała co najmniej sześć szklanek wody. Czy właśnie tak czuli się

wszyscy pijacy? Na przykład stali bywalcy baru Paddlesa i Foleya w Lough Glass? Albo starzy klienci pubu Ernesta? Czy następnego ranka wszyscy musieli się dowadniać? Zupełnie bez sensu. Już nigdy się nie upije.

- Wieczorem przychodzi Ernest - oznajmiła Ivy.
- Wspaniale. Czy może właśnie powiedziałaś: „Dziękuję ci, Leno”?
- Nie, tego nie powiedziałam. Powiedziałam natomiast, że nie rozumiem, dlaczego mam odgrywać rolę nałogowej alkoholiczki.
- Mogłabyś zostać alkoholiczką wstępującą na drogę poprawy. Mężczyźni to uwielbiają.
- W sumie to się nawet cieszę.
- Wiem.
- Ale nie chcę robić sobie zbyt wielkich nadziei.
- Oczywiście. - Lena położyła się i szybko zasnęła. Kiedy się obudziła, przy łóżku stał Louis.
- Jak się miewa moja biedna pijaczyna? - spytał ze współczuciem i miłością w głosie.
- Tak mi przykro, Louis. Czy byłam odrażająca?
- Nie, byłaś słodka, przypominałaś sflaczałego króliczka. Nie mogłaś ani stać, ani siedzieć, ani nic - podał jej filiżankę herbaty, którą Lena łakomie wypija.
- Mówiłam coś? - była na dziewięćdziesiąt procent pewna, że nie wspomniała o hotelu „Regent Palace”, gdzie śledziła parę nowożeńców z Lough Glass.
- Trochę bełkotałaś. Miałaś wielkie trudności z wymawianiem niektórych słów - pogładził jej czoło. - Wypijesz jeszcze jedną filiżankę herbaty, a

potem zrobię ci jajecznicę. Nic więcej nie zdołasz zjeść. Zaufaj wujkowi Louisowi.

Lena zamknęła oczy. Jakie to dziwne! Leżała w łóżku, podczas gdy Louis robił jej herbatę. Parę kilometrów stąd

379

w łóżku leżała Maura Hayes i być może też czekała na herbatę, którą miał jej podać Martin.

I znowu wróciła do nich myślą. Martin i Maura... Dobrze się razem czuli, to na pewno. Jak para starych przyjaciół, którzy kochali się w sobie od lat i dopiero niedawno przejrzeni na oczy. Martin nie wysiłał się, nie stawał na głowie, żeby tylko ją zadowolić, jak niegdyś próbował zadowolić Helen. A Maura była naturalna i rozluźniona.

Tak, pasowali do siebie jak ulał.

Zastanawiała się, czy jest między nimi jakaś namiętność. Seks. Chyba musieli uprawiać seks. Nie zawieraliby związku małżeńskiego, gdyby nie zamierzali go skonsumować.

Stwierdziła, że tego nie potrafi sobie wyobrazić.

Prawie nie pamiętała, jak to było z nią i z Martinem. Seks kojarzył się jej zawsze z Louistem - od chwili gdy go poznała i uświadomiła sobie, że jest jej przeznaczony. Nie czuła się skrepowana, myśląc o Martinie i Maurze uprawiających miłość podczas miodowego miesiąca w Londynie ani o Maurze śpiącej obok Martina w sypialni, którą Helen McMahan opuściła wkrótce po ślubie.

Nie. Po prostu nie umiała sobie tego wyobrazić.

Jessie i Jim wrócili z Kornwalii. Ciekawiły ich wrażenia ze ślubnego przyjęcia.

- Myślę, że wszyscy dobrze się bawili - powiedziała Jessie.
- Och, tak, było cudownie - zapewniła ją Lena.
- Mój brat mówił niewiele, ale on nigdy dużo nie mówi - wtrącił Jim Millar.

Było to określenie bardzo eufemistyczne, brat Millara bowiem podczas ślubnej ceremonii i podczas całego przyjęcia nie wykrztusił ani słowa.

- Ale mamie się chyba podobało? - Jessie miała nadzieję, że jej ślub był wielkim wydarzeniem towarzyskim, i chciała go takim zapamiętać.

- To był wspaniały dzień - odrzekła Lena. - I cudowna uroczystość. Nigdy jej nie zapomnimy.

Jessie nagrodziła ją spojrzeniem pełnym ulgi i wdzięczności,

380

podobnie jak Jim, zapatrzony w żonę spoglądającą na niego z triumfem w oczach.

Tymczasem Lena nie pamiętała z owego dnia dosłownie nic - nic oprócz czekających na windę Maury i Martina.

Od czasu do czasu Ivy narzekała, że Ernest zajął tak kategoryczne stanowisko wobec takiej błahostki jak niewinny kieliszek sherry.

Twierdził, że to szczyt śliskiego zbocza, po którym można się łatwo osunąć. Ale była to niska cena za jego powrót.

Przychodził regularnie. Czasami zamieniali z Leną kilka słów.

- Mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności - wyznał jej pewnego dnia konspiracyjnym szeptem. - Zawsze myślałem, że Ivy to kobieta, która potrafi o siebie zadbać, która umie żyć własnym życiem. Nigdy nie przypuszczałem, że może się tak załamać.

Minęły dwa miesiące, w Lough Glass i wszędzie indziej, i ludzie tak

przywykli do widoku Martina i Maury spacerujących razem z czułymi uśmiechami na twarzach, że wspomnienie Helen McMahan zatarło się w ich pamięci.

- Jest o wiele bardziej przysadzista niż jej poprzedniczka - zauważyła Mildred O'Brien, spoglądając przez okno na McMahanów spacerujących ulicą z Rustym, rudym, jeszcze szczeniakowatym seterem. Mildred nigdy nie lubiła Helen, ale wyglądało na to, że druga pani McMahan też nie przypadła jej do gustu.

Dan westchnął.

- Nie ma tego wdzięku, to prawda - odrzekł, wspominając w zadumie cichy szelest spódnicy Helen McMahan idącej ścieżką za hotelem, jej włosy spływające kaskadą na plecy i niespokojne oczy.

Od czasu do czasu Maura odwiedzała siostrę Madeleine. Pewnego razu przyniosła jej szybę i gałkę kitu.

- Przynajmniej nikomu siostra tego nie odda. - Wybiła młotkiem resztki strzaskanej szyby i zebrała szkło na starą gazetę.

381

- Nie bądź tego taka pewna. Wielu ludzi żyje w znacznie gorszych warunkach - odrzekła pustelnica.

- Nigdy w życiu nie szklilałam okien. Oddając tę szybę jakiemuś biedakowi, zniszczyłaby siostra moją wiarę w siebie.

- Widzę, że jesteś bardzo szczęśliwa, Mauro.

- To prawda. Dzięki Bogu, jestem bardzo szczęśliwa. Co więcej, dzieci Martina mnie uwielbiają, niech je Bóg błogosławi.

- Nie uwielbiałyby cię, gdybyś nie była dla nich taka dobra.

- Zastanawiałam się... - mówiła Maura, dopasowując szybę do okiennej

ramy. - Zastanawiałam się, czy mogłaby mnie siostra uspokoić co do pewnej sprawy.

- Umysł mam tak skołatany, że zawsze unikam dawania rad i uspokajania innych.

- Chodzi mi o to... Nie wiem, może to tylko sen, przesąd albo przywidzenie, ale...

- Mów dalej, Mauro.

- Czy dzieje się tak naprawdę, czy to tylko z przemęczenia?

- Powiedz mi trochę więcej, może zrozumiem, do czego zmierzasz.

- Ale to tak głupio brzmi.

- Wiele rzeczy brzmi głupio - siostra Madeleine podeszła do kuchenki i postawiła na ogniu stary, czarny czajnik.

Maura ostrożnie umieściła szybę w ramie.

- Już. Jak marzenie, prawda? - Cofnęła się o krok, podziwiając krzywawe okno, które prezentowało się o niebo lepiej niż przed chwilą, gdy z ramy sterczały ostre odłamki szkła.

- Wygląda pięknie - odrzekła pustelnica, podziwiając dzieło Maury. - Dziękuję ci z głębi serca.

Maura zagryzła wargę.

- W górnym rogu została malutka szczelina, ale zaszpachlowałam ją kitem. Chyba tego nie widać.

- Widzę tylko lśniące czystością okno, które chroni mnie przed wiatrem i deszczem. Jeszcze raz ci dziękuję. - Pustelnica naląła jej herbaty. - Co widziałaś, o czym śniłaś, że tak bardzo cię to zaniepokoiło?

382

To takie dziwne, ale... Kiedy byliśmy w Londynie, stanęła obok nas

kobieta. Stała blisko, bliźniutko, nie dalej niż siostra.

- No i?

- I byłam absolutnie przekonana, że to... Helen.

* * *

Jedli kolację w klubie golfowym, jak w każdą sobotę. We czworo, w luźnej, niekrepującej atmosferze. Czasami przysiadali się do nich inne małżeństwa. Od słowa do słowa, zaczęli rozmawiać o pustelnicy.

- Nie pozwala się zbadać - powiedział Peter Kelly. - Ona nie ufa współczesnej medycynie. Wierzy tylko znachorom i Cyganom.

- Ale ma tam ciepło, dom jest w miarę szczelny i osłonięty - zauważyła Maura.

- Może i jest, ale co ona wdycha? Torfowy dym. Pewnie też sypia w wilgotnej pościeli. Ale równie dobrze można gadać do ściany. Nie przekonasz jej, ona ma swoje dziwaczne zasady. Tak żyła i tak umrze. Martin pokręcił głową.

- W zeszłym roku chciałem jej dać maść na odmrożenia. Podziękowała mi i powiedziała, że wszystko w swoim czasie.

- Mimo to uważam, że myśli całkiem trzeźwo - odrzekła Maura.

- Nie ulega wątpliwości, że Emmeta wyleczyła - przyznał Martin. - Chłopak przestał się jękać.

- I uspokoiła Clio, kiedy ta smarkula szalała niczym kandydatka na galernicę - wtrąciła Lilian.

- I nigdy nie popierała głupich fantazji - dodała Maura. - Pod wieloma względami jest równie praktyczna jak siostra Bernard.

Zaczęli rozmawiać o siostrze Bernard i o jej nowym projekcie. Matka przełożona zamierzała do klasztoru nowe skrzydło, a jej

poczynania związane ze zbiórką funduszków na ten cel doprowadzały wszystkich do szału.

Ale Maura błędziła myślami gdzie indziej.

383

Wspominała rozmowę z siostrą Madeleine. Pustelnica była nieugięta i twierdziła, że to niemożliwe, aby Maura mogła zobaczyć Helen McMahon. To na pewno tylko wyobraźnia, to tylko wyobraźnia spletała jej figła. Jeśli człowiek jest przestraszony, nawet drzewo przybierze postać groźnego straszydła, a poruszana wiatrem gałąź będzie mrocznym cieniem intruza za okienną szybą. Maura musiała zbyt wiele myśleć o Helen, i podświadomie założyła, iż jest nią każda kobieta wzrostu i tuszy nieszczęsnej topielicy.

- Rzecz w tym, że wcale o niej nie myślałam - odparowała Maura.
- Jak była ubrana?
- Nosila okulary przeciwsłoneczne i mały kapelusz. Taki ze szkarłatnymi piórami. Była do niej tak bardzo podobna... - Pustelnica odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. - Nie wierzy mi siostra?
- Helen McMahon w przeciwsłonecznych okularach? W hotelu? Helen w kapeluszu? Znałam ją tyle lat i nigdy nie nosila kapelusza...
- Ale założmy, że...
- Musiałaś myśleć o niej podświadomie, o czym, naturalnie, nie wiedziałaś. Dlatego przeniosłaś jej cechy na zupełnie obcą kobietę, która stanęła obok was. - Wy tłumaczenie było tak oczywiste, że siostra Madeleine uśmiechnęła się promiennie.

Tak, Maura wiedziała, że pustelnica musi mieć rację.

W szkole hotelarskiej było bardzo dużo nauki, mimo to miały trochę

wolnego. Kit często chodziła do kina z Frankie, straszną rozrabiarą, która zawsze umiała wytargować pozwolenie na późniejszy powrót do bursy. Frankie była dziewczyną wesołą i beztroską. W przeciwieństwie do Clio, wychowanej w nader cieplarnianej atmosferze, nie wrzeszczała i nie krytykowała, jeśli Kit zrobiła coś nie po jej myśli. Zaprosiła ją do Cork na weekend z rodziną. Kit chętnie by pojechała, ale był koniec miesiąca i wydała już prawie wszystkie pieniądze. Nie miała na pociąg. Frankie wzruszyła ramionami. Może innym razem.

384

Kit przyjęła to z ulgą, myśląc o śledztwie, o krzyżowym ogniu pytań, któremu poddałaby ją Clio.

Organizowano też prywatki. Niektóre były cudowne - śmiały się wtedy i śpiewały długo w noc - inne zaś zupełnie nieudane. Nie powinno się ich w ogóle nazywać prywatkami, bo stanowiły tylko pretekst do obmacywanek. Kit i Frankie uważały, że w miejscu publicznym robić tego nie wypada. To sprawa prywatna - mówiły i cmokały na siebie, udając zakonnice, dopóki nie padły ze śmiechu.

- Co ty właściwie robisz całymi dniami? - narzekała Clio. - Nigdy cię nie widzę. - Kit próbowała się tłumaczyć, ale żadne tłumaczenia nie trafiły Clio do przekonania. - To okropne - orzekła, zbywając ją gestem ręki.

- Trudno - odrzekła beztrosko Kit. - Wcale nie musisz ze mną chodzić.

Mimo to od czasu do czasu chciałabym pogadać z tobą przy kawie. Ponoć jesteśmy przyjaciółkami.

Clio umilkła jak czternastolatka.

- Spotkajmy się jutro u Bewleya na Grafion Street - mruknęła.

- Poszłaś już kiedyś na całość? - spytała Clio.

- Zwariowałaś?
- Czy to znaczy, że poszłaś, czy że jeszcze nie poszłaś? - Clio miała zaraźliwy śmiech. Dlatego ich dziecięce kłótnie nigdy nie trwały długo. Teraz już się nie kłóciły. Były o wiele za stare na tego rodzaju głupstwa.
- Odpowiedź brzmi „nie”, jak sama dobrze wiesz - odrzekła Kit.
- Ja też jeszcze nie - wyznała nieśmiało Clio.
- Tylko pamiętaj, że o to nie pytałam. Jestem wystarczająco dojrzała, żeby nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.
- Słuchaj, czy my nie jesteśmy przypadkiem dziwaczkami? - spytała niepewnie Clio. - Może robią to wszyscy dookoła, tylko trzymają język za zębami, bo są dojrzałi?
- Cóż, wiemy, że Deirdre Hanley robi to z każdym, kogo tylko zobaczy. Wiemy, że Orla Dillon, ta z kiosku z gazetami w Lough Glass, była na tyle głupia, żeby zrobić to z jakimś góralem i wyjść za niego za męż. Nic gorszego nie mogło się jej przytrafić.
- Nie chodzi mi o takie jak one. Chodzi mi o takie jak my.

385

- One są takie jak my, Clio. Też pochodzą z Lough Glass.
- Nie, no wiesz. Chodzi mi o dziewczyny z klas średnich, z klas wyższych...

Kit zachichotała.

- Clio, mówisz jak Margaret Rutherford na filmie!
- Mówię serio. Jak się tego dowiedzieć?
- Nie da rady. Same musimy to wypracować.
- Przecież musi być jakiś sposób - Clio była bardzo podekscytowana.

Kit spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Dlaczego? To takie ważne?
- Bardzo ważne.
- Myślę, że dziewczyny takie jak my robią to, jeśli tego chcą. Jeśli nie chcą, to tego nie robią.
- Nie robimy tego, bo się boimy, że pójdziemy do piekła, że zaczną nas obgadywać, że nas napiętnują, ot co.
- To chyba nie takie proste.
- Proste? Wyłuszczyłam ci wszystkie możliwości, wszystkie ewentualności. Czego jeszcze chcesz? Widzisz, chodzi o to, że Michael, no wiesz, ten chłopak, o którym ci opowiadałam...

Kit wiedziała, o kim mowa. Michael O'Connor, student wydziału handlowego, wysoki brzydal, który tak irytująco się śmiał, brat Kevina O'connora z jej college'u. Pochodzili z bardzo zamożnej rodziny, jeździli po Dublinie własnymi samochodami, co było przejawem wprost niesłychanego luksusu. Tak, Clio wielokrotnie o Michaelu wspominała.

- Tak, wiem.
- No więc Michael mówi, że wszyscy to robią, że jestem prowincjuszka i nie nadążam za światem.
- No, a ty? Chcesz to zrobić czy nie?
- Nie chcę go stracić.
- Jeśli mu się podobasz, na pewno cię nie zostawi.
- To filozofia siostry Bernard, Kit. To już nie te czasy.
- Lubisz go?
- No jasne, że go lubię.
- Dlaczego? Umie cię rozbawić? Macie wspólne zainteresowania?

Rozumie cię?

- Nieszczególnie. Ale lubię z nim być. Lubię być jego dziewczyną. - Clio mówi czasami jak dziecko - pomyślała Kit. Zupełnie nie przypomina studentki uniwersytetu.

- No i co? Czy on uważa, że jak nie zaczniesz uprawiać z nim seksu, to cześć?

- On to nazywa uprawianiem miłości.

- Wszystko jedno.

- Wyraźnie tego nie powiedział, ale sama wiesz, takie rzeczy się wyczuwa.

- To szantaż.

- On twierdzi, że bez tego nie można kochać prawdziwą...

- No pewnie - prychnęła Kit. Clio błysnęła oczyma.

- I mówi, że jego brat Kevin robił to z tobą.

- Że co?!

Clio zaniepokoiła się gwałtowną reakcją przyjaciółki.

- Tak mówił, chyba po jakiejś prywatce. Kit wstała z zaczerwienioną twarzą.

- Dam ci pewną radę, Clio. Możesz z niej skorzystać albo nie. To jedno wielkie łgarstwo. Tak, któregoś wieczoru ten głupi wół próbował ściągnąć mi majtki, ale go pogałam, bo jeśli kiedykolwiek stracę dziewictwo, to na pewno nie z jednym z tych wieprzowatych, zakłamanych kutafonów, nie z którymś z O'Connorów, którzy nic, tylko głupio chichoczą i wrrrr-wrrrr, rozbijają się po mieście samochodami, myśląc o sobie Bóg wie co!

Goście przy sąsiednich stolikach patrzyli z wielkim zainteresowaniem na piękną, kędzierzawą dziewczynę w czerwonym, eleganckim żakiecie,

która cisnąwszy na blat kilka monet, wypadła jak burza z kawiarni. Nie pierwszy raz mogli podsłuchać rozmowę o łgarstwach, stracie dziewictwa, majtkach i samochodach.

Dublin się zmieniał.

Lena po raz setny próbowała wymyślić pretekst, który umożliwiłby jej wysłanie krótkiego listu do Kit - listu albo chociaż pocztówki. Ale zawsze dochodziła do wniosku, że byłoby to posunięcie zbyt niezręczne. Gdyby próbowała

387

się z nią skontaktować, córka znowu zaczęłaby od niej stronić. Jakkolwiek by na to patrzeć, jej list był tylko spóźnionym podziękowaniem za sukienkę i ostrzeżeniem przed Martinem i Maurą, którzy przyjechali do Londynu. Oschły i konkretny, nie sugerował odnowienia dawnej przyjaźni. Mimo to Lena nie traciła nadziei. Może znajdzie jakiś pretekst, jakiś sensowny powód. Uważnie przejrzała gazetę w poszukiwaniu czegoś, co by ją zainteresowało, czegoś, co umożliwiłoby ponowne nawiązanie kontaktu. Zobaczyła notatkę na temat trudności ze znalezieniem pracy w hotelarstwie. Wycięła ją i nakleiła na czystą kartkę. Dołączyła do tego broszurę agencji Millara - Szanse i możliwości w branży hotelarskiej - i wysłała to wszystko pod dublińskim adresem Kit.

Kit była już słuchaczką drugiego roku. Nadeszła pora, by zacząć myśleć o przyszłej pracy. Za to na pewno się nie obrazi.

Natomiast list wielokrotnie przepisywała, dopóki nie uznała, że jest taki, jak trzeba. Pamiętała też o dopisku: Na ręce pani Ivy Brown. Nie chciała, żeby o jej korespondencji z Irlandią dowiedział się Louis czy koleżanki z agencji. List zakończyła słowami:

Pomyślałam sobie, że zainteresuje to Ciebie i Twoje koleżanki.

Mam nadzieję, że nauka idzie Ci dobrze.

Przyjmij najszczerze życzenia samych sukcesów i szczęścia.

L.

To Maura zauważyła, iż z Emmetem jest coś nie tak.

Powiedział, że nie chce żadnego zamieszania. Zresztą ma ważny mecz i nie może się wycofać, bo brat Healy go obsobaczy.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poproszę Petera, żeby cię zbadał - upierała się Maura.

- Jestem już dorosły. Wiedziałbym, gdyby coś było nie w porządku. - Mierzyli się wzrokiem. Doszło do pierwszej poważnej konfrontacji.

388

Emmet był chłopcem przystojnym, szczupłym i żyłastym, choć czasami sprawiał wrażenie słabowitego. Należał do miejscowej drużyny hokejowej * i zaliczano go do najlepszych zawodników.

* Hokej irlandzki, tzw. hurling - tradycyjna gra irlandzka, w której na prostokątnym boisku długości prawie 140 m zmagają się dwie drużyny, po piętnastu zawodników w każdej.

Maura wiedziała, że opuściłby mecz tylko w przypadku poważnego niebezpieczeństwa.

Lecz chłopak odczuwał silne bóle, miał ziemistą skórę i żółtawe białka oczu.

Maura nie zamierzała się wycofywać.

- Wiem, że jesteś dorosły, Emmecie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. I gdyby chodziło o zwykłą wizytę w gabinecie lekarskim, o związaną z tym stratę czasu, nigdy bym cię do tego nie zmuszała. Ale Peter jest moim

szwagrem. Czy pozwolisz, żeby dziś wieczorem cię obejrzał? Tylko na ciebie spojrzy i będzie po wszystkim.

Emmet uśmiechnął się.

- Jesteś zbyt rozsądna, Mauro. W tym cały problem. Peter Kelly oznajmił, że Emmet McMahan ma ostrą żółtaczkę. Można go leczyć w domu. Zaciemniony pokój, dużo kleiku jęczmiennego, przepisane tabletki oraz analiza czerwonego jak porto moczu.

Rano odwiedziła go dwa razy Maura, która wymknęła się z pracy u Steviego Sullivana. Dwa razy odwiedził go ojciec, opuściwszy na chwilę aptekę. Anna Kelly nie chodziła do szkoły, bo chorowała na odrę - ona też do niego wpadła i zaproponowała, że mu trochę poczyta.

- Tylko co? Desiree pewnie byś nie chciał. To opowieść o przyjaciółce Napoleona, jest wspaniała, ale...

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym coś innego, na przykład wiersze.

- Z naszego podręcznika? Mógłbyś potraktować to jak powtórkę przed egzaminami.

- Nie. Jediną dobrą stroną tego wszystkiego jest to, że nie muszę myśleć o powtórkach i o szkole. Znasz jakieś śmieszne wiersze?

- Nie, nie na pamięć - odrzekła Anna. Wyglądało na

389

to, że sytuacja jest patowa. - Ale w domu mam zbiorek bardzo zabawnych wierszy Ogdena... Tak, Ogdena Nasha. Może to?

- Dobra. Jak będziesz tędy przechodziła...

- Zaraz je przyniosę.

- Nie chcę, żebyś traciła przeze mnie czas - Emmet był chłopcem troskliwym i uważającym.

- Nie, ależ skąd! Zresztą to ty jesteś poważnie chory, ja mam tylko odry. Emmet poczuł się ważny, że jest tak ciężko chory, i mile go polectało, iż Anna pofatygowała się aż na Lakeview Road, żeby przynieść mu książkę. Wiersze Ogdena Nasha bardzo im się podobały. Czytali na zmianę i cały dom rozbrzmiewał ich śmiechem.

Kit wróciła z Dublina i stwierdziła, że przesiadują ze sobą dzień w dzień: jej braciszek Emmet z żółtawą skórą i żółtawymi oczami i Anna Kelly z ciemnobrązowymi plamami ustępującej odry. Wyglądało na to, że dobrze im razem.

Długo się zastanawiała, zanim odpisała na list. Tak, musiała podziękować za wycinek i broszurę. Ale czyż Lena nie miała prawa wiedzieć, iż jej syn był bardzo ciężko chory i że powoli zdrowieje? Tak, naturalnie, wszelkie prawa utraciła w chwili, gdy ich porzuciła. Gdyby jednak Kit przekazała ojcu jej list, Lena miałyby chociaż prawo dowiadywać się o dzieci i o ich samopoczucie. Z drugiej strony, gdyby tego listu nie spaliła, ojciec i Maura nie mogliby się pobrać.

Jej myśli zawsze krążyły tym samym torem. Błędne koło. Nie potrafiła zrozumieć nic więcej. Nie było wyjścia, musiała skończyć ze spekulacjami, marzeniami i dostosować się do rzeczywistości. W końcu odpisała.

Bardzo dziękuję za broszurę. Możliwości zatrudnienia w Anglii są bardzo interesujące. Tutaj obowiązują takie same egzaminy, więc każdy absolwent naszego college'u ma odpowiednie kwalifikacje. Ciągłe słyszymy, że intensywniejszy rozwój turystyki w Irlandii stworzy bardzo dużo nowych

miejsc pracy, ale ciekawie jest przeczytać, że w Anglii hotelarstwo rozkwita już teraz.

Emmet przychodzi do siebie po ostrej żółtaczce. Miał bardzo dobrą opiekę lekarską i bardzo się o niego troszczyliśmy, więc za dwa tygodnie powinien wrócić do szkoły.

Pomyślałam sobie, że zechcesz o tym wiedzieć.

Ja także przesyłam Ci życzenia wszystkiego najlepszego.

Kit

Lena czytała o swoim jedynym synu powalonym żółtaczka, chorobą, która - jakkolwiek by na to patrzeć - była odmianą zapalenia wątroby.

Odczuwała zazdrość. Zazdrość o Maurę Hayes, która przynosiła mu bulion i rosół z kurczęcia, która zakrywała gazą słoje z cytrynowym kleikiem z jęczmienia.

Lena robiłaby to samo i jeszcze więcej. Głaskałaby go po czole, zmieniałaby mu piżamę, siedziałaby przy łóżku i czytała mu opowiadania albo wiersze. Myślami była w Irlandii.

Louis dotknął jej ręki. Zawsze starała się zorganizować wszystko tak, żeby śniadanie upływało w miłej atmosferze. Prawdziwa kawa, podgrzewana bułeczka, miód. Ładnie zastawiony stół, różowy obrus. Pomagało to Louisowi dobrze rozpocząć dzień.

- Nad czym tak medytujesz? - spytał.

- Myślę o moim synku. Choruje na żółtaczkę i... mam nadzieję, że nic mu nie będzie - odrzekła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Skąd, u licha, o tym wiesz? - Louis był zaniepokojony.

Lena wzięła się w garść.

- Pytałeś, o czym tak medytuję - odrzekła z uspokajającym uśmiechem. - Myślałam właśnie o tym.

Przybrał współczujący wyraz twarzy.

- Nie chcę tego drażnić, bo spekulacje nie mają sensu. Ale zdaję sobie sprawę, jak ci ciężko.

- Wiem, Louis, wiem.

- Szkoda, że nie mamy z sobą dzieci.

- Tak, szkoda - szepnęła głucho.

- Wiem, że o nich myślisz, o swoim synu i córce... -

391

jakby jej wybaczał, jakby udzielał jej przyzwolenia na duchowy powrót do dzieci.

- Tak. Od czasu do czasu.

- Nigdy nie żałowałaś, że... odeszłaś? - Wiedział, co mu odpowie.

Lena zwlekała. Louis nachmurzył czoło, lecz po chwili na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

- Dobrze wiesz, że kochałam cię całe życie. Każda chwila bez ciebie jest dla mnie chwilą straconą. Jak możesz mnie pytać, czy żałuję czegokolwiek, co dało mi szansę na przebywanie z tobą?

Był wzruszony. Czy kiedykolwiek czuł się winny za to, że lata temu porzucił ją dla innej? Za to, iż nawet teraz nie dochowuje jej wierności? Ciągle powtarzał, że Lena jest jedyną kobietą, która może go przy sobie zatrzymać. Lecz mogło to równie dobrze oznaczać, iż jest jedyną kobietą głupią na tyle, by wytrwać z nim mimo tylu poniżeń. Czy właśnie to go przy niej zatrzymywało?

Lata temu, kiedy powiedziała Martinowi McMahonowi, iż nie może go

poślubić, ponieważ wciąż hołubi w sobie pamięć o innym mężczyźnie, zaskoczony Martin odrzekł, że to na pewno nie miłość, tylko zauroczenie. Bardzo ją to wtedy zirytowało. Określanie uczuć słowami jest głupotą - odrzekła. To, co dla jednych jest zauroczeniem czy obsesją, dla innych jest miłością. Nie da się tego poukładać w starannie oznaczonych szufladkach. Nadal w to wierzyła. Patrząc na zarys dolnej szczęki Louisa i na jego długie, cieniste rzęsy, zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby zdołała o nim zapomnieć, wtedy, przed laty, gdy ją zostawił; gdyby zdołała powiedzieć „nie”, kiedy po nią wrócił.

- Jak chciałabyś spędzić weekend?

Tak naprawdę to chciałaby polecieć do Dublina, nałożyć chustkę i ciemne okulary, złapać pociąg, potem autobus do Lough Glass, wejść do domu i zajrzeć do pokoju syna. Chiałaby odwiedzić go po południu, bo wtedy pewnie będzie spał, dotknąć jego czoła, szepnąć mu do ucha, że mama bardzo go kocha, że wszystko o nim wie, że czuje każde uderzenie jego serca. Potem pocałowałaby go, a kiedy

392

by się obudził, wszystko by pamiętał, tak jak pamięta się dobry sen.

Później poszłaby do domku siostry Madeleine, aby podziękować starej pustelnicy za to, że tak długo jej pomagała, i powiedzieć jej, że znalazła szczęście. Potem spotkałaby się z Kit. Poszłyby razem na krótki spacer nad jezioro. Tak, pomysł był bardzo kuszący. Jednak wiedziała, że nie wolno jej o tym myśleć nawet przez chwilę, iż to niebezpieczne. To tak, jakby knuła zdradę, zdradę wobec najbliższych, wobec tych, których już raz zdradziła.

- Wiesz, dokąd chętnie bym pojechała? Do Oxfordu albo do Cambridge. I

chciałabym spędzić tam noc - mówiła jak podekscytowane dziecko.

Louis myślał chwilę.

- No cóż, pociągiem to w sumie niedaleko...

- I moglibyśmy zrobić sobie wycieczkę, by zobaczyć, jak tam żyją...

- Albo nawet wziąć udział w regatach łodzi wiosłowych - dodał, zarażony jej entuzjazmem.

Wybrali Oxford. Louis miał spytać w pracy o jakiś ładny hotel.

Odgrywanie roli jedynej kobiety zdolnej do zatrzymania przy sobie Louisa Graya przychodziło Lenie bardzo łatwo. Musiała tylko mieć zamknięte oczy i otwarty umysł. A Oxford i Cambridge były miastami, dokąd ani razu nie wyjeżdżał służbowo. Nie, nic im tam nie groziło.

- Jak się miewa nasz chory? - spytał Stevie.

- Najgorsze ma już za sobą - odrzekła z ulgą Maura. Choroba Emmeta bardzo ją martwiła. - Jest żółty jak kaczka łapa, ale powoli dochodzi do siebie.

- To dobrze. Posłuchaj, Mauro. Po południu będę musiał wyjść. I to na kilka godzin. Mogę nawet nie wrócić do pracy. Ale nad wszystkim panujemy, prawda?

- Nad interesami panujemy, owszem.

- Co, u licha, chcesz przez to powiedzieć?

Chciała przez to powiedzieć, że nad życiem prywatnym Stewiego Sullivana nie panował nikt. Maura McMahon miała oczy na swoim miejscu. Dobrze wiedziała o pięknej Orli Dillon z kiosku z gazetami. O tej samej Orli, która

393

kilka lat temu wyszła spiesznie za mąż i mieszkała z rodziną męża w odległej parafii.

Kilka razy widziano ją ze Steviem w miejscach, w których przebywać jest, delikatnie mówiąc, niemądrze. Telefonowała dziś rano i chociaż podała inne nazwisko, Maura poznała ją po głosie. Było oczywiste, że planowali popołudniową randkę.

- Nic, Stevie, absolutnie nic - odrzekła, spuszczać oczy.

- Świetnie. W takim razie lecę. Na ulicy są pompierze, a jak pójdziesz zajrzeć do Emmeta, nie zapomnij zdjąć słuchawki z widełek. - Stał w progu, bawiąc się kluczykami samochodowymi. Wysoki, przystojny młodzieniec. Zbyt inteligentny, zbyt obiecujący, aby wdawać się w aferę z córką Dillonów i z jej licznymi krewniakami z gór.

- Stevie, wiem, że nie jestem twoją matką, ale...

- I dzięki Bogu, Mauro. Jesteś młodsza, bystrzejsza i masz większą klasę. Straciwszy wszelką nadzieję, patrzyła, jak Stevie wychodzi z biura.

Rzeczywiście - pomyślała - matka Stewiego to ostatnia osoba, która może udzielić mu dobrej rady. Była kobietą zgorzkniałą, zahartowaną przez życie, lecz nie docierało do niej, że poziom tego życia znacznie się ostatnio poprawił. Jej głównym zajęciem było dogadywanie Maurze. Uważała, iż kto jak kto, ale aptekarz powinien być w stanie utrzymać żonę. I wielokrotnie wspominała, że pierwsza pani McMahon nigdy nie widziała potrzeby obarczania się pracą poza domem. Maura na to nie zważała. Kathleen Sullivan była zrzędą. Tak o niej mówili: biedna stara zrzęda.

Po drugiej stronie ulicy spędziła najwyżej kwadrans. Zmieniła Emmetowi piżamę, dała mu moką ściereczkę do przetrarcia twarzy, szyi i rąk i poczęstowała go czekoladowym batonikiem. Chłopak szybko zdrowiał. Cichutko wyszła i nie zajrzawszy nawet do Martina zajętego w aptece,

ruszyła na drugą stronę ulicy.

Gdy tylko stanęła w progu biura, dostrzegła, że sejf jest otwarty. Z półek porzucano wszystkie rzeczy, powyciągano z biurka wszystkie szuflady i ciśnięto je na podłogę. Maura

394

często słyszała, jak ludzie mówili, że ten czy tamten „wrósł z przerażenia w ziemię”, i zdała sobie sprawę, że to dobre określenie. Ona też nie mogła się ruszyć. I nie ruszyła się do chwili, aż usłyszała jęk, cichy jęk dochodzący zza drzwi mieszkania Sullivanów. Dopiero wtedy nogi jej posłuchały, dopiero wtedy przebiegła przez biuro, by na podłodze za drzwiami znaleźć Kathleen Sullivan z wyciągniętymi błagalnie rękami. Została bestialsko pobita, twarz i włosy miała we krwi. Zaatakował ją jakiś szaleniec i omal nie zabił.

Wszyscy chwalili Maurę za to, że zachowała spokój i opanowanie, ale nie chciała tego słuchać. Cóż w tym trudnego: mąż był w aptece po drugiej stronie ulicy, szwagier pod telefonem. Miała tylko wyrzuty sumienia, że wyszła z biura. Gdyby została, nikt by Kathleen nie zaatakował.

- Nie mów tak - szepnął Martin. - Mogło to spotkać ciebie. Boże, Mauro. Gdyby to ciebie...

Zachowała też dyskrecję co do nieobecności Steviego. Powiedział, że ma spotkanie. Tak, chyba z doradcami finansowymi. Nie, nie w banku i nie w urzędzie skarbowym. Niedługo powinien wrócić.

Uparła się, że zaczeka na niego w biurze. Karetka zabrała Kathleen do szpitala. Pani Sullivan straciła dużo krwi. Lekarze musieli zbadać, czy ma całe kości. Rany były zbyt głębokie, żeby można je było zaszyć bez narkozy.

Peter miał posępną twarz.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej, Mauro. Lepiej wracaj do domu -
mruknął.

- Już jej to mówiłem.

Wiedziała, że musi zapanować nad głosem, mimo to zabrzmiała w nim
nutka hysterii.

- Proszę, pozwólcie mi zostać. Miałam doglądać biura, chcę zaczekać na
powrót Steviego Sullivana.

Sierżant O'Connor zdecydował, że też zostanie.

- Na miłość boską, dlaczego nie wrócisz na posterunek, Sean? Stevie
zadzwońi do ciebie, jak tylko przyjdzie.

- Nie, zaczekam - Sean miał kamienną twarz.

- Mogę ci powiedzieć, co zginęło...

- Zaczekam, Mauro.

- No to długo sobie poczekamy.

395

- Jest z tą małą od Dillonów, co?

- Nie mam zielonego pojęcia, z kim się Stevie spotyka. Powiedział, że...

- Dobrze, Mauro, dajmy temu spokój - sierżant sprawiał wrażenie
znużonego. - Tylko jeśli jest z Orlą Dillon, to zwykle chodzą do tej
opuszczonej chałupy za cmentarzem.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Na tym polega moja praca.

- Nieprawda. To tylko plotki i oszczerstwa.

- Myślisz, że gdybym tam podskoczył, to straciłbym tylko czas?

- Nie zmusisz mnie do...

- Nie, idzie mi tylko o naszą wygodę. Moglibyśmy wrócić do domy wiele godzin wcześniej.

- No cóż, skoro tak...

Sean wstał i wyjął z kieszeni kluczyki do radiowozu.

* * *

Nikt nie wiedział, skąd mogli przyjść. W okolicy nie było żadnych innych włamań. Policja nie znalazła wyraźnych odcisków palców.

Czy to możliwe, aby dokonali tego zawodowi gangsterzy? Sierżant O'Connor uważał, że nie. Owszem, zawodowcy mogliby zostawić po sobie bałagan, ale na pewno nie przeoczyliby tylu dokumentów, które z łatwością dałoby się zamienić na żywą gotówkę, tylu dowodów rejestracyjnych, tylu czeków, a nawet gotowych tablic rejestracyjnych. Nie, profesjonalnie zorganizowany gang nie zostawiłby po sobie takiej wizytówki.

Kathleen Sullivan, która dochodziła do siebie w szpitalu, nie pamiętała, ilu zaatakowało ją napastników. Raz twierdziła, że tylko jeden, prawdziwy wielkolud z czarnymi, krzaczastymi brwiami, który cuchnął potem. Innym znów razem, że musiało ich być dwóch, bo coś grzmotnęło ją w potylicę w chwili, gdy ujrzała przed sobą tego z krzaczastymi brwiami.

- To mogło być biurko - spekulował sierżant, sugerując, iż Kathleen uderzyła głową w kant blatu.

396

Tak, ale niby kto miałby to biurko dźwignąć na wysokość głowy dorosłego człowieka?

Kathleen odniosła wrażenie, że napadło ją dwóch. Kimkolwiek byli, na pewno nie przyjechali samochodem - pompiarze dawali za to głowę.

Doskonale widzieli, kto wchodził i kto wychodził z domu. Skoro od ulicy nie wchodził nikt, ktoś musiał wejść od podwórza. Ktoś, kto obserwował dom, kto zobaczył, że Maura zmierza w stronę apteki naprzeciwko. Ktoś, kto nie spodziewał się zastać w biurze Kathleen.

A właściwie to co ona tam robiła? Nikt nie musiał o nic pytać. Wszyscy - od Maury i Steviego począwszy, na sierżancie O'Connorze skończywszy - dosłownie wszyscy wiedzieli, że gdy tylko Maura wychodziła na chwilę do domu, Kathleen wykorzystywała okazję, żeby poszperać w jej rzeczach - w torebce Maury też. Nie, nie, kraść, broń Boże, nie kradła, szukała tylko informacji. Sprawdzała, ile pieniędzy Maura ma na książeczce, w jakim tak naprawdę jest wieku i jakie listy z sobą nosi.

Nawet nie zawracali sobie głowy wypytywaniem Kathleen, po co tam poszła. Co staruszka przyjęła z niejaką ulgą, ponieważ leżąc w szpitalu rany, upajała się współczuciem wszystkich mieszkańców Lough Glass.

- Nie powinnam była wychodzić do domu - powiedziała Maura.
- A ja nie powinienem był łązić, gdzie polazłem - mruknął Stevie.
- Takiej krzepkiej kobiety jak ja może by nie zaatakowali - wciąż mówiła drżącym głosem.
- I bez tego jest mi ciężko, Mauro. Gdyby cię napadli, przez resztę życia miałbym wyrzuty sumienia wobec Martina McMahona. I wcale by mi się to nie podobało. Zwłaszcza że dopiero teraz zaczął naprawdę żyć.

Maura uśmiechnęła się z nie ukrywaną przyjemnością.

- Znałeś Helen?
- I tak, i nie. Bo któż ją znał? Była z niej ekstrababka, jak to mówią, ale nawet przy moim entuzjazmie dla pań czułem, że jestem dla niej odrobinę za młody.

- Żal mi twojej przyszłej żony, Stevie.
 - Nieprawda, wcale ci nie żal. Ludzie, którzy tak mówią, sami by chcieli się zabawić. Ciągnie ich do tego, że aż strach.
 - Ty masz tupet! Zaczniemy sprzątać? Sean już skończył.
 - Nie, Chryste, tylko nie to. Uciekajmy stąd, gdzie pieprz rośnie.
- Pójdiesz ze mną do Paddlesa? Postawię ci drinka. Kieliszek czegoś mocniejszego dobrze nam zrobi.
- Nie, Paddles nie lubi kobiet. Kobiety zakłócają miarowy rytm jego życia.

Stevie parsknął śmiechem.

- W takim razie może do „Centralnego”?
- Nie, naprawdę, pójdę już do domu. Biedny Emmet nie wie, co się dzieje. Chodź ze mną. Martin bardzo się ucieszy.
- Chętnie. Nogi mam jak z waty. - Nogi miał jak z waty głównie dlatego, bo najadł się strachu, gdy do miłosnego gniazdką w chałupie za cmentarzem wtargnął sierżant O'Connor. Stevie myślał, że będzie musiał stawić czoło hordzie krewniaków Orli Dillon, a z tej potyczki z życiem by nie uszedł.

Tak, musiał się napić. Wszystko jedno, gdzie.

Przy łóżku Emmeta siedziała Anna Kelly. Miała na sobie białą kamizelkę z wełny i bladobłękitną sukienkę. Jej złotawe włosy były lśniące jak włosy Clio.

Stevie nie zdawał sobie sprawy, że Anna jest takim atrakcyjnym dziewczątkiem.

- Proszę, proszę. Szczęściarz z ciebie, Emmet. Masz swoją własną

Florence Nightingale - rzekł z podziwem.

- Gramy w starą pokojówkę - wyjaśniła Anna.
- Spokojna głowa, ty pokojówką nie zostaniesz - odrzekł z uśmiechem Stevie.
- Bo ja wiem? Są gorsze rzeczy. Na przykład ślub z kimś z okolicy.
- Nie musisz wybierać kawalerów z okolicy - odparła ciotka Maura.
- Ty wybrałaś - zauważyła Anna.

398

- Tak, ale dopiero wtedy, kiedy stałam się kobietą, powiedzmy, dojrzałą i wiedziałam, gdzie chcę być. Emmecie, wpadłam do ciebie, bo myślałam, że czujesz się samotny, ale widzę, że to ci nie grozi.

- Złapali ich? - oczy Emmeta były jasne i roziskrzzone.

- Jeszcze nie - odpowiedział Stevie. - Ale spokojna głowa, na pewno ich tu nie ma. Policja uważa, że uciekli przez podwórze, tą samą drogą, którą tam weszli, ścieżką, a potem koło kościoła. Są w połowie drogi między Lough Glass a Dublinem.

- Dlaczego wybrali akurat twój warsztat? - spytała Anna.

- Bo to najszybciej rozwijający się zakład w okolicy - odparł Stevie.

Anna spojrzała na ciotkę, szukając u niej potwierdzenia słów Stewiego.

- Myślisz, że pracowałabym u niego, gdyby było inaczej? - odrzekła Maura. - Chodź, Stevie. Dostaniesz obiecanego kielicha.

Przeszli do saloniku. Martin rozmawiał przez telefon z Kit. O rabunku mówiono w wiadomościach. Kit to słyszała i chciała sprawdzić, czy wszyscy są cali i zdrowi.

Martin przywołał gestem Maurę.

- Porozmawiaj z nią.

- Och, Mauro! - Kit wybuchnęła płaczem. - Tak się bałam, że coś ci się stało. Dzięki Bogu, że to tylko ta stara zrzęda Kathleen...

Przed odłożeniem słuchawki na widełki Maura ścisnęła ją chwilę w rękę. Wzruszona łzami pasierbicy zatroskanej o jej bezpieczeństwo, prawie nie mogła mówić. Reakcja Kit, ulga i wyraz miłości w oczach Martina - to więcej, niż się spodziewała. Nalała wszystkim po dużym kieliszku brandy. Oczywiście w celu czysto leczniczym.

Siostra Madeleine nalała filiżankę herbaty dla pani Dillon.

- Tak, trudno ten świat zrozumieć - powiedziała.

- Przyszłam do siostry, ponieważ niegodziwość jest siostrze nieobca, a nie grzmi siostra z ambony, wybacząc

399

ludziom albo im nie wybacząc, zależnie od przypadku. - Pani Dillon z ożywieniem kiwała głową. Jej słowa były wielką pochwałą dla pustelnicy. Siostra Madeleine pochwałę przyjęła. Nie powiedziała, że tak naprawdę to nie ma prawa ani odpuszczać grzechów, ani wygłaszać kazań z ambony. Łatwiej było, gdy ludzie myśleli, że mają wybór, że u niej też mogą się wyświadczać.

Pani Dillon zamartwiała się zachowaniem swojej córki Orli.

- Może nie powinna była za tego górala wychodzić, ale ksiądz Baily nalegał na jak najszybszy ślub, żeby uniknąć skandalu, a raczej „kolejnego skandalu”, jak to ujął.

Siostra Madeleine mruknęła cicho i westchnęła. Zawsze tak mruzczała i wzdychała, co ludzi bardzo uspokajało. Nigdy ich nie obwiniała, dlatego chętnie do niej przychodzili. Było to przeżycie bardziej kojące niż cokolwiek innego. Ale kiedy zjawiali się po radę, musieli dojść do niej

sami.

- Obawiam się, że Orla zaniedbuje dziecko i że nie będę mogła się za nią ująć. - Głowa pani Dillon podskakiwała w górę i w dół. - Ale, siostrze, siostra dobrze wie, że z dzisiejszą młodzieżą nie sposób dojść do ładu. Oni nikogo się nie boją, nie to, co my kiedyś.

- Ale braci męża Orla przestraszyć się może - odrzekła w końcu pustelnica. - Daj jej do zrozumienia, że podczas jakiegoś pijaństwa usłyszeli... plotki. Zobaczysz, to zdziała prawdziwy cud.

Pani Dillon wyszła, dziękując zakonnicy jak za objawienie. Tak, właśnie tak robi. Oto najwłaściwszy sposób. Ani jedna, ani druga nie skomentowała faktu, że był to zwykły podstęp, kłamstwo nawet.

Kłamstwo, nie kłamstwo, grunt, żeby zadziało.

Zostawszy sama, siostra Madeleine naląła spodeczek mleka oślepijonemu kotkowi, którego przyniosły jej dzieci. Weterynarz uważał, że lepiej by było zwierzątko uśpić, ale pustelnica oświadczyła, że się nim zajmie - będzie podsuwała mu jedzenie i chroniła od wszelkich niebezpieczeństw. Było to kruche maleństwo, drżące po straszliwych przejściach, jakie spotkały go podczas krótkiego żywota. Ale gdy tylko zdało sobie sprawę, że skierowano mu łebek

400

w stronę czegoś tak pocieszającego jak okruszki chleba w mleku, nagrodziło siostrę cichutkim mruzeniem.

Nagle dobiegł ją dziwny odgłos. Coś jakby ciężkie, chrapliwe dyszenie.

Blisko, tuż za drzwiami. Początkowo myślała, że to jakieś zwierzę - kiedyś nad brzeg jeziora przed chatką wyszedł jelen - ale zaraz potem usłyszała głucho stęknienie.

Siostra Madeleine nigdy nie odczuwała strachu. Kiedy w progu ujrzała sylwetkę potężnego mężczyzny, była spokojna, spokojniejsza niż olbrzym z krzaczastymi brwiami i zakrwawioną ręką. Najwyraźniej raniono go w bójce. Miał dziko rozbiegane oczy i był bardziej przerażony jej widokiem niż ona zobaczywszy jego. Myślał, że chatka jest opuszczona.

- Nie ruszaj się, to nic ci się nie stanie! - krzyknął.

Siostra Madeleine zamarła. Rękę trzymała na piersi, ściskając prosty krzyżyk na łańcuszku. Na głowie jak zwykle miała krótki szary welon. Jej ubranie wskazywało na to, że jest zakonnica. Może nie taką z klasztoru, ale w szarej spódnicy, w szarej wełnianej kamizelce i w zwykłych sznurowanych butach nie mogła być nikim innym. Najbardziej wskazywał na to fakt, że kiedy kazano jej stać bez ruchu, zamarła jak posąg. I cały czas patrzyła intruzowi prosto w oczy.

Po chwili, która dłużyła się w nieskończoność, twarz mężczyzny złagodniała.

- Niech siostra mi pomoże. Proszę, pomóż mi, siostrze. - Jego policzki spływały łzami.

Bardzo powoli i ostrożnie, żeby go nie przestraszyć, pustelnica postąpiła krok do przodu i wskazała mu krzesło.

- Usiądź, przyjacielu - powiedziała cichym, spokojnym głosem. - Usiądź i pozwól mi obejrzeć twoją biedną rękę.

- Przynajmniej to nie Cyganie - mruknął sierżant O'Connor.

- Niby dlaczego mieliby to zrobić Cyganie? - fuknęła pani O'Connor.

- Właśnie to mówię. Nikt nie może powiedzieć, że to oni. Przecież ich nie ma, wyjechali. Na piknik, na koński targ, nie wiem, dokąd jeżdżą.

- Gdybyś więcej z nimi rozmawiał, zamiast biedaków straszyć, tobyś wiedział - docięła mu Maggie O'Connor.

- Chryste, już nikomu nie można nic powiedzieć, bo zaraz wszystko przeinaczą - burknął urażony sierżant.

Nie mieli pojęcia, kto obrabował warsztat i skatował Kathleen Sullivan. Wyglądało to na dzieło szaleńca. Tylko skoro to szaleniec, jakim cudem zdołał tak sprytnie zbiec z miasta?

- To tylko twoja sprawa - powiedziała siostra Madeleine, obmywając mu rany.

Raz po raz powtarzał, żeby odeszła od drzwi, bojąc się, że ucieknie i powie komuś, iż ją naszedł.

- Niech siostra nigdzie nie wychodzi - mówił, marszcząc krzaczaste brwi.

- Chcę mieć siostrę na oku.

- Muszę przynieść więcej wody - odrzekła prostodusznie, nie okazując strachu ani nie szukając wymówki. - Z pompy na dworze. Trzeba ją zagotować.

Oparł się wygodniej. W pustelnicy było coś takiego, co sprawiło, że nabrał do niej zaufania. Nie, ta kobieta go nie wyda.

- Mam kłopoty - wyznał w końcu.

- Wiem, przyjacielu, wiem - powiedziała to łagodnie, jakby oznajmił, że przyjechał z Donegal albo z Galway, a jego wyznanie dotyczyło jakiejś błażostki. Stwierdziła, że rana nie wymaga szwów. Wystarczy ją zabandażować, skóra zrośnie się sama. - Mógłbyś się trochę obmyć przy pompie - dodała. - Tylko uważaj na swoją biedną rękę, spróbuj jej nie zamoczyć. Odświeżysz się, zanim siądziemy do herbaty.

- Do herbaty? - nie wierzył własnym uszom.

- Wsypię do filiżanki dużo cukru, to ci doda energii po tym wypadku.
- To nie był wypadek.
- Wszystko jedno. I mam świeżutki chleb, pani Dillon mi go przyniosła...

Natychmiast wzmógł czujność.

- Odwiedzają tu panią?
- Nie nocą. No, idź już, idź - pustelnica była łagodna i stanowcza zarazem.

402

Wkrótce, na wpół umyty i znacznie bardziej odprężony, siedział przy stole, pochłaniając filiżankę za filiżanką słodzonej herbaty. Przedtem zjadł kilka pająd chleba z masłem.

- Jesteś dobrą kobietą - powiedział.
- Nie, jestem taka sama jak inni.
- Nie każdy wpuściłby do domu obcego, nie każdy by go nakarmił.

Niektórzy są tak nieporządni jak ja.

Dobrze skrywała uśmiech.

- Z doświadczenia wiem, że ludzie są zwykle szczerzy i porządni, o ile im się na to pozwoli.

Postukał łyżeczką w stół na znak, że się z tym zgadza.

- Racja, otóż to, tylko rzadko się im na to pozwala.
- Chciałbyś się przespać przy kominku? Jest tu koc i poduszka.

Jego wielka twarz omal się nie zapadła od nadmiaru zmarszczek.

- Siostra nie rozumie. Widzi siostra...
- Nie muszę nic rozumieć. Jeśli wolisz wyjść na ten wiatr, trudno. Gdybyś jednak został, to kominek jest tam.
- Widzi siostra, mogą mnie tu szukać.
- Nie w moim domu. I nie w nocy.

- Nie zasnąłbym. Naprawdę, nie mógłbym zasnąć. Westchnęła i zaprowadziła go do drzwi.
- Patrz prosto przed siebie. Widzisz to drzewo odstające od innych? Zmrużył oczy i wpatrzył się w mrok.
- Widzę.
- Wysoko na górze jest kryjówka. Do pnia przybite są szczeble, a między konarami jest dobrze zamaskowana kryjówka. Dawno temu zrobiły ją dzieci.
- Teraz tam nie przychodzą?
- Dorosły, i inne sprawy im w głowie.

Miasto trzęsło się od plotek. Mona Fitz ciągle powtarzała, że serce podchodzi jej do gardła, bo takie gangi wracają i napadają na urzędy pocztowe. Czytała, że to się zdarza. Wall założył w sklepie kłódki na wszystkich drzwiach. Jeśli bandyci uciekali ścieżką koło kościoła, musieli przebiegać

403

koło sklepu i na pewno widzieli, że warto tam zajrzeć. Tak, lada dzień mogli wrócić.

Dan i Mildred O'Brienowie z „Centralnego” byli przygnębieni. Lough Glass to i tak okropna dziura - mówili - a teraz zyskało jeszcze reputację miasta, gdzie zdarzają się napady z bronią w rękę. No i oczywiście wszystko zostało opisane w miejscowej prasie.

W gazecie, którą Lena kupowała co tydzień, też zamieszczono obszerny artykuł na temat napadu. Był to szczegółowy opis przestępstwa gwałtownego i bezsensownego. Nikt nie musiał jej nic mówić, i bez tego wyczuła, że całe miasto odetchnęło z ulgą, dowiedziawszy się, że Maury

McMahon akurat nie było w biurze. Czytając między wierszami, domyśliła się, że ta stara zrzęda Kathleen znowu z właściwym sobie wścibstwem wetknęła nos w nie swoje sprawy.

Nie to, żeby lektura artykułu sprawiła Lenie przyjemność, ale dała jej przynajmniej pretekst do napisania listu do Kit.

Z niepokojem przeczytałam o wypadkach, które zaszły w warsztacie naprzeciwko Twego domu. Chciałabym tylko, żebyś wiedziała, jak bardzo Wam wszystkim współczuję, żywiąc nadzieję, że zdołaliście otrząsnąć się z szoku. Nie chcę, żebyś czuła się zobowiązana do odpisywania na każdy mój list, pragnę tylko wyrazić swój niepokój i zatroskanie. Jestem pewna, że wybaczysz mi tę pisaninę.

Lena

- Kit, dzwonię, bo chcę im powiedzieć, że jedziemy razem na weekend - zaczęła Clio.

- Jak to?

- Tak to, że chcę wyjechać na weekend.

- No i?

- Znasz ciotkę Maurę, wiesz, jaka ona jest. Zawsze wtyka nos w moje sprawy, pyta, czy wszystko w porządku...

- Wiem - Kit nie miała nic przeciwko temu. Maurę interesowało tylko to, czy starcza im pieniędzy, czy dobrze się bawią i czy mają gdzie prac ubranie. O przyjaciół nigdy nie pytała. No, ale Clio najwyraźniej sposobiła się do czegoś

404

podejrzanego i czuła się zagrożona nawet zwykłymi pytaniami.

- Dlatego pomyślałam sobie, że powiem im, iż jedziemy razem do Cork.

To zabrzmiałoby prawdopodobnie.

- Bzdura.
- Wszystko jedno. To jak? Idziesz na to czy nie?
- Kiedy miałybyśmy tam jechać?
- Za dwa tygodnie.
- Dokąd ty się wybierasz, Clio?
- Dokładnie nie wiem.
- Owszem, wiesz. Zamierzasz stracić dziewictwo z tym strasznym Michaeliem O'Connorem, tak?
- No wiesz!
- Tak czy nie?
- Może i tak.
- Co za idiotka!
- Przepraszam, siostrzyczko Mary Katherine, nie zdawałam sobie sprawy, że rozmawiam z wyświęconą zakonnicej.
- Nie chodzi mi o stratę dziewictwa, chodzi mi o niego.
- Tylko dlatego, że nie podoba ci się jego brat...
- Tobie też się ten cały Michael nie podoba. Podoba ci się tylko to, że są tacy bogaci.
- Nieprawda. Poznałam jego rodzinę, są bardzo mili. Nie obchodzi mnie, czy są bogaci, czy nie.
- Ja też poznałam kogoś z tej miłej rodziny, osobnika imieniem Kevin, i ten palant wcale mi się nie podoba. Nie podoba mi się zwłaszcza to, co o mnie wygaduje. Szkoda, że nie mogę się na nim odegrać. Ale poczekaj, już ja coś wymyślę.
- Och, nie rób z tego takiej tragedii - utyskiwała Clio. - Oni są całkiem

mili. A ta ich starsza siostra, Mary Paula. Dziewczyna ma takie ciuchy, że w życiu piękniejszych nie widziałaś. I była dosłownie wszędzie. Hotele w Szwajcarii, we Francji... Wszędzie, wyobrażasz sobie?

- Jeździła tam na szkolenia hotelarskie, czy co?

- Nie, myślę, że tylko dla doświadczenia. Odwiedzała największe ośrodki narciarskie i...

- Bo w Irlandii jest mnóstwo pracy dla narciarzy - wtrąciła z sarkazmem Kit.

405

- Och, przestań potępiać ich wszystkich w czambuł. Słuchaj, co robisz w weekend za dwa tygodnie?

- Tak się przypadkiem składa, że jadę z Frankie do Cork. Ale wy jechać z nami nie możecie. Ani ty, ani on.

- Żaden problem. Wystarczy, jak powiem ciotce, że będziemy razem. Nie ma to jak dobra zasłona dymna. Jak się ona nazywa?

- Kto?

- Ta twoja Frankie.

- Nie wiem, nigdy jej o to nie pytałam.

- Daj spokój, nie bądź świnia, Kit... No dobra, wszystko jedno, wymyślę jakieś nazwisko. Boże, jesteś taka niekooperatywna. Czasami odbija ci jak twojej matce.

Zapadła cisza.

Kit odwiesiła słuchawkę.

Chichotały z Frankie całą drogę do Cork.

Jakiś stary grubas kupił im musujący napój pomarańczowy i czekoladowe herbatniki. Powiedział, że uwielbia patrzeć na młode dziewczęta, które

jedzą, piją i się śmieją.

- I nie zobaczy nic więcej - szepnęła Frankie do Kit.

- Dość, wystarczy, to już ostatni. Przestań, Frankie, posuwasz się za daleko. - Kit odczuwała wyrzuty sumienia, bo grubas patrzył na nie z wyraźnym podekscytowaniem, jakby miał nadzieję, że jego poważna inwestycja finansowa zwróci się chociaż w postaci uścisku.

- Przecież sam tego chciał - odrzekła Frankie. Autobusem dojechały do rodzinnego miasta Frankie, miejscowości położonej w hrabstwie Cork. Miasteczko było tylko trochę większe od Lough Glass. Ojciec Frankie prowadził pub. Mawiał, że kiedy córka zostanie szefową hotelu, a syn adwokatem, przejdzie na emeryturę, a pub sprzeda, taki miał plan. Natomiast matka Frankie twierdziła, że emerytura mu nie grozi, bo przestanie pracować dopiero wtedy, gdy wyniosą go z pubu z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby wciąż ścisnął w nich dźwignię pompy do piwa. Pompował je z beczek, odkąd skończył osiemnaście lat, i nie znał innego życia.

Byli szczęśliwymi, niefrasobliwymi ludźmi. Nie zadawali

406

nonsensownych pytań na temat pochodzenia Kit - na ich miejscu rodzina Clio nie dałaby dziewczynie żyć - ale nie mieli też klasy i elegancji jej matki, która na pewno poczyniłaby staranne przygotowania do przyjazdu gościa. Kit zastanawiała się, dlaczego nagle pomyślała o matce. Dom w Lough Glass prowadziła teraz Maura, i to od dłuższego czasu. Dlaczego pomyślała o nim jak o domu, gdzie wciąż gospodarzy matka?

Zastanawiała się też, czy nie powinna napisać do Leny, ale nie miała żadnego powodu. Nie, nie zamierzała wznawiać korespondencji. Nie po

tych wszystkich kłamstwach. Nie po tych oszukaństwach.

Paddy, brat Frankie, też przyjechał na weekend z Dublina. Podrzucił go facet z beznadziejnym samochodem, tak że dotarł do domu dopiero o północy.

- O rany! - powiedział, spoglądając na Kit. - A cóż to za piękna ptaszyna?

- Żadna ptaszyna - odparła wyniośle Kit.

- Przecież wiesz, co miałem na myśli. To tylko wyraz podziwu.

- W takim razie dziękuję za komplement - odrzekła życzliwie.

Paddy studiował prawo. Jego niezależność ograniczała się tylko do chodzenia na wykłady, ponieważ resztę czasu spędzał jako praktykant w kancelarii adwokackiej brata matki, gdzie harował jak galernik.

- Chyba nie jest aż taki zły? - Frankie zawsze broniła wuja.

- Łatwo ci mówić, ty nie musisz u niego pracować. Ale mimo wszystko to nieźła praktyka.

Biesiadowali wesoło w pubie ojca Frankie. Paddy pił mocny porter, dziewczęta sok cytrynowy z wodą. Kilku stałych bywalców, którzy nie odczuwali konieczności ścisłego przestrzegania godzin picia alkoholu, siedziało przy stolikach z miną ludzi mających pełne prawo do przebywania w lokalu i nie sprawiających nikomu kłopotów, jeśli tylko da się im święty spokój.

Paddy opowiedział dziewczętom o swojej pracy.

Najbardziej nie cierpiał ściągania długów. Oznaczało to

407

łażenie po domach, gdzie kobiety z dziećmi na rękach próbowały wyjaśniać mu, iż dłużnikiem jest człowiek chwilowo nieobecny i to on powinien tłumaczyć się z braku pieniędzy.

Kancelaria adwokacka to zwierciadło całego społeczeństwa - mówił. Miewają klientów, których policja przyłapała na rowerach bez świateł, petentów występujących o licencję na wyszynk, raz przyszła kobieta, która zadławiła się kawałkiem niedokładnie ugotowanego kurczaka. Kiedy już zostaną kierowniczkami hotelu, niech lepiej uważają na tego rodzaju sprawy, bo kobieta dostała spore odszkodowanie.

Mieli też klientkę z dużą blizną na twarzy. Blizna pomniejsza szanse na wyjście za mąż, więc kobieta wystąpiła o odszkodowanie i dostanie kupę pieniędzy.

- Czy tylko kobiety dostają odszkodowanie za oszpecenie? Mężczyźni nie?

- Odszkodowanie za stratę perspektyw na zamążpójście otrzymują tylko kobiety - odrzekł wesoło Paddy. - Mężczyźni nawet z twarzą poharataną dziesięcioma bliznami znajdą kandydatkę na żonę. To w żaden sposób nie zmniejsza ich szans na ożenek.

- To bardzo niesprawiedliwe, prawda? - skonstatowała Kit. - Oznacza bowiem, że kobieta może wyjść za mąż tylko wówczas, gdy ma nienaganny wygląd.

- Taka jest prawda - przyznał jej rację Paddy. - Dlatego dostają wysokie odszkodowanie. Bo cóż innego mają do zaoferowania kobiecie oprócz swego wyglądu i reputacji?

Frankie parsknęła śmiechem.

- Mówisz jak zakonnica.

- Nie, bo widzisz, tak się przypadkiem składa, że to prawny precedens - odparł Paddy. - Jeśli fałszywymi oskarżeniami odbierasz kobiecie reputację, musisz za to zapłacić.

- Opowiedz mi o tym coś więcej - poprosiła podekscytowana Kit, strzygąc oczami. - Opowiedz, jestem zafascynowana.

Przez cały weekend mieli kupę zabawy, układając list. Paddy twierdził, że im więcej grózb, tym większe szanse na tchórzliwszą i uleglejszą odpowiedź.

408

- W tym przypadku trzeba zażądać wysokiego odszkodowania - mówił. - On jest synem Fingletona O'Connora, faceta zwanego Lepkie Palce. To bardzo znana postać, nie zaryzykuje skandalu. Na pewno zapłaci.

- Nie zależy mi na tym - odrzekła Kit. - Chcę go tylko porządnie nastraszyć.

- Zresztą nie masz jeszcze licencji adwokackiej - dodała Frankie.

- Jak napiszemy list na papierze firmowym wuja, facet nigdy się o tym nie dowie.

Kit wysłała do Leny pocztówkę. Widniał na niej kamień z Blarney Stone w Cork. Każdy, kto ten kamień pocałował, zyskiwał dar swady, przynajmniej tak wmawiano turystom.

Spędzam tu miły weekend z przyjaciółmi. Dziękuję za zainteresowanie tragedią w Lough Glass. Sprawa powoli przysycha, chociaż nikt nie ma pojęcia, kto mógł to zrobić.

Uważaj na Siebie.

Kit.

- Kogo znasz w Londynie? - spytała Frankie, kiedy Kit wrzucała list do skrzynki.

- Taką jedną kobietę. Lubi, jak do niej piszę. Pocztówka z Blarney Stone na pewno ją zainteresuje.

- Jasne, poza tym na pocztówce nie trzeba tyle pisać - zgodziła się z nią Frankie.

W porównaniu z Clio Frankie była bardzo spokojną i taktowną przyjaciółką.

* * *

Nie wadząc nikomu, mieszkał w budce między konarami drzewa. Było tu cicho i spokojnie. Słyszał tylko plusk fal jeziora w dole i pokrzykiwanie ptaków - odgłosy te podobały mu się. Zakonnica była kobietą bardzo rozsądną. Powiedziała, że ona też jest na swój sposób wyrzutkiem i że go rozumie. Próbował jej wszystko wyznać, już pierwszego wieczoru, ale nie chciała go słuchać. Następnego

409

dnia wyczuł, iż doszły ją wieści z miasta, bo miała zmienioną twarz.

- Gdzie jest ten drugi? - spytała. - Ludzie mówią, że było was co najmniej dwóch, może nawet cała banda.

Wpadł w złość. Oznaczało to, że na pewno ruszą za nim w pościg, może nawet z psami. Powiedział jej, że zrobił to sam. Potrzebował pieniędzy i odczekał na ścieżce, aż kobieta wyjdzie z biura. Skąd miał wiedzieć, że zaraz potem przylezie tam ta starucha? Zaczęła wrzeszczeć, ryczeć...

Musiał ją uderzyć, żeby się wreszcie zamknęła. Nie zamierzał być taki okrutny.

- Jak się nazywasz? - spytała siostra Madeleine. Rozmowa odbywała się na odległość. On siedział w budce, owinięty kocem, który mu dała, ona zaś na pniu świętego drzewa.

- Chcesz, żebym zdradził ci swoje nazwisko? - spytał

z niedowierzaniem w głosie.

- Przecież muszę się jakoś do ciebie zwracać. Ja mam na imię Madeleine.

- A ja Francis - odrzekł. - Francis Byrne. Zapadła cisza. Pustelnica

pomyślała o dniu, kiedy go

chrzczono, gdy ktoś uznał, że to świetne imię i bardzo do

chłopca pasuje.

- Gdzie mieszkasz, Francis? To znaczy: gdzie dotąd

mieszkałeś?

- Mieszkam... mieszkam... - Urwał. Siostra siedziała bez ruchu. -

Mieszkałem w domu, siostrze Madeleine, ale musiałem go opuścić. Kłopot

w tym, że potrzebowałem pieniędzy. Nienawidziłem domu... w ogóle nie

powinni tego tak nazywać. Prawdziwszym domem jest dla mnie ta buda

na drzewie.

- To w niej zostań - odrzekła z prostotą.

- Mówi siostra poważnie? Po tym, co zrobiłem!

- Nie jestem ani sędzią, ani ławą przysięgłych. Jestem tylko człowiekiem

żyjącym na tej ziemi.

Większość dnia przespał na drzewie. Po południu przyszedł sierżant

O'Connor. Powiedział, że przeczesują okolicę.

- Gdyby siostra coś zobaczyła albo usłyszała, da nam

410

siostra znać, prawda? - spytał, patrząc w jej rozbiegane oczy.

- Przecież ja w ogóle nie bywam w mieście, sierżancie. Kogóż mam tu

widywać oprócz przyjaciół, którzy wpadają mnie odwiedzić?

- Ale gdyby siostra zobaczyła coś niezwykłego, toby im siostra o tym

powiedziała, prawda? - Chociaż nie unikała jego wzroku, sierżanta

O'Connora ogarnęły niejasne wątpliwości.

- Sean, widzisz wszystko, co jest tu do oglądania. W chatce są tylko dwa pomieszczenia, nic więcej.

Drzwi do sypialni były otwarte. Łóżko z białą narzutą, krucyfiks na ścianie... Czy to tylko wyobraźnia, jak dotąd nigdy tych drzwi nie otwierała? Dziwne, tak jakby chciała mu pokazać, iż nikogo tam nie ukrywa.

Doszedł w końcu do wniosku, że jest coraz bardziej zmęczony i coś mu się roi.

- Pójdę już, siostró. Boże, omal nie nastąpiłem na tego kociaka. Jest chory?

- Ślepy, biedaczek - pustelnica podniosła zwierzątko i pogłaskała je.

- Niewiele ma z życia, skoro nie widzi, dokąd idzie. Dziwi mnie, że siostra nie kazała go uspić. To chyba najlepsze wyjście.

- Nie zawsze wiemy, co jest najlepszym wyjściem - odparła pustelnica.

- Nie? Gdyby pojawiła się tu grupa obcych, najlepszym wyjściem będzie, jeśli siostra natychmiast nas o tym powiadomi, nie częstując ich herbatą i kanapkami.

- To jakaś banda? Myślałam, że był tylko jeden - odrzekła z kamienną twarzą.

- Tak, to banda. Do zobaczenia, siostró.

Odchodził zamyślony. Rozglądał się wokoło, ale nie zauważył ani żadnej łodzi, ani śladów krwi, a wiedział, że jeden z nich, o ile w ogóle było ich więcej, krwawił jak zarzynana świnia.

Siostra Madeleine uśmiechnęła się i pogłaskała kotka. Cieszyła się, że pomyślała o spaleniu resztek porwanej koszuli i prześcieradła, którymi

zmyła zakrwawioną podłogę.

411

Długo siedziała, patrząc na jezioro i zastanawiając się, czy postępuje słusznie. Zwykle nie miewała wahań: po prostu postępowała tak, żeby nikogo nie skrzywdzić. Ale ten człowiek pobił biedną Kathleen Sullivan, mógł ją nawet zabić. Czy był osobnikiem niebezpiecznym, którego należało oddać w ręce policji? Uważała, że nie, lecz po raz pierwszy od długiego czasu na jej twarzy gościł cień niepewności.

- Już nie jesteś żółty - oznajmiła z dumą Anna, jakby było to wyłącznie jej zasługą.
- Wiem. I mniej przypominam szczura.
- Nigdy nie wyglądałeś jak szczur - Anna potargała mu włosy. - W sumie to jesteś nawet bardzo przystojny. - Chwilę milczeli. - Tak się przypadkiem złożyło - dodała dla zupełnej jasności.
- Tak, oczywiście.
- Inaczej bym tego nie mówiła.
- Chodzi o to, że chciałbym wyglądać... no wiesz, normalnie, gdybyśmy mieli ze sobą chodzić.
- Co znaczy „chodzić”?
- No chodzić. Do kina, na spacer, tak w ogóle.
- Czyżbyś prosił mnie, żebym została twoją dziewczyną? - miała roztańczone oczy, tryskała entuzjazmem.
- W chwilach pełnych emocji, w momentach dramatycznych, takich jak ten, znowu zaczynam się jąkać.
- Aha, więc to jest moment dramatyczny, tak? - Anna przechyliła głowę, patrząc na niego pytająco.

- I to bardzo - odrzekł Emmet. Nabijał się z siebie na wypadek, gdyby go wyśmiała. Wszystko zależało od tego, co teraz powie.
- Cóż, byłoby to bardzo niezręczne - odrzekła po chwili.
- Dlaczego?
- Bo gdybyś zaczął się jąkać, próbując powiedzieć, że jestem piękna albo coś w tym stylu... Jakbyś zaciął się na "p", byłabym trochę zażenowana.
- Dlaczego miałbym ci mówić, że jesteś piękna? - wciąż nie mógł uwierzyć, że traktuje go serio.
- Ponieważ ja powiedziałam, że jesteś bardzo przystojny.

412

Komplement za komplement, to bardzo miły zwyczaj. - Uśmiechała się figlarnie, a jemu się wydawało, że w tym uśmiechu dostrzega entuzjazm.

- Jesteś bardzo piękna, Anno.

- No widzisz? Powiedziałeś to bez zająknięcia, bez żadnego wahania.

Pewnie nie była to chwila pełna emocji ani moment dramatyczny.

Posłała mu całusa i usłyszał, jak zbiega po schodach, by wyjść na ulicę.

Emmet McMahon objął się wpool. Nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy.

Był prawie gotów do powrotu do szkoły, ale wciąż sprawiał wrażenie lekko wstrząśniętego. Maura postanowiła zaproponować rodzinie wyjazd na tygodniowe wakacje do jednego z wielkich kurortów nadmorskich, gdzie na pewno będzie spokój i cisza, bo lato już się skończyło.

Sprawdziła ceny i przedstawiła projekt Martinowi.

- Może nawet Kit dałaby się namówić na dłuższy weekend? W poniedziałki i tak nie ma zajęć. Może wzięłaby wolny piątek?

Maura podchodziła do swej nowej rodziny z tak wielkim entuzjazmem, że

trudno było się jej oprzeć.

- Kit na pewno bardzo się ucieszy - odrzekł Martin - ale co z naszym młodym Romeo? Dasz radę ściągnąć go ze sceny podbojów miłosnych? - Obserwowali romans Emmeta i Anny bardzo dyskretnie, z dystansu i bez komentarzy.

Maura wybuchnęła śmiechem.

- Rozumiem. A gdyby tak obiekt jego pragnień pojechał z nami? Peter i Lilian mówią, że też chętnie by się wybrali. Znalazłam dwa małe domki, jeden obok drugiego. Będzie jak w bajce.

Emmetowi było bardzo przykro, ale nie, nie mógł teraz wyjechać. Z poważną miną twierdził, że przed powrotem do szkoły musi powtórzyć cały materiał. Nie miał pojęcia, iż czytają w nim jak w otwartej księdze. Nawet ślepiec dostrzegłby, że nie chce opuszczać miejsca, gdzie mieszka Anna Kelly.

413

Martin postanowił go trochę podręczyć.

- Wspaniale byś wypoczął, Emmet. To pewnie twoje ostatnie wakacje, na które nie musisz zarabiać.

- Wiem, tato, to bardzo miło z waszej strony, ale rzecz w tym, że akurat teraz... - sprawiał wrażenie bardzo zażenowanego, odrzucając taką szczodroliwość.

- Daj spokój, Emmet. Jeśli nie pojedziesz, ona mnie ze sobą nie zabierze. - Martin często udawał, że nie ma w rodzinie żadnej pozycji.

- Nie, kochanie, muszę cię zabrać. Kiedy układaliśmy plan naszego wspólnego wyjazdu, obiecałam Lilian i Peterowi, że zmuszę cię do urlopu i sama też wezmę urlop, a ty poprosisz tego miłego młodzieńca, który cię

kiedyś zastępował...

- To oni też jadą? - przerwał jej Emmet z nagłym zainteresowaniem.
- Ależ tak, naturalnie. Jestem pewna, że Anna będzie bardzo rozczarowana, jeśli nie pojedziesz.
- A wy? Wy też bylibyście rozczarowani?
- Tak - przyznała Maura - owszem, trochę. Twarz mu się rozpromieniła.
- W takim razie pójdę do nich to omówić.
- Tylko nałóż kurtkę - rzekł ojciec. - Jeszcze nie jesteś wyleczony.
- Jestem, tato. Czuję się o niebo lepiej.
- Bardzo się zdziwiłam, kiedy Clio oznajmiła, że z nami pojedzie - powiedziała Lilian Kelly.
- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. - Peter cieszył się, że starsza córka wykazała zainteresowanie wyjazdem do spokojnego kurortu, w dodatku po sezonie.
- Olśniewająco to tam nie będzie - przestrzegał.
- Olśniewająco może być wszędzie - odparła tajemniczo Clio.

O wyprawie dowiedział się Philip.

- Niewykluczone, że będę tam w tym samym czasie.
- Nie, nie będziesz - odrzekła Kit. - Nawet ci do głowy nie powinno przyjść, żeby tam być. Jeśli przyjedziesz, poczytam to za stuprocentowy dowód, że mnie śledzisz.

414

- Robię to tylko dla twego dobra - odrzekł nieśmiało.
- Niby co?
- No... śledzę cię.
- A więc śmiałeś mnie śledzić. Kiedy mnie śledziłeś?

- Jak wyjeżdżałaś do Cork.
 - Do Cork? Śledziłaś mnie w Cork! - Kit pobladła z wściekłości.
 - Nie, tylko do stacji. Żeby się upewnić, czy nie jedziesz z tym wielkim małpoludem.
 - Z jakim małpoludem? Nie to, żebym nie miała prawa wyjeżdżać z wielkimi małpoludami, ale którego z nich masz na myśli?
 - Kevina O'Connora. Rozповідаł wszystkim, że z nim spałaś, że za nim szalejesz i chcesz spróbować jeszcze raz... Nie wierzę w te brednie, ale pomyślałem sobie, że gdyby nie miał nadziei, toby tak nie truł. - Philip był bardzo zdenerwowany.
 - Dlaczego mówisz mi o tych wszystkich świństwach i brudach?! - wrzasnęła Kit.
 - Sama pytałaś.
 - Nieprawda. Prosiłam cię tylko, żebyś nie jechał za mną nad morze. Nie miałam pojęcia o tych paranoicznych kłamstwach. Mój adwokat wysłał do O'Connora list. Tak, bo to przestępstwo mówić, iż zrobiło się coś, czego się nie zrobiło. Boże, przysięgam... będzie za to cierpieć... Myślałam, że Clio przesadza.
 - Tylko nie mów mu...
 - Właśnie, że mu powiem, ty mały, nędzny tchórz. Ten małpolud pożałuje, iż w ogóle mnie spotkał.
- Clio i Kit spacerowały nad brzegiem morza. Wybrali na przyjazd wspaniałą porę roku. Było zbyt chłodno, żeby zażywać kąpieli w zimnych wodach Atlantyku, ale wystarczająco ciepło, aby spacerować po twardym, wilgotnym piasku bez poczucia fizycznego dyskomfortu.
- Clio, zanim zaczniesz roztaczać przede mną wspaniałe wizje w

technikolorze, muszę powiedzieć ci coś o tej rodzinie.

- Niby dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić? -

415

mruknęła Clio. - Byłaś taka niekooperatywna w sprawie weekendu, że...

- Teraz będę jeszcze bardziej niekooperatywna - uprzedziła ją Kit nie bez szczególnej przyjemności.

- No to wal.

- Zamierzam podać do sądu jego brata - przystanęła, żeby przyjrzeć się, jak zareaguje Clio.

- Podać do sądu jego brata? Na miłość boską, za co?!

- Za kwestionowanie czystości moralnej kobiety, tak się to nazywa.

- Za co?!

- Właśnie za to. Ta małpa rozpowiada ludziom pokroju swego braciszka, że utrzymywał ze mną kontakty seksualne. To nieprawda. Jestem kobietą niezamężną i sugerowanie, że takowe kontakty utrzymywałam, jest kwestionowaniem mojego dziewictwa, co zmniejsza moje szanse na zamążpójście. Będzie musiał za to zapłacić.

- Jezus Maria... - szepnęła Clio.

- Spokojnie, nie panikuj, nie tylko tobie o tym opowiadał. Powiedział Philipowi O'Brienowi, a to tak, jakby sprzedał wiadomość do wieczornego dziennika radia Eireann. - Oczy Kit pałały oburzeniem na tę jawną niesprawiedliwość.

- I sprawa trafi do sądu?

- Mam nadzieję.

- Boże! Kiedy?

- Jeśli mnie nie przeprosi i nie zapłaci odszkodowania za zszarganie

reputacji...

- Przecież nie zszargał ci reputacji.
- Owszem, zszargał. Jeśli ten potwór mówi o tym tobie, jeśli mówi o tym Philipowi... Nazwałabyś to inaczej?
- Nie, Kit, nie rób tego, błagam cię.
- Za późno, już to zrobiłam.
- Podałaś go do sądu? Podałaś do sądu brata Michaela O'Connora?!
- Mój adwokat napisał list, a ja go wysłałam.
- Przecież nie możesz, jesteś niepełnoletnia. Trzeba mieć dwadzieścia jeden lat.
- Wcale nie.

416

- I już go wysłałaś?
- To nic trudnego. Kosztuje tylko trzy pensy.
- Niemożliwe, nigdy o tym nie słyszałam. Ty też nie, aż do tej chwili...
- Mam na myśli tylko list adwokata, a taki list może dotyczyć wszystkiego. Uprzedzili mnie, że muszę być przygotowana na ciąg dalszy, gdyby to bydlę twierdziło, iż jestem ulicznicą czy coś w tym rodzaju. Więc powiedziałam, że jestem dziewicą, a ponieważ mogę to udowodnić, Kevin jest kłamcą.

Clio siedziała na kamieniu z twarzą bardziej zieloną niż wodorosty u jej stóp.

- Wszystko zniszczyłaś. Zniszczyłaś to, co było między Michaelem i mną...
- Nie, wprost przeciwnie. Możesz ostrzec Michaela, że jeśli Kevin temu zaprzeczy, pójdę na całość. Owszem, bardzo, ale to bardzo chcę stracić

dziewictwo, ale zrobię to w odpowiednim czasie i na pewno nie z tym głupim, zapijaczonym łgarzem, z którym bym się nie przespała, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi, gdybym miała umrzeć nie wiedząc, jak to tak naprawdę jest. Możesz mu to powiedzieć. Tak, koniecznie. Bardzo bym się z tego cieszyła.

- Kit, twój ojciec, ciotka Maura... Co ludzie powiedzą?
- Powiedzą, że jestem wspaniała. Zrobię sobie znakomitą reklamę. A teraz opowiedz mi o swoim weekendzie z Michaeliem.

Wynajęli dwa sąsiednie domy. W każdym były trzy sypialnie. I mała weranda wychodząca na długą plażę. Zobaczyły Emmeta i Annę spacerujących ramię w ramię nad brzegiem morza. Za ręce jeszcze się nie trzymali i starali się nie przechodzić koło werandy.

Zobaczyły Clio i Kit pogrążone w ożywionej rozmowie.

- Wygląda na to, że mimo okresowych niesnasek pozostały przyjaciółkami
- zauważyła Lilian Kelly.
- Tak, chyba tak - odrzekła Maura, uważnie obserwując rozprawiające dziewczęta. Nie towarzyszył im śmiech dorastających panien, dla których wszystko jest

417

proste i zabawne. To było coś o wiele bardziej intensywnego.

Nadeszły deszcze i w domku na drzewie zrobiło się bardzo wilgotno.

Przydałby się solidniejszy dach. Listonosz Tommy Bennet był człowiekiem bardzo usłużnym.

- Wiesz, co by mi się przydało, Tommy? Dwa arkusze linoleum albo brezent, w każdym razie coś, co uszczelniłoby dach wozu.
- Powtarzałem siostrze setki razy, że ci Cyganie mogliby nas kupić i

sprzedać.

- Nie chodzi mi o wędrowców z drugiej strony jeziora, którzy są naszymi dobrymi przyjaciółmi, ale o innego przyjaciela podróżującego wozem.

Często pytałeś mnie, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić. Gdybyś mi to załatwił, nie wiedziałabym, jak ci dziękować.

- Nie ma sprawy, siostró - Tommy Bennet nie cierpiał, kiedy ludzie wykorzystywali pustelnicę. - Przyniosę to jutro, najdalej pojutrze. -

Wychodząc nałożył czapkę. O drzwi siekał deszcz. - O rany, niech siostra tylko spojrzy. Ten biedny kociak topi się w beczce.

- Co?! Gdzie?! - Zakonnica wybiegła na dwór, nie zważając na ulewę. Kociak jeszcze dyszał, jeszcze walczył o życie, ale widać było, że długo nie pociągnie.

- Skrócę mu męki, siostró. Już z tego nie wyjdzie, biedaczek. - Tommy był człowiekiem dobrego serca.

- Nie! - krzyknęła pustelnica.

- Niech siostra spojrzy, przecież on już ledwo dycha. Niech siostra się nad nim zlituje, nie wrócimy mu życia. Bądźmy sprawiedliwi, przecież on i tak był ślepy. Bez przerwy na coś wpadał, może trzeba było od razu z nim skończyć.

Łzy spływające z oczu pustelnicy mieszały się z kroplami deszczu.

- W takim razie utop go, Tommy - szepnęła i odwróciła się.

Trwało to ledwie kilka sekund i zwierzątko znieruchomiało.

418

- Już po wszystkim, siostró. Teraz ma spokój, biedaczyna.

Zachowanie pustelnicy bardzo go zastanawiało. Wzięła ciało kota i

włożyła je do pudełka po płatkach kukurydzianych.

- Pochowam go później - oznajmiła.

Umarło tu wiele innych zwierząt - wokół chatki stało pełno malutkich krzyży, a siostra doskonale wiedziała, czy pod takim to a takim krzyżem leży lis, czy oswojony zajączek. Więc skąd to nagle zamieszanie wokół małego ślepego kociaka? Przecież wszyscy mówili, że trzymać takiego to czyste szaleństwo. Nie mógł wiedzieć, bo i skąd, że siostra Madeleine traktowała kociaka jak omen - znak, że nie zawsze postępuje słusznie.

- Już dawno przestałem się modlić, ale jest siostra taką kobietą, że chyba znowu zacznę - powiedział Francis Xavier Byrne, ogryzając jagnięcą gicę. Chłopak Hickeyów był tak wdzięczny za referencje, w które zaopatrzyła go pustelnica, że zrobiłby dla niej wszystko.

- Prosiłabym cię, żebyś od czasu do czasu przyniósł mi trochę mięsa, którego rodzice nie potrzebują. Nie chcę, abyś pozbawiał ich zarobku - tłumaczyła.

Natychmiast zrozumiał, że nie powinien im o tym mówić.

- Dla Cyganów? - spytał.

- Dla kogoś, kto potrzebuje mięsa, żeby odzyskać siły - odrzekła.

- Zawsze możemy pomodlić się razem, Francis - zwróciła się do Byrne'a.

- O co?

- Moglibyśmy podziękować Bogu za to, że Kathleen Sullivan wyjdzie ze szpitala i wróci do domu.

- Szczerze mówiąc, wcale jej nie współczuję. Wskoczyła na mnie jak diabeł z piekła.

- Zaatakowałaś ją, rabowałaś dobytek jej syna. To, że tu mieszkasz, wcale nie znaczy, iż akceptuję wszystko, co robisz.

- Ale siostra wie, dlaczego to zrobiłem.

419

- Czyżby?

- Siostra wie, że nie chciałem jej skrzywdzić. Potrzebowałem czegoś, co pomogłoby mi przetrwać w drodze. Nie mogłem dać się schwytać i zamknąć jak w klatce. Siostra też tego uczucia nie cierpi, sama mi to siostra mówiła.

- Tak, ale ja nie rabowałam, nie kradłam ani nikogo nie biłam, żeby się z tej klatki wyrwać.

- Bo siostra nigdy nie musiała.

Wtedy odzyskała pewność, że postępuje słusznie. Po śmierci kotka zastanawiała się, czy to aby nie znak od Boga, znak, że nie zawsze postępuje słusznie, że ów donośny głos, który słyszy, jest tylko jej własnym głosem.

- Wiesz, chyba się opaliłaś - rzekł z podziwem Stevie. - I to w taką pogodę.

- Powiadają, że to wiatr opala - odrzekła Anna z uśmiechem.

- Jeszcze tylko rok i będziesz wolną kobietą - powiedział, otaksowując spojrzeniem wysoką blondynkę o idealnych zębach i jasnym uśmiechu. Annie podobało się, że Stevie ją podziwia.

- Wolną w tym sensie, że skończę szkołę, ale ty wolność pojmujesz inaczej.

- To znaczy jak?

- Wolność to dla ciebie coś znacznie pikantniejszego niż ja - odparła.

Wracała do domu bardzo z siebie zadowolona. Cieszyła się zainteresowaniem dwóch najprzystojniejszych chłopców w Lough Glass,

co wcale nie było takie złe. Nie to, żeby zwracała na Steviego uwagę, nie. Wszyscy wiedzieli, co z niego za ziółko.

Były już wystarczająco dorosłe, żeby wynająć w Dublinie mieszkanie.

Wszyscy myśleli, że Kit i Clio zamieszkają w nim razem. To znaczy wszyscy w Lough Glass. No, może z wyjątkiem Maury.

- Nie będziesz czuła się samotna w tej małej klitce? - martwił się Martin McMahon.

- Nie, tatusiu. To tak blisko college'u i w ogóle.

420

- Ale gdybyś zamieszkała z Clio, stać by was było na coś ładniejszego.

- Przestałybyśmy się uczyć. Cały czas spędzałybyśmy tylko na śmiechu i gadaniu. Zresztą ona ma innych przyjaciół, a ja innych.

Maura zerknęła na męża i Martin przestał drażnić temat.

Frankie pomogła Kit w przeprowadzce do małego pokoiku.

- Szkoda, że nie mieszkasz z nami, ale dołączyłam tam jako ostatnia, więc nie mogę nikogo wyrzucić.

- Nie, Frankie, mówię serio. Lubię być sama.

I rzeczywiście lubiła. Uczyła się, kiedy chciała, a jeśli zapragnęła z kimś pogadać, zawsze mogła odwiedzić Frankie albo Clio, która też wynajęła samodzielny pokój. Rzecz w tym, iż często bywał u niej Michael. To, że Clio nie chciała towarzystwa współwspiaczek, miało dużo wspólnego z definicją rozrywki według Michaela O'Connora. Nie to, żeby paplała o tym w domu.

- Bomba - Frankie podziwiała swoje dzieło: jaskrawo kolorową narzutę przybitą do ściany i linoleum na małej półce, gdzie ułożyła sprzęt kuchenny skompletowany przez Maurę.

Paddy, jej brat, student prawa, też im pomagał.

- Podaliśmy się za urzędnika roznoszącego wezwania sądowe - oznajmił.

- Pewnego dnia wywalą cię z roboty - Kit była zdumiona, że Paddy tak lekko traktuje swoją pracę.

- Siostrzeńca szefa firmy? Wykluczone - odparł wesoło.

- Skoro tak... - Kit parsknęła śmiechem.

- Posłuchajcie. Wpadnę do kancelarii, żeby zobaczyli, iż jeszcze żyję, a potem zabiorę was na fasolę i fryty. Co wy na to?

Zabrzmiało to tak, jakby zapraszał je do luksusowej restauracji. Odrzekły, że od tygodnia nie miały lepszej propozycji.

Po kwadransie był już z powrotem. Biegł po schodach, wymachując jakimś papierem, i był tak podekscytowany, że prawie nie mógł mówić.

421

- Nie uwierzcie! Zapłacił! Lepkie Palce zapłacił! Tu mam czek!

- Co? Co?!

- Od Fingletona O'Connora. Zapłacił za ugodowe załatwienie sprawy.

Poszedł na to, zapłacił, ile chcieliśmy...

Dziewczęta patrzyły na niego z niedowierzaniem.

- Ale to chyba nielegalne... - wykrztusiła Kit. - Przecież to nie było prawdziwe wezwanie do zapłaty, to znaczy nie od prawdziwego adwokata...

- Nie dzielimy przypadkiem skóry na niedźwiedziu? - zastanawiała się Frankie.

- Nie, wszystko jest jak najbardziej legalne, spójrzcie tylko, co napisał.

List był adresowany do Paddy'ego.

Szanowny Panie!

Jestem przekonany, że mogę polegać na Pańskiej dyskrecji. Zgadzam się, że słowa przypisywane mojemu synowi Kevinowi są całkowicie fałszywe, i obiecuję, iż nie zostaną nigdy powtórzone. Załączam czek na nazwisko panny McMahon wraz z solennym zapewnieniem mojego syna, że już nigdy nie wygłosi podobnej opinii na temat jej charakteru czy zachowania. Jeśli poniesie Pan dodatkowe koszty, chętnie je pokryję. Uprzejmie proszę, żeby koperty z listami na ten temat były oznaczone dopiskiem „Ściśle prywatne”.

Niecierpliwie oczekuję odpowiedzi.

Z poważaniem Francis Fingleton O'Connor.

Gdy Paddy skończył czytać, radośnie krzyknęły.

- Myślisz, że możemy te pieniądze zatrzymać? - spytała Kit.
- Nie my, tylko ty. To ty je zarobiłaś, to ciebie oszkalowali.
- W takim razie zapraszam was na coś lepszego niż fasola z frytkami.
- Najpierw musimy pójść do banku - zauważyła Frankie.

422

- Spokojna głowa, Lepkie Palce nie wystawia lewych czeków - odparł Paddy.
- Ale co zrobisz z tymi dodatkowymi kosztami? Przecież twoja kancelaria nie może przesłać mu rachunku, skoro nic nie wiedzą o całej sprawie - Kit wołała o tym nie myśleć.
- Och, wyślę do niego wspaniałomyślny list. Napiszę, że skoro tak szybko zapłacił, nie obciążę go żadnymi opłatami urzędowymi, jako że jesteś moją bliską przyjaciółką. Tym sposobem wyjdę na czysto.
- Jesteś kapitalny, Paddy - powiedziała Kit. Paddy był zażenowany; nie

wiedział, jak zareagować na

komplement. Jego piegowata twarz poczerwieniała.

- No to dokąd nas zapraszasz? - spytał.

- Dokąd tylko zechcecie - odrzekła Kit. Dzięki listowi Paddy'ego Barry'ego wzbogaciła się o kwotę, o jakiej nie śmiała nawet marzyć: była to równowartość całorocznego kieszonkowego, które otrzymywała od ojca.

Czyż te staromodne zasady prawne, dotyczące kobiecej reputacji, nie były absolutnie cudowne?

- Cześć, Philip. Mówi Kit.

- Tak? - W jego głosie pobrzmiwał wyraźny niepokój. Co znowu? Czym mu przyłoży tym razem?

- Chcę zabrać cię do miasta i spędzić z tobą wspaniałą wieczór - oznajmiła.

- Naprawdę?

- Dokąd chciałbyś pójść?

- Nie nabijaj się ze mnie, Kit. Proszę.

- Przysięgam, że chcę ci sprawić przyjemność. Co byś odpowiedział, gdyby to ktoś inny cię zaprosił? Nie myśl o mnie, myśl o sobie.

- Najpierw chciałbym pójść do kina na Mojego wujka. Pamiętasz, byliśmy razem na Panu Hulocie na wakacjach. To też komedia. Potem chciałbym pójść do Jammeta. Ale nie, nie na całą kolację. Zamówiłbym tylko danie główne, bo bardzo chciałbym zobaczyć, jak tam podają.

- Załatwione - odrzekła Kit. - Gdzie się spotkamy? Sprawdźmy godziny seansów.

- Dlaczego, Kit?
- Bo jesteś moim przyjacielem.
- Nie. Tak naprawdę.
- Bo zbiłam fortunę. Na tym koszmarnym Kevinie O'Connorze. Wszystko dzięki tobie. Prawdziwą fortunę.
- Ile?
- Tego się nie dowiesz. Będziesz miał swój wieczór, i tyle.

Poszła do Szwajcarii na Grafton Street i kupiła koronkową halkę dla Clio.

Podarowała ją przyjaciółce w pudełku owiniętym bibułą.

- Co to? - spytała podejrzliwie Clio.
- Małpolud zapłacił. Wielki, zły małpolud uciekł gdzie pieprz rośnie.

Dzięki tobie.

- Oni uważają, że jesteś porąbana. Świruska, tak o tobie mówią.
- No i dobrze. Nie będę musiała być druhną.
- Skończ z tymi żartami. Co powiedział, dając ci pieniądze?
- Nic. Wszystko załatwiliśmy przez adwokata z obustronnym zapewnieniem o całkowitej dyskrecji.
- Ile dostałaś?
- Przecież słyszałaś: mam zachować całkowitą dyskrecję.
- Jestem twoją przyjaciółką, to ja powiedziałam ci o Kevinie.
- Dostajesz halkę. Niech ci się dobrze nosi, choć nie wiem, przy jakich okazjach.
- Nie jesteś żadnym autorytetem.
- Wiem. Nie musisz mi o tym ciągle przypominać.
- Dlaczego Emmet nie może przyjechać na weekend do Dublina? - spytała Kit. - Pokazałabym mu miasto i w ogóle.

- Może kiedyś przyjechalibyśmy do ciebie wszyscy razem? -

zapropnowała Maura.

- Nie. Chciałabym pokazać braciszкови Dublin. Tak cię proszę, Mauro, pozwól mi poczuć się kimś ważnym -

424

blagała Kit. Maura uśmiechała się tak ciepło i miło, że Kit od razu wyczuła powiew sprzyjającego wiatru. Ustąpiła od razu. Emmet miał przyjechać do Dublina.

Philip wynajmował już mieszkanie, więc mógł u niego spać.

- Ale tylko pod warunkiem, że nie będziesz nas szpiegował, łaził za nami i robił tych wszystkich wstrętnych rzeczy - uprzedziła go Kit.

- Przecież mówiłem ci, że ten etap życia mam już za sobą - odrzekł Philip. Był teraz o wiele miłszy. Kolacja u Jammeta, w najelegantszej restauracji w Dublinie, udała się wspaniale. Philip dobierał wina jak stary bywalec.

- Jak go chcesz rozerwać? - spytał.

- Ostrzegałam cię, żadnego szpiegowania.

- Co mnie obchodzi, dokąd go zabierzesz. Nawet jeśli mój przyszły szwagier nie zobaczy ani skrawka stolicy, nie powiem słowa.

- Grzeczny chłopiec - pochwaliła go Kit.

Pocztówka z Blarney Stone była dla Leny prawdziwym przełomem.

Bo Kit nie musiała kartki wysyłać, nie miała żadnego powodu. Za nic nie dziękowała, w każdym razie nie bezpośrednio. I prosiła, żeby na siebie uważała. Dziewczyna, która tyle miesięcy temu wybiegła z jej domu pełna odrazy, zmiękła na tyle, że prosiła ją, by na siebie uważała. Lena widziała w tym promyk nadziei. Wszystkie listy od córki trzymała w kuchni u Ivy. Czasami otwierała szufladę, wyjmowała je i czytała. Tak, ostatnia

wiadomość od Kit była naprawdę obiecująca.

Lena odczekała, aż do wyjazdu z Londynu, i dopiero wtedy wysłała pocztówkę. Miały z Dawn umówione spotkania z absolwentkami szkół średnich w czterech różnych miastach, co oznaczało, że będą musiały nocować w Birmingham. Kupiła pocztówkę z widokiem miasta i zaadresowała ją.

Przyjechałam tu, żeby nieść dziewczętom dobre nowiny o naszej agencji.

To zajęcie bardzo wyczerpujące, ale zarazem

425

satysfakcjonujące. Może powinnam była zostać nauczycielką. Wiem tylko, że postąpiłam nadzwyczaj głupio, zwlekając z rozpoczęciem kariery zawodowej. Czy znasz już terminy swoich egzaminów? I, oczywiście, bardzo chciałabym się dowiedzieć, co słyhać u Twego Brata.

Mam nadzieję, że jesteś zdrowa i szczęśliwa.

Lena

Zastanawiała się, czy nie dopisać jakiegoś serdeczniejszego słówka, ale doszła do wniosku, że nie, tak jest lepiej.

- Wysła pani pocztówkę do męża?

- Nie, Dawn. Przecież jutro wieczorem będziemy już w domu.

- Pan Gray jest taki miły. Zabawny i w ogóle... Był życiem i duszą całego hotelu.

- Zapomniałam, że go znasz.

Rzeczywiście zapomniała. Dawn pracowała w agencji od tak dawna, że Lena nie pamiętała już o serii krótkich, acz burzliwych incydentów związanych z posadami, które dla niej wyszukiwały, z jej pracą w licznych biurach i hotelach, gdzie piękna Dawn wpadała w oko najbardziej

nieodpowiednim mężczyznom. O ile wiedziała, w „Drydenie” do żadnej afery nie doszło. James Williams należał do ludzi innego pokroju.

- Lubiłaś pana Williamsa?

- Już go nie pamiętam, pani Gray. - Duże, niebieskie oczy Dawn łatwo zapominały ludzi, którzy przeszli przez jej życie.

- No tak. Od tamtej pory upłynęło sporo czasu.

- To prawda.

Dawn rozejrzała się po hotelowej restauracji. Skupiały na sobie pochlebne spojrzenia wielu osób: ona, młoda blondynka, i Lena, elegancka, ciemnowłosa kobieta. Nikt nie potrafił powiedzieć, co właściwie tu robią. Wzbudzały zbyt wielki szacunek, by do nich podejść, jednak z drugiej strony w oczach Dawn czaiła się obietnica dobrej zabawy.

Lena uśmiechnęła się do siebie na myśl o wielkim Jamesie Williamsie.

Ciekawe, jak by się poczuł, wiedząc, że Dawn

426

Jones, jego piękna sekretareczka, natychmiast o nim zapomniała?

Lecz chwilę później ogarnęło ją znajome uczucie niepokoju: zdała sobie sprawę, iż Dawn doskonale pamięta Louisa Graya, a przynajmniej to, że był taki zabawny. Że był życiem i duszą całego hotelu, jak to ujęła.

W biurze przyłapała się na tym, iż spogląda w zamyśleniu na piękną blondynkę, którą uważała za wspaniały nabytek agencji Millara.

Oczywiście miała zupełną rację, twierdząc z uporem, że młoda, atrakcyjna dziewczyna będzie lepszą propagatorką całej idei niż jakakolwiek przedstawicielka starszej generacji. Nie, musi zdławić w sobie te wszystkie absurdalne i niebezpieczne podejrzenia. Przecież nie mogła być zazdrosna o każdą kobietę, która kiedykolwiek pracowała z Louistem.

Weszła do sekretariatu po dokumenty i na chwilę przystanąła. Dawn rozmawiała z Jennifer, z ich sekretarką.

- Naprawdę, była dla mnie taka miła, tyle dla mnie zrobiła. Czasami czuję wyrzuty sumienia, straszne wyrzuty sumienia, że ja i jej mąż...

Dawn spostrzegła, że przerażona Jennifer spogląda ponad jej ramieniem.

Odwróciła się i w progu sekretariatu zobaczyła uśmiechniętą Lenę.

- Och, pani Gray... - poczerwieniała. Lena milczała. Po prostu stała w progu z uśmiechem przyklejonym do twarzy. - Pani Gray, proszę mnie dobrze zrozumieć. To była tylko niewinna zabawa, nikt nie traktował tego poważnie...

- Wiem, Dawn. To była tylko niewinna zabawa.

- I nie gniewa się pani?

- Za to, że Louis się trochę zabawił? Dobry Boże, za kogo ty mnie uważasz? - odrzekła i wróciła do gabinetu.

Zwymiotowała, ledwo zdążyła do łazienki. Louis i ta dziewczyna, dziewczyna, którą sama wysłała do "Drydena", o czym dobrze wiedział.

Wytarła twarz i poprawiła makijaż. Usiadła za biurkiem i do końca dnia unikała Dawn.

427

Wieczorem weszła do biura Jessie i oświadczyła, że chciałyby zwolnić Dawn Jones.

- Tęskniłem za tobą, kiedy byłaś w Birmingham - powiedział Louis tego samego wieczoru.

- Wyjechałam na krótko.

- Ale każdy twój wyjazd bardzo mi się dłuży.

- To była ciężka harówka. Pod koniec prawie ochrypliśmy... Dawn i ja.
- Dawn?

Spojrzała na niego. Pewnie jej nie pamiętał. Naprawdę. Ta „niewinna zabawa” była tak ulotna i przelotna, że nie pozostawiła w jego pamięci żadnych śladów.

- Dawn Jones. Pamiętasz, kiedyś pracowała u Williamsa.
- A tak - dopiero teraz sobie przypomniał. - I jak się wam układa?
- Świetnie, po prostu świetnie. Ale chyba od nas odejdzie.
- Naprawdę? Dlaczego?
- Nie wiem, nie jestem pewna - Lena odwróciła się i zgasła światło.

Rita miała już ugruntowaną pozycję w agencji wynajmu samochodów w Dublinie. Miała też chłopaka, jednego z kolegów z pracy. Pochodził z bardzo daleka, bo aż z Donegalu w północnej Irlandii. Pewna Cyganka przepowiedziała jej kiedyś, że wyjdzie za mąż za przybysza z dalekich stron. Rita miała nadzieję, że to właśnie on jest tym przybyszem. Miał na imię Timothy i zamierzał przedstawić ją swojej matce.

Rita wyznała mu, że nie pochodzi z najlepszej rodziny, że nie ma się czym chwalić. Ojciec i matka przestali się nią interesować w chwili, gdy jako mała dziewczynka poszła na służbę do McMahonów. Nie chciała, żeby Timothy miał jakiegokolwiek złudzenia.

Dla Timothy'ego nie miało to najmniejszego znaczenia. Powiedział, iż Irlandia się pod tym względem zmienia, bo najwyższy po temu czas. Rita zastanawiała się kilkakrotnie,

428

czy nie przedstawić mu Kit. Mogłaby ją o to poprosić, a fakt, że młoda słuchaczka szkoły hotelarskiej, taka piękna i taka pewna siebie, jest jej

przyjaciółką, na pewno umocniłby jej pozycję.

Ale Kit miała dość własnych zajęć, a Rita nie zamierzała wykorzystywać ich przyjaźni. Pewnego dnia przedstawi ją Timothy'emu i wszystko będzie dobrze.

Emmet poszedł do Kellych, żeby powiedzieć Annie o swojej wyprawie do Dublina. Na dworcu ma czekać na niego Kit, a zamieszka u Philipa O'Briena, który podobno bardzo się ostatnio zmienił - na korzyść, rzecz jasna. Pójdą do kina, pojedą pociągiem do Bray, do lunaparku, a Kit ma znajomego, studenta prawa, który pokaże mu prawdziwe więzienie i zakład, gdzie robią tatuaże.

Spędzi w Dublinie fantastyczny weekend, będzie robił, co tylko zechce. Oczywiście, wyjeżdżał z Lough Glass bardzo niechętnie, niechętnie zostawiał Annę, ale miała ostatnio tyle zajęć - wycieczka szkolna, pogadanka na temat perspektyw pracy - że nie widzieli się całe wieki.

Drzwi otworzyła Lilian Kelly.

- Jak się masz, Emmet - powiedziała zdziwiona.

W jej głosie usłyszał coś, co go bardzo zaniepokoiło. Nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko.

- Myślałam, że Anna jest z tobą - dodała pani Kelly.

Byłoby niezręcznie mówić ojcu i Maurze, że nie potrzebuje pieniędzy na pobyt i rozrywki Emmeta w Dublinie. Dysponowała nieoczekiwaną fortuną i chciałyby im kupić prezenty, ale doszła do wniosku, że gdyby zaczęła wszystko wyjaśniać, wywołałaby tylko niepotrzebne zamieszanie. Pomachała ręką i od razu ją dostrzegł.

- Chodź, złapiemy autobus. Szybko, zajmij miejsca na przodzie -

powiedziała, chwytając go za rękę. Wskoczyli do autobusu, jadącego do

centrum miasta.

- Pomyśleć tylko, iż tak dobrze znasz Dublin. - Wydawało się, że jest smutny.

- W przyszłym roku ty też będziesz czuł się tu jak ryba w wodzie, prawda?

429

- Tak - był chyba trochę przygnębiony, ale może to tylko zmęczenie podróżą.

- Najpierw pokażę ci swoje mieszkanie - Kit postanowiła nie szukać problemów tam, gdzie ich najpewniej nie było.

Uznał mieszkanie za bombowe. Nie mógł otrząsnąć się z podziwu, że mieszkała tu zupełnie sama. Bardzo to ją wzruszyło.

Pokoik był taki maleńki, nawet jej sypialnia w Lough Glass była większa niż pomieszczenie, gdzie spała, siedziała, jadła, uczyła się i zmywała naczynia. Za to mieszkała w idealnym punkcie, prawie w centrum miasta, nie musiała płacić za dojazdy autobusem, nawet do kina miała blisko, tak blisko, że wyglądając przez okno, mogła sprawdzić, czy zmniejszyła się kolejka do kasy.

- Dziś piątek, moglibyśmy pójść na tańce. Chętnie zaprowadziłabym cię gdzieś, gdzie często bywamy, ale na wszystkich dancingach jest straszliwie duszno i gorąco. A ponieważ to twój pierwszy wieczór w Dublinie, pomyślałam sobie, że wybierzemy coś mniej hałaśliwego.

- Fajnie - odrzekł.

Emmet był naprawdę przygnębiony. Kit nic sobie nie ubzduriała.

- Może poszlibyśmy do hinduskiej restauracji? - zaproponowała. - To na

Lesson Street. Jest wspaniała. Byłam tam kilka razy, dlatego wiem, co zamawiać. Potem spotkamy się z Philipem i pojedziecie do niego.

Powiedział, że świetnie. Szli O'Connell Street, w tłumie ludzi.

- Nigdy nie byłem tu wieczorem.

- Tak, wszystko zmieniło się nie do poznania - odrzekła Kit. Zatrzymali się, żeby popatrzeć na Liffey płynącą pod mostem O'Connella.

- Wcale nie śmierdzi - zauważył Emmet. - Zawsze mówili, że śmierdzi.

- Szczerze mówiąc, latem trochę zajeżdża, ale teraz nie. Minęli Trinity College i Kit pokazała mu studentów wchodzących i wychodzących główną bramą.

- Same eleganciki, co? To Anglicy z najbogatszych domów? - spytał.

430

- Chyba nie. Kiedyś też tak myślałam, ale nie, to po prostu obcokrajowcy. Wprawdzie nie katolicy, ale... ot, zwykli ludzie.

- To idiotyczne, że katolicy nie mogą tu studiować. Brat Healy mówił, że domagaliśmy się tego od lat, a oni nie chcieli nas tam wpuścić.

Szli Grafton Street, oglądając luksusowe wystawy sklepowe. Minęli pusty o tej porze kościół Saint Steven Green, mroczny i cienisty, i skręcili w Lesson Street.

- Na rogu jest studencki pub. Później spotkamy się tam z Philipem - wyjaśniła Kit.

- Cieszę się, że zjemy kolację sami - powiedział nieoczekiwanie Emmet.

- No tak. Philip się co prawda poprawił, ale nie do tego stopnia, żeby można było wytrzymać z nim cały wieczór. Wszystko przez jego rodziców. Są straszni, więc i on bywa okropny.

Weszli do włoskiej restauracji. Kit wybrała narożny stolik i doradzała

Emmetowi co do menu.

- Weź pieczeń baranią, a ja wezmę curry Kofta. To takie klopsiki.

Kiwnął głową. Nie odrywał oczu od jadłospisu, jakby zbierał odwagę, żeby coś powiedzieć.

- To bardzo drogie, Kit. Jesteś pewna, że nas na to stać?

- Nie ma sprawy.

- No tak, ale dzisiaj to, jutro kino i ten salon z tatuażami...

- Do salonu wchodzi się za darmo. Nie martw się, braciszku, naprawdę. -

Dla dodania otuchy chciała poklepać go po rękę i ku swemu przerażeniu zobaczyła, że brat ma w oczach łzy. - Emmet, co się dzieje?

- Kit, chcę, żebyś oddała mi wielką przysługę. Zrobisz coś dla mnie? Coś wymagającego... wielkiej ofiary?

- To znaczy co?

- Najpierw obiecaj, że to dla mnie zrobisz.

- Nie mogę, dopóki się nie dowiem, o co chodzi. To nie fair. Spróbuję ci pomóc, przecież wiesz, że spróbuję.

- Musisz obiecać...

- O co chodzi, Emmet?

431

- O Annę. Ona leci na Steviego Sullivana, a on ją podrywa. Zaczęli ze sobą kręcić. Anna już mnie nie chce.

- To tylko chwilowe zauroczenie. Przejdzie jej.

- Nie, ona za nim szaleje, ciągle się spotykają.

- Jest dla niej za stary. O wiele za stary.

- Wiem, ale przez to jeszcze bardziej interesujący.

- I co? On też się w niej podkochuje?

- Tak, stracił dla niej głowę.
- A co na to doktor i pani Kelly? Pewnie są wściekli.
- Tak, ale cała afery jest przez to jeszcze bardziej... dramatyczna.
- No, ale co ja... Przecież ja... Powiedz, co mogłabym dla ciebie zrobić? Zahipnotyzować ją? Porwać Steviego Sullivana? - Patrzyła na niego, nie mając zielonego pojęcia, jaką miała w tym wszystkim odegrać rolę.
- Jesteś niczego sobie, Kit. Wszyscy mówią, że wyglądacie ekstra, ty i Stevie. Nie mogłabyś się do niego przymierzyć? No wiesz, poderwać go, odciągnąć go od Anny. Może wtedy by do mnie wróciła.

W pierwszym odruchu chciała parsknąć śmiechem. Kit McMahon, Mata Hari, której nie oprze się żaden mężczyzna, a już na pewno nie Stevie Sullivan, ukochany Anny Kelly, blond piękności z Lough Glass!

Ale popatrzyła na jego twarz i się nie roześmiała. Emmet był bliski załamania. I naprawdę wierzył, że Kit sobie z tym poradzi. Biedny, biedny Emmet. Że też można tak mocno kochać!

Kit nigdy nie kochała nikogo do tego stopnia, żeby przyznać się do tego tak otwarcie, tak żałośnie, z taką rozpaczą. Myślała, że tak kochają tylko w książkach. I nagle, zaszokowana, zdała sobie sprawę, że jedyną osobą, która tak kochała - tak głupio i lekkomyślnie, nie zważając na nic i na nikogo - była Helen McMahon. Ich matka. Patrzyła na brata jak porażona.

- Zrobisz to dla mnie, Kit? - błagał. - Proszę...
- Spróbuję - odrzekła.

Tak, mogła dla niego zrobić przynajmniej tyle.

Rozdział ósmy.

Paddy Barry bardzo przepraszał. Człowiek, którego miał odwiedzić w więzieniu, został zwolniony.

- Co za koszmarny pech! - powtarzał w kółko.
 - Dla niego to chyba fart - odrzekła Kit.
 - Tak, ale pech dla twojego brata.
 - Nie szkodzi - wtrącił Emmet. - A ten facet od tatuażu? Jeszcze tu jest?
- Wesoła i piegowata twarz Paddy'ego pojaśniała.
- Jest, stary, wciąż tu jest, dziś rano do niego pójdziemy.
 - Ale chyba nikt z nas nie każe sobie nic wytatuować? - Kit spoglądała na Paddy'ego z podziwem i niepokojem jednocześnie. Każdy, kto potrafił zmusić Fingletona O'Connora do tak tchórzliwej i nikczemnej uległości, był potęgą, z którą należało się liczyć.
 - Nie wiem, zobaczę. Może obstaluję sobie maleńką kotwicę na ramieniu - odrzekł Paddy. - Co, oczywiście, nie znaczy, że musicie iść w moje ślady. Żadnych zobowiązań.
 - To boli? - spytał Emmet.
 - Przypuszczam, że potwornie - powiedział Paddy. Mistrz tatuażu był bardzo niskim człowieczkiem z niespokojną twarzą.
 - Przyjaciele pana Barry'ego są zawsze mile widziani - rzekł, spoglądając nieufnie na Kit i Emmeta.
 - A nie mówiłem? - Paddy triumfował.

Nie było do końca jasne, jaką przysługę oddał mu Paddy Barry. Zresztą Kit nie chciała nawet wiedzieć. Przeczuwała, że mogło to być coś niezgodnego z prawem, którego uczył

433

się strzec. Ponoć dał mu cynk, że policja wie o szmuglowanych papierosach, które kupował od marynarzy. Cokolwiek to było, zasługiwało na wielką wdzięczność.

- Napijcie się państwo herbaty? - spytał mistrz, wyjmując brudne emaliowane kubki.

Pokazał im igły, płyny, książki z wzorami tatuaży i listy od zadowolonych klientów.

Kit spojrzała na brata. To był wspaniały pomysł. Z trudem rozpoznawała w Emmecie zdruzgotanego chłopca, który poprzedniego wieczoru siedział naprzeciwko niej w hinduskiej restauracji, bawiąc się jedzeniem i błagając o wsparcie.

Uzgodnili, że Kit zrobi, co tylko będzie mogła. Ale w swoim czasie i po swojemu. Emmet miał nie zadrećcać jej pytaniami z cyklu, jak idzie. Miał też nie podejmować żadnych prób, aby jej pomóc. Uścisnęli sobie ręce i zanim dołączył do nich Philip, chłopiec zdążył już poweseleć.

Philip zapytał, czy może pójść z nimi do zakładu, ale Kit nie chciała, aby zrobił się z tego za duży cyrk. Nie zamierzała sprzedawać biletów wstępu dla wszystkich chętnych. W takim razie może zje z nimi lunch? Też nic z tego. Emmet i Kit spotykali się na lunchu z Ritą i jej chłopakiem.

- Z Ritą? Tą, która u was pracowała? - spytał Philip.

- Z tą samą.

- A co wy macie sobie do powiedzenia? - To było niesamowite, zabrzmiało jak uwaga w stylu jego matki. Tak, w tym, co mówił, często pobrzmiwał głos Mildred

O'Brien.

- Bardzo dużo - odrzekła Kit. - Rita nas wychowała. Philip zrozumiał, że to wyrzut, i natychmiast swych słów pożałował, ale było za późno. Już wiedział, że zobaczy ich dopiero wieczorem, przed pójściem do kina.

Kit wróciła do rzeczywistości. Wyglądało na to, iż Emmet zastanawia się, czy nie kazać sobie wytatuować małego serduszka z czteroliterowym imieniem w środku.

- Nawet o tym nie myśl, braciszku, ani przez sekundę - ostrzegła.

- Tatuaz byłby dyskretny... - wtrącił mistrz.

434

- I mówiłby, jak bardzo mi zależy... - dodał Emmet.

- Chyba trochę za wcześnie zobowiązywać się do wierności wobec jednego imienia. - Paddy Barry znał życie.

- Innego nigdy nie zechcę - odparł Emmet głosem, od którego Kit przeszedł dreszcz.

- To mój przyjaciel Timothy - powiedziała Rita, przedstawiając kolegę z agencji wynajmu samochodów.

Rita wyglądała dobrze. Umalowana, z elegancko podciętymi włosami, miała na sobie jasną służbową marynarkę, tak samo jak Timothy. W soboty pracowali, więc mogli się wyrwać tylko na krótki lunch. Rita wypytywała Kit o znajomych z Lough Glass, a Timothy opowiadał Emmetowi o samochodach.

- Zupełnie się nie jąka - szepnęła Rita do Kit, upewniwszy się, że Emmet jej nie słyszy. - Czyż to nie cudowne?

- Zacina się tylko wtedy, kiedy jest zdenerwowany - odszepnęła Kit. - Potem mu przechodzi.

- Pewnie rzadko się to zdarza, bo czym miałyby się denerwować? A jak tam Maura i Peggy? Dobrze prowadzą dom?

- Nie umywają się do ciebie - odrzekła ze śmiechem Kit.

Obie wiedziały, że to tylko kurtuazja. Maura McMahon prowadziła dom

wspaniale.

- To coś poważnego? - spytała Kit, ruchem głowy wskazując Timothy'ego.

- Mam nadzieję. Jest dla mnie bardzo dobry. Kilka razy wspomniał o małżeństwie. - Rita była zadowolona i dumna.

- Będę mogła przyjść na ślub? - szepnęła Kit.

- No jasne, ale to chyba jeszcze nieprędko. Najpierw musimy odłożyć trochę grosza. Kto wie, może mnie uprzedzisz.

- Wątpię. Jakoś z nikim mi się nie układa.

- Jesteś za wybredna, ot co. Chłopcy cię podziwiają. Kit miała nadzieję, że to prawda. Gdyby tylko zdołała

wzbudzić podziw Steviego Sullivana, dotrzymałaby słowa danego

Emmetowi. Zastanawiała się, czy będzie to wymagało pójścia na całość.

Na tę myśl nerwowo przełknęła

435

ślinę. No nie, chyba nikt nie zrobiłby tego tylko po to, żeby spełnić dziecinną obietnicę?

- W niedzielę często spotykam się z Clio - powiedziała. - Chciałbyś się z nią zobaczyć?

Oczy mu pojaśniały. Nawet myśl o spotkaniu z siostrą Anny wzbudzała w nim zachwyt.

- Tylko pamiętaj, jej rodzice nic nie wiedzą, że Anna chodzi ze Steviem.

- No to może niech ją przyłapią, niech narobi sobie kłopotów? Clio by nam pomogła.

- Nie, nie rozumiesz. - Twarz Emmeta znów była napięta i skupiona. -

Anna przyszła do mnie jak do przyjaciela, wszystko mi szczerze powiedziała i kazała mi przyrzec, że nic nikomu nie wygadam.

- I przyrzekłeś?
- No jasne.
- No to bomba.
- Mam nadzieję, że moja matka nie dowie się, iż gościłaś u siebie Emmeta
- burknęła do słuchawki Clio.
- Możesz być pewna, że się dowie - odrzekła Kit. - W Lough Glass wszyscy wszystko wiedzą.
- Dojdzie do wniosku, że powinnam zaprosić tę wstrętną Annę.
- Dlaczego miałabyś jej nie zaprosić? Na pewno by się ucieszyła. - Kit była bardzo przebiegła. Kto wie, może szykowała się okazja, żeby wyciągnąć Annę z Lough Glass i odseparować ją od Steviego?
- Zawsze mówiliśmy, że Anna to Anna, a Emmet to Emmet. Są zupełnie różni. A propos, ciągle się w sobie kochają?
- Trudno powiedzieć - zełgała Kit. - Wiesz, chłopcy są w tych sprawach bardzo skryci.
- Tak czy inaczej Anna haruje jak dziki wół. Ta przebrzydła kreatura skończy szkołę z lepszymi wynikami ode mnie. Pewnie cały czas się uczy. Kit ponuro skinęła głową. Dobrze wiedziała, na czym ta nauka polega.

436

Clio już na wstępie zapowiedziała, że może zostać tylko chwilę. Szła na przyjęcie do Michaela O'Connora, na urodziny jego siostry, uświetnione rodzinnym lunchem.

- Oni są bardzo rodzinni - oznajmiła z dumą. O'Connorowie dopuścili ją do swoich rytuałów, co Clio bardzo imponowało. - Pozwolili Mary ułożyć menu. Lunch przygotowują w hotelowej restauracji i przywożą go do domu.

- Będzie szampan? - Emmet po powrocie do Lough Glass chciał podzielić się wieściami z Anną. Jak z najlepszą przyjaciółką, rzecz jasna.

- Nie, chyba nie. Pan O'Connor musiał ostatnio poczynić pewne oszczędności. Miał nieoczekiwane wydatki.

Clio łypnęła spode łba na Kit. Kit zachichotała, doskonale wiedząc, że Clio dalej się nie posunie. W Lough Glass zrobiłoby się głośno. Nie, nie zechce zaryzykować, bo nie przysporzyłoby to splendoru ukochanej rodzinie O'Connorów.

Philip i Kit uznali, że trzeba wyjść wcześniej, bo Emmet może nie zdążyć na pociąg. Na ulicach było tłoczno, poza tym sporo ludzi wracało do domu po niedzieli spędzonej w Dublinie. Ale najpierw poszli na frytki.

Kasjerka w jasnozielonej, rozdętej jak balon sukience wyglądała znajomo. Popatrzyli na nią z zainteresowaniem i zaczęli mówić wszyscy naraz.

- To Deirdre! - szepnęła Kit.

- Deirdre Hanley - powiedział Philip.

- Ona jest w ciąży - zauważył Emmet.

Deirdre była zachwycona nieoczekiwanym spotkaniem.

- Pomyśleć tylko, że tak wyrośliście, iż możecie przyjeżdżać tu sami!

Powiem im, żeby dali wam większe porcje. Gianni! - krzyknęła do mężczyzny w białym fartuchu. - To moi przyjaciele, daj im ekstraporcje.

- Molto grande! - odkrzyknął entuzjastycznie Gianni.

- To mój Gianni - oznajmiła z dumą Deirdre. - Właściciel tej restauracji.

- Jest bardzo miły - odrzekła z podziwem Kit.

- Tak, całkiem niezły - zgodziła się z nią Deirdre.

- Odwiedził mnie Emmet, a Philip i ja chodzimy do szkoły hotelarskiej. -

Kit uznała, że Deirdre może nie wiedzieć, co ostatnio porabiają.

- Emmet, ty chyba jesteś z tego samego rocznika co Patsy, prawda? - spytała Deirdre. - Chodźcie razem do szkoły. - Patsy, jej młodsza siostra, była zupełnie inną dziewczyną. Pani Hanley doszła do wniosku, że w wychowaniu starszej córki popełniła mnóstwo błędów, i zamierzała je naprawić, hołubiąc młodszą. Pilnowała Patsy jak jastrząb, nie spuszczała z niej oka.

- Tak, często ją widuję - odrzekł Emmet. Szczerze mówiąc, prawie jej nie zauważał, ale chciał być grzeczny.

- Kiedy się pobraliście? - spytała Kit. W domu o tym nie słyszała, a przecież pani Hanley zawsze paliła się do rozpowszechniania wszelkich wieści i informacji. Wiadomość, że jej huncwowska córka wyszła za męża za właściciela włoskiej restauracji i wreszcie się ustatkowała, była warta choćby wzmianki.

- Tak naprawdę to się nie pobraliśmy - odrzekła Deirdre. - Widzisz, jest taka sprawa... Gianni musi unieważnić swoje pierwsze małżeństwo. Na pewno to załatwi, ale takie coś wymaga czasu.

- Tak, wiem - Kit pokiwała ze współczuciem głową. Żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

Ale Deirdre nie sprawiała wrażenia zirytowanej.

- Tak więc wszystko wskazuje na to, że nasze bambino przyjdzie na ślub rodziców na własnych nogach - dodała ze śmiechem.

Emmet i Philip byli zdumieni tą rozmową. Podszedł do nich Gianni, chciał się przywitać.

- Deirdre mówi, że wszyscy w Lough Glass są starzy i staromodni - rzekł, głaszcząc jej wydatny brzusek. - Ale widzę, że wcale tak nie jest.

- Absolutnie - szepnął oszołomiony Philip. W drodze na stację Kit powiedziała:
- Emmet, nie musisz im wspominać o...
- O Deirdrze? Wcale nie zamierzałem - odparł Emmet.
- Fakt, lepiej im o tym nie mówić - mruknął Philip. Ale Kit wiedziała, że Mildred i Dan O'Brienowie o wszystkim się dowiedzą.

438

- Slough. Czy to nie śmieszne słowo? - spytała Lena, szeleszcząc dokumentami. Rzadko zabierała pracę do domu. Louis tego nie cierpiał.
- Co w tym zabawnego?
- Myślałam, że wymawia się je „slaf”. A to „slau”, nie „slaf”.
- Dlaczego o tym pomyślałaś?
- Bo w niedzielę tam jadę, mam spotkania w kilku szkołach.
- Jedziesz z Dawn?
- Nie, Dawn odeszła, nie pamiętasz?
- A tak, rzeczywiście - nie pamiętał. Ale przynajmniej oznaczało to, że Dawn się z nim nie skontaktowała i nie powiedziała mu, że wyrzucono ją z pracy za przeszłość.

Nie, to nie to, co Dawn, Dawn ma klasę - pomyślała z żalem Lena.

Ponieśli dużą stratę. Chcieli, żeby zastąpiła ją Jennifer, nawet ją do tego przygotowywali, ale dziewczyna nie była tak ujmująca jak Dawn.

- Jadę sama, ale w niedzielę masz wolne. Moglibyśmy pojechać razem, zostać na noc...
- Znow te autobusy, te pociągi - mruknął. Louis chciał mieć samochód.
- Tam musi być bardzo ładnie. Zaslugujemy na krótką majówkę, na dancing, na noc poza domem. Tylko we dwoje.

- No dobrze. Sprawdzę, co się da zrobić. Spytam Jamesa, on zna całą Anglię.

Louis był ostatnio jakiś taki niespokojny. Lena miała nadzieję, że propozycja odmiany monotonnego porządku tygodnia trochę go rozweseli, ale wyglądało na to, iż była dla niego tylko kolejnym męczącym obowiązkiem. Żałowała, że musi jechać akurat do Slough, a nie do jakiejś atrakcyjniejszej miejscowości.

Zapomniała, że Louis jest człowiekiem nieobliczalnym. Następnego dnia zatelefonował do agencji.

- James zna idealne miejsce - oznajmił. - Pożycz nam samochód.

Spędzimy wspaniały weekend.

- Dokąd się wybieracie? - spytała Grace.

439

- Nie wiem. Louis znalazł jakiś hotel. Zostaniemy tam dwa dni.

- Prawdziwy urlop - szepnęła z podziwem Grace.

- Szkoda, że nie jedziemy gdzieś dalej.

- Dlaczego nie wybierzecie się za granicę?

- Za dużo komplikacji.

- W Buckinghamshire też jest ładnie.

- Mam nadzieję - w głosie Leny zabrzmiała nutka niepewności.

- Pięknie wyglądasz, jak zwykle.

- Daj spokój, Grace... - Spotkały się wzrokiem w lustrze.

Grace straciła cierpliwość.

- Kobieto, spójrz tylko na siebie. Wyglądasz fantastycznie. Jesteś szczuplutka, wiotka jak trzcina, jesteś... oszalamiająca. Ale tylko wtedy, kiedy sama w to wierzysz.

- Dobra rada, panno West - odrzekła Lena ze szczerym, wesołym śmiechem, który rozpogodził jej spiętą twarz.

Kolację zjedli w eleganckim wiejskim hoteliku, gdzie James Williams załatwił im pięćdziesięcioprocentową zniżkę za pokój ze śniadaniem. Gdy tylko usiedli, na stole zjawił się koszyk z winem.

- Jeszcze niczego nie zamawialiśmy - powiedział Louis.

- Wszystko zostało zamówione, proszę pana - odrzekł kelner. Tak, Williams chciał, żeby spędzili udany weekend.

Był tam niewielki parkiet do tańca. Do kolacji przygrywał gościom saksofonista przy akompaniamencie fortepianu. Czasami tańczyły tylko dwie, trzy pary. Oni też wyszli na parkiet i przytuleni do siebie, tańczyli w takt muzyki. Tworzyli piękną parę. Patrząc na nich, odnosiło się wrażenie, że obchodzą jakąś rocznicę albo że są kochankami, którzy spędzają tu sekretny weekend. Nie wyglądali jak mąż i żona na dwudniowej wycieczce za miasto.

Następnego ranka, po długiej miłosnej nocy, Lena była zmęczona i obolała. Nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż odpoczynek w hotelowym łóżku i luksusowe śniadanie - podane, rzecz jasna, do tegoż łóżka - ale czekała na nią praca.

440

Wstała cichutko, żeby nie budzić Louisa. Leżał z rękami pod głową, a na jego twarz kładł się cień długich rzęs. Był taki przystojny, tak bardzo go kochała. I nie odmieni tego nic, co zrobił albo co mógł kiedyś zrobić. Gdy po dwóch wyczerpujących, ale udanych spotkaniach wróciła taksówką do hotelu, czekał na nią w hotelowej kawiarni.

- Powinnaś mnie uprzedzić, pojechałbym po ciebie. Samochód jest do

naszej dyspozycji, ale nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. - Oczywiście, gdyby tylko zechciał, mógłby zadzwonić do Millara. - Chodź, jedziemy. Zaplanowałem wycieczkę.

Farmy, wsie - typowo angielski krajobraz. Louis i Lena nigdy nie porównywali krajobrazów angielskich z irlandzkimi. Oznaczałoby to zbyt bolesną podróż w przeszłość, w coś, co się już skończyło, o czym najlepiej było zapomnieć.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - spytała.

- Zobaczysz - odrzekł, kładąc jej rękę na kolanie. Tak pasował do samochodu Williamsa. Bez względu na swoje prawdziwe pochodzenie Louis Gray był człowiekiem urodzonym do życia z klasą, do życia w luksusie.

Wjeżdżali do jakiejś wsi. Odczytała jej nazwę: Stoke Poges.

- Czy to nie tutaj...? Czy to nie...?

- Tak, zgadza się. Chciałem ci pokazać dumę i radość rodziny.

- Co?!

- Dzwon wieczorny żałobnie nad zgonem dnia płacze... *

* Elegia... w przekładzie Stanisława Barańczaka.

No, tak, to Elegia napisana na wiejskim cmentarzu przez mojego przodka, niejakiego Thomasa Graya - powiedział, parkując przed bramą absurdalnie malowniczego cmentarzyka.

- Przecież Gray od Elegii nie ma nic wspólnego z twoją rodziną - roześmiała się, myśląc, że a nuż, kto wie.

- Oczywiście, że ma.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Bo nigdy mnie nie pytałaś.
- Żartujesz, Louis.
- Każdy jest tym, za kogo się podaje. Dlaczego mi nie wierzysz? To mnie denerwuje.
- Ależ, Louis, przecież ty nie pochodzisz z tych stron. Urodziłeś się w Wicklow, a nie w Buckinghamshire.

Niewiele wiedziała o jego pochodzeniu. Ojciec osierocił go w młodym wieku, starsi bracia i siostry wyjechali za chlebem za granicę. Nie utrzymywali ze sobą kontaktu, a Louis nigdy nie próbował ich odszukać. Ponieważ Lena nie miała rodzeństwa, zawsze myślała, że rodzina jest dla wszystkich czymś najważniejszym. Być może, ale na pewno nie dla Louisa. Niewiele mówił o swoim dzieciństwie, nie wracał myślą do czasów młodości, nie zwał winy na przeszłość. Mawiał, że liczy się tylko teraźniejszość. Chwila obecna, nie ta, która już minęła.

Stanęli nad mogiłą poety, pogłaskali płaski kamień nagrobny. I przeczytali wiersz, przypominając sobie fragmenty, których uczyli się w szkole na pamięć.

- Światem już tylko ciemność - i myśl moja włada... *

* Tamże.

- Tak to jest, wuju Thomasie - powiedział Louis.
- On nie był twoim krewnym, prawda?
- Jesteśmy tymi, kim myślimy, że jesteśmy.
- Kocham cię - powiedział Louis. Obudził się i zobaczył, że Lena siedzi przy oknie, paląc papierosa i patrząc w noc.
- Dlaczego mi to mówisz?
- Bo to prawda. A czasami jesteś tak smutna, jakbyś o tym zapomniała.

Kathleen Sullivan, matka Steviego, została wypisana ze szpitala i wróciła do Lough Glass.

- Przestań biegać do niej z herbatą, Mauro - radził szwagierce Peter Kelly.
- Stać ich na zatrudnienie kobiety, która mogłaby to robić.
- Któż wie lepiej ode mnie, na co ich stać? - odrzekła

442

Maura. Prowadziła księgi i doskonale wiedziała, że zakład prosperował coraz lepiej wyłącznie dzięki polotowi i harówce Steviego. Nie śmiała nawet myśleć, jaki odniósłby sukces, gdyby zechciał całkowicie poświęcić się pracy.

Jeździł po okolicy i tłumaczył farmerom, którzy niechętnie podejmowali szybkie decyzje, że cała mądrość dobrego gospodarowania polega na zastępowaniu starych maszyn nowymi, a nie na kompletnym ich dobijaniu. Odkupywał od nich zużyty sprzęt, naprawiał go i odsprzedawał innym. Nigdy nie złamał prawa ani nie zawiódł swoich klientów. Źródła sukcesu tkwiły w tym, że miast czekać, aż praca przyjdzie do niego, wyszukiwał ją sam, przekonując ludzi o opłacalności swoich propozycji.

- Myślisz, że powinniśmy zatrudnić opiekunkę dla twojej matki? - spytała Maura.
- Czy ja wiem. Pewnie nie zechce. Wiesz, powiedziałyby, że jest z tych, co to chodzą na służbę do ludzi, a nie z tych, co zatrudniają służących.
- Przecież ty to wszystko zmieniłeś, jesteście teraz w zupełnie innej sytuacji.
- Ja to wiem, ty to wiesz, ale ona może o tym nie wiedzieć.
- Niech wreszcie coś z tego ma. Znam przyjaciółkę Peggy, mogłaby do was przychodzić.

- Załatw to, Mauro. To znaczy, o ile jeszcze tego nie załatwiłaś.

Posłała mu uśmiech. Bardzo się lubili.

- Ciągle nie wiadomo, kto to zrobił? - Stevie miał rozmawiać z sierżantem O'Connorem.

- Nie. Jakby odlecieli latającym talerzem. Sean sądzi, że może to i lepiej. Mówi, że gdyby musiała ich zidentyfikować, na pewno by się jej pogorszyło. To dość luźne podejście do techniki wykrywania przestępstw, jakby mnie kto pytał.

- I bardzo ludzkie - zauważyła Maura. - Sean O'Connor może być człowiekiem litościwym, ale głupcem na pewno nie jest.

- Wiem, i często miewa natchnienie. Bo przecież nikt nie dał mu cynku. - Przeszył Maurę wzrokiem, jakby

443

chciał zmusić ją do przyznania się, że wypaplała sierżantowi o nim i o Orli Dillon.

- Stevie, on wiedział dokładnie wszystko, wszyściutko. Nigdy bym mu nie powiedziała, ale on dobrze wiedział, gdzie cię szukać.

- I jak mnie nastraszyć - mruknął ponuro Stevie.

- No tak... - Maura zamilkła.

- Zdumiewającym zbiegiem okoliczności matka Orli wystąpiła z tym samym argumentem, i to w tym samym czasie: strzeż się ludzi z gór. Orla tak się boi krewniaków męża, którzy mogą przyjść do niej z toporami i sierpami, że nie śmie na mnie spojrzeć, gdy mijamy się na ulicy. Tak więc ten mały epizod dobiegł końca. - Przez chwilę wyglądał jak mały chłopiec, któremu zakazano gry w piłkę po południu. Buntowniczo wydał dolną wargę.

- Jestem pewna, że znajdziesz sobie inną rozrywkę - rzekła Maura głosem pozbawionym współczucia.

- Chyba tak - odparł Stevie. Lepiej było nie mówić Maurze McMahon, że już ją znalazł, i to w osobie jej własnej siostrzenicy, małej Anny Kelly.

- Nie możesz tu zostać na zawsze, Francis - powiedziała siostra Madeleine.

Siedział, dygocząc, przed kominkiem. Obwieszona mokrymi workami budka na drzewie nie dawała żadnego schronienia przed wilgotnymi zwiastunami irlandzkiej zimy.

- Dokąd miałbym pójść, siostrze? - Policzki miał zapadnięte, twarz bladą. Męczył go ostry kaszel.

Poprosiła młodego Emmeta o buteleczkę syropu od ojca, na co Martin McMahon przesłał jej wiadomość, że zima będzie pewnie surowa, dlatego wolałby, żeby siostra Madeleine odwiedziła doktora Kelly'ego i pozwoliła mu się osłuchać. Bardzo ją to zirykowało. Co prawda miała tabletki do ssania, ale Francis kaszlał coraz gwałtowniej, krztusił się i wyglądał jak człowiek, który powinien pójść do szpitala.

- Prześpij się w moim łóżku - powiedziała.

- A ty, siostrze?

- Ja położę się przed kominkiem.

- Nie mogę. Jestem zbyt brudny, obszarpany i śmierdzący.

444

Twoja pościel jest śnieżnobiała. - Ale widać było, że marzy o nocy spędzonej w cieple i spokoju. Pustelnica o tym wiedziała.

- Dam ci gorącej wody, umyjesz się.

- Nie, często to robisz, siostrze, ale to już przesada.

- A gdybym zasłała łóżko narzutą i wymościła czymś prześcieradło, żebyś mógł się nim owinać?

- I jeszcze coś pod głowę, siostró.

Znalazła starą narzutę, ogrzała ją przed kominkiem, a nieskazitelnie czystą poduszkę owinęła kuchennymi ściereczkami. Zasnął prawie natychmiast, oddychając ciężko i charcząc jak chory na gruźlicę. Siedziała w otwartych drzwiach, długo go obserwując. Francis Xavier Byrne, czyjś syn.

Człowiek nie w pełni władz umysłowych, który powinien cieszyć się wolnością, jak dzikie zwierzę. Nie, nie wolno go zakuwać w łańcuchy ani wsadzać do klatki. Tu nie zrobi nikomu krzywdy, tu nauczy się ufać ludziom. Wkrótce, kiedy tylko poczuje się lepiej, pustelnica da mu na autobus i wyśle go daleko stąd.

Powiadali, że Kathleen Sullivan wracała do zdrowia. Wyszła już ze szpitala i miała kobietę, która jej doglądała. Miłosiwy Bóg na pewno nie zechce mścić się na biednym Francisie, który spał w jej łóżku snem niespokojnym, rzucając się, dygocząc i kaszląc.

Torba z dobytkiem. Tak to nazywał. Będzie musiała coś w tej sprawie zrobić. Torba... Nigdy nie wypuszczał jej z ręki, a dzisiaj leżała na prostym drewnianym krześle. Uczył się ufać. Nie można go było teraz oddać w ręce policji. Tak, postawi sprawę jasno: Francis będzie musiał zwrócić wszystkie pieniądze, które zrabował w warsztacie Sullivana. Odpowiada za to ona, siostra Madeleine, i ona będzie musiała to zrobić. Osobiście.

- Co jedliście w tej hinduskiej restauracji? - spytała Maura.

- Nie pamiętam, Mauro - odrzekł Emmet. - Przepraszam.

- Rybę, mięso czy co?

- Nie wiem, chyba jakieś mięso.

- Dobry Boże, a ta biedna dziewczyna oszczędzała pieniądze, żeby zabrać cię na kolację - Maura pokręciła głową, udając, że jest rozżalona.

- Jedliśmy pantalonki z kremem w Cafollas - rzucił z rozpaczą, żeby ją tylko przekonać, iż docenia poświęcenie siostry.

Maura wybuchnęła śmiechem.

- Przynajmniej wiem, co ci zostaje w głowie!

- Nie, widzisz, dużo rozmawialiśmy i jedliśmy nie myśląc, co jemy.

- Wiem, wiem - odrzekła ze współczuciem. Coś Emmeta gnębiło, ale nie zamierzała go wypytywać.

Początkowo myślała, że chodzi o Annę Kelly, ale zaraz po posiłkach Emmet dokądś wybywał, więc pewnie nadal się spotykali. Miała nadzieję, że sprawy nie zajdą za daleko, i zastanawiała się, czy nie przedyskutować tego z Lilian, ale Lilian nigdy nie była na bieżąco z romansami swoich córek. Dlatego doszła do wniosku, że - jak to często w życiu bywa - najlepiej będzie nie mówić nic.

- Cześć, Emmet.

Anna nigdy nie wyglądała piękniej. Miała na sobie zieloną kurtkę, a szyję owinęła szalikiem z angory. Zarumieniona i podniecona, włosy upięła w kucyk zieloną spinką. Tak, wyglądała jak gwiazda filmowa. I stała tuż przed nim, tu w Lough Glass. Ta sama Anna Kelly, która jeszcze kilka tygodni temu chętnie by go pocałowała i pozwoliła się dotykać. A teraz mówiła, że muszą z tym skończyć, ale tak, bardzo pragnie zostać jego przyjaciółką. Nie wiedziała, jak wielki, jak potworny sprawia mu ból. Lecz pograżaniem się w rozpacz nic by nie zyskał.

- Sie masz. Jak leci? - spytał wesoło.

- Okropnie - mruknęła. - Jakbym mieszkała w hitlerowskim obozie jenieckim.
- Dlaczego?
- Dokąd idziesz, co robisz, gdzie będziesz, z kim się spotykasz, o której wrócisz? - Anna jęknęła. - Jezus Maria, chętnie rzuciłabym się do jeziora. - Zamilkła. - Och, przepraszam cię, Emmet...
- Za co? - spytał chłodno.

446

- Za to, co powiedziałam. No wiesz, twoja mama...
- Moja mama zginęła w wypadku na łodzi. Nie rzuciła się do jeziora tylko dlatego, że zadawali jej głupie pytania.

Twarz Anny przybrała barwę szkarłatu.

Pragnął ją przytulić, pragnął powiedzieć, że dobrze wie, co mówią o jego matce, że rozumie jej zażenowanie, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Ale ona zdecydowała, że nie będą z sobą chodzić, tylko zostaną przyjaciółmi. Dlatego trzymał ręce w kieszeni, dlatego uciekł wzrokiem w bok.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Emmet? - szepnęła cichutko.
- Tak? - Zamierzała prosić go o jakąś przysługę. Poznał to po tonie jej głosu. Ale gdy na nią spojrzał, coś w jego oczach powiedziało jej, iż nie najlepsza to pora na prośby.
- Nie, nic...
- W takim razie, cóż... do zobaczenia? - Tak bardzo chciał jej powiedzieć, że zawsze będzie na nią czekał, że zrobi dla niej absolutnie wszystko. Ale popełniłby błąd. Anna nie cierpiała słabych, sama mu to mówiła. Ceniła go

za siłę woli, za jego nieugiętość. Dlatego musiał być teraz silny. Zobaczył Kevina Walla i krzyknął do niego. Kevin ucieszył się na jego widok.

- A twoja jedyna? - spytał, wskazując ruchem głowy Annę stojącą samotnie na ulicy.

- Anna? Tylko rozmawialiśmy.

- Myślałem, że na nią lecisz.

- Zwariowałeś. To moja przyjaciółka - odrzekł Emmet McMahon i odszedł ze szkolnym kolegą, nie oglądając się za siebie.

Kit odbywała praktykę w jednym z dublińskich hoteli, gdzie praktykantów •traktowano bardzo poważnie. Jednego tygodnia pracowała w recepcji, następnego w barze. Podawała też do stołu i sprawowała nadzór nad pokojówkami. Nie było jej łatwo, ale wiedziała o tym od samego początku.

Pewnego dnia odwiedziła ją Clio.

- Ty chyba zwariowałaś - powiedziała.

447

- Mówisz tak o wszystkim, co robię.

- Więc dlaczego miałabym nagle zmienić zdanie? - usiadła na wysokim stołku przy barze. - Czy znajomość z barmanką upoważnia mnie do wolnego drinka?

- Mowy nie ma.

- No dobra, w takim razie zapłacę. Poproszę dżin z sokiem cytrynowym.

- Dżin! Mówisz poważnie?

- Dlaczego nie? Czyżbyś była apostołką abstynencji w przebraniu barmanki?

- Nie, ale my dzinu nie pijemy.
- Może ty. Ja piję.
- Jak chcesz. Klient ma zawsze rację. - Kit odwróciła się i napełniła menzurkę alkoholem. W lustrze zobaczyła twarz przyjaciółki. Clio zagryzała wargę. Sprawiała wrażenie nieszczęśliwej. Kit wzięła srebrne szczypcy, włożyła do szklaneczki kilka kostek lodu i postawiła przed nią butelkę soku cytrynowego i karafkę z wodą. - Częstuj się - rzuciła z uśmiechem.
- Napijesz się ze mną?
- Dzięki. Wezmę sok pomarańczowy. Przez kilka minut zgodnie sączyły napitki.
- Ciotka Maura zaczyna za bardzo węszyć - powiedziała w końcu Clio.
- Przesadzasz. Ona próbuje tylko nawiązać rozmowę, chce wiedzieć, co porabiamy, i tyle - broniła Maury Kit.
- Chyba wie o mnie i o Michaelu.
- No jasne, że wie, nie przestajesz o nim gadać.
- Nie o to chodzi. Wie, że z sobą sypiamy.
- Jakim cudem?
- Nie mam pojęcia - Clio znowu zagryzła wargę.
- Nie patrz tak na mnie. Ja jej nie powiedziałam.
- Przecież wiem. - Tak, tyle Clio wiedziała.
- Dlaczego tak uważasz?
- No bo mówi takie dziwne rzeczy. Och, sama nie wiem. Snuje straszliwie zakamuflowane przypowiadki o szacunku dla samego siebie, powtarza, że dziewczęta nie muszą robić więcej, niż chcą, żeby zatrzymać przy sobie mężczyznę...

- Przecież to ciebie nie dotyczy - zauważyła celnie Kit. - Twierdzisz, że robisz tylko to, co uwielbiasz.
- To prawda, ale tego ciotce chyba nie powiem, co? Poza tym znała ojca Michaela.
- To świetnie. O'Connorowie lubią wiedzieć wszystko o wszystkich.
- Mam wrażenie, że go nie lubiła.
- Naprawdę?
- A kiedy byłam u Michaela, jego ojciec powiedział, że chyba ją pamięta.
- Ale nie wyrażał się o niej zbyt entuzjastycznie?
- Nie. Tylko o tym wspomniał, i to półgębkiem.
- Może mieli z sobą romans.
- Wątpię. Matka i ojciec Michaela są małżeństwem od wieków.
- Myślę, że ponosi cię wyobraźnia - uspokajała ją Kit.
- Chciałabym, żebyśmy znowu były młode. Życie było wtedy o wiele prostsze.
- Nie masz jeszcze dwudziestu lat, wielu ludzi uważa, że to pełnia młodości.
- Chyba wiesz, o co mi chodzi. Tobie jest łatwo, Kit. Zawsze było ci łatwo. Wyjdiesz za Philipa O'Briena, będziesz szefowała w „Centralnym” i pracowała jak pszczołka, a kiedy Mildred i Dan się zestarzeją, kupicie im jakąś chatkę i zostaniesz królową całego ula.
- Powtarzasz to, odkąd tylko pamiętam, a ja zawsze odpowiadam, że będzie zupełnie inaczej. Dlaczego mi nie wierzysz?
- Ponieważ wszyscy kończymy tak jak nasi rodzice. Twoja matka była wspaniałą kobietą, mogła dokądś wyjechać, mogła robić, co tylko chciała,

mimo to dla bezpieczeństwa wyszła za twego ojca, człowieka miłego i pewnego, i wylądowała w Lough Glass. Ty zrobisz to samo.

- A ty? Czy ty w ogóle tego Michaela kochasz, Clio?

- Nie wiem. Mówię szczerze, nie wiem. Bo co to jest miłość?

- Sama chciałabym wiedzieć - odrzekła Kit tak, jakby była nieobecna.

Zastanawiała się, czy w tym, co mówiła Clio, jest choć trochę prawdy. Czy rzeczywiście wszystkie

449

dziewczyny kończą jak ich matki? Jeśli tak, czekała ją burzliwa przyszłość.

Kevin O'Connor przyprowadził do baru kilku przyjaciół. Kiedy ich obsługiwała, jeden z nich położył jej rękę na pośladku.

Kit zeszywniała i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Zabierz łapę - wycedziła sylaba po sylabie, co zabrzmiało jak seria wystrzałów z rewolweru.

Chłopak natychmiast zabrał rękę. Kevin O'Connor był przerażony.

- Kit, przepraszam cię, Kit, naprawdę, przysięgam, że... Wypierdalaj stąd, Matthew, ale już! Jeśli nie umiesz traktować kobiet z szacunkiem, to spadaj!

Matthew, winowajca, popatrzył na Kevina, nie ukrywając zdumienia. Nie takiej reakcji oczekiwał.

- Chciałem tylko być przyjacielski - odparł zawadiacko.

- Wyjdź stąd - warknął Kevin.

- Chryste, O'Connor, beznadziejny z ciebie kutas - mruknął poirytowany.

- Jeśli usłyszę jeszcze słowo w tym wulgarnym języku, nikogo nie obsłużę - oświadczyła Kit. Była pewna siebie i zupełnie bezpieczna. Kevin

O'Connor nie tylko ją szanował, ale postarał się, żeby szanowali ją jego gadatliwi tudzież głupkowaci koledzy.

- Przepraszam, Kit - powiedział nieśmiało, gdy skołowany Matthew wyszedł z hotelu.

- Nie szkodzi, Kevin. I dziękuję. - Posłała mu ciepły uśmiech i Kevin poczuł się mile połączony. Było jej wstyd, że tak go wykorzystuje, ale przed spotkaniem ze Steviem Sullivanem musiała trochę poćwiczyć.

Droga Kit!

Odkrytka, w której opisujesz swoją pracę w barze, jest doprawdy przezabawna. Postanowiłam wysłać Ci tę książkę o koktajlach, bo może znajdziesz w niej coś, co będziesz mogła wykorzystać. Przyznaję, że to bardzo dziwna przesyłka. Przypuszczam, że w innych okolicznościach ktoś w mojej

450

sytuacji próbowaliby przestrzec Cię przed zgubnymi skutkami picia alkoholu, a już na pewno nie podarowałby Ci książki z detalicznymi przepisami sporządzania mikstur jeszcze mocniejszych. Z drugiej strony są to okoliczności nader niezwykle i chciałabym Ci za wszystko podziękować. Bo to olbrzymia różnica.

Całuję Lena.

Kit przeczytała list kilkanaście razy. Zastanawiała się, za co jej Lena dziękuje. Bo chyba nie za to, że nie rozdmuchała całej afery? Przecież leżało to w interesie Kit, w interesie jej ojca i mogłoby zburzyć spokój tylu ludzi. I co to za „olbrzymia różnica”? Matka ich zostawiła, wybrała inne życie. Więc czy to aż taka różnica, czy dostanie od córki pocztówkę, czy nie?

Możliwe, że Lenie też brakowało szczęśliwej i beztroskiej korespondencji z czasów, gdy pisały do siebie jak przyjaciółki. Bo Kit bardzo tego brakowało. Tak, mogłaby podzielić się z nią tyloma problemami, gdyby Lena nadal była jej przyjaciółką.

Przyjaciółką, a nie matką, która ją okłamała.

- Stevie? Mówi Kit McMahon. - Specjalnie zwlekała z telefonem do lunchu, kiedy Maura wracała do domu, żeby zjeść coś z ojcem.

- Przykro mi, Kit, przed chwilą wyszła. Wróci o drugiej.

- Nie, mam sprawę do ciebie.

- Świetnie. Zaoszczędziłaś na samochód?

- Nie, dzwonię prywatnie. Chodzi nie o interes, lecz... o rozrywkę. -

Oczywiście wyobraźni widziała, jak uśmiecha się leniwie, jak opierając się o coś, podtrzymuje słuchawkę ramieniem, żeby poszukać papierosów. -

Chciałbyś pójść ze mną na tańce? Tu, w Dublinie, w przyszłą sobotę.

- Możesz to powtórzyć?

Gdyby czuła do niego miłość, gdyby spanikowana czekała na jego reakcję, nigdy nie mogłaby tego zrobić. Ale ponieważ podchodziła do tego z dystansem, wszystko wypadło jak trzeba.

451

- Na jakie tańce?

- Nie jesteś za wybredny?

- A jaka ty byś była, gdyby ni z tego, ni z owego ktoś do ciebie zadzwonił z taką samą propozycją? - śmiał się, grał na czas.

- Chyba tak - Kit była sprawiedliwa. - To jedna z tych sobotnich potańcówek u Greshama. Każdy płaci za siebie, są stoliki, szalowa orkiestra, i tak dalej.

- Nigdy na takiej imprezie nie byłem.
 - Ja też nie. Idziemy całą paczką, ale zabrakło nam kilku chłopaków, dlatego zastanawiałam się, czy...
 - Dlaczego nie zaprosisz Philipa O'Briena? Poszedłby za tobą jak w dym.
 - Gdybym go poprosiła, pomyślałby sobie, że na niego lecę.
 - A ja? Co ja mam sobie pomyśleć?
 - O Boże, Stevie, przecież znamy się tak długo, że nie potrzebujemy owijać sprawy w bawełnę. Tak czy nie?
 - Myślisz, że mi się tam spodoba?
 - Nie będziesz chciał wyjść. Mnóstwo pięknych dziewcząt, muzyka, nawet drinki. Obłąd, co?
 - I wybawię cię z kłopotu.
 - To nie tylko to. Lubisz towarzystwo. I chyba spodobasz się ludziom, którzy tam będą. Potrafisz być duszą towarzystwa.
- Próbowała sobie przypomnieć, czy rzeczywiście potrafi. Zawsze sprawiał wrażenie znużonego, cynicznego, takiego, co to otaksowuje wszystkich uważnym spojrzeniem. Z drugiej strony miał w sobie coś zabawnego.
- Dobra, umowa stoi.
 - Dzięki, Stevie. - Wy tłumaczyła mu, gdzie się spotkają, powiedziała, ile to będzie kosztowało.
 - Aha, mówić o tym Maurze, czy nie? - spytał.
 - To zależy wyłącznie od ciebie.
 - W takim razie zapytam inaczej: zamierzasz jej o tym powiedzieć?
 - Wcześniej czy później pewnie wspomnę, że organizowaliśmy przyjęcie, ale uważam, że obciążanie ludzi zbyt szczegółowymi relacjami z czyjegoś życia nie ma sensu.

- Rozumiem, co masz na myśli. Kit odwiesiła słuchawkę i odetchnęła.

- No, Emmet. Twoja starsza siostra zaczyna wypełniać obietnicę - powiedziała do siebie. To oznaczało, że w sobotę wieczorem ta straszna Anna Kelly zostanie na lodzie. Ale Kit nie zamierzała uprzedzać brata, bo gdyby wtrącił się do sprawy za wcześnie, mógłby wszystko zepsuć.

Stevie Sullivan odłożył słuchawkę i zaskoczony popatrzył na telefon. Ta McMahanówna była dziewczyną niesamowicie atrakcyjną. Pomyśleć tylko, że zaprosiła go na tańce! Zawsze chciał pójść na jedną z tych dublińskich supereleganckich imprez. Oznaczało to, że będzie musiał powiedzieć Annie, iż z kina nici. Ale powie jej to w miły sposób i Anna na pewno zrozumie.

Jednak Anna Kelly nie sprawiała wrażenia osoby zbyt wyrozumiałej.

- Ale rodzice pozwolili mi właśnie pojechać do miasta. Powiedziałam, że wybieramy się całą grupą, że jedziemy do kina.

- No to jedź. W sobotę muszę być służbowo w Dublinie - odrzekł Stevie.

- Nie, bo jeśli pojedę, zmarnuję okazję do spotkania z tobą. - Dlaczego nie potrafił tego zrozumieć?

- Mnie też jest przykro, Anno - posłał jej krzywy uśmiech, ale uśmiech nie podziałał.

- Nie mógłbyś tego odwołać? - błagała. Stevie zaczynał się niecierpliwić, co natychmiast wyczuła. - Nie, oczywiście, że nie możesz. Jestem taka niemądra. Dobrze, zatem innym razem, prawda?

- Jasne - Stevie znowu się uśmiechnął. To takie proste: wystarczyło być miłym. Że też tylu ludzi tego nie rozumiało!

- Gdybyś zechciał, w sobotę mogłabym pójść z tobą do kina.

- Dzięki, Anno, ale nie - odrzekł Emmet.
- Rozpaczasz?
- A skąd! Pamiętasz, obiecałem ci, że nie będę rozpaczał. Chciałaś, byśmy zostali przyjaciółmi, więc zachowuję się jak przyjaciel - posłał jej promienny uśmiech.

453

- Ale przyjaciele chodzą do kina - utyskiwała.
- Tak też ci mówiłem, ale twierdziłaś, że nie, bo zakłóciłoby to twój układ ze Steviem - patrzył na nią niewinnymi oczyma.
- Ale tak się przypadkiem składa, że Steviego w ten weekend nie będzie. Jedzie do Dublina w sprawach służbowych.

Emmet uśmiechnął się ciepło. Kit zaczęła działać.

- Na pewno wróci - udawał, iż chce ją pocieszyć.
- Oczywiście, że wróci - warknęła Anna. - Ale myślałam... skoro...
- Chyba nie chcesz mnie zaprosić tylko dlatego, że nagle zostałam na łodzi? - z niedowierzaniem pokręcił głową. - Jesteśmy przyjaciółmi, Anno. To nie byłaby zagrywka godna przyjaciółki. Przyjaciel przyjaciela nie wykorzystuje.

Odwróciła się i szybko odeszła.

- Francis, mogłabym odnieść te rzeczy do warsztatu - zaoferowała się siostra Madeleine.
- Nie chcę ich zwracać, sestro - przycisnął torbę do piersi.
- Ale tak byłoby najlepiej - odparła łagodnie.
- Te rzeczy są teraz moje. To wszystko, co mam, bez tego nie dam rady uciec i rozpocząć nowego życia.
- Gdybyśmy je zwrócili, przestaliby cię szukać i nie musiałbyś mieszkać

na drzewie... - mówiła coraz ciszej, wreszcie zamilkła. Wiedziała, że mówi do kogoś, kto jej nie słucha.

- To wszystko, co mam - powtórzył i jeszcze mocniej przycisnął torbę do piersi.

- Co my z tobą zrobimy? - rzuciła w pustkę.

- Powiedziałaś, że będziesz się mną opiekowała - szepnęła żałośnie.

- Wiem, Francis, wiem. - Siostra Madeleine była sobie mniej pewna niż zazwyczaj.

W przeszłości zawsze robiła to, co uważała za słuszne. I nigdy nie miała co do tego ani cienia wątpliwości. Ale ostatnio... Może rzeczywiście nie miała racji. Może

454

nie powinna była zachowywać przy życiu ślepego kociaka, podczas gdy wszyscy radzili jej, żeby go bezboleśnie uśpiła. Czy krótkie życie zwierzęcia było tego warte? Ilekroć pomyślała o jego powolnej śmierci, dochodziła do wniosku, że nie. Czy postąpiła słusznie, przetrzymując u siebie chorego psychicznie człowieka i każąc mu spać na drzewie? Czy tamtej nocy nie powinna była go opatrzyć i natychmiast zawiadomić kogo trzeba? Dla siostry Madeleine jakakolwiek niepewność była nie do zniesienia. Musiała wierzyć w to, co robiła, musiała wierzyć, że taki czy inny krok jest krokiem najlepszym, inaczej jej życie traciło sens.

- No cóż, dobrze. Przecież do niczego cię nie zmuszę.

- I dalej będziesz dla mnie miła? - Miał umysł małego dziecka.

- Oczywiście - zanurzyła chochlę w garnku na ogniu i naląła mu zupy. -

Będziesz chyba chciał wyjechać, żeby się trochę rozejrzeć i rozpocząć nowe życie?

- Tak, już niedługo wyjadę.
 - Może obetniemy ci włosy, żebyś wyglądał... - Zamilkła. Jakich słów szukała? „Normalnie”? „Jak zwykły człowiek, a nie jak bandyta”?
- Ale Francis ochoczo kiwnął głową.
- Tak, siostrze, byłoby dobrze.
- Zawiązała mu na szyi obrus, jakby prowadziła zakład fryzjerski, po czym podcięła mu włosy, brwi i brodę. Wyglądał teraz o wiele mniej przerażająco, bardziej zwyczajnie, prawie normalnie.
- Mimo to, gdy zobaczą cię z tą torbą w ręku, mogą sobie wszystko skojarzyć.
 - Na jakiś czas mógłbym zostawić ją u ciebie, siostrze.
 - Więc zamierzasz wrócić?
 - Tak, tak. Jak tylko się gdzieś zaczepię, to wrócę i wszystko ci opowiem. Chyba wezmę tylko pieniądze.
 - Francis, czy nie byłoby lepiej, gdybyś...
 - Ufam ci, siostrze, tak samo jak ty zaufałaś mnie. Nigdy się mnie nie bałaś, dlatego ja nie boję się ciebie.
- Podawała mu rękę, chociaż w sercu czuła niepokój.
- Tak, Francis, możesz mi zaufać. W świecie pełnym ludzi, których nie znasz, o których nic nie wiesz, zawsze
- 455
- możesz na mnie polegać. - Nagrodził ją szeroki, głupkowaty uśmiech opóźnionego w rozwoju dziecka. Dziecka w ciele wielkiego, silnego mężczyzny.
- Szkoda, że nie mamy samochodu - mruknął Louis, gdy się ubierali.
 - No to kupmy.

- Łatwo powiedzieć - długo zawiązywał krawat.
- Łatwo też kupić. Nie kupiliśmy domu, nie ciąży na nas hipoteka, nie mamy dzieci. Na co my właściwie oszczędzamy?
- Tak dużo to znowu nie odkładamy.

Co w przypadku Louisa było prawdą. Nie wiedział, z jaką pieczołowitością odkładała każdego nie wydanego pensa. Jak szybko rośnie jej bankowe konto, jak z roku na rok wzrasta jej udział w zyskach agencji Millara.

- Zobaczmy, ile mógłbyś odłożyć miesięcznie - zaczęła.
- Niewiele.
- Może dadzą mi pożyczkę w agencji. No wiesz, samochód na koszt firmy, przynajmniej częściowo.

Oczy mu zapłonęły.

- Naprawdę mogłabyś to załatwić?

Jak na człowieka tak wprawionego w oszukiwaniu, w sztuce przyciągania uwagi innych i odgadywania życzeń hotelowych gości okazywał się zdumiewająco niewinny i naiwny w innych sprawach. Nie przyszło mu nawet do głowy spytać ją, dlaczego Millar miałby udzielać jej pożyczki na zakup samochodu, skoro mieszkała o pięć minut drogi od biura agencji i zawsze przychodziła do pracy piechotą.

- Tak, to może być sposób... - dodał.
- Tak więc ostatni raz wybieramy się dokądś pociągiem - rzuciła ze śmiechem.
- Kocham cię, Leno. - Siedząc przed mniejszym lustrem i w gorszym świetle, nakładała kolczyki. Pocałował ją. Nie zauważył, że zmieniła kolor włosów, lecz uznał, iż i tak wygląda świetnie.

Fanfary dla salonu Grace po raz enty. Taksówkarz na dworcu znał drogę.

- To tam, gdzie mieszkają sami bogacze - powiedział.

456

- Świetnie - odrzekł Louis. - Nie chcielibyśmy trafić do slumsów. - I przybrał na twarzy ten swój zabójczy uśmiech.

Taksiarz, mężczyzna w wystrzępionej kurtce, z palcami żółtymi od nikotyny, którego wpuszczono by na teren tych posiadłości tylko jako kierowcę taksówki, sprawiał wrażenie zadowolonego i pełnego entuzjazmu. Cały Louis: umiał sprawić, że ludzie cieszyli się z jego obecności.

Lena wiedziała, że James jest rozwodnikiem. Ale miał przyjaciółkę - tak twierdził Louis - która aż rwała się do tego, żeby zostać następną panią Williams.

- I zostanie?

- Nie. Myślę, że Williams jest na to za sprytny - odrzekł z uśmiechem.

Lena też się uśmiechnęła. Louis był tak rozbijająco naiwny, przyznając, że sprytni mężczyźni powinni unikać małżeństwa i wszelkiego rodzaju zobowiązań. Jakby nie wiedziała, że to jego własna filozofia.

James Williams bardzo ucieszył się na ich widok. Ucałował Lenę w oba policzki.

- Z każdym dniem wyglądasz młodziej.

- Jesteś zbyt uprzejmy.

- Nie, naprawdę. Chodź, chodź i poznaj moich gości. Lauro, pozwól, chciałbym, żebyś poznała Lenę Gray.

Laura wyglądała jak harpia: czerwona, błyszcząca szminka, czarne, metalicznie lśniące włosy, połyskliwa bluzka z aksamitu, czarna, obcisła,

krótka i bardzo błyszcząca spódnica. Na nogach miała skórzane lakierki na wysokim obcasie. Jakby ją ktoś cały dzień szlifował i polerował.

- Słynna pani Gray... - powiedziała, otaksowując Lenę spojrzeniem.
- Och nie, to raczej mój mąż słynie w branży hotelowej.
- James wymienia pani nazwisko w każdej rozmowie. Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że mu się pani podoba.

Williams odwrócił się, żeby powitać Louisa. Lena przeszła Laurę długim spojrzeniem.

- Ale pani wie.
- O tak, naturalnie... - Urwała. Zobaczyła Louisa, zatrzepotała rzęsami, odwróciła wzrok. Zaraz powie, że

457

mam przystojnego męża, który na pewno bardzo mi się podoba - pomyślała Lena. Ale Laura patrzyła na to z innego punktu widzenia. - Wiem, bo gdyby było inaczej, na pewno by coś w tej sprawie zrobił.

- Jak brzmi pani nazwisko, Lauro?
- Dlaczego, u licha, pani o to pyta? - Laura spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby Lena popełniła gafę wszech czasów.

Lecz Lena nie próżnowała przez lata kontaktów z klientami agencji Millara, niełatwo było zbić ją z tropu.

- Ponieważ mi go nie podano - odrzekła najchłodniej, jak umiała. Mierzyły się wzrokiem.

- Evans - bąknęła w końcu Laura.

Czyżby James Williams to wyczuł? Czy też przez czysty przypadek odwrócił się i położył im ręce na ramionach?

- Chodźcie, moje faworyty. Przedstawię wam resztę gości - powiedział.

Nie spojrzała na Laure, ale doskonale wiedziała, że z tej nieistotnej potyczki, która rozgorzała tak nagle i tak nieoczekiwanie, zwycięsko wyszła ona, Lena.

Nigdy dotąd nie byli na takim przyjęciu, ale Lena czuła, jak się to wszystko skończy. Od razu zauważyła te dwie kobiety. Cały czas zabiegały o uwagę Louisa i już wiedziała, że wygra Angela.

Niech sobie zabiegają, niech sobie walczą. A Louis? Niech podsuwa jednej talerze z maleńkimi kiełbaskami na kolorowych wykałaczkach, niech dolewa szampana drugiej. Niech się śmieje, widząc ich rozochocone twarze. To element zabawy. To pewnie cała zabawa.

Postanowiła udawać, że przyjęcie jest zwykłą konferencją. Maklerom i ich żonom mówiła, że pracuje w agencji pośrednictwa pracy. Nie rozdawała wizytówek; ostatecznie było to spotkanie towarzyskie, w dodatku w obcym domu. Ale powtarzała nazwę agencji Millara tak często, że na pewno ją zapamiętali. Udzielała im porad co do kariery zawodowej córek i co do ich beznadziejnych sekretarek, starych panien, które nie potrafiły przeliterować wyrazów

458

„z poważaniem” czy „szczerze”, tak że wszystkie listy kończyły krótkim „oddany”.

Przechodząc od jednej grupki gości do drugiej, rozmawiając z ożywieniem, acz cicho, zauważyła, że wzbudza duże zainteresowanie. Była piękną, elegancką kobietą, która sterowała własnym życiem, kobietą nieświadomą faktu - albo zachowującą wobec tego faktu całkowitą obojętność - że jej przystojny mąż otwarcie flirtuje z dwiema goszczącymi na przyjęciu kokietkami. I cały wieczór czuła na sobie wzrok Jamesa

Williamsa.

Widziała też, że Laura Evans, która pewnie nigdy nie zostanie Laurą Williams, pije za dużo i za szybko. Już teraz na dole jej błyszczącej kremowej bluzki widniała plama, plama brzydka, zupełnie nie pasująca do eleganckiej kobiety, która tego wieczoru powinna pełnić rolę pani domu. Dopiero gdy goście rozjechali się do domów, Laura przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni.

- Lepiej sprzątnijmy ten bałagan - mruknęła, idąc chwiejnie w stronę stołu zastawionego kieliszkami.

- Zostaw to, Lauro. Jutro posprzątaj.

- Eee tam, i tak zostaję na noc. Nie chcę, żeby wyglądało tu jak w chlewie. - Zerknęła na Lenę, żeby sprawdzić, czy słowa „i tak zostaję na noc” nie uszły jej uwagi.

- No tak, wszyscy tu nocujemy - skostatował beztrósco James. -

Wypijmy strzemiennego.

Ale Laura nie dała się przekonać. Rzuciła się do stołu, straciła równowagę i upadła, rozlewając resztki wina i rozbijając kilka kieliszków.

- Zostawisz to wreszcie czy nie? - James nie był zły, nie. Był tylko zirytowany, jak ktoś strofujący małe dziecko.

- Zaraz to pozbieram.

- Może lepiej poczekać do rana? - zaproponowała łagodnie Lena. - W dziennym świetle lepiej widać drobne odłamki szkła.

- Poradzę sobie i w sztucznym - odrzekła Laura i upadła ponownie, kalecząc sobie obie dłonie.

Lena zaprowadziła ją do kuchni, w milczeniu wyjęła z ran odpryski szkła i przemyła skaleczenia środkiem dezynfekującym.

- No, chyba już. Nic pani nie będzie.
- Przestań być taka cholernie protekcyjnalna - mruknęła Laura.
- Laura chce przez to powiedzieć: dziękuję - wyjaśnił James.
- Nie. Chcę przez to powiedzieć to, co powiedziałam. Przestań być taka cholernie protekcyjnalna.
- Wyglądają niewinnie, ale mogą bardzo piec - odrzekła Lena, mając na myśli skaleczenia na dłoniach Laury.
- Larwa z ciebie, pani Gray - burknęła Laura, rzucając się do drzwi. - Nic dziwnego, że do ciebie nie startował. Jesteś zimna jak ryba. Zmroziłabyś go, zanim zdążyłby cokolwiek zacząć.
- Dobranoc, Lauro - powiedział chłodno Williams. Usiedli we troje przed kominkiem. Gawędzili o przyjęciu, o sąsiadach, o opiniach na temat Wielkiej kariery Braine'a. Niektórzy uważali, że książka jest bardzo wulgarna, inni byli zdania, że ktoś odmalował w końcu realistyczny obraz Anglii. Rozmawiali o Cliffie Richardzie i o Yvesie Saint Laurencie.
- Czy wielu z pańskich gości miało okazję ich poznać? - spytał z respektem Louis.

Nikt z nich nigdy nie był bliżej jak kilometr czy to od Cliffa Richarda, czy Yvesa Saint Laurenta, który znowu kazał skracać spódniczki, ale Lena milczała. Czar Louisa polegał na tym, że kiedy było trzeba, wyglądał niewinnie i bezbronne.

Czuła się tylko trochę nieswojo, kiedy napotkała spojrzenie Jamesa. Patrzył na nią tak, jakby rozumiał nie tylko rażącą głupotę Laury Evans, która po dzisiejszym wieczorze nigdy nie zostanie następną panią

Williams, ale również naiwność Louisa Graya, który nawet za milion lat nie dorówna bystrością swojej żonie.

Był to moment dość niezręczny i Lena spuściła oczy.

- Myśli pan, że...? - powtórzył Louis.

- Musisz być zmęczony, James - przerwała mu Lena. - Było wspaniale.

Cieszymy się, że poznaliśmy twoich przyjaciół.

Williams zaprowadził ich na górę do wielkiego pokoju

460

gościnnego z oddzielną łazienką. Było tam o wiele bardziej elegancko niż w tych miejscach, gdzie dotąd mieli okazję nocować. Zza otwartych drzwi w korytarzu dochodziło głośne chrapanie, a kiedy Lena zerknęła w tamtą stronę, zobaczyła śpiącą Laurę Evans. Jeden lakierek leżał na podłodze, drugi dyndał na jej nodze zwisającej z łóżka. Było mało prawdopodobne, żeby James Williams położył się obok niej.

Kiedy drzwi się zamknęły, Louis zaczął pieścić Lenę. Wiedziała, że tak będzie. Nic nie podniecało go bardziej niż świadomość, że dwie kobiety wyszły z przyjęcia wbrew swojej woli. Obie dałyby wszystko, żeby spędzić tę noc z Louistem Grayem. Lena wiedziała, że dzięki temu będzie jej bardzo pragnął.

- Jesteś piękna - szepnął jej do ucha.

- Kocham cię - powiedziała szczerze.

- Byłaś królową dzisiejszego wieczoru.

Zamknęła oczy. Cóż, przynajmniej się nie urznęła i nie chrapała jak Laura Evans, kobieta, w której gospodarz domu pokładał pewne nadzieje i która nie poszła do domu jak faworyty Louisa. Była zupełnie trzeźwa i nie wyglądała na czterdzieści pięć lat. Tak, z całą pewnością była królową

dzisiejszego wieczoru.

- Zastanawiałam się... to znaczy zastanawialiśmy się, czy uczynisz nam ten zaszczyt i zostaniesz naszym świadkiem.

- W sądzie?

- W urzędzie stanu cywilnego, ty tłu. Chcę, żebyś była moją drużną. Lena spojrziała na nią oszołomiona.

- Pobieracie się?!

- Robiłam to, co mi kazałaś.

- Och, Ivy, tak się cieszę. Kiedy się zdecydowaliście?

- Wczoraj wieczorem.

- A Ernest? Też cały w skowronkach?

- A skąd! Nie żądajmy gwiazdki z nieba. Ale mówi, że powinniśmy się pobrać. I właśnie tego chcę. Zawsze chciałam. - Jej oczy płonęły.

461

- Boże, to cudowna nowina! - Lena objęła ją, mocno przytuliła i patrząc ponad jej ramieniem na ściany pokryte pocztówkami, wycinkami, zdjęciami i obrazkami, pomyślała, jak bardzo Ivy zasługuje na szczęście i powodzenie w życiu.

- Proszę, Mono - Martin McMahon podał jej przez ladę butelkę tabletek. Mona Fitz brała łagodne lekarstwo na ciśnienie. Gdyby nie było tu Petera, Martin mógłby przepisywać lekarstwa niemal każdemu mieszkańcowi Lough Glass, bo znał ich najintymniejsze dolegliwości.

- Utrzymują mnie przy życiu - powiedziała dramatycznie Mona.

Martin poważnie skinął głową.

- W rzeczy samej.

Tak to chciała grać. Nie było sensu mówić jej, że lekarstwo jest bardzo

łagodne, że gdyby któregoś dnia zapomniała połknąć tabletki, nawet gdyby nie połykała ich dni kilkanaście, to i tak nic by się nie stało. Zazywanie tabletek i mikstur miało niemal magiczną moc. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż miejscowy aptekarz.

- Jak tam skaleczenie Tommy'ego? Goi się? - Martin pytał o listonosza, który zamówił dużo bandaży, plastra i środków dezynfekujących.

- Nie wiedziałam, że się skaleczył - odparła Mona. Martin często żałował swoich niewinnych uwag. Mogły prowadzić do nie kończących się spekulacji. Widział, że Mona Fitz jest zaskoczona.

- Mógł skaleczyć się w nogę i nikomu o tym nie wspomnieć - odrzekł. - Zresztą może się mylę. Ja często się mylę - dodał przepraszająco. Ale Mona tego nie kupiła, o nie.

- Co ty pleciesz, Martin? Czy bralibyśmy od ciebie te wszystkie pigułki i mikstury, gdybyś się często mylił? - powiedziała strofująco. I wyszła z apteki, łamiąc sobie głowę, po co Tommy Bennet kupował bandaże.

* * *

462

Po odejściu Francisa Byrne'a dom wydawał się dziwnie pusty. Tego wieczoru siostra Madeleine nie odczuwała potrzeby rozpalania pod kominkiem. Ilekroć stawała w progu drzwi, nie miała powodu, żeby patrzeć w stronę budki na drzewie i przyjacielsko machać ręką. Kiedy ludzie przynosili jej świeżo upieczony chleb, wiedziała, że tym razem będzie musiała odwiedzić wędrowców, żeby pieczywo trafiło tam, gdzie trzeba. Francis Xavier Byrne potrafił zjeść cały bochen, od którego odkrawała sobie tylko kromkę.

Choć Francis bardzo ją niepokoił i martwił, na swój niesamowity sposób zapewniał jej towarzystwo. Teraz noce dziwnie się dłużyły. Wznosiła modły, żeby mu się powiodło. Żeby za kilka miesięcy wrócił po resztę swoich rzeczy i powiedział jej, że się urządził, że zmienił nazwisko, że pracuje na farmie. Albo jako rębacz drewna w jakimś wielkim klasztorze pod opieką dobrodusznych mnichów. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby do niej napisał, prosząc, żeby zwróciła torbę Steviemu Sullivanowi. Oczywiście Francis pisać nie umiał. Ale ktoś mógłby napisać list za niego. Ktoś dobry, ktoś, kto przejął jej rolę i opiekował się nim w tej chwili.

Philip przyjechał na noc do domu. Przywiózł autobusem swoje całe pranie.

- Wyglądasz jak Dick Whittington * z ubraniami dla biedaków -
powiedziała Kit.

* Richard Whittington (1358-1423) - kupiec i filantrop angielski,
burmistrz Londynu.

- Ty nie wozisz do domu prania?

- Pewnie, że nie. Piorę sama.

- Jesteś kobietą.

- To głęboka prawda, ale nawet gdybym była mężczyzną, też prałabym sama.

- Mówisz tak tylko dlatego, że nim nie jesteś.

- To z kolei nieprawda.

- Albo po to, żeby się ze mną posprzeczać - dodał ponuro.

- To też nieprawda. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Uważam, że jesteś bezbłądny, Philip. Przestałeś robić do

mnie słodkie oczy i nareszcie jesteśmy wspaniałymi przyjaciółmi, prawda?

- Przestałem robić do ciebie słodkie oczy tylko pozornie, Kit - odrzekł ze smutkiem.

Przez chwilę przypominał jej Emmeta i sposób, w jaki Emmet mówił o swojej Annie. To niezwykle, że można darzyć kogoś aż tak wielkim uczuciem.

- Bzdura - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. - Zupełnie ci przeszło.

- Nie przeszło, Kit. Bardzo często mnie boli, wraca jak uporczywy ból zęba. I zadaje mi pytania.

- O co cię pyta? - Nie mogła potraktować go szorstko ani nonszalancko.

Za bardzo przypominał jej brata.

Philip nie ukrywał rozczarowania.

- Na przykład o to, dlaczego nie zaprosiłaś mnie na tańce, które urządzasz w sobotę.

- Urządzam je razem z innymi.

- Gdybyś tylko chciała, na pewno byś mnie zaprosiła.

- Przecież jedziesz do domu. - Była delikatna, uważała, żeby go nie zranić.

- Jadę tylko dlatego, żeby uciec z miasta. Gdybyś zaprosiła mnie na tańce, nigdzie bym nie wyjeżdżał.

Zrobiłaby wszystko, żeby go nie zawieść i nie rozczarować. Ale przecież nie mógł być przy niej, gdy zacznie odgrywać rolę uwodzicielki Steviego Sullivana. To by tylko pogorszyło sprawę.

- Wszystko dobrze się skończy, Philipie.

- Mam nadzieję, bo jak na razie dobrze nie jest. Było już ciemno, kiedy wysiadł z autobusu w Lough

Glass. Nie wiedział, po co przyjechał do domu. Matka będzie narzekała, że tak rzadko ich odwiedza. Ojciec powie mu, że wybrał najgorszy zawód na świecie, że hotelarstwo nie ma przyszłości. Kit została w Dublinie, gdzie organizuje spotkanie przyjaciół, do grona których najwyraźniej się nie zaliczał.

Portier powitał go na wpół serdecznie, na wpół gburliwie. Philip wiedział, że Jimmy witać się inaczej nie umie. Bez względu na to, czy stał przed nim syn szefa, czy zwykły gość, Jimmy wzruszał ramionami, stękał i wydawał z siebie

464

znużone westchnienie. Oto jak witano bywalców hotelu „Centralnego” w Lough Glass.

- Zostawię tu rzeczy i pójdę się przejść nad jezioro - rzekł, odczuwając nagłą odrazę przed wejściem do rodzinnego domu.
- Jak chcesz - mruknął Jimmy.

Philip zszedł ścieżką nad wodę. Spojrzał za siebie w stronę hotelu. Jedna z najlepszych lokalizacji w Irlandii - pomyślał. Tak, powinni zarabiać dużo, dużo więcej, niż zarabiali. Westchnął i ruszył przed siebie, obserwując markotnie, jak wiatr smaga powierzchnię jeziora, wzniesając na niej małe fale. Często myślał o matce Kit, która zginęła tu samotnie tamtej nocy. Próbował z nią o tym pomówić, pokazać jej, że wszystko rozumie, że nie jest nieczułym głąbem, jak tylu innych. Ale Kit nigdy nie chciała z nim o tym rozmawiać.

Nie zdając sobie z tego sprawy, szedł w kierunku domku siostry Madeleine. Oczywiście znał pustelnicę, jak wszyscy. Ale nie, nie chciał do niej zachodzić i zwierzać się ze swoich problemów. Już miał zawrócić, gdy

wtem ujrzał ją w progu chatki. W szalu zarzuconym na chude ramiona, obejmowała się rękami tak kurczowo, jakby coś ją boleśnie dręczyło. Zastanawiał się, czy cicho nie odejść. Ostatecznie go nie widziała. Żyła tu samotnie, prowadząc dziwny żywot pustelnicy, tak jak tego chciała. Nie, na pewno nic jej nie jest, to tylko wyobraźnia. Mimo to coś kazało mu zawołać:

- Wszystko w porządku, siostró Madeleine?! Spojrzała w ciemność, wyteżyła wzrok.

- Kto to? Jest tak mroczno, że...

- Philip O'Brien! - krzyknął.

- Wspaniale, właśnie o tobie myślałam. - Serce w nim zamarło:

najwyraźniej miała dla niego jakieś zlecenie. - Napijesz się herbaty? Dla siebie samej nie warto nastawiać wody.

Dziwne. Mieszkała tu sama jak palec. Na miłość boską, przecież musiała robić sobie herbatę, i to ile razy! Mimo to stwierdził, że ma ochotę na coś gorącego, po podróży był zesztywniały i zmęczony. Wszedł za nią do chatki.

- Jak tam ten mały ślepy kociak? - Kit mówiła mu,

465

że pustelnica nie chciała go uśpić, uparcie twierdząc, iż potrafi zapewnić mu dobre życie.

- Umarł, utopił się. Tam, przed drzwiami, w wodzie głębokiej na dziesięć centymetrów - mówiła głosem dziwnie niskim i obojętnym.

- Tak mi przykro...

- Powinien był umrzeć już pierwszego dnia, weterynarz miał rację.

- Może miał dobre życie.
- Nie, miał głupie życie. Ciągłe grzmocił w coś swoim biednym łebkiem. Philip nie wiedział, jak podtrzymać rozmowę, więc milczał. Usiadł na trójnożnym drewnianym stołku i czekał na herbatę.
- Odkroiła kromkę chleba z rodzynkami i posmarowała ją masłem.
- Jesteś poważnym młodzieńcem, Philipie. W przyszłości bardzo ci się to przyda.
- Przydałoby mi się coś innego - odparł ponuro Philip.
- Czyżby doskwierało ci życie?
- Chcę się ożenić z Kit McMahon - wyznał nieoczekiwanie. - Nie teraz, może za kilka lat. Ale zawsze o tym wiedziałem. Wiedziałem o tym od tamtej nocy, kiedy zginęła jej matka, a to już lata temu.
- Tak... - siostra Madeleine patrzyła w ogień.
- Ale sama cierpliwość nie wystarczy. Jej podoba się ktoś inny i Kit nie chce mi o tym powiedzieć.
- Dlaczego tak sądzisz? - spytała łagodnie pustelnica. Opowiedział jej o tańcach. Gdyby nie było nikogo innego, nie odsuwałaby Philipa.
- Tylko nie wiem, kto to jest - zakończył smutny i zrezygnowany.
- Może nikt.
- Nie, ona o kimś myśli.
- Coś ci powiem. Wiem, że Kit ma problemy, które czasami bardzo ją pochłaniają, ale zapewniam cię, że nie chodzi tu o innego chłopaka. Nie masz rywala. Kit nie jest jeszcze gotowa do poważnego związku z

mężczyzną, to wszystko. - Oczy siostry Madeleine były bardzo jasne
466

i bardzo niebieskie. Niemal przesywała go wzrokiem. Wierzył jej i ufał. I
zrobiło mu się lżej na sercu. - Wracaj do hotelu, Philipie. Matka i ojciec
pewnie cię wyglądają.

- Wiedzą, że wróciłem, zostawiłem rzeczy u Jimmy'ego. Jimmy... Co za
facet! Witajcie w Lough Glass, mam dla was milion uśmiechów!

- Gdybyś przeżył jego życie, też byś się nie uśmiechał - odrzekła
powściągliwie. Wiedział, że pustelnica nie zdradzi mu sekretów życia
Jimmy'ego, mimo to zaczął mu trochę współczuć. Harówka u O'Brienów,
rąbanie drewna, napełnianie węglem wiader w mróz i upał na pewno nie
były piknikiem.

- Jest siostra bardzo dobra dla ludzi - powiedział, wychodząc.

- Kiedyś też tak myślałam, Philipie. Ale teraz już nie jestem tego taka
pewna - zadrżała, chociaż nie siedziała w przeciagu.

- Dobranoc, siostro, i dziękuję. Dziękuję raz jeszcze. Nie odpowiedziała.
Patrzyła w ogień.

Zamknął drzwi, opuścił zapadkę. Wracił do domu dziarskim krokiem. Kit
nikogo nie kocha. Gdyby było inaczej, na pewno powiedziała by o tym
pustelnicy, bo zawsze były wielkimi przyjaciółkami. To bardzo dobra
wiadomość. Naprawdę bardzo dobra.

Tej samej listopadowej soboty Martin McMahon powiedział Maurze, że
kupują nowy samochód. Rozmawiał o tym ze Steviem Sullivanem, lecz
żonie nie mówił nic. Chciał jej zrobić niespodziankę.

- To ten, którego Stevie tak ostatnio dopieszczał. - Maura była
zachwycona. - Bardziej zadbanego wozu nigdzie nie dostaniemy. Stevie

obejrzał silnik, podwozie, sprawdził dosłownie wszystko.

- Jesteś najlepszym mężem, jaki kiedykolwiek żył na tym świecie - powiedziała.

- Nie zawsze taki byłem. - Na jego twarzy pojawił się cień. Maura widziała, że toczy z sobą niemal fizyczną walkę. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Gdziekolwiek przebywa teraz dusza Helen, na pewno

467

towarzyszy jej spokój - wyszeptała. - Często to powtarzaliśmy i zawsze w to wierzyliśmy. Nikt z nas nie potrafi spojrzeć za siebie i powiedzieć, że nie żałuje absolutnie niczego. Ale pamiętaj, Martin, wielokrotnie o tym mówiliśmy: czas poświęcony na rozdzieranie szat to czas stracony. Kiwnął głową. Cień zaczął powoli znikać.

Lena wyjaśniła Jimowi i Jessice Millarom, że chciałyby kupić samochód za pośrednictwem agencji.

- Ależ oczywiście - odrzekł Millar. - Tyle razy ci powtarzałem, że wreszcie powinnaś mieć coś z firmy, która jest tym, czym jest, tylko dzięki tobie.

- To nie dla mnie, Jim. To dla mojego męża, więc chcę za niego zapłacić.

- Nie, w tym przypadku obowiązuje ta sama zasada.

- Wykluczone. Ty nie wykorzystujesz majątku firmy do potrzeb osobistych, więc i ja nie zamierzam tego robić.

* * *

Z inicjatywy Kit postanowiły zorganizować małe przyjęcie w mieszkaniu Frankie. Dziewczęta miały kupić wino, ser i biskwity. Później, już w

hotelu, chłopcy mieli zapłacić za napitki, żeby wyrównać rachunki.

- Ale na kawę po tańcach tu nie przyjdą - postawiła się Frankie. -

Właścicielka zna telefony naszych matek i jeśli po dziesiątej wieczorem odwiedzi nas mężczyzna, natychmiast je o tym zawiadomi.

Pozostałe się z nią zgodziły. Sprowadzanie chłopaków po tańcach to napraszanie się o kłopoty, to rzecz w złym guście.

Clio dowiedziała się o przyjęciu i przyszła stawić czoło Kit.

- Dlaczego zostałam skreślona z listy? - spytała.

- W ogóle nie zostałam na niej umieszczona, a to zupełnie co innego.

Przychodzą tylko ludzie związani z hotelarstwem.

- Kevin O'Connor też będzie.

- Owszem. Pewnie uszło to twojej uwagi, tak samo jak

468

uwagi wszystkich innych, że Kevin O'Connor jest słuchaczem naszego college'u.

- Pewnie uszło to twojej uwagi, ale tak się przypadkiem składa, że chodzę z jego bratem - odparowała Clio.

- Clio, ciebie i Michaela stać na każdą potańcówkę u Greshama.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, co zamierzasz zrobić ze swoim życiem, panno McMahan.

- Ja też - odrzekła żarliwie Kit.

W mieście szła Błękitna laguna. Byłoby wspaniale pojechać do kina z Anną, ale Emmet wiedział, że nie wolno mu okazać słabości. Zobaczył Patsy Hanley, która szła markotnie główną ulicą Lough Glass.

- Chciałabyś pójść ze mną dzisiaj do kina? - spytał szybko, zanim zdążył zmienić zdanie.

Rozanielona Patsy zarumieniła się.

- Ja? Tylko ja? Tak jak na randce?

- No jasne.

- Chętnie - odrzekła i pobiegła do domu, żeby się przygotować.

Anna Kelly zamierzała iść na Błękitną lagunę z koleżankami z klasy, ale na szczęście zdołała ocalić swoją dumę: w porę doszła do niej wiadomość, że Patsy Hanley wybiera się do kina z Emmetem. Jechaliby tym samym autobusem.

Mają gadać, że czepia się go jak bluszcz? Nigdy. Zostanie w domu. W dodatku zupełnie sama, ponieważ matka i ojciec idą na kolację do klubu golfowego. Anna wiedziała, że to paskudny sposób na spędzenie sobotniego wieczoru.

Philip siedział z ojcem i matką w jadalni. Ściany były pomalowane na żałobny brąz. Obrusy nosiły na sobie wspomnienia zbyt wielu butelek z sosem. Oświetlenie było kiepskie, a obsługa niemrawa.

Philip wiedział, że nie jest to hotel, który skusiłby kogoś do ponownych odwiedzin, że żaden podróżujący w interesach przedsiębiorca nie przyjechałby tu z rodziną na wypoczynek. Chciał to zmienić, ale czekała go bardzo długa i żmudna droga. Miał nadzieję, że u jego boku stanie Kit McMahon. I kto wie, może nie były to nadzieje płonne.

469

Siostra Madeleine wyrażała się o Kit z wielką pewnością siebie.

Przeszywała go wzrokiem, miała takie niezwykle oczy. Wierzyło się we wszystko, co mówiły, a pustelnica zapewniała go, że Kit nikogo innego nie

ma.

Zastanawiał się, jakież to problem może pochłaniać jej czas i uwagę.

Rodzice patrzyli na niego bez większej przyjemności.

- Nie ma cię całymi tygodniami i nawet słowem nie raczysz nas uprzedzić o swoim przyjeździe - gderała matka.

- Widzisz, synu, jeśli zamierzasz prowadzić hotel i chcesz coś z tego mieć, musisz być bardziej otwarty, musisz umieć witać i zagadywać ludzi - mówił ojciec, który każdą rozmowę zaczynał od pomstowań i narzekań.

- Masz rację - odrzekł zgodnie Philip. - Mam dużo więcej szczęścia od innych, bo w przeciwieństwie do nich moi rodzice prowadzą hotel, gdzie mogę się tego nauczyć.

Popatrzyli na niego podejrzliwie, bo nie byli pewni, czy się z nich nie nabija, ale Philip zachował kamienną twarz.

Z uśmiechem przyklejonym do twarzy zastanawiał się, czy

któregokolwiek z jego rówieśników czeka bardziej przerażający wieczór.

- Ciekawe, kto przyjdzie pierwszy - zastanawiała się Frankie, podziwiając stół.

A stół wyglądał wspaniale: kolorowe świece, kolorowe serwetki, półmiski z jedzeniem, pomarańcza naszpikowana wykałaczkami, na które nadziały po kawałku sera i ananasa, faszerowane jajka - wyłuskały ugotowane na twardo żółtka, wymieszały je z majonezem i tak przyrządzoną pastą wypełniły biało w skorupce - butelki piwa, kieliszki z białym i czerwonym winem.

- Założę się, że ten O'Connor - mruknęła Kit.

- Nie jest aż taki zły - odrzekła Frankie. - Tak się ciebie boi, że pełza u twoich stóp, mimo to jesteś dla niego niegrzeczna.

- To on był dla mnie bardzo niegrzeczny, a takich rzeczy łatwo się nie zapomina.

- Nie masz wyboru. - Frankie wzruszyła ramionami

470

tak energicznie, że niewiele brakowało, a zrzuciłaby z siebie taftową sukienkę bez ramiączek. Zakotowała sobie, żeby więcej tego nie robić.

- Czy trzeba? - spytała Kit.

- Co trzeba?

- Zapominać.

- Chryste, no pewnie, że trzeba, w przeciwnym razie wojny nigdy by się nie kończyły, a zawiedzione w miłości kobiety popełniałyby samobójstwo.

- Ale jaki w tym sens, skoro wszystko może zostać zapomniane, przebaczone i wymazane z pamięci? Przecież to błędne koło.

- Słuchaj, mamy dzisiaj przyjęcie, a nie zebranie kółka dyskusyjnego.

Kogo chciałabyś poderwać?

- Bo ja wiem... Może tego chłopaka z Lough Glass. Jest bardzo przystojny. - Powiedziała to częściowo dlatego, żeby dać Frankie do zrozumienia, iż rezerwuje sobie Steviego, a częściowo dlatego, żeby przekonać do tego samą siebie. W głębi serca wiedziała, że Sullivan to typ pospolity i jednoznaczny.

Zadzwonił dzwonek.

- Zaczyna się - rzuciła Frankie, pędząc do drzwi. Wróciła wywracając oczyma i prowadząc za sobą mężczyznę, jakiego - obie były o tym całkowicie przekonane - długo nie będą miały okazji oglądać.

Smoking, trochę przydługie, acz lśniące czyste włosy, cera ogorzała od pracy w upał i mróz, postura, którą bił na głowę najlepszych sportsmenów

z college'u, uśmiech, którym speszyłby sto kobiet - Stevie Sullivan był przystojny niczym gwiazdor filmowy z błyszczącego plakatu.

- Szalowo wyglądasz! - wykrzyknęła Kit, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Nie umyłam się do ciebie - ciepłym, pełnym podziwu wzrokiem powiódł po jej nagich ramionach i po brzoskwiniowej sukni z półokrągłym dekoltem.

Kit nie nałożyła stanika. Trochę się tego bała, ale dziewczyna w sklepie zapewniła ją, iż jedwabna suknia jest tak dobrze dopasowana, że nie wymaga ani halki, ani biustonosza. Zdawało się jej, iż Stevie Sullivan otaksowuje ją

471

spojrzeniem, jakby chciał to sprawdzić, ale doszła do wniosku, że ponosi ją wyobraźnia.

W tej samej chwili dzwonek zadzwonił ponownie i przybyło kilkoro nowych gości. Jednym z nich był Kevin O'Connor. Wszedł i ruszył prosto do Kit.

- Chcę tylko powiedzieć, że jest tu Matthew, ale ja i moi koledzy będziemy go stale obserwować. Zrobi coś nie tak i natychmiast odeślemy go do domu. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Matthew? Jaki Matthew? - spytała skonsternowana Kit.

- Ten, który miał niefart popełnić błąd, zachowując się nieprzyzwoicie, kiedy pracowałaś w barze. Tam, w progu, widzisz? To on. Powiedziałem, że najpierw muszę to z tobą obgadać. Zastępuje Harry'ego.

- W porządku, może zostać - odrzekła Kit z królewską wyniosłością. - O

ile tylko go przypilnujecie.

- Masz na to moje słowo - zapewnił ją Kevin.
- Chryste Panie, Kit, masz u swych stóp cały Dublin - skonstatował z podziwem Stevie.
- Co ty tam wiesz! - Wzięła go pod rękę i zaczęła przedstawiać pozostałym gościom. Z ich twarzy łatwo wyczytała, że nie jest w swoim podziwie osamotniona. Stevie Sullivan, superelegancki i superprzystojny, robił prawdziwą furorę. Był o wiele za dobry dla tej koszarnej siostrzyczki Clio. Nagle Kit przypomniała sobie o głównym celu całego wieczoru: trzeba odciągnąć jego uwagę od Anny, Anna ma wrócić pokornie do Emmeta. Tak, dziś wieczorem Stevie Sullivan musi wypatrzeć sobie oczy. Nie była pewna, czy to wypali, ale wiedziała, że da z siebie wszystko.

Był zwykły sobotni wieczór. Jak w każdą sobotę Lilian i Peter Kelly'owie oraz Maura i Martin McMahonowie jedli kolację w klubie golfowym.

Wydawało się niewiarygodne, że mogłoby nie być tak, jak było.

Rozmawiali o dzieciach. Wiedzieli, że Clio nie za bardzo przykłada się do nauki. Przyjeżdżała do domu tylko po to, żeby się wyspać.

- Myślę, że w Dublinie ta dziewczyna w ogóle nie sypia

472

- martwiła się o córkę Lilian. Maura martwiła się raczej o to, gdzie Clio sypia, ale nie było to ani miejsce, ani pora na poruszanie tego tematu.

- Kit wybiera się dzisiaj na tańce - powiedział Peter Kelly. - Dzwoniła Clio, zazdrosna, że aż strach.

- Zgadza się. Najpierw urządzają przyjęcie u jakiejś koleżanki. Tylko dla przyjaciół z college'u - Martin próbował wszystko załagodzić, jak zawsze.

- Naturalnie. Tak czy inaczej Clio powiedziała, że jeśli ktoś ją podrzuci, to przyjedzie dzisiaj do domu.

- Byłoby miło - odrzekła Maura trochę nieszczercze. Uważała, że siostrzenica jest męcząca i kłopotliwa. Zawsze istniało między nimi ukryte napięcie.

- Zostawiłam jej talerz kanapek - powiedziała zaaferowana Lilian. - Anna mówi, że nie tknie jedzenia. Uważa, że jest gruba jak prosię. Chryste, czasami trudno z nimi wytrzymać.

- Philip przyjechał - rzekł Martin. - Mogliby się spotkać, tak dla towarzystwa.

- Och, zawrócił jej w głowie jakiś chłopak z szykownym samochodem. Pewnie ją przywiezie - Lilian była zaniepokojona.

- Będzie chciał zostać na noc? - spytał Peter.

- O tym nie wspominała. Znasz Clio. Głowę by mi urwała, gdybym zadała jej jakieś pytanie. Będziemy musieli poczekać i zobaczyć. Na wszelki wypadek wyjęłam czyste prześcieradło i świeżą poduszkę.

Maura milczała. Dobrze wiedziała, że chłopak z szykownym samochodem to nie kto inny jak syn Fingletona O'Connora.

Francis Fingleton Lepkie Palce O'Connor był legendarnym hotelarzem, który zbił fortunę na prowadzeniu czterech hoteli strategicznie rozlokowanych w całej Irlandii. Ale jeszcze większą sławę zdobył dzięki swemu przekonaniu, iż lecą na niego wszystkie kobiety, że wystarczy taką poklepać, obmacać, rzucić kilka sugestywnych uwag i każda od razu pomyśli, iż jest bardzo uwodzicielska i pociągająca. Maura wielokrotnie miała z nim do czynienia i bardzo O'Connora nie lubiła. Poskramiała wrogość do chwili, gdy była pewna,

iż nikt ich nie obserwuje, a wtedy oznajmiła mu, że nie życzy sobie jego uwagi. Powiedziała to takim tonem, iż nawet on to zrozumiał. Lecz na ten temat - tak samo jak na wiele innych tematów - uporczywie milczała.

Kit wspomniała, że jeden z synów Fingletona O'Connora, Kevin, jest słuchaczem college'u hotelarskiego przy Cathal Brugha Street. Uznała go za nieprzyjemnego gburę. Maura nie pisnęła słówka, ale bardzo się ucieszyła. Tymczasem wydawało się, iż Clio wiąże wielkie nadzieje z bratem Kevina. Maura była przekonana, że zwabił ją jego szykowny samochód i styl życia, jakie chłopak prowadził.

Zacząła mówić o Emmecie. Wiedziała, że ten temat nie wywoła żadnych swarów.

- Pojechał do kina. Jak te dzieci szybko dorastają! Pomyśleć tylko, że wszyscy czworo mają już własne życie - powiedziała z pełnym zadumy podziwem.

Doszła do wniosku, że Lilian i Peter nie mają głębokiego przeświadczenia, iż ich córki żyją jak należy. Starsza, wiecznie niezadowolona, wracała z Dublina tylko po to, żeby całymi godzinami spać. Młodsza siedziała samotnie przy kuchennym stole, nie chcąc ani jeść, ani nigdzie wyjść. A obie są takie piękne...

I po raz pierwszy od długiego czasu pomyślała o Helen McMahan. Jej uroda sprowadziła na nią tylko nieszczęście.

- Są za starzy na ślub - mruknął Louis, zbywając temat.

- Dlaczego nie, skoro tego chcą? - Wiedziała, że przyjmie taką postawę.

Była na to przygotowana i postanowiła go nie atakować.

- Daj spokój, przecież to śmieszne. Wszyscy wiedzą, że romans ciągnie

się od lat. Mogłaby się po prostu do niego przeprowadzić, ona do niego albo on do niej, i po krzyku. Po co zaraz ślub? Po co te głodne kawałki o miłości, honorze i posłuszeństwie?

- To tylko symbol - wiedziała, że zabrzmiało to bardzo lakonicznie.

- Jaki tam symbol!

- Nie dla ludzi takich jak my - odrzekła, jakby było

474

to zupełnie oczywiste. - My takich rzeczy nie potrzebujemy, my zdajemy sobie z tego sprawę, ale inni często uznają to za nieodzowne. Zwykle jesteś taki tolerancyjny dla ludzi, którzy robią coś, czego nie rozumiemy. Dlaczego nie miałbyś cieszyć się tym, że Ivy i Ernest pragną zrobić coś, co sprawi im radość? - Trafiała w dziesiątkę.

- Cóż, jeśli spojrzeć na to z tej perspektywy... -jakby zdjęto mu z pleców wielki ciężar, jakby przestało mu coś zagrażać. - Wiesz co? Kupmy butelczynę i chodźmy na dół. Uczcijmy to jakoś, przypomnijmy im, że to ich ostatnia kawalersko-panieńska sobota - promieniał uśmiechem. Lena wiedziała, że oczaruje gości jak nikt.

I miała rację. Louis był życiem i duszą przyjęcia. Poprosił wszystkich lokatorów, żeby przyszli złożyć życzenia szczęśliwej parze. Każdy przyniósł drobny upominek. Ernest i Ivy byli zachwyceni tym nagłym wybuchem życzliwości.

- Skąd pan o tym wiedział? - spytała jednego z Nowozelandczyków.

- Od pana Graya. Chciał to w jakiś sposób uczcić.

- Masz dobrego męża, kochana - szepnęła Ivy.

- Tak - odrzekła Lena. Ivy przeszła ją spojrzeniem.

- W głębi serca jest dobrym człowiekiem - powtórzyła z uporem. Ivy, ta

sama Ivy, która doskonale wiedziała o jego zdradach, teraz ochoczo starała się go zabawić. Ta sama Ivy, która doskonale wiedziała, że nie są małżeństwem, dała się oszukać tym małym gestem dobrej woli.

Lena doszła do wniosku, że życie jest wieczną grą i udawaniem.

- Wiem - odrzekła głucho. Czowała się tak, jakby opuściwszy swe ciało, obserwowała wszystko z zewnątrz. Przecież to ona wpadła na pomysł zorganizowania przyjęcia na cześć Ivy. Musiała przełknąć i zazdrość o powodzenie Louisa, i zazdrość o nagły przyпіływ szczęścia, jakim cieszyła się przyjaciółka, zapewniwszy sobie bezpieczeństwo u boku swego mężczyzny. Ivy na to zasługiwała i Lena radowała się jej radością.

Louis uważał, że małżeństwo w tych czasach to bezsens i głupota, pusty, śmiechu warty symbol. Lecz kiedy tylko

475

Lena pomogła mu wyzbyć się poczucia winy, natychmiast zmienił zdanie i uczcił to organizując triumfalne przyjęcie.

Widziała, jak patrzę na przystojnego, ożywionego Louisa, jak się wokół niego kręcą. To pozer - pomyślała ze złością. Oszukaniec, krętacz i blagier. Dlaczego zmarnowała dla niego życie? Dlaczego nie ma jej teraz w Lough Glass, gdzie przynależała? Dlaczego nie przebywa z rodziną, z dziećmi, które jej potrzebowały?

Co robi w tym śmiesznym londyńskim domu? Po co wypruwa sobie flaki, harując w agencji pośrednictwa pracy kilka ulic dalej? Dlaczego wznosi toasty na cześć Ivy i Ernesta w pokoju pełnym ludzi, których prawie nie zna? Przecież jest sobotni wieczór, powinna być w domu w Lough Glass. I nagle ogarnęła ją straszliwa pustka. W domu w Lough Glass? I niby co by tam robiła?

Michael O'Connor i Clio jechali wieczorem do Lough Glass.

- Wiesz, że nie możemy spać razem, prawda? - spytała Clio.
- Ciagle to powtarzasz.
- Nie, ja na to nalegam. Nie musiałabym, gdybyś nie obracał tego w żart.
- Pokój, siostró, pokój. Położymy się spać w osobnych pokojach i potem się do mnie przekradniesz, tak?
- Nie, Michael, nie. Ja się w tym domu urodziłam i wychowałam. Moi rodzice będą wyteżali słuch, czyhając na najcichsze skrzypnięcie podłogi.
- Znajdziemy jakiś sposób.
- Nie! - krzyknęła rozsierdzona. Zjechał na pobocze, zatrzymał samochód.
- O co chodzi? O co my się kłócimy? - spytał.
- O to, że już przed wyjazdem z Dublina mówiłam ci, iż nic z tego. Nie chciałam, żebyś miał jakieś złudzenia. - Sprawiała wrażenie bardzo rozgniewanej i bardzo młodej. Jej blond kędziory wyglądały jak loczki małego dziecka, dolna warga trzęsła się jak u niemowlaka.

Michael złagodniał.

476

- No, dobra. Rozumiem, o co ci biega.
- Świetnie, pytanie tylko, czy nie przybiegniesz do mnie w nocy.
- Nie wiem. Zależy, jak bardzo będę napalony.
- Skoro nie pojmujesz, że to nie ma najmniejszego znaczenia, to ja wysiadam. Tu i teraz.
- Naprawdę? I co byś robiła na tym pustkowiu?
- Albo wysiądę i złapię okazję do miasta, albo wracamy do Dublina - oznajmiła, nadrabiając miną i głosem.
- Przecież jesteśmy już w połowie drogi, do diabła. Podrzucę cię do tego

Lough-jak-mu-tam i wróćę do cywilizacji.

- Szkoda fatygi.

- Damy trzeba słuchać.

- Nie, Michael, naprawdę...

- Chcę zobaczyć twoje rodzinne miasto. Muszę donieść rodzicom, czy moja dziewczyna dorównuje mi statusem społecznym. - Uznał to za dobry żart i parsknął śmiechem. - Mówię zupełnie serio. Ojciec ciągle mnie wypytuje, czy siostrzenica Maury Hayes to dziewczyna z klasą. Twoja ciotka musiała tiu-tiu-tiu.

- Tiu-tiu-tiu?

- No... musiała być zabawową dziewczyną.

- Ciotka Maura? Chyba żartujesz.

- Tak wynika z tego, co mówi stary, a raczej z tego, czego nie mówi. Twoja ciotka lubiła sobie poharcować.

- To dobrze czy źle?

- Wspaniale. Była ekstrababką, taką jak ty. - Objął ją, ale przypomniał sobie, że to nie miejsce ani pora. - Nie ma sensu się napalać, skoro brak perspektyw na konkrety.

Jechali przez ciemny irlandzki krajobraz, mijając po drodze małe wioski, domy ze światłami w oknach, stada bydła przyglądającego się im zza żywopłotów i świątki przy drodze. Mijali to wszystko, ale o tym nie rozmawiali. Clio zdała sobie sprawę, że w ogóle mało ze sobą rozmawiają; nie prowadzili życia, które wymagałoby długich rozmów na temat problemów tego świata.

Ale łączyło ich za to coś o wiele ważniejszego: bardzo namiętna miłość.

Większość ludzi nie miała szczęścia jej

zaznać. Nigdy. Clio wiedziała już, jak trudno zdefiniować miłość w wierszach, malarstwie czy w muzyce. Było to uczucie związane z... z... na przykład z intymnością i bliskością. Tego rodzaju rzeczy nie da się opisać. Spojrzała na twarz Michaela za kierownicą. Zastanawiała się, czy i on myśli tak samo. Położyła mu rękę na nodze.

- Mamy szczęście, prawda? - powiedziała.

- Akurat, cholera. Twoi starzy czekają tam na nas jak dwa niedźwiedzie grizzly, a ty mówisz o szczęściu?

- Jeszcze nie wrócili do domu, są w klubie golfowym. Twą twarz mu pojaśniała.

- Może zdążymy, zanim wrócą - odrzekł.

Clio zerknęła na zegarek. Była dziesiąta, od Lough Glass dzieliło ich pół godziny jazdy, ale matka i ojciec rzadko kiedy wychodzili z klubu przed północą.

- Jedź szybciej - poleciła. Nagrodził ją jurny okrzyk Michaela.

Siostrę Madeleine trawił niepokój. Wieczór znowu był samotny i bardzo się dłużył. Nie, nie mogła do tego dopuścić. Ze wszystkich sił pragnęła żyć z dala od nieustannego jazgotu rozmów, z dala od ludzkich spraw. Zawsze była dumna z tego, że znakomicie wystarcza jej towarzystwo własnych myśli. Jednak ostatnio coraz częściej traciła pewność siebie, a utrata pewności siebie pociągała za sobą liczne konsekwencje.

Wieczne cienie nad jeziorem były teraz cieniami groźnymi, tak samo jak szum strumyków i okolicznych drzew, jak szelest poszycia. Widziała krańce obozowiska wędrowców w lesie. Płonęło tam ognisko i na pewno chętnie by ją powitali, ale sprowadziłaby na nich spokój. Zmieniłaby ich

nastrój. Spojrzała poprzez drzewa na Lough Glass i dostrzegła światła na jedynej ulicy w mieście. W tamtych domach mieszkali ludzie osiadli, nie wędrowcy czy pustelnicy jak ona. Znała życie i sekrety większości z nich. Nie było chyba domu, gdzie nie wyciągnięto by do niej ręki, gdzie nie zaproszono by jej ciepło do środka.

Lecz coś siostrę Madeleine powstrzymywało. Gdyby zaczęła ich odwiedzać, zrezygnowałaby z niezależnego życia,

478

byłaby zgubiona. Wmawiała sobie, że to tylko chwilowy kaprys.

Spróbowała wyobrazić sobie, że jest jedną spośród tych, którzy odwiedzali jej małą chatkę, szukając rady. Co by sobie powiedziała?

- Kłopot w tym, że większość z nas za dużo myśli o sobie, dlatego twoje własne problemy wydają się o wiele ważniejsze, niż w istocie są. Gdybyś pomyślała o kimś innym...

Bardzo dobra rada, lecz jedyną osobą, o której potrafiła myśleć, był biedny Francis bez piątej klepki, włóczący się gdzieś po nocy. Bardzo chciała wierzyć, że znalazł nowy dom, że jest bezpieczny. Mijał już trzeci dzień, odkąd ją opuścił. Zadrzała, próbując sobie wyobrazić, gdzie złożył głowę tej sobotniej nocy. I żałowała, że nie na poduszce wygodnego łóżka przy kominku w jej małej chatce.

Mieszkanie Frankie rozbrzmiewało gwarem rozmów. Przyjęcie udało się znakomicie. Frankie i Kit popatrzyły na siebie z radością. Rzeczywistość przekroczyła wszelkie oczekiwania. Gdy znajdą się w sali balowej, będzie jak w bajce. Kevin O'Connor stał koło swego grubiańskiego przyjaciela niczym czujny goryl. Kit musiała stłumić rozbawienie. W porównaniu z dziewczętami chłopcy byli tacy młodzi. A ci dwaj, Matthew i Kevin,

zachowywali się jak rówieśnicy Emmeta.

Myśląc o Emmecie, zdała sobie sprawę, iż zaniedbuje wieczorną misję.

Nie wystarczało zwabić Steviego do Dublina na jedną sobotnią noc - Kit musi dać mu do zrozumienia, że się nim interesuje, żeby zapomniał o Annie i całą uwagę skoncentrował na niej.

Doszła do wniosku, iż córki doktora i Lilian bywają bardzo męczące. Clio zachowywała się jak ranna łania, ponieważ nie została zaproszona, ale przecież Kit nie mogła jej zaprosić. Całe Lough Glass dowiedziałyby się, że panna McMahan prowadziła się niestosownie ze Steviem Sullivanem, do czego niebawem miało dojść.

Posmarowała wyszminkowane usta odrobiną wazeliny, żeby mocniej błyszcząły, i ruszyła w jego stronę. Odprężony, na zupełnym luzie, jakby każdy sobotni wieczór spędzał

479

w towarzystwie ludzi w smokingach, rozmawiał o samochodach. Czuł się tu o wiele swobodniej niż niektórzy goście. Kit pomyślała, że kto wie, może Stevie wcale nie jest twardy jak diament. A może po prostu znakomicie gra?

- Właśnie zastanawialiśmy się, kto z kim pojedzie - zagaiła. - Masz miejsce w swoim samochodzie?

- Oczywiście - odrzekł z niewymuszonym uśmiechem. Natychmiast dopadł jej Kevin-samochwała.

- Ja cię zabiorę, Kit. Jestem dzisiaj morrisem, mam dużo miejsca, na tylnym siedzeniu zmieszczą się cztery osoby.

- Muszę pomóc Frankie, Kevin. Jesteśmy organizatorkami tej imprezy, paniami domu. - Uśmiechnęła się do niego słodziutko. Kevin wyszczerzył

zęby jak idiota. Uznał, że mu wybaczone, że może wrócić do grona najbliższych przyjaciół Kit. Położyła mu rękę na ramieniu. - Bądź tak miły, posadź Matthew koło siebie, żebyś miał na niego oko, i zabierz tamte cztery dziewczęta, dobrze?

Kevin nie posiadał się z radości. Kit przeprowadziła w myśli kilka szybkich obliczeń i wyszło jej, iż ze Steviem pojedzie ona i tylko ona. Zamknąwszy drzwi do mieszkania, Paddy i Frankie zabrali się innym samochodem, a Stevie i Kit zostali sami.

- Nikt nie chciał z nami jechać? - spytał wesoło.

- Tak wyszło.

Otworzył drzwi supereleganckiego samochodu.

- Cóż to jest? - spytała zadziwiona.

- Model „E” - odrzekł obojętnie Stevie.

- Gdyby wiedzieli, że to twój wóz, zginęlibyśmy w tłoku chętnych.

- To niedobrze, jeśli chcą z tobą być tylko ze względu na samochód.

Muszą tego chcieć ze względu na ciebie.

Miło się z nim jechało. Na wpół z nią flirtował, ale w sumie było w tym więcej szczerego podziwu niż niewinnego flirtu. Łatwo przyszło jej odgrywać swoją rolę.

- Gdzie jak gdzie, ale w tej dziedzinie nie masz żadnych trudności - skonstatowała.

- W jakiej dziedzinie?

- W tej, o której mówiłeś. Z tego, co słyszę, ustawiają się do ciebie kolejki.

480

- I kto to mówi! Zapomniałaś już, że mieszkasz po drugiej stronie ulicy?

Widziałas, żeby przed warsztatem ustawiały się kolejki? Parsknęła śmiechem.

- Widziałam wystarczająco dużo.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się powściągliwie, zupełnie tak jak aktorzy na filmach. Trochę go ta uwaga zapiekła, ale w sumie nawet mu się spodobała.

- Bardzo się zmieniłaś od tamtych czasów.

- Naprawdę? Zupełnie tego nie czuję.

- Naprawdę. Byłyście z Clio głupiutkimi, rozchichotanymi podlotkami. Śmiałyście się ze wszystkiego i ze wszystkich.

- A teraz jestem starą jędzą, tak? - posłała mu powłóczyście spojrzenie, zastanawiając się, czy nie przedobrzyła.

Stevie nie był głupcem, musiał wiedzieć, do czego Kit zmierza, i pewnie nią pogardzał. Ale nie, najwyraźniej nic nie zauważył.

- Masz tu mnóstwo miłych przyjaciół - powiedział. - Tak, właśnie to jest w Dublinie wspaniałe. Można tu poznać o wiele więcej ludzi niż w domu.

Czy ten wysoki blondyn to twój chłopak? - spytał prosto z mostu.

- Dlaczego pytasz? - wymownie uniosła brwi. Zaraz jej powie, żeby przestała się zgrywać.

- Bardzo ci nadskakiwał.

- To kolega z roku.

- To ten O'Connor od hoteli? - szybki był. Dowiedział się, jak Kevin ma na imię, i natychmiast wszystko skojarzył.

- Ten sam.

Miała ochotę powiedzieć mu, iż Kevin O'Connor jest chamskim plotkarzem i głupkiem, który rozpowiadał przyjaciołom, że z nią spał, i

drogo za to zapłacił, że śmiertelnie się jej teraz boi, a kiedyś na pewno zrujnuje co najmniej jeden, jeśli nie wszystkie hotele ojca. Chciała mu powiedzieć o Matthew i o tym, iż wpuściła go na przyjęcie tylko pod warunkiem, że nie otworzy ust i będzie trzymał łapy przy sobie.

Ale to nie należało do gry. Gra polegała na tym, żeby

481

rozniecić w nim iskierkę zazdrości i wzbudzić przekonanie, że zwalił ją z nóg swym wyglądem i czarem osobistym. Dlatego nie zdradziła mu tych interesujących faktów na temat Kevina. Ostatecznie wieczór z kimś takim jak Stevie Sullivan to nie to samo, co wieczór z przyjacielem.

- A więc to on, tak?

- Brat Frankie? Ten student prawa? Nie, to tylko kumpel, ale, jak sam zauważyłeś, jest bardzo uważający. Tak, to chyba najlepsze określenie.

- I Philip O'Brien, on też! Chryste, masz ich tu na pęczki, panno McMahan.

- Nie, nie, Philip to tylko przyjaciel.

- To dlaczego go dzisiaj nie ma?

- Chyba pojechał do domu - zełgała, czując, że czyta w niej jak w otwartej księdze.

- Cieszę się, że mnie zaprosiłaś. Świetnie się bawię. Skręcił i zaparkował w miejscu jakby zarezerwowanym

dla specjalnych gości. Chyba nikt nie przyjechał do Greshama elegantszym samochodem, więc chwila rozsądnej rozmowy z parkingowym wystarczyła, żeby zadbał o wóz jak należy.

Kit wzięła Stewiego pod rękę, a on poprowadził ją w stronę wejścia do hotelu, gdzie czekała reszta towarzystwa. Z rozdziawionymi ustami

patrzyli na samochód, z którego Stevie wysiadł z taką obojętnością.

- Ale gablota! - sapnął Kevin O'Connor, zieleniejąc z zazdrości.

- Bo ja wiem - odrzekł Stevie. - Chyba trochę za bajerancka. Moim zdaniem każą sobie płacić za cały ten chrom. Masz morrisa, tak? Moim zdaniem lepszego wozu dzisiaj nie ma. W dodatku jest całkiem szybki. Kevin został spacyfikowany.

- Jasne, moje słowa. - Zbliżając się do sali balowej, usłyszeli dźwięki orkiestry. - Kit, czy mogę zamówić u ciebie pierwszy taniec? - spytał. Grali głośnego rock and rolla. Nie był to numer wolny, uwodzicielski, na którym musiałyby skoncentrować się ze Steviem.

- Chętnie, Kevin - tchnęła kusząco.

482

Kevin poprawił muszkę i poprowadził Kit na parkiet. Mężczyźni są takimi idiotami - pomyślała. I nie wiadomo dlaczego mignął jej przed oczyma obraz matki.

- Czy ta feeria światel w oddali to Lough Glass? - spytał Michael O'Connor.

- Nic z tego, nie zamierzam wstydzić się rodzinnego miasta - odrzekła ze śmiechem Clio.

- Pochodzić z metropolii tej wielkości to na pewno chluba i zaszczyt.

- Zgoda, ty urodziłeś się w Dublinie, ale twój ojciec i matka już nie.

Każdy z nas pochodzi z miejsca takiego jak to. Cała kwestia sprowadza się wyłącznie do tego, kiedy się z tego miejsca wyprowadziliśmy, ot co.

- Uwielbiam, jak się złościsz, panno Kelly.

- Wcale się nie złościę.

- Znakomicie. Więc będziesz dla mnie miła, tak?

- Tak, ale musimy się pospieszyć.

Zaparkowali na podjeździe. Jak się tego spodziewała, samochodu rodziców jeszcze tam nie było. Ojciec i matka wyjdą z klubu golfowego nie wcześniej jak za godzinę.

Otworzyła drzwi i spostrzegła, że Michael chłonie wzrokiem wnętrze domu. Dom był wygodny i bynajmniej się go nie wstydziła. Matka poświęciła dużo czasu i mnóstwo pieniędzy na dobranie odpowiednich obić. W holu stało zabytkowe lustro i dwa stare, bardzo eleganckie stoły. W kuchni paliło się światło.

Clio zobaczyła swoją ponurą siostrzyczkę, czytającą przy stole.

- Cholera jasna - zaklęła. - To Anna.

- To znaczy? - spytał Michael, spoglądając ponad jej ramieniem.

- Domyśl się - syknęła przez zaciśnięte usta. Anna podniosła wzrok znad książki.

- O, cześć - powiedziała. - Myślałam, że to starzy wrócili z metropolii umarłych.

- Dlaczego nigdzie nie wyszłaś? - warknęła Clio. - Przecież dziś sobota.

- A dlaczego ty nigdzie nie wyszłaś? - odwarknęła Anna.

483

Michael stał bez słowa.

- Ja wyszłam - odrzekła Clio, czując się jak idiotka. - Jestem tu, a nie w Dublinie, prawda?

- No i świetnie - Anna wróciła do lektury.

- Anno, to jest Michael O'Connor, mój przyjaciel z Dublina. Michael, to jest moja młodsza siostra. Anna chodzi jeszcze do szkoły.

- Ale w tej chwili w szkole nie jestem. Wygląda na to, że w tej chwili

popelniam najcięższą ze zbrodni: siedzę w swoim własnym domu, czytając swoją własną książkę, co z jakiegoś powodu straszliwie oburza moją starszą siostrę.

- Och, zamknij się wreszcie. Jesteś stara krowa.

- Eee... to ja chyba już sobie... - Michael chciał jak najszybciej czmychnąć z kuchni.

- Nie, na miłość boską, przecież musisz się czegoś napić, choćby kawy.

Wiozłeś mnie taki kawał drogi, a teraz...

- No właśnie - mruknął. Sądząc po jego twarzy, był naprawdę bardzo zły.

- Anno, gdybyś zechciała poczytać w swoim pokoju, mogłabym z Michaeliem... swobodniej porozmawiać. - Clio nie żywiła zbyt wielkich nadziei.

- Jest tu sześć krzeseł. - Anna popatrzyła wokoło, jakby chciała się co do tego upewnić. - Poza tym mamy tu jadalnię i salon. Nie pamiętam, żeby ktoś kazał mi zamykać się w swoim pokoju, kiedy chcę sobie poczytać.

- Chryste - syknęła Clio, przeszywając ją spojrzeniem, które zmiękczyłoby mniej hardą siostrę.

- Było wspaniale - rzucił Michael lodowatym tonem.

- Zaczekaj, wracaj, przepraszam...

- Mam wrócić? Po co? Na ciąg dalszy waszej kłótni? Owszem, wracam, ale do Dublina. Uwielbiam takie soboty: przejażdżka donikąd i z powrotem. To moja pasja. - Trzasnął drzwiami samochodu i już go nie było.

Clio wróciła do kuchni z oczami pałającymi chęcią mordy.

Emmet uważał, że Błękitna laguna jest trochę za sentymentalna, a nawet za ckliwa, ale Patsy Hanley film się podobał. Po seansie chichotała i

trajkotała jak najęta, raz

484

po raz powtarzając: „No wiesz” i „Zapomniałam, o co mi chodziło”. Może była nieśmiała i dlatego tyle mówiła. Emmet dobrze wiedział, jak trudno jest wyrazić myśli słowami: chcesz powiedzieć jedno, a wychodzi zupełnie coś innego. Ale Patsy była naprawdę nie do wytrzymania. Gdyby była tu Anna...

Tak, gdyby tylko była tu Anna. Z Anną mógłby normalnie porozmawiać. Anna miała taki jasny umysł, tak wielką wyobraźnię. Sięgała myślą wszędzie.

Siedząc w autobusie obok Patsy, która ciągle paplała o filmie, myślał o Annie. Nie wyszła dzisiaj z tym brudasem z warsztatu, i dobrze. Ale czy postąpił słusznie, nie chcąc zabrać jej do kina? Czy postąpił mądrze, umawiając się z Patsy, żeby wzbudzić w Annie zazdrość? Dlaczego życie musi być nieustanną grą?

Wysiedli przed barem Paddlesa i ryszyli przed siebie jedyną ulicą Lough Glass.

- Byłoby wspaniale, gdybyśmy mieli tutaj cukiernię albo lodziarnię, prawda? - spytała Patsy.

- Taaa... - Emmet miał już jej dość i cieszył się, że nie musi nigdzie łązić. Mijali „Centralny”. Popatrzył na hotel bez krzty entuzjazmu. - Prawdziwe mauzoleum, nie?

- Prawdziwe co? - nie zrozumiała Patsy. Emmet schował ręce do kieszeni.

- Byliście w kinie?! - zawołał Philip O'Brien.

- Na Błękitnej lagunie, wspaniały film - odpowiedziała Patsy.

Philip był dla Emmeta bardzo miły, i to od zawsze. Pewnego dnia mały

McMahon miał zostać jego szwagrem, więc Philip chciał mieć w nim przyjaciela.

- Nie ma z tobą Anny? - spytał dla podtrzymania rozmowy. Myślał, iż Emmetowi będzie miło, jeśli on, chłopak dużo od niego starszy, da mu do zrozumienia, iż doskonale wie, z kim przyszły szwagier chodzi.

I zupełnie się nie spodziewał, że młody McMahon pośle mu tak upiorne spojrzenie.

- Nnnn... nie ma - Emmet znowu zaczął się jąkać. Wykrztusiwszy słowa, które inni wypowiadali z łatwością,

485

kiedy tylko chcieli, odszedł z zaczerwienioną twarzą. Patsy Hanley spojrzała na Philipa, wzruszyła ramionami i poszła za nim. Ona też nie wiedziała, o co chodzi.

- No, to jestem w domu - mruknął Emmet, przystanawszy przed apteką.

- Nie odprowadzisz mnie? - spytała Patsy. - Przecież mnie zaprosiłeś.

Emmet już otwierał drzwi, już miał uciec, lecz w tym samym momencie zdał sobie sprawę, iż kieruje nim wyłącznie irytacja i podły nastrój.

Oczywiście, że powinien odprowadzić ją do sklepu.

- Przepraszam - wymamrotał.

Szli przez ciche miasto. Z baru Foley'a nigdy nie dochodził gwar. Życie towarzyskie Lough Glass skupiało się w knajpie Paddlesa na drugim końcu ulicy.

W progu czekała pani Hanley.

- Pomyślałam sobie, że autobus przyjeżdża mniej więcej o tej porze. -

Pani Hanley nie miała zamiaru pozwolić młodszej córce, aby poszła w ślady starszej latorośli, i dopuścić do tego, by uważano ją za łatwy łup. -

Wejdz, Emmet. Dam ci filiżankę czekolady.

- Nie, dziękuję, pani Hanley.

- No, chodź. Mam czekoladowe herbatniki. Emmet dał się namówić. W domu i tak nikogo nie było.

Ojciec i Maura nie wrócili jeszcze z klubu, a nie chciał zostać sam, by nie pogrążyć się w rozmyślaniach o Annie. Tu miał przynajmniej towarzystwo.

* * *

Kit odkryła, że Stevie wspaniale prowadzi. Chciała go spytać, gdzie się tak nauczył tańczyć. Ona uczyła się na specjalnych lekcjach, które siostra Bernard organizowała w piątkowe popołudnia w klasztorze. Wtedy się z niej nabijały, ale teraz były jej wdzięczne.

Ale Stevie? Przecież nigdy nie zdejmował kombinezonu, całe życie dłubał w samochodowych silnikach, mieszkał ze swoją straszną, wiecznie zrzedzącą matką i nieokiełznanym braciszkiem. Że też miał czas i ochotę na naukę tańca, na

486

wyuczenie się manier i nabycie ogłady! I kiedy to zrobił? Kiedy zdażył się tego wszystkiego nauczyć? Gdy tańczyli Smoke Gets in Your Eyes, przytulił policzek do jej policzka. Kit się odsunęła, ale tylko troszeczkę, tak żeby mógł się do niej natychmiast przysunąć.

- Wiesz co? - spytał.

- Nie. Co? - Była rozchichotana i nieśmiała. Wydawało się, że wszystko idzie jak trzeba.

- Słowa tej piosenki są zupełnie bez sensu. Mówią o jakimś facecie wyszydzonym przez skorych do śmiechu przyjaciół. Posłuchaj. -

Wysłuchali się w słowa. Rzeczywiście, Stevie miał rację. - Cóż z nich za przyjaciele, do groma?

Kit się z nim zgadzała. Już miała wygłosić swój pogląd w tej sprawie, ale w porę przypomniała sobie, że ma Steviego w sobie rozkochać, co nie polegało na wygłaszaniu własnych poglądów, tylko na umiejętnym kierowaniu rozmową: rozmową o nim, o Steviem.

- A ty? - spytała. - Masz przyjaciół?

- Dobrze wiesz, że nie mam - odrzekł z goryczą. - Przecież znasz mnie całe życie. Niby skąd miałbym ich wytrzasnąć? I kiedy?

- Całe życie? - odparła z ożywieniem. - Nieprawda, prawie wcale cię nie znam. Jesteś dzisiaj innym człowiekiem, kimś, kogo zupełnie nie znam.

Wiem tylko tyle, że mógłbyś mieć przyjaciół w Hollywood albo na południu Francji, bo na takiego wyglądasz. - Zdała sobie sprawę, iż powiedziała to ze złością w głosie.

Lecz on wziął to za komplement.

- Dziękuję - odrzekł. Bardzo chciała z nim porozmawiać, ale nie było czasu. - A ty masz dużo przyjaciół? - spytał, gdy orkiestra przestała grać. Nie pofatygowali się nawet, żeby wrócić do stolika, gdzie czekało wino i towarzystwo, bo oboje wiedzieli, że zaraz znowu będą tańczyć.

- Nie tak dużo - odrzekła zamyślona.

- Sądziłem, że ty i Clio jesteście syjamskimi bliźniaczkami.

- Nie. Ot, choćby dzisiaj, jej tu nie ma.

- Anna twierdzi, że rozumiecie się jak para złodziejasków.

487

- Anna! - słowo-hasło. Tym i tylko tym musi się zająć: przechytrzeniem Anny. - Anna nic nie wie. - Włożyła w te słowa całą pogardę świata.

- Jest bystrzejsza, niż myślisz - bronił Anny Stevie. - Ma głowę na karku. Kit wiedziała, że to prawda. Anna była inteligentna i miała wyobraźnię. Pamiętała to z czasów, kiedy mała Kelly przychodziła doglądać chorego Emmeta. Nie, nie mogła za mocno protestować, w żadnym wypadku.

- Uważaj, to piękna dziewczyna - ostrzegła go kokieteryjnie i poczuła się strasznie. Kokieteria była jej zupełnie obca. - Rozumiem, dlaczego ludzie uważają, że jest bardzo atrakcyjna, ale bystra? Nie, bystra to ona chyba nie jest.

- Anna jest tylko ślicznym podlotkiem - odrzekł Stevie. Orkiestra zaczęła grać A Fool Such As I. Tulił ją do siebie przez cały taniec. Później odsunął się na długość ramienia, spojrzął na jej zarumienioną twarz, w jej roziskrzone oczy i dodał: - Natomiast ty, panno McMahan, jesteś naprawdę piękną kobietą.

W tej samej sekundzie zrozumiała, dlaczego wszyscy uważają go za mężczyznę tak seksownego i atrakcyjnego, dlaczego ulegały mu nawet mężatki, nie zważając na straszliwe ryzyko, jakie się z tym wiązało. Oczywiście, kompletnym absurdem byłoby się w nim zakochać. Dzięki Bogu, brała udział w tej nedorzecznej maskaradzie tylko dlatego, że dała słowo swemu małemu braciszкови. Przypomniała sobie o tym po raz kolejny, gdy Stevie otoczył ją ramieniem i zaczęli tańczyć.

- Zachowałaś się jak zepsuty dzieciuch - powiedziała Clio. - Wiedz, że nie wybaczę ci tego, dopóki żyję.

- Zepsułam ci plany? - spytała Anna.

- Byłaś wyjątkowo nieuprzejma dla mojego przyjaciela, który oddał mi przysługę i przywiózł mnie tu aż z Dublina.

- I pewnie zawiózłby cię do łóżka, gdyby mała siostrzyczka Anna nie stała

na straży twojej reputacji.

- Jak śmiesz coś takiego sugerować! - Clio aż pobladła z wściekłości.

488

- Myślę, że jesteśmy kwita - odrzekła spokojnie Anna. - Ty nie będziesz wytykała mi złych manier, ja przestanę wytykać ci złe intencje. - Wróciła do lektury.

Clio spostrzegła, że siostra czyta Wichrowe wzgórza.

- Pozerka, afektowana pozerka. Udajesz, że czytasz dla przyjemności taką książkę.

- Wcale nie udaję - odparła Anna. - Ta książka tchnie prawdziwą namiętnością i nie ma w niej żadnych obmacywanek w samochodzie.

Zresztą to chyba ty masz robić dyplom z literatury angielskiej, prawda?

Myślałam, że będziesz czytała dla przyjemności co najmniej książkę dziennie, to znaczy jedną z klasyki dziennie.

- Mogłabym zarznąć cię nożem do chleba i zwalić winę na jakiegoś włóczęgę.

- Owszem, ale chyba nie warto - odrzekła Anna, wbijając wzrok w książkę.

Wróciwszy do domu, Martin McMahon wpadł w złość. Drzwi od ulicy były szeroko otwarte.

- Jaki ten Emmet nieostrożny - mruknął. - Żeby zostawiać drzwi otwarte na oścież...

- Może dopiero co wrócił? - powiedziała Maura.

- Sprawdzę w aptece - Martin zawsze się bał, że ktoś się tam włamie w poszukiwaniu lekarstw i narkotyków.

Maura poszła na górę sama. Wyglądało na to, że Emmeta w mieszkaniu

nie ma, ale w kuchni paliło się światło, więc tam zajrzała.

Lecz zamiast Emmeta w kuchni siedział... Pomyślała, że to jakiś włóczęga w porwanej, do cna przemoczonej kurtce. Miał dziurawe buty, był nie ogolony i wyglądał jak szaleniec, chociaż spał, przechyliwszy głowę na bok.

Maura zasłoniła ręką usta.

- O mój Boże! - szepnęła, zanim zdążyła się powstrzymać. Jej głos obudził intruza, który zerwał się na równe nogi. Oczy miał dzikie, rozlatane, i śmiertelnie przerażona Maura zacisnęła rękę na szyi. - Proszę - wykrztusiła - proszę...

Mężczyzna stał na chwiejących się nogach. Rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń.

489

Maura przypomniała sobie z ulgą, że noże leżą z tyłu w jednej z szuflad. Napastnik łatwo ich nie znajdzie. Była zdumiona, iż tak bardzo racjonalnie pracuje jej umysł. Modliła się o jak najszybszy powrót Martina, a jednocześnie o to, żeby w ogóle nie wracał. Włóczęga przypominał dzikie zwierzę, które widząc, że drogę ucieczki blokuje mu dwoje ludzi, gotowe jest rzucić się do jeszcze groźniejszego ataku.

- Nie zrobię panu krzywdy - wyszeptała.

Wydał z siebie zduszony okrzyk, w którym nie zabrzmiało ani jedno zrozumiałe słowo. Jednocześnie chwycił kuchenne krzesło i runął na Maurę.

Odskoczyła do tyłu, umożliwiając mu ucieczkę. Boże, proszę Cię, błagam, zatrzymaj na dole Martina.

- Idź sobie. Uciekaj. Nic nie powiem - szepnęła ledwie słyszalnie.

Spojrzał na nią skonsternowany i znowu ruszył w jej stronę. Upadła na kolana, próbując zejść mu z drogi.

Kiedy w progu stanął zaszokowany Martin, odcinając napastnikowi drogę ucieczki, ujrzał przed sobą kulącą się z przerażenia żonę oraz furiata, który zamierzał skatować ją krzesłem.

- Precz! Precz! - ryknął Martin i rozjuszony rzucił się na włóczęgę.

Ten wziął zamach i uderzył go krzesłem. Maura dźwignęła się z podłogi i spróbowała odciągnąć napastnika, ale dopiero pojawienie się Emmeta, który wbiegł po schodach, krzycząc: „Co się stało? Co się stało? Co się dzieje?!”, przerwało serię bezlitosnych ciosów.

Było ich teraz troje, i przemoczony włóczęga z rozwichrzonymi włosami i z dziko rozbieranymi oczami zdał sobie sprawę, że przeciwnik przewyższa go liczebnością. Chwyciwszy mokrą torbę, odepchnął Emmeta i zbiegł schodami na dół.

- Ttt... tatusiu, ttt... tatusiu - wyjąkał żałośnie Emmet.

- Wezwij Petera. Natychmiast do niego zadzwoń - poleciła Maura i ruszyła za uciekającym napastnikiem.

- Mauro, wracaj! - krzyknął chłopiec.

- Nie ucieknie. Po tym, co zrobił Martinowi, nigdzie nie ucieknie. - Kilka sekund później stała już w drzwiach,

490

wyglądając na ciemną i cichą ulicę Lough Glass. - Na pomoc! Na pomoc! Zatrzymajcie tego mężczyznę! Zatrzymajcie go! Napadł Martina!

Niemal natychmiast w oknach zapaliły się światła, zaczęły trzaskać otwierane na oścież drzwi. Maura zobaczyła Michaela Sullivana, który

wybiegł z warsztatu po drugiej stronie ulicy, i Wallów ze sklepu z artykułami żelaznymi, którzy wyszli tuż po nim.

- W którą stronę pobiegł?! - krzyknął pan Wall.

- Tam, w lewo!

Wallowie też zaczęli krzyczeć i wywołali na dwór Hickeyów z mięsnego i zanim harmider dotarł do pubu Foleya, ulica roiła się od ludzi ścigających zataczającego się i potykającego włóczęgę.

Kiedy na miejsce zdarzenia przyjechał sierżant O'Connor, niezrozumiale bełkoczący mężczyzna z dziko rozbieranymi oczami był już schwytany.

Przytrzymywali go, co trzeba nadmienić, klienci knajpy Foleya, którzy pili po godzinach, oraz paru bywalców pubu Paddlesa z drugiego końca ulicy, których godziny sprzedaży alkoholu mało obchodziły. Lecz tego rodzaju drobnostki były teraz nieistotne.

- To jeden z tych koniokradów - powiedziała pani Dillon z kiosku z gazetami. - Jeden z tych cholernych Cyganów, oni się nigdy nie zmieniają. - Przestępcę schwytano przed jej domem i pani Dillon od lat nie przeżyła bardziej ekscytujących chwil.

- Nie, to nie Cygan - mruknął Paddles.

O'Connorowi było obojętne, kim jest nieznajomy. Wspomagany przez młodego policjanta, który założył włóczędze skuteczną dźwignię, wepchnął obdartusa do samochodu. Mina sierżanta mówiła, że to już koniec zabawy.

- A teraz wracajcie do domu - rozkazał łagodnie, spoglądając w stronę knajpy Foleya i pubu Paddlesa, które wabiły gości ciepło, acz nielegalnie. Ludzie przestępowali niepewnie z nogi na nogę.

- Co z Martinem? Nic mu nie będzie? - spytał Dan O'Brien, który

przybiegł aż z hotelu, żeby zbadać przyczynę całego zamieszania.

- Jest z nim lekarz - odrzekł sierżant, wsiadając do

491

samochodu. - I na pewno nie chciałby, żeby stała mu nad głową gromada ludzi. Dlatego dłużej was nie zatrzymuję. Wracajcie do łóżek.

Peter Kelly klęczał na podłodze obok swego przyjaciela Martina McMahona.

- Rana jest płytka, Mauro.

- Ale on jest nieprzytomny.

- Bo uderzył się w głowę podczas upadku.

- Ma wstrząs mózgu?

- Nie wiem. Zabierzemy go do szpitala.

- Mój Boże, Peter, co my zrobimy? Jeśli Martin jest ciężko ranny, zamorduję tego szaleńca gołymi rękami.

- Nie, puls jest w porządku. Nic mu nie będzie.

- Naprawdę? Czy mówisz tak tylko po to, żebym się uspokoiła?

- Wylize się z tego migiem, zobaczysz.

- Czy on mnie słyszy?

- Nie, chyba nie, nie w tej chwili. Ale szybko dojdzie do siebie. Nie, nic mu nie będzie.

Na wszelki wypadek Maura uklękła przy mężu i ucałowała jego zakrwawioną twarz.

- Wyjdiesz z tego, Martin - szepnęła. - Peter nie kłamie, spojrzałam mu w oczy. I kocham cię, Martin, kocham cię całym sercem. Dzięki tobie wprost śpiewam z radości.

Emmet McMahon i Peter Kelly wymienili krótkie spojrzenia. Słowa te nie

były przeznaczone dla ich uszu. Miłosne wyznanie, zwłaszcza takie, jest sprawą bardzo intymną i wiedzieli, że żaden z nich nie wspomni o tym w przyszłości.

Noc w areszcie bardzo się dłużyła. Brudny i dygoczący z zimna podopieczny Seana O'Connora otrzymał od niego suche ubranie. Sierżant dał mu nawet kubek herbaty, chociaż zrobił to bardzo niechętnie. Widział krew na podłodze w kuchni McMahonów i wciąż czekał na wieści ze szpitala.

Aresztant był człowiekiem obłąkanym i trudno było się z nim porozumieć. Dużo mówił o swojej siostrze. Tylko czy aby na pewno o swojej? Będzie chciała wiedzieć, gdzie jest

492

i co się z nim dzieje. Głównie bełkotał i nie kończąc zdania, zaczynał następne. Często mylił znaczenie słów. Sierżant doszedł do wniosku, że więzień powinien przebywać w szpitalu dla umysłowo chorych. Może nawet z któregoś uciekł. Wychodząc z celi zobaczył, że włóczęga zwija się w kłębek na pryczy. Bezustannie mamrotał jakieś imiona. Żadne z nich nie sierżantowi nie mówiło.

Kiedy Peter wrócił ze szpitala, Lilian jeszcze nie spała.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją od drzwi. - Wszystko w porządku.

Odzyskał przytomność, sprawdzają, czy nie doznał wstrząsu mózgu, zrobili mu mnóstwo prześwietleń. Nic mu nie będzie.

Lilian odetchnęła.

- A Maura?

- Uparła się, że zostanie w szpitalu. Zabrała ze sobą Emmeta. Dali im dwa wolne łóżka.

- Czy to konieczne?
- Po prostu chciała, i tyle - odrzekł Peter, nalewając sobie kieliszek brandy.
- Zrobiłam herbatę.
- Za późno na herbatę - usiadł przy kuchennym stole. - Dziewczęta są u siebie? Clio przyjechała?
- Skaczą sobie do oczu jak zmije. Atmosfera jest tak gęsta, że można kroić ją nożem. Musiało dojść do potężnej awantury, bo aż kipią z wściekłości.
- A poza tym co nowego? - spytał znużonym głosem.
- Kto to jest? Jakiś Cygan?
- Jaki tam Cygan! Dlaczego ludzie od razu zwalają winę na Cyganów?
- Bo oni są inni, dlatego. Jeśli nie Cygan, to kto?
- Bóg raczy wiedzieć. Jakiś włóczęga.
- W Lough Glass nie ma włóczęgów. Poza tym jak wszedł do domu?
- Emmet zapomniał zamknąć drzwi. Biedaczyna ledwo żyje, nie może tego odżałować. Myśli, że to wszystko przez niego. Dlatego Maura go ze sobą zabrała.

Zamilkli. Lilian doszła do wniosku, że Maura radzi sobie z pasierbem i pasierbicą znacznie lepiej niż ona z własnymi

493

dziećmi. Patrzyła na męża, zastanawiając się, czy i on podobnie myśli. Kevin O'Connor tańczył z Kit.

- Nareszcie wyrwałem cię z łap tego lwa salonowego - powiedział.
- Kim jak kim, ale lwem salonowym to on na pewno nie jest - odrzekła Kit.
- Czyżby? Wygląda tak, jakby przed chwilą zstąpił z kart luksusowego

magazynu dla kobiet, nie tracąc przy tym ani krzty połysku. To lata doświadczeń, musiał towarzyszyć setkom pań na zatłoczonych parkietach.

- Lata doświadczeń w zdrapywaniu rdzy z samochodów, w regulowaniu silników i w sprzedawaniu traktorów.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Bo to mój sąsiad z Lough Glass.

- Jezus Maria, wygląda na to, że z tej miejsciny pochodzi połowa mieszkańców Dublina. Ale na pewno rodzą się tam bardzo piękne kobiety - przytulił ją jeszcze mocniej.

Już miała się od niego odsunąć, gdy spostrzegła, że znad ramienia Frankie zerka na nią Stevie Sullivan. Natychmiast uśmiechnęła się słodko do Kevina i powiedziała:

- Jak nie przestaniesz mnie przytulać, to zegnę nogę w kolanie i gwałtownie ją podniosę.

- Zegniesz nogę... i co? - spytał zaniepokojony.

- Nie będziesz mógł chodzić przez tydzień - odrzekła z tym samym uśmiechem. Widziała, że Stevie uważnie ją obserwuje, ale dawała głowę, iż nie ma pojęcia, o czym rozmawiają.

Skonstatowała, że uwodzenie mężczyzn wcale nie jest takie trudne.

Bal skończył się o północy. O tej porze kończyły się wszystkie bale w Dublinie. Odegrano hymn narodowy i wszyscy poszli do szatni. Kevin O'Connor i jego przyjaciel Matthew zaproponowali od niechcienia krótki wypad do ich mieszkania na piwo albo na kawę. I chcieli im puścić kilka płyt. „Puścić kilka płyt” - Matthew wypowiedział te słowa tak jednoznacznie, że nikt nie miał wątpliwości, o co mu chodzi.

- Odwiozę cię do bursy, Kit - zaoferował się Stevie.
- Już tam nie mieszkam. Wynajmuję pokój.
- Gdybym wiedział, może miałbym gdzie złożyć swoją zmęczoną głowę - odrzekł z uśmiechem.
- Nic z tego. W moim łóżku będzie spoczywała tylko moja głowa. - Kit była odprężona. Wszystko szło jak trzeba.
- Może dałabyś się namówić?
- Nie liczyłabym na to. Nie, lepiej trzymaj się swoich planów.
- Są bardzo proste: wracam do domu.
- Teraz? O tej porze?
- Młodzi kapitaliści nie wiedzą, co to odpoczynek.
- Przecież jutro niedziela.
- A kiedy, jeśli nie w niedzielę, mogę spotkać wszystkich farmerów i zareklamować im nowy sprzęt rolniczy? Załatwiam to po mszy.
- Ty naprawdę chcesz zmienić ten warsztat w potężną fabrykę, co?
- Odziedziczyłem go w takim stanie, że owszem, byłaby to całkiem miła odmiana - odrzekł z nutką goryczy w głosie.
- Twoja matka musi być z ciebie bardzo dumna.
- Znasz moją matkę, ona nie jest dumna z nikogo i z niczego... O Boże, o czymś sobie przypomniałem. Możesz chwileczkę poczekać? Muszę zatelefonować. - Już wychodzili z hotelu, ale Stevie przystanął i obmacawszy kieszenie w poszukiwaniu drobnych, ruszył w stronę automatu. - Zupełnie zapomniałem, że matka jest u siostry i pozostawiła mi pod opieką tego chuligana Michaela - rzucił przez ramię.
- Jak to? Odpowiadasz za niego na odległość?
- Dobrze pytanie. Powiedziałem, że zadzwonię o północy i jeśli nie będzie

go w domu, skopię mu tyłek.

Kit parsknęła śmiechem. Nie musiał jej mówić, do kogo telefonuje, mimo to odczuła pewną ulgę. W notesie Steviego Sullivana było wiele numerów, pod które mógł zadzwonić. Nawet teraz, o tej porze.

Obserwowała wychodzących gości i pustoszejący hol.

495

Uznała, że większego sukcesu odnieść nie mogła. Tak, na pewno odciągnęła go od tej małej Anny z twarzyczką dziecka. Anna wróci do Emmeta, poszuka u niego pocieszenia. Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Nadszedł Stevie. Miał dziwnie zmienioną twarz.

- Kit, siądźmy na chwilę - wskazał jej kilka krzeseł.
- Nie wychodzimy? Już zaczynają sprzątać.
- Tylko na minutkę.
- Chodzi o Michaela? Nie ma go? - czuła, że coś się stało.
- Nie, nie, Michael jest w domu, ale...
- Ale co?
- Michael powiedział, że był wypadek. Twój ojciec jest ranny.
- O mój Boże, to przez ten nowy samochód. Nie zdążyli się do niego przyzwyczaić?
- Nie, to nie to, Kit, chodzi... chodzi o jakiegoś włóczęgę. Ale już wszystko w porządku, ojciec z tego wyjdzie. Jest w szpitalu, ale za dwa, trzy dni na pewno go wypiszą.

Kit pomyślała o roztrzepanym Michaelu i uznała, że nie można polegać na jego opinii. Mocno pobladła, zakręciło się jej w głowie, jakby zaraz miała zemdleć. Ojciec i jakiś włóczęga. O co tu chodzi?

- Kit, proszę cię, wszystko będzie dobrze. - Nie musiała nic mówić, Stevie doskonale ją rozumiał. - Nie, dobrze wiesz, co myślę o Michaelu.

Sprawdziłem to, zadzwoniłem na pocztę, do Mony Fitz. To był jakiś szaleniec, już go złapali. Uderzył twego ojca, ale powtarzam, wszystko będzie dobrze...

- To może być ten sam człowiek, który pobił twoją matkę.

- Tak, to możliwe.

- Niedobrze mi.

- Chodź, idziemy. Najpierw do domu. Nałożysz ciepłą kurtkę i zawiozę cię do niego.

- Naprawdę? - Spojrzała na niego z ufnością. Wieczorny flirt poszedł w zapomnienie. Objął ją i zaprowadził do samochodu. - Może nie powinnam cię zatrzymywać. Pojadę tak, jak stoję.

496

- Nie, nie możesz, nie do szpitala. Wykitowaliby na zawał serca. - Miał rację. - Poza tym to kawał drogi i gdybyś siedziała obok mnie w tej sukni, za Boga nie utrzymałbym łap przy sobie.

- W takim razie się przebiorę - odparła stłumionym głosem.

Było mu przykro, że to powiedział. Kit martwiła się o swego ojca i uwaga zabrzmiała wulgarnie.

- Przepraszam, Kit - rzekł prostodusznie. - Czasami zachowuję się jak prostak, czuję do siebie wstręt.

- Nie, nic nie szkodzi. - Rozmawiali jak przyjaciele, jak prawdziwi przyjaciele, którzy doskonale się znają. Kiedy poszła się przebrać, został w samochodzie.

Powiesiła suknię, która zdziałała prawdziwe cuda, i spojrzała na swoją bladą twarz w lustrze. Wszystko wydawało się teraz takie dziecinne i nieistotne. Żałowała, że wie tak mało o wypadku ojca. To prawdziwe zrządzenie losu, że Stevie zadzwonił do domu. Nie wiedziała, że taki jest, że tak bardzo zależy mu na młodszym bracie. Do dzisiejszego dnia nie wiedziała o nim prawie nic.

Miasta, pola, lasy, skrzyżowania dróg, wiejskie domy - wszystko umykało w noc. I wszystko zdawało się takie nierealne.

- Spróbuj zasnąć - powiedział. - Masz tam koc. Podłóż go sobie pod głowę jak poduszkę.

Wylękniona, siedziała bez ruchu w czarnym polo i w czerwono-czarnej spódnicy. Zabrała też kurtkę i wełniany szalik, ale okazały się niepotrzebne. W luksusowym samochodzie było bardzo ciepło.

- Mona Fitz powiedziała coś jeszcze?

- Nie, nie chciałem z nią długo rozmawiać. Pomyślałem sobie, że będzie lepiej, jak od razu tam pojedziemy.

- Tak, o wiele lepiej - przyznała cichutko.

- Przeżyjesz to.

- Wiem.

- Takie rzeczy się nie zdarzają.

Spojrzała na niego. W świetle księżyca miał bardzo męską twarz.

- Jakie rzeczy?

497

- Na tym świecie jest trochę sprawiedliwości - odrzekł. - Nie możesz stracić i matki, i ojca. Wszystko musi być dobrze.

Sierzant Sean O'Connor obudził się nagle i gwałtownie. Było wpół do

siódmej rano i raptem dopatrzył się sensu w niezrozumiałym bełkocie aresztanta, w tej gmatwaninie imion i w tym, że ciągle mówił o swojej siostrze. Wszedł do celi i kopnął łóżko. Wystraszony więzień natychmiast usiadł.

- Opowiedz mi o siostrze - rozkazał O'Connor.

- Co? Co?

- O siostrze Madeleine. Zrobiłeś jej krzywdę? Wyciągałeś do niej łapy? Jeśli ją tylko tknąłeś, zatłukę cię na śmierć, tu, w tej celi, a potem oddam się w ręce władz.

- Nie, nie... - włóczęga był przerażony.

- Zaraz do niej jadę, więc lepiej się módl, żeby była cała i zdrowa. To święta kobieta.

- Nie, nie - aresztant przycupnął jak śmiertelnie przestraszone zwierzę. - Ona była dla mnie dobra. Mieszkałem u niej. Ukryła mnie. Ukrywała mnie w swoim domu, najpierw w budce na drzewie, a potem w chacie. Nigdy bym jej nie skrzywdził, to jedyna osoba na świecie, która była dla mnie dobra.

Zaparkował przed barem Paddlesa i wąską ścieżką ruszył w kierunku domku pustelnicy. Przystanął pod oknem i zajrzał do środka. Drobną, pochyloną starowinką zdejmowała z ognia ciężki, czarny imbryk. Wybrał odpowiednią porę - będą mogli porozmawiać przy herbacie.

Ucieszyła się na jego widok.

- Co za radość! Właśnie sobie myślałam, jak to dobrze by było, gdyby odwiedziła mnie przyjacielska dusza, z którą mogłabym coś zjeść i napić się gorącej herbaty. Nie ma to jak towarzystwo.

Oczy mu się zwężyły.

- Przecież sama siostra wybrała takie życie. Nie lubi siostra samotności?
- Ach, jest samotność i samotność. - Zapadła cisza. W końcu pustelnica spytała: - Czy coś cię trapi, Sean?
- A ciebie, siostrze Madeleine?

498

Przeszyła go spojrzeniem, powędrowała wzrokiem na drugi koniec jeziora i wydawało się, że zajrzała do aresztanckiej celi, gdzie na pryczy leżał wystraszony szaleniec, bełkoczący jej imię.

- Znalazłeś Francisa, prawda?
- Nie mam pojęcia, jak ten parszywiec ma na imię, ale powiedział, że siostrę zna, że siostra go doglądała.
- Robiłam, co musiałam.
- Udzieliła siostra schronienia wariatowi?
- Nie mogłam wypędzić go z domu. Był ranny i bardzo wystraszony.
- Czego się tak bał?
- Że go złapiecie i ukarzą.
- Niby za co? Co on takiego zrobił?
- Był w warsztacie Sullivanów, Sean. Kathleen... Przecież wiesz.

I nagle klik! - coś zaskoczyło mu w głowie.

- Wiedziała siostra, że ten człowiek skatował Kathleen, mimo to udzieliła mu siostra schronienia. Ukrywała siostra przestępcę.
- To za mocne określenie.
- Na miłość boską, ten szaleniec posłał do szpitala dwoje ludzi. Nazywa to siostra krzewieniem pokoju i miłości bliźniego?
- Dwoje ludzi?
- Tak, dwoje. Wczoraj wieczorem skatował Martina McMahona. Martin

stracił przytomność.

Siostra Madeleine zakryła rękami twarz, zadrżały jej ramiona.

- Biedny człowiek - wyszeptała. - Biedny, biedny człowiek.

Sierżant O'Connor miał ponurą twarz. Chciał wierzyć, że ów „biedny człowiek”, któremu siostra tak bardzo współczuła, to Martin McMahon, Bogu ducha winny pechowiec, który wszedłszy do kuchni, stwierdził, że żonie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Lecz obawiał się, iż pustelnica miała na myśli niepoczytalnego włóczęgę, aresztanta z celi na posterunku, człowieka imieniem Francis.

499

- Niech mi siostra o nim opowie - rzucił znużony.

- Nie zrobicie mu krzywdy?

- Nie. Zaopiekujemy się nim.

- Obiecujesz?

Sean niecierpliwie machnął ręką. Dlaczego musiał obiecywać coś tak oczywistego?

- Powiedział siostrze, skąd pochodzi? - spytał, cedząc słowa.

- Powiedział, że wróci, kiedy osiadzie gdzieś na stałe. Że wróci po swoje rzeczy.

- Jak długo go nie było?

- Tylko trzy dni.

- Wygląda na to, że daleko nie zaszedł. Trafił na główną ulicę miasta, a potem do kuchni McMahonów, gdzie poturbował ich krzesłem.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Dokąd zamierzał iść?

- Nie wiem. Mówił, że chce być wolny - pustelnica była bardzo

zdeenerwowana.

Sean O'Connor złagodniał i spuścił z tonu, choć kosztowało go to sporo wysiłku.

- A jak długo u siostry mieszkał?

- Chyba z półtora miesiąca, któż to wie? Czas nie ma żadnego znaczenia.

- Przyszedł zaraz po obrabowaniu warsztatu i poturbowaniu Kathleen Sullivan, tak?

- Chyba tak - odrzekła beznamiętnie.

- I nigdy siostra nie pomyślała, żeby nas o tym zawiadomić?

- Nigdy.

- Śmiem powiedzieć, że ma siostra dziwne poczucie odpowiedzialności względem ludzi, którzy tu żyją.

- Miałam wrażenie, że będąc ze mną, nikogo nie skrzywdzi - odparła, patrząc na niego jasnymi, szczerymi oczyma.

- To prawda, ale zrobił to zaraz po odejściu stąd.

- Nie wiedziałam. - Zapadła długa cisza. - Dam ci jego rzeczy. - Siostra Madeleine przyniosła niebieską torbę na zakupy, w której były pieniądze, czek, samochodowe

500

dowody rejestracyjne i kilka tanich ozdób z biura Sullivan Motors.

Sean O'Connor przeglądał to wszystko z niedowierzaniem w oczach.

- Szukała tego połowa irlandzkiej policji. - Pustelnica milczała. - Jak zdołała siostra go ukryć? Ciągłe ktoś tu przychodzi i wychodzi. Sam byłem u siostry Bóg wie ile razy!

- Za dnia siedział w budce na drzewie - odrzekła z prostotą, jakby uważała, że to coś zupełnie naturalnego.

Sierżant wstał.

- Niedobrze siostra zrobiła. To nie lis, nie królik ani nie biedna mała gaska ze złamanym skrzydełkiem. To dorosły mężczyzna, człowiek psychicznie nie zrównoważony, który ciężko zranił dwoje ludzi. Mógł ich zabić. Nie oddała mu siostra żadnej przysługi, pozwalając mu żyć tu jak w świecie z Alicji w krainie czarów.

- Był tu szczęśliwy. - Sean O'Connor nie chciał otwierać ust, na tyle sobie nie ufał. Bał się, że go poniesie, że powie coś, czego będzie żałował. -

Sean?

- Tak, siostrze?

- Czy mogę go odwiedzić? Na posterunku? - Znowu zapadła długa chwila milczenia. - To na pewno nie zaszkodzi, a może pomóc.

Stevie Sullivan podwiózł Kit pod drzwi szpitala.

- Nie wejdiesz? - spytała.

- Nie, będę tylko przeszkadzał. Nic mu nie jest, Kit, sama zobaczysz.

Gdyby było inaczej, nie zostawiłbym cię samej.

- Bardzo ci dziękuję, Stevie. Byłeś dla mnie cudowny.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Nie chciała, żeby odjeżdżał. I czuła, iż on nie chce, żeby odchodziła. - Zobaczymy się później.

- Kiedy już namówisz wiernych do kupna traktorów - dodała z namiastką płacznego uśmiechu na ustach.

- Zuch dziewczyna. - Odjechał z kawaleryjskim polotem.

- Już może mówić. Jest z nim pani matka i brat - oznajmiła pielęgniarce.

501

Kit doznała chwilowego szoku. Przyszła jej do głowy szalona myśl, że z Londynu przyleciała Lena, żeby czuwać u boku męża.

- Nic mu nie będzie? - spytała, badając wzrokiem twarz pielęgniarki.

- Nie, na pewno z tego wyjdzie. Chodźmy, zaprowadzę panią.

Na jej widok Maura i Emmet aż podskoczyli z zaskoczenia i radości. Kit od razu podeszła do ojca. Leżał pod kroplówką. Był mocno posiniaczony i miał obandażowaną głowę.

- Wyglądam gorzej, niż się czuję, Kit - szepnął.

- Wyglądasz świetnie, tato - złożyła głowę na łóżku i wybuchnęła płaczem.

Już wiedzieli, że żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi, mimo to chcieli być w pobliżu. Dyrekcja szpitala zapewniła im łóżka. Kit leżała pod kocem, próbując zasnąć. W głowie kłębiły się jej obrazy z minionego dnia. Bal w Dublinie. Szok, jakiego doznała na widok posiniaczonej i poharatanej twarzy ojca. Płaczący Emmet, który twierdził, iż to wszystko przez niego, bo nie zamknął drzwi. Maura, która trzymając rękę ojca, patrzyła na niego z taką miłością, że mało brakowało, a Kit musiałaby się odwrócić.

I piękna twarz Steviego Sullivana w oknie samochodu przed szpitalem.

Był jeszcze w smokingu, ale już w rozpiętej pod szyją koszuli.

„Zobaczymy się później”. Później...

W końcu zapadła ni to w sen, ni w drzemkę.

Wróciwszy do Lough Glass, zawahali się przed wejściem na górę, gdzie poprzedniej nocy doszło do tak gwałtownych wydarzeń.

Sierżant O'Connor uprzedził ich, że trochę tam posprząтали. I rzeczywiście.

Z kuchni zabrano połamane krzesło. Ktoś przetaił sizalową wykładzinę na podłodze. Została tylko ciemna wilgotna plama, ale przynajmniej nie wyglądało to na krew. Mieszkanie sprawiało wrażenie pustego i szarego.

Maura otworzyła list, który znalazła pod drzwiami. - Jak to miło z jego strony! - wykrzyknęła. Philip

502

O'Brien zapraszał ich do hotelu na śniadanie. Fakt, nie mieli nastroju na gotowanie. - Pójdziemy? - spytała Kit i Emmeta. - Nabierzemy sił przed dzisiejszym dniem. - Wiedzieli, że Maura chce iść, więc się zgodzili.

Philip nie oczekiwał, że Kit będzie w domu. Był zachwycony jej widokiem.

- Nie poszłaś na bal? - spytał, z trudem ukrywając radość.

- Nie, dowiedziałam się później.

- To jak się tu dostałaś?

- Bardzo miło z twojej strony, że zaprosiłeś nas na śniadanie, Philipie - odrzekła szybko.

Maura złożyła zamówienie i wkrótce z kuchni doszedł ich zapach smażonego bekonu i kiełbasek. Siedzieli przy oknie. Wstał już ranek i jezioro wyglądało bardzo pięknie.

- Macie stąd wspaniały widok - powiedziała Kit, żeby podtrzymać rozmowę i nie wracać do tematu ran poturbowanego ojca i swojej podróży do Lough Glass.

- Tak... Myślę, że przywykliśmy do niego, tak jak wszyscy tutaj.

Doceniamy go tylko dlatego, że byliśmy w Dublinie. - Philip próbował znaleźć wspólną więź, która wyróżniłaby ich jako ludzi dzielących z sobą coś specjalnego. Nawet jeśli było to tylko coś tak zwyczajnego jak fakt, że oboje mieszkali w Lough Glass.

- Masz rację, Philipie - odrzekła uprzejmie. - Gdybyś tak jeszcze ściął te krzaki, widok byłby naprawdę cudowny, jak panorama.

Tłumaczył to rodzicom od ponad pół roku, ale jak zawsze byli przeciwni wszelkim zmianom. Uśmiechnął się do niej ciepłym, porozumiewawczym uśmiechem. Rzeczywiście, mieli pokrewne dusze. I może słusznie uwierzył siostrze Madeleine, że Kit nie ma nikogo innego. Ostatecznie ten bal, przyjęcie, czy cokolwiek tam zorganizowali, nie mogło być niczym specjalnym, skoro zdołała tak szybko wyjść i wrócić do Lough Glass.

- Zostawię was, żebyście mogli spokojnie zjeść śniadanie bez konieczności podtrzymywania rozmowy - powiedział, a Kit posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

Odchodząc usłyszał jeszcze, jak Kit mówi do Maury:

503

- W sytuacjach kryzysowych nie ma życzliwszego człowieka niż Philip. Zawsze o tym pamiętam.

Jeśli nawet Maura wiedziała, jakie kryzysy Kit miała na myśli, nie powiedziała nic.

- Obiecałam twemu ojcu, że będziemy żyć normalnie, ale to chyba odbiega od normalności, prawda? Prawdziwe śniadanie hotelowe, zatrząsienie jadła i napitków.

W jej głosie pobrzmiwała nutka ulgi, szczęścia i radości, że ojciec wyzdrowieje i wkrótce do nich dołączy.

Siostra Madeleine dreptała cicho brzegiem jeziora. Minęła pub Paddlesa, hotel O'Brienów, posterunek i dopiero wtedy wyszła na ulicę. Chciała uniknąć spotkania z ludźmi.

Przed biurkiem sierżanta O'Connora stanęła pokornie mała, spowita w szarość postać.

- On lubi chleb na sodzie - powiedziała nieśmiało, ściskając w rękę małą

paczuszkę.

- Będę o tym pamiętał - odparł beznamiętnie sierżant.
- Może mogłabym napić się z nim herbaty? Podałabym mu chleb, byłoby jak za starych, dobrych czasów.
- Wykluczone, nie zostawię z nim siostry sam na sam. - O'Connor nie ukrywał przerażenia. - Bez względu na to, jak zachowywał się, będąc z siostrą, teraz jest jak zwierzę w klatce i na wszystkich się rzuca.
- Mnie nic nie zrobi - zapewniła.

Podał jej dwa kubki herbaty, na tacy położył kilka kromek chleba z masłem. Nigdy nie zwracał się do aresztanta po imieniu.

- Hej, ty! - krzyknął. - Jest tu twoja przyjaciółka. Chce wejść do celi i chwilę z tobą posiedzieć. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Jeśli ją tkniesz, dam ci taki wycisk, że będą musieli zdrapywać cię ze ścian.

Włóczęga nie rozumiał, o co chodzi, lecz w tym samym momencie zobaczył siostrę Madeleine. Oczy wypełniły mu się łzami.

- Przyszłaś zabrać mnie do domu - powiedział.
- Przyszłam dać ci śniadanie - odrzekła.

Siedzieli w celi, zakonnica i wariat, popijając herbatę i jedząc grube kromki chleba z masłem. Sean O'Connor

504

obserwował ich z daleka. Rozmawiali o drzewach nad jeziorem i o zniszczeniu przez wicher budki, w której sypiał. Pustelnica mówiła o ptakach odlatujących na zimę i zapewniała go, że w przyszłym roku wrócą. Zawsze wracały.

Mówiła mu po imieniu, a słowo „Francis” wypowiadała tak łagodnie i z takim szacunkiem, że O'Connor zaczął się wstydzić, iż zwracał się do

niego z taką pogardą.

O dziwo, Francis odpowiadał całkiem zrozumiale. Pytał o starego psa, czy siostra ma kłopoty ze zbieraniem drewna na opał. Powiedział, że bardzo przemókł i chciałby posiedzieć przed kominkiem.

- Daleko zawędrowałeś? - spytała cicho i z wielkim zainteresowaniem.

Nie próbowała go zastraszyć, nie maglowała go jak na śledztwie, ale wiedziała, że sierżant pilnie nadśłuchuje.

- Spałem na polach, siostró. Przemokłem, było mi zimno. Nie mogłem znaleźć dla siebie miejsca, bolała mnie głowa.

- Dlaczego nie wróciłeś do mnie? Miałeś tam dom.

- Teraz wrócę - odrzekł radośnie. Jak dziecko.

- Spałeś na deszczu?

- Jednej nocy znalazłem stodołę, ale były w niej zwierzęta i się bałem.

Następnej nocy spałem pod drzewem. Daleko nie zaszedłem. Wędrowka mnie zmęczyła.

- Ale w mieście, w tym domu, znalazłeś kuchnię i piec, przy którym mogłeś sobie posiedzieć, prawda?

- Tak - zwiesił głowę.

- Dlaczego pobiłeś tych dobrych ludzi? Oni by cię nie skrzywdzili.

- Chcieli mnie znowu zamknąć.

- Zraniłeś pana McMahona. To bardzo dobry człowiek. To właśnie on dał ci bandaż i cukierki na gardło, a ty go pobiłeś.

- Bałem się.

- Biedny Francis - wzięła go za rękę. - Nie bój się. Strach jest tylko tu, w głowie.

- Naprawdę, siostró?

- Naprawdę. Dobrze o tym wiem, bo sama to czuję.

- To nie wrócę z siostrą do domu?

505

- Nie. Zabiorą cię w pewne miejsce, gdzie wyleczą ci głowę i usuną z niej cały strach. Mnie się to nie udało. - Pustelnica wstała.

- Nie idź - prosił.

- Muszę. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Moja torba, została w chatce.

- Ma ją sierżant O'Connor. Znalazł ją, kiedy przyszedł powiedzieć mi, że tu jesteś.

Sean uznał, że pustelnica lekko nagina fakty. On tej torby nie znalazł, siostra Madeleine sama mu ją przyniosła. Ale wszystko rozumiał: zakonnica musiała utwierdzić aresztanta w przekonaniu, że pozostała mu wierna.

- Będziesz mnie odwiedzać?

- Będę o tobie myśleć i modlić się za ciebie. Będę o tobie myśleć codziennie, Francis. Gdziekolwiek rzuci mnie los.

- Ale jak mi się polepszy, to zastanę cię w chatce, prawda?

- Gdziekolwiek będę, na pewno nie przestanę o tobie myśleć.

Po mszy wokół McMahonów zebrał się tłum ludzi.

O wydarzeniach poprzedniej nocy wiedziało już całe miasto. Maura, Kit i Emmet zostali zasypani życzeniami dla Martina.

Kit dostrzegła w tłumie Steviego Sullivana. Ubrany w brązową kurtkę z paskiem, w tweedowej czapce na głowie wyglądał jak każdy inny człowiek. Rozmawiał z grupką farmerów. Za kilka minut otworzą puby, a wtedy pójdzie z nimi Church Road, skręcając na główną ulicę Lough Glass i

wstąpią do Foleya, do O'Shea albo nawet do Paddlesa, żeby pogadać o interesach, o których jej wspominał.

Na pewno nie chciałby, żeby teraz do niego podeszła. Spotkali się wzrokiem. Uśmiechnęła się i pomachała mu, ale nie zrobiła kroku w jego stronę. Stevie przeprosił swoich rozmówców i podszedł do niej.

- Co z ojcem? Wszystko dobrze?

- Dokładnie tak, jak mówiłeś. Lepiej wracaj do swoich interesów. Młodzi kapitaliści nie wiedzą, co to odpoczynek!

I jeszcze raz ci dziękuję, Stevie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

506

Odwracając się do Maury, czuła na sobie jego wzrok. Usłyszeli trąbienie samochodowego klaksonu. Peter i Lilian Kelly'owie przyjechali zabrać ich na lunch.

- Chciałam jechać do szpitala - zaprotestowała Maura.

- Właśnie stamtąd wracam. Martin drzemie, lepiej daj mu trochę odpocząć. Odwiedzisz go po południu. No, wskakujcie do samochodu.

- Wszyscy? - Maura wybuchnęła śmiechem. - Będzie nas aż siedmioro!

- A jak myślisz, dlaczego lekarze jeżdżą wielkimi kombi?

Anna i Emmet wymienili niepewne spojrzenia.

- Podobał ci się film? - spytała w końcu Anna.

- Tak, ale po tym, co się stało, mogę myśleć tylko o jednym - odrzekł Emmet.

Anna natychmiast okazała mu współczucie.

- Jaka ja jestem głupia! To musiał być dla ciebie straszny szok. Bałeś się?

- spytała ciepło.

Tak - pomyślała Kit, przysłuchując się ich rozmowie. Stevie Sullivan miał

rację co do jednego: Anna Kelly była nie tylko pięknym podlotkiem z kędzierzawą blond czupryną. O nie, była podlotkiem bardzo inteligentnym.

Po lunchu u Kellych Kit poszła do pokoju Clio.

- Coś nie tak? - spytała.

- O co ci chodzi? Znowu chcesz mnie niańczyć? Co znaczy „coś nie tak”?

- Jesteś wypluta.

- A żebyś wiedziała! Moja najlepsza przyjaciółka nie zaprasza mnie na imprezę. Michael odwozi mnie do domu, a ta cholerna Anna siedzi tu jak jakiś derwisz i pluje na nas ogniem. Musiał wracać do Dublina, nie... No wiesz, nie wchodząc na górę.

- Jezus Maria, Clio. Nie zamierzałaś chyba iść z nim do łóżka w swoim własnym domu.

- Zdążylibyśmy przed powrotem starych z klubu.

- Ty chyba oszalałaś. Dzięki Bogu, że była tu Anna. Odbija ci, Clio, tracisz poczucie rzeczywistości.

- I pewnie straciłam chłopaka.

507

- Mała strata, jeśli chodziło mu tylko o ciupcianie.

- Nieprawda, nie chodziło mu tylko o ciupcianie - odrzekła zirytowana Clio. - Gdyby tylko zechciał, mógłby ciupcować każdą dziewczynę w Irlandii. On mnie lubi, rozumiesz? I lubi się ze mną ciupcować.

- W takim razie zaczeka, aż znajdziesz na to chwilę wolnego czasu, co na pewno nie sprawi ci większych trudności.

- Boże, gadasz jak siostra Bernard.

- Nie, Clio - zapewniła ją żarliwie Kit. - Po prostu mam nadzieję, że cię

nie przyłapią. Mówię szczerze, chodzi mi tylko o twoje dobro.

- Może - odrzekła Clio nieco spokojniejszym tonem. - Nie wiem, Kit.

Naprawdę nie wiem. Wszystko jest takie cholernie poplątane. I co ja mam teraz zrobić? Zadzwoić do niego i przeprosić go za ten głupi niewypał, czy będzie to wyglądało tak, jakbym go błagała? A może lepiej siedzieć cicho i mieć nadzieję, że do mnie wróci?

- Boże, oto pytanie! - Kit próbowała rozwiązać identyczny problem. Niby powinna czekać na następny ruch Steviego Sullivana, ale co będzie, jeśli Stevie tego ruchu nie wykona? Co wtedy?

- Pamiętasz, kiedyś chodziłyśmy do siostry Madeleine po radę w takich sprawach.

- Niezupełnie w takich - odparła Kit.

- Ale siostra Madeleine zawsze umiała na wszystko znaleźć odpowiedź.

To była myśl. Kit postanowiła z nią porozmawiać. Przed wieczorem, kiedy Maura pojedzie odwiedzić ojca.

Chatka wyglądała jakby inaczej. Przed drzwiami stało mnóstwo starych pudeł, w których siostra Madeleine trzymała zwierzęta w różnych stadiach rekonwalescencji. We wnętrzu chatki też się zmieniło. Na kuchennym stole leżał niemal cały dobytek pustelnicy: stary czajnik, trzy kubeczki, pudełko na herbatniki i ciasto.

Była tam też mała kanka na mleko - siostra Madeleine zawsze ją wyparzała - kilka talerzy i pudełeczek. Zakonnica stała w sypialni, rozglądając się wokoło.

508

- Wszystko w porządku, siostrzo?! - zawołała Kit.

- Kto tam? - spytała pustelnica głosem bezbarwnym, bez

charakterystycznego dla niej entuzjazmu.

- Kit McMahon.

- Przepraszam cię, Kit - siostra Madeleine wyciągnęła do niej obie ręce. - Do końca życia będę modlić się za ciebie i za twoją rodzinę, żebyś przez to przeszła i zrozumiała.

- Tato wyzdrowieje, siostró. Widziałam go wczoraj i dzisiaj rano. Za dwa dni wypiszą go ze szpitala.

- To dobrze. To bardzo dobrze. - W sypialni też się zmieniło. Kit nie wierzyła własnym oczom, ale wyglądało na to, że zakonnica się pakuje, że chce zamknąć chatkę na cztery spusty i odejść. - To biedny człowiek, szaleniec, który powinien przebywać w szpitalu dla umysłowo chorych. I właśnie tam go teraz zabiorą.

- Tak, wiem. Ojciec Clio nam opowiadał.

- Nie wiedział, co robi. To nie polepszy zdrowia twego biednego taty ani zdrowia biednej Kathleen, ale tylko w ten sposób można na to patrzeć. Jego umysł odmówił posłuszeństwa.

- To on pobił panią Sullivan i okradł warsztat?

- Tak. Sierżant O'Connor wam nie powiedział?

- Nie, nie chciał powiedzieć ani słowa.

- Powie, wszyscy się dowiedzą.

- Ale gdzie on się ukrywał? Przecież na panią Sullivan napadł całe wieki temu.

- Tutaj, Kit. W waszej starej budce.

- Co?! - Kit nie mogła w to uwierzyć.

- Doglądałam go, bo był chory. Jak mój biedny Gerald ze złamanym skrzydłem - ruchem głowy wskazała ptaka, który mieszkał dotąd w pudle,

a teraz kuśtykał przed progiem chatki.

- Cały czas był tutaj? U siostry?

- Właśnie dlatego jest mi tak przykro - pustelnica miała łzy w oczach. - Tu był bezpieczny, tu nie mógł nikogo skrzywdzić ani zrobić krzywdy samemu sobie. Ale chciał odejść, a ja nigdy nikogo nie zatrzymywałam. - Spojrzała w niebo, wspominając ptaki, które odleciały, gdy nadeszła ich pora.

509

- Och, siostró...

- Gdybym się nim nie zajęła, gdybym go nie doglądała, gdybym nie okazała mu dobroci, byłoby zupełnie inaczej. Twój ojciec nie leżałby w szpitalu, Sullivanowie odzyskaliby pieniądze... Dlaczego musiałam się w to wszystko wtrącać? - Postarzała się o wiele lat, była jeszcze węższa niż dotąd.

Długo milczały.

- Zrobiła siostra to, co uważała siostra za słuszne - szepnęła Kit.

- Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że twój ojciec skończy w szpitalu? A gdyby Francis go zabił? Gdyby twój biedny ojciec umarł? To byłaby wyłącznie moja wina.

- Ale tak się nie stało.

- Nie czujesz do mnie nienawiści za to, że bawiłam się w Boga? Że wydawało mi się, iż jestem mądrzejsza od innych?

- Nie. Nie mogłabym siostry nienawidzić. Nie po tym, co siostra dla mnie zrobiła, co siostra zrobiła dla nas wszystkich.

- Kiedyś umiałam patrzeć na życie trzeźwym okiem. Ale to już przeszłość.

- Tak rzadko mówiła siostra o sobie...

- Kiedy wszystko szło dobrze, nie było takiej potrzeby. Ale teraz muszę przestać tak żyć. Wiedziałam o tym już wtedy, gdy utopił się mój mały kociak, gdy umierał tak powolną i bolesną śmiercią. Przez mnie, przez to, że chciałam być mądrzejsza od innych. - Oczy jej zmatowiały.

- Co siostra chce zrobić? - wyszeptała Kit.

- Odchodzę. Tam, gdzie się mną zaopiekują, gdzie będę bezpieczna, gdzie będę musiała przestrzegać reguł i gdzie pozbawią mnie wolności podejmowania błędnych decyzji.

- To znaczy dokąd?

- Do pewnego klasztoru. Przyjmują tam ludzi takich jak ja. Będę szorowała podłogi, pomagała w ogrodzie albo w kuchni, dostanę jedzenie i małą celę.

- Przecież siostra nie cierpi przebywania z ludźmi i przestrzegania reguł.

- Kiedyś to kiedyś, teraz to teraz.

- Jak chce to siostra zorganizować? Chce siostra do nich zadzwonić?

Napisać?

- Nie, Kit. Po prostu pojedę tam autobusem.

510

- Siostra nie może odejść. Wszyscy tu siostrę kochają.

- Przestaną, Kit, po ostatnich wydarzeniach przestaną. Ukrywałam złoczyńcę, który pobił Kathleen, i nikomu o tym nie powiedziałam.

Dopuściłam do tego, żeby ów złoczyńca pobił Martina McMahona. Miłość bardzo szybko ustępuje miejsca pogardzie.

- Proszę, niech siostra nie odchodzi.

- Muszę, dziecko. Tak się cieszę, że przyszedłaś się ze mną pożegnać.

- Gdyby ludzie wiedzieli, że siostra naprawdę wyjeżdża, przyszłaby tu

cała procesja - odrzekła Kit z gorejącymi oczyma. - Nie puściliby siostry.

- Jeśli jesteś naprawdę moją przyjaciółką, nikomu o tym nie powiesz.

- Ma siostra jakieś pieniądze? Choć kilka pensów na nowy początek?

- Tak, twoja mama przysyła mi od czasu do czasu pięciofuntowe banknoty. Nie mówiła, że to od niej, ale ja swoje wiem. Pisała, żeby spożytkować te pieniądze „w nagłej potrzebie”. To jest nagła potrzeba.

- Ludzie poczują się dotknięci. Przychodzili tutaj od tak dawna, zwierzali się ze wszystkich trosk, a siostra wyjeżdża bez pożegnania.

- Tak będzie lepiej.

- Nieprawda. A Emmet? Nauczyła go siostra mówić, czytać, kochać poezję. A Rita? Wróci do Lough Glass, przyjdzie siostrę odwiedzić i zastanie pustą chatkę. Maura świata za siostrą nie widzi i na pewno nie będzie siostry obwiniała za to, co przydarzyło się ojcu. A ta straszna pani Dillon, która w życiu nie powiedziała o nikim dobrego słowa? Mówiła, że powinni siostrę kanonizować, słyszałam to na własne uszy. Nie może siostra tak po prostu odejść.

Ale błagała na próżno.

- Kiedy wyjeżdżasz, siostrze?

- Dziś wieczorem, o szóstej. Mam jeszcze dużo rzeczy do zrobienia, Kit. Niech cię Bóg błogosławi i niech cię zawsze prowadzi. - Zamilkła i po chwili dodała: - Niech twoja mama odnajdzie pokój i spełnienie w życiu, które sobie obrała. Czy to dobre życie?

511

- Niezupełnie - szepnęła Kit.

- Na pewno takiego życia chciała - pustelnica miała zamglone oczy.

- Gdyby siostra została, mogłabym siostrze wszystko

opowiedzieć...

- Nie, nie chcę wysłuchiwać historii czyjegoś życia. Ludzie powinni opowiadać o tym sami. Niech Bóg zawsze będzie z tobą, Kit - siostra Madeleine odwróciła się.

Kit wypadła z chatki we łzach. Brzegiem jeziora dobiegła do dróżki prowadzącej do hotelu. Patrząc na zapuszczone podwórze i ogród za „Centralnym”, zobaczyła Philipa siedzącego z książką w starej altanie. Altana już gnęła, wymagała generalnego remontu i świeżej farby. Philip miał na sobie grubą kurtkę, mimo to musiało mu być zimno.

- Mogę się przysiąc? - spytała.

Zamknął książkę. Kit zauważyła, że to jeden z ich podręczników.

- Nie zmarzniesz? - był miły, chciał dla niej jak najlepiej.

- Pomyśleć tylko, że to czytasz! Ten tuman Kevin nawet tego nie otworzył.

- Ma taki hotel, że nie musi.

- Fakt. Życie jest niesprawiedliwe, prawda?

- Byłaś u siostry Madeleine?

- Tak. Skąd wiesz?

- Przyszłaś dróżką. Gdzie indziej mogłabyś pójść na spacer w niedzielne popołudnie?

- Ona wyjeżdża - odrzekła Kit. I opowiedziała Philipowi całą historię.

Na ulicy przed pubem Paddlesa było małe zakole. Autobus przyjechał za dziesięć szósta. Na końcu dróżki pojawiła się drobna sylwetka siostry Madeleine. Pustelnica niosła porwaną torbę, którą ścisnęła sznurkiem. Ktoś musiał jej kiedyś coś w niej przynieść. Była to jedna z nielicznych rzeczy, których siostra nie zdołała nikomu oddać.

Na przystanku stało dużo ludzi, o wiele więcej niż chętnych do podróży autobusem. Nie wyglądało też na to, żeby zmierzali do pubu Paddlesa albo szli zapukać do tylnych drzwi domu pani Dillon i prosić ją o puszkę fasoli lub

512

paczkę gold flakesów. Nie, ludzie ci chcieli sprawdzić, czy to prawda, że pustelnica wyjeżdża.

Była tam Clio i Anna, a także Michael Sullivan, Patsy Henley i Kevin Wall stojący obok Emmeta. Patsy Hanley zerkała na nich podejrzliwie, ssąc palec i próbując zapamiętać wszystko, co się działo. Przyszli też ludzie starsi, jak na przykład listonosz Tommy Bennet czy Jimmy, portier z „Centralnego”. Stali w milczeniu, przestępując z nogi na nogę i czekając, aż ktoś coś powie. Coś, co powstrzymałoby zakonnicę od wyjazdu z miasta.

Zdawało się, że siostra Madeleine ich nie dostrzega.

Podszedł do niej Tommy Bennet.

- Dokąd się siostra wybiera? Chętnie zapłacę za bilet.

- Kosztuje dziewięć pensów, Tommy - odrzekła cicho pustelnica. Nie chciała, żeby ktoś wypowiedział na głos nazwę miejscowości, do której się wybierała.

- Ale siostra wróci - powiedział Tommy, podając pieniądze konduktorowi i odbierając bilet dla pustelnicy.

Ciemne sylwetki, widniejące nieco dalej, mówiły, że i tam stoją gapie, obserwując odjazd siostry Madeleine.

- Może zapłacić forszą z warsztatu Sullivana! - krzyknął jeden z nich. Ktoś inny zaśmiał się krótko i niepewnie.

Kit obejrzała się. Nie wierzyła własnym uszom. Ludzie, którzy kochali siostrę Madeleine. Jak mogli tak ją napastować?

Kierowca, człowiek nie z tych stron, zadrżał. Działo się tu coś, czego nie rozumiał i co mu się bardzo nie podobało. Widział, jak z drobną staruszką, która wyglądała na zakonnicę, żegna się grupka młodzieży. Widział też wielu innych, którzy trzymali się z tyłu i obserwowali tę scenę jak widzowie w teatrze.

Tuż zanim kościelny zegar zaczął wybijać szóstą, konduktor był już w autobusie i kazał kierowcy siadać za kółkiem. Popatrzył szybko w górę i w dół głównej ulicy Lough Glass, nie chcąc odjechać za wcześnie i przeoczyć jakiegoś spóźnialskiego, lecz nagle zapragnął być gdzie indziej. Autobus potoczył się w noc.

I nikt nie pomachał im na pożegnanie.

Rozdział dziewiąty.

James Williams zastanawiał się od dawna, czy zaprosić panią Gray na lunch. Gdyby zaproponował jej to przez telefon, na pewno by odmówiła, a trudno było liczyć na kolejne przypadkowe spotkanie.

Postanowił zajść do agencji. Powie, że tamtędy przechodził. Że był w okolicy i zastanawiał się, czy zdoła wyciągnąć ją na godzinę z pracy. Jeśli pani Gray odmówi, trzeba będzie poszukać innej sposobności. Bardzo chciał z nią porozmawiać i uznał, że lunch to znakomita okazja.

Siedziba agencji była o wiele większa, niż myślał. Dlaczego Louis mieszkał na tej obskurnej ulicy Earl's Court, skoro jego żona prowadziła tak znamienitą firmę? Bo to ona ją prowadziła, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Pilnie jej strzeżono i przygodny przechodzień nie miał do niej dostępu.

Zaproponowano mu spotkanie w innym terminie. Gdyby zechciał zaczekać pół godziny, niewykluczone, że przyjęłaby go pani Millar. Ale na rozmowę z panią Gray nie ma żadnych szans. Powtórzono mu to kilkakrotnie.

- Ale ja tylko na chwileczkę - błagał z wyrazem udawanej rozpaczności na twarzy.

- W jakiej sprawie? - spytała sekretarka.

- Pragnąłbym zaprosić panią Gray na lunch, bardzo mi na tym zależy - odrzekł, czarując ją zawodowym uśmiechem. - Czy nie mogłaby pani się za mną wstawić?

- Czy pani Gray pana zna, panie Williams?

- O tak, naturalnie, ale obawiam się, że to może nie wystarczyć - odrzekł z pokorą i nadzieją. Siedząc w błękitno-złotej poczekalni, podziwiał profesjonalizm, z jakim

514

urządzono wnętrze biura. Tak, to wszystko zasługa Leny. Przez wiele lat, do chwili przybycia Leny, Millar wyciągał z agencji marne grosze, więc innego wytłumaczenia nie było. Do poczekalni weszła Lena.

- James, co za niespodzianka! - powiedziała, wyciągając do niego rękę. Odniósł wrażenie, że od czasu ich ostatniego spotkania jeszcze bardziej zeszczupiała. I była jakby trochę bledsza. Może dlatego, że miała na sobie ciemnoczerwony kostium.

Wyglądała bardzo elegancko: czerwona spódnica w kratę, czerwono-czarne buciki - mogła stanowić wzór dla wszystkich młodych pracowników biurowych. Gdyby miały taką prezencję w jej wieku, gdyby była od nich taka pewność siebie, życie byłoby bardzo przyjemne.

- Jest za kwadrans pierwsza - powiedział. - Właśnie tędy przechodziłem i...
- James, przecież ty tędy nigdy nie przechodzisz - odrzekła ze śmiechem.
- Racja. Gdyby było inaczej, nie mogłabyś się ode mnie opędzić. Powiedz „tak” na mały lunch. Przed drugą będziesz z powrotem.
- Powinam. U Millara nie ma długich przerw na lunch tak jak w twoim świecie.

Nie ujawniła, w jakim świecie Williams się obraca. On też tego nie ujawnił.

Rozmawiali o niczym, ot, grzeczna wymiana zdań i żarcików. Zarzucała mu, że udaje, iż zna się na winach lepiej, niż twierdzi, on zarzucał to samo jej. Potem zamówili rybę i pogaduszki się skończyły. Oboje na chwilę zamilkli.

- Czy wiesz, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć? - spytał.

Lena zamyśliła się. Williams już nie czarował jej żartobliwą galanterią, wydawało się, że spoważniał. Doszła do wniosku, iż nie powinna tego lekceważyć.

- Pewnie chodzi o Louisa.
- Tak. To nie takie łatwe... Domyślasz się, w czym rzecz?
- Nie. Jest niesolidny? Obija się? - spytała, zaniepokojona.

515

- Nie, nie, wprost przeciwnie, pracuje aż za dużo. Na pewno sama to zauważyłaś.
- Fakt, przepada na długie godziny - w jej głosie nie było goryczy, tylko coś w rodzaju rezygnacji.
- Czy wspominał ci o tej nowej posiadzie?

- Nie, nic mi o tym nie mówił - popatrzyła na niego oszołomiona. O nowej posadzie? Zawsze rozmawiali o pracy Louisa: o jego zwariowanych pomysłach, które łagodnie i taktownie mu wyperswadowywała, dopóki nie uznał, że to on podjął najtrafniejszą decyzję, o jego kłótniach i swarach ze współpracownikami. Omawiali to wszystko, dyskutowali długo w noc. Lena zawsze umiała otworzyć mu oczy, a wówczas widział, że konfrontacja może doprowadzić do przegranej. Dyplomacja to gra dla rozważnych.

O jaką posadę może chodzić? Louis był kierownikiem „Drydena”. Pewnie zaproponowali mu pracę w innym hotelu. Przecież wyżej zajść nie mógł. Boże, rozpoczął negocjacje i nic jej nie powiedział? Chce gdzieś wyjechać? Na przykład do Szkocji? Postanowił nie zasięgać jej rady na wypadek, gdyby zaczęła rzucać mu kłody pod nogi?!

Popatrzyła Jamesowi w oczy i spróbowała coś z nich wyczytać. On czytał w niej jak w otwartej księdze: Lena nie wiedziała nic o planach męża, a na jej twarzy malował się ból, że Louis nie wtajemniczył żony w swoje sekrety.

Natomiast twarz Williamsa była wielką enigmą. Zdawało się, iż na jego usta wraca zalotny uśmiezek. Poważną dyskusję zastąpił podziw, charakterystyczna dla niego rozmowa na dystans.

- Cóż, przypuszczam, że Louis ma rację - rzekł z szerokim uśmiechem. - Praca to praca, dom to dom. Po co miałby zanudzać cię problemami polityki hotelarskiej?

Wiedziała, że celowo zmienił temat rozmowy.

- James, konkretnie o jaką posadę chodzi?

- W tej branży ciągle się o czymś dyskutuje i debatuje. Ciągle martwimy

się o to stanowisko czy tamto... To prawdziwa obsesja, aż dziw bierze, że znajdujemy czas na obsługiwanie klientów.

Popatrzyła na niego z szacunkiem. James Williams to stary wyjadacz. Jak zmyślnie, jak płynnie odszedł od właściwego tematu,

516

zdawszy sobie sprawę, że Lena nie ma pojęcia o nowej pracy Louisa! Postanowiła zaakceptować reguły gry i mu dopomóc.

- Opowiedz mi o Laurze Evans, o twojej przyjaciółce, którą poznaliśmy na przyjęciu. - Zdanie, które wypowiedziała, rozbrzmiało jej w uszach dźwięcznym echem. Nie mogła uwierzyć, że je wymówiła.

- O Laurze? - powtórzył z grzecznym zdumieniem, iż w ogóle wypowiedziała to imię.

Lena nie spuściła wzroku.

- Tak, o Laurze. To kobieta bystra, pełna entuzjazmu i bardzo tobą zainteresowana.

- No cóż, myślę, że ma się dobrze. Od pewnego czasu jej nie widuję.

- Rozumiem.

Przykrył jej dłoń swoją dłonią. Była to bardzo długa chwila.

- Życie jest zabawne - powiedział.

- Dlaczego?

- Bo mógłbym spotkać kogoś takiego jak ty, mógłbym spotkać kogoś takiego jak ty...

Teraz z kolei Lena postanowiła zmienić temat rozmowy.

- Za to świat jest bardzo mały, prawda? Bo przecież w końcu się spotkaliśmy. A teraz skoncentrujmy się na tej doskonale przyrządzonej flądrze.

Oczy miała jasne, a twarz szczuplejszą i bardziej ściągniętą niż kiedyś. James Williams zastanawiał się, jak to by było, gdyby kochała go kobieta taka jak Lena Gray, gdyby kochała go tak namiętnie i tak bezkrytycznie.

* * *

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, co było prawdziwym ewenementem. Zazwyczaj miało nie wiedzieć kiedy.

- Powtarzam ci po raz trzeci: poszliśmy do włoskiej restauracji, gdzie zjadłam flądre po florencku. A teraz zajmij się swoją pracą i pozwól mi zająć się swoją. - Nieczęsto powarkiwała na pracowników.

Zaskoczona Jennifer podniosła wzrok.

517

- Złe nowiny, pani Gray?

- Na jakiej podstawie tak uważasz, do licha? Pragnę dodać, że agencja Millara zajmuje się publikowaniem wskazówek dla naszych klientów.

Sekretarkom i pracownikom biurowym radzimy nie wypytywać o prywatne życie szefów, zwłaszcza gdy polecono im zająć się pracą.

Zachowała się fatalnie i doskonale o tym wiedziała. Dlaczego nie poświęciła dwóch minut i nie powiedziała Jennifer, że pan Williams jest ich przyjacielem, jej i Louisa, że zjedli pyszny lunch w restauracji, gdzie kelnerzy zwracali się do niej per signora? Uszczęśliwiona Jennifer, która próbowała być tylko przyjacielska, z radością wróciłaby do biurka. Lena zawsze potrafiła się opanować, dlaczego więc akurat dzisiaj nie mogła udać, iż jest zupełnie spokojna?

Ponieważ spokojna nie była, do cholery, dlatego.

- W sobotę nie będę mogła zjeść z wami lunchu - oznajmiła Jimowi i Jessie Millarom. - Świadcuję na ślubie Ivy.

- Jak to miło, na pewno będzie wspaniale - odrzekła Jessie, wspominając z tkliwością własny ślub.

Lena też przypomniała sobie tamten dzień i aż zadrżała.

- Mam wrażenie, że jesteś zmęczona - powiedział Millar. - Za bardzo tobą orzemy. Weź kilka dni urlopu z okazji ślubu przyjaciółki.

- Nie, Jim. Czuję się lepiej, kiedy pracuję.

- Jesteś bardzo zmęczona, Leno. Zauważyłem to już wczoraj, Jessie też. Zmęczona znaczy stara. Ludzie mówili to, nie wiedząc, co mówią, ale to niczego nie zmieniało. Lena przekroczyła już czterdziestkę, i to o sporo lat. Czegóż innego mogła oczekiwać. Ślub Ivy był pewnie ostatnią okazją do tego, żeby się szykownie ubrać. Później będzie nosiła stonowane kostiumy w kolorze gołębicim albo granatowym z dodatkiem czegoś białego. Jak matki panien młodych.

I nagle uderzyła ją myśl, że bez względu na to, jaki kostium nałoży, nie zobaczy ślubu własnej córki. Pulchna, szczodroblowa i pełna werwy Maura Hayes pojedzie z Lilian do Dublina i kupi sobie coś odpowiedniego, coś, co będzie

518

mogła nosić przez wiele lat na wszystkich spotkaniach towarzyskich.

Nieoczekiwanie poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Dobrze się czujesz? - zatroskała się Jessie.

- Jak nigdy - odrzekła Lena ze sztucznym uśmiechem.

- Co im kupimy? - spytał Louis. Był w domu dopiero od godziny. W „Drydenie” mieli ostatnio prawdziwe urwanie głowy. Tego wieczoru też organizowali jakąś imprezę i musiał wszystkiego dopilnować.

- Nie powinieneś był wracać, to kawał drogi - odrzekła zatroskana. Żył w

takim pośpiechu.

- Chciałem cię zobaczyć, powiedziec ci dzień dobry.
- Długo cię zatrzymają?
- Nie ma sensu, żebym wracał, kochanie. Przyjęcie skończy się o czwartej rano, a już o ósmej muszę być w pracy. Nie, lepiej prześpię się w hotelu. Serce załomotało jej głuchym, dobrze znajomym odgłosem.
- Oczywiście - odrzekła wesoło.

Louis stał, uśmiechając się do niej. Zdjął koszulę i poklepał się po brzuchu.

- Rozpacz człowieka ogarnia - mruknął. - Brzuszydło pana w średnim wieku.
- Daj spokój, jest płaski jak deska, jakbyś codziennie grał w tenisa. - Lubiała go chwalić, bo wówczas jego oczy nabierały dawnego blasku.
- Czyja wiem, na plaży nie wyglądałbym za dobrze...
- Pojedźmy nad morze - zaproponowała nagle. - Na wakacje w przyszłym roku.

Wyglądało na to, że przyłapała go z opuszczoną gardą.

- Kto wie, gdzie będziemy za rok?
- No właśnie. Moglibyśmy pojechać w jakieś cudowne miejsce. Zacznę przeglądać broszury.
- No tak... Później o tym porozmawiamy. Teraz pomyślmy, co kupić naszej młodzieży z dołu.

Wolałaby, żeby nie żartował z ich wieku. Kiedy się pobiorą, ona i Louis, też będą starzy. Jeśli się w ogóle pobiorą. Zapinał guziki świeżej koszuli, przyglądając się krytycznie

swojej twarzy w lustrze. Przecież wiedziała, że nigdy się z nią nie ożeni. Więc dlaczego wciąż się oszukiwała? Dlaczego nieustannie się tą myślą bawiła? Wiedziała też, że tego wieczoru Louis rozpocznie kolejny romans. A może romans już trwał? Znała go na tyle, iż umiała rozpoznać symptomy.

- Pomyślałam sobie, że kupimy im lustro, ładne antyczne lustro - jej głos dochodził jak z tunelu.

Louis uśmiechnął się.

- Ivy nawieszała na ścianach tyle różnego śmiecia, że na lustro nie znajdą miejsca.

- Znajdą. Nie zauważyłeś, że wyremontowali mieszkanie?

- Nie, nie zauważyłem. - Nie był u Ivy od tamtego wieczoru, kiedy urządzili małe przyjęcie na cześć przyszłych nowożeńców.

- Myślę, że im się spodoba.

- Pewnie, w takim razie je kup, o ile tylko nie jest za drogie.

Z własnej kieszeni nie wyłoży ani pensa, ale nie dowie się też, że Lena kupiła Ivy prawdziwy prezent: kasztanowy kostium z aksamitu i kapelusz. Że zamówiła dla niej wizytę w salonie kosmetycznym Grace, że wydała na to wszystko dziesięć razy więcej, niż zamierzała wydać na lustro.

Czyżby Louis był skąpy? Zawsze myślała, że jest uosobieniem szczodrości. Kiedy w kieszeni brzęczało mu ostatnie sześć pensów, wydawał je na bukiet fiołków. Louis skąpy? Nie, to niemożliwe.

Wszystko, tylko nie to.

- Będziesz mógł przyjść w sobotę na ślub?

- Dobrze żarcie, dobre trunki, nie straciłbym takiej okazji. Zabawne tylko, że nie organizuje tego w swoim pubie.

- Nie byłoby to zbyt miłe dla ludzi, którzy pamiętają Charlotte, ani dla jego synów. Taktowniej jest zorganizować przyjęcie gdzie indziej.
- Ale na tym koszmarnym dworcu? Doprawdy, Leno... - Szydźił, naśmiewał się z nich. Wiedziała jednak, że Ivy i Ernestowi nic takiego nie powie. Powie im, że urządzić przyjęcie w pubie przy dużym dworcu kolejowym i natychmiast potem wyjechać na miodowy miesiąc to bardzo inspirujący pomysł.

520

Nie, publicznie szydzić i wykpiwać ich nie będzie. W towarzystwie był człowiekiem bez skazy.

- W urzędzie stanu cywilnego musimy być o dwunastej.
- Wiem, wiem, nie spóźnię się. Ktoś mnie na kilka godzin zastąpi.
- To znaczy, że po przyjęciu wracasz do pracy?
- Niektórzy z nas muszą pracować - odrzekł urażony. Przypomniał się jej James i jego słowa, że Louis za ciężko pracuje. Poczowała się nieswojo. I nagle wypaliła:

- Spotkałam dzisiaj Williamsa.

Czy to tylko wyobraźnia, czy Louis stał się czujniejszy?

- I cóż miał ci do powiedzenia?
- Niewiele. Rozmawialiśmy głównie o winie i o rybach. I o Laurze Evans, która poszła śladem wszystkich kobiet przed nią i zapewne po niej.
- Zapijaczona dziwka. Nie mam pojęcia, dlaczego taki facet jak Williams zawracał nią sobie głowę.
- Może był samotny.
- Z taką forszą? Widziałaś jego dom. Tacy ludzie nie narzekają na samotność.

Lena się z nim nie zgadzała, ale Louis miał zaraz wyjść i nie chciała wprowadzać złej atmosfery, wszczynać głupiej kłótni o coś, co nie miało żadnego znaczenia.

- Dlaczego James mówił o winie i rybach?
- Byliśmy w restauracji. Przechodził koło agencji i zaprosił mnie na lunch.
- Czy Williams kiedykolwiek tamtędy przechodził?
- Zabawne, to samo mu powiedziałam.
- W takim razie czego od ciebie chciał? - Louis wyglądał nieswojo.
- Sama chciałabym wiedzieć - odrzekła lekko. - Chyba miał mi coś do powiedzenia, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.
- Miał ci coś do powiedzenia? Na przykład co?
- Nie mam zielonego pojęcia. Może coś o nowej Laurze Evans. Któż to wie? W każdym razie skończyło się na rozmowie o winie i rybach.
- Nie wspominaliście o mnie? - pytanie zabrzmiało lekko i niewinnie, ale czuła, że Louis jest spięty.

521

- Powiedział tylko, że harujesz jak wół.

Podszedł bliżej, położył jej ręce na ramionach i pocałował w czoło. Zrobił to z wielką powagą, jak podczas jakiejś ceremonii, niczym aktor na scenie.

- Do zobaczenia na ślubie - powiedział.
- Spróbuj się trochę przespać! - zawołała, gdy zbiegał szybko po schodach.

Zgodnie z obietnicą zeszła do Ivy.

- Wybył? - spytała Ivy.
- Wybył.
- To dobrze, będę cię miała dłużej dla siebie. - I znowu wyjęła z szafy

swój nowy kostium, i znowu zaczęła jej dziękować. - Gdyby nie ty, do niczego by nie doszło. Do niczego - powiedziała zdławionym głosem.

- Przestań, bo się popłaczę.

- Ernest wyszedł z kolegami. Możemy się spokojnie napić. Lena parsknęła śmiechem.

- Tylko mi nie mów, że ciągle jesteś na odwyku.

- Tak, tak, ale zaczekaj tylko, aż przejmę ster, jak powiadają. Kiedy zostanę panią Again, powoli wprowadzę alkohol do tego domu. - Wzniosły toast za przyszłość.

- A jakie ty masz plany, Leno? Ty, która układasz życie innym.

- Nie wiem. Rozmawialiśmy z Louisem o przyszłorocznych wakacjach. Chciałabym pojechać nad morze.

- Proszę, proszę, to wspaniale! - Ivy była pod wielkim wrażeniem.

- To, oczywiście, jeszcze nic pewnego.

- Naturalnie.

Lena pragnęła wypłakać się na ramieniu przyjaciółki, powiedzieć jej, że coś wisi w powietrzu. Coś poważnego, coś, o czym chciał ją uprzedzić James Williams, który w ostatniej chwili stchórzył. Coś, co wyczytała w oczach Louisa, kiedy rozmawiali o przyszłorocznych wakacjach. I kiedy położył jej ręce na ramionach.

Nie miała pojęcia, co to mogło być. Ale czy mogło być coś gorszego niż skrywane latami romanse? Nie, to wieczór poprzedzający ślub Ivy.

Przecież nie mogła siedzieć tu, pić, płakać i narzekać, że wszyscy mężczyźni są źli.

522

- Myślisz, że to głupie wypić kilka drinków w przydworcowym pubie? -

spytała Ivy.

- Nie, uważam, że to znakomity pomysł. Mówiłaś, że Ernest nie chce wielkiej, oficjalnej nasiadówki. Tym sposobem wszystko odbędzie się w miejscu doskonale przez wszystkich znanym i lubianym. Już tam byłam, zamówiłam kanapki. - Zamówiła też mały tort, ale miała to być niespodzianka.

- Kiedy wychodziłam za Rona, moją druhną była dziewczyna imieniem Elsie. Nie mam pojęcia, gdzie ona teraz jest. Nie wiem, co się z nią stało.

- Ja też nie wiem, co się stało z moją druhną - odrzekła Lena. - Pewnie przyszła na mój pogrzeb, ale zapomniałam sprawdzić - uśmiechnęła się smutnym uśmiechem.

Ilekcroć żartowały na temat wydarzeń z przeszłości, Ivy zawsze czuła się nieswojo. Za nic nie mogła pojąć, że ktoś może udawać trupa, zamiast wziąć normalny rozwód.

- Ale ciebie nigdy nie zapomnę, Leno. Poważnie. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

- Rozklejasz się, Ivy, to przez to porto. Chyba będę musiała wziąć stronę twego męża i założyć ci szlaban na alkohol.

- Mojego męża... - powtórzyła zadziwiona Ivy. - Pomyśleć tylko, że jutro zostanę żoną Ernesta!

- Zaslugujesz na to - odpowiedziała Lena. Serce miała zimne i ciężkie jak kamień.

List od Kit miał aż trzy strony. Pierwszą reakcją Leny był lęk. Dlaczego tyle napisała, może stało się coś, o czym musiała ją zawiadomić? Ale przejrawszy list stwierdziła, że strasznych wieści w nim nie ma. Kit pisała o człowieku nazwiskiem Francis Xavier Byrne, odpowiedzialnym

za napad na warsztat Sullivanów, i o siostrze Madeleine, która przygarnęła go niczym zranionego lisa. W prostych słowach pisała też o swoim ojcu, który został poturbowany, ale już wrócił do zdrowia.

Na pewno ucieszy Cię wiadomość, że Maura opiekowała się Nim tak dobrze, iż Ojciec czuje się jak nowo narodzony. Żartuje i śmieje się jak zawsze.

523

Piszę Ci o tym, ponieważ gdybyś przeczytała o napadzie w gazecie, którą prenumerujesz, mogłabyś odnieść wrażenie, że było o wiele gorzej niż w rzeczywistości. To dziwne, iż wciąż czytujesz wiadomości o Lough Glass. Nie wiem, co Ci o naszym mieście opowiedzieć.

Hickeyowie rozbudowali sklep. Pan Hickey przysiągł rzucić picie, co według pani Hickey oznacza, że zaoszczędzą tyle pieniędzy, iż starczy im na założenie wielkiej sieci sklepów mięsnych w całym kraju. Chatka siostry Madeleine stoi pusta, tylko wiatr potrzaskuje otwartymi na oścież drzwiami. Byłam tam w zeszłym tygodniu. W środku zastałam króliki i kilka ptaków, które sprawiały wrażenie oswojonych. Pewnie myślały, że siostra Madeleine wróci, aby je nakarmić. Najgorsze w tym wszystkim jest to, co mówią o niej ludzie: że wcale nie była dobra, że była zabobonna, a nie święta. Ale ja zawsze ją lubiłam i lubić nie przestanę.

Podobnie jak Clio. Ostatnio rzadko ją widuję. Jest „bardzo zakochana”, jak sama mówi, w koszmarnym typie nazwiskiem Michael O'Connor, którego ojciec ma mnóstwo hoteli. Michael jest bardzo bogaty. Jego brat, słuchacz naszego roku, jest jeszcze gorszy od niego. Jeśli o mnie chodzi, to nie zakochałam się jeszcze w nikim.

Stevie Sullivan z warsztatu naprzeciwno wyszedł na ludzi, czego trudno

się było spodziewać, biorąc pod uwagę to, jak się kiedyś prowadził.

Natomiast jego brat wciąż jest potworem.

Niektórzy w ogóle się nie zmienili. Ksiądz Baily jest wciąż taki sam, siostra Bernard i brat Healy też. Zawsze tacy byli i chyba zawsze już tacy będą. Farouk też się nie zmienił. Nie zwraca uwagi na psa taty i Maury, po prostu go ignoruje. Ilekroć pies wpadnie do pokoju, Farouk wyniośle stamtąd wychodzi. Nie wiem, dlaczego piszę Ci o tych wszystkich sprawach, ale pomyślałam, że pewnie wciąż kupujesz tę irlandzką tygodniówkę, bo bardzo chcesz wiedzieć, co się u nas dzieje.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego.

Kit.

524

Kit była zadowolona ze swego listu. Nie wiedziała, dlaczego zrezygnowała z pisania pocztówek i króciutkich notek, ale czuła, że Lena Gray musi być bardzo samotna, a kilka linijek listu dużo jej nie kosztowało.

Kit.

Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo chciałabym wiedzieć, co się u Was dzieje. Zainteresuje mnie wszystko, cokolwiek napiszesz, na co tylko znajdziesz czas i siłę. Celowo piszę krótko, żebyś nie pomyślała sobie, iż chcę obarczyć Cię korespondencją.

I masz zupełną rację: bardzo się cieszę, że Maura tak dobrze opiekowała się Twoim Ojcem. Cieszę się też, że Ojciec wrócił do zdrowia.

Całuję Lena.

Lena nie mogła zasnąć. O drugiej nad ranem była bardziej rozbudzona niż o dwunastej w południe. Wstała i zrobiła sobie herbatę. Herbata nie

pomogła. Czytała gdzieś, że w takich przypadkach trzeba trochę popracować, na przykład wyczyścić srebra. Łatwo powiedzieć - nie mieli żadnych sreber. Mieszkanie było wysprzątane. Zawsze utrzymywała je w nienaganej czystości, żeby nie utyskiwał, iż mieszkają w spelunie. Chodziła niespokojnie po pokoju, otwierając szafy i szuflady. Wszędzie panował porządek.

Przypomniał jej się dom w Lough Glass sprzed lat, kiedy przygotowywała się do ucieczki.

Poświęciła mnóstwo czasu na to, aby zostawić po sobie idealny porządek. Chciała, żeby Rita mogła pozbyć się jej ubrań. Kazała nawet podzelać stare buciki, aby można je było komuś oddać. Skąd mogła wiedzieć, że uznają ją za martwą? Dlaczego Kit wbiła to sobie do głowy i spaliła ten list?

Zajrzała do szafy z ubraniami Louisa. Wisiały tam marynarki, które mu kupiła, leżały koszule, które co tydzień nosiła do chińskiej pralni, i stały buty, które polerowała do połysku. „Bzdura, i tak czyszcę swoje” - powiedziała, gdy zaprotestował za pierwszym razem. Potem już nie protestował.

525

Oczywiście, że zrobiła dla niego za dużo. Ale gdyby zrobiła mniej, wszystko skończyłoby się już dawno temu. Na długo przedtem...

Przeszedł ją zimny dreszcz. Na długo przed czym? Dlaczego uważała, że coś się kończy?

W korytarzu był telefon, automat dostępny dla wszystkich lokatorów. Jeśli zniży głos, nikt jej nie usłyszy. Nikt nie odkryje jej hańby. Wykreśliła numer „Drydena”. Odpowiedział męski głos. Wiedziała, że to

recepjonista z nocnej zmiany.

- Chciałabym spytać o dzisiejsze przyjęcie.
- Nie rozumiem...
- Jedno szybkie pytanie: mniej więcej o której się skończy?
- Przykro mi, proszę pani, ale dzisiaj nie organizujemy żadnego przyjęcia.
- Dziękuję, bardzo panu dziękuję.

Powoli wstawał świt. Makijaż - owszem, umiał sprawić cuda, ale cuda małe, nie duże. Żaden makijaż nie ukryje zapadniętych policzków, żaden makijaż nie nada jej podkrążonym oczom zwierciadlanego blasku.

Słuchała kiedyś wywiadu radiowego z górnikiem, który wy dostał się z zasypanego szybu, wyrabując sobie drogę wśród zwałów węgla.

„Próbowałem myśleć o czymś innym, nie o śmierci - mówił. - Nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogę umrzeć, więc myślałem o szopie, którą budowałem w ogrodzie, o każdej deszczułce drewna, jakiej potrzebowałem, o każdym gwoździu, o każdym arkuszu papy na dach. Dzięki temu przetrwałem”.

Postanowiła, że postąpi tak samo. Rzuci się w wir przygotowań do ślubu Ivy z takim impetem, że nie starczy jej czasu na myślenie o tym, iż jej życie może dobiegać końca.

Przelała herbatę do dzbanka, zrobiła grzanekę z miodem i zniosła tacę na dół.

- Nie wierzę! - Ivy była tak uradowana, że nawet nie zauważyła zapadniętych policzków i zmarszczek na twarzy swojej druhny. Podczas ślubu wszyscy patrzą tylko na pannę młodą.
- Dzisiaj możesz prosić, o co tylko zechcesz - odrzekła Lena, uśmiechając się tak szeroko, że rozboleły ją usta.

Poszły do salonu piękności Grace West, gdzie przekazała przyjaciółkę w ręce tamtejszych specjalistek.

- Przyjdę po ciebie o wpół do jedenastej - obiecała.
- Louis będzie zadowolony, że wreszcie się mnie pozbyłaś - odrzekła Ivy.
- Zabieram ci tyle czasu...
- Nie zwracaj uwagi na Louisa - przerwała jej Lena. Grace przeszła ją spojrzeniem.
- A ty? - spytała cicho. - Uczesać cię? Nałożyć trochę tuszu na powieki?
- Nie, to coś głębszego - odrzekła ze smutkiem Lena.
- Już przez to przechodziłaś - przypomniała jej Grace. - I przeszłaś.
- Tym razem chyba nie dam rady. - Odeszły trochę dalej, żeby Ivy ich nie słyszała.
- Nie wierzę. Stawiam pięć do jednego, że wszystko będzie dobrze.
- Nie lubię hazardu - odparła głucho Lena.
- Owszem, lubisz. Postawiłaś na swego Louisa.
- Jeśli nawet postawiłam, to przegrałam. Grace nie odpowiedziała.
- A propos. Ivy nic nie wie.
- Nikt nic nie wie - odrzekła Grace. - Jesteś po prostu przemęczona i coś sobie ubzdurałaś.
- Tak, masz rację.

Wróciła do domu, żeby się przebrać. Nie zatelefonowała do „Drydena”, aby sprawdzić, czy Louisa ktoś zastępował. Włożyła do aparatu nowy film i przygotowała cztery koperty z ryżem na wypadek, gdyby goście chcieli obsypać nim nowożeńców.

Przesypała śmieci do papierowej torby, żeby znieść je do pojemnika na

ulicy. Na dnie kosza znalazła drukowany rozkład lotów i cen biletów lotniczych do Irlandii. Rozkład był zmięty, jakby ktoś go celowo wyrzucił. Nigdy czegoś takiego nie miała. Tyle razy myślała o podróży do rodzinnego kraju, ale nigdy nie posunęła się tak daleko, aby zdobyć broszurę z rozkładem lotów.

Louis nie mógł chyba myśleć o wyprawie do Irlandii, nic jej o tym nie mówiąc. I chyba nie oznaczało to, że ma romans z jakąś Irlandką. Nawet nie mogła sobie tego

527

wyobrazić, zbyt ją to bolało. A może chciał zabrać kogoś w czarodziejską podróż po Irlandii? Dziewczyne, której pragnął zaimponować bajkami o Zielonej Wyspie. Zostawiła rozkład w koszu i wyprostowała się. Zanosilo się na bardzo długi i bardzo męczący dzień.

Nadszedł czas, aby pójść po Ivy.

Ernest też był zdenerwowany, a obecność jego przyjaciela Sammy'ego niewiele pomagała. Sammy umiał tylko opowiadać kawały. Opowiadał jeden za drugim, ale nie potrafił Ernesta uspokoić i przekonać go, że cała rzecz sprowadza się tylko do wypowiedzenia kilku słów, głośno albo cicho, jakkolwiek zechce.

- Czuję się jak głupiec przed tymi wszystkimi ludźmi - burczał Ernest.

Lena miała ochotę zdzielić go w twarz.

Zaprosili tylko szesnaścioro gości. Samych przyjaciół, którzy im dobrze życzyli. Synowie Ernesta pogodzili się z faktem, iż Ivy będzie ich macochą. Mieli przyjść na ślub. Ernest nie musiał nic robić, nic organizować - do diaska, musiał tylko być wdzięczny, że Ivy zechciała go za męża.

Lena zastanawiała się, czy nie zaczyna nienawidzić mężczyzn. Ale nie, chyba nie. Millar był prawdziwym aniołem. James Williams dżentelmenem. Martin kimś w rodzaju świętego. Peter Kelly dobrym i lojalnym przyjacielem. Znała tylu mężczyzn, którzy lubili dawać. Ernest też nie był zły, tylko gburowaty i nie umiał się wysłowić, w przeciwieństwie do złotoustego Louisa Graya.

Louisa Graya, który przyjdzie na ślub i wkradnie się do ich serc słodkimi kłamstewkami. Gdy dzień dobiegnie końca, będą wspominali jego żarty, którymi rozbawiał gości, piękne lustro, które im sprezentował.

Sammy spływał potem: naprawdę się denerwował. Uświadomiła sobie, iż to nieśmiali ludzie, ludzie, którzy boją się wszelkich ceremonii i uroczystości. Nie wiedzieli, że mogą je kontrolować, że mogą nimi sterować. Tymczasem uważali, iż to one sterują nimi.

- Gotowi do wyjścia? - spytała Ernesta i Sammy'ego. - Taksówki czekają.

- O to też zadbała. I zapłaciła z góry,

528

by nie musieli całą grupą biegać po ulicach Londynu w poszukiwaniu środka transportu.

- A panna młoda? - Sammy zadał to pytanie w taki sposób, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że obecność panny młodej jest najważniejszym elementem całego przedsięwzięcia.

- W sypialni. Wyjdzie, kiedy będziemy gotowi. - Lena poszła po Ivy. - Wyglądasz prześlicznie - powiedziała. - Nigdy w życiu nie wyglądałaś lepiej.

Twarz panny młodej pojaśniała z zadowolenia. W przekrzywionym kapeluszu i kasztanowokremowym, zawadiacko zawiązanym szaliku Ivy

wyglądała o wiele młodziej, przypominała damę wychodzącą z Ritza. Ernest i Sammy popatrzyli na nią z podziwem. To była nagroda Leny: czyste, nie zakamuflowane zdumienie, że Ivy może być taka elegancka. I lęk, że nie dorównują jej prezencją.

- Gdzie Louis? - pytali o niego prawie wszyscy, którzy kiedykolwiek go poznali.

- Musi wyrwać się z pracy, będzie czekał na miejscu. - Wzięła Ivy pod rękę i odprowadziła ją do taksówki. - Do ratusza, proszę - powiedziała głośno, żeby nikt nie miał wątpliwości, dokąd jadą.

Louis wśliznął się do sali tuż przed rozpoczęciem ceremonii. Pachniał lawendowym mydłem. Oczywiście mogli mieć takie mydło w „Drydenie”. Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Wyglądasz wspaniale - szepnął z uznaniem. Beżowo kremowy kostium kosztował majątek, ale jeszcze przez wiele lat pracy w agencji pośrednictwa mogła występować w nim na prelekcjach i podczas spotkań z ważnymi klientami. - Piękny kapelusik.

Impreza w hotelu mogła zostać odwołana. Mogli go zatrzymać do późna, tak że powrót do domu byłby stratą czasu. Nie pytaj. Zostaw sobie drogę ucieczki. Zawsze możesz tak myśleć. Jeśli spytasz, będziesz wiedziała na pewno.

- Jak poszło przyjęcie? - nie zdołała się powstrzymać.

- Daj spokój - wzniósł oczy do nieba. - Ciągnęło się w nieskończoność.

Inaczej tego podsumować się nie da.

529

- Co to było, konferencja, złote gody, czy co?

- Tłum nabzdyczonych handlowców.

- Ale zostawili w hotelu trochę pieniędzy.
- Mam dość robienia rzeczy, na których korzysta hotel. Popatrzyła na niego. To był znak, iż zaraz zacznie go pocieszać, perswadować mu i tłumaczyć, że ma znakomite stanowisko, że bardzo go cenią, że odejście z hotelu byłoby posunięciem wielce nierozsądnym.

Jednak tym razem zareagowała zupełnie inaczej.

- W takim razie powinienesz zmienić pracę, Louis.
- Co?

Rozmawiali szeptem, czekając, aż wszyscy się zbiorą. Lena musiała stanąć na samym przodzie, koło Ivy.

- Nie pozwól im się wykorzystywać, przecież muszą być jakieś inne stanowiska. Powinienesz poważnie o nich pomyśleć.

Jakby dostał obuchem w głowę.

- Sądziłem, że będziesz...
- Nigdy nie zakładaj, że wiesz, co zrobię albo co sobie pomyślę... Co przypomina mi, że jestem tu po to, by świadkować Ivy.

Dokładnie w chwili przybycia urzędnika stanu cywilnego stanęła obok Ivy, Ernesta i Sammy'ego i wzięła udział w ceremonii, która - takie miała wrażenie - odbywała się o kilka milionów kilometrów dalej. Była niczym mikroskopijnej wielkości punkcik na powierzchni ziemi i wysilała swój umysł, by spróbować objąć myślą całą sytuację.

Gdy część oficjalna zaślubin dobiegła końca, Ernest i Sammy zrelaksowali się do tego stopnia, że wyglądało na to, iż para młoda nigdy nie wyjedzie na miodowy miesiąc. Wniesiono kufle z piwem, zwykłym i imbirowym, oraz kieliszki z brandy. W zarezerwowanym dla nich rogu sali krążyły

talerze z kanapkami. Przechodniów, którzy zachodzili do pubu, żeby złożyć im życzenia, częstowano kanapkami, a nawet alkoholem. Później wniesiono mały tort i Lena sfotografowała nowożeńców, gdy go kroili. Do tego zdjęcia starannie ich ustawiała. Miało zawisnąć na ścianie. Poprawiła Ivy kapelusz, a Ernestowi krawat.

530

Kazała im nawet chwycić razem nóż do krojenia tortu, żeby wyglądali tak jak na prawdziwym zdjęciu ślubnym być powinno.

- Dziwne, że nie kazałaś jej nałożyć białej sukni i nie zamówiłaś sześciu paziów do niesienia trenu - szepnął cicho Louis.

Lena posłała mu uśmiech, jakby powiedział coś miłego. Ivy była bardzo spostrzegawcza i gdyby przeszła go chmurnym wzrokiem, natychmiast by to zauważyła.

Później barman wyprowadził gości przed pub i nowożeńcy przebiegli przez dworzec w ryżowym deszczu. Mieli spędzić trzy dni w mieście odległym od Londynu o niecałe pięćdziesiąt kilometrów, czyli o godzinę jazdy pociągiem. Przyjaciele pomachali im na pożegnanie z peronu. Puby były już zamknięte, więc musieli wracać.

Rozstanie jednak się przeciągało. Sammy zapraszał wszystkich na kielicha do pewnego klubu w City, ale nikt nie miał na to specjalnej ochoty. Lena mogła ich zaprosić do siebie, dobrze wiedząc, że kilka butelek wina zabawiłoby ich aż do godziny otwarcia pubów. Ale nie miała zamiaru tego robić. Nie dla ponurych synów Ernesta, nie dla Sammy'ego i garstki ludzi, którzy nie potrafili nic zorganizować.

Z wielkim żalem oznajmiła, że musi wracać do pracy, i pociągnęła za sobą Louisa.

- Przecież nigdzie nie musisz wracać - zauważył Louis.
- Nie, ale ty musisz. Chciałam cię z tego wyciągnąć, bo inaczej zwaliliby się do „Drydena”.
- Nie muszę wracać do hotelu.
- Powiedziałaś, że musisz. Przecież ktoś cię zastępuje. Zbadał wzrokiem jej twarz, sprawdzając, czy to nie jest jakiś podstęp.
- Mój Boże, rzeczywiście - klepnął się dłonią w czoło.
- No i co? Czy nie jestem znakomitą sekretarką? - spytała wesoło.
- Za dużo pracuję.
- Wiem - była nieszczerą, ale nie mógł tego wiedzieć.
- Może masz rację. Może powinienem stamtąd odejść.
- Ale nie w połowie sobotniej zmiany. Zaczekaj, aż

531

wyskoczy coś lepszego. Możesz pracować wszędzie. - Doszli do stacji metra.

- Dokąd jedziesz? - spytał.
- Skoro musisz wracać do pracy, ja też trochę popracuję. W domu smutno mi bez ciebie.
- Naprawdę? - spytał, jakby coś go gryzło.
- Przecież dobrze o tym wiesz, przystojniaczku. - Cmoknęła go w nos, ruszyła przed siebie, a kiedy obejrzała się przez ramię, zobaczyła go na szczycie schodów. Patrzył za nią, jakby miał jej coś ważnego do powiedzenia i tego nie powiedział.

Podniosła plik listów. Poczta w sobotę - zawsze wydawało się jej, że to prawdziwy luksus. W Lough Glass coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

Mona Fitz i biedny Tommy Bennet dostaliby zawału serca, gdyby to zasugerowano.

Wprawnie posegregowała listy, nie mogąc wyjść z podziwu - zdarzało się jej to bardzo często - że interes tak rozkwitł. Kiedy tu przyszła, o korespondencji nie warto było nawet mówić, a za biurkiem siedziała tylko Jessie zdezorientowana i oszołomiona ilością poupychanych w szufladach papierzysk, których ułożenie zajęłoby wiele godzin. Jeśli nawet przez te wszystkie lata spędzone w Londynie nie zrobiła nic więcej, to przynajmniej zbudowała ten pomnik: pomnik pracujących kobiet, ich potrzeb, nadziei i szans.

Zaparzyła herbatę, zdjęła kapelusz z ciemnobrązowym piórkiem i buty.

Usiadła w fotelu i zaczęła się zastanawiać, co miałyby ochotę robić.

Postanowiła napisać list do Kit. Musiała tylko zachować dużą ostrożność.

Pokój, jaki ze sobą zawarły, był bardzo kruchy i niepewny; nie może córki ponaglać, bo wszystko zniszczy.

Ale zadała sobie to pytanie pierwszy raz tego dnia. Dlatego zdecydowała, że napisze. Po godzinach dodawania otuchy Ivy, uspokajania Ernesta, robienia zdjęć, uśmiechania się do wszystkich, sypania ryżu, po niezliczonych próbach nawiązania rozmowy z synami pana młodego, po przypomnieniu Louisowi o konieczności powrotu do pracy zasługiwała na coś, na co miała szczerą ochotę, do diaska!

532

Napisała córce o ślubie, z którego przed chwilą wróciła. O tym, że Ivy wyglądała wspaniale, a Ernest był koszmarnie zdenerwowany, o gościach, którzy przyłączyli się do nich w pubie, o przechodniach, którzy składali młodemu życzenia, a potem machali im na pożegnanie, stojąc na peronie,

podczas gdy Ivy i Ernest wsiadali do pociągu. Pisała wesoło, z humorem, i wielokrotnie list przeczytała, by upewnić się, czy nie pobrzmiewa w nim nutka goryczy czy rozczulania się nad sobą. Na trzech gęsto wystukanych na maszynie stronicach ani razu nie wspomniała o Louisie Grayu.

Jakby w ogóle nie istniał.

- Dzień dobry, Mauro. Mówi Kit.

- Och, Kit, dziecinko, ojciec przed chwilą poszedł z Peterem do Paddlesa.

Będzie mu przykro, że straciłaś pieniądze na telefon.

- Nie wygaduj bzdur, ty wredna macoch. Nie straciłam ani pensa.

Przecież rozmawiam z tobą, prawda?

- U nas wszystko w porządku, ojciec jest taki sam jak dawniej. Emmet też poweselał i długo przesiaduje nad książkami. Kiedy przyjedziesz na Boże Narodzenie, nie poznasz tego domu.

- Jest tam Emmet?

- Nie, skarbie, niestety, jego też nie ma. Poszedł z Anną do kina. Wygląda na to, że znowu są przyjaciółmi. Doprawdy trudno z nimi wytrzymać, kłóć się jak ty z Clio przed laty. A propos, co słyhać u Clio?

- Rzadko ją widuję, ale ma się dobrze.

- Powiedz jej, żeby trochę częściej dzwoniła do domu, dobrze? Wstyd mi, kiedy mówię Lilian, iż dzwonisz dwa razy tygodniowo, bo wygląda to tak, jakbym się chwaliła.

- I powinnaś, jesteś o wiele miłsza niż Lilian.

- Przestań. Mam im coś przekazać?

- Tak. Powiedz ojcu, że jego jedyna córka była zdruzgotana wiadomością, iż jej tata się zapija. A Emmetowi powtórz, że dotrzymuję obietnicy.

- Oczywiście nie powiesz mi, jakiej.

- Nie, ale Emmet będzie wiedział, o co chodzi.

533

- Jesteś wspaniałą dziewczyną, Kit.

- Ty też nie najgorszą.

- Clio, pójdziesz ze mną na frytki?

- Chryste, kto cię wystawił do wiatru, że szukasz u mnie ratunku?

- Chodziłaś na kurs, gdzie uczą, jak być czarującą, czy przerwałam ci lekturę książki?

- Przepraszam, jestem w kiepskiej formie.

- Frytki pomogą?

- Kiedy nie pomogły?

- Mówi Philip. Kit, poszłabyś ze mną do kina? No wiesz, tak normalnie.

- Wiem, jak się chodzi do kina, Philip, ale nie mogę. Przed chwilą umówiłam się z Clio na frytki.

- Ach tak... - Philip był rozczarowany.

- A może poszedłbyś z nami?

- Będziecie się śmiać i chichotać.

- Nie, jesteśmy na to za stare. Chodź z nami.

- Życie byłoby dużo łatwiejsze, gdyby Kevin ci się podobał - powiedziała Clio.

- Mówiłam ci dziesiątki razy, co do niego czuję. Chryste, jemu też to powiedziałam za pośrednictwem listu od adwokata. Fantazjowanie na ten temat nie ma żadnego sensu.

- Każdy może sobie pomarzyć.

- Zaprosiłam tu Philipa O'Briena. Chyba nie wiedział, co ze sobą zrobić.

- No pewnie. Nie będzie wiedział, co ze sobą zrobić, dopóki nie kupi ci

pierścionka z nędznym brylancikiem i nie przykuje cię do siebie łańcuchem.

Kit wybuchnęła śmiechem.

- Na miłość boską, gdzie jest Michael? Co on takiego zrobił, że siedzisz tu jak kupa nieszczęścia?

- Chce, żebym pojechała z nim do Anglii na Boże Narodzenie i Nowy Rok. Jego siostra wydaje wielkie przyjęcie, czy coś w tym stylu.

534

- No to wspaniale.

- Nie chcą mnie puścić.

- Jak ładnie poprosisz, na pewno cię puszczą.

- Nie, to walenie głową w mur. Ciotka Maura też macza w tym palce. Nie, tkwi w tym po samą szyję.

- Przecież jesteś już dorosła. Muszą to widzieć.

- Ale nie widzą - odrzekła Clio z tragicznym wyrazem twarzy. - To jest jak ultimatum. Oczekujemy, że na Boże Narodzenie i Nowy Rok wrócisz do domu jak grzeczna dziewczynka z dobrej rodziny.

- Na pewno nie zabierze z sobą nikogo innego - pocieszała ją Kit.

- Nie, ale wychodzę na idiotkę, rozumiesz? Był u mnie w domu tylko jeden jedyny raz, ale ta mała zmija opluła go jadem. Teraz pomyśli, że starzy trzymają mnie w domu jak w więzieniu, bo nie pozwalają mi przyjąć wspaniałomyślnego zaproszenia do domu przyjaciela.

- Powiedziałaś mu, że nie chcą cię puścić?

- Nie, za bardzo się wstydzę. Udam chorą albo po prostu pojedę.

- Tego nie zrobisz. - Kit wiedziała, iż Clio nie zbuntuje się przeciwko rodzicom, na tyle ją znała.

- Nie, chyba muszę go komuś przedstawić, kiedy się zaręczymy, a tak nie miałabym komu.

Kit była zaskoczona.

- Naprawdę chcecie się oficjalnie zaręczyć?

- W końcu się pewnie zaręczymy, ale jeszcze nie teraz. Przyszedł Philip.

- Rozmawiamy o przyszłości - powiedziała Kit.

- Zamknij się - warknęła Clio.

- Wiedziałem, że znajdziecie sobie coś do śmiechu - odrzekł Philip.

- Do śmiechu? - mruknęła Clio. - Nie śmiałam się od lat. Zamówimy podwójne fryty?

- Tak, i cappucino - powiedziała Kit.

- Chcę was prosić o radę. - Philip nigdy dotąd nie prosił ich o radę, zawsze sam udzielał rad. Zainteresowane pochyliły się nad stolikiem. - Zapadła się podłoga w klubie golfowym - wykrztusił w końcu Philip. Clio i Kit

535

popatrzyły po sobie nic nie rozumiejącym wzrokiem. -I to kompletnie - dodał. - Zbliża się Nowy Rok, zabawy sylwestrowej tam nie urządzają, więc pomyślałem sobie, że... że spróbuję zorganizować ją w hotelu. W „Centralnym”.

- W „Centralnym”?! - wykrzyknęły Kit i Clio z tak wielkim niedowierzaniem w głosie, że Philip musiał przejść do obrony.

- Przynajmniej podłogę mamy całą - mruknął, urażony.

- No tak, oczywiście, ale... - Kit doszła do wniosku, że powinny otrząsnąć się z oszołomienia. - Ale to przecież sylwester, tańce, kolacja...

- Jadalnia jest bardzo duża - przerwał jej Philip. Rzeczywiście,

przypominała ponurą stodołę. Kit była tam tylko raz, kiedy Philip zaprosił ich na śniadanie. Mimo pochwał Maury sala wydawała się dość posępna. - Orkiestrę można by ulokować pod oknami w niszy. Gdyby był księżyc, rozsunęlibyśmy zasłony i jezioro wyglądałoby wspaniale.

- I wszyscy zamarzliby na śmierć, podziwiając widok - dogryzła mu Clio.
- Philip zadbałby o porządne ogrzewanie - broniła go Kit.

Posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie.

- Tak, ale zostało mi tylko kilka tygodni. Będziemy musieli powiedzieć członkom komitetu w klubie golfowym, że da się to zorganizować i że wszystko załatwimy jak trzeba.

- Łatwo ich nie przekonasz - zauważyła Clio.

- Ja nie, ale twój ojciec, Clio, i twój, Kit, daliby radę. - Dziewczęta milczały. „Centralny” nie miał dobrej opinii ani w domu Kit, ani w domu Clio. - Pamiętajcie, że w klubie nie ma podłogi.

- Myślę, iż woleliby ją naprawić niż organizować imprezę w innym miejscu - rzekła Clio.

- Nic z tego, sprawa trafiła do sądu. Spece, którzy układali podłogę, dawali gwarancję, a tu masz, wszystko szlag trafił i...

- Co na to twoi rodzice? - przerwała mu Kit. Szczegóły były nieistotne.

536

- Jeszcze o tym nie wiedzą.

- Powiedzą „nie” - przewidywała Clio.

- Początkowo, ale później mogą powiedzieć „tak”.

- Jasne, półtora miesiąca po sylwestrze. - Clio nie widziała nic dobrego w niczym i w nikim związanym z Lough Glass.

- Dlatego musimy przekonać ich, że to będzie bombowa impreza - odparł

Philip.

- My? To znaczy kto? - spytała podejrzliwie Kit.

- No... ty, Kit. Mogłabyś mi pomóc. Kończysz szkołę, masz kwalifikacje i same dobre stopnie. Gdybyś ty im o tym powiedziała, uwierzyliby ci prędzej niż mnie. Rodzice myślą, że ich dzieci nigdy nie dorastają.

Kit zamyśliła się. Istniało niebezpieczeństwo, że wdepnie w coś, co od samego początku jest skazane na niepowodzenie. A kto chciałby zadzierać z panem i panią O'Brienami?

Ale twarz Philipa tchnęła taką nadzieją...

I czyż nie byłoby cudownie, gdyby wszystko wypaliło? Pomyśleć tylko: prawdziwy bal tuż przed progiem ich domu! Oszłamiający bal, na którym ona i Stevie Sullivan wirowaliby pod girlandami kolorowych świateł. Na którym Emmet mógłby się zejść z Anną Kelly. Podczas którego Philip mógłby przekonać swoich ponurych rodziców, iż jest dorosłym mężczyzną z własnymi pomysłami.

- Co... co wy na to? - szepnął, nie śmiać odetchnąć.

- Nie wypali - mruknęła Clio.

- To przebojowy pomysł! - wykrzyknęła Kit. - Przy okazji rozwiążesz wszystkie swoje problemy, Clio.

- Jakim cudem? - spytała podejrzliwie Clio.

- Gdyby w Lough Glass odbywał się szalowy bal, wielka, powalająca z nóg gala i gdybyśmy przy organizacji tego balu pomagali, mogłabyś poprosić swego wspaniałego Michaela, żeby zamiast jechać do Anglii przyjechał do nas.

- Nie, nic by z tego nie wyszło...

- Owszem, na pewno by wyszło - Kit coraz bardziej zapalała się do

pomysłu. - I zaprosiłabym tego koszmarnego Kevina, żeby było weselej. Och, nie patrz tak na mnie, Philip. Dobrze wiesz, że go nie cierpię. Robię to, bo chcę być towarzyska i oddać przysługę Clio.

537

Clio zaczynała dostrzegać otwierające się przed nią możliwości.

- A gdzie by się zatrzymali? - spytała.

- W hotelu - odrzekła Kit.

- Nie jestem pewna, czy...

- W hotelu będzie kapitalnie - upierała się Kit.

- Zostało tylko kilka tygodni - skonstatował w panice Philip.

- Więc musimy ich porządnie wymaglować. Wszystkich.

- Wszystkich?

- Tak, wszystkich. Clio musi powiedzieć swoim rodzicom, ja swoim.

Musimy zarazić entuzjazmem twego ojca i tę straszną panią Hickey, bo to znakomita organizatorka.

- Ale nie należy do klubu golfowego - Clio znalazła wadę w planie.

- Nie, ale na pewno zechce dołączyć do grona organizatorów i będzie pracowała jak szatan.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Philip z błyszczącymi oczami.

- W ten weekend. W piątek wieczorem wrócimy pociągiem do domu. Nie będą wiedzieli, co w nich rąbnęło.

- Nie przypuszczam, żeby Dan podołał zorganizowaniu sylwestra na zlecenie klubu golfowego - powiedział ojciec Kit. - Zresztą same mówiłyście, że cuchnie tam zjełczałym sosem do mięsa.

- Przystanie cuchnąć, mamy na to kilka tygodni - odrzekła Kit. - Och, tatusiu, trochę więcej entuzjazmu! Musimy zmobilizować ludzi takich jak

wy, jak ty i ojciec Clio.

- Nie należę do elity towarzyskiej tego miasta...
- Nie, ale mógłbyś sprowadzić tu swoich kolegów z klubu, w przeciwnym razie impreza odbędzie się w Dublinie, w jakimś znanym lokalu, a nasz biedny, stary „Centralny” nigdy nie będzie miał szansy na to, żeby pokazać ludziom, na co go stać.
- Zawsze mówiłaś, że najlepiej by było, gdyby się zawalił. - Martin pokręcił głową, zdumiony całkowitą zmianą postawy Kit.

538

- Ale teraz jestem trochę starsza. Chcę zrobić coś dobrego dla Lough Glass. I dla Philipa. Philip jest moim starym przyjacielem.
- Martin - wtrąciła się Maura - gdyby bal zorganizowano u nas, byłoby znacznie poręczniej. To cudowne, moglibyśmy pójść wszyscy razem. I Emmet, i Clio, i Anna. Zamiast spotkania czworga starszków w klubie golfowym mielibyśmy prawdziwie rodzinne święto.
- Poza tym w klubie i tak byście się nie spotkali, bo nie ma tam podłogi - dorzuciła Kit.
- Cóż, bardzo chętnie dałbym Danowi i Mildred szansę, tylko czy oni tego chcą? Zawsze unikali wszelkich eksperymentów.
- Gdyby wiedzieli, że przyjdziecie na bal, że będą gościć elitę miasta, na pewno by się zgodzili.
- Nie jesteśmy żadną elitą - odparł Martin.
- Gdzie indziej być może nie - westchnęła Kit - ale w Lough Glass innego określenia na to nie ma.
- Pomożesz im? - spytał Emmet. - Philipowi, Kit i Clio?
- Nie chcę pomagać Clio - odrzekła Anna. - Za to chętnie wezmę udział

we wszystkim, co przyczyni się do jej upadku.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Ależ tak, jak najbardziej. Fakt, iż dogadujesz się z Kit, wcale nie znaczy, że to normalne.

- Wiem. - I rzeczywiście wiedział. Niewielu braci miało tak cudowną siostrę jak Kit. Obiecała, że mu pomoże, i pomogła: udało się jej odwrócić uwagę Steviego Sullivana od Anny Kelly.

Uważał Kit za dziewczynę w miarę ładną. Oczywiście jako brat miał kłopoty z obiektywną oceną jej urody i za nic nie potrafił zrozumieć, dlaczego Kit pociąga Steviego bardziej niż piękna Anna.

Ale bez względu na to, co Kit zrobiła, plan wypalił.

- Mam nadzieję, że nie umierasz przy nim z nudów - powiedział kiedyś.

- Nie - zapewniła go siostra. - Nawet dobrze się

539

bawię. Ale nie możesz zakładać, że odnieśliśmy pełne zwycięstwo. Na twoim miejscu jeszcze bym Anny nie ponaglała.

- Masz rację - przyznał roztropnie. I nadal zachowywał dużą ostrożność.

Anna wciąż miała nadzieję, że Stevie znajdzie dla niej czas - Emmet doskonale to widział - ale narzekała, iż ostatnimi czasy ciągle wyjeżdża do Dublina.

- Nie szkodzi - dodawał jej otuchy Emmet. - Jestem pewien, że na święta będzie w domu.

- Tak? Cóż, ja też mam taką nadzieję...

- No więc? Pomożesz nam? Mogłabyś przyjść z nim na bal.

O tym nie pomyślała. Rzeczywiście, chyba same niebiosa zsyłały jej taką okazję. Wspaniały bal ledwie o kilka kroków stąd. Zaczęła się

zastanawiać, w co by się ubrała.

- Jesteś bardzo miły, Emmet. Podobam ci się, mimo to... Bardzo to doceniam.

- Nie ma o czym mówić - Emmet był bardzo szarmancki. - Ostatecznie ja tobie też się jakiś czas podobałem. Może kiedyś będzie jak dawniej, ale rozumiem, że obecna sytuacja temu nie sprzyja.

- Zaslługujesz na kogoś wspaniałego. Na dziewczynę znacznie wartościowszą niż Patsy Hanley.

- Z Patsy całkiem fajnie się rozmawia, kiedy już się ją zna - zełgał Emmet.

Clio wiedziała, jak to rozegrać. Wiedziała, że jeśli sprowadzi problem „Centralnego” do zwykłej rozrywki, plan nie wypali. Dlatego przybrała wyraz twarzy wczesnochrześcijańskiej męczennicy.

- Clio, kochanie, uśmiechnij się. Tak bardzo czekamy na twój przyjazd, a ty siedzisz tu, jakby zbliżał się koniec świata.

- Bo dla mnie się zbliża, tatusiu.

- Nie możemy puścić cię do Anglii z ludźmi, których nie znamy.

- Wiem, już to mówiliście. Poddaję się, wygraliście. Ale nie możecie oczekiwać, że będę z tego powodu szczęśliwa.

- Wszyscy mamy swoje życie, Clio. Twoja mama bardzo się przez ciebie denerwuje.

540

- A ja denerwuję się przez nią i przez ciebie. Takie są fakty, tatusiu.

- Spędzimy razem miłe święta.

- Oczywiście.

- Może przyjechałby tu twój przyjaciel Michael? Może zechciałby cię

odwiedzić? Ciebie i nas wszystkich.

- Nie mogę go zaprosić. W Lough Glass nigdy się nic nie dzieje. Trzeba mieć dobry powód, żeby przyjechać tu aż z Dublina.

Tego samego wieczoru Peter Kelly poszedł do Paddlesa, gdzie dowiedział się o planowanym przedsięwzięciu.

- Uważam, że powinniśmy ich poprzeć - rzekł Martin McMahon.

- Chyba sam Bóg zsyła nam to rozwiązanie. - Doktor Kelly był bardzo zadowolony. - Możesz na nas liczyć, Martin, i jeśli to nie przywoła uśmiechu na twarzy mojej córki, nie rozweseli jej absolutnie nic.

Clio zachowała dużą powściągliwość.

- Myślałem, że będziesz zadowolona - powiedział rozczarowany Peter.

- Tak, ale najpewniej nigdy do tego nie dojdzie. Dobrze wiesz, że ci wszyscy zramolali emeryci uznają, że „Centralny” nie jest przybytkiem, gdzie mogą zorganizować swego uświęconego sylwestra.

- Bo nie jest, to straszny hotel. - Doktor Kelly był bardzo zakłopotany. - Ty i Kit ciągle powtarzałyście, że to koszmarnie miejsce.

- Tak jest i tak będzie, bo nasi staruszkowie nie chcą nic zmieniać - odparła Clio.

- Tak, wiem, jakie masz poglądy w tej sprawie. My, starcy, wszystko zrujnowaliśmy, pytanie tylko, co robicie wy, ludzie młodzi? Nic. Ciągłe siedzicie, narzekacie i gderacie.

- Gdyby straszni rodzice Philipa i w ogóle wszyscy rodzice przestali potrząsać kudłami i gadać, że nie potrzeba nam żadnych zmian, pomogłabym mu doprowadzić hotel do stanu używalności.

Peter Kelly przeciągnął ręką po szybko łysiejącej głowie.

- To bardzo miło z twojej strony, że nazywasz to kudłami - powiedział z

nadzieją, że ją rozweseli.

541

- Nie wyglądasz najgorzej, tatusiu - odrzekła ze smutnym uśmiechem.
- I chcielibyście, żebyśmy zorganizowali tam sylwestra, mimo że jesteśmy bandą stetrycziałych staruszków?

- Tak. Pozostali byliby normalni - odrzekła.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia zostaniesz matką i dowiesz się, jak to przyjemnie, gdy córka cię chwali, zamiast wiecznie wytykać winy i wady.

- Rzadko okazywał jej uczucie. Zwykle się z sobą przekomarzali i żartowali.

- Jestem pewna, że kiedy nadejdzie czas, będę wspaniałą matką.

W jej głosie zabrzmiała fałszywa nutka. Od pięciu dni powinna mieć okres. Pięć dni spóźnienia. Żarliwie wierzyła, że czas zostania matką jeszcze nie nadszedł.

- Oni tu nie przyjdą - prychnął pogardliwie ojciec Philipa.

- Mogliby tu przychodzić od lat, ale zawsze woleli tę swoją betonową stodołę - dodała Mildred.

Philip zacisnął zęby. Nie, nie da się ponieść nerwom. W college'u uczono go, że dobry hotelarz nie może okazać po sobie zdenerwowania, nawet gdyby się w środku gotował. Powtarzano im to na każdym kroku. Musiał to ćwiczyć w różnych hotelach, gdzie odbywał praktyki.

- Nie mają dokąd pójść - odrzekł.

- Wyprujemy z siebie flaki, żeby to zorganizować, a w przyszłym roku i tak wrócą do swojej stodoły. - Matka Philipa mocno odczuwała fakt, że nie należała do klubu golfowego. To, że w golfa nie grała, nie miało żadnego znaczenia.

- Moglibyśmy odnieść tak wielki sukces, że powierzyliby nam organizację następnego sylwestra. Nie tylko oni, inni też.

- Inni? - spytał Dan O'Brien. - A jak by się dowiedzieli, że odnieśliśmy sukces, zakładając, że będzie to sukces?

- Zrobimy zdjęcia i roześlemy je do różnych gazet, nawet do czasopism.

- Wrócisz do Dublina i zostawisz nam na głowie całą robotę.

542

- Nie. Będę przyjeżdżał w każdy weekend, spędzę tu całe święta.

- Nawet nie masz pojęcia, jak...

Philip był znużony, ale wiedział, że podobne rozmowy odbywają się w domach Kit i Clio.

- Fakt, o wielu rzeczach nie mam zielonego pojęcia, ale jesteśmy hotelarzami, ojciec. Cała nasza trójka, prawda, mamo? I jeśli kiedykolwiek dane nam będzie zrobić coś nowego, coś ekscytującego, to teraz jest okazja: podano ją nam jak na talerzu. - Nie wiedział, dlaczego użył takich, a nie innych słów, ale najwyraźniej podziałały.

Matka i ojciec popatrzyli na siebie z iskierką entuzjazmu w oczach. Trzeba było mieć refleks, żeby ją zauważyć, ale nie ulegało wątpliwości, że naprawdę zapłonęła.

- No, a jak ogrzejemy salę? - spytał ojciec i Philip wiedział, że bitwa jest wygrana.

Utworzyli mały komitet organizacyjny i spotkali się w hotelu. Kit protokołowała przebieg zebrania w wielkim notatniku. Miała zamiar przepisać notatki na maszynie i rozdać je członkom komitetu, żeby wszyscy wiedzieli, co zostało uzgodnione. Siedzieli w zimnym pokoju śniadaniowym - brzydkiej kwadratowej sali, której niewielki ogień

płonący na dymiącym kominku prawie wcale nie ogrzewał.

Dyskutowali konkretnie i rzeczowo, jak na hotelarzy przystało, choć wierzchnich okryć nie zdjęli. Kit miała na sobie granatową kurtkę z wełny i szal z angory. Clio szary płaszcz, spod którego wystawał kołnierzyk brzoskwiniowej bluzki - wyczytała gdzieś, że kolor brzoskwiniowy rozjaśnia twarz. Anna kurtkę we wzorzystą szkocką kratę. Patsy Hanley wbiła się w granatowe palto z gabardyny, trochę na nią przyciasne i niezbyt twarzowe. Przynęła sobie powiedzieć matce, że nie ma sensu być córką właścicielki sklepu odzieżowego, skoro jest się najgorzej ubraną dziewczyną w mieście. Emmet nałożył gruby wełniany sweter i brązową kurtkę z paskiem. Michael Sullivan miał na sobie szare palto, którego kołnierz zasłaniał długie ciemne włosy. Nie był tak przystojny jak jego brat, ale pewnego dnia, gdy z twarzy znikną mu pryszcze, a ramiona się wypełnią, kto wie, może okazać się takim samym Casanovą.

543

Młodzież Lough Glass postanowiła, że zorganizowany przez nich sylwester będzie tak wspaniałym balem, jakie oglądali na filmach. Impreza podobną do tych, na jakie chodzili inni, a jaką musieliby zorganizować, gdyby zechcieli przyjechać tutaj.

Philip wystąpił w domowym ubraniu. Potraktował to jako akt wiary w swój hotel, bo gdyby i on ubrał się w strój rozbitka dygoczącego w szalupie ratunkowej, wyglądałoby na to, że zrezygnowany opuścił rękę.

Świetnie sobie radził jako przewodniczący komitetu. Od samego początku wiedział, że nie powinien mówić o swoim hotelu czy o swoim balu, i ciągle podkreślał, że jest to ich wspólne przedsięwzięcie.

- Czy ktokolwiek z nas był kiedyś na imprezie w klubie golfowym? -

spytał.

Okazało się, że nikt. I właśnie to było ich głównym zadaniem: musieli poznać plusy i minusy balów organizowanych w klubie. Wszyscy otrzymali konkretną misję. Nawet Patsy Hanley, której matka nigdy tam nie była. Philip wyznaczył jej odpowiedzialną rolę.

Otóż Patsy miała przeprowadzić rekonesans w damskiej szatni oraz w toalecie i sprawdzić, czy są tam lustra, ile mają tam kabin, czy goście wieszają okrycia na długim wieszaku, czy też oddają je szatniarce, która wręcza im numerki? A może byłoby lepiej, gdyby wykorzystali do tego celu jedną z hotelowych sypialń? Patsy miała wrócić ze sprawozdaniem w niedzielę po południu.

- Jak ja się tego wszystkiego dowiem? - spytała.

- Przeprowadź rozpoznanie - poradził Philip.

- Jesteś znakomita w wypytywaniu ludzi - wtrącił Emmet. - Umiesz z nimi gawędzić. - Zauważył, że Anna Kelly gwałtownie podniosła głowę. Emmet odpowiadał za zebranie informacji na temat wymagań panów. Miał wypytać o to swego ojca, doktora Kelly'ego, księdza Baily'ego, słowem wszystkich, którzy bywali w klubie golfowym.

Clio powierzono opracowanie zestawu pomysłów na wystrój wnętrza.

Pierwsze wrażenie z udekorowanej sali jest niezwykle istotne. Pomysły miały zostać omówione i przegłosowane, żeby ustalić, co mogli zrobić, a co leżało poza

544

ich możliwościami. Clio była mile połączona, że jej pomysły mogłyby ich przerastać. Postanowiła przejrzeć odpowiednie czasopisma i sumiennie przeanalizować problem.

Michael Sullivan i Kevin Wall zostali oddelegowani do opracowania pomysłu na upiększenie hotelowego frontonu. Michael dlatego, że Sullivanowie zmodernizowali fronton warsztatu i upiększyli całość zielenią i kwiatami. Kevin zaś dlatego, że jego brat był budowlańcem - pracował na akord - i większość materiałów miała pochodzić od Wallów. Ich zadaniem było opracowanie projektu i oszacowanie kosztów. Anna Kelly miała skoncentrować się na praktycznych sugestiach dotyczących zasłon i oświetlenia oraz dostosowaniu ich do ogólnej wizji opracowanej przez Clio.

- Jak mogę dopasować zasłony, skoro nasza wspaniała dekoratorka nie opracowała jeszcze ogólnej koncepcji wnętrza? - spytała.

Wydawało się, że Philip nie słyszy wyraźnego sarkazmu w jej głosie.

- Słuszna uwaga, Anno, właśnie to jest najtrudniejsze - odrzekł. -

Cokolwiek wymyślisz, musi to być coś absolutnie genialnego, bo nie mamy pieniędzy na zgrywanie jednego z drugim. Jesteś zdana na własne siły. - Wyglądało na to, że Anna jest bardzo z tego zadowolona.

Kit popatrzyła na Philipa ze szczerym podziwem. Nad wszystkim panował, był o wiele lepszym dyplomata, niż myślała.

- A ja? - spytała nagle, z trudem powściągając entuzjazm. Jakkolwiek by na to patrzeć, to ona była siłą napędową całego przedsięwzięcia. - Mam tylko protokołować?

- Kit i ja zajmiemy się przygotowaniem menu - oznajmił Philip. - Ostatecznie jesteśmy fachowcami i chcielibyśmy, żeby nasi goście wspominali tę kolację do końca życia.

- I tak jej nie zapomną, bo większość z nich trafi do szpitala z odmrożeniami - mruknął Kevin Wall.

- Do niedzieli mój ojciec zawiadomi nas, ile pieniędzy może przeznaczyć na zainstalowanie grzejników i pieców kumulacyjnych - odparł niezrażony Philip. - Spotkamy się tu o trzeciej, dobrze?

545

Rozchodzili się do domów każde ze swoimi marzeniami. Clio, która z wielką ulgą dowiedziała się, że nagłe macierzyństwo jej nie grozi, była w wyśmienitym humorze. Myślała o noworocznym balu. Tak, dopilnuje, żeby przynajmniej jeden z przerażająco pustych pokoi hotelowych - położony jak najdalej od wścibskich oczu - został odpowiednio urządony. Patsy Hanley czuła się szczęśliwa. Emmet McMahon pochwalił ją w obecności tej zadufanej w siebie Anny Kelly.

Kevin Wall i Michael Sullivan, choć nigdy by się do tego nie przyznali, byli mile polechtani, że dane im jest uczestniczyć w nowym przedsięwzięciu. Jeszcze do niedawna uważano ich za młodych chuliganów, których należałoby raczej przepędzić, gdzie pieprz rośnie niż zapraszać do organizacji balu.

Philip był zadowolony z przebiegu zebrania. Wszyscy zaoferowali swoją pomoc. Jeśli sprawa się rypnie, będzie to wpadka grupowa, a Kit na pewno stanie po jego stronie, i to bez względu na ostateczny rezultat przedsięwzięcia.

Emmet McMahon wiedział, że bal to wielka szansa, szansa na powrót Anny Kelly, i to tu, w tym mieście, na ustalonych przez niego warunkach. Kit McMahon i Anna patrzyły w stronę warsztatu, gdzie Stevie rozmawiał z klientem. Ani jedna, ani druga nie śmiała mu przeszkadzać w pracy. Obie wiązały z nim wielkie nadzieje, które miały się spełnić podczas noworocznego balu.

Lena nie wiedziała, jak zdołała przetrwać dni po ślubie Ivy. Jak to możliwe, że zachowywała się jeszcze zupełnie normalnie? Ktoś jej kiedyś opowiedział, jak reagują kurczaki, kiedy obetnie się im głowę. Przez chwilę biegają w kółko, jakby wciąż ją miały, jakby nic się nie zmieniło. Ten ktoś nie wspomniał, co działo się później. Pewnie padały na ziemię i zdychały.

W minionym tygodniu poczyniła tyle odkryć. Odkryła rzeczy, których odkrywać wcale nie zamierzała, o których w ogóle nie chciała wiedzieć. Tak, niedługo miał porzucić pracę w „Drydenie”. Zamierzał zostawić Lenę i wyjechać. Czasami podejrzewała, że do Irlandii. Do domu wracał bardzo rzadko, najczęściej tylko po listy, które zamiast do

546

hotelu zaczęły przychodzić na adres prywatny. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem dostawał jakieś listy. W rozmowach przewijał się wątek Irlandii. Nie Irlandii sprzed lat, którą dobrze znali, lecz Irlandii dzisiejszej. Nigdy nie zostawał na noc. Nie wypytywała go ani o szczegóły imprez, które podobno organizowali, ani o terminarz nocnych zmian. Jakby oboje czekali. Na dzień, kiedy wszystko jej powie.

Lena była słaba i wątła. Wewnętrzna siła - nic, która nie pozwalała jej się rozpaść, przetrwała się do tego stopnia, że w każdej chwili mogła pęknąć. Kiedy wkrótce po napisaniu do Dublina zobaczyła list od Kit, serce zamarło jej z przerażenia. Boże - błagała - niechaj córka jej nie dobija. Nie teraz, nie w tej chwili. Niechaj nie wyśmiewa jej długiego listu, którego teraz tak bardzo żałowała, listu z opisem ślubu i przyjęcia weselnego Ivy. Co będzie, jeśli Kit powie jej, że nie życzy sobie czytania plotek o ludziach, których w ogóle nie zna? Co będzie, jeśli powie jej, że nie życzy

sobie dalszej korespondencji, jeśli zechce przeciąć zbawczą linę ratunkową, która była wszystkim, co Lenie zostało?

- Proszę cię, Boże... - otworzyła kopertę.

Zdała sobie sprawę, że już dawno Boga o nic nie prosiła. Dlaczego miałby jej pomagać?

Droga Leno!

To musiał być wspaniały ślub. Jakbym oglądała film: mogłam sobie wszystkich wyobrazić, zwłaszcza tego straszego družbę.

Zdałam sobie sprawę, jak bardzo brakowało mi Twoich listów z czasów, kiedy byłaś dla mnie po prostu Leną, przyjaciółką Matki. I jak bardzo brakowało mi pisania do Ciebie, chociaż ostatnio nie mam czasu, aby spokojnie odetchnąć, nie wspominając już opisaniu. Nie uwierzysz, jak Ci powiem, co zamierzamy zrobić. Zanim zaczniesz to czytać, lepiej usiądź. Otóż chcemy urządzić w „Centralnym” wielki bal sylwestrowy...

Nie dowierzając swemu szczęściu, pałającymi z podniecenia oczami czytała opowieść o zmianach w hotelu O'Brienów i o pracy komitetu organizacyjnego.

547

Nawet Clio bierze w tym udział, ale robi to tylko dlatego, że na balu będą ci O'Connorowie, którymi tak się zachwyca. Myślała, że pojedą do Londynu i nic z tego nie wyjdzie, ale kiedy wszechmogący Michael oznajmił, że przybędzie do Lough Glass, natychmiast pobłogosławiła nasze przedsięwzięcie.

Lena skrzyżowała ręce na piersiach i zachichotała. Słyszała głos Kit, Kit dziewięcio-, dziesięcio-, jedenasto-, dwunastoletniej... Już wtedy narzekała, że przyjaciółka ma fochy i ciągle się puszy, mimo to coś ją do

niej ciągnęło. List tryskał życiem i entuzjazmem. Tylko ostatni akapit był utrzymany w nieco innym tonie.

Nie piszesz, czy na ślubie był Louis. Nie chcę, byś odniosła wrażenie, że nie powinnaś o nim wspominać, że musisz wykreślać jego imię ze wszystkiego, o czym mi opowiadasz.

Z najgorętszymi życzeniami

Kit.

Nie mogła powiedzieć jej o Louisie. Na całym świecie została jej tylko Kit i Lena chciała uchodzić w jej oczach za kobietę z klasą, a nie za sponiewieraną i odrzuconą idiotkę, którą w rzeczywistości była.

Przeczytała list kilka razy, zwłaszcza fragmenty dotyczące planów związanych z hotelem O'Brienów. Niektóre były absurdalne, inne całkiem możliwe do zrealizowania. Zastanawiała się, ile Kit ma pieniędzy. Chętnie zainwestowałyby w organizację balu, a później w program modernizacji „Centralnego” w Lough Glass. Ostatecznie irlandzkie hotele radziły sobie całkiem nieźle. Nadchodził ich czas.

Lena wiedziała o tym z pierwszej ręki.

- Będziemy musiały przyjechać w przyszły weekend - powiedziała Kit.
- Nie mogę prosić o to wszystkich - odrzekł Philip.
- Nie, chodzi tylko o mnie i o Clio. Pozostali są już na miejscu. -

Rozmawiali w altanie. Uzgodnili, że z okazji balu trzeba ją odmalować i ozdobić girlandami kolorowych lampek.

548

- Pewnie macie tam ciekawsze zajęcia. - Philip się zmienił. Był o wiele miłszy niż wówczas, gdy zakładał, że są niczym księżę i księżniczka przyrzeczeni sobie od urodzenia.

- Och, dla Clio będzie dużo lepiej, jeśli wróci do domu. Ten kretyn, w którym się zakochała, doceni ją o wiele bardziej, jeśli Clio wyjedzie, zamiast czekać na każdy jego ruch.

- A ty?

- Już ci mówiłam. Nie mam żadnego romansu. Z ręką na sercu, nic mnie w Dublinie nie trzyma.

Mówiła prawdę. Stevie Sullivan pracował w każdy weekend, każdy weekend spędzał w domu. Nie zrobiła nic, żeby się z nim skontaktować, ale krążyła wokół niego niczym strażniczka gotowa wkroczyć do akcji, gdyby zrobił krok w stronę Anny Kelly.

Wszystkie hotele O'Connora organizowały program świąteczny. Coraz więcej rodzin uważało, że pobyt w jednym z nich to rzecz bardzo wygodna i w dobrym tonie. Wszystko za ciebie robią - mówiono - i atmosfera jest cudowna. Ci, którzy twierdzili, że nie ma tam prawdziwie bożonarodzeniowego nastroju, niemal zawsze należeli do grona ludzi uboższych.

- Będziesz pomagał przy organizacji którejs z imprez? - spytała Kit Kevina O'Connora.

- Niech Bóg broni! Mam od groma roboty w college'u i miałbym jeszcze harować w święta?

Kit zastanawiała się, jak O'Connor wychował swoich synów. W ogóle nie interesowało ich to, co ostatecznie mieli kiedyś odziedziczyć.

- W takim razie dokąd jedziesz?

- Moja siostra z Anglii ma nowego faceta, chyba nawet narzeczonego. To bardzo, baaardzo wielka tajemnica, ale myślę, że gość kupił już pierścionek zaręczynowy, więc wszyscy jedziemy do Londynu.

- To Anglik?
- Nie wiem. Chyba tak. - O poczynaniach członków rodziny O'Connorowie wiedzieli bardzo niewiele.

549

- Twoi rodzice aprobują ten związek?
- Tak im ulżyło, że Mary Paula wychodzi za mąż, iż wszystko im jedno.
- Na pewno nie.
- Tak, tak. Jeszcze trochę i zostałyby starą panną.
- Ile ona ma lat?
- Zaczekaj, nie wiem dokładnie, ale... Tak, musi dobić trzydziestki.

Michael i ja jesteśmy dużo młodsi.

- Mali spóźnialscy... Jakie to słodkie!
- A ty? Masz dużą rodzinę?
- Tylko brata - już mu o tym mówiła, ale zapomniał.
- Bardzo szykowne. Mała rodzina, jak u protestantów.
- Clio też ma tylko siostrę.
- Tak, Michael mówił, że to dość przerażająca siostrzyczka.
- Fakt, potrafi być nieznośna - zgodziła się z nim Kit. - Za to jest bardzo ładna. Lubisz Mary Paule?
- Prawie jej nie pamiętam. Była w porządku, zawsze spraszała do domu mnóstwo przyjaciół. Chyba uważała, że jesteśmy nudni jak flaki z olejem. Ściąga nas na to londyńskie przyjęcie tylko po to, żeby pochwalić się rodzinką.
- A więc nie palisz się do tego wyjazdu?
- Nie, nieszczególnie. Dlaczego? Organizujesz konkurencyjną imprezę? - Kevin przysunął się bliżej.

- W pewnym sensie. Będzie wspaniały bal. Przejęliśmy hotel Philipa. Wszyscy się tam zatrzymają.
- Ale to gdzieś na końcu świata - wyparował z niego cały entuzjazm.
- Nie na końcu świata, tylko w moim rodzinnym mieście i w rodzinnym mieście Clio, Stewiego i Philipa. To piękny stary dom w gregoriańskim stylu, a nie nowoczesne betonowe szkaradztwo. Będziemy mieli cudownego sylwestra. Zamierzałam cię zaprosić, ale skoro masz do tego tak niechętny stosunek...
- Nie, skąd... - teraz był pełen skruchy.
- No, cóż, może to rzeczywiście trochę za późno...
- Michael też przyjedzie? Będzie ktoś z Dublina?
- Nie mam pojęcia, czy Michael przyjedzie, czy nie.

550

Jeśli odpowie Clio tak jak ty mnie, to na pewno nie. Ale nic się nie martw, mamy mnóstwo chętnych.

- Nie, źle mnie zrozumiałaś...
- Posłuchaj, Kevin, nasi goście obejdą się bez braci O'Connorów. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Przez chwilę chwalił się i tłumaczył, później poszedł do telefonu. Kit uśmiechnęła się do siebie. Nawet nie musiała podsłuchiwać, żeby wiedzieć, do kogo dzwoni i po co.

- Michael? Mówi Kevin. Czy Clio wspominała ci o jakimś wielkim balu, który organizują na tym zadupiu? Nie? No to ją spytaj. I, na miłość boską, bądź dla niej miły. Powiedz, że chcesz jechać. Zatrzymamy się w hotelu, będzie inaczej niż ostatnim razem... Mary Paula? Ona ma to gdzieś. Spędzimy razem święta, to wystarczy. Tak czy inaczej zanoszą się na niezłą

zabawę.

- Musimy zdobyć fanty - powiedział Philip.
- Oczywiście, że musimy - odrzekła Kit. - Niech Anna je zbierze.
- Dlaczego Anna?
- Bo jest ładna i czarująca. Ludzie jej nie odmówią.
- Ty też jesteś ładna, tobie też by nie odmówili.
- Chryste, Philip, mam wystarczająco dużo roboty. Niech Anna to załatwi. Zresztą ona jest tu cały czas, a ja nie. Niech postawi to sobie za punkt honoru, żeby zdobyć jak najwięcej fantów. Powiedz na zebraniu, że powierzasz jej bardzo ciężkie zadanie. Zaharuje się na śmierć.
- Ty jej chyba nie lubisz, co?

Kit popatrzyła na niego w zadumie. Musi zachować ostrożność, bo inni też to zauważą.

- Czasami myślę o niej jak o wrednej siostrzyczce Clio. Ale nie, moim zdaniem to wspaniała dziewczyna, dlatego zaproponowałam, żeby to ona wydebiła od ludzi fanty na loterię.
- Stevie Sullivan uważa, że Anna to wspaniały łup.
- Daj spokój, jest dla niej za stary.
- Nie wiem, tak słyszałem. - Gdy to mówił, wyglądał jak jego matka: sztywny, afektowany, ze ściągniętymi ustami. Przypominał wiejską plotkarkę.

551

- Powiadają, że Stevie Sullivan lata za wszystkim, co się rusza - powiedziała Kit. - Ale niechaj nas to nie powstrzymuje. Mamy co robić. Musimy zorganizować bankiet.

Wzięła go pod rękę, a Philip wyprostował się dumnie. Nareszcie wszystko

szło po jego myśli. Dobrze zrobił, że spokojnie odczekał i nie ponaglał jej jak głupiec. Oto byli w Dublinie, oto prowadził Kit pod rękę, oto snuł plany na przyszłość. Plany związane ze swoim hotelem. Z ich hotelem. Jego nadzieje powoli się spełniały.

- A więc na sylwestra przyjeżdżają tu O'Connorowie - rzuciła Maura jakby od niechcenia, stając w progu sypialni Kit. Ilekroć mówiła tym tonem głosu, było wiadomo, że coś ją gryzie.

- Tak, Michael i Kevin. Zatrzymają się w hotelu. Zresztą nie tylko oni, z Dublina przyjeżdża sporo gości. Philip daje nam specjalną zniżkę.

- Po tym, co dla niego zrobiliście, nie powinien wziąć od was ani pensa - Maura wiedziała, że harują jak banda szaleńców.

- Będzie wspaniale, wszyscy wkładają w to tyle serca.

- A ci O'Connorowie...

- Tak?

- Clio chodzi z jednym z nich, prawda?

- Przecież znasz Clio. Podziwia ją pół Dublina.

- To nie próżna ciekawość, Kit. Nigdy nie wypytuję cię o waszych przyjaciół.

- Ale o O'Connorów spytałaś.

- Tak, to prawda, i powiem ci, dlaczego - na twarzy Maury wykwitł leciutki rumieniec. Macocha nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

- Daj spokój, Mauro. Wejdz do środka i usiądź - Kit zabrała z krzesła notatniki i broszury.

- Dawno temu znałam ich ojca i nigdy za nim nie przepadałam, ale to nie ma nic do rzeczy. Biedna Mildred O'Brien jest jak szara mysz, a zobacz tylko, jakiego syna wychowała.

- Tak, widzę - Kit czekała.

552

- W zeszłym tygodniu byłam w Dublinie.

- Nic mi nie mówiłaś.

- Pojechałam do szpitala na badania.

- O Boże! - Kit była porażona.

- Nie, proszę cię, Kit. Właśnie dlatego nic ci nie mówiłam. Jestem kobietą w średnim wieku, moje trybiki i śrubki trochę się poluzowały i grzechoczą. Pomyślałam sobie, że najlepiej będzie zrobić to dyskretnie.

- I co stwierdzili?

- Jeszcze nic i pewnie nic złego nie stwierdzą, ale pozwól mi dokończyć.

- Co badali?

- Łono, skarbie. Niewykluczone, że będą musieli usunąć mi macicę.

Mówią, że to wspaniała operacja, po której poczuję się o niebo lepiej niż teraz, ale jeszcze długa droga przed nami. Nie zamierzałam ci o tym mówić, nawet ojcu nic nie powiedziałam.

- Jesteśmy twoją rodziną, Mauro, musisz...

- Wiem, nikt nie ma wspanialszej rodziny ode mnie i jestem wam za to wdzięczna, ale wierz mi, nie o tym chciałam mówić. No tak, wszystko wypaplałam. Czy mogę ci teraz powiedzieć, o co mi chodzi?

- Tak?

- Zostałam w szpitalu na noc i wiesz, kogo tam spotkałam? Francisa O'Connora, ojca bliźniaków z Dublina.

- O'Connora? Lepkie Palce też przechodził jakieś badania?

- Albo kogoś odwiedzał. Tak czy inaczej był ostatnią osobą, którą chciałam spotkać. Tymczasem on miał wielką ochotę na pogaduszki i

zapraszał mnie na kawę do Shelbourne'a.

- Popatrz tylko, kogo można spotkać leżąc w dublińskim szpitalu.
- Próbowałam się go pozbyć, ale uparł się, żeby usiąść i powspominać stare czasy.

- No i?

- To... to bardzo wulgarny człowiek, Kit. Zawsze taki był i już się nie zmieni. Powiedział... Dał mi do zrozumienia, że... - Kit czekała. - Nie pamiętam dokładnie, jakich

553

użył słów, przypuszczam, że celowo nie chciałam ich zapamiętać ani w ogóle z nim rozmawiać, bo miałam dość własnych zmartwień, ale... - Maura urwała.

- Biedna Maura - szepnęła ze współczuciem Kit.

- Powiedział... Właściwie to tego nie powiedział, ale na jedno wychodzi...

- Daj spokój, Mauro. Wal prosto z mostu.

To podziałało. Zaszokowana Maura w końcu coś z siebie wykrztusiła.

- Powiedział, że jego synowie sypiają z tobą i z Clio, że zaprosiłyście ich na poświęteczny tydzień, bo chcecie sobie dogodzić. Jest zły, bo mieli wyjechać do Anglii na zaręczyny córki, która wychodzi za mąż za kogoś, kto przyjeżdża do Irlandii, żeby poprowadzić jeden z jego hoteli...

- Co takiego?!

Kit aż pobladła z wściekłości.

- Posłuchaj, Mauro, powiem ci coś, co cię bardzo rozweseli. Jestem dziewicą, jeszcze nigdy z nikim nie spałam, ale nawet gdyby zależało od tego los całej ludzkości, nie poszłabym do łóżka z tym przebrzydłym wypierdkiem, z tym kutafonem Kevinem!

Maura była przerażona gwałtownością jej reakcji.

- Żałuję, że cokolwiek powiedziałam...

- Nie, nie, cieszę się, że to powiedziałaś, bardzo się cieszę - oczy Kit pałały gniewem.

- Może lepiej już nic na ten temat... - Maura wiedziała, że otworzyła służbę tamy.

- Nie, nie mogę tego tak zostawić. Ci obrzydliwi, ci ohydni O'Connorowie do czegoś się zobowiązali. Podpisali oficjalny dokument, w którym przyrzekają powstrzymać się od rozpowszechniania wrednych kłamstw na mój temat, i nie dotrzymali umowy.

- Podpisali... Co podpisali?! - Maura była przerażona.

- Kevin O'Connor zarzucił mi niegodne prowadzenie się, więc mój adwokat wysłał do niego oficjalny list. Przeprasili mnie, Kevin i jego ojciec, zapłacili mi odszkodowanie za nadszarpnięcie reputacji, za podawanie w wątpliwość mojej cnoty i pomniejszenie szans na wyjście za mąż.

Maura wytrzeszczyła oczy.

554

- Zmyślasz, Kit, prawda? Kit uśmiechnęła się szeroko.

- Pokażę ci list od O'Connora.

- Adwokat? Oficjalne pismo? Poszłaś do kancelarii adwokackiej?! - zaszokowana Maura aż osłabła z wrażenia.

- Tak naprawdę załatwił to Paddy Barry, no wiesz, brat Frankie, ale list był napisany na firmowym papierze i wyglądał jak prawdziwy. Tak czy inaczej O'Connorowie śmiertelnie się przestraszyli i zapłacili odszkodowanie - Kit uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych chwil.

- Kazałaś koledze zagrozić O'Connoram i zażądać od nich pieniędzy. Nie wierzę własnym uszom.

- Spójrz tylko, co wygadywał na mnie ten staruch! Co wygadywał na mnie jego synalek! Powiedział, że z nim spałam, że jestem do wzięcia, że każdy może mnie mieć. Powiedział to swemu bratu, brat powtórzył to Philipowi O'Brienowi, więc równie dobrze mógł dać ogłoszenie w „Evening Herald”. I co? I miałam to puścić koło uszu? Miałam uznać, iż to tylko taka zabawa?

Maura nigdy nie widziała, żeby Kit tak się wściekła.

- No nie, oczywiście, że nie, ale...

- Żadne „ale”, Mauro - odparła Kit z zaciętym wyrazem twarzy. - Tu nie ma żadnych „ale”. Ojciec Kevina, który musiał wybulić sporo pieniędzy, najwyraźniej uważa, iż to przednia historyjka, skoro łamie przyrzeczenie i opowiada ją mojej macosze.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała zaniepokojona Maura.

- Mogłabym poprosić adwokata, żeby przypomniał O'Connorowi o swoich zobowiązaniach - odrzekła wyniośle Kit.

- Wpadniecie, i ty, i twój adwokat - ostrzegła ją Maura.

- Masz rację. Masz absolutną rację. Sama do niego napiszę. Powiem, że zanim przekażę sprawę w ręce adwokata, pragnę zwrócić się do niego osobiście - uśmiechnęła się na myśl o nowym wyzwaniu. Jej entuzjazm i poczucie niegodziwości były zaraźliwe.

- Tak - powiedziała Maura - to naprawdę odrażające.

555

Wygadywać takie rzeczy o tobie i Clio. Nie wolno mu na to pozwolić. -

Spotkały się wzrokiem i długo patrzyły sobie w oczy.

- Tym razem będę walczyć tylko o swoją sprawę, Mauro. Clio może walczyć o swoją.

Maura nie musiała o nic pytać. Doskonale wiedziała, że córka siostry nie pójdzie do adwokata i nie wyśle do O'Connorów żadnego listu.

Na kopercie dopisała: Poufne.

Szanowny Panie!

Mój adwokat nie pochwali mnie za to, że piszę do Pana osobiście, lecz czynię to ze względu na powiązania rodzinne.

Z pewnością przypomina Pan sobie list, który raczył Pan do mnie wysłać (kopia w załączeniu) oraz zobowiązania, jakich się Pan podjął. Niestety doszły mnie smutne wieści, że w rozmowie z moją macochą, panią Maurą McMahan z domu Hayes, wypowiadał się Pan o mnie używając określeń, które zmusiły mnie do szukania pomocy prawnej w reakcji na wypowiedzi Pańskiego syna.

Żądam, żeby wysłał Pan do pani McMahan stosowny list, w którym cofnie Pan wszystko, co zostało na mój temat powiedziane. Żądam również Pańskiego zapewnienia, że nie będę musiała podejmować dalszych kroków prawnych.

W normalnych okolicznościach podjęłabym je bez chwili wahania, lecz moja przyjaciółka, Cliona Kelly, utrzymuje bliskie stosunki z Pańskim synem i nie chciałabym przyczyniać się do skłócenia rodzin.

Oczekuję natychmiastowej odpowiedzi.

Z poważaniem Mary Katherine McMahan.

- Kevin?

- To ty, tato?

- Wyłącz tę cholerną muzykę, to będziesz wiedział, z kim rozmawiasz.

Czy ty w ogóle pracujesz, czy tylko otumaniasz się tym rock and rollem?

556

- Rzadko do mnie dzwonisz, tato - rzekł Kevin, czując się nieswojo.

- Fakt. A co, to takie dziwne? Znasz tę Mary Katherine...

- Kogo?

- Tę małą McMahanównę z Lough Glass.

- Kit? Tak, znam. A o co chodzi?

- O co chodzi, o co chodzi? Czy nie musiałem wybulić kupy pieniędzy, żeby zatkać jej gębę, kiedy rozgłaszałeś naokoło, że gziłeś się z nią jak królik?

- Tak, ale z tym już koniec, tato. To było nieporozumienie, przecież ci mówiłem.

- Nieporozumienie... To jakaś wariatka? Szajba jej odbija czy co?

- Nie, to znakomita dziewczyna. Dlaczego pytasz? - Ojciec milczał. - O co chodzi, tato? Przeprosiliśmy ją. Ja ją przeprosiłem, ty ją przeprosiłeś, przyjęła przeprosiny, i po krzyku. Teraz się z sobą przyjaźnimy.

- Taaa... - O'Connor skonstatował, że wina leży wyłącznie po jego stronie.

Myślał, iż ta milutka i pulchniutka Maura Hayes da się trochę rozruszać.

Co za koszmarny błąd! - Ta dziewczyna i jej przyjaciółka... Czy to te wariatki, dla których chcecie odwołać świąteczny wyjazd i pędzić do jakiegoś Loch Ness, czy jak się ta dziura nazywa?

- Lough Glass, tato, i jedziemy tam tylko na sylwestra. Przecież mama ci o tym mówiła. Święta spędzimy w Londynie.

- Nie mogę się już doczekać - mruknął O'Connor i odłożył słuchawkę.

- Kit, mówi Maura. Nie mogę długo rozmawiać, bo dzwonię z pracy.

- Jak się masz, Mauro? Powiedz Steviemu, że dobra księgowka jest warta

stosownej płacy. Masz prawo do tego, żeby od czasu do czasu zatelefonować.

- Nie ma go, wyszedł. Kit, dostałam od O'Connora zdumiewający list. Kit zachichotała.

557

- Spodziewałam się tego. Do mnie też napisał.

- Kit, ty chyba nie...

- Nie, Mauro. I kaktus mi tu wyrośnie, jeśli ten jego obłąkany synalek powie, że to zrobiłam.

- Clio?

- Cześć, Michael.

- Mogę cię odwiedzić?

- Nie, mam od groma roboty. Próbuję opracować plan wystroju pomieszczenia wielkości stodoły.

- Tego waszego hotelu w Lough Glass?

- Tak. Skąd wiesz? - Jeszcze nic mu o tym nie mówiła, nie przekonywała go ani nie namawiała, ponieważ chciała się najpierw upewnić, czy wszystko wypali.

- Kevin mi powiedział i mój ojciec.

- Tak, powinno być bombowo.

- Dlaczego mnie nie zaprosiłaś? - spytał ze smutkiem w głosie.

- Przecież będziesz w Anglii u Mary Pauli.

- Nie muszę jechać. Kevin nie jedzie.

- No cóż...

- Co no cóż? Dlaczego mnie nie zaprosiłaś?

- O ile pamiętam, Lough Glass nie bardzo ci się spodobało, gdy byłeś tam

ostatnim razem.

- Tylko dlatego, że wszystko poszło źle, a twoja siostrzyczka zachowywała się jak podrażniony owczarek alzacki.

Clio parsknęła śmiechem.

- Dobrze, muszę to zapamiętać.

- To co? Mogę przyjechać do Lough Glass?

- Bardzo bym się cieszyła. Po prostu nie chciałam, żebyś zanudził się tam na śmierć.

- I jeszcze jedno, Clio. Znasz Kit...

- Oczywiście. Znamy się, odkąd skończyłam pół roku.

- Mogłem się co do nich mylić. No wiesz, co do niej i co do Kevina.

- Wiem, że się myliłeś.

- W takim razie może lepiej nie mówmy, że ona i Kevin...

558

- Nigdy tego nie mówiłam. Chryste, ty chyba też nie. Mówiłeś?!

- Irlandia staje się państwem policyjnym - skonstatował Michael.

Peter Kelly i Martin siedzieli u Paddlesa.

- Lepkie Palce O'Connor kupił nowy hotel - powiedział doktor Kelly. - To już chyba piąty.

- Ciekawe, skąd to przezwisko - dumiał głośno Martin McMahon.

- Niezbyt dobre dla biznesmena. Brzmi tak, jakby maczał palce w ciemnych interesach.

- Od przezwiska się nie odczepisz. Pamiętasz Dupę Andrewsą?

Roześmiali się jak mali chłopcy.

- Ciekawe, gdzie on teraz jest. Poszedł do seminarium?

- Och, moim zdaniem Dupa Andrews jest teraz biskupem w Afryce albo

gdzieś tam. Może nosi długi biały habit. Nikt się nie domyśli, skąd to przezwisko.

- Lepkie Palce O'Connor... Nie wiem, dlaczego tak go nazywają, ale wygląda na to, że wszystko, czego tylko dotknie, zamienia się w złoto. Nasza Clio chodzi z jego synem. Jeszcze go nie poznaliśmy, ale ma przyjechać na ten wspaniały bal u O'Brienów.

Martin uśmiechnął się.

- To cudownie, że wszyscy tak chętnie wracają do domu, że tak bardzo ich to pochłania. Wszystkie ściany naszego mieszkania są obwieszane przepisami i projektami dekoracji stołów.

- Masz szczęście, bo u nas walają się gałęzie drzewa - odrzekł Peter Kelly.

- Chryste, po co im gałęzie?

- Nie mam zielonego pojęcia. Decor, jak powiada Clio. Mimo to jestem szczęśliwy, bo przestała się włóczyć z tym młodym O'Connorem. Z tego, co mówi Maura, wnoszę, że ich ojciec był trochę rozwydrzony. Jego synowie mogą być tacy sami.

- Jestem pewien, że Clio potrafi o siebie zadbać - odrzekł Martin.

559

- Mam nadzieję. Boże, jednego bym tylko nie przeżył: gdyby jakiś łachmyta wykorzystał którąś z moich córek. Chybabym go zabił, chociaż spokojny ze mnie człowiek.

- Kiedy cię zobaczę, Kit?

- Przecież mnie widzisz, Stevie.

- Tak, ale już za dwie minuty uciekniesz na zebranie komitetu w mauzoleum O'Briena.

- Już nigdy go tak nie nazwą. Wszystko się zmieniło, zmieniło się

kompletnie.

- Więc gdzie pójdziemy i kiedy?
- Mógłbyś zaprosić mnie na kolację do Castle Hotel.
- Żartujesz!
- Zapłacę za siebie.
- Nie chodzi o pieniądze. Dlaczego akurat tam?
- Żeby zobaczyć, jaką mamy konkurencję.
- Przecież to nonsens. Zwykły sobotni wieczór to nie to samo, co noworoczny bal, nie będzie czego porównywać.
- Nazwijmy to rozpoznaniem terenu.
- Tak?
- I świetną zabawą - uśmiechnęła się do niego. - Nigdy nie zapomnę, jak fantastycznie wyglądałeś tamtego wieczoru w Dublinie.
- Chcesz, żebym znowu założył ten mały strój?
- Nie, ale wyglądasz w nim super.
- Ty też się odstawisz? Pamiętam tę piękną suknię z dekoltem na plecach.
- Nie, nie mam tu żadnej kiecki z dekoltem na plecach, zresztą nie chcemy chyba... - Nie dokończyła.
- Racja, nie chcemy, ale chodźmy tam mimo to. Pamiętaj, że to tylko rozpoznanie terenu.
- Jeśli nas nakryją...
- Nie muszą. - Oboje rozumieli, że ich wspólne wyjście powinno zostać zachowane w tajemnicy.

Niedzielne zebranie komitetu przebiegło dobrze. Wszyscy przynieśli jakieś nowiny. Kevin Wall i Michael Sullivan olśnili pozostałych technicznymi szczegółami przebudowy

hotelowego frontonu i dobili ich szacunkową wysokością kosztów robocizny.

- Nie stać nas na to - oznajmił stanowczo Philip.
- Szkoda. Gdybyśmy zrobili nowy szyld i ozdobili wejście krzewami w donicach, wyglądałoby bardzo ładnie - Clio nie chciała, żeby „Centralny” przypominał ruderę w wiejskiej dziurze.
- Moglibyśmy zasadzić coś sami - zaproponował Michael Sullivan.
- Tylko w czym? - nie odrzucali pomysłu, nie, po prostu pytali.
- Choćby w beczkach - odrzekł Michael.

Pomysł został zatwierdzony. Każdy miał zdobyć co najmniej dwie beczki. Podzielili miasto na rejony, żeby ciągle nie nagabywać tych samych ludzi. Uznano, że to zajęcie dla mężczyzn. Krzewy mieli wykopać nad jeziorem.

- Czy to dozwolone? - spytała Anna Kelly.
- Później o to spytamy - odrzekł Emmet.

Clio miała przyjaciółkę w akademii sztuk pięknych. Mogła namalować nowy szyld, tylko trzeba było zapłacić jej za materiały. Kevin Wall obiecał przynieść farbę ze sklepu. Nikt go zbyt szczegółowo nie wypytywał, jak załatwi to ze swoim ojcem. Uzgodnili, że Kevin podrzuci farbę do Kellych, a przyjaciółka Clio przyjedzie do Lough Glass i namaluje szyld jeszcze przed świętami.

Anna Kelly przygotowała szkice zasłon. Miały być podwiązane czerwonymi i białymi wstążkami i zwisać szerokim łukiem. Do wstążek chciała przypiąć duże gałązki ostrokrzewu. Uważała, że framugi trzeba pomalować na biało. Gdyby znaleźli się ochotnicy, zorganizowałyby ekipę malarską. Miała też pomysł na oświetlenie: butelki po winie ze świecami

w środku. Musiałyby stać wysoko, najlepiej na obramowaniu kominków i na gzymsach, żeby goście ich nie stracili. Sugerowała, by każdą butelkę ozdobić kiścią ostrokrzewu. Górnego światła nie włączałyby się w ogóle. Mało tego, Philip musiałby dopilnować, żeby z żyrandoli powykręcano żarówki na wypadek, gdyby ktoś przypadkowo pstryknął włącznikiem. Wszyscy byli zadowoleni z jej pomysowości i pracowitości.

561

Kit obserwowała, jak Anna przyjmuje pochwały. Była dziewczyną uderzająco piękną, o wiele szykowniejszą niż Clio. Kit chciała zapamiętać, jak Anna patrzy na ludzi: jakby z nimi flirtowała. Posyłała im spojrzenie i szybko odwracała wzrok, co sprawiało, że robiła wrażenie nieśmiałej i bezbronnej, podczas gdy tak naprawdę była odważna i agresywna. Kit odnotowywała jej każde zerknięcie, żeby wykorzystać to w przyszłości. Patsy Hanley nie miała takich zdolności, niemniej otworzyła notatnik i stanowczym głosem przeczytała, że obecność sześćdziesięciu, a może nawet ponad sześćdziesięciu pań wymaga co najmniej pięciu kabin. To ich trochę zasmuciło.

- Sprawa polega na tym - tłumaczyła Patsy - że chodzą tam wszystkie naraz. Tego się dowiedziałam.

- Dlaczego nie mogą chodzić jak wszyscy, kiedy czują potrzebę? - utyskiwał Kevin Wall.

- Bo gdyby musiały ciągle podskakiwać zaciskając nogi, nie miałyby nastroju do zabawy - odparła Patsy.

- Trzeba dobudować nowe kabiny - oświadczył Philip. - Zostawcie to mnie.

- Twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi - wtrąciła zatroskana Kit. - To aż

pięć kabin, a zostało już tylko kilka tygodni.

- Fakt, ale to mój problem. Patsy zrobiła swoje i jesteśmy jej wdzięczni. Emmet miał lepsze nowiny: mężczyźni byli o wiele mniej wymagający. Wystarczą dwie kabiny i pisuar. Odkrył również, że uwielbiają przybytki, gdzie serwuje się kufłowe piwo, więc może by tak poszerzyć asortyment trunków w barze i zatrudnić kilku dodatkowych barmanów? Można na tym nieźle zarobić, poza tym jeśli zrezygnują z piwa, goście będą wymykać się do Paddlesa albo do O'Shea naprzeciwko.

- W klubie tego nie praktykują - stwierdziła Clio.

- Nie, ale tylko dlatego, że to miejsce odludne jak wychodek.

Anna Kelly spojrzała na niego z podziwem. Emmet to zauważył i aż poczerwieniał z radości.

Clio mówiła o ogólnym wyglądzie hotelu. Cieszyła się, że postanowiono namalować nowy szyld, i uważała, że

562

część pieniędzy można przeznaczyć na zainstalowanie reflektorów, które by go oświetlały.

- Przecież wszyscy wiedzą, gdzie jest hotel - wtrącił Kevin. - Nie trzeba go szukać.

Philip poparł Clio.

- Rozumiem, że to konkretna propozycja, prawda Clio?

- Tak, i to bardzo konkretna - Clio złagodniała. Uważała również, że posępne, ciemnobrazowe fotografie w holu powinno się zastąpić girlandami bluszczu, który porastał kilometrami brzeg jeziora, bo nie ma lepszej dekoracji jak bluszcz. Poza tym gości powinno się witać w przedsionku kieliszkiem ciepłego wina z cynamonem, co sprawi, że

poczują się mile widziani i oczekiwani.

- Mam nadzieję, że nie wkraczam w kompetencje Kit - dodała ostrożnie. -
Wiem, że odpowiadasz za jedzenie i picie, ale jest to również element
koncepcji ogólnej. To także konkretna propozycja.

- Doskonale - syknęła Kit przez zaciśnięte zęby.

Fakt, pomysł był naprawdę świetny. Cała Clio. Za jednym zamachem
rozwiązała problem brzydkiego wejścia, problem koszmarnych fotografii
w okropnych ramkach i zapewniła gościom poczucie złudnego ciepła,
częstując ich kieliszkiem grzanego wina.

- A teraz jedzenie - Philip wskazał ręką Kit.

Kit nabrała powietrza. Bufet - oto jaki miała pomysł. Wiedziała, że
koncepcja wzbudzi wielki opór wśród biesiadników, i chciała przetestować
ją na zebraniu komitetu. Byłby to bufet samoobsługowy i goście mogliby
wracać po dokładkę, a nawet dwie. Przedstawiła im szacunkowy
kosztorys. Wydaliby mniej niż jedną trzecią tego, co poszłoby na kolację w
stylu tradycyjnym. Zaoszczędziliby na kelnerkach, bo do obsługi bufetu
nie potrzeba doświadczonych fachowców, a sprzątać ze stołu mógł
dosłownie każdy.

- Na przykład dziewczęta ze szkoły siostry Bernard - wyjaśniła.

- Albo chłopcy od brata Healy'ego - wtrącił Kevin Wall.

- Tak, niewykluczone, że oni też - Kit miała co do tego pewne
wątpliwości.

563

Stwierdziła, że tradycyjna kolacja zawsze zaczyna się od zupy albo od
melona, a potem trzeba zaserwować kurczaka i szynkę. Musieliby
sporządzić sos do mięs, ugotować ziemniaki, zrobić co najmniej dwie

sałatki warzywne, a to byłoby znacznie bardziej pracochłonne niż przygotowanie bufetu.

- I najedzą się tym? - spytał Emmet.

- Po dwóch albo trzech dokładkach? Na pewno - odrzekła Kit.

- Ale założmy, że żarcie się kończy, że wszyscy jedzą kurczaka w winie, a nikt nie ma ochoty na ozorki w galarecie. Co wtedy? - Patsy Hanley zadała to pytanie z żarliwym zatroskaniem konsumentki, która nie cierpiąc ozorków w galarecie, boi się, że gdy przyjdzie co do czego, nie będzie miała żadnego wyboru.

Kit należała do cierpliwych agitatorek, lecz - jak się tego spodziewała - jej pomysł nie znajdował zwolenników.

- W restauracjach dublińskich bufety zaczynają zyskiwać coraz większą popularność - tłumaczyła.

- Dla tutejszych ludzi bufet będzie za bardzo w dublińskim stylu - zauważyła Anna.

Pozostali zgodnie pokiwali głowami. Mieszkańcy Lough Glass byli o wiele bardziej konserwatywni niż mieszkańcy stolicy.

- W Castle Hotel też mają bufet - atakowała Kit.

- Jesteś tego pewna? - Castle Hotel był dla Philipa wyrocznią.

- Tak, jadłam tam wczoraj kolację. - Byliby mniej zdziwieni, gdyby powiedziała, że właśnie wróciła z Marsa.

- Gadasz - Clio pozieleniała z zazdrości.

- Naprawdę. Twierdzą, że pomysł znakomicie się sprawdza. Uważnie wszystko obserwowałam. Stół wyglądał ekstra, ale głównie wyglądał, bo tak naprawdę jedzenia było na nim niewiele. Najważniejsze to... - chciała im wytłumaczyć, jak wyobraża sobie obsługę ich bufetu, ale gapili się na

nią z rozdziawionymi ustami.

- Poszłaś na kolację do Castle Hotel?! - Philip nie mógł w to uwierzyć.

- Tak, żeby trochę poobserwować - odrzekła Kit,

564

udając zdziwienie. - Przecież mieliśmy przeprowadzić rozpoznanie terenu, prawda?

- Tak, ale ile to musiało kosztować!

- Nie było aż tak źle. Nie zamówiłam nic do picia, a największy dochód uzyskują ze sprzedaży alkoholu. Aha, za kawę płaci się osobno. Ja kawy nie zamówiłam. Podają ją w salonie, rozumiecie? Żeby wyciągnąć gości z jadalni i posprzątać.

- Coś takiego! Nigdy dotąd nie chodziłaś na samotne kolacyjki do Castle Hotel - ze zwięzonych oczu Anny Kelly biła nie ukrywana podejrzliwość. Kit posłała jej uśmiech.

- Spójrz tylko na swoje dzieło, Anno. Te wszystkie fanty na loterię, które ci obiecano, te butelki ze świecami udekorowane ostrokrzewem. - Kit popatrzyła z uznaniem na butelkę po chianti służącą jako eksponat wzorcowy.

- Jak się tam dostałaś? - spytał Philip.

Kit pochwyciła spojrzenie Emmeta. Braciszek był bystrzejszy, niż myślała.

- Rzecz w tym - powiedział - czy widziałaś tam samych lordów i damy, czy ludzi takich jak ci, którzy przyjdą tutaj.

- Nie byli to ani lordowie, ani damy. Rozmawiałam z kelnerkami. To typowi przedstawiciele klas średnich, dokładnie tacy sami jak ci, którzy przyjdą na naszą imprezę.

„Nasza impreza” - Philip był tak mile połączony, że zapomniał o swoim

zmartwieniu i nie spytał Kit, kto podrzucił ją do Castle Hotel oddalonego od Lough Glass o ponad dwadzieścia kilometrów.

- Sporządźmy listę zarzutów - zaproponował. - Niech wszyscy powiedzą, co przemawia przeciwko zorganizowaniu bufetu, a potem przedyskutujemy, czy są to zarzuty rozsądne.

Gdy zaczęli sporządzać listę, Kit znowu spojrzała na Emmeta. Patrzył na nią z jawnym podziwem. Skoro siostrzyczka i Stevie Sullivan wylądowali aż w Castle Hotel, sprawy muszą posuwać się do przodu, i to cholernie szybko. Wkrótce Anna zostanie na lodzie. Wróci do niego i wszystko będzie jak dawniej.

565

- Jak się masz, Martin?

- To ty, Stevie? Wejdz, wejdz.

- Nie, dziękuję, bardzo się spieszę. Czy Kit już wróciła?

- Nie. Wyjeżdża dopiero o szóstej. A co? Chciałeś się z nią zobaczyć?

- Muszę odprowadzić samochód do Dublina i pomyślałem sobie, że ją podrzucę.

- Na pewno bardzo by się ucieszyła, ale miałbyś komplet pasażerów. Clio i Philip też jadą.

- To sportowy samochód, dwumiejscowa maszyna. Pomyślałem, że zabiorę Kit, ostatecznie to córka sąsiada. - Miał zniewalający uśmiech.

Na szczycie schodów stanęła Maura.

- Chyba pojedą całą grupą, Stevie - powiedziała. - Tak bardzo pochłania ich organizacja sylwestrowego balu, że nie mogą się nagadać.

Spotkali się wzrokiem. Maura doskonale wiedziała, o co Steviemu chodzi.

I w imieniu Kit zdecydowanie mu odmawiała. Tak, będzie musiał

przekabacić Maurę na swoją stronę...

Podróż do Dublina była bardzo długa. Musieli dojechać autobusem do miasta, przesiąść się na pociąg, który dowoził ich na dworzec Kingsbridge, a stamtąd złapać autobus do O'Connell Bridge.

- Pójdziemy na frytki? - spytał Philip z nadzieją w głosie.
- Padam z nóg - Kit była blada i sprawiała wrażenie zmęczonej.
- Fajnie by było mieć wóz, co?
- Kiedyś na pewno fundniesz sobie samochód. Zaczekaj tylko, aż twój hotel stanie się najmodniejszym pensjonatem w Irlandii.

„Jego hotel” - nie cierpiał, gdy tak mówiła. Przedtem był to „ich hotel”, „ich impreza”. Ale dobrze wiedział, że lepiej trzymać język za zębami.

- Ojciec Kevina O'Connora kupił nowy hotel.
- Bo jego córka wychodzi za mąż. Kupił go dla jej męża. On traktuje to jak swego rodzaju grę. My tacy nie będziemy.

566

Wsiadając do autobusu, pomachał jej na pożegnanie i Kit pobiegła lekko O'Connell Street.

Przed domem czekał Stevie w małym, czerwonym samochodzie.

- Nie wierzę - sapnęła.
- Naszła mnie wielka ochota na chińszczyznę. Wskakuj. - Pojechali do restauracji.
- Wybredny jesteś. Nie możesz wrócić do Lough Glass i zjeść dobrą kanapkę z szynką?
- Nie. Mam chrapkę na kurczaka w słodko-gorzkim sosie, a skoro byłem już na kolacji w Castle Hotel ze śliczną Kit McMahon, chciałbym tę imprezę powtórzyć.

Wnętrze restauracji było surowe, niemal ascetyczne. Kit rozejrzała się wokoło.

- Jeśli uważasz, że da się ją powtórzyć tutaj, to lepiej nie mów tego kelnerom z Castle Hotel.

- Chcę cię, Kit - szepnął.

- Nie możesz mnie mieć, to proste.

- Jesteś bardzo szorstka.

- Ty też powiedziałeś to bardzo szorstko, jakbyś chciał mnie do czegoś zmusić. - Zdała sobie sprawę, że się do niego nie wdzięczy, że nie udaje, że mówi szczerze.

- Niby jak miałbym to powiedzieć? - On też mówił szczerze i poważnie. Nie, nie flirtował z nią. Nie zachowywał się jak Stevie Sullivan, którego obserwowała od lat w rodzinnym Lough Glass.

- Chodzi chyba o to, czy chłopak i dziewczyna chcą siebie nawzajem, prawda? Nie mówi się „chcę cię”, dając komuś do zrozumienia, że jest zwykłym towarem. Powiedziałeś to jak kowboj, który ma chrapkę na ładną krowę, na ranczo albo na barową dziewczkę. Powinno się to robić inaczej.

- Zgoda, ale w gładkie słówka też nie wierzę. Przyjechałem tu tylko po to, żeby powiedzieć ci, że cię chcę, że chcę z tobą być. Być tak naprawdę, a nie tak jak wczoraj w samochodzie, gdyśmy się całowali i głaskali.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- To było wczoraj? Czuję się tak, jakby upłynęły całe wieki.

567

- Tak, mnie też się tak wydaje.

Podniosła wzrok. Miał taką szczerą twarz, doskonale to widziała. Ale z drugiej strony właśnie na tym polegał cały sekret czaru Steviego Sullivana.

Wszystkie dziewczęta uważały, że jest z nimi absolutnie szczery. I Anna Kelly, i Deirdre Hanley, i Orla Dillon, i dziesiątki innych, których nie znała, o których nawet nie słyszała.

Z nią też był pewnie szczery. Po prostu wszystkie dziewczęta traktował tak samo. Na tym polegała tajemnica długiej serii jego miłosnych podbojów. Tak, był z nią zupełnie szczery, jak ze wszystkimi innymi.

- Nic nie planowałem, nie wiedziałem, że będę czuł to, co czuję.
- Nie, oczywiście.
- Nie miałem pojęcia, że tak się to potoczy.
- Oczywiście, skąd mógłbyś wiedzieć?
- Przestań mi potakiwać i powiedz, czy czujesz to samo, co ja - Stevie wpadł w złość.
- Bardzo... bardzo cię lubię...
- Lubię! - prychnął.
- Chciałam tylko powiedzieć, że gdybym cię nie lubiła, nie byłabym wczoraj taka ciepła i czuła...
- No, nie, nie mogę w to uwierzyć.
- W co?
- Nie mogę uwierzyć, w to, co słyszę. Siedzisz tu zimna jak głaz i tłumaczysz mi, dlaczego zachowałam się wczoraj tak, a nie inaczej. Czyja żądam jakichś wyjaśnień? Całowaliśmy się, bo tego chcieliśmy, i chcieliśmy dużo więcej. Dlaczego nie jesteś ze mną szczera? Dlaczego tego nie przyznasz? - był bardzo zdenerwowany, patrzył na nią urażonym wzrokiem.

Tak, dla niego to pewnie nowość. Wszystkie inne dziewczęta, łącznie z Anną Kelly, tym podlotkiem o twarzyczce dziecka w szkolnym fartuszk,

łatwo ulegały jego namowom. Ktoś taki jak Stevie Sullivan, wielki Stevie Sullivan, musiał czuć się bardzo dziwnie. Dostać kosza - dziwne to i nieprzyjemne. Zwłaszcza że pokonał taki szmat drogi, wyprzedził po drodze autobus i pociąg, którym przyjechała do Dublina, pędził tu na złamanie karku. I dostał kosza. Nie, Kit nie zamierzała ustępować.

568

- Dlaczego się kłócimy? - spytała.
- Bo jesteś taka afektowana i nieszczerza.
- Afektowana być może, bo tak mi się to powiedziało, ale nieszczerza? Nie.
- Siedzisz tu i mówisz, że nic dla ciebie nie znaczę.
- Tego nie powiedziałam.
- Wyznałem ci, co czuję. Potrzebuję cię, Kit.
- Nieprawda.
- Do ciężkiej cholery, tylko nie mów mi, czego potrzebuję, a czego nie.
- Starając się uniknąć prostactwa i wulgarności, próbuję ci wytłumaczyć, iż zadowoliliby cię każda, dosłownie każda dziewczyna.
- A ja, starając się uniknąć prostactwa i wulgarności, powiem ci, że jesteś obrzydliwą podpuszczarą.

Palto wisiało na oparciu krzesła. Kit zaczęła je nakładać.

- Pójdę już, żebyś mógł skończyć jeść. - Pobladła, dygotała ze złości. Bo wypowiedział słowa, które wypowiedział. Bo zawiodła Emmeta. Nie minie doba i Stevie wróci do Anny Kelly, była tego pewna. Bo tak bardzo go pragnęła. Bo tak bardzo go potrzebowała. Dałaby wszystko, żeby spędził z nią dzisiaj noc.

Dlaczego wszystko tak strasznie się popsuło? Zakrył twarz rękami.

- Nie odchodź - wymamrotał.

- Tak będzie lepiej - odrzekła, rozdygotana. Podniósł oczy, zobaczył, że drżą jej usta, i wziął ją za rękę.

- Przepraszam - szepnął. - Bardzo cię przepraszam. Dałbym wszystko, żeby cofnąć czas o minutę i nie powiedzieć tego, co powiedziałem.

Przepraszam, Kit.

- W porządku, wszystko w porządku. Wiem, że ci przykro.

- Nie, nie wiesz - odrzekł ze łzami w oczach. - Nic nie wiesz. Nigdy dotąd tak się nie czułem. Pragnę cię tak bardzo, że nie mogę tego znieść. -

Spojrzała na niego strapiona. - Posłuchaj. Stała się rzecz najgorsza z możliwych. Chciałem tylko pójść z tobą na tańce, trochę z tobą poflirtować, gdybyś miała na to ochotę. Nie przypuszczałem, że...

569

- Że co? - podziwiała siebie za spokój i opanowanie w głosie.

- Że się w tobie zakocham - wyrzucił jednym tchem. - Bo to chyba miłość, Kit. Nigdy dotąd nikogo nie kochałem, ale tak bardzo pragnę cię widywać, słyszeć twój głos, tak bardzo pragnę cię dotykać, widzieć, jak się śmiejesz, że... Myślisz, że to to?

- Że to co?

- Że to miłość? Nie potrafię tego uczucia rozpoznać, bo nigdy dotąd...

- Ja też nie - odrzekła zgodnie z prawdą. - Ale jeśli naprawdę tak to odczuwasz, może to miłość.

- A ty?

Zapomniała o palcie. Zaczęli rozmawiać jak sobie równi.

- Myślę, że ze mną jest tak samo. Ja też nie chciałam, żeby stało się to, co się stało. Myślałam... myślałam, że...

- Co myślałaś? To ty wszystko zaczęłaś, to ty zaprosiłaś mnie na tańce.

- Wiem - miała wyrzuty sumienia. Przecież nie mogła mu powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Zabrnęli o wiele za daleko, było o wiele za późno.
- Na co liczyłaś? Jakie miałaś nadzieje?
- Że będziesz miłym towarzyszem zabawy. I byłeś, tylko że... że nie przypuszczałam, nie wiedziałam, że tak się do ciebie przywiążę, że tak bardzo się w to zaangażuję.
- Że się we mnie zakochasz? Nie, tego słowa nie wypowiesz.
- Ja też nigdy nikogo nie kochałam, Stevie. Ja też nie wiem, czy to miłość.
- Chryste, jesteśmy jak dwie stare mumie. Większość naszych rówieśników kochała się dziesiątki razy.
- Tylko twierdzą, że to miłość - szepnęła Kit.
- Albo tylko tak myślą. - Zamilkli. - Przepraszam za to, co powiedziałem - odezwał się w końcu Stevie.
- A ja za to, że powiedziałam, iż zadowoliliby cię każda dziewczyna - szepnęła skruszona. - To było wulgarne.
- Odechciało mi się jeść - odsunął talerz.
- Mnie też.

570

Wesoło przeprosił chińskiego kelnera, który wysłuchał go z kamienną twarzą.

- Pochodzą z innego świata, musimy być dla nich bardzo zagadkowymi ludźmi - powiedziała Kit.
- Nie tylko dla nich - odrzekł, pomagając jej wsiąść do małego, niskiego samochodu.

Podrzucił ją do domu, nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy - szepnął z pytającym

wyrazem twarzy.

- Bardzo chętnie, jeśli tylko przyjedziesz...

- Na przykład jutro wieczorem.

Wciąż mówiła drżącym głosem. Nie wiedziała, czy zażartować z tego, czy nie.

- Boże, jak będziesz tak często przyjeżdżał, zedrzesz cały asfalt na drodze z Lough Glass do Dublina.

- Nie wracam na noc. Zaczekam do jutra.

- A kto poprowadzi warsztat?

- Twoja macocha. Jutro zaczniemy wszystko od nowa. - Wyglądał jak nastolatek, zdenerwowany i niepewny. Tak samo wyglądał Emmet, gdy walcząc z wadą wymowy, próbował wypowiedzieć odpowiednie słowa. Wcale nie przypominał wielkiego Steviego Sullivana.

- Tak, od nowa, od samego początku - szepnęła.

- Kocham cię, Kit. - Zawrócił samochód i odjechał. Nie spała całą noc. Kościelny zegar bił co kwadrans.

Zastanawiała się, dlaczego nigdy dotąd nie doprowadzało ją to do szału. Wstała, zaparzyła herbatę. Rozejrzała się po swoim pokoju, małym i nie wysprzątanym, ale odzwierciedlającym jej charakter: wyjściowe sukienki na ściennych wieszakach - w szafie się nie mieściły - półki z książkami, prowizoryczne biurczko z czerwoną lampką, biało-niebieskie poszewki na poduszki. Tak, pokoik był ciepły, miły i przytulny. Idealne miejsce na noc ze Steviem.

Zegar wybijał kwadransy, a ona siedziała, obejmując rękami podkurczone kolana, i zastanawiała się, dlaczego była taka nieugięta. Ostatecznie cóż to za sprawa! Żadna. To ona robiła z tego wielkie mecyje. Ot, choćby Clio.

Ma już to za sobą i co? I nic, świat się nie zawalił. Siedziała na
571

łóżku skonsternowana i samotna. Czy mogłaby napisać o tym Lenie?
Czemu nie? Lena zna te rzeczy z doświadczenia i na pewno wie, co się
wtedy czuje.

Biurowe przyjęcia zawsze organizowała Lena. Tym sposobem mogła
trzymać rękę na pulsie. Rzeczą niebezpieczną było zlecić to dziewczętom
młodym i roztrzepanym, a nawet Jennifer - mogłyby wybrać
nieodpowiedni lokal, restaurację z kiepską atmosferą.

Lena zawsze wyszukiwała lokal z atmosferą, gdzie włoscy, greccy lub
hiszpańscy kelnerzy przyłączali się do zabawy, ale gdzie nigdy nie
dochodziło do żadnych wybryków.

Tak, bywała na przyjęciach, które kończyły się fatalnie. Często
wysłuchiwała opowieści młodych pracownic, które musiały rezygnować z
całkiem zadowalających stanowisk tylko dlatego, że skompromitowały się
na dorocznym przyjęciu dla personelu firmy.

- Chryste, jestem taka rozsądna - mruknęła.

- Za dobrze wyglądasz jak na kobietę rozsądną. - Lena zerknęła na twarz
Grace w lustrze. Znały się zbyt długo, nie mogła puścić jej tego płazem.

Wystarczyło jedno chmurne spojrzenie i Grace zaczęła się wycofywać. -

Owszem, jesteś trochę za chuda, za bardzo zmęczona, mimo to wyglądasz
całkiem nieźle.

- Jestem jak stara, koścista indyczka, Grace. Widywałam takie w Lough
Glass, te, które ocalały. Były tak zabiedzone, tak sponiewierane, że na
Boże Narodzenie nikt nie chciał ich zarznąć. Rok po roku uciekały przed
nożem.

- Ty też sobie poradzisz - szepnęła czule Grace.
- Nie w tym roku. Nie, na każdą starą indyczkę przychodzi pora, nawet jeśli mieliby zrobić z niej tylko zupę na kościach.
- Przyjdziecie do nas na Wigilię? - spytała Ivy.
- Jesteś taka dobra... Ivy przeszzyła ją wzrokiem.
- To znaczy, że nie przyjdziecie.
- Dlaczego tak myślisz?
- Bo dobrze cię znam.

572

- Nie, to znaczy, że jeszcze nie wiem. - Lena zamilkła. - Wiem, to bardzo niegrzeczne.

- Nie, kochana, to bardzo smutne.

- Otóż to, Ivy, to bardzo smutne. - Lena powlokła się schodami na górę. Jessie Millar spędzała wieczór z matką. Odwiedzała ją co czwartek, kiedy Jim wychodził do klubu rotariańskiego. Natomiast co niedziela zabierali panią Park na lunch.

Od chwili, gdy Lena Gray stanęła w progu agencji Millara, życie Jessie uległo radykalnej zmianie. Dlatego teraz zrobiłaby wszystko, żeby jej pomóc, gdyż wyglądało na to, iż Lena przechodzi olbrzymi kryzys. Ale Lena była kobietą tak zamkniętą w sobie. Zmroziłaby ją spojrzeniem, gdyby Jessie wypowiedziała na ten temat choć słowo.

- Myślę, że chodzi o jej męża - powiedziała.

- Zwykle chodzi o męża - odrzekła pani Park i mądrze pokiwała głową.

- Muszę coś zrobić. Muszę jej powiedzieć, że zrobiłabym dla niej wszystko.

- Jeśli chodzi o jej męża, cóż mogłabyś zrobić, Jessie? Poszłabyś do niego

i powiedziała: „Denerwuje pan panią Gray. Proszę w tej chwili przestać”?

- Nie, ale mogłabym ją choć trochę pocieszyć. Pani Park pokręciła głową.

- Mogłabyś tylko powiedzieć, że jej współczujesz, nic więcej. To kobieta dumna i pewna siebie, nie chciałyby tego usłyszeć.

- Od czasu do czasu cię odwiedza. Nigdy o niczym nie wspomina?

Staruszka pogrzywała się w zadumie. To prawda. Lena Gray znajdowała czas, żeby wpaść do niej co najmniej raz w miesiącu. Zawsze przynosiła jej jakiś drobny, acz pożyteczny upominek: a to hermetyczne pudełko na biskwity, a to poduszeczkę pod nogi, a to sztywną okładkę na program radiowy. To zdumiewające, że tak bardzo zajęta kobieta znajdowała czas, żeby ją odwiedzić. Ale pani Park dobrze pamiętała powiedzenie zasłyszane w młodości: jeśli

573

chcesz coś załatwić, poproś o pomoc mężczyznę zapracowanego. W tym przypadku kobietę.

- Nigdy o sobie nie mówi - odrzekła w końcu.

- Wiem, ale co mama myśli?

- Myślę, że Lena Gray ma dzieci, dorosłe dzieci z pierwszego małżeństwa.

- To niemożliwe - odrzekła Jessie.

- Dlaczego?

- Skoro ma dzieci, to gdzie one są? Żadna normalna kobieta nie porzuciłaby własnych dzieci.

- Szkoda, że to tylko kolacja, a nie lunch - narzekała Jennifer.

- Lunch ciągnąłby się cały dzień - odrzekła Jessie.

- Tak, wiem. Wszystkim zaczęłoby odbijać, poznałybyśmy gości przy

sąsiednich stołach, ech, byłoby cudownie...

Jessie zdała sobie sprawę, że właśnie tego Lena próbowała uniknąć.

Kolacja zawsze kończyła się wieczorem. Ludzie musieli złapać pociąg albo autobus. Nie wychodzili z restauracji o piątej po południu, podchmieleni i podochoceni, nie czekali na godzinę otwarcia pubów, by ruszyć w szalone tango.

- Mamy szczęście, że nie musimy za nic płacić - zapiszczała nowa sekretarka. - Tam, gdzie ostatnio pracowałam, wszyscy musieli się zrzucać.

- To Lena ustanowiła ten zwyczaj, lata temu - wspominała z rozrzewnieniem Jessie. - Zaoszczędziła trochę tu, trochę tam i tak powstał fundusz zwany „doroczne przyjęcie biurowe”.

- Tak długo tu pracuje?

- Nie dłużej jak osiem, dziewięć lat. Ale już prawie nie pamiętam, jak tu było, zanim do nas przyszła.

- Więc nie znała jej pani, kiedy pani Gray była młoda? - spytała Jennifer.

- Nie, poznałyśmy się nieco później. - Jessie przestąpiła z nogi na nogę, poirytowana nonszalancją młodzieży.

- Musiała być wystrzałową babką - skostatowała Jennifer. - Na pewno, skoro wyszła za faceta jak marzenie...

574

Jessie poczuła, że wkroczyły na cienki lód, skąd pragnęła jak najszybciej uciec.

- Tak. Jestem przekonana, że wybrała najlepszego - odrzekła tonem kładącym kres dalszej rozmowie.

- Nie przypuszczam, żebyśmy zdołali namówić cię do zmiany zdania,

Louis - powiedział James Williams.

- Nie, James. Wielkie, naprawdę wielkie dzięki za wszystko. Przyszedłem tu dziesięć lat temu jako kompletne zero, a teraz mam świat u stóp.

- Nie zawdzięczasz tego „Drydenowi”. Zawdzięczasz to samemu sobie.

Bardzo nam przykro, że odchodzisz.

- Ale nie od razu, James. Nie zostawię was w środku sezonu. Odejdę dopiero po sylwestrze.

- Co za ulga! To bardzo miło z twojej strony.

- Daj spokój, przecież nigdy bym ci tego nie zrobił.

- Wyobrażam sobie, że Lena jest bardzo szczęśliwa z powrotu do Irlandii.

Myślę, że chociaż odniosła tu olbrzymi sukces, sercem zawsze była w rodzinnym kraju. - Podpuszczał go, ale umiejętnie: z dobrotliwą twarzą i niewinnymi oczami.

Louis Gray wziął głęboki oddech.

- Eeee, no właśnie. James, muszę ci o czymś powiedzieć...

Od wielu tygodni zabierała pracę do domu i nadsłuchiwała zgrzytu jego klucza w zamku. Gdy klucz zazgrzytał, zdejmowała okulary, które bardzo ją postarzały, i zbierała ze stołu papiery, żeby ich nie zobaczył. Wstawiała, żeby się z nim przywitać, jak zawsze świeża i pachnąca. Czasami proponowała mu kąpiel i kieliszek czegoś mocniejszego.

Nigdy nie pytała, gdzie był i dlaczego wraca tak późno. Wiedziała, że pewnego wieczoru sam jej to powie. Coś ostrzegało ją, że stanie się to właśnie dzisiaj.

Przyzwyczajenie to druga natura człowieka. Nałożyła swoją najładniejszą kremową bluzkę, wążiuteńką czerwoną spódnicę i czerwone korale, które ostatecznie zastąpiła czerwoną apaszką. Apaszka zakrywała więcej

zmarszczek, poza tym korale kupili w Brighton, kiedy to obiecał jej, że pewnego dnia kupi jej prawdziwe rubiny.

575

Siedziała przy stole trzy godziny.

Jednak miała zbyt zmęczone oczy i zbyt ciężką głowę, żeby skoncentrować się na pracy. Siedziała więc i czekała - czekała na odgłos kroków na schodach. W lodówce stała butelka wina, w kuchni posykiwała kawa. Mieli przed sobą długą noc, będą potrzebowali i tego, i tego. Kiedy wszedł, wstała. Wstała i jakby nogi wrosły jej w podłogę. Nie podeszła do niego, nie przywitała się jak zwykle. Zamiast tego podniosła rękę do szyi i zaczęła bawić się apaszką.

- Przepraszam za spóźnienie.

Powiedział to automatycznie. Ostatnio zawsze tak mówił, a ona odpowiadała wtedy: „Cieszę się, że cię widzę”. Dzisiaj milczała. Tylko na niego patrzyła. Wiedziała, że ma wytrzeszczone oczy, że wpatruje się w Louisa tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Próbowwała rozluźnić mięśnie twarzy, lecz ani mięśnie twarzy, ani żadne inne mięśnie jej nie słuchały.

- Leno... - zaczął. Nie spuszczała z niego oczu. - Leno, muszę ci coś powiedzieć.

* * *

Oglądała z Ernestem telewizję, lecz ilekroć ktoś wchodził lub wychodził z domu, Ivy spoglądała na zasłonięte firanką okienko w drzwiach. Nie wyzbyła się tego nawyku nawet teraz, kiedy miała porządnych, ustabilizowanych życiowo lokatorów, którzy na pewno nie wyprowadziliby się ukradkiem bez zapłacenia czynszu.

Widziała Louisa Graya wracającego do domu późno, jak zwykle. Ale tego wieczoru przystanął na schodach w miejscu gdzie, jak sądził, nikt nie mógł go zobaczyć. Oddychał głęboko i szybko jak człowiek złakniony tlenu. Po chwili, jakby wciąż nie był w stanie zaspokoić głodu powietrza, usiadł na stopniu i nisko zwiesił głowę. Ivy pomyślała, że Louis zasłabł. Instykt nakazywał jej wstać i sprawdzić, co się stało. Może nagle zachorował. Lecz w tym samym momencie przypomniała sobie zimne, martwe spojrzenie oczu Leny, którą spotkała rano. I już

576

wiedziała, że ona i on doszli do kresu wspólnej drogi. Po kilku minutach Louis odzyskał siły i poszedł na górę. Pograżony w błogiej nieświadomości Ernest oglądał telewizję.

- Przyniosę ci filiżankę herbaty - powiedziała Ivy. Była niespokojna, nie mogła się skoncentrować.

- Boże, jakie to cudowne, że mnie tak rozpieszczasz! - odrzekł Ernest.

Wydawało się, iż jeszcze tak niedawno Ivy zazdrościła młodemu małżeństwu z góry: młodemu, przystojnemu mężowi i żonie, którzy nie mogli doczekać się chwili, kiedy zostaną sam na sam. Przyglądając się ich namiętności i miłości, czuła się głupio i nijako, czuła, że życie przeszło obok. A teraz? Teraz pragnęłaby podarować swej najlepszej przyjaciółce choć cząstkę spokoju i bezpieczeństwa, jakie zapewniał jej mężczyzna, którego zawsze kochała.

Usiadła przy stole. Zaprowadził ją tam, położywszy jej ręce na ramionach. Zdławiła w sobie impuls, który nakazywał jej przytulić się do niego i błagać, zapewniać go, że to nie ma znaczenia, że jeśli tylko chce, może tę kobietę mieć. Tę drugą, tę kochankę, bez względu na to, kto to jest, nawet

jeśli jest jej krajanką, z którą oglądał hotel w Irlandii. Mógłby się z nią nadal widywać, o ile tylko nie porzuciłby domu, o ile tylko nie porzuciłby jej, Leny, swojej żony. Ponieważ była jego żoną. Tak, ciągle to powtarzał. W oczach wszystkich ludzi uchodzili za męża i żonę. Więc nimi byli, tak, byli małżeństwem. Lecz słów tych nie wypowiedziała. Usiadła i czekała.

- Leno, nie chciałem, żeby kiedykolwiek do tego doszło - zaczął.

Posłała mu słaby półuśmiech, jakim uśmiechała się do znajomych podczas pracy. Wystarczyło tylko lekko napiąć mięśnie twarzy. Dziwiło ją, iż nie uczą tego w szkole. Taki uśmiech sprawiał, że uchodziło się za dobrego słuchacza, czujnego, zainteresowanego i wrażliwego.

- Zawsze byliśmy wobec siebie całkowicie szczerzy - wziął ją za rękę.

Miała zimną dłoń, ale jego dłoń nie była cieplejsza. On też na swój sposób to przeżywał.

- Tak, oczywiście - odrzekła.

577

Na miłość boską, co to znaczy?! Zawsze byli wobec siebie całkowicie szczerzy? Bzdura. Zdradzał ją z Bóg wie iloma kobietami. Sypał łgarstwami na temat swojej pracy. Ona nie wspomniała mu o Kit, o korespondencji z córką, dzięki której знаła jej życie i życie mieszkańców Lough Glass. Mimo to siedzieli w swoim mieszkaniu w zachodniej dzielnicy Londynu i udawali, że zawsze byli wobec siebie absolutnie szczerzy.

- Dlatego muszę ci powiedzieć, że... że jest ktoś inny. Ktoś, kogo naprawdę kocham.

- Przecież kochasz mnie - odrzekła cicho.

- Wiem, wiem. Leno, to, co do ciebie czuję, to coś specjalnego, coś, co się

nigdy nie zmieni.

- Kochaliśmy się całe życie - szepnęła. Ani nie atakowała, ani się nie broniła. Nie, po prostu stwierdzała fakt.

- Właśnie o tym mówię. Nikt nie mógłby zastąpić i nic nigdy nie zastąpi tego, co nas łączyło. Była to więź silna, dobra i ważna.

Popatrzyła na niego. Zabrzmiało to jak tekst z jakiejś sztuki.

- Ale...? - odpowiedziała niczym usługowy sufler.

- Ale... ale spotkałem tę dziewczynę. - Zamilkł. Cisza trwała ledwie kilka sekund, lecz ciągnęła się w nieskończoność. - Nie chciałem, żeby do tego doszło, nie chciałem zmieniać naszego dotychczasowego życia, ale człowiek nigdy nie wie, kiedy mu się to przydarzy. Nie prowokujesz, nie kuszysz losu, mimo to takie rzeczy po prostu się... - Zabrakło mu słów.

- Zdarzają? - odpowiedziała. Nie chciała być ironiczna. Chciała tylko, żeby jak najszybciej przeszedł do fragmentu, kiedy powie jej, że odchodzi. Cała reszta była niepotrzebną torturą.

- Zdarzają - powtórzył, nie zdając sobie sprawy, że używa tego słowa po raz drugi. - Początkowo traktowałem to jak zabawę, no wiesz, zabawę zupełnie nieszkodliwą, ale później zrozumieliśmy... zrozumieliśmy, że to coś poważnego.

- Coś poważnego... - powtórzyła. Nie pytała ani nie konstatowała, po prostu próbowała uchwycić znaczenie tych słów.

578

- Tak. Ona nigdy dotąd nikogo nie kochała, więc... więc trochę to trwało, zanim uświadomiła sobie, co to tak naprawdę jest.

- A ty, Louis?

- Ja to uczucie znam, więc było mi łatwiej i trudniej zarazem. Wiesz, o co

mi chodzi.

Bez słowa skinęła głową.

- No i? - spytała po chwili.

- Uczucie się pogłębiało, oboje byliśmy coraz bardziej zaangażowani, brnęliśmy w to coraz głębiej i w końcu było za późno, żeby się wycofać.

- Za późno?

- Tak. Teraz oboje wiemy, że właśnie tego chcemy, że... że oboje za to odpowiadamy. Ona mogła wyznać to tylko rodzicom, bo nikogo innego nie ma. Ja muszę powiedzieć o tym tobie.

Był smutny, smutny, że sprawia jej ból. Popatrzyła na jego twarz. Ta piękna, ta ukochana twarz... I nagle domyśliła się, dlaczego jej o tym mówi, dlaczego po prostu nie odejdzie i nie wróci do niej, jeśli romans nie wypali. Świadomość tego faktu poraziła ją tak mocno, że aż zadrżała.

- Ona jest w ciąży, prawda?

- Tak. I oboje się z tego... oboje się z tego bardzo cieszymy.

Zadziornie podniósł głowę. Gdyby powiedziała coś, co umniejszyłoby jego miłość, był gotów stawić jej czoło. Dotknęła ręką szyi.

- Cieszycie się?

- Jesteśmy bardzo dumni i szczęśliwi. Zawsze chciałem mieć dziecko. Leno, ty masz dzieci, ty wiesz, jak to jest. Dziecko, część ciebie, nowe pokolenie... Starzeję się, Leno, chcę mieć syna... albo córkę. Chcę się ustatkować, być kimś w swoim kraju, zamiast całe życie dokąds pędzić. Dobrze o tym wiesz. I ty zawsze tak do tego podchodziłaś, i ja.

Nagle rozjaśniło jej się w głowie, nagle poczuła się tak, jakby wychynęła z tumanu gęstej mgły. Popatrzyła na niego, nie wierząc własnym oczom.

Niby o czym miała wiedzieć? Niby z czym się miała zgodzić? Że

porzuciła dla niego

579

męża i dzieci, swoje własne dzieci, które tak bardzo kochała, za którymi tak bardzo przez te wszystkie lata tęskniła? Była z Louisem w ciąży i straciła dziecko. Chciała spróbować jeszcze raz, ale uznał, iż to nieodpowiednia pora.

Teraz, kiedy już nie mogła mieć dzieci, doszedł do wniosku, że chce zostać ojcem. I oczekiwał, iż ona to zrozumie. Że może nawet będzie się z tego wraz z nim cieszyć. Louis Gray musi być mężczyzną kompletnie pozbawionym wrażliwości. Musi być mężczyzną niezbyt bystrym. Prostackim. Może ten krzywy uśmiech i te głębokie oczy nie są wcale znamionami kochającej duszy?

Czy to możliwe, żeby był tylko pustą skorupą? Czy to możliwe, że dostrzegła to dopiero teraz?

- Proszę cię, Leno, powiedz coś - jego głos dobiegał z bardzo daleka.
- Cóż miałabym ci powiedzieć?
- Wiem, że zabrzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie, ale chciałbym, abyś powiedziała, że mnie rozumiesz.
- Że cię rozumiem?
- Tak, a nawet że mi wybaczasz.

Dziwna trzeźwość umysłu nadal jej nie opuszczała, tak samo jak wrażenie, że patrzy na niego przez teleskop z przeciwnej strony, że dzieli ją od Louisa kilometry przestrzeni, że jego głos jest głosem człowieka mówiącego z wielkiej odległości.

- Dobrze - odrzekła.
- Co?

- Powiem.
 - Co powiesz?
 - To, co chcesz. Rozumiem, co się stało, i wybaczam ci.
 - Ale nie jesteś ze mną szczerą. Mówisz tak, bo cię o to prosiłem, tylko dlatego.
 - Nie można mieć wszystkiego, Louis. Skąd wiemy, czy ludzie mówią to, co myślą, czy nie? Wychodząc do pracy, powiedziałaś: „Kocham cię”. Tak, powiedziałaś mi to dziś rano. I nie mówiłaś tego szczerze. - Była zupełnie opanowana.
 - W pewnym sensie szczerze.
- Fakt, w pewnym sensie mówił szczerze.

580

- Ja też mówię to szczerze. W pewnym sensie.
- Leno, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że to już koniec? Obiecałem Mary Pauli, że dziś wieczorem o wszystkim ci powiem. W Nowy Rok się pobieramy.
- Pobieracie się?
- Tak, tutaj, w Londynie. Uwierzysz, że musiałem prosić księdza o list poświadczający, że jestem katolikiem stanu wolnego?
- Stanu wolnego?
- Że nie jestem żonaty.
- Coś takiego!
- Dobrze się czujesz, Leno?
- Tak. Jak ona ma na imię?!
- Mary Paula O'Connor. Jej ojciec jest hotelarzem. Otwierają w Irlandii nowy hotel. Będę kierownikiem.

- Mary Paula O'Connor? Córka O'Connora, którego nazywają Lepkimi Palcami?
- Nie przypuszczałem, że o nim słyszałaś.
- Czy jego rodzina przyjeżdża na ślub?
- Przyjeżdżają na święta. - Opowiadał o swoim nowym życiu zupełnie swobodnie, bez najmniejszego skrepowania. Czy był chory? Umysłowo chory? Czy nie zdawał sobie sprawy, że mówi o odpryskach jej zrujnowanego życia?!
- I odchodzisz już dzisiaj?
- Jak tylko skończymy rozmawiać.
- Chyba już skończyliśmy, prawda? - była grzeczna, zachowywała dystans.
- Ale tym razem nie wrócę, Leno. W przeszłości czasami odchodziłem i wracałem...
- Naprawdę?
- Dobrze o tym wiesz. Leno, chcę, żebyś zrozumiała, jak mi smutno. Stoję tu, mówię ci o tym wszystkim, a ty... ty byłaś dla mnie taka dobra, taka wyrozumiała, tyle dla mnie poświęciłaś...
- Oboje zrezygnowaliśmy dla siebie z wielu rzeczy, prawda? - była pogodna i beznamiętna.
- Tak, to prawda.

Chciała ryknąć, że to wierutna bzdura. Louis Gray nie zrezygnował dla niej z niczego. Przyszedł do niej samotny,

581

bez pensa przy duszy, wykorzystawszy wszystkie inne możliwości. Jak śmiał kończyć coś, co osiągnęli w tym koszmarnym zameście

pomysłowości?

- W takim razie powinieneś się chyba spakować.
- Nie sędzę, żeby...
- A może wolałbyś wrócić tu jutro i zabrać swoje rzeczy, kiedy będę w pracy?
- Tak byłoby lepiej. Mogłabyś...
- Co?
- Mogłabyś je posegregować. Zostawić te, których chcesz się pozbyć, i zabrać te, które chcesz zatrzymać.
- Na pewno zechcesz zabrać swoje ubrania i rzeczy osobiste. Ja ich nie potrzebuję.
- Zostawię wszystko to, co kupiliśmy razem. Obrazy, książki, meble.
- Tak, to ci nie będzie potrzebne.
- No i oczywiście samochód.
- Nie. Samochód dostałeś ode mnie w prezencie.
- Przecież to samochód służbowy.
- Nie, kupiłam go dla ciebie, Louis. Oczy zaszczyły mu łzami.
- Musisz go zatrzymać, Leno.
- Nie, naprawdę. Chodzę do pracy pieszo. Zapadła cisza.
- Zostawię ci klucze - dodał po chwili. - Kiedy odejdę.
- Mógłbyś zostawić je u Ivy.
- Nie, musiałbym się przed nią tłumaczyć.
- Ktoś musi to zrobić. Ivy bardzo cię lubi, na pewno zechce się z tobą pożegnać.
- Najlepiej będzie, jeśli zostawię je na kominku.
- Jak uważasz.

- Nie mogę tak po prostu wyjść.
- Dlaczego?
- Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać, jeszcze nic sobie nie wytłumaczyliśmy.
- Wytłumaczyłeś mi wszystko, Louis.

Doskonale znała jego twarz i wyczytała z niej, iż chciał powiedzieć coś jeszcze. Chciał, żeby dodała mu otuchy, żeby zapewniła go, że nie myśli o nim źle, że było im

582

cudownie, by wyznała mu, iż ona też kogoś kocha i wkrótce przeprowadza się do innego miasta, gdzie rozpocznie nowe życie. Ale nie, nie powiedział nic.

- Mam nadzieję, że będziesz... - Urwał.
- Ja też - odrzekła zgodnie. Louis wyszedł.

Długo patrzyła w pustkę. Tak, ona też miała nadzieję: miała nadzieję, że umrze, zanim Louis Gray poślubi Mary Paulę O'Connor, kochankę, która nosiła w łonie jego dziecko.

Ivy zobaczyła wychodzącego Louisa. Był blady, policzki miał mokre od łez.

Tej nocy źle spała, bo cały czas myślała o swojej lokatorce z góry. Bez względu na to, ile razy chciała do niej pójść, zawsze powstrzymywała ją świadomość faktu, iż Lena Gray przetrwała tylko dzięki temu, że w obliczu nieszczęścia umiała zachować twarz. I tylko od niej, tylko od Leny zależało, kiedy puszcza jej nerwy.

Następnego dnia przyszedł list od Kit.

Ivy bardzo się z tego ucieszyła: znalazła pretekst, żeby zaczepić Lenę

przed wyjściem z domu. Na widok jej twarzy doznała szoku. Twarz przyjaciółki wyglądała tak, jakby uleciało z niej życie.

- Dzięki, Ivy - Lena włożyła list do torebki. Nawet głos miała martwy, matowy i apatyczny.

- Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Tak, wiem.

Ivy stała w progu i patrzyła, jak Lena idzie ulicą. Szła powoli, ociężale. Na skrzyżowaniu przystanęła i oparła głowę o słup lampy.

W dniu przyjęcia dla personelu w agencji Millara panowało miłe podniecenie. Pracownicy przyniosły ze sobą suknie, w które miały się przebrać przed kolacją.

- Tym razem zjem olbrzymi lunch - zwierzyła się Jennifer. - W zeszłym roku trochę się wstawiłam i narozrabiałam. Ale dzisiaj się najem, żeby mieć co zalewać winem.

583

- Świetny pomysł - pochwaliła ją Lena.

- Mam tu wiadomość od jakiegoś pana Jamesa Williamsa. Prosi panią o telefon.

- Dziękuję.

- Moja matka przesyła ci uściski - powiedziała Jessie. - Byłam u niej wczoraj wieczorem.

- To miło z jej strony. Dobrze się miewa?

Wszystkie odpowiedzi były układne i a propos, ale zupełnie bez życia. Nim nadeszła pora lunchu, wszyscy w biurze uznali, że pani Gray ma gripę. Ostatnio chorowało na nią mnóstwo ludzi.

- Byłaby wielka szkoda, gdyby nie mogła przyjść na przyjęcie -

powiedziała Jennifer.

W zeszłym roku przyjechał po nią Louis Gray. Zabawił tylko pięć minut, ale to wystarczyło, aby wszyscy pożałowali, że nie znają go bliżej.

Pracowała samotnie cały ranek, nie odbierając telefonów, nie chcąc z nikim rozmawiać.

Do gabinetu zajrzała sekretarka.

- Znowu dzwonił pan Williams. Powiedziałam mu, że przekazałam wiadomość. Dobrze zrobiłam?

- Świetnie, dziękuję ci, moja droga - była to uwaga nader miła, acz kończąca rozmowę.

- Wszyscy się martwią, że pani jest chora - wypaliła nagle dziewczyna.

- Chora? Mam nadzieję, że nie, ale dziękuję za troskę - uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Potem zadzwoniła Ivy. Niektórzy mieli nieograniczony dostęp do pani Gray, między innymi Ivy.

- Lena? To tylko ja. Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale pomyślałam sobie, iż zechcesz o czymś wiedzieć. Był tu pan Tyrone. Był i już sobie poszedł. Mówię to na wypadek, gdybyś chciała złożyć u mnie swoją zmęczoną głowę albo co.

- Dziękuję ci, Ivy. Masz dar jasnowidzenia. Jestem zawałona robotą, ale myślę, że do południa powinnam się z tym uporać.

- Nabierzesz energii przed przyjęciem.

- Chyba złapałam gripę. Nie wiem, czy nie będę musiała zostać w domu.

584

- Koło czwartej włożę ci do łóżka butelkę z gorącą wodą.

- Niech cię Bóg błogosławi, Ivy.

- I ciebie, moja droga.

Posłała po Beechams Powders, poprosiła o dzbanek herbaty i o napój cytrynowy.

- Nie będzie pani nic jadła? - spytała ze współczuciem Jennifer.

- Nie, ale bądź tak dobra i nikogo do mnie nie wpuszczaj. Spróbuję solidnie popracować, bo może będę musiała wziąć kilka dni wolnego. Jennifer ulżyło, gdy usłyszała, że to tylko dolegliwość fizyczna.

Przypatrywała się pani Gray od samego rana i widząc jej mocno ściągniętą twarz, spekulowała, czy to aby nie jakieś załamanie psychiczne. To wspaniale, że złapała tylko grypę.

Lena pracowała bardzo metodycznie. Akta wszystkich spraw, które trzeba było załatwić, opatrzyła starannie wykaligrafowanymi instrukcjami. Tu sugerowała wysłanie listu z propozycją znacznego opuszczenia honorarium za konsultacje, ponieważ klient jest starym przyjacielem firmy, tam proponowała, żeby nie dawać żadnej zniżki, ponieważ klient zawsze spóźnia się z regulowaniem należności. Odwołała wszystkie wystąpienia publiczne, wykłady i spotkania ustalone z dwumiesięcznym wyprzedzeniem. Przejrzała notatki w prywatnym kalendarzu, posegregowała rachunki do zapłacenia, sporządziła listę prezentów świątecznych, które agencja Millara wysyłała w latach ubiegłych, a których klienci będą oczekiwać również w tym roku.

Później podyktowała Jessie długie sprawozdanie, podsumowujące to, co zdążyła zrobić.

Około trzeciej wyszła z gabinetu i oznajmiła wszystkim, że próbowała walczyć, ale w końcu uległa: zarazek grypy okazał się silniejszy.

- Będę trzymała się od was z daleka z nadzieją, że nikogo nie zarażę.

Sekretarki kiwały głowami, ubolewały i mówiły, iż Lena wygląda okropnie.

585

- Może do ciebie wpadnę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku? - spytała Jessie.

- Nie, nie, nie trzeba. Będę miała dobrą opiekę.

Patrzyli na elegancką panią Gray, na jej szkliste, podkrążone oczy. Nikt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek brała choćby dzień wolnego. Jaka szkoda, że nie będzie jej na dorocznym przyjęciu!

W banku wszyscy Lenę dobrze znali.

- Przepraszam, że przychodzę tuż przed zamknięciem - powiedziała.

- Klientki takie jak pani zasługują na całkowitą wyrozumiałość - odrzekł młody kierownik działu.

- Chciałabym zająć panu trochę czasu. Widzi pan, wyjeżdżam na kilka tygodni i muszę podjąć sporą kwotę z mojego konta.

- Nie ma problemu, proszę pani.

- Chciałabym też zostawić instrukcję, że przez ten czas nie będę kontrasygnowała czeków firmowych.

- Rozumiem, iż kontrasygnować je będą tylko pan i pani Millarowie.

- Otóż to. Zostawiam u pana odpowiednie pismo w tej sprawie.

- Jak zawsze kompetentna - wymamrotał z podziwem urzędnik.

- Mam nadzieję, ale nie zdążyłam jeszcze poinformować państwa Millarów, że zamierzam wziąć urlop. Po prostu nie wiem, kiedy... wyzdrowieję.

- Idzie pani na operację?

- Nie, nie. To zwykła choroba, muszę się z niej otrząsnąć. Dlatego

pragnęłabym, żeby podczas mojej nieobecności wszystko szło gładko i bez zgrzytów.

- Oczywiście, doskonale to rozumiem, proszę pani. - Nie rozumiał z tego absolutnie nic, lecz wyczuwał, że kobieta, która niemal samodzielnie prowadziła agencję Millara od tylu lat, próbuje przekazać mu jakąś wiadomość. Próbowała mu powiedzieć, iż kiedyś znowu przejmie ster firmy, i prosiła go, żeby nie pozwolił Millarom zrujnować agencji.

Bardzo skomplikowane zadanie dla bankiera.

586

Fakt, niektóre kobiety świetnie sobie radziły, ale cokolwiek by o nich mówić, i tak trudno je zrozumieć.

- Pewnie nie masz ochoty na kielicha, co? - spytała Ivy z nadzieją w głosie.

- Nie, absolutnie. Ale wejdź na górę, to trochę pogadamy, dobrze?

Weszły do mieszkania i Lena spojrzała na kominek. W małej szklanej wazie leżał klucz. Waza była nowa i ładna, z ciętego szkła - należała do nielicznych prezentów, które jej kupił. Obok wazy zobaczyła kartkę.

Zwykłą czystą kartkę z napisem: Dziękuję Ci.

Rozerwała ją na pół i podała wazę Ivy.

- Chcesz?

- Nie mogę tego przyjąć.

- Albo ją weźmiesz, albo wyląduje w koszu na śmieci.

- To bardzo ładna waza, oczywiście, że ją wezmę. Będzie na ciebie czekała, aż zechcesz ją z powrotem.

- Chyba się tego nie doczeka. - Lena otworzyła szafę i wyjęła dwie walizki.

- Nie, Leno! - wykrzyknęła Ivy. - Ty też?!
- Tylko na jakiś czas. Wrócę. W przeciwieństwie do Louisa.
- Bzdura. On zawsze wraca.
- Nie.
- Nie wyjeżdżaj. Zresztą dokąd ty się wybierasz tuż przed świętami? Przecież nie masz nigdzie przyjaciół. Zostań tutaj, ze mną.
- Przysięgam, że wrócę.
- Potrzebuję cię na święta. Oboje cię potrzebujemy, Ernest i ja.
- Nie. Po prostu boisz się, że się zabiję. Owszem, wczoraj w nocy o tym myślałam, ale już mi przeszło.
- Zobaczysz, kiedyś wspomnisz ten dzień i...
- Tak, wiem. - Starannie składała ubrania i pakowała buty do toreb. Miała za sobą lata krótkich służbowych wyjazdów na wykłady i spotkania, dlatego robiła to machinalnie, odruchowo.
- Dokąd jedziesz?

587

- Nie wiem.
- Pozwoliłabyś mi wyjść z domu, gdybym nie powiedziała ci, dokąd się wybieram? Nie. Bądź sprawiedliwa, dlaczego miałabym cię puścić?
- Zadzwoń.
- Kiedy? Dziś wieczorem?
- Nie, za kilka dni.
- W takim razie nigdzie nie pojedziesz.
- Ivy, wiem, że chcesz dobrze, ale...
- Tylko przestań z tym „ale”, do ciężkiej cholery! Zobacz, jaka jestem dla ciebie dobra. Nie zadałam ci ani jednego pytania na temat twego życia

osobistego. Nie przylazłam tu wczoraj wieczorem, chociaż widziałam, jak Louis wychodził z domu. Nigdy nie będziesz miała takiej przyjaciółki jak ja, więc nie pluj mi w twarz.

- Zadzwoń dzisiaj wieczorem.

- I powiesz mi, gdzie się zatrzymałaś?

- Przrzekam.

- No, dobrze. Możesz jechać.

- Dlaczego nie błagasz, żebym została?

- Musisz wyjść z tych czterech ścian, bo są napiętnowane wspomnieniami o Louisie. Gdybym wiedziała, kiedy wracasz, kazałabym zmienić tapety.

Lena wykrzesła z siebie słaby uśmiech.

- Nie ma potrzeby posuwać się aż tak daleko.

- Zrobiłabym to, gdyby na pewno nie wrócił. Nie chciałabym, żeby zostawił swój ślad na nowych tapetach.

- Louis nie wróci. Louis się żeni.

Ivy nie śmiała spojrzeć jej w oczy. Wbiła wzrok w podłogę.

- To co innego - wymamrotała. - A więc nowe tapety. Drobnny wzorek czy pasy w stylu regencji?

- Pasy - odrzekła Lena, przypominając sobie wielkie słoneczniki i rajskie ptaki na tapetach w pokoju Ivy.

- Dziś przed północą, dobrze?

- Dobrze, mamusiu.

Pojechała na Dworzec Wiktorii. Nie wiedziała, dlaczego akurat tam. Miała do wyboru albo Dworzec Wiktorii, albo Euston.

588

Z Euston trafiłaby do Irlandii. Ale podróż do Irlandii była niebezpieczna.

Mogła tam pojechać tylko pod warunkiem, że byłaby spokojna, opanowana, gotowa stawić czoło wszystkiemu, co by się zdarzyło. Popatrzyła na rozkład jazdy. Za pół godziny odchodził pociąg do Brighton i postanowiła pojechać właśnie tam. Pójdzie na spacer na molo, pospaceruje po plaży, po nadmorskim deptaku. Z twarzą zlaną deszczem będzie wspominała plany i nadzieje, jakie żywili, gdy nosiła w łonie jego dziecko. I może zdoła do końca zrozumieć, co się właściwie stało, i zaplanować sobie resztę życia.

Dla setek dziewcząt, które przewinęły się przez Agencję Pośrednictwa Pracy Millara, była drogowskazem na rozstaju dróg: zmuszała je do podejmowania decyzji, kazała im brać życie w swoje ręce, być kowalem własnego losu. Teraz przed takim samym wyborem stawała legendarna pani Gray.

Siedziała przy kawiarnianym stoliku, obserwując, jak na ulicy kłębi się przedświąteczny tłum. Byli tam ludzie spieszący na przyjęcia firmowe i wracający z przyjęć do domu. Byli tam przyjezdni na całodziennych zakupach. I wracający z pracy biznesmeni. Każdy z nich miał swoje życie, życie pełne nadziei i rozczarowań.

Kiedy otworzyła torebkę, żeby wyjąć portmonetkę i zapłacić za kawę, zaszokowana zobaczyła w niej list od Kit. List nie otwarty. Nigdy dotąd tak długo nie zwlekała, zawsze czytała jej listy, gdy tylko znalazła chwilę czasu. Ale ten dzień był niepodobny do innych. Nie byłaby w stanie zatracić się w świecie córki, nie ucieknąwszy ze świata własnego. Dworzec kolejowy, wielki i anonimowy, był idealnym miejscem na lekturę.

Droga Leno!

Piszesz, że Louis zamierza odejść, że wszystko się między Wami skończyło. Nigdy nie przypuszczałam, że ta wiadomość mnie zasmuci. Kiedyś bardzo tego pragnęłam. Tak, chciałam, żebyś poniosła karę, żeby Cię porzucił, tak samo jak Ty porzuciłaś nas. Ale już mi przeszło, już tego nie pragnę. O wiele bardziej wolałabym myśleć, że jesteście razem, że dobrze się Wam układa.

589

Może to nieprawda, że chce odejść. Trudno jest ich rozgryźć. Nie to, żebym uważała się za autorytet w tych sprawach, ale mam za sobą godziny rozmów w mieszkaniu Frankie, w kawiarniach i po wykładach, godziny rozmów o mężczyznach, o tym, co myślą, co planują. I wiesz, okazuje się, że nie myślą o niczym, nic nie planują. Piszę Ci o tym, bo może znajdziesz w tych słowach jakąś pociechę.

Siedziała w dworcowej kawiarni, świat wokół niej żył własnym życiem, a ona płakała i nawet nie ocierając łez, czytała dalej.

Kit pisała o zabawie sylwestrowej, o nie kończących się trudnościach, jakie piętrzyli przed nimi Dan i Mildred O'Brienowie, o swoich obawach, że przed przyjściem do hotelu goście spędzą za dużo czasu u Paddlesa, tak że kiedy wreszcie zjawią się w „Centralnym”, wszyscy będą pijani i rozpasani.

Pisała też o Steviem Sullivanie, o jego dzieciństwie, o tym, że nie miał nawet butów, bo ojciec przepijał pieniądze, które na nie odłożyli. Dzisiaj Stevie Sullivan nosił buty z najlepszej skóry i już nigdy nie założył gorszych. Stevie nie pije alkoholu, Stevie nie uprawia hazardu. Stevie ciężko pracował i oczywiście - o czym wszyscy wiedzieli - bywał w przeszłości człowiekiem niezbyt roztroptym.

Najstraszniejsze w małych irlandzkich miasteczkach jest to, że zła opinia przylega do człowieka na zawsze, że nikt nie może zacząć życia od nowa. W oczach mieszkańców Lough Glass Stevie jest wciąż synem starego Billy'ego Sullivana, synem pijaka. Uchodzi za chłopaka niesforne, który zaliczył wszystkie dziewczęta w parafii. Czy to nie dziwne, że nikt nie zauważył, jak bardzo się zmienił?

Lena czytała list i wyraźnie słyszała pobrzmiewające w nim echo. Kit myślała o Steviem Sullivanie dokładnie w taki sam sposób, w jaki ona, Lena, myślała o Louisie Grayu. Głucha na wszelki krytycyzm, chroniła go i usprawiedliwiała. Była nieodrodną córką swojej matki i wszystko wskazywało na to, że pójdzie tą samą drogą.

Siedziała w kawiarni bardzo długo. Wreszcie wstała, powoli

590

i ociężale, wsiadła do pociągu i pojechała na południowe wybrzeże Anglii.

- Ivy?
- Skąd dzwonicz?
- Z pewnego miłego pensjonatu w Brighton. Bardzo tu ciepło i spokojnie.
- Jaki jest tam numer telefonu?
- Posłuchaj, Ivy...
- Nie będę do ciebie dzwoniła. Podaj mi go ze względu na mnie, nie ze względu na siebie.

Lena podała jej numer zapisany na ścianie obok aparatu telefonicznego.

- Szukał cię niejaki James Williams.
- Chyba mu nie powiedziałaś...
- A jak myślisz? Ale bardzo nalegał, żeby ci coś powtórzyć, gdybyś się ze

mną skontaktowała: pan Williams będzie w święta bardzo samotny i z wielką chęcią...

- Rozumiem. Jesteś kochana.
- Masz tam kogoś, z kim możesz pogadać?
- Nie potrzebuję towarzystwa. Jestem koszmarnie zmęczona.
- Dobra. Kiedy znowu zadzwonisz? - Ustaliły, że za trzy dni. - A co z tym Williamsem?
- Będzie musiał poszukać sobie kogoś innego do odgrywania roli świętego Mikołaja.
- Sprawiał wrażenie bardzo miłego człowieka.
- Dobranoc, Ivy.
- Dobranoc, złotko. Szkoda, że nie ma cię na górze.
- Mogę ci na chwilę przerwać? Louis oderwał wzrok od grafiku wizyty państwa O'Connorów.

Stanowili bardzo kłopotliwą grupę i ciągle zmieniali plany. Najpierw miało ich być pięcioro, potem czworo, później dwoje, w końcu na Wigilię miało przyjechać pięcioro, a na Nowy Rok tylko troje. Louis szalał, bo musiał ciągle zmieniać rezerwacje, jakby nie był wystarczająco zdenerwowany spotkaniem z panem O'Connorem.

Nie uprzedzono go jeszcze co do nadchodzących wydarzeń.

591

Niewykluczone, że zobaczy swego przyszłego zięcia po raz drugi w życiu, usłyszy nowiny i... wcale nie będzie zadowolony. Ale Mary Paula zapewniła Louisa, że jest kobietą bardzo niezależną i samodzielną i że już od dawna żyje własnym życiem. Miała dwadzieścia osiem lat, uważała się za dorosłą.

Louis wolałby, żeby wszystko było inaczej. Wolałby dorównywać wiekiem przyszłej żonie, a nie przyszłemu teściowi i wykazać się jako kierownik nowego hotelu, a dopiero potem udowodnić, że potrafi spłodzić dziecko. Mimo to wierzył Mary Pauli, która twierdziła, że wszystko się jakoś ułoży.

- Przepraszam, James - odrzekł. - Mam dzisiaj zupełnie zwariowany dzień.

James Williams patrzył na niego surowo i bez uśmiechu.

- Leny nie ma dzisiaj w pracy.

- Słucham?

- W domu też jej nie ma. Byłem tam, pytałem gospodyni.

- James, nie rozumiem...

- Gdzie ona jest, Louis?

- Nie mam pojęcia. Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem, o wszystkim jej powiedziałem, a dziś rano zabrałem swoje rzeczy i zostawiłem klucze, jak uzgodniliśmy.

- Co ci powiedziała?

- Wybacz, ale to chyba nie twoja sprawa.

- Mój kierownik postanawia zmienić pracę i wyjeżdża za granicę, a kiedy pytam go, jak przyjęła to żona, mówi: „O, przepraszam, zapomniałem jej o tym powiedzieć”? Owszem, Louis, to moja sprawa.

- Mówiłem ci wczoraj, że Lena nie jest moją żoną.

- A ja ci mówię, że jest, do jasnej cholery! Skoro żyłeś z nią tyle lat, skoro przedstawiałeś ją wszystkim jako swoją żonę, to nie może być nikim innym.

- Nie znasz całej historii. Lena była mężatką, nie mogła za mnie wyjść.

- Jak się okazuje, miała dużo szczęścia.

- Posłuchaj, naprawdę nie wiem, co cię do tego sprowokowało.

592

- Nie rozumiesz? To ci powiem: sprowokowało mnie do tego postępowanie człowieka, który zachował się jak samolubny sukinsyn. Zawsze myślałeś tylko o sobie, Louis. Ja, ja, ja, zawsze tylko ja, nikt inny się nie liczył.

- Wychodzę. Nie zamierzam tego wysłuchiwać.

- Czytasz w moich myślach. Zabieraj swoje papiery i wyjdź. Jesteś zwolniony.

- Na jakiej podstawie?

- Na takiej, że nie mógłbym na ciebie patrzeć, gdybyś został tu do końca okresu wypowiedzenia.

- Chyba nie mówisz tego poważnie, James.

- Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy.

- Pozwalasz na to, żeby odczucia osobiste i fakt, iż Lena zawsze cię pociągała, przeszkodziły w normalnych stosunkach służbowych.

- Masz dobre referencje, Louis, nawiązałeś stosunki, dzięki którym zdobyłeś nową pracę i zostałeś zaakceptowany jako przyszły zięć irlandzkiego potentata. A teraz się wynoś.

Przystojna twarz Louisa była harda i lodowata.

- Nic tą pozą nie zdziałasz - warknął. - Lena nie zmieni o tobie zdania. Zawsze uważała, że jesteś nudny i zimny jak ryba, a teraz stwierdzi, że małostkowy z ciebie człowieczek.

- Po południu nie chcę cię tu widzieć. - James Williams odwrócił się i wyszedł.

Wymagało to czasu i pomysłowości, ale Louis Gray miał dużo znajomych

i przyjaciół w branży. Znalazł apartament w innym hotelu, gdzie mógł przyjąć O'Connorów szykownie i z klasą. Nieprzyjemne starcie z Williamsem postanowił obrócić na swoją korzyść i powiedzieć O'Connorom, że wyprowadził się z „Drydena”, by im poświęcić całą uwagę.

Oczywiście w tej sytuacji będzie musiał opracować dla nich cały program świąteczno-noworoczny. Tak, musi coś postanowić. Przyszła mu do głowy szaleńcza myśl, żeby spytać o to Lenę, bo Lena zawsze miała świetne pomysły, i to na każdą okazję.

Czyż to nie absurdalne, że w takiej chwili pomyślał właśnie o niej? Nie, bo byli ze sobą tak długo, że wciąż

593

automatycznie odczuwali potrzebę wymiany opinii i dzielenia się radą. Zastanawiał się, czy Williams nie kłamał, mówiąc, że Lena zniknęła z pracy i z mieszkania na EarPs Court.

To było wprost nieprawdopodobne; wydawało się, że jest taka spokojna. Jakby wiedziała, iż to nieuniknione. Poza tym jedyną stuprocentowo pewną rzeczą było to, że w sytuacji kryzysowej mógł ją zawsze znaleźć w tej przeklętej agencji. Żaden mężczyzna nie liczył się w jej życiu bardziej niż praca.

Wszystkie sklepy w Brighton były pełne świątecznych upominków. Lena przystawała przed witrynami i spoglądała na rzeczy, które chciałaby kupić córce. W torebce miała mnóstwo pieniędzy. Mogłaby kupić naszyjnik i kolczyki w pudełeczku z pozytywką. Albo ten elegancki żakiet, w którym na pewno byłoby Kit do twarzy. Albo zestaw przyrządów do pielęgnacji paznokci w przyborniku z prawdziwej skóry. Albo ten mały podróżny

neseser wykończony piękną dwukolorową lamówką - byłby idealny podczas częstych podróży między Dublinem a Lough Glass.

Tylko po co się tak zadręczała? Przecież i tak żadnego prezentu córce nie wyśle.

Czekała ją Boże Narodzenie bez podarunków: żadnego nikomu nie da, żadnego od nikogo nie dostanie. Boże Narodzenie, podczas którego będzie musiała trzymać się z dala od kościołów, aby nie słyszeć kolęd, które wycisnęłyby jej łzy z oczu. Nie będzie mogła włączyć radia, żeby świąteczne programy, pełne ciepła i życzliwości, nie uzmysłowiły jej zbyt mocno tego, co straciła.

Wysokie fale załamywały się z hukiem na rozległej plaży.

Czy to ta sama plaża, po której spacerowała z Louistem, kiedy spodziewała się dziecka? Wydawało się, że byli wtedy zupełnie innymi ludźmi, że pochodzili z innego stulecia. Kiedy odwiedziła to miejsce ostatnim razem, czekała na list od Martina, na list z wyzwiskami, na potok obelg i pełnych wściekłości zarzutów. Nie wiedziała, iż mieszkańcy Lough Glass poszukują w jeziorze jej ciała.

Gdyby tak mogła cofnąć czas...

594

Absurdalne spekulacje. Czasu cofnąć się nie da. Bezsensem było dywagować, co by wówczas zrobiła. Musiała myśleć o teraźniejszości. Szła z twarzą zbryzganą słoną wodą, z mokrymi włosami, które zwijały się w wilgotnym powietrzu. Nie widziała ludzi, którzy patrzyli na nią zastanawiając się, dlaczego tak piękna kobieta z rękami w kieszeniach palta idzie bez celu przed siebie, nieświadoma otaczającego ją świata, pogody i pory roku.

Usiadła w plażowym koszu i napisała list do Kit. Pisała na kartkach wydartych z notatnika. Inaczej niż zwykle. I nie przeczytała listu kilka razy, jak to miała w zwyczaju. W pensjonacie kupiła kopertę ze znaczkiem, po czym ruszyła na poszukiwanie skrzynki pocztowej. Poczowała się trochę lepiej, jak po rozmowie z dobrą przyjaciółką.

Serce jej drgnęło, gdy na stoliku w korytarzu zobaczyła kopertę z adresem wypisanym ręką matki. Ojciec musiał to pismo rozpoznać. Mama zawsze tak pisała. Jednak nie, najwyraźniej niczego się nie domyślił.

Nazajutrz miała być Wigilia. Kit i Philip właśnie wrócili z Dublina. Maura przystroiła mieszkanie. Inaczej niż mama. Mama przystroiłaby je liściastymi gałązkami, ostrokrzewem i bluszczem. Maura wykorzystała do tego celu papier i różne świecidełka.

Mieszkanie przybrało odświętny wygląd. Na kominku i wokół lustra leżało mnóstwo odkrytek z życzeniami. Maura wysyłała i otrzymywała ich nieporównywalnie więcej niż Helen McMahan.

Kit ogarnął nagły niepokój. Dlaczego matka była tak nieroztropna, że napisała na jej domowy adres? Chciała jak najszybciej zostać sama i przeczytać list, ale właśnie witano ją w domu. Emmet wniósł jej bagaże, łącznie z pudełkiem zawierającym nową, ekstrawagancką suknię, którą kupiła za pieniądze od starego O'Connora. Wydała na nią prawdziwą fortunę i nie chciała, żeby ktokolwiek widział ją przed sylwestrem na wypadek, gdyby stwierdzono, że za wiele odsłania.

Musiała zełgać i powiedziała Clio, że kupiła ją po okazyjnej cenie na przedświątecznej wyprzedaży.

- Nie ma przedświątecznych wyprzedaży - odrzekła

Clio z miną mędrca. - Robi się z Ciebie tajemnicza i złowieszcza kłamczucha.

Maura proponowała gorącą zupę na rozgrzewkę, ojciec się niecierpliwił, bo chciał przekazać córce najświeższe wiadomości z Lough Glass i zawiadomić ją, że komitet klubu golfowego postanowił poprzeć pomysł zorganizowania wielkiego balu noworocznego w „Centralnym”. Lecz Kit nie mogła się doczekać, kiedy dadzą jej spokój. W końcu zdecydowała, że jedyną nadzieją na chwilę ciszy i spokoju będzie ucieczka do łazienki.

Siedząc na krawędzi wanny, czytała:

Moja Droga Kit!

Piszę, żeby złożyć Ci życzenia Wesołych Świąt, nie tylko tych najbliższych, ale i wszystkich następnych.

Twój ostatni list bardzo mnie ucieszył. Czytałam go na dworcu kolejowym. Wokół mnie ludzie żyli własnym życiem, udawali się w podróż. Jechali w odwiedziny albo uciekali od ludzi, a ja siedziałam i czytałam, czytałam, czytałam.

Miło jest słyszeć, że Stevie zdołał wydorosnąć i zatriumfować nad złem, które gnębiło go w dzieciństwie. Musiał przez to bardzo zmęczyć.

Oczywiście to samo dotyczy Ciebie. Spotkało Cię w dzieciństwie wiele zła, które nie powinno Cię spotkać, a które pokonałaś. Poradziłaś sobie ze śmiercią matki i z plotkami na ten temat. Myślałaś, że matka popełniła samobójstwo i poszła do piekła. Spotkałaś ducha. I wszystko przetrwałaś.

Uważam, że pod wieloma względami do siebie pasujecie. Oczywiście, martwię się o Ciebie, jak każda matka. Ale być może nie mam prawa do tego rodzaju uczuć. Może utraciłam je dawno temu.

Piszesz, że nie sądzisz, by Louis zamierzał odejść. To miło z Twojej

strony, ale on już odszedł. Żeni się. Z kobietą o wiele młodszą ode mnie i będą mieli dziecko. Tak więc ta część mojego życia dobiegła kresu. Chcę Cię zapewnić, że nie sprawię więcej kłopotów ludziom, których tak bardzo skrzywdziłam. Pewnie martwisz się, iż teraz, kiedy Louis mnie zostawił, będę jak okręt bez steru. Pragnę Cię uspokoić: nie zamierzam burzyć tego, co do tej pory zbudowaliście.

596

Piszę Ci o tym, ponieważ ta myśl na pewno przemknie Ci przez głowę i ponieważ bardzo, ale to bardzo pragnęłabym przyjechać do Lough Glass, żeby zobaczyć bal, który wszyscy przygotowywaliście. Chętnie obserwowałabym zabawę z podwórza. Tak więc piszę te słowa między innymi po to, by uświadomić sobie, że nie mogę do Ciebie przyjechać. Niechaj będzie to dla Was wielki sukces.

Życzę Ci spokoju, Kit. Spokoju i życzliwości. Bo czyż nie tego szukamy, gdy wszystko zostało już powiedziane i zrobione?

Twoja kochająca matka Lena.

Kit siedziała w łazience i patrzyła z niedowierzaniem na kartki wydarte z notatnika. Nigdy dotąd nie dostała od Leny takiego listu. Zdania były nieporadne, krótkie, urwane i chaotyczne, jak choćby w tym fragmencie o dworcu kolejowym. No i adres: Lena wysłała list pod adresem apteki, podpisała się pod nim jako „kochająca matka”.

Louis ją zostawił, Louis żenił się z inną. Lena nie mogła sobie z tym poradzić.

Kit zachowywała się normalnie. Nikt nie domyślał się, że coś jest nie tak, była tego pewna. Zapakowała podarki, rozdała znajomym świąteczne kartki, spędzała dużo czasu w „Centralnym”, do rodziców Philipa

odzywała się grzecznie i z uśmiechem, sporządzała listy i grafiki.

Wysłuchiwała narzekań i gadaniny Clio na temat Anny, jej rodziców, ciotki Maury i na temat Michaela, który nie zadzwonił, żeby pożegnać się z nią przed wyjazdem do Londynu.

Pozostała jej tylko jedna nadzieja: musiała pracować tak ciężko, jak tylko zdołała. Kiedy wszystko się skończy, wymyśli coś, żeby pomóc Lenie. Bo na razie pomóc jej nie mogła, nie mogła nic zrobić, nic powiedzieć ani napisać. Czuła się bardzo samotna.

W Wigilię długo nie mogła zasnąć - cały czas myślała o matce leżącej samotnie w łóżku w swoim londyńskim mieszkaniu. Bardzo by chciała do niej zatelefonować. Ale w Boże Narodzenie łatwiej było dodzwonić się na Marsa niż z Lough Glass do Londynu.

597

A co by było, gdyby rozmowa poruszyła Lenę do tego stopnia, że nie wytrzymałaby i wyjawiała swoją tajemnicę? Gdyby się załamała, gdyby powiedziała Maurze i ojcu, że żyje? Gdyby usłyszał to Emmet?

Kit leżała w łóżku i żałowała, iż z nikim nie może o tym porozmawiać. Mogłaby zaufać tylko Steviemu Sullivanowi.

Ale była to tajemnica Leny, jej matki, i Kit nie miała prawa nikomu jej zdradzać.

Uczucie niepokoju nie opuściło jej nawet w dniu Bożego Narodzenia i bez żadnego powodu rozplakała się w momencie najgorszym z możliwych: właśnie szykowali się do wyjścia do Kellych na kieliszek sherry i na rozdawanie gwiazdkowych prezentów.

Wszyscy chcieli do nich pójść: Maura - żeby odwiedzić siostrę; ojciec - żeby pogadać ze swoim przyjacielem Peterem; Emmet - żeby zobaczyć

ukochaną Annę... tylko Kit wolałaby zostać w domu.

Ale iść musiała.

- Idźcie, idźcie, zaraz do was dołączę! - zawołała, słysząc, że już wychodzą. Potrzebowała trochę czasu, żeby się uspokoić, żeby przygotować się do spotkania z Kellymi.

Ochlapała twarz zimną wodą i wyszła z domu. W ten bożonarodzeniowy poranek serce miała jak z ołowiu.

- Hej, zaczekaj! - Stevie Sullivan zobaczył, jak Kit wychodzi na ulicę, i ruszył za nią biegiem. Odwróciła się. Uśmiechał się szeroko, promieniał radością na jej widok. - Nie wpadłaś do mnie, nie złożyłaś mi życzeń - rzucił oskarżycielsko.

- Myślałam, że będziesz na mszy.

- Byłem na mszy, tylko stałem z tyłu. No wiesz, pokorny ze mnie człowiek, nie chciałem się afiszować.

- Pewnie z kimś gadałeś albo ubijałeś jakiś interes, co? - zażartowała.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Płakałaś - skonstatował.

- Widać? Clio zacznie mnie przesłuchiwać, a tego nie zniosę.

598

- Nie, tylko ja to widzę, znam każdy centymetr kwadratowy twojej twarzy.

Dlaczego płakałaś?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Mógłbym coś dla ciebie zrobić?

- Nie, dziękuję, Stevie. Nie.

- Powiesz mi kiedyś?

- Może.

- Do tego czasu na pewno zapomnisz.
- Nie. Nigdy nie zapomnę, dlaczego dzisiaj płakałam.
- Michael i Kevin bawią się bez troski w Londynie - powiedziała Clio. - Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem - dodała, nie ukrywając zadowolenia.
- Jaka jest ta ich siostra? - spytała Kit.
- Nie wiem, spotkałam ją tylko raz.
- A facet, za którego wychodzi?
- Och, to chyba jakiś zgrzybiały staruszek. Michael mówi, że mógłby być jego ojcem.
- Ale miły jest?
- Najwyraźniej.
- Taki podtatusiały lowelas?
- Wprost przeciwnie. Michael twierdzi, że gość nie ma pensa przy duszy.
- I przyjmą go do rodziny?
- Tak. Powiadają, że w Londynie był siłą napędową branży hotelarskiej.
- To dlaczego nie jest bogaty?
- Diabli wiedzą. Ale ona się do niego przykleiła. Michael uważa, że siostrzyczka jest w ciąży.
- Gadasz - oczy Kit zrobiły się okrągłe z podekscytowania.
- Spieszno im do ślubu. O wiele spieszniej, niż można się było tego spodziewać.
- Jak on się nazywa? - Nazwisko pana młodego mało Kit obchodziło, ale wolała pytać niż odpowiadać na pytania Clio.
- Louis. Romantycznie, co? Louis Gray.

W pierwszy dzień świąt Kit poprosiła Steviego, żeby podrzucił ją do

miasta.

599

- Przecież dzisiaj wszystko jest zamknięte - odrzekł zdumiony.
- To bez znaczenia.
- Przeciwnie. Jechać do miasta w taki deszcz? Równie dobrze możemy zostać tutaj.
- Stevie, tak rzadko cię o coś proszę.

Zastanowił się. Fakt, jak dotąd nigdy nie prosiła go o żadną przysługę.

- Dobra, świetnie - odrzekł.

Nie pytał, po co jej tyle drobnych na telefon. Siedział w hotelowym barze, pił piwo i patrzył, jak dzwoni z budki telefonicznej po drugiej stronie holu.

Kit McMahon nerwowo przeczesywała ręką włosy, rozmawiała z wyraźnym przejęciem. Stevie zdał sobie sprawę, że przyjechała tu w deszcz tylko po to, żeby zadzwonić do kogoś, do kogo z domu zatelefonować nie mogła. Tak, bo nawet gdyby skorzystała z telefonu w „Centralnym”, łączyłaby ją Mona Fitz z miejscowej poczty.

Postanowił o nic nie pytać. Wiedział, że kiedy nadejdzie pora, Kit sama mu o wszystkim powie.

- Pani Ivy Brown?
- Tak, kto mówi?
- Kit McMahon. Spotkałyśmy się w Londynie. Czy wie pani, kim jestem?
- Tak, oczywiście - odrzekła zaniepokojona Ivy. - Czy coś się stało?
- Zadzwoiłam do informacji, podano mi ten numer... Czy mogłabym rozmawiać z Leną?
- Kochanie, jej tu nie ma...
- Proszę posłuchać, ja muszę z nią porozmawiać, po prostu muszę. Muszę

jej przekazać straszne nowiny.

- Myślę, że nic już jej bardziej nie dobije.
- Wiem, z kim on się żeni, ten sukinsyn żeni się z inną. To sukinsyn z piekła rodem, to...
- Kit, przestań...
- Nie przestanę. Nie mam pieniędzy, Ivy. Nie mogę stąd wyjechać, bo organizujemy w Lough Glass wielką imprezę i siedzę w tym po same uszy. Nie mogę tego tak zostawić, ale muszę, muszę porozmawiać z Leną. Gdzie ona jest?

600

- Była w Brighton, ale dzwoniła do mnie z budki w Londynie. Powiedziała, że wyjeżdża na kilka dni i zatelefonuje do mnie w Nowy Rok.

- Wyjechała? Dokąd?
- Tego nie chciała powiedzieć.

Mieli sto pięćdziesiąt osiem zgłoszeń. Klub golfowy nigdy nie obsłużył więcej niż osiemdziesięciu sześciu gości naraz. Philip O'Brien wyznał Kit, że od Wigilii sypia najwyżej dwie godziny na dobę.

- Będzie wspaniale, zobaczysz - odrzekła Kit.
- Wcale nie jesteś tego pewna. Próbujesz być miła, dlatego tak mnie pocieszasz.
- Chryste, Philipie, czasami naprawdę mnie wkurzasz. Mówię, co myślę, więc dlaczego zarzucasz mi, że próbuję być miła?
- Bo błędzisz myślami daleko stąd. Od świąt myślisz zupełnie o czymś innym. - Kit milczała. - Mam rację? - spytał Philip.
- Mam o czym myśleć, to prawda, mimo to uważam, że przyjęcie

wspaniale się uda.

- Powiesz mi, co cię gnębi?

- Po co?

- Może mógłbym ci pomóc. Kit zawahała się.

- Nie wiem. Nie wiem, czy ci powiem. - Dlaczego uważała, że mogłaby wyznać wszystko temu ladaco Steviemu, że mogłaby opowiedzieć mu o tragedii życia matki? Dlaczego darzyła go większym zaufaniem niż dobrego, lojalnego Philipa O'Briena?

- Będę czekał - odrzekł. - Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Jesteś wspaniałym przyjacielem.

- Powiedz, świat się przez to nie zawali.

- Nie, gadaliby o tym cały rok. A teraz do rzeczy. - Wyjęła notatki i zaczęli podsumowywać stan przygotowań do noworocznego balu.

Uzgodnili, że stoły będą duże, na szesnaście do dwudziestu osób każdy.

Ponieważ przyjeżdżali goście z Dublina - bracia O'Connorowie, Matthew (miał być stale

601

obserwowany przez Kevina O'Connora na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy coś niestosownego), Frankie i wielu innych - wszyscy członkowie komitetu organizacyjnego będą musieli mieć oczy szeroko otwarte i pilnować porządku.

Kit odpowiadała za przygotowanie jedzenia i wyszkolenie grupy dziewcząt ze szkoły przyklasztornej, które miały być kelnerkami. Philip odpowiadał za napitki, za otwieranie i rozlewanie wina, za sprzedaż piwa i sprawne roznoszenie tac z alkoholem, natomiast Emmet za meble.

Ponieważ stoły i krzesła stały bardzo blisko siebie, uznali, że kelnerki

mogą mieć kłopoty z obsłużeniem gości, a goście z przysiadaniem się do innych stołów. Emmet miał się pojawić jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdyby biesiadnicy zaczęli dźwigać i przenosić meble.

Anna Kelly odpowiadała za wystrój wnętrza. Gdyby od zasłon i od butelek po winie ze świecami poodpadały gałązki ostrokrzewu, miała je na powrót umocować. Powinna też zachować czujność i nieustannie krążyć między stołami. Bardzo jej to odpowiadało. Stevie Sullivan siedział przy innym stole i dzięki temu będzie mogła nawiązać z nim kontakt.

Patsy odpowiadała za damską toaletę, za ciągłość zaopatrzenia w chusteczki higieniczne i w świeże mydła. Jeden z pokoiów na dole ozdobiono różowymi draperiami, meblami z obiciami w różowo-białe pasy i kwiecistymi wzorami na ścianach. Dobudowano też dwie nowe kabiny, których tak bardzo w hotelu brakowało. Działały znakomicie, a wszystko dzięki temu, że brat Kevina Walla harował nawet w Wigilię, aby tylko skończyć na czas.

Rodzice Philipa mieli poważne wątpliwości co do wysokości poniesionych kosztów, lecz połączani tym, że hotel znalazł się w centrum uwagi całego Lough Glass i okolic, nie protestowali zbyt mocno.

- Pora, żeby ludzie zaczęli traktować nasz hotel jak należy - prychnęła Mildred, słysząc, że wciąż napływają prośby o rezerwację miejsca od właścicieli ziemskich, o których dotąd nigdy nie słyszała.

- Zawsze mówiłem, że w końcu się na „Centralnym”

602

poznają - odrzekł Dan O'Brien, zupełnie nie doceniając zasług syna i jego przyjaciół, dzięki którym sylwestrowy bal w ogóle doszedł do skutku.

Clio nie powierzono żadnego konkretnego zadania: uzgodniono, że

powinna zająć się gośćmi z Dublina, dbać o to, żeby niczego im przy stole nie zabrakło, i zrekompensować im fakt, że pozostali członkowie komitetu organizacyjnego będą w ciągłym ruchu.

- Czy musimy tańczyć tylko z tymi, którzy siedzą przy naszym stole? - spytała Anna.

Kit nie mogła znieść widoku zasmuconej twarzy Emmeta.

- Nie, myślę, że pozostawimy to do własnego uznania - odrzekła.

No jasne, że do własnego uznania. Stevie Sullivan zarezerwował stół dla swoich klientów, a na balu miało być więcej mężczyzn niż kobiet.

Po południu Kit i Philip rozejrzeli się po sali.

- Udało się - skonstatowała Kit.

Biesiadne stoły wyglądały tak odświętnie, tak uroczyście. Dzięki udrapowanym zielenią ścianom odnosiło się wrażenie, że zabawa odbędzie się nie w sali, lecz na otwartym powietrzu. Świece mieli zapalić tuż przed przybyciem gości. Dziewczęta ze szkoły przyklasztornej przyszły pokazać swoje mundurki: każda miała na sobie białą bluzkę, granatową spódniczkę i każda nosiła rozetkę z wyhaftowanymi literami HCL, Hotel Centralny Lough Glass. Kit dopilnowała, żeby te z opadającymi na czoło włosami zaopatrzyły się we wsuwki albo w aksamitki.

W nieskończoność ćwiczyła z nimi sposób postępowania w nagłych wypadkach. Jeśli ktoś upuści talerz, nie mogą chichotać ani robić zamieszania. Pod stołami czekały zmiotki i szufelki zasłonięte długimi obrusami. Kazała im powtarzać nazwy potraw tak długo, dopóki nie wkuły ich na pamięć.

- Hors d'oeuvres, powtórzcie za mną. Nie, jeszcze raz, wszystkie po kolei.

Więc jak się nazywają przystawki?

- Hors d'oeuvres.
- Teraz dużo lepiej.

603

- Idźcie do domu - powiedział Philip. - Wyglądacie wspaniale. Wróćcie tu o wpół do siódmej, wyglądając tak samo.

Wychodząc, chichotały. Nagle Kit krzyknęła:

- Jak się nazywają przystawki?!
- Hors d'oeuvres! - wyskandowało sześć dziewcząt.
- Co jest na danie główne?
- Kurczak z estragonem albo wołowina w czerwonym winie.
- Znakomicie. A na deser?
- Biskopt w sherry z kremem albo mus jabłkowy i lody.
- Czy goście mogą brać dowolną ilość dokładek?
- Tak, dowolną ilość dokładek.
- Nie chichoczcie, kiedy to mówicie - powiedziała Kit. - Oni nie chcą czuć się głupio, chcą być tu mile widziani. - Dziewczęta popatrzyły na nią z szacunkiem. - Cały czas wbijają nam to do głowy w college'u, Philipowi i mnie - dodała, żeby nie potraktowały jej jak okrutnej tyranki.
- A wy dostajecie tę radę za darmo - wtrącił Philip. Dziewczęta uśmiechnęły się do siebie. Philip wiedział, że nigdy nie zdoła odwdzińczyć się Kit za wsparcie, jakiego mu udzieliła.
- Mam dla ciebie mały bukiet do sukni - powiedział. - Trzymam go w lodówce, żeby był ładny i świeży. Przyjmij go jak przyjaciółka od przyjaciela. Dziękuję ci, Kit.
- Och, Philipie, lepszego przyjaciela nigdy nie miałam - zarzuciła mu ręce na szyję, żeby go uścisnąć.

Musnęła go piersiami i ledwo się powstrzymał, żeby jej nie przytulić, żeby nie pocałować jej w usta.

- A ja lepszej przyjaciółki - odrzekł, z trudem panując nad głosem.

Goście z Dublina przyjechali trzema samochodami koło szóstej. Bar był jasno oświetlony i gościnnie zapraszał. Philip przygotował do spróbowania pierwszą partię wina zaprawionego korzeniami.

- Jeśli zwali was z nóg, będziemy wiedzieli, że nie należy podawać go prawdziwym gościom - powiedział.

604

Kevin O'Connor spojrzał na niego z nowym zainteresowaniem. Nie był to ten sam nieśmiały Philip, którego znał z college'u. A hotel? Michael przejeżdżał tędy jakiś czas temu i twierdził, że to rudera. Jaka rudera? To elegancki, porośnięty bluszczem budynek z wejściem ozdobionym piękną zielenią w beczułkach i ze stylowo udekorowaną salą.

Pokoje były dużo wygodniejsze, niż się spodziewał. Kevin miał zamieszkać ze swoim przyjacielem Matthew. Obiecał mieć go na oku. Zresztą dzielenie pokoju z bratem bliźniakiem nie miało żadnego sensu, bo Michael O'Connor zamierzał pobaraszkować trochę z Clio Kelly. Kevin zastanawiał się, dlaczego braciszek ma tyle szczęścia. Zgarnął mu sprzed nosa dziewczynę, którą Kevin sobie upatrzył.

- Masz piękną budę, Philipie - pochwalił. Pozostali się z nim zgodzili.

- Dziękuję - Philip sprawiał wrażenie pewnego siebie. Rodziców do baru nie zaprosił, twierdząc, że powinni zjawić się tam dopiero o wpół do ósmej i powitać przybywających gości. Tak, o wpół do ósmej, nie wcześniej. Był podniecony jak nigdy dotąd. Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Dzisiaj rozpocznie swoją karierę zawodową i zacznie realizować pierwszy etap

dalekosiężnego planu poślubienia Kit McMahon.

Kit poprosiła ojca i Maure, żeby przyszli wraz z pierwszymi gośćmi.

- Miałem nadzieję, że przedtem wpadniemy z Peterem do Paddlesa na kufelek - odrzekł Martin.

- Nie, wypijecie piwo w barze.

- Ale to takie ponure miejsce...

- Zaczekaj, aż zobaczysz je dzisiaj.

Maura wyglądała bardzo ładnie: miała na sobie czarną suknię z czarnymi szyfonowymi rękawami.

- Palto zupełnie do tego nie pasuje, ale w samej sukni zamarzałabym na śmierć w drodze do hotelu.

- To tylko kilka kroków stąd - odrzekła Kit. - Wyglądasz tak ładnie, że szkoda tego psuć.

- Nałóż jednak palto, bo złapiesz zapalenie płuc - rzucił Martin.

605

- Lilian nałoży etolę, ale ja wyglądam w etoli jak pomywaczka - Maura robiła wrażenie rozczarowanej.

- Tato, mogę cię o coś spytać? - Martin spojrzał na nią zaskoczony. -

Pamiętasz tę etolę mamy? Przypominała krótką pelerynkę.

- Tak, chyba tak. Dlaczego o to pytasz?

- Nie, chyba nie pamiętasz, bo mama prawie nigdy jej nie nosiła. Leży w szafie, w pudełku, na wypadek, gdybym kiedykolwiek chciała ją nałożyć.

Mnie do sukni nie pasuje, więc może damy ją Maurze? - Wiedziała, że ryzykuje. Nigdy dotąd nie rozmawiali o rzeczach matki.

- To bardzo miło z twojej strony, Kit, ale nie sędzę, żeby...

- Zaraz ją przyniosę. Mogę, tatusiu? Mogę?

- Dziecko, to twoja etola i będę zachwycony, jeśli Maurze się spodoba.

Doprawdy zachwycony.

Kit wróciła już po chwili. Etola leżała w pudełku, zawinięta w cienki papier i bił od niej słaby zapach kulek na mole. Z przodu miała zapięcie.

Była staromodna, by nie powiedzieć: niemodna, ale Maura mogła wyglądać w niej bardzo elegancko. Kit ułożyła etolę na ramionach macochy i cofnęła się o krok, podziwiając efekt.

- Uroczo, wspaniale... Chodź, przejrzyj się w lustrze. Rzeczywiście, etola była cudowna. Na ramionach leżała jak ulał, ale haftka nie sięgała uszka.

- Trzeba to związać czarną tasiemką. - Kit myślała szybko i praktycznie. - Mam kawałek w szufladzie.

Kiedy wróciła, ojciec i Maura trzymali się za ręce, a w oczach macochy błyszczały łzy. Kit miała nadzieję, że nic się nie stało.

- Właśnie mówiłam Martinowi... może nie powinnam jej nakładać. Ktoś mógłby pamiętać, że przy jakiejś okazji nosiła ją Helen i...

- Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ją nosiła.

- Kupiłeś ją mamie?

- Nie pamiętam. Nie, musiała ją po prostu mieć, ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek ją w niej widział. Bardzo bym chciał, żebyś ją dzisiaj nałożyła, kochanie.

- Może miała dla niej specjalne znaczenie - Maura nie wyzbyła się wątpliwości.

606

- Nie, to wykluczone, gdyby tak było... - Przerazona Kit urwała. Niewiele brakowało i powiedziałyby, że gdyby tak było, mama zabrałaby etolę do

Londynu.

- To? - Maura spojrzała na nią pytająco.
- To widzielibyśmy, jak ją nosi. Daj, przewlekę tasiemkę przez uszko i będziesz królową balu.
- A kiedy ty się przebierzesz?
- Suknię mam w hotelu. Nie chciałam jej nakładać, dopóki nie skończymy przygotowywać jedzenia.
- Szef kuchni nie ma nic przeciwko temu, że przejęliście jego obowiązki?
- Nie wiem, jakiej trzeba by wyobraźni, żeby nazwać Cona Daly'ego szefem kuchni, nawet „kucharz” to lekka przesada. Tak mu ulżyło, że tam jesteśmy, iż gotów nam buty lizać z wdzięczności.

Wszedł Emmet, który chciał, żeby zawiązać mu muszkę.

- Powinna to robić twoja dziewczyna - powiedziała Maura, wprawnie manipulując palcami.
- Na dziewczyny mam jeszcze czas - odrzekł Emmet. - Co najmniej kilka lat.

Kit pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

- Bardzo rozsądna postawa - orzekł Martin McMahon. - Gdyby wszyscy myśleli jak ty, ten kraj byłby w znacznie lepszym stanie.
- Spotkamy się w hotelu. - Kit wybiegła z pokoju. Stevie Sullivan zapukał w okno na piętrze.
- Wejdiesz na górę, żeby pomóc mi się ubrać?
- Przykro mi - odkrzyknęła. - Od pięciu minut powinnam być na dyżurze, a rozkazy bojowe są bardzo kategoryczne. Większość z nich wydałam sama.
- Ty też jeszcze się nie zgalowałaś - skonstatował, rozczarowany.

Miała na sobie wełniane palto, a duże, luźne loki włosów ukryła pod chustką.

- Jeszcze się nie zgalowałam... Cudowne określenie. Na razie!

Obserwował z okna, jak Kit biegnie w stronę hotelu. Nikt nie poznałby „Centralnego”: ozdobione zielenią wejście, starannie przystrzyżony bluszcz na ścianach, nowiutki

607

sztyld lśniący w iluminacji, która wydobywała z mroku stary dąb rosnący na podjeździe. To śmieszne, że Kit nie dostrzegła wyrazu tęsknoty i pożądania na twarzy Philipa O'Briena. Nie należała do dziewcząt niemiłych i na pewno nie zabawiałaby się jego kosztem. Po prostu nie dostrzegła, iż młody syn właściciela hotelu był w niej po uszy zakochany. Wśliznęła się do kuchni. Nie chciała dołączać do głośnego towarzystwa w barze. Usłyszała dudniący baryton Matthew i przypomniała sobie, że trzeba jeszcze raz ostrzec Kevina, by ten ani na chwilę nie spuszczał go z oka.

W kuchni było za gorąco: otworzyła okno, ale przeciąg zrzucił coś z półki.

- Zablokujcie krzesłem drzwi na zaplecze - rozkazała.

- Świetny pomysł, ja to zrobię - odkrzyknął Con Daly w nieskazitelnie białym fartuchu. Jeszcze nie tak dawno Con wyglądał jak nieszczęśnik, na którego wylano zawartość trzydziestu pięciu talerzy z resztkami zupy.

Młodziutkie kelnerki stały w małej grupie, chichocząc z podniecenia. Kit zmarszczyła czoło. Ileż razy próbowała im wytłumaczyć, że... Z drugiej strony, kiedy były z Clio w ich wieku, też się śmiały i chichotały, nie robiły nic innego przez co najmniej trzy lata. Gdyby tak poproszono je wtedy o pomoc przy organizacji balu u O'Brienów...

- Posłuchajcie. Wiem, że uważacie nas za staruszków, w dodatku za trochę zwariowanych staruszków, ale chcę wam powiedzieć, co tu robimy. Próbujemy udowodnić, że dajemy sobie radę tak samo, a nawet lepiej niż dorośli. Dorośli uważają, że wciąż jesteśmy dziećmi, więc musimy wykazać się jak najdoskonalszą oglądą. Musimy wiedzieć, że przystawki to po francusku...

- Hors d'oeuvres - dokończyły dziewczęta.

- Musimy wiedzieć, że sos estragonowy to...

- Sos ziołowy.

- Ale przede wszystkim chcemy, żeby potraktowano nas jak prawdziwe kelnerki, a nie jak uczennice. Kiedy chichoczą i dobrze się przy tym bawicie, wyglądacie jak amatorki. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale nie mogę wam na to pozwolić. Po imprezie będziemy tarzać się ze śmiechu, 608

po imprezie, nie wcześniej. Poza tym Philip mówi, że jeśli nie będzie żadnych śmichów-chichów, każda z was dostanie cztery szylingi ekstra. - Cztery szylingi, duże pieniądze. Dziewczęta popatrzyły po sobie z niedowierzaniem. - Ale bierzecie na siebie wspólną odpowiedzialność: usłyszę choć jeden chichot, i żadna z was nie dostanie premii. Rozumiemy się?

Z poważnymi twarzami, nie śmiać spojrzeć sobie w oczy, skinęły głową.

- Świetnie. Zaraz, co jeszcze miałam zrobić?

- Chyba się przebrać - odpowiedziała jedna z dziewcząt. Pozostałe spiekły raka, ale zdołały stłumić śmiech. Kit tak je nastraszyła, że dla czterech szylingów premii zrobiłyby wszystko.

Zdjęła z wieszaka szkarłatną suknię. Philip pozwolił jej skorzystać ze

swego pokoju. Wysprzątał go i porozkładał wokoło najprzeróżniejsze rzeczy, dzięki którym miał urosnąć w jej oczach: książki, których nigdy nie przeczytał, czyste ręczniki, drogie mydło, którego nigdy nie używał. Suknia leżała doskonale. Była bez ramiączek i nie wymagała stanika. Podobnie jak suknia, którą Kit nosiła na tańcach w Dublinie, była znakomicie dopasowana, więc stanik okazał się zbędny. Stojąc w półhalce i myjąc się nad umywalką Philipa, spojrzała w lustro. Nie miała zbyt wielkiej ochoty na zabawę. Gdyby tylko mogła zadzwonić do Leny, gdyby tylko mogła z nią porozmawiać...

Była zmęczona pracą, jaką włożyła w przygotowania do balu. Stwierdziła, że jest blada. Musi zrobić wszystko, żeby nie zaprzepaścić dzisiejszej okazji. Tak, całe przedsięwzięcie sprowadzało się wyłącznie do tego. Nie może ustąpić pola tej małej Kelly w cytrynowej sukni od Browna Thomasa i nie, nie ustąpi ani centymetra, żeby nie wiadomo co. Doniesiono jej, że Anna będzie wyglądała oszałamiająco. Kit nie zaharowywała się na śmierć tylko po to, żeby rodzice Philipa mogli przypisać sobie całą zasługę za postawienie hotelu na nogi. Chciała areny, sceny, miejsca, gdzie wszyscy zobaczą, jak Stevie Sullivan zakochuje się w niej po uszy.

Musiała dzielić Annę Kelly między te złośliwe oczka, tak żeby uciekła, szlochając, do biednego, niewinnego

609

Emmeta, który oczywiście przyjmie ją z powrotem. Dała bratu słowo i słowa dotrzymała. Ale teraz chodziło o coś więcej, chodziło o coś, czego pragnęła bardzo, niemal boleśnie.

Kiedy zeszła na dół, w sali był już spory tłum gości, ale Stevie i jego klienci jeszcze nie przybyli. Przeczesała wzrokiem całe pomieszczenie,

lecz go nie dostrzegła. Podeszła do ojca i Maury pograżonych w rozmowie z Kellymi. Maura wciąż miała na sobie etolę.

Lilian nie mogła oderwać od niej oczu.

- Rzeczywiście, jest bardzo elegancka. - Maura usłyszała w jej głosie nutkę zazdrości.

- Owszem. Myślę, że jeszcze jej nie zdejmę - szepnęła. - Nie wierzę, żeby O'Brienowie wystarczająco ogrzali salę.

- Nie widziałam, żebyś ją kiedykolwiek nosiła.

- Nie miałam okazji - odrzekła Maura. Postanowiła nie mówić siostrze, że etola należała do Helen McMahan. Było oczywiste, że Lilian nigdy jej nie widziała. Jaką dziwną kobietą musiała być Helen, skoro mając tak piękną rzecz, nigdy jej nie nosiła!

- Nie do wiary - zdumiony Martin rozejrzał się wokoło. - Nie poznaję tego lokalu, Kit. Chyba będę musiał zaprosić cię do apteki.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że nie będziesz co chwila protestował przeciwko wbijaniu gwoździ w ścianę - odrzekła szeptem Kit. - Jak Mildred O'Brien. Te cholerne ściany ledwo stały. Były zmurszałe, pokryte zaciekami i pleśnią, jakby chcieli założyć tu wytwórnię penicyliny, a ona mówi: „Tylko nie za dużo gwoździ, tylko nie za dużo gwoździ”.

Mildred stała obok kominka niczym królowa, przyjmując od wszystkich gratulacje.

- No cóż, stary gmach ma swój urok - odpowiadała skromnie, jakby zawsze tak tu wyglądało.

Kit podeszła do Clio i O'Connorów. Clio miała na sobie kremową suknię z dekoltem w kształcie pączka róży. Suknia była atrakcyjna, ale nie porażająca. Ginęła w tłumie, w przeciwieństwie do szkarłatnej sukni Kit

albo cytrynowej sukni Anny Kelly. Zdawało się, że Clio to wyczuła, bo nagle posmutniała.

610

- Witajcie w Lough Glass - rzuciła Kit.
- Wyglądasz wspaniale - pochwaliła ją Frankie Barry.
- Dzięki. Suknia jest szokująca. Gdybym była w Londynie, wzięlibyście mnie za skrzynkę pocztową.
- Albo za autobus - dodała Clio. Popatrzyli na nią zaskoczeni. - Autobusy też są czerwone - wyjaśniła potulnie Clio.
- Tak, oczywiście - zgodziła się z nią Kit. - Jak było w Londynie? - spytała bliźniaków.
- Świetnie, ale... - odrzekł Michael.
- Ale nie spotkaliśmy tam nikogo, kto by się do ciebie umywał - dokończył za niego Kevin.

Clio była wściekła jak nigdy dotąd. Kit zdawała się tego nie zauważać.

- Opowiedzcie mi o narzeczonym waszej siostry. Jaki on jest? W porządku?

Clio o to nie zapytała i teraz szlag ją trafiał. Kit podbijała dokładnie wszystkich. Nie lubiła Kevina, pasjami go nie cierpiała, mimo to ten bęcwał chłonał każde jej słowo.

- Tak, w porządku - odrzekł. - Trochę stary jest i w ogóle, ale w sumie to klawy gość. Teraz wiemy, dlaczego tak się jej podoba. Obwoził nas po Londynie swoim wozem. Byliśmy w dokach, w Covent Garden, wszędzie. Jakby robił za przewodnika.
- Nie musiał iść do pracy? - spytała Kit.
- Było Boże Narodzenie.

- To straszne, ale ludzie z branży hotelarskiej muszą pracować i w święta.
Kevin spojrzał na Michaela.

- Fakt. Chyba wziął wolne.

- Nie, myślę, że odszedł z pracy. Niedługo się pobierają. I to bardzo niedługo, cha, cha! - dodał Michael, trącąc łokciem Clio.

Clio to rozdrażniło, a Kit zainteresowało.

- I co? Wracacie do Londynu na ślub? - spytała.

- Nie, to oni tu przyjeżdżają. Pobierają się w Dublinie. Kit miała ochotę zapytać ich, czy poznali jego rodzinę, czy wiedzą, co dotąd robił. Miała ochotę przyprzeć tych głupków do muru i wycisnąć z nich wszystkie szczegóły.

611

Chciała powiedzieć im, że Mary Paula dała się złapać kłamcy, oszustowi międzynarodowej klasy. Chciała zabawić ich opowieścią o przyszłym szwagrze, o jego niecnych szachrajstwach - pragnęła zobaczyć, jak ich tłuste, szarawe włosy stają dęba.

- Clio, czy to nowy zegarek? - spytała.

Clio obnosiła się z zegarkiem w taki sposób, że po prostu nie można było go nie zauważyć.

- Tak, to prezent od Michaela - odrzekła z głupawym uśmiechem.

- Piękny - orzekła Kit i wszyscy zaczęli go podziwiać.

Za rok Clio dostanie pierścionek zaręczynowy. Tak wyglądał godowy taniec. Zegarek był zaproszeniem, przygrywką. Kit spojrzała na przyjaciółkę z nowym zainteresowaniem, jakby nigdy dotąd jej nie widziała. Clio zamierzała wyjść za Michaela O'Connora. Miała zostać szwagierką Louisa Graya.

Pani Hanley głośno wychwalała młodych za to, że tak dobrze się spisali.

- Moja Patsy też brała w tym udział - powiedziała pani Dillon z kiosku z gazetami. - Jestem zaskoczona, że twoja Orla nie chciała.

- Cóż, Orla ma swoje życie. Jest mężatką i mieszka daleko stąd.

- Nie przyjdzie dzisiaj, prawda?

- Któż to wie - odrzekła chłodno pani Dillon i odeszła. Powiedziała córce, iż mowy nie ma, żeby przyszła na bal

sama. Albo przyjdzie z mężem w towarzystwie rodziny, albo nie przyjdzie wcale.

„Te ciemniaki nie wiedzą, co to taniec - odparła Orla. - I jeśli zechcę, to przyjdę sama. Na pewno znajdzie się pełno takich, którzy chętnie ze mną zatańczą". Pani Dillon, która bała się, że z córką tańczyć będzie tylko Stevie Sullivan, ponuro zacisnęła usta.

Gdy szmer rozmów przeszedł w głośny gwar, a później w ryk, Philip i Kit zdecydowali, że pora już na Bobby'ego Boylana i jego orkiestrę; chcieli odczekać, aż natężenie hałasu odpowiednio wzrośnie.

- Na początek zagrajcie jakiś spokojny kawałek, bez żadnego ra-ta-ta-ta - zaproponował Philip.

612

- Co znaczy bez żadnego ra-ta-ta-ta? - spytał poirytowany Bob Boylan.

- Philip ma na myśli łoskot werbli - wyjaśniła przepraszaście Kit.

- Ten pani chłopak ma dziwne słownictwo.

- On nie jest moim chłopakiem. - Kit nie chciała, żeby nawet ktoś taki jak Bobby Boylan, którego, jeśli Bóg da, już nigdy w życiu nie zobaczy, wyjechał z Lough Glass z mylnym wrażeniem.

Bobby Boylan dyrygował kwintetem. Muzycy mieli na sobie bladuróżowe

marynarki, które pewnie kupili, gdy byli o wiele szczuplejsi, albo pożyczyci od szczuplejszych kolegów po fachu.

- Czy Czerwone żagle o zachodzie słońca będą wystarczająco spokojne? - spytał. Nie cierpiał hotelowych imprez. Chętnie zagrałby na balu sylwestrowym w wielkiej sali balowej, ale czasy się zmieniły. Teraz musiał słuchać poleceń dzieciaków w garniturach.

Westchnął i podniósł batutę, by dyrygować orkiestrą, którą firmował własnym nazwiskiem.

- Kiedy zaprosimy ich na kolację? - spytał Philip.

- Zaczekajmy - odrzekła Kit. - Wszyscy tańczą, nikt nie patrzy na zegarek.

- A propos. Clio pokazywała ci swój zegarek?

- No jasne. Myślałam, że poprosi Boylana o tusz i zacznie obnosić to cacko po całej sali.

Philip parsknął śmiechem.

- Dobrze wiedzieć, że potrafisz być tak zgryźliwa jak wszyscy.

- Ja zgryźliwa? A skąd! Tak czy inaczej odczekajmy jeszcze dziesięć minut. - Stevie Sullivan i jego klienci jeszcze nie przyszli. Nie chciała zaczynać, dopóki nie przybędzie gwiazdor przedstawienia.

Anna Kelly chciała coś wtrącić, lecz nagle...

- Przepraszam was na chwilę - powiedziała. - Muszę coś załatwić.

Kit śledziła ją wzrokiem. Nie, dekoracja sali jeszcze się nie sypała... Oho, Anna wypatrzyła Steviego Sullivana. Nareszcie przyszedł i spieszyła, aby go powitać.

613

Anna Kelly. Idealna cera, długie, kędzierzawe blond włosy, we włosach cieniutkie wstążeczki pod kolor sukni - była jak zjawisko.

Może Kit wyglądała przy niej zbyt wulgarnie? Może szkarłat to nieodpowiedni kolor? Zbyt agresywny, zbyt ostentacyjny jak na Lough Glass?

Stevie odwiedził z przyjaciółmi przybytek Paddlesa. Wszyscy byli w dobrej formie.

- Jezu, nie poznaję tej knajpy - powiedział jeden z dealerów samochodowych. - Kiedyś strach było tu gadać, bo rozmówca mógł się w każdej chwili wykopyrtnąć i zemrzeć u twych stóp.

- I ta orkiestra - dodał drugi. - Słyszysz, Stevie? Co za lokal! Masz klasę, chłopie.

Mieli zaczerwienione twarze, pewnie byli kawalerami, ludźmi, którzy od lat składali duże zamówienia na ciągniki i ciężarówki. Za pośrednictwem młodego Sullivana sprowadzali też inny sprzęt rolniczy, bo Stevie proponował im dobre warunki i zawsze wszystkiego dopilnował.

Schlebiało im, że zostali zaproszeni na imprezę tak wykwinną jak sylwestrowy bal organizowany przez klub golfowy w Lough Glass.

Zazwyczaj bywali w miejscach zupełnie innych.

Bułeczki - pomyślała Kit. Trzeba im dać kilkanaście ciepłych bułeczek ekstra. Goście Stewiego należeli do ludzi, którzy gotowi byli pożreć gałązki ostrokrzewu ze stołu, jeśli kolacja się opóźni.

Nazwiska gości były wypisane na kartonikach. Wypisano je dużymi literami, tak żeby biesiadnicy nie musieli wyęźać wzroku i tłoczyć się przy stołach. Imion gości nie podano, wystarczyły same nazwiska:

McMahonowie, Wallowie, i tak dalej. Poszczególne grupy dobierały swój skład pośród zamieszania i wrzawy. W pobliżu czuwał Emmet, odpowiedzialny za krzesła. Gdyby zaszła taka potrzeba, miał biec po

zapasowe albo upychać ludzi po kątach.

Na stołach stały koszyki z ciepłymi bułeczkami. Przyniosły je z kuchni dziewczęta z przyklasztornej szkoły, uroczyste i poważne, nie śmiejące podnieść oczu. Dopiero teraz Kit zdała sobie sprawę, że zakaz chichotania odebrały jako

614

zakaz uśmiechania się. Następnym razem będzie o tym pamiętała.

Kolacja. Ćwiczyły to dziesiątki razy. Kit stanęła przy stole w głębi sali i poprosiła gości, by zechcieli podejść do bufetu jako pierwsi. System zadziałał jak marzenie i wkrótce wszyscy chwycili, na czym rzecz polega. No i to solenne zapewnienie, że jedzenia nie zabraknie.

- Prosimy wracać do nas, ilekroć państwo sobie zażyczą - zachęcały grobowym głosem dziewczęta w białych bluzeczkach.

Con Daly, kucharz, którego w dobrym towarzystwie nigdy nie widywano, stał w drzwiach prowadzących na zaplecze z szerokim uśmiechem na twarzy. W białym fartuchu i w wysokiej kucharskiej czapie wyglądał jak dowódca odpowiedzialny za sukces kulinarnego wojska, a nie jak szeregowy wypełniający proste rozkazy Kit i Philipa.

Kątem oka Kit dostrzegła w drzwiach Orlę Dillon, a raczej Orlę Reilly, jak się teraz nazywała. Wyglądała szaro, nawet niechlujnie, jakby przez jakiś czas stała na deszczu, zastanawiając się, czy wejść do środka, czy nie.

Sukienka na niej wisiała, włosy miała w strąkach. Kilka lat temu wszyscy uważali, że ma olbrzymie doświadczenie i oszałamiające powodzenie wśród mężczyzn. Dzisiaj wyglądała żałośnie.

Było oczywiste, że nie ma jej na liście gości przy stole pani Dillon.

Siedziało tam sześć osób, które doskonale wiedziały, że nieokiełznana Orla

uciekła z domu w górach, żeby się zabawić, i nie miały najmniejszej ochoty powitać jej w swoim gronie.

Podeszła do niej Kit.

- Witaj, Kit - Orla miała szkliste oczy.
- A więc tutaj jesteś, Orla. Przyszedłeś z jakąś konkretną grupą?
- Wspaniała suknia. Kupiłeś ją w Dublinie?
- Tak - odrzekła niespokojnie Kit.
- Bardzo bym chciała kiedyś tam pojechać. Nawet do pracy. - Zalaatywało od niej alkoholem.

Kit zdała sobie sprawę, iż sytuacja jest bardzo niezręczna. Nie mogła Orli po prostu wyrzucić. Tylko gdzie ją posadzić?

615

Doskonale wiedziała, że Orla ma chrapkę na Steviego Sullivana. Dlatego tu przyjechała. Dlatego przyjechała tu z górskiej głuszy: żeby poczuć magię noworocznej nocy.

- Tak... Powiedz mi, Orla, gdzie chciałabyś usiąść.
- Słyszałam, że macie tu stół, do którego podchodzi się po jedzenie.
- Tak, oczywiście.
- Więc co to ma za znaczenie, gdzie usiądę?
- Nie chciałabym, żeby zabrakło ci krzesła.
- Daj se siana. Na pewno jakieś sobie znajdę.

Tego im tylko brakowało - pomyślała Kit: pijana eks-przyjaciółka Steviego. W dodatku na pewno ściga ją horda ordynarnych krewniaków z siekierami.

Gdy tylko odeszła chwiejnie w stronę bufetu, u boku Kit wyrósł Philip.

- W czym problem? - spytał.

- Jest zalana - odrzekła krótko Kit.
- Chryste, co my z nią zrobimy?
- Moglibyśmy spić ją jeszcze bardziej, zaczekać, aż urwie jej się film, a potem zamknąć babę w kredensie albo w jakiejś szafie.

Spojrzał na nią wdzięczny, że Kit nie robi z tego dramatu.

- Albo odprowadzić ją do matki. Znasz to stare przysłowie: „Każda krowa swoje ciele...”

- Wątpię, czy to przysłowie wprowadziłoby panią Dillon w entuzjastyczny nastrój. Nie, lepiej uważnie ją obserwujmy, zobaczmy, dokąd tak zygzakuje, i jakoś ją usadźmy. Emmet poda jej krzesło.

Patrzyli, jak Orla sunie w stronę stołu Steviego Sullivana, balansując niebezpiecznie z kopiastym talerzem jedzenia. Emmet z krzesłem szedł za nią dopóty, dopóki nie dała mu znaku, że chce usiąść.

- No, przynajmniej siedzi - sapnęła Kit.

Była zła, że Steviego nawiedzają duchy przeszłości, i to akurat takie duchy. Jednak nie, nie odczuwała zazdrości, bo niby czego miała zazdrościć biednej, bełkoczącej Orli ze ściągniętą twarzą? No, może tylko tego, że nie była cnotką jak ona, że poszła ze Steviem na całość.

- Nie możemy pozwolić, żeby biednemu Steviemu spadł

616

na głowę taki pasztet - powiedział Philip. - Porządny z niego facet, spójrz tylko, ilu ludzi tu przyprowadził.

Kit poczuła, że ogarnia ją fala wyrzutów sumienia. Wiedziała, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kiedy zaczną się tańce, spędzi w ramionach Steviego całą noc. Wtedy Philip na pewno nie nazwie go biednym Steviem.

Zobaczyła, jak Stevie podchodzi do stołu brata, jak coś do niego mówi, jak wręcza mu samochodowe kluczyki. Dumny jak paw Michael kiwał poważnie głową. Potem Stevie wrócił do swoich klientów. Orkiestra grała kawałki nie przeszkadzające w trawieniu. Na kawałki szybsze przyjdzie pora nieco później. Jeszcze później Boby Boylan i jego muzycy mieli zrobić sobie przerwę i zjeść kolację w innym pokoju.

- Wszystko idzie świetnie - zapewniła Kit Philipa. - Jest lepiej, niż oczekiwaliśmy.

- Sukces. Pierwszy z wielu.

- A nie mówiłam? Od samego początku byłam tego pewna.

Stali dumnie i obserwowali. Poważne kelnerki zaczęły sprzątać ze stołów. Nie zgarniały resztek, tylko układały talerze w równiutkie stosy i wносиły je do kuchni, jak im polecono. Inne ustawiały desery na długim stole. Nie było żadnej paniki, wszyscy widzieli, że stoją tam w gotowości bojowej rzędy salatek jabłkowego musu. Wkrótce panie pójną przypudrować nos i rozpoczną się tańce.

Kit wmawiała sobie, iż nie ma powodu do zamartwiania się Orlą Dillon.

Stevie na pewno poradzi sobie z niespodziewanym i jakże niepożądanym gościem z przeszłości. Będzie wiedział, jak uniknąć sceny. Tak, Stevie Sullivan umiał radzić sobie ze wszystkim.

Do Kit podszedł Michael Sullivan.

- Wiem, wiem, trzeba zrobić miejsce na tańce. Miałem pomóc przy odsuwaniu stołów, ale coś mi wypadło.

- Co?

- Braciszek chce, żebym odwiózł kogoś do domu. Pewna dama źle się poczuła.

- I Stevie jej nie odwiezie?
- Nie. To znaczy mam jej powiedzieć, że tak, ale on nigdzie nie zamierza jechać. Chwytasz, w czym rzecz?

617

- Oczywiście, jak najbardziej - odrzekła zadowolona Kit.

Załatwili to bardzo sprytnie. Stevie odprowadził zataczającą się Orlę do drzwi i szepnął jej coś do ucha. Orla poszła do samochodu niczym potulna owieczka. Michael deptał jej po piętach.

- Gdzie Stevie? - wybełkotała.

- Mam cię tam odwieźć - odrzekł. - Powiedział, że tak jest dyskretniej.

Stevie będzie czekał na miejscu.

- Na jakim miejscu?

- Ruszamy, Orla. - Pojechali w księżycową noc, drogami ze wspaniałymi widokami na jezioro.

Michael zatrzymał wóz dopiero osiemnaście kilometrów dalej, przed domem Reillych, gdzie mieszkała jego pasażerka. Z kuchni dochodził monotony śpiew.

- Hej, ty, nie tutaj chciałam jechać - mruknęła Orla.

- Stevie mówi, że tak jest najlepiej. Masz powiedzieć, że pojechałaś do miasta po flaszkę whisky na noc.

- Ale to nieprawda, nie mam żadnej flaszki - Orla była mocno przestraszona.

- Owszem, masz. Stevie ci ją kupił. Kazał mi chwilę zaczekać na wypadek, gdyby zaczęli podejrzewać, że byłaś z nim albo co.

- Wiedzą, że jesteś jego bratem, poznają cię.

- I co z tego? W ich oczach jestem tylko dzieckiem, bo chodzę do szkoły.

Z uczniakiem byś się nie zadawała.

- Bo ja wiem? - Orla łypnęła na niego spod oka. Wsiadła z samochodu i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Michael modlił się, żeby nie upuściła butelki.

Drzwi otworzył jakiś mężczyzna. Michael słyszał jego chrapliwy głos.

- Kto siedzi w tym samochodzie? - Mężczyzna przepchnął się obok Orli.

- To tylko dzieciak - odrzekła niepewnie dziewczyna. Mężczyzna podszedł bliżej, żeby to sprawdzić.

- Dobry wieczór, panie Reilly - rzucił nerwowo Michael. - Pani Orla chciała kupić panu butelkę whisky w prezencie i nie miała jak wrócić do domu, więc Paddles prosił mnie, żebym ją podrzucił.

618

- Dlaczego akurat ciebie?

- Bo zna mnie pani Dillon, jej matka.

- Dobra, dzięki - burknął Reilly.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - zawołał Michael, zawracając samochód.

- Wzajemnie, młodzieńcze.

Michael wrócił na bal. Życie było piękne. Powiedział bratu, że odda mu tę przysługę, jeśli Stevie załatwi mu wóz, choćby najtańszy. Stevie, biedaczyna, nie miał wyboru.

Kiedy wszedł na salę, na parkiecie wirował tłum tańczących.

- Dużo straciłem? - spytał Emmeta.

- Jeśli nie liczyć przesuwania stołów i krzeseł, to nic. Aha, otworzyliśmy na chwilę okna, żeby trochę przewietrzyć salę.

- No i co? - zainteresował się Michael. - Przewietrzyliście?

- Mam nadzieję, bo przeciąg zdmuchnął wszystkie świece i musieliśmy je

znowu zapalać.

Bobby Boylan zaprosił wszystkich na parkiet, bo zaraz mieli grać Księżyc nad Karoliną.

- Zatańczysz ze mną, Kit? - spytał Philip. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Przepracowali razem tyle radosnych tygodni i odnieśli prawdziwy triumf. Już teraz słyszała, że szczęśliwa gwiazda, która zaświeciła nad „Centralnym”, nigdy nie zgaśnie. Ojciec Kevina Walla oznajmił, że jego firma organizuje wielkie przyjęcie dla swoich klientów. Napisali już do Castle Hotel, pytając o ceny, ale teraz mógł kategorycznie stwierdzić, że kolacja odbędzie się nie tam, tylko w „Centralnym”.

Dan O'Brien uścisnął jej rękę i powiedział, że odnosi wrażenie, iż Kit też miała swój udział w zorganizowaniu całego przedsięwzięcia, więc nie chce, by pomyślała sobie, że nie jest jej za to wdzięczny. Mimo zagmatwanej konstrukcji zdania, w którym roіło się od podwójnych zaprzeczeń, Kit domyśliła się, że pan O'Brien jest tak rozradowany i zadowolony, iż z trudem panuje nad językiem.

Matka Orli obłapiła ją w toalecie z wyrazami zapewnienia,

619

że wartościowszej dziewczyny jak dotąd nie spotkała i że nigdy, ale to nigdy nie zapomni, iż tak taktownie zareagowała na obecność biednej Orli.

- Nigdy ci tego nie zapomnę - powtórzyła kilkakrotnie. - Nigdy.

Kit była zdumiona. Miała wrażenie, że sprawę Orli załatwiła bardzo nieudolnie, ale wyglądało na to, iż wszystko skończyło się dobrze. Brat Stewiego odwiózł ją do domu i Orla była już wśród swoich górali.

Stevie. Kiedy się do niej odezwie?

Kiedy orkiestra Bobby'ego Boylana zaczęła błagać, żeby księżyc świecały nad Karoliną nigdy nie zaszedł, Kit i Philip wyszli na parkiet. Byli pierwsi, więc goście siedzący przy ich stole wstali, by nagrodzić ich oklaskami i okrzykami zachęty.

- Brawo, Philip! - krzyczeli. - Brawo, Kit! Klaskali wszyscy. Piękna dziewczyna w szkarłatnej sukni

i syn właściciela hotelu. Kit wpadła w przerażenie. Co będzie, jeśli Stevie pomyśli, że to celowa zagrywka, że Kit chce zwrócić na siebie uwagę, demonstrując gościom, iż łączy ją z Philipem coś intymnego? Jednak nie mogła nic zrobić - musiała tańczyć i z uśmiechem na twarzy dziękować za brawa i owacje.

Zza chmur wychynał księżyc. Na jeziorze zaśnił srebrzyście długi, wąski trójkąt.

- Spójrz, Philip. Prawdziwe czary...

Wyciągnęła rękę w stronę okna, dzięki czemu mogła się od niego delikatnie odsunąć. Wiedziała, że Stevie ją obserwuje, i nie chciała robić tego zbyt gwałtownie, żeby nie urazić Philipa. Philip spojrział w okno. Ich nadzieje się ziściły.

- Rozciąga się stąd najpiękniejszy widok na świecie! - wykrzyknęła Kit.

- Tak - odrzekł prostodusznie. - Nasz wspólny widok.

- Jestem dzisiaj taka dumna z naszego miasta. Mogłabym wejść na dach i wykrzyzczyć to całemu światu. Kiedy mówię, że pochodzę z Lough Glass, zawsze mnie pytają: „Skąd?”

620

- Jest tu ktoś z Castle Hotel. Najwyraźniej przysłali faceta na zwiady.

- I dobrze, będzie miał co opowiadać - zdołała sprowadzić rozmowę na

neutralny temat, dzięki czemu znowu rozmawiali jak przyjaciele, zamiast się do siebie tulić.

- Interesowała go nasza altana; powiedział, że to prawdziwa osobliwość. Widocznie swoją rozebrali. To był łebski pomysł, co? - Przez wielkie okno patrzyli na altanę tonącą w księżycowej poświacie i na rozciągające się za nią jezioro. - Trudno o piękniejszą oprawę na powitanie Nowego Roku. Kit spojrzała na zegar: za kwadrans jedenasta. Zostało jej dokładnie siedemdziesiąt pięć minut. Za siedemdziesiąt pięć minut Stevie Sullivan będzie życzył jej wszystkiego najlepszego i całował ją na oczach całego miasta. Nie mogła się już doczekać.

Maura tańczyła z Martinem. Orkiestra grała Ulicę, przy której mieszkaśz.

- To chyba jedyne miasto na świecie, gdzie prawie wszyscy mieszkają przy tej samej ulicy - powiedział Martin.

- Zrobili kawał dobrej roboty - odrzekła Maura. - Jest tu o wiele przyjemniej niż w klubie, dwadzieścia razy przyjemniej.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz, Mauro.

- Ty też. Odmłodniałeś, jesteś taki przystojny. Martin roześmiał się.

- Chyba trochę przesadzasz.

- Tak cię widzę - Maura była na wskroś szczerą. Mąż przytulił ją troszeczkę mocniej.

Nieco dalej tańczyli Peter i Lilian. Tańczyli sztywnawo, zachowując przepisową odległość. Wszystko wskazywało na to, że robią to raczej z obowiązku niż dla przyjemności. Niebawem Peter pójdzie do baru.

Philip O'Brien tańczył ze swoją matką.

Chłopak ma łeb na karku - pomyślał Martin. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu swojej pięknej córki, która występowała w przyciągającej

wzrok sukni, i zobaczył, jak Kit bierze za rękę Steviego Sullivana, właściciela warsztatu mechanicznego. Ciemnowłosy Stevie wyglądał jak gwiazdor

621

filmowy, superelegancki i zadumany. Gdy wyszli na parkiet, Martin odniósł wrażenie, że musieli z sobą tańczyć wiele razy. Co było oczywiście absurdalne, bo przecież prawie wcale się nie znali.

- Nie teraz, Emmet - warknęła Anna Kelly. - Muszę poprawić dekoracje.
- Jasne, absolutnie - odrzekł Emmet, udając, że nie słyszy złości w jej głosie. - Chciałem się tylko upewnić, czy tańczyłem już ze wszystkimi dziewczętami siedzącymi przy naszym stole. Patsy - dodał głośniejszym głosem - uczynisz mi ten zaszczyt?

Twarz Patsy pojaśniała. Młodsza córka pani Hanley miała na sobie elegancką sukienkę z tafty, ozdobioną długą, szeroką szarfą. Jej matka siedząca przy innym stole omal nie pękła z dumy, widząc, jak córka wkracza na parkiet w towarzystwie przystojnego Emmeta McMahona z apteki.

Wszyscy wiedzieli, że ta noc pozostanie w pamięci mieszkańców Lough Glass na zawsze. Kevin tańczył z Frankie Barry.

- Kapitalny lokal, co? - powiedział młody O'Connor.

- I ten widok - dodała Frankie. - Mając taki hotel, Philip O'Brien będzie najlepszą partią w całej Irlandii.

- W takim razie musisz dobrze rozegrać swoje karty - odrzekł wesoło Kevin.

- Nie, on wodzi oczyma tylko za panną Kit McMahon, jak wy wszyscy.

- To niech lepiej uważa. Wystarczy, że za mocno ją przytuli, i dziewczyna

zdzieli go w łeb, że hej.

- To ciekawe, bo faceta, z którym tańczy, tego chłopaka z naprzeciwwka, jak go nazywa, jak dotąd nie zdzieliła - odparła Frankie.

Popatrzyli na Kit McMahon i Steviego Sullivana, którzy tańczyli z sobą, jakby w sali nie było nikogo innego, jakby oprócz nich nikt na świecie nie istniał.

- Wyglądasz wspaniale, Clio - powiedział Michael.

- Dlaczego to mówisz?

- Bo naprawdę wyglądasz wspaniale.

- I?

622

- I dlatego, że jesteś ponura.

- I?

- I dlatego, że chcę, abyś poszła ze mną do pokoju.

- Teraz?! Na oczach tych wszystkich ludzi?! Chyba zwariowałaś!

- Może będzie to dla ciebie wielki szok, o dziewczyno mych marzeń, ale nikt na nas nie patrzy ani o nas nie myśli. Wszyscy zajmują się swoimi troskami.

Na to wyglądało. Clio rozejrzała się po parkiecie. Kit zupełnie oszalała.

Wisiała na Steviem Sullivanie, jakby nigdy nie zamierzała go puścić.

Chryste, Stevie Sullivan, ten sam Stevie Sullivan, który zaliczył wszystkie dziewczyny z parafii. Kit musiała postradać rozum.

- Wyjdę pierwsza, niby do ubikacji. Odczekasz trzy minuty i pójdziesz na górę. Dobra?

- Bomba - Michael myślał, że Clio stawia zacieklejszy opór.

W tej samej chwili do stołu podeszła Anna Kelly.

- Zatańczysz? - spytała.
- Później, dobrze? - odrzekł Michael i zobaczył, że twarz dziewczyny oblewa ciemnoszkarłatny rumieniec.
- Nie zatańczyłabym z tobą nawet wtedy, gdybyś był jedynym mężczyzną z nogami pośród samych kalek - syknęła i szybko odeszła do sąsiedniego stołu, gdzie siedziało mnóstwo mężczyzn. - Jestem znakomitą tancerką - usłyszał Michael.

Nie wiedział, jak Anna tańczy, ale w długiej cytrynowej sukni wyglądała naprawdę szalowo. Dlatego nie zdziwił się, że pięciu z nich wstało chwiejnie od stołu, żeby współzawodniczyć o ten niebywały zaszczyt. I świetnie, przynajmniej miał ją z głowy.

Wyśliznął się z sali i pomknął schodami na górę.

- Włączyłam elektryczny kominek - Clio była już w łóżku, suknię starannie powiesiła na oparciu krzesła. Michael zamierzał pójść w jej ślady, ale Clio szepnęła: - Na miłość boską, drzwi! Zamknij drzwi!
 - Masz w tych sprawach doświadczenie - skonstatował z uznaniem.
- Clio popatrzyła na niego z niepokojem w oczach.

623

- Dobrze wiesz, że nie mam. Oprócz ciebie nie było nikogo innego.
- Tylko tak mówisz.
- Nie, to prawda, dobrze wiesz, że to prawda.
- Skoro tak mówisz... - objął ją i przytulił.

Clio była zaniepokojona. Jeśli Michael pomyśli, że sypiała z innymi, przestanie być dla niego kimś wyjątkowym.

- Kocham cię - szepnęła.
- Ja też cię kocham. - Powiedział to automatycznie, jakby odpowiadał na

powitanie. Chryste, nie sposób stwierdzić, czy ludzie mówią szczerze, czy nie.

Partnerem Anny Kelly był dealer Forda. Podlegał mu wielki okręg, a Stevie należał do jego najlepszych klientów. Chłopak miał wprost cudowny talent: zawsze potrafił wyniuchać, gdzie można ubić najlepszy interes. I piekielnie dużo jeździł. Joe Murphy bardzo się cieszył, iż został zaproszony na noworoczny bal do Lough Glass. Stevie spytał go, czy przyjdzie z żoną, ale Joe stwierdził, że nie, nie ma sensu komplikować spraw. A teraz, obejmując tego ślicznego aniołeczka, był jeszcze bardziej zadowolony ze swojej decyzji. Mieliby kłopot z załatwieniem kogoś do pilnowania dzieciaków, zresztą Carmel należała do kobiet nieśmiałych i nie umiałyby nawiązać kontaktu z innymi gośćmi.

- Jest pan wspaniałym tancerzem - pochwaliła go Anna.

Przytulił ją mocniej. Bawił się znakomicie. Pomyśleć tylko, że jeszcze z rana uważał, iż za bardzo przytył i się zestarzał, a uciechy młodości ma już za sobą! Bzdura, co za głupoty przychodziły mu do głowy!

- Mógłbym tańczyć z panią do upadłego - powiedział, demonstrując zwinny, leciutki krok. Powiadali, że najlepszymi tancerzami są mężczyźni otyli, i rzeczywiście: Anna była nim oczarowana.

- Nie odsuwaj się ode mnie - powiedział Stevie.

- Chyba przestali grać - odrzekła Kit.

- Tylko chwilowo.

- Kocham cię - szepnęła.

624

- Uważaj, ludzie potrafią odczytać te słowa z ruchu warg.

- Czyżbyś się bał, że ludzie coś usłyszą albo odczytają z ruchu warg?

- Nie, nie boję się. Kocham cię, Kit. Kocham cię do bólu serca. Cierpię, gdy cię przy mnie nie ma. Jesteś moją kobietą i nie mówię tego jak zaborczy samiec. Chodzi mi tylko o to, że ja... ja jestem twoim mężczyzną - i uśmiechnął się do niej tym swoim cudownym krzywym uśmiechem. Stali przy oknie. Orkiestra zaczęła grać. Nie było mowy, żeby się rozdzielili.

- Spójrz na ten księżyc - szepnęła. - Jakbyśmy załatwili to z elektrykiem.

- Jezioro też wygląda przepięknie. Później moglibyśmy pójść na spacer... No wiesz, przebiec koło altany, potem ścieżką na brzeg...

- To najgorszy pomysł, jaki dzisiaj słyszałam.

- Rzeczywiście, chyba tak... Chciałbym tam zamieszkać, nad samym brzegiem jeziora.

- Jak siostra Madeleine.

- Kiedyś moglibyśmy zbudować sobie mały domek...

- Nigdy w życiu nie zamieszkamy w domku nad brzegiem jeziora.

- Dlaczego tak mówisz? - Stevie się zdenerwował.

- Bo tylko się oszukujemy. Posłuchaj, Stevie, dość tego.

- Mały domek, gdzie przylatywałyby ptaki, gdzie słyszałabyś szum fal jeziora. Jak kiedyś siostra Madeleine...

- Brak mi jej - szepnęła Kit.

- Mnie też.

Byli jedynymi ludźmi w Lough Glass, którzy mieli prawo żywić do pustelnicy niechęć - siostra Madeleine ukrywała człowieka, który skrzywdził ich rodziny. Jednak oboje wiedzieli, że zrobiła to z dobrego serca.

- Ciekawe, gdzie ona teraz jest.

- Och, na pewno smacznie śpi w łóżku u Świętej Brygidy - odrzekł Stevie.
- U Świętej Brygidy? Wiesz, gdzie ona jest? - Nikt nie miał pojęcia, gdzie przebywa siostra Madeleine. Jej wyjazd i cel podróży były okryte nimbem tajemnicy.

625

- Tak, widziałem ją tam, ucieliśmy sobie krótką pogawędkę.

Kit omal nie upadła z wrażenia.

- Nie wierzę.

- Naprawdę. Pojechałem do klasztoru, żeby porozmawiać z matką przełożoną. Chciałem ją przekonać, że furgonetka dla starego ogrodnika będzie zakupem korzystniejszym niż półciązarówka, bo mógłby wozić siostrzyczki na stację i w ogóle. I nagle ją zobaczyłem. Stała tam i patrzyła na mnie tymi swoimi dziwnymi, błękitnymi oczyma.

- I rozmawiałeś z nią?

- Oczywiście.

- Zadziwiasz mnie, Stevie.

- Któregoś dnia pojedziemy tam razem, siostra Madeleine bardzo chętnie się z tobą spotka.

- Może ona ukrywa się przed ludźmi.

- Możliwe, ale nie przed nami.

Powiedział to w taki sposób, że przeszedł ją miły dreszczyk.

Tańcom nie było końca, a wszystko dzięki temu, że Bobby Boylan i jego muzycy pompowali w siebie piwo, które przewidujący Philip dostarczał im z regularnością zegarka.

Sprzątanie było arcydziełem wydajności. Kit i Philip nalegali, żeby kuchnię doprowadzić do połysku. Ostatecznym dowodem nienagannej

czystości miały być garnki, które kazał odwrócić do góry dnem, ponieważ ich dna wyszorowano ze szczególną skrupulatnością. Ściereczki i ręczniki wisiały na sznurze. Resztki jedzenia przykryto i wstawiono do lodówki, a te przeznaczone dla psów i świń wrzucono do zamkniętych i starannie oznakowanych kubłów, które wyniesiono do pomywalni. Philip dopilnował, żeby kilkorgu przypadkowym gościom pozwolono zobaczyć kuchnię po imprezie, co do tej pory było w „Centralnym” zupełnie nie do pomyślenia.

Zezwolono też na wprowadzenie pewnego poziomu demokracji: kucharz Con Daly i jego pomocnicy mogli przyłączyć się do biesiadników. Przy kuchennych drzwiach ustawiono dla nich dodatkowy stół. W przerwach między serwowaniem napitków i sprzątaniami ze stołów ponurolice

626

kelnerki i niektórzy z weselszych kelnerów siadali, by chłonąć wrażenia z pierwszego wykwintnego balu, jaki kiedykolwiek w życiu widzieli.

- Czy mógłbym prosić cię do następnego tańca? - spytał Kevin O'Connor, podchodząc do Anny Kelly. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego brat mówił o niej jak o monstrum albo o wściekłej kocicy.

- Słucham?! - spytała, jakby zrobił jej porażająco nieprzyzwoitą propozycję.

- Prosiłem cię do tańca.

- Niby na jakiej podstawie uważasz, że miałabym ochotę z tobą zatańczyć? - wciąż kipiała złością po odmowie Michaela. Jego brat bliźniak musiał być takim samym potworem.

- Cóż, jesteśmy na balu, więc... - Kevin stracił całą pewność siebie. - Nie chciałem cię urazić - dodał pokornie.

- Miło mi to słyszeć - rzekła surowo Anna Kelly i odeszła.

Okazało się, że dokonała kiepskiego wyboru. Joe Murphy wędrował dłońmi po jej ciele w bardzo intymny sposób, a nawet zaproponował, żeby obejrzała jego samochód, najnowszy model, jak twierdził, jeden z pięciu wozów tej klasy w całej Irlandii. Uznała, że trzeba faceta jak najszybciej spławić.

Ale Stevie widział, jak z nim tańczyła. Tak, Anna postarała się o to, żeby widział ją cały czas. Tylko co on robił z Kit, na miłość boską? Taniec z obowiązku to taniec z obowiązku, ale to było doprawdy absurdalne.

Poszukała wzrokiem siostry. Clio zniknęła wieki temu. I nagle inteligentne oczy Anny spostrzegły, że Michaela O'Connora też nie ma. Najpierw poszła poszukać ich w altanie. Podczas przygotowań wszyscy mówili, że to idealne miejsce dla zakochanych par, bo altana była oświetlona tylko od zewnątrz i nikt nie widział, co dzieje się w środku. A w środku, na ławce, leżała długa poduszka. Trochę tam zimno, ale cóż...

Anna obeszła altanę na palcach, żeby do niej zajrzeć. Ani śladu siostry i Michaela O'Connora. Przystanęła, żeby

627

popatrzeć na jezioro. Nigdy nie było piękniejsze. Dlaczego Stevie Sullivan tak długo zwlekał? Dlaczego nie widział, że jest ślicznie ubrana, że jest już dorosła? Dlaczego nie widział, że na niego czeka? Mógłby teraz stać obok niej w księżycowej poświacie. Albo siedzieć z nią w altanie.

Już miała wejść na ścieżkę, gdy wtem zobaczyła przed sobą jakiś ciemny kształt. Było tam tyle mrocznych cieni, iż początkowo wzięła to coś za część żywopłotu i dopiero po chwili stwierdziła, że to sylwetka przykucniętego człowieka. Człowiek wyprostował się - to była kobieta.

Kobieta w długiej wełnianej sukience i pelerynie z kapturem, którym zasłoniła twarz, gdy zorientowała się, iż Anna ją dostrzegła. Wyprostowała się i pobięła ścieżką schodzącą do jeziora.

Anna tak się przestraszyła, że nie mogła wydobyć z siebie głosu, by krzyknąć. Nie mogła nawet oddychać. Nieznajoma czyhała tam co najmniej pięć minut, czyhała tuż obok niej i milczała, i nie zdradziła swej obecności, dopóki Anna nie wróciła do hotelu. Kim była? Na co tak patrzyła?

To pewnie jakaś Cyganka. Bez względu na to, co mówił ojciec, Anna uważała, że wszystkie Cyganki są złodziejkami. Mogły się tu podkraść, żeby zbadać teren, żeby sprawdzić, czy zdołają zwędzić coś cennego. Na przykład futro. W trakcie przygotowań do balu Kit i Clio uparły się, żeby zorganizować porządną szatnię, której będzie ktoś pilnował. Anna uznała, że pomysł jest głupi, ale teraz zdała sobie sprawę, iż Kit i Clio miały rację. Cyganie, wędrowcy, druciarze - jak ich zwał, tak ich zwał, jedno nie ulegało wątpliwości: byli zupełnie innymi ludźmi. Siedzieć w kucki w ogrodzie, zamiast cieszyć się życiem. Coś takiego!

Serce wciąż waliło jej jak młotem. Wróciła do hotelu.

Wchodząc do sali, wpadła na Steviego Sullivana.

- Ślicznie wyglądasz - rzekł z podziwem.
- Dziękuję, Stevie. Ty też wyglądasz bardzo elegancko. Nigdy dotąd nie widziałam cię w pełnej gali.
- Mała Anna...
- Wcale nie taka mała - ogarnęła ją złość. - Przyprowadziłeś na bal mnóstwo ciekawych ludzi.

- Tak, ale uważaj na Joego Murphy'ego. Ma żonę i dzieci.

Annę ogarnęła wściekłość. Nie był zazdrosny, natomiast udzielał jej przyjacielskich przestróg.

- Bóg z nimi - odrzekła wyniośle.

- Idę do baru na ratunek swoim owieczkom. Poprosiłbym cię do tańca, ale muszę sprawdzić, czy mnie nie obsmarowują.

- Tak się składa, że już nie mam wolnych tańców.

- No to wspaniale.

Miała ochotę chwycić najbliższe krzesło i zatłuc go na śmierć.

W barze kumple Steviego zamawiali duże brandy i zabawiali Petera Kelly'ego oraz Martina McMahona, racząc ich historyjkami ze swego życia. Joe Murphy opowiadał o swoim samochodzie, podkreślając, że wozów tego modelu jest w Irlandii tylko pięć. Harry Armstrong mówił o wyprawie do Afryki. Wyprawa do Afryki była najbardziej interesującym przedsięwzięciem jego życia.

Co chwila dźgał Martina palcem w pierś i pytał:

- Byłeś pan kiedy w Afryce? - I chociaż Martin ciągle odpowiadał, że nie, że najdalszymi krajami, jakie kiedykolwiek odwiedził, były Anglia i Belgia, Harry Armstrong jakby tego nie słyszał.

- Afryka to jest dopiero coś - powtarzał raz po raz.

- Co pan tam robił? - spytał w końcu Peter Kelly z nadzieją, że Armstrong zmieni płytę.

Harry zaczął snuć skomplikowaną opowieść o kontrahencie, który miał go tam z kimś skontaktować, ale nie skontaktował, i o wielkim interesie, który zamierzał ubić, a z którego nic nie wyszło. Lecz Harry Armstrong o to nie dbał - podobało mu się w Afryce i cieszył się, że w ogóle tam był. A

kiedy doszczętnie splajtował, pojechał odwiedzić wuja Jacka, który robił tam za księdza. Nie, więcej niż za księdza: wuj Jack był prawdziwym biskupem!

- Biskup Armstrong, wyobrażacie sobie? Być biskupem w Afryce to jest dopiero coś.

- Dupa Armstrong?! - wykrzyknęli chórem Peter Kelly i Martin McMahon. - Spotkałeś w Afryce Dupę Armstronga?!

629

- Co? Co?

- Jesteś jego siostrzeńcem?

- Nie rozumiem... - Harry Armstrong rozumiał jedno: ci dwaj faceci, których dotąd nie interesował ani on, ani jego podróże, byli nim teraz zafascynowani.

- Duży brendziak dla siostrzeńca Dupy Armstronga! - wrzasnął doktor Kelly.

Skonsternowany Stevie pokręcił głową. Z niezgłębionych powodów wszystko szło znakomicie, może między innymi dlatego, że panowie zamawiali mocne trunki.

Clio i Michael przepadli jak kamień w wodę. Anna szukała dosłownie wszędzie: nie było ich w barze, gdzie ojciec zalewał się ze strasznymi kumplami Stewiego Sullivana, nie było ich w holu, gdzie siedziało kilka par pograżonych w rozmowie. Zajrzała nawet do damskiej toalety i do lśniącej czystością kuchni.

Anna Kelly, która w koszmarnej drogiej sukni od Browna Thomasa powinna zostać królową balu, bardzo sobie współczuła. Stevie Sullivan wcale nie robił do niej słodkich oczu. Nikt z chłopców siedzących przy jej

stole nie zachował się w stosunku do niej jak prawdziwy dżentelmen. Zdołała poderwać tylko żonatego nachalnego grubasa. I omal nie umarła ze strachu, zaskoczona przez jakąś Cyganicę.

Miała ochotę porządnie się wypłakać. Ale nie w odnowionej toalecie, gdzie wszyscy by ją widzieli. Na półpiętrze stała sofa. Postanowiła tam pójść i posiedzieć chwilę w ciemności. Tam nikt jej nie zobaczy.

Siedziała i szlochała nad niesprawiedliwością życia, nad podłością mężczyzn, nad beznadziejnością egzystencji w wielkim akwariu, jakim było Lough Glass, gdzie wszyscy wszystko widzieli i o wszystkim wiedzieli, nad wulgarnością i pospolitością szkarłatnej sukni Kit McMahan, którą goście tak podziwiali.

Nagle usłyszała szcęk zamka pobliskich drzwi. I znowu drgnęło jej serce. W okolicy i w samym hotelu pełno było dziwnych kształtów, zewsząd dobiegały dziwne dźwięki i odgłosy. Raptem zobaczyła, że zza drzwi wysuwa się głowa Clio. Anna aż sapnęła z wrażenia. Siostra była w pokoju Michaela O'Connora. Robili to. Kochali się. Boże! Musiała

630

sapnąć dość głośno, ponieważ Clio uciekła z powrotem do pokoju. Anna podkradła się do drzwi.

- Mówię ci, że ktoś tam jest - mówiła spanikowana Clio.
- Nie bądź śmieszna. Kto mógłby tam być?
- Nie wiem. Każdy.
- Kto byłby najgorszy? - spytał Michael. Jemu też głos lekko drżał.
- Chyba moja matka. Albo pani O'Brien. Tak, pani O'Brien, bo od razu doniosłaby o tym matce, wszystkim by rozgadała i... O Boże, Michael, co my teraz zrobimy?

Anna zachichotała i władczo załomotała do drzwi.

- Otwierać, i to natychmiast! - krzyknęła ze wszystkich sił. - To ja, Mildred O'Brien. Otwierajcie drzwi albo poślę po sierżanta O'Connora! Drzwi się otworzyły. Clio i Michael stali pośrodku pokoju, jakby ich sparaliżowało. Anna chichotała tak głośno, że musiała zasłonić ręką usta. Weszła do pokoju i zrywając boki ze śmiechu, rzuciła się na łóżko. W końcu wydmuchała nos, wytarła oczy i podniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy siostra i Michael też się śmieją.

Nie śmiali się. Ale nie byli już tak bardzo spięci. To fatalnie, że ich nakryła, lecz mogło im się przydarzyć coś znacznie gorszego.

- Bardzo zabawne - wycedziła Clio.

- To cudowne spotkać kogoś z takim poczuciem humoru - Michael dopiero teraz złapał oddech. - Jeśli to już koniec przedstawienia, proponuję zejść na dół.

- Tak, ja już skończyłam - odrzekła Anna, patrząc to na siostrę, to na niego. - A wy? - i znowu dostała napadu niekontrolowanej wesołości.

W końcu zdołali jakoś zejść schodami na dół. Schodzili we troje. Uznali, że tak będzie bezpieczniej. I słusznie, bo u stóp schodów stała pani O'Brien.

- A gdzieśmy to wszyscy byli, jeśli wolno spytać?

- Pokazywałam im ten wspaniały widok z okna w korytarzu - odrzekła z kamiennym spokojem Anna.

- Tak, to piękny, stary gmach - powiedziała pani O'Brien. - Nie wszyscy go doceniali, ale my zawsze o tym wiedzieliśmy.

631

Goście zaczęli gromadzić się na parkiecie do wspólnego odśpiewania

Auld Lang Syne.

- Czy to już pora? - spytał Stevie.

- Mam nadzieję, że przez ostatnich kilka godzin wszystko organizowało się samo, bo nie zrobiłam nic z tego, co powinnam była zrobić - odrzekła Kit.

- Zrobiłaś, co trzeba.

Dyskretne fanfary muzyków Bobby'ego Boylana dawały biesiadnikom znak, że czas utworzyć wielki krąg. Otwarto drzwi, żeby słyszeć bicie kościelnych dzwonów. Ktoś włączył radio, aby nie przegapić północy. Stevie i Kit stanęli obok siebie, jak zawsze. Zobaczyła to Maura i serce wezbrało jej niepokojem. Zobaczyła to Anna i już wiedziała, że przegrała bitwę, choć może nie wojnę. Zobaczyła to Clio i po raz któryś tego wieczoru uznała, że Kit powinna pójść do psychiatry. Zobaczyła to Frankie i doszła do wniosku, że ten przystojniaczek podobał się Kit od początku świata i że kręcą z sobą od tamtego przyjęcia w Dublinie. Zobaczył to Philip i już wiedział, że wszystko się dla niego skończyło.

I podali sobie ręce, i zaczęli wykrzykiwać życzenia szczęśliwego Nowego Roku, a spod sufitu spadł na nich deszcz balonów, i zagrała orkiestra, a ludzie wybiegli do ogrodu, żeby wykrzyczeć życzenia nad jeziorem.

Daleko, na przeciwległym brzegu, płonęły ogniska Cyganów.

Piękniejszego widoku nikt nigdy nie widział.

Stevie całował Kit McMahon, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi. Stali w hotelowym ogrodzie, mając przed sobą jezioro tonące w księżycowej poświacie, która niczym srebrzysta dróżka biegła hen, daleko, aż za wzgórze i lasy sąsiedniego hrabstwa. To miejsce należało tylko do nich, ta chwila była tylko ich chwilą.

W pobliżu nie widzieli nikogo. Wszyscy wrócili do hotelu, by przy dźwiękach orkiestry Bobby'ego Boylana dołączyć do szalonego węża wijącego się przez wszystkie pomieszczenia na parterze. Węża prowadził Con Daly, którego okrzyknięto kucharzem stulecia.

I gdy się tak do siebie tulili, kto wie, może słyszeli plusk fal omywających brzeg jeziora, ale na pewno nie słyszeli

632

kapania łez, spływających po twarzy kogoś, kto patrzył na nich z ciemności. Kto obserwował ich całą noc.

Anna też widziała, jak na siebie patrzyli. I odebrała to jak dźgnięcie nożem w piersi, jak cios sztyletem między żebra w miejscu, gdzie suknia była najciaśniejsza, gdzie najbardziej ją uwierała. Anna wyglądała na zrozpaczoną i załamaną duchowo.

Obserwował ją Emmet. Teraz nadeszła jego pora. Całe miasto widziało, jak Kit bierze w niewolę Steviego Sullivana. Wiedział, że ojciec i Maura będą kręcić na to głowami. Nigdy nie zdoła odwdzięczyć się siostrze. Tak, teraz albo nigdy.

- Wiesz, na co miałbym ochotę? - spytał.

- Nie - warknęła. Była pewna, że chce z nią zatańczyć, postawić jej drinka albo się z nią całować. Wszystko, byle nie to, ostatecznie miała złamane serce.

- Zabawa mnie zmęczyła. Chętnie posiedziałbym z tobą w altanie.

- Żeby mnie całować i obmacywać, żeby mnie rozebrać, co?

- O czym ty mówisz? - Emmet był zaszokowany. - Hej, przecież się dogadaliśmy, prawda? Kochasz innego, ale to nie powód, żebyśmy przestali być przyjaciółmi.

- Ale on mnie chyba nie kocha. Wszystko przez twoją cholerną siostrzyczkę.
- To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani ze mną - zełgał bez mrugnięcia okiem.. - Jesteśmy przyjaciółmi, Anno, dlatego chciałbym pójść z tobą do altany i poczytać wiersze, jak kiedyś. Nikt tak nie czyta poezji jak ty.
- Naprawdę chciałbyś, żebym ci poczytała? - spytała podejrzliwie.
- I to bardzo.
- Tylko tak mówisz, bo jesteśmy tutaj, między ludźmi, a jak tam pójdziemy, zaczniesz...
- Nie, nic z tych rzeczy. Zobacz, na wszelki wypadek przyniosłem książkę. - Stali i patrzyli na siebie.
- Dobrze, chodźmy - zdecydowała Anna. Wszystko było lepsze niż przeciąganie bolesnej agonii katastrofalnego wieczoru.

633

Emmet pomyślał o wszystkim. Zorganizował nawet koc, żeby nie zmarzli, i przyniósł termos z gorącą czekoladą.

- Jak tu miło! - Pierwszy raz tej nocy Anna poczuła się naprawdę dobrze. Mieli książkę, lecz jej nie otworzyli. Siedzieli, wsłuchując się w dźwięki muzyki, które płynęły aż na drugą stronę jeziora.
- Wiesz, pomyślałem sobie... - zaczął Emmet. - Oczywiście mówię to jak przyjaciel przyjaciółce... Ślicznie wyglądasz, Anno.
- Dziękuję - zerknęła na niego podejrzliwie.
- Nie, nie zamierzam się na ciebie rzucić ani nic z tych rzeczy, na moim miejscu powiedziała by to każdy chłopak... Masz wspaniałą suknię. Wyglądasz piękniej niż gwiazda filmowa.
- To bardzo miło z twojej strony.

- Bylibyśmy kiepskimi przyjaciółmi, gdybym nie mógł ci tego powiedzieć.

Spojrzała na niego. W oczach miała łzy.

- Wiesz, o co mi chodzi... - wypalił.

- Och, Emmet - załkała Anna. - Kocham cię, Emmet. Byłam taka głupia, taka ślepa, dziękuję, że na mnie czekałeś, że zechciałeś mnie zrozumieć...

I przytulili się do siebie, i zaczęli się całować...

...obserwowani przez zakapturzoną kobietę, która stała kilka metrów dalej i też płakała.

Tej noworocznej nocy Frankie i Kevin O'Connor dowiedzieli się o sobie znacznie więcej, niż się spodziewali. Patrząc na siebie z nowym zainteresowaniem, poszli na spacer brzegiem jeziora. Od czasu do czasu przystawali, żeby trochę pogadać, trochę pomilczeć. Tak przynajmniej mówili.-

A kiedy doszli do łódek, zobaczyli ciemnowłosą kobietę w białej bluzce, która zasłaniając twarz rękami, łkała tak rozpaczliwie, jakby za chwilę miało pęknąć jej serce. Nie znali jej, na pewno nie należała do grona biesiadników z „Centralnego”.

Żadne z nich nigdy nie widziało kogoś bardziej zdenerwowanego. Na ziemi obok kobiety leżała długa czarna peleryna. Kiedy podeszli bliżej, kiedy do niej zagadali,

634

kobieta chwyciła pelerynę, zerwała się na równe nogi i przeskakując nad cumami łodzi, uciekła w mrok.

Wróciwszy do hotelu, opowiedzieli o tym znajomym. Goście starsi wiekiem zaczęli już wychodzić, młodszy zebrali się w holu, nie chcąc

kończyć zabawy. Wszyscy zauważyli, że spotkanie z tajemniczą kobietą bardzo Frankie i Kevina wystraszyło. Było naprawdę niesamowite.

- Ja też ją widziałam - powiedziała Anna. - To pewnie jakaś Cyganka.

Uciekła nad jezioro. Czatowała w ogrodzie, obserwowała hotel, szpiegowała, badała teren. - Aż zadrżała z przejęcia. Natychmiast podszedł do niej opiekuńczy Emmet.

- Nie, to nie była Cyganka - odrzekła stanowczo Frankie.

- Widziałem jej twarz, miała inną twarz - dodał Kevin.

- I drogie ubranie - dorzuciła Frankie.

- Mówiła coś? - spytała Kit, czując, że w żołądku narasta jej twarda gęła.

- Nie, nic.

- Może to duch? Pamiętacie, lata temu utopiła się tu kobieta i od tamtej pory... - Clio urwała. Stevie, Emmet, Anna, Kevin Wall, Patsy Hanley, słowem wszyscy ci, którzy pamiętali, kto jeszcze utopił się w jeziorze, przeszli ją ostrym spojrzeniem. - Nie chciałam...

W tym samym momencie Kit pobiegła do wyjścia. Wypadła na dwór i popędziła ścieżką w stronę jeziora.

- Lena! - krzyczała. - Leno, wróć! Wracaj! Nie odchodź! Leno, wróć, to ja, Kit!

Jej znajomi i przyjaciele stali w progu i przerażeni patrzyli, jak zapłakana Kit znika w ciemności nocy.

- Wróć, Leno! Wróć!

Rozdział dziesiąty.

Rozmawiali o balu bez końca.

Mieli sobie tyle do powiedzenia. O zuchwałej Orli Reilly i o tym, jak odesłano ją tam, gdzie jej miejsce. O ilości jedzenia na stołach - była to

prawdziwa uczta, inaczej tego nazwać się nie da. O cudownych fantach loteryjnych - do wygrania były skrzynki brandy, whisky i sherry, indyki, jagnięce udźce, połacie wołowiny, bombonierki, pudełka pierniczków, frymuśne mydła, męskie szaliki, damskie bluzki (do wymiany, jeśli trafił się nieodpowiedni rozmiar). Zrzucili się wszyscy mieszkańcy Lough Glass, których o to poproszono, nie odmówił nikt.

- A pamiętacie ten moment, kiedy spadły balony? - wspominali ludzie. - Pamiętacie, jak przy dźwiękach orkiestry Bobby Boylan przeprowadził wszystkich przez kuchnię niczym szczurołap z Hameln? No i ta lśniąca czystością kuchnia. Człowiek wstydził się własnej.

I ta etola Maury McMahon - żona Martina wyglądała jak prawdziwa królowa. I ten tłum twardych, zaprawionych w bojach mężczyzn, klientów Steviego Sullivana, którzy zdrzemnąwszy się w samochodach, poszli z rana do Paddlesa, żeby kontynuować zabawę. I ten księżyc nad jeziorem. No i Kit McMahon, Kit i Stevie. Przetanączyli z sobą całą noc, i to jak! A potem Kit wybiegła z hotelu, bo ktoś powiedział, że widział ducha nad jeziorem. Biedaczka myślała, że to duch jej matki, zaczęła krzyczeć, błagać, żeby jej nie zostawiała czy coś takiego. Wypadła na dwór w samej 636

sukni i błąkała się nad jeziorem, dopóki Stevie nie zaniósł jej do domu. Tak, było o czym mówić.

* * *

- Mauro, wierz mi, możesz zostawić go ze mną sam na sam. Przysięgam, że się nie rozbierzemy i nie rzucimy się na siebie.

Maura była poirytowana.

- Wiem, że nie - mruknęła.

Od dwóch dni przynosiła rozdygotanej Kit rosół z kurczęcia, nie robiąc żadnych aluzji na temat dziwnego zakończenia sylwestrowej nocy.

Oczyściła jej suknię, odczekawszy, aż błoto wyschnie i da się wykruszyć.

Podczas częstych wizyt Steviego Sullivana, który przychodził odwiedzić chorą Kit, czuła się nieswojo. Wynajdywała dziesiątki powodów, żeby tylko wrócić do pokoju.

Kit wzięła ją za rękę.

- Wiem, że tak myślisz, Mauro. Czyż Stevie nie słynie z tego w całym hrabstwie?

Maura zaczerwieniła się.

- No cóż...

- Bywaliśmy w miejscach o wiele dyskretniejszych i bardziej odosobnionych niż to i skoro jeszcze tego nie zrobiliśmy, jest mało prawdopodobne, żebym uległa mu we własnym domu. Pomyśl tylko, czy nie mam racji?

- Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

- Przysięgam, że nic takiego nie zrobimy. Maura przytknęła dłoń do jej czoła.

- Peter kazał mi zbić temperaturę... Chyba już nie masz gorączki, ale odwiedziny Steviego Sullivana na pewno ci nie posłużą.

- Bez niego poczuję się gorzej, Mauro - Kit potraktowała ją jak zaufaną przyjaciółkę.

Maura była wzruszona.

- Porozmawiam z twoim ojcem.

- On tego nie zrozumie, chyba że umiejętnie go podejdziesz. Nie mogłabym powiedzieć mu prosto z mostu, że

jeszcze tego ze Steviem nie zrobiliśmy i że pod dachem tego domu na pewno do niczego nie dojdzie.

- Spróbuję wyjaśnić mu sytuację w sposób trochę bardziej dyplomatyczny
- obiecała Maura.

Nikt nie wypytywał Kit o jej dziwne zachowanie. Nawet doktor Kelly oświadczył, że to bez znaczenia. Opowieść tej głupiej dziewczyny z Dublina, która jakoby widziała kogoś na przystani, musiała przypomnieć Kit noc, kiedy zniknęła jej matka. Nikt nie powiedział mu, że tę nieszczęsną historię wyciągnęła z przeszłości jego własna córeczka.

Kiedy zostawała sama, leżała w łóżku, kurczowo ściskając prześcieradło i gorączkowo myśląc. To musiała być Lena. Tak, bo któż inny mógł ich obserwować? Musiała widzieć swego syna w altanie z Anną Kelly.

Musiała widzieć swoją córkę w ramionach Stewiego, gdy stali na trawniku w blasku księżyca. Musiała widzieć, że Maura Hayes miała na sobie jej etolę.

Widziała miasto pełne życia, pełne proporców, balonów i kwiatów. Miasto za jej czasów szare i przygnębiające. Wiedziała, że wśród noworocznych gości są synowie O'Connora, młodzi bracia kobiety, którą zamierzał poślubić Louis. Prawdziwy tłum, prawie dwieście osób bawiło się jak nigdy, tymczasem ona miała złamane serce, tymczasem ona musiała krążyć po obrzeżach miasta, które uznało ją za zmarłą.

Po sylwestrze Kit stała się więźniem we własnym domu. Przeziębła się i kazano jej leżeć w łóżku. W mieszkaniu zawsze ktoś był, więc nie mogła zadzwonić do Ivy i spytać ją, czy Lena wróciła. Ivy na pewno by wiedziała. Tylko jak się z nią skontaktować?

Na brzegu łóżka przysiadł Emmet.

- Jak się czujesz, Kit? Tylko szczerze.
- Dobrze, nic mi nie jest. Przecież bal udał się wspaniale, prawda?
- No, a po balu?
- Po balu trochę się zdenerwowałam i czegoś się wystraszyłam. Cały czas byłam spięta, nic nie jadłam, puściły mi nerwy.
- Byłaś cudowna, wszystko tak dobrze poszło...

638

- Tak.
- Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.
- Za to ja wiem.
- Jak? Zrobię dla ciebie wszystko.

Popatrzyła na niego, na jego prostoduszną twarz. Był skory do pomocy, szczęśliwy, bo zakochany po uszy w tej koszarnej Annie Kelly, i na pewno myślał, że to prawdziwa miłość. Tak, pod wieloma względami był jeszcze dzieckiem.

Nie, nie mogła go prosić, żeby zadzwonił do Ivy. Nie mogła mu powiedzieć wszystkiego. Nie mogła mu wyznać, że matka żyje, że wróciła do Lough Glass, aby na nich popatrzeć, i że znowu uciekła, biegnąc w stronę jeziora.

Przyszła ją odwiedzić Clio.

- Powinnam dać sobie kopa w tyłek. Jestem taka bezmyślna. Po jaką cholere gadałam o tej topielicy i o duchach? Gruboskórna ze mnie baba.
- To nie miało żadnego znaczenia, Clio. Byłam zdenerwowana, wypłam trzy kieliszki sherry, nic nie jadłam... - uznała, że to najlepsze wytłumaczenie.

- Przebaczysz mi?
- Ależ oczywiście.
- Musisz być ciężko chora, skoro tak mówisz. Zazwyczaj nigdy mi nie wybaczałaś.
- Och, tym razem ci wybaczam - odrzekła Kit z bladym uśmiechem na twarzy.
- Na balu było cudownie, prawda?
- Nie przyłapali was?
- Nie, tylko Anna nas przydybała. A propos. Anna prosiła mnie, żebym tu przyszła i wybadła, co się święci. - Clio zachichotała. - Chce wiedzieć wszystko o tobie i o Steviem Sullivanie.
- I pewnie prosiła cię, żebyś zrobiła to bardzo dyplomatycznie?
- Tak, mówiła, że mam być dyskretna.
- Ależ jesteś, jesteś.
- Nie mam najmniejszego zamiaru nic tej potworzycy mówić, ale tak między nami, tylko między nami, Kit, na miłość boską, coś ty narobiła? Byłaś pijana, czy co?

639

- Tak, trochę.
- W życiu czegoś podobnego nie widziałam. Wisiałaś na nim całutką noc.
- Wiem - Kit doskonale to pamiętała.
- Posłuchaj, to jeszcze nie koniec świata. Ludzie o tym zapomną i...
- Nie, nie sądzę.
- Na pewno zapomną, uznają, że to вина tej szalonej nocy, że ci odbiło.
- Nie. Kiedy zobaczą, że przykleiłam się do niego na resztę życia, na pewno tak nie pomyślą.

Clio wytrzeszczyła oczy, a jej usta ułożyły się w kształt litery „O”.

- Zwariowałaś. Stevie Sullivan. Ze wszystkich ludzi na świecie akurat on.

- Tak, akurat on.

- Kit, on ma dziewczynę w każdym mieście i miasteczku. Mężatka, nie mężatka, gruba czy chuda, jemu wszystko jedno. Dobrze wiesz, jaki on jest.

- Wiem. I kocham go.

- Masz gorączkę, to wszystko z gorączki.

- Sama mnie pytałaś, chciałaś wiedzieć, co się święci. Teraz już wiesz.

- Dlaczego mi to mówisz? To nie może być prawda.

- Ponieważ jesteś moją przyjaciółką. Wyznałaś mi, że kochasz Michaela O'Connora, że byłaś z nim w łóżku, że to uwielbiasz. Jesteśmy przyjaciółkami, przyjaciółki dzielą się sekretami. - Kit zdała sobie sprawę, iż mówi trochę histerycznym głosem.

- To, że kocham Michaela, jest... jest... To zupełnie co innego, to normalne. Ale nie można kochać mechanika z warsztatu samochodowego, który zaliczył wszystkie dziewczyny w parafii.

- Jego przeszłość mnie nie interesuje - odparła wyniośle Kit.

- Nie bądź śmieszna, to wcale nie przeszłość. Widziałaś Orle Reilly? Pojawiła się na balu jak wariatka, którą Stevie dopiero co zwyobracał. Pewnie miała ochotę na ciąg dalszy.

- A widziałaś, jak Stevie ją odprawił?

640

- Chryste, ty mówisz poważnie.

- Zawsze twierdziłaś, że jestem nienormalna, bo nikogo nie kocham, a teraz, kiedy się zakochałam, mówisz, że to źle.

- Posłuchaj, Kit, idę do domu. Jeszcze nie wyzdrowiałaś, nie pora na odwiedzin.
- Dobrze. Tylko powtórz Annie, co ci powiedziałam. Szaleję za nim i nie spocznę, dopóki go nie dostanę.
- Nic takiego jej nie powtórzę. Powiem, że tak się urzęnęłaś, iż nawet nie pamiętasz, że z nim tańczyłaś.
- Ja powiem jej co innego i Anna cię obsobaczy.
- Twoje opowieści puszczam mimo uszu. Przyszłam tu, bo myślałam, że będę mogła coś dla ciebie zrobić, wysłać list, przekazać wiadomość, ale widzę, że powinnam zaprowadzić cię do psychiatry.
- Dzięki, Clio. Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

Kit uświadomiła sobie, że chociaż znają się z Clio od początku świata, zawsze była to przyjaźń bardzo dziwna. Nawet gdyby Clio była ostatnią osobą na ziemi, nigdy nie poprosiłaby jej o przekazanie Ivy najprostszej wiadomości. Nie mogła powiedzieć: „Clio, zadzwoń do tej kobiety i spytaj, czy z Leną wszystko w porządku. Nie zadawaj żadnych pytań, tylko zadzwoń”. Nie, Clio zażądałaby szczegółów, a nazajutrz znalazłby je całe hrabstwo.

- Nie jesteś za bardzo zmęczona? Nie zostanę długo.
- Nie, Philipie, nic mi nie jest. Cieszę się, że cię widzę. Czyż nie był to najwspanialszy bal pod słońcem?
- O, tak. Nie wiem, jak ci dziękować.
- Za co, Philipie? Za to, że zrobiłam z siebie idiotkę? Ot, zdenerwowałam się, kiedy zaczęli mówić o duchach.
- A więc o to ci chodzi...
- Oczywiście, a myślałeś, że o co? - Kit zamilkła i przeszła go ostrym

spojrzeniem. - Jak się miewają rodzice? - spytała w końcu.

- Planują. Dobudujemy skrzydło tu, dobudujemy skrzydło tam. Myślą, że to wszystko ich zasługa, i nie mogą zrozumieć, dlaczego nigdy nie doceniałem możliwości kryjących się w „Centralnym” i w okolicy.

641

Miał inną twarz. I patrzył na nią bez tego psiego oddania. Jakby noworoczny bal przekonał go ostatecznie, iż nie mają przed sobą wspólnej przyszłości.

Mogła mu ufać jak samej sobie. Ale czy mogła prosić go o skontaktowanie się z Ivy?

Kiedy przyszedł Stevie, zarumieniona Kit tryskała entuzjazmem.

- Nie zamykaj drzwi - szepnęła.

- Dlaczego?

- Bo chcę, żeby wiedzieli, iż nie rzucamy się na siebie jak dwoje napaleńców.

- Chryste, po co zaczęłaś o tym mówić? Kiedy wiem, że tego zakazują, nie mogę się powstrzymać. Nawet na ten temat nie żartuj. - Uśmiechnął się szeroko.

- Chcę cię o coś prosić, Stevie.

- Wal.

- Zapisałam ci numer telefonu. Chcę, żebyś tam zadzwonił, ale nikt nie może cię słyszeć.

- Dokąd mam zadzwonić?

- Do Londynu.

- Nie ma sprawy.

- Myślisz, że Mona z centrali nie będzie podsłuchiwała?

- Nie mnie. Za często dzwonię i znudziło ją podsłuchiwanie nudnych rozmów z Dagenham, Cowley czy z podobnymi dziurami.
- Nie możesz telefonować, kiedy w pobliżu będzie Maura.
- Rozumiem.
- To bardzo ważne, Stevie, to najważniejsza rzecz w moim życiu.

Mógłbyś zrobić to teraz?

- Natychmiast.
- Masz, tu jest numer.
- Dobra.
- Zaczekaj, tu nie chodzi o zwykłą wiadomość, musisz z nią porozmawiać. Pamiętaj, poproś do telefonu Ivy. Możesz rozmawiać tylko z Ivy, nie z jej mężem Ernestem. Powiedz, że jesteś moim chłopakiem, że zachorowałam i nie mogę stąd dzwonić. Powiedz, że w Nowy Rok widziałam

642

tu Lenę, tak, tutaj, w Lough Glass, i chcę wiedzieć, czy od tamtej pory Lena się do niej odzywała. - Policzki Kit spłynęły łzami.

Stevie wyjął chustkę i czule je otarł.

- Powie mi? - spytał.
- Pewnie się zaniepokoi, ale mógłbyś dodać, że choć całkowicie ci ufam, nie masz pojęcia, o co tu chodzi, nie znasz całej historii.

Kiwnął głową, jakby wszystko rozumiał. Był taki kochany. Długie włosy spływały mu na kołnierz szkarłatnej marynarki. Wiedziała, że zanim przeszedł na drugą stronę ulicy, aby ją odwiedzić, umył się i nałożył świeżą koszulę. Tak ją tym wzruszył, iż niewiele brakowało, aby znowu się popłakała.

- Zaraz wracam - powiedział. - Wypij rosół, bo ostygnie.

- Dzięki, Stevie.

Poszedł zadzwonić. I o nic nie pytał. Kit zamknęła oczy. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że postąpiła słusznie.

- Jak się dostałaś do domu? - spytała Ivy, uwalniając Lenę od ciężaru małej torby podróżnej i zdejmując jej z ramion mokry płaszcz.

- Do domu? - powtórzyła Lena, patrząc na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- No tutaj, do Londynu.

- Promem i pociągiem. Tak było łatwiej. Nie musiałam z nikim rozmawiać, rezerwować biletów, podawać swego nazwiska. Wystarczyło wsiąść i zająć miejsce. - Mówiła głosem stłumionym i apatycznym.

- Z Brighton? Promem i pociągiem z Brighton?

- Nie byłam w Brighton.

- Byłaś, przecież do ciebie dzwoniłam.

- Ach, wtedy... Tak, słusznie.

- A dokąd pojechałaś potem?

- Do Irlandii.

- Do Irlandii?

- Do Lough Glass. Chciałam ich zobaczyć.

- Nie wierzę.

- Naprawdę.

643

- I co ci powiedzieli?

- Nie widzieli mnie.

- Wyrzucili cię?

- Nie, nie wiedzieli, że tam jestem.
- Posłuchaj, Leno, mogłabym cię spytać, czy cokolwiek tam jadłaś?
- Nie wiem.
- A gdybym ci tak coś upitrasila? Nie proponuję ci indyka, ale...
- Chętnie, w tym roku indyka nie jadłam - odrzekła ze słabym uśmiechem. Ivy uznała, że to lepsze niż nic.
- Dobrze, w takim razie dam ci trochę zupy i kanapkę z plasterkiem indyka.
- Tylko małą, Ivy, bardzo małą. Zadzwoił telefon. Odebrała Ivy.
- Słuchaj, nie uwierzysz: telefonistka mówi, że to z Irlandii.
- Kit - Lena zerwała się z krzesła. - Daj, to do mnie.
- Nie, zaczekaj, nie wiemy, czy... - Ivy próbowała odebrać jej słuchawkę.
- Halo? - powiedział męski głos. - Czy mógłbym rozmawiać z Ivy? Mówi Stevie Sullivan, jestem chłopakiem Kit McMahon.
- Słucham, jestem przy telefonie - odrzekła Lena.
- Chodzi o Lenę. Kit chce wiedzieć, czy nic jej się nie stało. Czy Lena do pani dzwoniła?
- Dlaczego Kit nie zatelefonowała osobiście?
- Kit jest chora, leży w łóżku.
- Tak bardzo chora, że nie mogła zadzwonić?
- Nie, myślę, że to jakaś tajemnica i Kit nie chce, żeby podsłuchali ją domownicy.
- Co znaczy „myślę”? Musi pan tę tajemnicę znać, skoro pan dzwoni. Musi pan wiedzieć wszystko.
- Ivy, jestem przyjacielem Kit i spełniam jej prośbę. Kit bardzo niepokoi się o kogoś imieniem Lena. Nie wiem, mówię szczerze, nie mam pojęcia,

o co tu chodzi. Ale chciałbym wrócić na drugą stronę ulicy i przekazać jej, że z Leną wszystko w porządku. Chyba może mi pani to powiedzieć.

644

- Tak - odrzekła powoli Lena. - Proszę jej powtórzyć, że Lena ma się dobrze.

- Bardzo panią przepraszam, ale czy mógłbym przekazać jej coś więcej?

Nie chcę wiedzieć, kim Lena jest, ale Kit bardzo choruje, jest przygnębiona, a zeszłej nocy ciągle ją przyzywała. Powtarzam, nie wiem, o co tu chodzi, ale to dla niej niezmiernie ważne.

- Tak - przyznała apatycznie Lena - to rzeczywiście ważne.

- No więc?

- Więc proszę jej powiedzieć, iż Lena wsiadła na prom, potem do pociągu i bezpiecznie dotarła do domu. Czuje się dobrze i wkrótce napisze do niej długi, długi list.

- Kit jest bardzo zdenerwowana. Czy mogłaby pani przekazać jej coś, co potwierdziłoby, że naprawdę z panią rozmawiałem? - Chciał to zrobić jak należy, nie zamierzał wrócić do Kit bez wiadomości, która przekona ją ostatecznie.

Lena chwilę milczała.

- Proszę jej powiedzieć... Mógłby jej pan powiedzieć, że bal przyniósł jej wielką chlubę. Nikt by nie uwierzył, iż „Centralny” może tak pięknie wyglądać.

- To ją przekona, że z panią rozmawiałem?

- Tak, myślę, że powinno. - Lena znowu zamilkła. - Naprawdę nie wie pan, o co tu chodzi?

- Nie.

- Dziękuję panu.
- A ja pani, Ivy. - Stevie odłożył słuchawkę.

Natychmiast pobiegł na drugą stronę ulicy i słowo w słowo powtórzył jej całą wiadomość. Kiedy zaczął mówić o „Centralnym”, Kit spojrzała na niego oczami wielkimi jak spodki do herbaty.

- Powtórz to jeszcze raz. Stevie powtórzył.
- Nie rozmawiałeś z Ivy. Rozmawiałeś z Leną - szepnęła i wybuchnęła płaczem.

645

Ivy pomogła Lenie wrócić do stołu.

- Facet ma wycucie. Gdyby zadzwonił pół godziny temu, nie mogłabym mu nic powiedzieć.
- O Boże... - szepnęła Lena.
- Co się stało?
- Ona wszystko mu powie. Powie mu i już na zawsze pozostanie w jego mocy.
- Co to znaczy?
- Stevie Sullivan pozna jej tajemnicę, zdobędzie nad nią władzę absolutną. Kit będzie musiała robić, co jej każe. I bez względu na to, jak źle będzie ją traktował, nie zdoła stawić mu oporu, nigdy od niego nie ucieknie.

Poznawszy jej sekret, będzie mógł ją szantażować.

- Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz?
- Widziałam go, Ivy. Stałam tak blisko, że mogłabym dotknąć ich ręką. Widziałam, jak się całują, widziałam, jak Kit na niego patrzy...

- No i co z tego? Dziewczyna się zakochała. Chyba nie chcesz, żeby została zakonnica?

- Nie, ale ja go widziałam.
- Coś z nim nie tak?
- To Louis, Ivy, to drugi Louis. Mógłby być jego synem. Albo młodszym bratem. Kit robi to, co ja. Spójrz tylko, jaką odziedziczyła po mnie spuściznę. Pokochać kogoś, kto złamie jej serce.
- Jim, przyszedł list od Leny - powiedziała Jessie.
- Dzięki Bogu. Już myślałem, że zupełnie nas zostawiła. Co pisze?
- Że jest zestresowana, wykończona nerwowo. Zdaniem lekarza to wynik przepracowania. Radzi jej wziąć kilka tygodni urlopu. Wróci pod koniec stycznia.
- Dobrze, że w ogóle poszła do lekarza.
- Ona rzeczywiście za dużo pracowała.
- Próbowaliśmy temu zaradzić, chcieliśmy wysłać ją na urlop. - Jim namawiał ją do tego wiele razy.

Jessie nie podnosiła głowy znad listu.

- Niewykluczone, że wyjedzie na trochę do Irlandii...
- I dobrze, w Irlandii lepiej wypocznie. Stamtąd pochodzą, więc pewnie mają tam rodzinę i przyjaciół.

646

- Lena nic o nim nie pisze.
 - E tam, on też pojedzie, zobaczysz.
 - Cały czas pisze w liczbie pojedynczej, ani razu o nim nie wspomina...
- Clio jadła lunch z rodziną Michaela O'Connora. Wyglądało na to, że bardzo ją polubili i przyjęli do swego grona.
- Przyjdiesz na ślub Mary Pauli, prawda? - spytała matka Michaela.
 - Tak, bardzo bym chciała, proszę pani. - Od Nowego Roku wszystko

układało się znakomicie. Bal zorganizowany w HCL, jak nazywali między sobą „Centralny”, zyskał wiele pochwał i uznania. Hotel „Centralny” w Lough Glass odwalił kawał dobrej roboty.

Starego O'Connora interesował każdy szczegół.

- A jak się bawiła twoja macocha? Maura Hayes, tak?
- Maura Hayes jest moją ciotką - odrzekła Clio.
- Ona jest macochą Kit - dodał Kevin O'Connor.
- A Kit to...
- To ta, która tak bardzo mi się podobała - wyjaśnił usłużnie Kevin.
- No więc, co u niej słyszeć? - drażył z uporem Lepkie Palce.
- Chyba jej odbiło. Zadaje się z miejscowym hulaką.
- Maura Hayes?! - wykrzyknął z niedowierzaniem stary satrapa.
- Nie, Kit - odpowiedzieli chórem.

Lepkie Palce O'Connor postanowił zdobyć więcej informacji na temat tej miłej, pulchniutkiej kobitki, z którą zawsze miał ochotę pofiglować.

Kit wróciła do Dublina, gdzie spotkała się z Clio. Zgodnie z niepisaną umową ani jedna, ani druga nie wspomniały imienia i nazwiska Steviego Sullivana.

- Opowiedz mi o ślubie Mary Pauli. Zanoszą się na wielką pompę?
- Nie, ślub będzie cichy i skromny.
- To zupełnie nie w stylu O'Connorów.

647

- Najwyraźniej nasz piękny Louis nie ma rodziny... albo takiej rodziny, która mogłaby pokazać się na ślubie.

Zabrzmiało to tak snobistycznie, że Kit jej przez chwilę nienawidziła.

Potem przypomniała sobie, kogo nienawidzi naprawdę.

- Więc jak chcą to zorganizować?
- Postanowili przenieść się na inny teren. Ślub wezmą w kościele uniwersyteckim, a potem będzie lunch na szesnaście osób w prywatnych apartamentach hotelu „Russell”. To tuż obok, na Saint Steven Green.
- W hotelu „Russell”? Chryste, ale szpan.
- No właśnie. Nie wiem, w co się ubrać. Pewnie nie zdradzisz mi, gdzie kupujesz te szykowne kiecki, co?
- Chcesz nałożyć wieczorową suknię bez ramiączek? Szkarłatną suknię na lunch w hotelu „Russell”?!
- No, dobra, wiedziałam, że mi nie powiesz. Chyba nigdy cię nie rozgryzę, Kit.
- Ani ja ciebie. Czyż nie tajemnicze z nas kobiety?
- Jesteś blada. Wykaraskałaś się już z tego załamania, czy cokolwiek to było?
- Tak, jestem tylko trochę zmęczona, to wszystko. - Nie spała całą noc, czekając na obiecany list od Leny. List z wyjaśnieniami. List, który do tej pory nie nadszedł.
- Ciocia Maura? Tu Clio. Ciociu, pamiętasz tę śliczną etolę, którą miałaś na sobie w sylwestra?
- Witaj, Clio. Jak to miło, że dzwonisz. I to aż z Dublina.
- Tak, dlatego nie mogę za długo rozmawiać. Ale chciałabym cię prosić o wielką przysługę.
- To znaczy?
- Idę na ślub i zastanawiałam się, czybyś mi jej nie pożyczyła. Chcę szalowo wyglądać i myślę, że na mojej kremowej sukience leżałaby naprawdę ekstra.

- Jesteś za młoda na futro, Clio. Futra są dla kobiet starszych, takich jak ja.

- Tak, wiem, ale ta etola jest wyjątkowo ładna. Bardziej pasowałaby do kogoś młodszego...

- Tak uważasz?

- Chciałam przez to powiedzieć, że na tobie wyglądała

648

bardzo elegancko - płątała się Clio, próbując zatuszować gafę.

- To dobrze, cieszę się, że ci się podobała.

- Dlatego zastanawiałam się, czy... - Maura nie przerywała ciszy. -

Dlatego zastanawiałam się, czybyś mi jej nie pożyczyła - dokończyła Clio.

- Byłabym ostrożna, bardzo bym o nią dbała i w ogóle...

- Przykro mi, ale nie - odrzekła lodowatym głosem Maura. - Chciałabym ci pomóc, ale to dla mnie szczególny prezent i nie chcę się z nim rozstawać.

Stevie przyjeżdżał do Dublina wieczorami, cztery razy tygodniowo, i wszystkie cztery wieczory spędzali razem. Uzgodnili, że będą spotykać się poza domem. Pokusy czyhające w jej mieszkaniu, w zacisznej sypialence, gdzie mógłby przychodzić nie zauważony o każdej porze dnia i nocy, były zbyt niebezpieczne.

Stevie pragnął dotrzymać obietnicy. Skoro przebywać z Kit mógł tylko pod warunkiem, że zapomni o łóżku - trudno, układ to układ. Chciał z nią po prostu być.

Trzymając się za ręce, przesiadywali we frytkarniach. Jeździli autobusem do Dun Laoghaire, gdzie w wiatr i w deszcz spacerowali na molo. Chodzili do wielkich kin na O'Connell Street. Nie widywali się z nikim. Nie

potrzebowali towarzystwa.

Zresztą z kim mieliby się widywać? Z Philipem, którego twarz złamałaby im serce? Z Clio, która uważała, że Kit marnuje sobie życie? Z Frankie, którą Kevin O'Connor pochłaniał do tego stopnia, że nie znajdowała czasu dla nikogo innego?

Lecz nigdy nie mieli dość rozmowy, śmiechu i delikatnych pieszczot.

Gdyby ktoś spytał ją, o czym rozmawiali tego czy innego wieczoru, Kit nie umiałaby odpowiedzieć. Czas płynął, lecz nie miała pojęcia, o czym mówili. Na pewno nie o jego przeszłości. Ani o tym, iż pragnęłyby kochać ją inaczej. I nigdy nie wspominali o kobiecie, z którą tamtego dnia rozmawiał przez telefon. O kobiecie, której tajemnicy nie chciał poznać. Pewnego dnia Kit powie mu, że to jej matka, ale jeszcze nie teraz.

649

Najdroższa Kit!

Próbowałam tyle razy. Kosz jest pełen kartek, porwanych i zmiętych w małe kulki. Chyba przeżywałam coś w rodzaju załamania nerwowego. To wszystko, co mogę powiedzieć. Mam nadzieję, że już minęło. Ale chyba nie - minie dopiero po ślubie Louisa. A Louis żeni się 26 stycznia w Dublinie. Myślę, że dojdę do siebie dopiero wtedy. Wtedy wszystko się skończy, wtedy zapadnie klamka. Proszę, uwierz mi, Kit. I przebacz mi za to, jak i za wiele innych spraw, które mi wybaczyłaś. Napisz, że jesteś zdrowa i silna. Że wróciłaś do pracy.

Rozmawiałam ze Steviem. Wziął mnie za Ivy, ale ty dobrze wiesz, iż rozmawiał ze mną. Strasznie się o Ciebie niepokoił. Jakby bardzo Cię kochał. Mówię Ci o tym, bo wiem, że chciałabyś to usłyszeć. I dlatego że moim zdaniem Stevie naprawdę Cię kocha. Nie wiem, czy to dobrze. Tak

bardzo Cię kocham, Kit. Cokolwiek się stanie, zawsze o tym pamiętaj.

Twoja kochająca matka

Lena.

Kit umierała z niepokoju. „Matka” - Lena znowu użyła w liście tego słowa. Czyżby naprawdę przeżywała nerwowe załamanie? Co znaczy to ostrzeżenie przed Steviem? I co się miało jeszcze stać?

- Wiesz, co mogłabyś dla mnie zrobić?

- Nie, i boję się nawet tego domyślać - odrzekła Kit. Oczy Clio podejrzenie błyszczały.

- Mogłabyś wykraść dla mnie etolę Maury. Nawet tego nie zauważy. Po ślubie odwieziesz ją do Lough Glass, fundnę ci bilet.

- Zwariowałaś?

- To moja sprawa. To ty zwariowałaś, nie ja. Kto łązi z tym Sullivanem, ty czy ja? Matka pyta mnie, co jest grane.

- Mam gdzieś, co myśli, o co pyta i co mówi twoja matka.

- Powtarzasz to, odkąd tylko pamiętam.

- Pewnie musiałam mieć ku temu jakieś powody. Zawsze ją cytujesz, jakby pozjadała wszystkie rozumy.

650

- Dlaczego się żremy?

- Ponieważ mnie uraziłaś i byłaś dla mnie niegrzeczna, jak zawsze.

- Przepraszam.

- Przepraszasz mnie tylko dlatego, że chcesz mieć etolę Maury.

- Chcę ją tylko pożyczyć. Przecież zawsze pożyczałyśmy sobie różne rzeczy: buty, torebki, szminki do ust...

- Tak, ale to były nasze rzeczy.

- Maura o niczym się nie dowie.

Kit zamyśliła się. Cóż za ironia losu: Clio prosiła ją o pożyczenie etoli Leny na ślub Louisa. Może to on sprezentował matce tę etolę? Wiele, wiele lat temu. Ojciec nie pamięta, żeby ją kupował. Na miłość boską, takich rzeczy chyba się nie zapomina.

Wykraść ją dla Clio? Przerazić Louisa na jego własnym ślubie widokiem podarunku, który sprawił Lenie? Nie, mężczyźni są beznadziejni. Nic nie pamiętają. Nawet gdyby coś sobie skojarzył, pomyślałby tylko, że etola Clio jest podobna. Clio uważnie ją obserwowała. Wyglądało na to, że Kit się zastanawia: dać jej etolę czy nie?

- Nie - odrzekła w końcu Kit. - Przepraszam cię za tę głupią kłótnię, ale nie, to po prostu niemożliwe.

- Chciałabym, żeby było już po tym cholernym ślubie - mruknęła Clio. - Wszyscy są spięci jak diabli. Wszyscy z wyjątkiem narzeczonego. Zaprosił czworo gości i jest zadowolony. Tak a propos, jak na takiego staruszka, zabójczy z niego przystojniacha.

- Kiedy go poznałaś?

- On tu jest. Wczoraj wieczorem pili z ojcem Michaela. Trzyma cię za rękę w taki sposób, jakby dawał ci do zrozumienia, że w innych okolicznościach chętnie by się z tobą zabawił. Aha, ona jest w ciąży, to pewne jak w banku. Widać to po sposobie, w jaki stoi.

- A w przyszły weekend? - spytał Stevie. - Pojechałabyś ze mną na północ?

- Nie, w przyszły weekend muszę być w Dublinie.

- Po co? Myślałem, że ucieszy cię miła przejażdżka.

Mam spotkanie w interesach, ale to potrwa najwyżej dwadzieścia pięć minut, a potem moglibyśmy pójść na zakazany film i...

- Żebyś oszalała z chuci?

- Nie, tylko tak, dla zabawy. I moglibyśmy pojechać nadmorską autostradą Antrim Coast Road. Mówią, że jest wspaniała jak autostrada Kerr.

- No tak, ale w jeden dzień nie obrócimy.

- Moglibyśmy tam zanoć. W oddzielnych pokojach. Z ręką na sercu, przysięgam.

- Nie, Stevie, nie dam rady, nie w tę sobotę. Muszę być w Dublinie, naprawdę.

- Dlaczego?

- Dobrze, powiem ci. Chcę pójść do kościoła i zobaczyć, jak siostra Michaela O'Connora bierze ślub z tym Louisem Grayem.

Stevie spojrzał na nią.

- Chciałem cię spytać, po jaką cholere, ale nie, o nic nie będę cię pytał.

- Dziękuję ci, Stevie.

- Skoro nie jedziesz ze mną na północ, to tego samego wieczoru wrócę do Dublina i dokądś się wybierzemy.

- Mam nadzieję - odrzekła z poważną twarzą.

- No więc?

- Wpadnij do mnie do domu. Jak mnie zastaniesz, to mnie zastaniesz.

- Bomba. Jak cię zastanę, to cię zastanę. Mając za sobą dwieście osiemdziesiąt osiem kilometrów długimi, ciemnymi drogami w zimną styczniową noc.

- Wiem, Stevie, ale widzisz, ja... po prostu bardzo się czymś martwię.

Boję się, że coś może pójść nie tak.

- A może chciałabyś, żebym z tobą został? Tak na wszelki wypadek?

Przez chwilę ją kusilo, ale ostatecznie powiedziała „nie”. Podróż na północ mogła oznaczać początek dużego interesu. Zresztą była przekonana, że jej odbiło. Nie, to wykluczone: Lena na pewno nie zamierzała przyjeżdżać na ślub Louisa.

652

Louis Gray czuł swoje lata. Zbyt dużo wieczorów spędził z młodymi członkami klanu O'Connorów, próbując im dowieść, że niezły z niego szwagier. A młodzi O'Connorowie żłopali piwsko jak smoki. Nie zdążył mrugnąć okiem, a tu proszę, znowu była jego kolej i znowu musiał stawiać. Mary Paula przechodziła ostry atak porannych nudności i nie miała nastroju, żeby go pocieszać. To on musiał pocieszać ją, i to wyjątkowo intensywnie.

Co było bardzo trudne, ponieważ on mieszkał w jednym z hoteli O'Connora, a ona w domu, z ojcem i matką. Bardzo dużo czasu poświęcił na zapoznanie się z reżimem pracy w firmie, do której miał niebawem wejść.

Personel traktował go z niezwykłym szacunkiem, ale Louis dobrze wiedział, dlaczego: wkrótce miał zostać zięciem prezesa, a później - wszystko na to wskazywało - jego spadkobiercą. Żaden kelner, portier czy recepcjonista nie darzył taką atencją zwykłych klientów.

Stwierdził, że stary O'Connor, jego przyszły teść, jest człowiekiem bardzo trudnym, a jego żona męczącą zrzędą. W tych ciężkich dniach wiele rzeczy bardzo go intrygowało i zastanawiało. Ot, choćby bracia Mary Pauli, tych dwóch nieokrzeszańców. Wyglądało na to, że są bardzo

zaangażowani w coś, co działo się w Lough Glass. Pomyśleć tylko, że akurat tam, w Lough Glass! Z Londynu szybko wrócili do Irlandii, żeby zdążyć na imprezę organizowaną w jakimś HCL.

Ze swych potajemnych wypraw pamiętał, że w Lough Glass nie ma takiego hotelu, że stoi tam tylko popstrzona przez muchy rudera, do której strach wejść. Tymczasem młodzi O'Connorowie twierdzili, iż gregoriański fronton tego przybytku tudzież jego staromodny urok są tym, co przyciągnie odwiedzających Irlandię turystów, bo zagraniczni goście zdecydowanie bardziej wolą budowle zabytkowe od nowoczesnych betonowych molochów, zbudowanych specjalnie w tym celu. Louis uważał, że mają absolutną rację, lecz oczywiście nie mógł tego otwarcie przyznać, ponieważ jego przyszłość była związana ze zwykłym nowoczesnym i bardzo funkcjonalnym hotelem, którego kierownikiem miał wkrótce zostać - otrzymał to stanowisko w prezencie ślubnym od starego O'Connora.

653

Louis odszukał w Dublinie starych znajomych. Zawsze potrafił udzielić wymijającej odpowiedzi na pytania dotyczące swojej osoby. Zwykle zbywał je smutnym śmiechem.

- Ech - powiadał - nie warto wysłuchiwać opowieści o błędach, jakie w życiu popełniłem. Lepiej opowiedz mi o sobie. Interesy dobrze idą? Drużbę znalazł bez kłopotów. Był nim człowiek, którego poznał lata temu, kiedy pracował w handlu detalicznym. Mężczyzna z prezencją i bez wyobraźni. Harry Nolan - człowiek, który uważał, że powrót Louisa do Irlandii jest posunięciem nader rozsądnym. Dlaczego? Otóż dlatego, iż Gray zdołał uwieść dwudziestoosmioletnią córkę bogatego hotelarza i w

zamian za to, że zrobił z niej szacowną kobietę, otrzymał stanowisko kierownika jednego z hoteli.

Harry, człowiek wyrobiony towarzysko, był lepszym słuchaczem niż mówcą, tak samo jak Louis. Miał żonę, ale, jak wyjaśnił staremu kumpłowi, jej osoba nie uświetniłaby ślubnej ceremonii, tak więc lepiej jej nie zapraszać.

Zapewniał Louisa, że Irlandia się zmieniła. Interes to interes, ludzie chwyтали okazję, gdzie tylko mogli. Ot, choćby oni sami: kiedyś sprzedawali damską bieliznę, a teraz Louis był hotelarzem z przyszłością, a on, Harry, szefem wielkiego sklepu na Grafton Street i człowiekiem z towarzystwa.

Tak, Louis dokonał idealnego wyboru. W wieczór przed ślubem wypili z Harrym po dwie szklaneczki. Nie byli pewni, czy większa ilość alkoholu nie wpłynie na ich wygląd następnego dnia, dlatego na tym poprzestali.

Louis stał przy oknie hotelowego pokoju i spoglądał na dachy Dublina.

Tak bardzo pragnąłby przestać myśleć o Lenie, o tym, gdzie teraz jest.

Zapewniała go, iż wszystko rozumie. Więc dlaczego tak bardzo niepokoił

go fakt, że od tamtej pory nie przychodziła do pracy i nie było jej w domu?

Zadzwoił do Ivy jeszcze raz. Za każdym razem zmieniał głos, podawał inne nazwisko, ale miał wrażenie, że zawsze go rozpoznawała.

- Nie orientuje się pani, gdzie ona jest? Próbowałem skontaktować się z nią w pracy, ale...

- Pani Gray wyjechała - odpowiadał grobowy głos. -

654

Nie wiadomo, dlaczego i dokąd. Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

Dzień był zimny, ale ładny. Kiedy Harry Nolan i Louis Gray przyjechali

do kościoła uniwersyteckiego przy Saint Stephen Green, zza chmur wychynęło blade styczniowe słońce. Mijali ich ludzie i samochody, z okien autobusów wychylali się pasażerowie, by popatrzeć na zgromadzonych pod pięknym kościołem, gdzie pobierali się tylko bogacze.

- Za godzinę będzie po wszystkim - powiedział Harry. - Za godzinę utoniemy w dżinie z tonikiem.

Louis patrzył w dal. Był trochę zdenerwowany. Dziwne, wszystko miało swój specyficzny oddźwięk. Na przykład okazało się, że brat Mary Pauli, Michael, ma zamiar poślubić tę śliczną Clio, córkę lekarza z Lough Glass. Córkę kogoś, kogo Lena prawdopodobnie dobrze знаła. Ciągłe zapominał, iż Helen McMahan uznano za martwą. Gdyby wyszło na jaw, że żyli z sobą tyle lat, nikt nie dałby temu wiary.

I nagle, stojąc w blasku styczniowego słońca, po drugiej stronie ulicy zobaczył kobietę w ciemnych okularach, która do złudzenia przypominała Lenę. Zrobiło mu się słabo.

- Nie masz przy sobie nic na wzmocnienie? - spytał Harry'ego.

- Owszem, mam piersióweczkę brandy. Ale zanim ją zaatakujesz, wejdźmy do zakrystii.

Stary O'Connor pomógł córce wysiąść z wielkiej limuzyny. Pozostali goście weszli już do kościoła.

- Wyglądasz uroczo, Mary - powiedział. - Mam nadzieję, że Louis będzie dla ciebie dobry.

- Jest tym, kogo pragnę, tatusiu.

- Skoro tak... - O'Connor nie był całkowicie przekonany.

- Chyba nie jestem za gruba, co?

- Ależ skąd! Spójrz tylko, wszyscy cię podziwiają. - Przystanęła koło nich grupka przechodniów, żeby uśmiechnąć się do panny młodej. Niektórzy weszli nawet do kościoła, żeby z dyskretnej odległości obejrzyć ceremonię zaślubin.

655

Kit zasłoniła twarz rękoma, jakby się modliła. Miała na sobie płaszcz z paskiem, a na głowie kraciatą chustkę. Była pewna, że nikt z zaproszonych gości jej nie rozpozna. Ci, którzy przyszli popatrzeć, stali lub siedzieli daleko z tyłu. Ale nie, Kit się nie modliła, Kit zerkała przez palce. Widziała staruszków z różańcami, którzy cicho, acz poważnie rozmawiali z Bogiem i Jego Matką. Widziała dwoje studentów, którzy najwyraźniej zabijali tu czas przed lunchem na Grafton Street. Widziała dwoje włóczęgów: mężczyznę w obwisłym palcie i kobietę z pięcioma plastikowymi torbami w ręku.

Leny nigdzie nie zauważyła.

I nagle dostrzegła sylwetkę kobiety przy konfesjonale. Kobiety w długiej spódnicy z ciemnej wełny i w bardzo eleganckim zakiecie wojskowego kroju. Nosila chustkę i ciemne okulary, ale je zdjęła i na oczach Kit nałożyła modny kapelusz z piórkami, który musiał kosztować znacznie więcej niż jakikolwiek inny kapelusz na tym szykownym, acz skromnym ślubie. Kobieta wyprostowała się, najwyraźniej zamierzając przyłączyć się do grona gości siedzących po stronie pana młodego.

Lena zrobiła to, co przekreśliło nadzieje Kit i wykazało bezowocność jej modłów: przyjechała do Dublina, żeby zepsuć dzień ślubu Louisa Graya. Zamierzała poświęcić wszystko, co jej jeszcze zostało: swoją godność, swoją anonimowość, możliwe, że nawet wolność. Tak, bo mogła

zaatakować pana młodego albo pannę młodą. Miała dziko rozbiegane oczy, Kit doskonale to widziała. Lena nie odpowiadała za swoje czyny. Noc, a kto wie, czy nie większą część życia, mogła spędzić w więzieniu. Panna młoda weszła już do kościoła, ojciec przekazał jej rękę uśmiechniętemu Louisowi.

Kit widziała go tylko raz, lecz dobrze ten uśmiech pamiętała. Pamiętała także słowa Clio, że każda kobieta czuje się przy Louisie Grayu tą jedyną i wyjątkową, tą, którą w innych okolicznościach mógłby się poważnie zainteresować. Widziała, jak stoi przed tłumem gości niczym aktor gotowy wygłosić swoją kwestię, i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że Gray tym aktorem naprawdę jest, że nigdy

656

w życiu nie był i nie będzie nikim innym. Że jej cudowna matka nie może poświęcać niczego dla kogoś tak bezwartościowego jak on, że nie wolno jej tego zrobić.

Kit rzuciła się na drugą stronę kościoła. Oprócz odmawiających różaniec starców i nielicznych, siedzących tu i ówdzie ludzi nie widział ich nikt, bo wszystko działo się zbyt daleko od ołtarza, od centrum wydarzeń. Kit chwyciła ją za rękę, zanim Lena zdążyła zrobić kilka kroków przejściem między ławami.

Lena odwróciła się na pięcie.

- Co jest?!
- Zabierz mnie ze sobą - syknęła Kit.
- Uciekaj stąd.
- Cokolwiek zrobisz, idę tam, gdzie ty, mamó. Jeśli chcesz się pograć, pograżę się z tobą.

- Proszę cię, Kit, zostaw mnie. To nie ma nic wspólnego z tobą. - Nie zauważone przez stojących przed barierką ołtarza gości, zwróconych tyłem do nich, szarpały się i zmagaly w mrocznej części kościoła.
- Nie żartuję - odrzekła Kit. - Jeśli masz przy sobie nóż albo rewolwer, niech aresztują i mnie.
- Nie bądź śmieszna, nic takiego nie mam.
- Wszystko jedno, i tak się stąd nie ruszę. - W tym samym momencie zakrystian i dwóch ministrantów zauważyli, że z tyłu kościoła coś się dzieje, i zaczęli wyciągać szyje, jednak żaden z gości nie odwrócił głowy. - Wierz mi, mówię zupełnie serio - dodała Kit.
- Co ty wyprawiasz ze swoim życiem? - spytała Lena, strzelając wokoło spanikowanymi oczyma.
- Ja nic, to ty je niszczysz. - Chwila ciągnęła się w nieskończoność. Kit poczuła, że matka zwalnia uścisk, że podejmuje decyzję. - Chodź, wyjdź ze mną. - Lena ani drgnęła. - Mamo, chodź ze mną.
- Nie nazywaj mnie tak.

Lena zaczęła oddychać normalnie. Najwyraźniej wróciła do siebie. Skoro była gotowa przywdziać stary kamuflaż, kryzys chyba minął. Kit wypchnęła matkę na dwór, na rześki chłód. Dmuchał wiatr, podrywając z rynsztoków paprochy brudu.

657

Niedługo przed kościołem staną nowożeńcy i ludzie zaczną rzucać konfetti. Do tej pory muszą zniknąć. Lena milczała. Nie wypowiedziała ani słowa.

- Jesteś zmęczona? - spytała Kit.
- Mogłabym położyć się na chodniku i zasnąć.

- Chodź, tuż za rogiem jest postój taksówek.

Lena nie zapytała, dokąd miałyby jechać. Skręciwszy za róg, usłyszały krzyk.

- Kit!

Odwróciły się. Stała przed nimi elegancka kobieta w rzucającym się w oczy palcie. Rita. Padły sobie w ramiona. - Rito, pozwól, to jest moja przyjaciółka z Anglii, Lena Gray.

- Dzień dobry, miło mi - powiedziała Rita.

- Jak się masz, Rito - Lena powiedziała to zbyt serdecznie, zbyt ciepło.

Rita poderwała wzrok i przyjrzała się jej uważnie, jakby usłyszała znajome powitanie.

- Lena to wspaniała przyjaciółka, udzieliła mi wielu dobrych rad - mówiła zdesperowana Kit. - Prowadzi agencję pośrednictwa pracy.

Rita była spokojna i opanowana.

- W dzisiejszych czasach to wspaniałe zajęcie. Młodzież potrzebuje rad, i to na każdym kroku. Na pewno czerpie pani z pracy wielką satysfakcję.

Lena nie odpowiedziała.

- No, musimy już pędzić - ponagliła Kit.

- Bardzo się cieszę z naszego spotkania, Kit. - Rita długo sondowała wzrokiem Lenę. - Było mi bardzo miło, pani... pani Gray.

- Poznała mnie - szepnęła Lena, kiedy obeszły róg ulicy.

- Ależ skąd! - odparła Kit. - Ale musimy stąd szybko uciekać, bo zaraz spotkamy kogoś innego. Mona Fitz mogła wziąć wolne i przyjechać do Dublina na zakupy.

Taksówkarz popatrzył na nie wyczekująco.

- Dokąd panie sobie życzą? Lena zmieszała się.

- Może najpierw pojedziemy odebrać twoją walizkę? - zaproponowała Kit.

658

- Walizkę?

- Gdzie zostawiłaś swoje rzeczy? - spytała Kit, siląc się na obojętność. - Torbę, bagaż...

- Nie mam żadnego bagażu.

Kit zadrżała. Niewykluczone, że nigdy się nie dowie, co matka zamierzała zrobić na ślubie Mary Pauli O'Connor i Louisa Graya. Jedno nie ulegało wątpliwości: Lena przyjechała do Dublina bez bagażu, nie wiedząc, gdzie spędzi noc. Jakby przeczuwała, że nim zapadnie zmierzch, przestanie o sobie decydować.

- Pojedziemy do mnie? Trochę odpoczniesz, przenocujesz. Zawsze chciałam, żebyś się u mnie zatrzymała. Mam dla ciebie nocną koszulę, włożę ci do łóżka butelkę z gorącą wodą...

- Zmieścimy się w jednym łóżku?

- Prześpię się na poduszkach na podłodze. - Kit chwilę milczała. - Bardzo chcę, żebyś mnie odwiedziła, Leno. - Znowu zamilkła. - Chyba nie proszę o zbyt wiele.

- Tak, to prawda - odrzekła Lena. Kit podała taksówkarzowi adres.

Powoli wchodziły na schody. Gdy Kit otworzyła drzwi, Lena nie powiedziała ani słowa.

- Powiedz, że ci się podoba. Powiedz, że tu ładnie, że mieszkanie ma swój charakter, nawet możliwości... - Kit była zrozpaczona.

Lena uśmiechnęła się do niej.

- Twoje mieszkanie tak często mi się śniło... Myślałam, że okno jest po

drugiej stronie.

- A śniło ci się, co jadłaś tu na lunch? - spytała Kit. Lena dostrzegła na stoliku przy kuchence gazowej cztery pomidory i bochenek chleba.

- W snach zawsze jadłam kanapkę z pomidorem i piłam herbatę - odrzekła.

Potem było już dobrze. Rozmawiały jak przyjaciółki.

W końcu znużona Lena położyła się na małym, wąskim łóżku i zasnęła.

Była dopiero czwarta po południu, ale Kit wiedziała, że matka nie spała od wielu dni. Usiadła na krześle i wyjrzała przez okno. Czuła się pusta i wypalona. Pragnęła, żeby przyjechał do niej Stevie. Zapadł zmrok, lecz nie zapaliła światła.

659

Około ósmej zobaczyła samochód Stewiego. Stevie wysiadł i spojrzał w jej okno. Nigdy dotąd nie wchodził na górę. Inaczej wyobrażała sobie jego pierwszą wizytę. Nie mogła przewidzieć, że będzie im towarzyszyć matka śpiąca w jej łóżku.

Cichuteńko podeszła do drzwi i gestem ręki zaprosiła go do środka.

Przystawiła do okna drugie krzesło i z palcem na ustach szepnęła:

- Musi się wyspać, nie obudź jej. To Lena.

- Wiem.

Siedzieli w ciszy. Przywiózł jej pudełko czekoladek, które sprzedawano tylko za północną granicą, dzięki czemu zdawały się bardzo egzotyczne, jak wszystko to, czego nie można było dostać w kraju. Gładził jej dłoń.

- Jak podróż? - spytała Kit.

- Męcząca - odrzekł. - A ślub?

- Nijaki.
- Chyba tego chciałaś, prawda? - Patrzył na nią, widziała jego twarz w świetle ulicznej latarni.

Kiwnęła głową.

- Kiedyś wszystko ci opowiem, przyrzekam.
- Chcesz, żebym sobie poszedł?

Nigdy w życiu nie widziała człowieka bardziej rozczarowanego. Ściągnęła go do siebie w chłód i w deszcz i miałyby go teraz odprawić z powodu Leny śpiącej w jej łóżku? Z powodu kobiety, której obecności nie mogła mu wytłumaczyć?

- Nie, zostawię jej list. Powiem, że poszliśmy do Chińczyków, jeśli ci to odpowiada.
- Już od Droghedy myślałem o wieprzowinie w słodko-kwaśnym sosie.
- Jak się obudzi, może zechce się do nas przyłączyć. Ale będzie wiedziała, że na pewno do niej wrócę...
- Dobrze widzisz? Nie za ciemno tu? - pogłaskał ją po głowie, gdy pochyliła się nad stołem, żeby napisać list.

Leno, spałaś tak spokojnie, że nie chciałam Cię budzić. Jest kwadrans po ósmej. Wychodzimy ze Steviem do chińskiej restauracji. Zostawiam Ci ich reklamówkę, żebyś wiedziała, gdzie nas szukać. Wpadnij tam, zjemy coś razem. Jeśli nie,

660

przed północą będę z powrotem i prześpię się na poduszkach... ale bardzo, naprawdę bardzo bym chciała, żebyś się do nas przyłączyła.

Całuję Twoja Kit.

Wyszli na palcach i zamknęli za sobą drzwi.

Lena usiadła na łóżku. Przeczytała list i stanęła przy oknie, patrząc, jak idą objęci ulicą. Nie ulegało wątpliwości, że chłopakowi bardzo na Kit zależy. I teraz była już pewna, iż on nic o niej nie wie, że dla Steviego jest tylko nieznaną Leną z Londynu.

Czuła też, że młody Sullivan jest zwierciadlanym odbiciem Louisa Graya. Gdy kochał, kochał szczerze, ale tylko tu i teraz, w tej chwili. Rzecz w tym, iż ta chwila długo nie potrwa. Gdyby tylko zdołała ją przed tym ochronić. Ją, Kit, swoją córkę...

Kit wróciła sama. Przeczytała krótki liścik.

Obudziłam się, ale wybaczyć, nie miałam siły na wyjście do restauracji. Zjadłam kilka herbatników i wracam do łóżka. Niech Cię Bóg błogosławi, Najdroższa Kit. Do zobaczenia rano.

Kit położyła się na poduszkach i kocach. Była pewna, że matka oddycha zbyt równo i regularnie. Nie brzmiało to jak oddech kobiety, która po raz pierwszy od wielu tygodni śpi snem głębokim i spokojnym.

- Pokażę ci Dublin, chcesz? - zaproponowała Kit.

- Nie, powinnam wracać do Londynu. Wakacje się skończyły.

„Wakacje” - powiedziała to słowo z takim grymasem twarzy, że Kit aż się wzdrygnęła. Postanowiła wykorzystać sposobność.

- Były chyba niezbyt udane. Samotny pobyt w Brighton, potem dwa szybkie wypadki do Irlandii...

- Rzeczywiście. Następnym razem lepiej to wszystko zaplanuję.

661

- Szkoda, że nie poznałaś Steviego. Bardzo bym tego chciała.

- Nie.

- Uważasz, że nie można na nim polegać.

- Był dzieckiem, kiedy wyjechałam. Ty wiesz lepiej, jaki naprawdę jest, polegam na twoim zdaniu.
- Powiedziałam ci o nim wszystko, nie pominęłam absolutnie niczego. Jeśli będziesz się przede mną zamykała i sznurowała usta, przestanę się zwierzać.
- Myślę, że i tak przestaniesz.
- I nie powiem ci, kiedy zostaniemy kochankami?
- Nie krytykuję cię, Kit, wierz mi.
- Więc dlaczego tego nie aprobujesz?
- Ponieważ moim zdaniem Stevie złamie ci serce.
- No i co z tego? Jakoś się pozbieram.
- Jeśli to naprawdę coś poważnego, nie dasz rady.
- Leno, wiem, że dostrzegasz... że dostrzegasz pewne podobieństwa...
- Skoro tak, skąd pewność, iż ich nie ma?
- Bo nie ma - Kit buńczucznie wysunęła podbródek.
- Wiem, o czym myślisz - perswadowała Lena. - Chcesz powiedzieć, że gdybym tylko poznała Stewiego kilka miesięcy wcześniej, gdybym poznała go będąc z Louistem, na pewno bym wszystko zaaprobowała, zrozumiała i powiedziała, iż musisz podążać za swoją gwiazdą.
- Otóż to! - wykrzyknęła Kit.
- Nie jestem tego pewna. Powiedziałam ci, że nie żałuję swego kroku. Gdyby było inaczej, gdybym nie wierzyła, iż postąpiłam słusznie, jaki miałoby to sens? Znaczyłoby to, że wszystko poszło na marne, że zniszczyłam życie tylu ludziom i wszystko na próżno. Bo to ja zniszczyłam im życie, Kit. Ja, tylko ja, nikt inny.
- Nie, to nie tak - zaprotestowała łagodnie Kit.

- Tak, właśnie tak. Rozglądam się wokoło i widzę.
- Ojciec ma się dobrze, Maura też. Emmet jest szczęśliwy, ja zakochana. A ty i Louis... Napisałaś mi kiedyś, że łączyło was silne uczucie, że paliło się jasnym, gorącym płomieniem, że tak było lepiej, tak było dobrze...

Lena nie wiedziała, co odpowiedzieć.

662

- Rozumiem. Twierdzisz, że nie zniszczyłam im życia, że wszyscy to zamieszanie przetrwali, wszyscy łącznie z Louisem. Że tylko ja przegrałam. Że równie dobrze mogłabym się tamtej nocy utopić.
- Niczego takiego nie twierdzę. Przestań wkładać mi do ust słowa, których nie wypowiedziałam. Chcę tylko, żebyś przestała mieć wyrzuty sumienia. Zawsze byłaś dobra dla ludzi, zawsze im pomagałaś, zawsze dawałaś... Nikogo nie zniszczyłaś, Leno.

- Gdyby cię tam nie było...

Kit nie pozwoliła jej dokończyć i skierowała rozmowę na inne tory.

- Powiedz mi, co najbardziej kochałaś w Louisie.
- Jego twarz, która jaśniała, ilekroć mnie widział. Jakby ktoś pstryknął włącznikiem...

Zabawne określenie - pomyślała Kit. Tym zabawniejsze, iż widziała Louisa na ślubie, gdzie wyglądał jak aktor wypowiadający swoją kwestię. Oczywiście, że umiał pstryknąć włącznikiem.

- A czego w nim nie cierpiałaś?
- Myślał, że wierzę w jego kłamstwa. Tak, chyba tego. Byliśmy jak para głupców.
- Dlaczego to nie przetrwało? To, co was łączyło. - Kit pytała łagodnie, acz sondująco. Czowała, że Lena chce odpowiedzieć. Że chce to

przeanalizować.

- Nie wiem - odrzekła w zamyśleniu. - Może ty mi na to odpowiesz?

- Może dlatego, że nie mieliście dzieci. Gdybyś zaszła w ciążę...

- Byłam w ciąży - odrzekła Lena. - W ciąży bardziej zaawansowanej niż ciąża Mary Pauli O'Connor. Dlatego porzuciłam ciebie i Emmeta, dlatego wyjechałam z Lough Glass i uciekłam aż do Anglii. Oczywiście, że byłam w ciąży.

- I co się stało?

- Poroniłam. Zaczęło się w pociągu z Brighton, a skończyło na Victoria Station i Earl's Court. Oto co stało się z naszym dzieckiem.

Kit wzięła ją za rękę.

663

- A potem? Nie mogliście spróbować... Już nigdy nie próbowaliście...

- On nie chciał dziecka. Nie chciał dziecka aż do chwili, gdy stałam się na to już za stara. Wtedy zapragnął mieć je z inną kobietą. - Twarz Leny była jak wykuta z marmuru.

Kit McMahon nigdy w życiu nie odczuwała większego przygnębienia.

Nie rozmawiały o tym, co przywiodło Lenę do Dublina. Ani o tym, co by zrobiła, gdyby Kit w ostatniej chwili nie pospieszyła jej na ratunek. Na pewno przyjdzie taki dzień, kiedy będą mogły o tym pomówić.

Lena odzyskiwała siły z godziny na godzinę. Była niczym roślina spragniona wody. Coś dawało jej energię, nadzieję i sens istnienia. Szybko stawała się dawną Leną, kobietą dynamiczną i pełną planów. Pobiegnęła do budki telefonicznej, żeby zapytać o rozkład lotów do Londynu.

Zadzwoiła do Ivy, by uprzedzić ją, że wraca wieczorem. I do Jessie Millar, by zawiadomić ją, iż rano będzie w pracy.

- Pojadę z tobą na lotnisko - zaproponowała Kit.
- Nie, mogłybyśmy spotkać jeszcze więcej znajomych.
- Wszystko jedno. Jadę.
- A jeśli Stevie tu przyjdzie?
- Zostawię mu kartkę w drzwiach. Lena popatrzyła na nią uważnie.
- On nie ma klucza?
- Dobrze wiesz, że nie.
- Tak, wiem. Pomyślałam tylko, że może powinien.
- Przecież... przecież sama mówiłaś, że...
- Wiem, że go kochasz. - Dla Leny sprawa była prosta: miłość to coś, co się w życiu przydarza, coś, na co nie ma się żadnego wpływu, co człowieka ubezwłasnowolnia.

Kit była zdumiona i oszołomiona.

- No, a to, co przytrafiło się tobie? Nie chciałaś, żeby się powtórzyło, żeby...
- Już za późno - przerwała jej trzeźwo Lena. - Ode mnie musisz nauczyć się tylko jednego: nie wolno dokonywać bezpiecznych wyborów. Nie wolno uciekać od ukochanego mężczyzny i poślubiać człowieka dobrego i życzliwego

664

tylko dlatego, że jest dobry i życzliwy. To żadne rozwiązanie.

Kit pomyślała o Philipie.

- Tego chyba nie zrobię - odrzekła powoli.
- Teraz może nie, ale gdybyś była samotna, kto wie. Postąpiłabyś bardzo źle. Sama widzisz, ile zrodziło to krzywdy.

Kit wróciła do poprzedniego wątku.

- Uważasz, że powinnam dać Steviemu klucz do... do swego mieszkania?
- Myślę, że powinnaś zadać sobie pytanie, dlaczego odkładasz na później coś, czego tak bardzo pragniesz. - Popatrzyły po sobie zdumione. - Jestem chyba jedyną matką w dzisiejszej Irlandii, która w tej odwiecznej kwestii staje po stronie córki - skostatowała Lena i wybuchnęły śmiechem. Wszystko wskazywało na to, że szaleństwo, któremu uległa, wreszcie minęło albo ustąpiło miejsca innemu szaleństwu.

Do drzwi zapukał Stevie.

- Ja tylko na chwilę... Kit otworzyła drzwi.
- Wejdź i poznaj Lenę.
- Dzień dobry panu. - Mocno uścisnęła mu dłoń. - Bardzo mi przykro, że zepsułam wam weekendowe plany. Kit była dla mnie bardzo dobra.
- Nie, ależ skąd! - zaprzeczył Stevie z ciepłym uśmiechem. Nie robił wrażenia skrepowanego ani speszzonego, co było niezwykle, zważywszy, że znalazł się w sytuacji, której zupełnie nie rozumiał.
- Tak czy inaczej zaraz jadę na lotnisko, a to chyba dobra wiadomość. Próbuję wyperswadować Kit, żeby ze mną jechała. Jest pan znakomitą wymówką. Moglibyście odprowadzić mnie do Busaras, gdzie złapałabym autobus.

Zanim Kit zdążyła otworzyć usta, Stevie oznajmił:

- Jestem samochodem. Z wielką przyjemnością odwiozę was na lotnisko i pokrażę po okolicy, kiedy będziecie się żegnać.

Lena przyjęła propozycję. Stevie rozejrzał się po kawalerce w poszukiwaniu jej walizki, lecz nie sprawiał wrażenia

665

skonsternowanego, stwierdziwszy, że żadnej walizki tam nie ma. Lena

usiadła z przodu, a Kit wsparła się na zagłówku fotela między nimi. Ruszyli. Kit wskazywała mijane po drodze gmachy i miejsca godne zainteresowania.

- Nie pamiętam, czy za twoich czasów był już ratusz?

- Tak, ale wyglądał zupełnie inaczej.

- Spójrzcie, widzicie ten dom na rogu ulicy? Mieszka tam dziadek Frankie. Jest obrzydliwie bogaty i odwiedza go cała rodzina, dopytując się o zdrowie. Okropne.

- Frankie też go odwiedza? - spytała Lena.

- Nie, ona ma więcej oleju w głowie.

- Pewnie zostawi jej cały majątek, na przekór tamtym - wtrącił Stevie.

Lena spojrzała na niego z zainteresowaniem. Louis powiedziała, że rodzina chce być dla niego miła, że nie ma w tym nic złego, bo to pewnie staruszek, który nie zna ani dnia, ani nawet godziny. Myślała, że Stevie Sullivan też tak powie.

Stevie unikał spraw drażliwych. Nie pytał, skąd ani dlaczego przyjechała do Dublina. Zamiast tego opowiadał jej o samolotach i o tym, że bardzo pragnąłby kiedyś gdzieś polecieć. To na pewno wspaniałe uczucie: wzbić się w niebo jak ptak, runąć z wysoka ku ziemi - zamiast zwykłej drogi, mieć przed sobą setki kilometrów przestworzy.

Okazało się, że nigdy dotąd nie latał.

- Wieśniak ze mnie i prostaczek - wyznał z uśmiechem. Trudno było uwierzyć, że syn ponurej Kathleen Sullivan i jej obłąkanego męża pijaka wyrośnie na takiego człowieka. Na mężczyznę przystojnego i pewnego siebie, ale zupełnie pozbawionego pyszałkowatości.

Zacisnęła palce na torebce. Wiedziała, że córka oddała mu duszę.

Wiedziała, że żadne ostrzeżenia na nic się nie zdadzą. Mogła się tylko modlić i mieć nadzieję.

Dotrzymał słowa. Pożegnał się z nią, gdy tylko dojechali na lotnisko.

- Proszę nas kiedyś odwiedzić - zachęcał z serdecznym uśmiechem.

Lena odpowiedziała mu tym samym.

666

- Wy też moglibyście do mnie wpaść. Miałby pan okazję przelecieć się samolotem.

Kit spojrzała na nią z wielką radością. Stevie został zaakceptowany. Czują to. Spodobał się Lenie. Tak, na pewno. Kit była w siódmym niebie. Gdy tylko odeszły troszkę dalej, tak że nie mógł ich słyszeć, chwyciła matkę za rękę.

- Wiedziałam, że ci się spodoba - powiedziała podniecona.

- Oczywiście, że mi się podoba. Komu by się nie spodobał? - odparła Lena.

Wyjęła portfel i zapłaciła za bilet. Najwyraźniej nie kupiła powrotnego. Zapomniała? Nie pomyślała o tym? Co zamierzała tu robić? Tak czy inaczej najgorsze minęło. Wyglądała teraz zupełnie normalnie.

Kit odprowadziła ją do sali odlotów.

Lena spojrzała jej głęboko w oczy.

- Przyjedziesz? Niedługo?

- Tak, jak tylko wrócisz do siebie i trochę się ogarniesz. Oczywiście, że przyjadę.

- Dziękuję ci, Kit. Dziękuję ci za wszystko.

Kit nie wiedziała, za co matka jej dziękuje. Nie miała pojęcia, czemu zapobiegła. Zbyt ścisnęła ją w gardle, żeby się z nią pożegnać, więc tylko

przytuliła się do niej, mocno przywarła, po czym pobiegła do wyjścia.

W samochodzie głośno wydmuchwała nos.

- O tak, bardzo dobrze - Stevie pochwalił ją jak niemowlaka.
- To miło z twojej strony, że zechciałeś ją odwiedzić.
- Nonsens.
- I dziękuję ci, że o nic nie pytałeś. Kiedyś wszystko ci powiem, ale... To zbyt skomplikowane.
- Jasne. Chciałabyś pojechać w góry?
- Gdzie?
- W góry, w góry Wicklow. Moglibyśmy trochę połązić po miejscach, gdzie nie ma ani ludzi, ani domów. Taka wycieczka oczyściłaby ci umysł.
- Tak, chętnie, wspaniale.

Jechali w milczeniu, nie odczuwając potrzeby rozmowy, dopóki nie minęli Glendalough i nie dotarli do Wicklow

667

Gap. Wówczas Stevie zaparkował samochód i poszli na spacer w zimnym, rześkim powietrzu, tam gdzie sprężysta darni, jałowce i skaliste turnie.

Stevie miał rację: okolica wyglądała tak, jakby odeszli stąd wszyscy ludzie i zostało tylko to, co było na początku świata: drzewa, góry i rzeka.

Kit czuła, jak jej umysł uwalnia się od trosk. Oddychała wolno i głęboko.

Usiedli na wielkim głazie przypominającym skalną półkę i spojrzeli na dolinę rozpościerającą się u ich stóp.

- To długa historia - zaczęła Kit.
- Lena jest twoją matką - odrzekł Stevie.

Ivy nie posiadała się z radości na jej widok.

- Chodź na górę i obejrzyj nowe tapety.

Pokój wyglądał zupełnie inaczej niż przedtem: ściany w różowo-białe pasy od sufitu do podłogi, taborecik przed toaletką obity nowym materiałem, łóżko lekko przesunięte i pokryte różową kołdrą z pasiastymi falbankami.

- Jest piękny! - wykrzyknęła Lena. - Jest naprawdę cudowny.

Wiedziała, że Ivy poświęciła na to wiele czasu i pracy. Nigdy nie zdoła się jej za to odwdzięczyć. Jednak wiedziała też, że najbardziej przyjaciółkę uszczęśliwia to, iż Lena znowu jest dawną Leną.

- Przynajmniej wygląda inaczej niż przedtem - mruknęła chrapliwie Ivy.

- Zupełnie inaczej. Jakbym oglądała nowe mieszkanie.

- O to mi właśnie chodziło - burknęła Ivy.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Już wszystko w porządku, naprawdę.

- W takim razie co robiłaś w Irlandii?

- Pojechałam tam, żeby to zobaczyć, żeby zobaczyć na własne oczy, jak Louis bierze ślub z inną. Byłam, widziałam, koniec, kropka.

- Pojechałaś na jego ślub?

- Byłam tylko w kościele... Nie, nie, naturalnie niejako zaproszony gość - roześmiała się lekko.

- Zdumiewasz mnie.

668

- Chcesz porozmawiać o ślubie, o Louisie, czy też pogadać o czymś innym?

- Lepiej pogadajmy o czymś innym. Dzięki temu jakoś żyję. - Ivy była zadowolona. - Tak będzie lepiej - dodała. - Co znaczy, że pewnie znowu będziesz normalnie jeść. Wspominam o tym dlatego, ponieważ przygotowałam steki dla nas trojga.

- Wielki krwisty stek... Miałam nadzieję, że coś takiego przygotujesz.

Uszczęśliwiona Ivy potruchtała na dół, żeby powiedzieć Ernestowi, iż Lena wyzdrowiała.

- Kobiety zawsze potrafią uporać się z takimi sprawami - odrzekł Ernest z miną człowieka rozumiejącego świat.

Lena stała samotnie pośrodku pokoju, gdzie mieszkała z Louisem.

Postanowiła już nigdy o nim nie mówić, z nikim o nim nie rozmawiać. A przede wszystkim myśleć o nim tak mało, jak to tylko możliwe.

Widziała, jak poślubia inną kobietę. Oszedł z jej życia. Cieszyła się, że to widziała, że pojechała do Dublina. Ślub był swego rodzaju podsumowaniem.

Nie bardzo wiedziała, jak się tam dostała i co zamierzała zrobić. Ale to nie miało żadnego znaczenia: była tam i wszystko widziała. I tak bardzo zbliżyła się do Kit. Kit kocha Steviego. Kiedyś Lena byłaby przerażona. Teraz czuła, iż nie ma sensu z tym walczyć. To było nieuniknione.

W pracy wszyscy ucieszyli się z powrotu pani Gray. Owszem, mieli kilka problemów, lecz była chora i nie chcieli zawracać jej głowy, niemniej to wspaniale, że już wróciła.

- Przyjęcie bożonarodzeniowe bez pani to nie to samo - mówili.

- Przyjęcie bożonarodzeniowe! - Wydawało się, że od tamtego czasu upłynęły lata. Zdążyła już zapomnieć, iż ją ominęło. - Jestem przekonana, że świetnie sobie poradziliście.

- Nie, wprost przeciwnie. Nie było tego nastroju, tego... A pani? Święta się udały czy jeszcze pani chorowała?

- Chorowałam, ale dzięki Bogu czuję się znacznie lepiej. - Uśmiechała się promiennie, tryskała energią i chęcią do

pracy. - Jutro zrobimy zebranie, ale najpierw muszę się tu trochę rozejrzeć. Bardzo przepraszam, że zostawiłam was własnemu losowi, ale takie rzeczy po prostu się zdarzają. Dlatego chciałabym, żeby pod koniec dnia wszyscy złożyli mi sprawozdanie na temat problemów, które was niepokoją czy gnębią.

Pracownicy agencji Millara wydali zbiorowe westchnienie ulgi. Pani Gray wróciła, wszystko było dobrze.

- James?

- To ty, Leno?

- Tak. Zastanawiałam się, czy któregoś dnia znalazłbyś czas, żeby zjeść ze mną lunch.

- Kiedy tylko zechcesz. Dzisiaj, jutro, choćby codziennie.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem, James. W takim razie może jutro o pierwszej? W tym samym miejscu co ostatnio, dobrze?

- Nie mogę się już doczekać.

Przejrzała dokumenty. Tu zaprzepaszczone możliwości i stracone kontrakty, tam nieodpowiedni ludzie, którym dano zbyt wiele czasu.

Comiesięczny wyciąg z ogłoszeń prasowych - bardzo niestaranny i pobieżny. Nawet biuro wyglądało nie tak elegancko jak dawniej. Były to drobne rzeczy, niby nic, ale...

Niedokładnie opróżnione kosze na śmieci, ślady po kubkach od herbaty na blatach biurek, stare kalendarze na ścianach, cieniotka warstewka kurzu na powierzchni wody do podlewania kwiatów. Lena będzie musiała podejść do tego bardzo dyplomatycznie, stworzyć pozory, że załatwienie tych spraw jest zasługą personelu, nie jej.

Poza tym będzie musiała zadbać nie tylko o wygląd biura, ale i o swój

własny. Po pracy poszła do salonu piękności. Grace West nie zadała jej ani jednego pytania, mimo to Lena czuła, że powinna się przed nią wytłumaczyć.

- Ożenił się z młodą dziewczyną, która jest w ciąży. Jej bracia to przyjaciele mojej córki. Oto co zrobił Louis.
- Ożenił się? Szybko załatwiliście rozwód.
- Nie było takiej potrzeby. Żyliśmy na kocią łapę.

670

- Cieszę się, że masz córkę - odrzekła prostodusznie Grace.

James Williams czekał przy stoliku.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.
- I świetnie się czuję.
- Bardzo się o ciebie martwiłem, próbowałem się z tobą skontaktować.
- Tak, wiem.
- Dlaczego nie oddzwoniłaś?
- Chorowałam, ale już wyzdrowiałam. No i tak... - twarz miała jasną i wesołą.
- Kieliszek wina? - zaproponował.
- Chętnie.
- Wylałem Louisa. Wiedziałaś?
- Nie, nie wiedziałam. Myślałam, że odszedł dopiero w zeszłym tygodniu.
- Nie. Po tym, co ci zrobił, nie mogłem na niego patrzeć.

Lena była zupełnie spokojna i opanowana.

- Nie wiem, co odpowiedzieć. Chyba powinnam ci podziękować, bo zrobiłeś to dla mnie, ale nie dlatego zaprosiłam cię na lunch. Chciałam ci powiedzieć, że Louis odszedł z mego życia. Nie chcę go wspominać, nie

chcę o nim myśleć ani o nim rozmawiać.

- To dobrze - pochwalił ją James.

- Byłam tam cztery dni temu. Widziałam, jak bierze ślub z inną. Było, minęło, wszystko skończone.

- Długo to nie potrwa, dobrze o tym wiesz. Ją też zaczniesz oszukiwać.

- Chcesz dobrze, James, wiem. Ale to dla mnie żadne pocieszenie. Sama muszę do tego dojść, sama zyskać pewność, że się od niego uwolniłam.

Nikt mi w tym nie

pomoże.

- Myślę, iż masz całkowitą rację - odparł Williams. - W rozmowach z tobą nigdy nie wspomnę jego imienia, ale...

- Tak?

- Ale mam nadzieję, że będziemy mogli rozmawiać

671

o innych rzeczach, że będę mógł zaprosić cię do teatru, na wystawę czy gdziekolwiek.

Popatrzyła na niego w zadumie.

- Od czasu do czasu chętnie dam się zaprosić, ale tylko jako przyjaciółka, James. Niczego od ciebie nie oczekuję i wiem, że trzeba to sobie jasno powiedzieć, żeby uniknąć ewentualnych nieporozumień...

- W rzeczy samej - wymamrotał.

- Mówię szczerze, James. Mam za sobą dwa małżeństwa, jak je nazywam, dwa długotrwałe związki. I za nic w świecie nie chcę pakować się w trzeci.

- Doskonale cię rozumiem.

- Nawet w powierzchowny. Tak więc, jeśli chcesz być moim przyjacielem,

jeśli czasem zechcesz zaprosić mnie na lunch...

- Albo na kolację?
- Albo do teatru - wczuła się w atmosferę rozmowy.
- Zawsze można żyć nadzieją, prawda? - spytał.
- Można, ale człowiek tak inteligentny jak ty powinien wiedzieć, że żywienie nierealistycznych nadziei nie jest najmądrzejszym pomysłem na życie - odrzekła ze stanowczą nutką w głosie. Jakby doskonale o tym wiedziała.

Wzniósł kieliszek.

- Za naszą przyjaźń - powiedział.

Ivy obserwowała ją niczym jastrząb.

Lena często do niej wpadała. Powiększyli mieszkanie, burząc ścianę, dzięki czemu Ernest siedział przed telewizorem nieco dalej, za dużym parawanem.

Lena wypatrzyła ten parawan w komisie, przynajmniej tak twierdziła.

Tymczasem był to prawdziwy antyk. I znakomicie pasował do ich pokoju. Nie wspominając już o tym, że mogły teraz spokojnie rozmawiać, bo nikt im nie przeszkadzał.

Czasami wypijała u niej kawę, czasami dawała się namówić na kanapkę.

Ivy uważała, że Lena wygląda coraz lepiej. Skórę znowu miała jędrną i młodą, trochę przytyła i nie była już tak bardzo spięta i wymizerowana.

Kit wciąż pisała na stary adres, choć równie dobrze

672

mogła pisać bezpośrednio do matki. Chyba wyczuwała, że Ivy lubi pełnić rolę listonoszki.

Lena czytywała jej krótkie fragmenty.

Pojechaliśmy odwiedzić siostrę Madeleine. Jest taka sama jak dawniej. Pracuje w kuchni i na podwórzu. Opiekuje się kalekim gołębiem, któremu dorobiła protezę nóżki. Ma też zajaca, biednego, starego szaraka, który przesypia w skrzynce cały dzień i je płatki kukurydziane. Wygląda na to, że uciekając, uderzył się w łebek i teraz nie wie, gdzie jest.

Siostra Madeleine bardzo ucieszyła się na mój widok. Oczywiście, pytała o Ciebie, ale nie w obecności Steviego i nie używała Twojego imienia. Chciała wiedzieć, czy w Londynie wszystko w porządku. Potwierdziłam to. Zachowuje się tak, jakby mieszkała tam całe życie. Kiedy opowiadałam jej o Tommym, o ludziach z Lough Glass, których lubiła, odwracała wzrok i patrzyła w pustkę, jakbym mówiła o ludziach z jej snów.

Ciekawe, czy była mężatką. Pamiętasz, pisałam Ci kiedyś, iż wiele lat temu powiedziała Clio i mnie, że była. Cały czas trzymałyśmy to w tajemnicy, a wczoraj spytałam Clio, co o tym myśli. Twierdzi, że już dawno o tym zapomniała. Ani trochę jej nie wierzę. To była największa tajemnica naszej młodości. Z drugiej strony Clio ma dzisiaj własne sekrety i tajemnice. Tym razem jest niemal stuprocentowo pewna, że zaszła w ciążę. I boi się powiedzieć o tym Michaelowi.

- Czy to nie cudowne, że może ci o tym napisać? - zachwycała się Ivy. Lena była tego samego zdania. Żadna matka nie miała równie dobrego kontaktu z córką. Mimo to czuła, że jest coś - nie wiedziała dokładnie, co - o czym Kit jej nie mówi, na pewno coś o Steviem Sullivanie. Ale nie, nie zamierzała się tym martwić. Pewnego dnia Kit sama jej powie... o ile to coś naprawdę ważnego.

- Zdaję się na twoją łaskę i niełaskę - powiedziała Clio.

- Nie radzę, tylko tego pożałujesz. - Siedziały w mieszkaniu Kit. Clio

przyszła niespodziewanie.

673

- Rozpaczliwie potrzebuję pomocy.
- Aha, to znaczy, że jesteś pewna. Robiłaś test?
- Tak, wysłałam próbkę moczu na Holles Street. Pod fałszywym nazwiskiem oczywiście.
- I jeszcze nie powiedziałaś Michaelowi?
- Nie mogę, Kit. Jego ojciec i matka tego nie zniosą. Dwa szybkie śluby w ciągu kilku miesięcy.
- Ale za twój ślub nie będą musieli płacić. Twoi rodzice zapłacą.
- Chryste, przecież wiem. Jak myślisz, dlaczego mam takiego pietra? Im też muszę powiedzieć.
- Zrób to jak najszybciej. Będziesz miała problem z głowy. Dzisiaj powiedz Michaelowi, a jutro pojedę z tobą do Lough Glass i pomogę ci w przeprawie z rodzicami. Wystarczy? - spojrzała na Clio, spodziewając się, że przyjaciółka jej podziękuje. Ostatecznie miała gest, wyszła jej naprzeciw, bo Clio cały czas traktowała Steviego lekceważąco, ba!, nawet wrogo. Kit odpłacała jej dobrem za zło i czuła się jak święta.
- Nie, nie o to chciałam cię prosić.
- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?
- Chcę załatwić sobie skrobankę.
- Żartujesz.
- To jedyne wyjście.
- Chyba oszalałaś. Nie chcesz wyjść za niego za mąż? Czy nie to powtarzałaś w kółko od rana do wieczora? Teraz musisz. On też.
- On może nie zechcieć.

- Oczywiście, że zechce. Tak czy inaczej o tamtym zapomnij.
- Robi to wiele kobiet. Gdybyśmy tylko wiedziały, dokąd pójść...

Chciałam, żebyś się popytała.

- O to wypytywać nie zamierzam. Weź się w garść, Clio. Stoisz przed życiową szansą.

Clio zaczęła szlochać.

- Nic nie rozumiesz. Nie wiesz, jakie to będzie okropne. Nie wiesz, jak to jest.

Kit położyła jej rękę na ramieniu.

- Pamiętasz, kiedy byliśmy młode, zawsze wyszukiwałyśmy i liczyłyśmy dobre strony trudnych sytuacji.

674

- Naprawdę?
- Tak, tak było. Zatem spójrzmy na plusy. Michael pochodzi z szanowanej rodziny, więc twoja mama i ojciec nie wpadną w szal. Gdybyś zaszła w ciążę z kimś takim jak Stevie Sullivan, na pewno by wpadli.
- Fakt - odrzekła Clio, pociągając nosem.
- Kochasz go i twierdzisz, że on kocha ciebie.
- Chyba mnie kocha, tak.
- Jego rodzina jakoś z tym sobie poradzi. Jeden szybki ślub już zaliczyli i dobrze wiedzą, że świat się przez to nie zawali.
- Tak, tak.
- Możesz poprosić Maureę, żeby ci pomogła, żeby się za tobą wstawiła. Maura umie zażegnawać kłótnie. Widziałam ją w akcji, jest znakomita.
- Myślisz, że mi pomoże? Mam wrażenie, że przestała mnie lubić.
- Sama ją o to poproszę.

- Ale co będzie, jeśli... jeśli...
- Maura mogłaby odstąpić wam swoje mieszkanie. Jest naprawdę wspaniałe. Chce je sprzedać. Michael mógłby je od niej odkupić. Jest tam ogródek, dziecko miałoby się gdzie bawić...
- Dziecko! - zawyła Clio.
- Tak, to, które nosisz w brzuchu - wyjaśniła Kit.
- Będziesz moją druhną? - spytała Clio. - Naturalnie, o ile wszystko wypali.
- Tak, tak, oczywiście. Dziękuję ci, Clio - koła przyjaciółkę Kit.
- Przyjęcie nie musi być wystawne. Tylko my, nasza paczka. Moglibyśmy zorganizować je w „Centralnym”. Przyjechałaby rodzina Michaela, Mary Paula, Louis i...

Kit zdrętwiała z przerażenia. Louis Gray nie mógł przyjechać do Lough Glass. Musiała coś wymyślić, i to szybko.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby brać ślub i organizować przyjęcie w domu. Wszystkich nie zaprosicie i połowa miasta będzie obrażona.
- Ale jeśli ślub będzie skromny i cichy...

675

- Obrażą się, tak czy inaczej. Ślub córki doktora, a nas nie zaprosili. Dobrze wiesz, jacy oni są.
- W takim razie...
- Pamiętasz, gdzie Maura brała ślub? To piękny kościółek i Maura byłaby zachwycona, gdybyś poprosiła ją o pomoc przy załatwianiu formalności.
- Kit, jesteś tak przebiegła, że powinnaś zostać międzynarodowym szpiegiem - orzekła z podziwem Clio.

Bezpośrednim następstwem balu sylwestrowego było to, że hotel „Centralny” w Lough Glass zyskał cztery nowe zamówienia.

Philip wpadł w panikę.

- Chryste, przecież nie ustawimy wszędzie bożonarodzeniowych świec.

- Nie. Twoi rodzice będą musieli przełknąć tę gorzką pigułkę i przeprowadzić remont wnętrza. Ścian zasłaniać się wiecznie nie da.

Przypuśćmy, że kiedyś wydacie lunch, że promienie słońca padną na...

Wszyscy zobaczyliby, jak to naprawdę wygląda.

- Pomożesz mi z nimi pogadać? - błagał.

- Dlaczego akurat ja? - czuła, że angażuje się za mocno w zbyt wiele spraw.

- Ponieważ jesteś opanowana i metodyczna, w przeciwieństwie do nas wszystkich.

- No dobra.

Do kapitalnego remontu przystąpiono niemal natychmiast.

Nawet gdyby doktor Kelly i jego żona chcieli zorganizować ślubne przyjęcie w „Centralnym”, i tak nic by z tego nie wyszło. Z nader stresującej opresji wybawiła ich Maura.

- Jest dla Clio taka dobra - powtarzała w kółko Lilian. - Zawsze myślałam, że ostatnio były między nimi jakieś tarcia.

- Co dowodzi, jak bardzo się myliliśmy - odparł Peter Kelly. Dziwił się, że wiadomość o ciąży córki tak bardzo go obeszła. I że tak lekko potraktowali to Michael O'Connor, odpowiedzialny za ciężę młodzieniec, i sama Clio.

Było tak pewnie dlatego, że Maura sprzedawała dzieciom

swoje mieszkanie i że wszystko zaczynało mieć ręce i nogi. Nikt nie wspominał o zakazanym seksie, który do tego doprowadził. Doktor Kelly urodził się w czasach, kiedy chłopak i dziewczyna zaznawali seksu dopiero po ślubie. Jak to się stało, że w jego własnej rodzinie zaszła tak wielka zmiana, a on w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy?

- Jestem przekonana, że wiedziałeś, tatusiu. Wiedziałeś, że jestem w ciąży, prawda? - spytała Clio.

- Nie, nie. Zapewniam cię, że był to dla mnie wielki szok.

- Przecież lekarze takie rzeczy zauważają - upierała się Clio.

- Tak, ale ten lekarz tego nie spostrzegł.

Nie wiadomo, z jakiego powodu nawiedziło go pewne wspomnienie, wspomnienie nocy sprzed wielu, wielu lat, kiedy zobaczył Helen McMahon i uświadomił sobie, że kobieta jest w ciąży. A potem rzuciła się w wody jeziora. Pomyślał, że przynajmniej pod tym względem świat zmienił się na lepsze, i poklepał córkę po ramieniu.

* * *

- Powiem ci, w co się ubierzesz jako moja drużna - powiedziała Clio. - Dziś wieczorem omówię to z Mary Paulą i ustalimy, co kto na siebie nałoży.

- Nie, to nie tak. To ja ci powiem, w co się ubiorę jako twoja drużna - odrzekła Kit.

- No dobra, w co?

- W sukienkę z kremowego lnu, w kremowy żakiet i zależnie od życzenia panny młodej nałożę albo kapelusz z szerokim rondem, albo przystroję

włosy kwiatami i wstążeczkami. Sukienka jest do pół łydki. Nie nałożę sukni wieczorowej, żeby paradować w niej w lodowato zimnym kościele, i nie zamierzam wbijać się we frymuśne kiecki, żeby tylko dopasować się do schematu kolorystycznego wypracowanego przez ciebie i Mary Paulę.

- No nie, nie wierzę - zachnęła się Clio.

- Lepiej uwierz, bo tak będzie, albo wybierz sobie inną druhnę.

677

- Nie miałabym z tym żadnych trudności.

- To twój przywilej, Clio. I proszę, dobrze mnie zrozum: nie miałabym nic przeciwko temu, naprawdę. - Z wielu względów byłoby cudownie, gdyby się pokłóciły. Nie musiałyby wtedy iść na rodzinne przyjęcie, by spotykać tam Louisa Graya. Louisa Leny, jej matki. Z drugiej strony poważna awantura zepsułaby dzień zbyt wielu ludziom.

Kit westchnęła.

- Nie wiem, dlaczego tak wzdychasz - mruknęła Clio. - To ja muszę to wszystko znosić. Na miłość boską, przecież jestem panną młodą, ludzie powinni być dla mnie mili.

- Jestem dla ciebie miła - syknęła Kit. - Mówiłam ci, że ten błazen się z tobą ożeni, dałam ci cynk o Maurze jako ewentualnej pośredniczce, powiedziałam ci o jej mieszkaniu, o hotelu w Dublinie. Do ciężkiej cholery, czy można być dla kogoś miłszym? Chryste...

Gwałtowne wybuchy wściekłości Kit zawsze je rozśmieszały.

- Dobra, twoje na wierzchu - uległa Clio. - Powiem Mary Pauli, że mam szajbniętą druhnę. Jeszcze jeden krzyż do dźwigania.

Czy przyjedziecie ze Steviem do Londynu na specjalną wystawę motorowo-samochodową, którą tu organizują? Na pewno bardzo by mu się

spodobała, a my dzięki temu mogłybyśmy nadrobić zaległości w pogaduszkach. Daj mi znać, czy to dobry pomysł, w każdym razie załączam pieniądze na bilet. Za Steviego nie płacę, żeby nie urazić jego dumy. Miałby doskonałą okazję do obejrzenia nowych modeli samochodów i zawarcia ciekawych znajomości.

Daj znać, co o tym myślisz.

Kit natychmiast do niej zadzwoniła.

- Otworzyłam list pięć minut temu. Przyjedziemy z radością! Co powiesz na taki wybuch entuzjazmu?

- A Stevie? Też się ucieszył? - wiedząc już, że przyjęli zaproszenie, Lena mówiła głosem lekkim i szczęśliwym.

- Stevie jeszcze nic o tym nie wie, ale na pewno zadrży z radości, kiedy mu powiem.

678

- Mówisz tak, jakbyś była go pewna, i to bardzo.

- Jestem pewna, że pomysł mu się spodoba.

- Skąd dzwonicz? Chciałabym wyobrazić sobie, gdzie jesteś.

- W budce telefonicznej przed domem.

- Tak, pamiętam, już cię widzę.

- Ten szeroki uśmiech na mojej twarzy też?

- Mogę go sobie wyobrazić. Tak, uśmiech też widzę.

Philip szedł skrajem chodnika.

- Jesteś bardzo wesoła - rzucił oskarżycielsko. Dokładnie to samo powiedziałaaby jego matka.

Kit zastanawiała się, czy ona też używa wyrażen swojej matki. Może

wszyscy to robią. Na przykład Clio - Clio często wygadywała snobistyczne bzdury, tak samo jak pani Kelly, a Frankie Barry była uosobieniem obojętności i tumiwisizmu jak jej matka.

Może naprawdę pisane mi życie Leny - pomyślała zaszokowana Kit. Popatrzyła na Philipa, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

- Spokojnie, nie chciałem powiedzieć nic złego. To dobrze, że jesteś wesoła.

- Co?

- Jeszcze się nie obudziłaś? Jakbyś chodziła we śnie - mruknął Philip.

Wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę college'u. Rozmawiali o rzeczach, o których nie myśleli. Philip zastanawiał się, czy Stevie Sullivan i Kit poszli już na całość. Kit zastanawiała się, co by powiedział Philip i reszta O'Brienów, gdyby oznajmiła im, że cieszy się, ponieważ jej dawno zmarła matka zaprosiła ją przed chwilą do Londynu.

Zarezerwowałam wam pokoje w pobliskim pensjonacie. Dwie jedyne. Jesteście moimi gośćmi i możecie sami zdecydować, kto gdzie będzie spał. Nie ma potrzeby o niczym decydować. Mówiłam Ci, że gdyby było inaczej, natychmiast bym Cię o tym zawiadomiła.

679

- Przyjeżdżają do mnie przyjaciele - powiedziała Lena Millarom podczas sobotniego lunchu. - Postanowiłam odłożyć realizację naszego planu na dwa tygodnie.

Plan przewidywał otwarcie filii agencji Millara w Manchesterze. Znaleźli idealną kandydatkę na kierowniczkę - Peggy Forbes, która już się u nich szkoliła. Musieli tylko załatwić reprezentacyjny lokal, dobrać odpowiedni

personel i przeprowadzić głośną kampanię reklamową. Z północnej Anglii napływało tyle podań, że założenie filii miało sens. Peggy pochodziła z Lancashire. Gdyby wszystko wypaliło, a byli pewni, że wypali, wkrótce dopuściliby ją do spółki.

- Nie mogę znieść myśli, że ty latałaś samolotem, a ja nie - powiedział Stevie podczas odprawy celnej na dublińskim lotnisku.

- Och, za to ty robiłaś mnóstwo innych rzeczy, których ja jeszcze nie robiłam. I szczerze mówiąc, było tego o wiele za dużo.

Objął ją i przytulił.

- Żadna z nich się nie liczy.

- Wiem - odrzekła wyniośle.

Jej dziewictwo i jego rozpustna przeszłość bynajmniej ich nie dzieliły. Kit wiedziała, że prędzej czy później wszystko się samo ułoży. Stevie miał nadzieję, iż stanie się to już w Londynie, z czego też zdawała sobie sprawę.

- Powiesz jej, że znam prawdę? - spytał.

- Tak. Chociaż myślę, iż ona wszystkiego się domyśliła. W listach łatwo czytać między wierszami. To niesamowite.

- Nie będę próbował jej schlebiać, imponować ani udawać, że się dla ciebie nadaję - powiedział poważnie.

- Nie, natychmiast by cię przejrzała - odrzekła Kit, gdy przechodzili przez sklep wolnocłowy.

- Co by tu jej kupić... - Stevie przystanął i otaksował spojrzeniem półki z alkoholem i papierosami. Zatrzymał wzrok na szampanie. - Wszystko jedno, czy będzie jej smakował, czy nie. To trunek na specjalne okazje. A mamy co oblewać.

Z tego, co mówiła jej Lena, dokładnie to samo powiedziałyby i zrobił Louis Gray.

680

Już na nich czekała. Stevie nie mógł wyjść z podziwu. Matka Kit znakomicie wyglądała. Dwa miesiące wcześniej była wychudzona i wymizerowana, a teraz jej twarz tryskała zdrowiem i entuzjazmem.

- Jest tu ze mną przyjaciel, który koniecznie chciał podwieźć mnie na lotnisko - powiedziała. - Musicie się z nim przywitać.

- Wiem, że będziecie pochłonięci samochodami, ale jeśli znajdziecie chwilę czasu, z radością pokażę wam swój leśny zakątek - rzekł James Williams. - To niedaleko stąd, będę szczęśliwy mogąc gościć was wszystkich w Surrey.

Lena zmarszczyła czoło.

- Może innym razem, James - powiedziała. - Nie będą mieli aż tyle czasu. Williams nie dał się zbić z tropu.

- Oczywiście, jednak podtrzymuję swoją propozycję. Bardzo bym chciał pokazać wam nasze krajobrazy. Falujące zielone pola i rozległe parki są również w Anglii.

- I są pewnie znacznie ładniejsze - odrzekł Stevie - bo nie szpecą ich zepsute maszyny rolnicze i wałące się chaty.

Po lunchu na Earl's Court James Williams pożegnał się z nimi. Wieczorem wracał do domu.

- Jedzie non stop? - spytał Stevie.

- Tak, to mniej więcej tak jak z Lough Glass do Dublina - odrzekła Lena.

- To jeszcze nie tak źle. Często pokonuję tę odległość cztery razy tygodniowo, tam i z powrotem. - Spojrzał z czułością na Kit.

- Wszyscy wiedzą, że święty z ciebie człowiek - odrzekła Kit.

Stevie wziął bagaże i zostawił matkę z córką, aby mogły spokojnie porozmawiać.

- Zaniosę walizki do pokoi i zaraz wracam.

Gdy odszedł, Kit i Lena wzięły się za ręce. Zachwycona Kit spojrzała w oczy matce. Tak, wszystko będzie dobrze.

- Lena, on wie - szepnęła. - Nic mu nie powiedziałam, po prostu się domyślił.

- To bystry chłopak i bardzo cię kocha. Oczywiście, że wie. Powinniśmy były to przewidzieć.

681

- Ale to nie ma żadnego znaczenia, nic się przez to nie zmieni.

- Wiem.

- Naprawdę. Bo kto zna nasz sekret? Ivy, Stevie i w pewnym sensie siostra Madeleine. Ktoś jeszcze? - Kit spojrzała na matkę.

- Nie, James nic nie wie.

- Myślisz, że któreś z nich mogłoby zrobić coś, co by nam zaszkodziło?

- Nie, naturalnie, że nie. Cieszę się, że Stevie wie. Cieszę się ze względu na ciebie, bo utrzymywanie tego w tajemnicy musiało cię dużo kosztować.

- Lena pogрузzyła się w zadumie.

Kit uświadomiła sobie, że matka dochowywała tajemnicy wiele, wiele lat.

Najpierw listy, później spotkanie. Nie mogła podzielić się sekretem z kimś, kogo kochała - musiało jej być bardzo ciężko.

Kiedy wrócił Stevie, wstała i pocałowała go.

- To wspaniale, że jesteś w Londynie. A teraz zaprowadź nas do naszych kwater, dobrze?

To był czarodziejski weekend. Pojechali na Trafalgar Square, gdzie sfotografowali się w otoczeniu stada gołębi.

- Siostra Madeleine oszalałaby z rozpaczy - stwierdziła Kit.

- Doszłaby do wniosku, że szkodzi im hałas i spaliny, po czym wynajęłaby ciężarówkę, żeby je stąd wywieźć.

Poszli do National Gallery i trzymając się za ręce oglądali obrazy.

- Będę musiał zapoznawać się z twórczością co najmniej jednego artysty miesięcznie i czytać w tym czasie co najmniej jedną książkę - powiedział Stevie. - Nie chcę, żebyś wyszła za mąż za kompletnego ignoranta. - Po raz pierwszy wspomniał o małżeństwie. Kit przeszła go spojrzeniem. - Naturalnie nie teraz, za jakiś czas... - dodał ze smutnym uśmiechem.

Stevie dużo czasu spędzał na wystawie samochodowej. Pewnego dnia zabrał ze sobą Ernesta, innym razem wybrał się tam z Jamesem. Zarówno Ernest, jak i James stwierdzili, że jest prawdziwym ekspertem. Silniki i podwozia nie miały dla niego tajemnic.

682

Lena zaprowadziła córkę do agencji. Biuro było znacznie większe i wytworniejsze, niż Kit przypuszczała. I nie ulegało wątpliwości, że króluje w nim Lena.

- To moja przyjaciółka z Irlandii - przedstawiła ją matka.

Pracownicy byli zaintrygowani. Pani Gray prawie nigdy nie przyprowadzała do biura prywatnych gości. Jej przystojny mąż od dawna nie dzwonił i przestał po nią wpadać. Lecz nikt nie zapytał o nic wprost.

- A to jest moja mała pakamera - rzuciła ze śmiechem Lena, zamykając za sobą drzwi.

Zdumiona Kit rozejrzała się wokoło. Wielkie rzeźbione biurko, zdjęcia i certyfikaty na ścianach, oprawione w ramki dyplomy i wycinki prasowe, świeże kwiaty w błękitno-złotym wazonie.

Zabrakło jej słów.

- O czym myślisz? - spytała cicho Lena.

- To dziwne - odrzekła Kit, z trudem chwytając oddech - ale myślałam o tym, że mieszkańcy Lough Glass nie wiedzą i nigdy się nie dowiedzą, jak wspaniale powiodło ci się w życiu. To wielka szkoda.

- Natomiast ja czasami żałuję tego, że nikt z moich pracowników nie zdaje sobie sprawy, iż powiodło mi się w życiu pod innym względem.

Nigdy się nie dowiedzą, że jesteś moją córką.

Rozmawiały poważnie. Nastroj uległ zmianie.

- Louisowi też nie pozwalałaś wtrącać się do swojej pracy?

- Tak. Myślę, iż była to swego rodzaju obrona. Musiałam mieć coś, co mogłam w pełni kontrolować. Ale nie zawsze mi się udawało. Okazało się, że jedna z najlepszych pracownic, jaką kiedykolwiek tu mieliśmy, figurowała na długiej liście jego przyjaciółek. Dawn. Dawn Jones. Nadal mi jej brak.

- Co się z nią stało?

- Wyrzuciłam ją. Nie mogłam siedzieć tu i dzień po dniu patrzeć na widmo z przeszłości Louisa.

- Widma z przeszłości Steviego zaludniają połowę naszej parafii - odrzekła ponuro Kit. - Muszę się z tym pogodzić.

683

- To zupełnie co innego, córeczko. Przeszłość to przeszłość, ale kiedy

przeszłość staje się teraźniejszością i wypełnia ją swoimi widmami, sytuacja jest niedobra.

- Tak, to prawda. Bardzo pragnęłabym tego uniknąć. - Lena zauważyła, że Kit zagryza wargę.

- Mój błąd polegał na tym, że patrzyłam na to inaczej, że odwracałam wzrok. Myślę, iż miałam rację przymykając oko i wybacząc mu przeszłość, ale powinnam była dać mu do zrozumienia, że wiem, co wyczynia, będąc ze mną. Tak, to duży błąd. Pozwalałam mu na wszystko tylko dlatego, że chciałam go przy sobie zatrzymać, że chciałam zatrzymać przy sobie choćby część jego duszy i ciała.

Kit błędziła myślami gdzie indziej. Przypomniała jej się Clio, jej słowa, że Stevie wciąż ugania się za dziewczętami. Że jeśli Kit nie pójdzie z nim do łóżka, Steviemu na pewno nie zabraknie chętnych kandydatek. Była to myśl nader niepokojąca.

* * *

Podróżnych odprawiano na Cromwell Road, więc mieli niedaleko.

Odprawiała ich Lena.

- James chętnie by nas odwiózł, ale...

- Nie chcesz być zobligowana - dokończyła za nią Kit.

- Otóż to. Znakomite określenie.

- Nie rozstaję się ze słownikiem, inaczej nie mogę się z nią dogadać - wtrącił Stevie.

- Nieprawda, nie nabierzesz mnie, Stevie.

- Nie to, żebym chciał namówić panią do kupna samochodu, ale właściwie dlaczego jeszcze się pani nie zmotoryzowała? Kit mówiła, że ma pani jakiś wóz.

- Owszem, miałam. Dałam go Louisowi. Właściwie to kupiłam ten samochód dla niego, więc pozwoliłam mu go zabrać. Tak, to chyba uczciwsze przedstawienie sprawy. - Odpowiedziała Steviemu tak lekko i niewymuszenie, że Kit ogarnęła ciepła fala poczucia intymności.
- Powinna pani czymś jeździć, Leno, najlepiej czymś małym, co da się łatwo zaparkować. Pomyślę o tym i kiedy pani do nas wróci, natychmiast dam pani znać.

684

- Nie tak łatwo jest wrócić do Lough Glass.
- Miałem na myśli Dublin.
- Sama nie wiem... To zabawne, ale kiedy wsiałam do samolotu po odwiezieniu mnie przez was na lotnisko i kiedy przelatywaliśmy nad miastem, ogarnęło mnie głupie uczucie, że widzę Dublin ostatni raz w życiu.
- Trochę to ponure - zauważył Stevie.
- Nie, nie, nie o to chodzi. Wiedziałam, że was zobaczę, że nadal będziemy się widywać. Nie, nie miało to nic wspólnego ze śmiercią czy z katastrofą. Po prostu czułam, że pewien okres mojego życia dobiegł końca, że... że następnym razem przyjedziecie choćby do Manchesteru, aby zobaczyć, jak tam sobie radzimy.
- Ale twoim domem jest Irlandia - wyszeptała Kit drżącymi wargami.
- Nie, dom to ludzie, nie miejsce. Wierz mi, to prawda. A ja zawsze będę miała ciebie.
- Nie chcesz wrócić do Dublina, bo mieszka tam Louis?
- On tam nie mieszka, w każdym razie nie dla mnie. Przysięgam, równie dobrze mógłby mieszkać na Marsie. Nie, po prostu myślałam, że będziecie

mnie częściej odwiedzać.

- Ale na nasz ślub pani przyjedzie, prawda? - spytał Stevie. - Za kilka lat...

- Proszę, proszę. O tym nie wiedziałam - odparła Lena.

- Ja też nie - dodała Kit.

- Czy to możliwe? Oświadczyły w poczekalni sali odpraw londyńskiego lotniska?

Lena potraktowała rzecz z przymrużeniem oka, więc Kit postanowiła pójść w jej ślady.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Leno. Zanim się pobierzemy, będziesz tak stara, że nie ruszysz się nigdzie bez wózka. Oto jak szybko działamy.

Wywołano ich lot.

Stevie ucałował Lenę w oba policzki.

- Nie wiem, jak ci dziękować za mile spędzony czas i za to, że przedstawiłaś nas swoim miłym przyjaciołom - szepnęła Kit ze łzami w oczach, obejmując matkę.

Tłum pasażerów ruszył w stronę wyjścia, gdzie czekały autobusy. Kit i Stevie musieli iść.

685

Nagle Stevie zawrócił. Objął Lenę i powiedział:

- Będę się o nią troszczył, niech mi pani wierzy, będę dla niej dobry.

Gdyby było inaczej, nigdy bym pani tego nie mówił.

Lena była tak zaskoczona, że zabrakło jej tchu. Kiedy wsiedli do autobusu,

Kit zapytała:

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo chciałem. - Po chwili dodał: - Miałem śmieszne uczucie, że już nigdy jej nie zobaczę.

- Wielkie dzięki! - prychnęła rozwścieczona Kit. - Wspaniale, cudownie! Chryste Panie! I niby co to ma znaczyć? Które z was miałabym stracić: ja czy ciebie? Matkę czy mężczyznę, którego zamierzam poślubić?

- Mam cię - powiedział uszczęśliwiony Stevie. - Obiecałaś wyjść za mnie za męża. Słyszał pan? - zwrócił się do amerykańskiego turysty. - Mary Katherine McMahon zgodziła się wyjść za mnie za męża.

- Pomyśl pan o alimentach - odparł podróżny z miną człowieka, który musiał myśleć o nich nader często.

Zanosiło się na to, że ślub Clio będzie przedsięwzięciem znacznie trudniejszym, niż Kit przypuszczała. Wszystkie szczegóły musiały być skonsultowane z druhną.

- Jeśli nalegasz, to go zaproszę - mówiła Clio - ale to znaczy, że Michael będzie musiał zaprosić dodatkowego gościa ze swojej strony i planowane minimum szlag trafi. Pęknie tama i zaleje nas prawdziwa powódź.

- Stevie jest i tak zajęty - odrzekła Kit. Stevie nie był zajęty, a ją krew zalewała, że nie został zaproszony. I gdyby tylko ta głupia Clio poszła po rozum do głowy, okazałoby się, że byłby gościem bardzo pomocnym.

Ale dwa dni później do Dublina zjechała ciotka Michaela z Belfastu. Miała zostać na ślubie, więc Stevie mógł przyjść.

Clio narzekała na hotel. Nie był wystarczająco elegancki.

- Chciałaś, żeby był mały - mówiła Kit.

- Nie, to ty chciałaś, żeby był mały.

- Michael cieszy się z dziecka?

- Proszę cię, nie mówmy o dziecku - uciszała ją Clio.

- Posłuchaj, nie zamierzam wygłaszać na ten temat

uroczystego przemówienia przy weselnym stole, pytałam tylko, czy twój przyszły mąż cieszy się z ojcostwa, to wszystko.

- On nie jest taki jak Louis, jeśli o to ci chodzi. Louisowi ręka przyrosła do brzucha Mary Pauli. Jest nudny jak flaki z olejem, w kółko powtarza, że dziecko kopie, podryguje, i tak na okrągło.

- Twoje jest mniejsze, młodsze, jeszcze tego nie robi.

- Och, zamknij się, Kit. Teraz chodzi o nasz miesiąc miodowy. Są problemy, bo stary O'Connor uważa, że Michael powinien pójść na intensywny kurs księgowości, żeby mógł pracować w którymś z jego hoteli.

- Sensowne rozwiązanie. Michael nie chodził do college'u hotelarskiego, a będzie potrzebował pracy.

- A chcieliśmy pojechać na południe Francji... -jęknęła Clio z miną czteroletniej dziewczynki, której odebrano ulubioną zabawkę.

- Nałożysz tę etolę, w której tak bardzo ci do twarzy? - spytał Martin. - To strój w sam raz na ślub Clio.

- Nie, kochanie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, nałożę coś innego.

- Wyglądałaś w niej bardzo elegancko, naprawdę.

- Przechowam ją i nałożę na ślub Kit.

- Tylko mi nie mów, że się na to zanosi - zaniepokoił się Martin.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła ze śmiechem Maura. - Ale kiedyś Kit na pewno wyjdzie za mąż i przy odrobinie szczęścia oboje tego dnia dożyjemy.

- Jest oczarowana Steviem - mruknął zmartwiony Martin.

- Tak, wiem. Początkowo bardzo mnie to niepokoiło, ale Stevie się nawrócił. Żadne panienki do niego nie wydzwaniają. Owszem, często wychodzi z biura, ale zawsze tylko do Kit.

- Tak, przypuszczam, że istnieją na świecie mężczyźni, których kobiety są w stanie nawrócić - rzucił z powątpiewaniem Martin.

- Ależ naturalnie, w historii aż się od nich roi - uspokajała

687

go Maura z nadzieją, że Martin nie spyta o szczegóły. Do głowy przychodziły jej nazwiska samych intrygantek i rozpustnic, takich jak Helena Trojańska, Kleopatra i Kittie O'Shea, która doprowadziła do upadku Charlesa Stewarta Parnella, jednego z czołowych polityków irlandzkich. Innych przypomnieć sobie nie była w stanie i doszła do wniosku, że kobiety nawracają mężczyzn tylko w amerykańskich westernach.

Dzień ślubu Clio Kelly był dniem dziwnie przygnębiającym.

Cały zapas teorii na temat różnorodnych aspektów ciąży, jaki

O'Connorowie zdołali zgromadzić, szybko uległ wyczerpaniu, tak samo jak wesołość, nawet ta udawana. Stary O'Connor chwycił Maurę za ramię, gdy tylko ją zobaczył.

- Kiepska sprawa - szepnął. - Bardzo kiepska sprawa.

Maura demonstracyjnie strząsnęła z ramienia jego dłoń.

- Może gdyby dał pan swoim synom lepszy przykład, nigdy by do tego nie doszło - odrzekła sztywno, zaciskając usta.

Lilian Kelly z pewnością nie oczekiwała, że ślub najstarszej córki będzie ślubem tak chmurnym. Wiele razy tę uroczystość planowała i zawsze wyobrażała sobie, że ślub odbędzie się w ich rodzinnym mieście, a

przyjęcie w Castle Hotel. Anonimowy dubliński kościółek i hotelik, ten sam hotelik, w którym urządziła przyjęcie biedna Maura, wydawały się bardzo podrzędne.

Clio miała na sobie białą suknię, natomiast Kit wyglądała w swojej niezwykle powściągliwie. Dziewczyna była niezaprzeczalnie piękna, a jej duży, miękki, biały kapelusz ozdobiony długimi wstążkami - bardzo elegancki.

Świadomość, że hańba Kit jest znacznie większa niż hańba Clio, była dla Lilian Kelly marnym pocieszeniem. Dobrze, wszyscy mogli podejrzewać, że ślub córki został ociupinkę przyspieszony, za to Clio wchodziła do rodziny O'Connorów, a to już coś. Tymczasem Kit włączyła się z tym bikiniarzem, chłopakiem o strasznej reputacji, synem biednej,

688

starej Kathleen i jej szalonego męża pijaka. To rzecz zupełnie nie do przyjęcia.

Zgodnie z przewidywaniami Kit, Stevie wspaniale dopełniał ślubne przyjęcie. Z ciotką Michaela rozmawiał o Belfaście. Opowiedział jej o swoich służbowych wizytach w tym mieście i obiecał, że przy najbliższej okazji wyszuka dla niej używanego morrisa minor w dobrym stanie.

O'Connorowi Lepkie Palce zadawał uczone pytania na temat hotelarstwa, a księdzu Baily'emu przyrzekł, iż rozejrzy się za samochodem na dobroczynną wentę. Z Maurą rozmawiał o wycieczce do Londynu.

Opowiadał o tym tak szczerze i bezpośrednio, że Maura wyzbyła się wszelkich wątpliwości co do tego, czy spali w osobnych pokojach, czy nie.

- Jak znalazłeś ten pensjonat? - spytała.

- Och, dzięki kumplom z branży - odrzekł Stevie. - Zawsze spotka się

kogoś, kto dobrze zna miasto.

Z Kevinem zamienił kilka słów o wspaniałym sylwestrze w Lough Glass. Martinowi McMahonowi zdradził zamiar rozbudowy warsztatu.

- Jeśli interes się rozkręci, zatruję życie wszystkim sąsiadom, czego chcę uniknąć. Dlatego wyprowadzę się za miasto, na otwartą przestrzeń - zapowiedział, uśmierzając troski Martina, z którymi ten od pewnego czasu się nosił.

Wreszcie podszedł do Mary Pauli i Louisa. Louis był tak serdeczny i wylewny, iż Stevie poczuł, jak w gardle narasta mu wielka gęła. To dla tego człowieka matka Kit porzuciła dom, to dla niego zgodziła się na swoją pozorną śmierć. Żyła z nim i z jego zdradami tak długo, że niemal postradała zmysły.

Louis opowiadał o swoim samochodzie, który sprowadził z Londynu.

Triumph herald miał już swoje lata, ale wyglądał znakomicie i nie przysparzał mu żadnych kłopotów. Nie, nie, oczywiście, że kupił nowkę.

Gęła w gardle Stewiego robiła się coraz większa, bo Gray zaczął opowiadać o swoim pierwszym spotkaniu z Mary Paulą. Jechał na seminarium, ona zobaczyła go w pięknym samochodzie i powiedziała:

„Piękny wóz”. „W takim razie sprawdźmy, czy dobrze ciągnie” - odrzekł i ani ona, ani on na seminarium nie dotarli.

689

- Tylko niech pan nie powtarza tego mojemu teściowi - szepnął. - Gotów pomyśleć, że nie można na mnie polegać.

Mary Paula zachichotała.

- A można? - spytał lodowatym głosem Stevie.

- Naturalnie. - Louis sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Ten chłopak tak

dziwnie na niego patrzył.

Stevie szybko od nich odszedł. Kit uważnie go obserwowała.

- Proszę cię - szepnęła mu do ucha. - Proszę cię, zrób to dla niej. Dla ojca i dla Maury. Nie możemy nic powiedzieć.

I posłała Louisowi spojrzenie pełne nienawiści. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, kim są? To jakiś kretyn, czy co? Przecież doskonale wiedział, że Lena była żoną Martina McMahona, aptekarza z Lough Glass. Wiedział, iż z tego samego miasta pochodzi Clio. Miał to gdzieś? Zapomniał o swoim życiu z Leną do tego stopnia, że obecność jej córki i byłego męża na uroczystości, w której uczestniczył wraz z brzemienną żoną, była mu zupełnie obojętna? Oczywiście wszyscy myśleli, że Helen McMahan nie żyje, że utopiła się w jeziorze, że pochowano ją na miejscowym cmentarzu, i Louis dobrze o tym wiedział. Mimo to rozmowa z tymi ludźmi musiała go sporo kosztować.

Lena nigdy nie zdradziła ojcu jego imienia. Tyle Kit wiedziała na pewno. Mama zawsze mówiła, że „kocha innego”. Nie wypowiadała imienia Louisa, ponieważ stawał się przez to postacią zbyt rzeczywistą. Tak, w tym nieszczęsnym liście je wymieniła. Lecz Martin go nie otrzymał. Nie było żadnych śpiewów, nie było przesiadywania w barze cichego, spokojnego hoteliku. Uroczystość zakończyła się znacznie wcześniej, niż oczekiwałyby tego większość rozentuzjasmowanych Irlandczyków, uczestniczących w tego rodzaju przyjęciach. Clio poszła się przebrać.

- Było cudownie - zełgała Kit, pomagając jej zdjąć ślubną suknię.

- Było diabolicznie.

- Bzdura. Zaczekaj, aż zobaczysz zdjęcia.

- Chciałaś powiedzieć: zaczekaj, aż zapomnę te ich spojrzenia.

Chryste, co za kłępa z tej starej O'Connor! Córeczka w ciąży, ale o tym szał, ani słowa. To ja jestem wszystkiemu winna, to ja sprowadziłam synalka na manowce. Miała to wypisane na twarzy.

- Przestań, było wspaniale - uspokajała ją Kit.
- Przynajmniej Stevie umiał się zachować.
- To dobrze - ucięła Kit.
- Chodził po sali, ze wszystkimi rozmawiał, jakby robił to codziennie.
- Pewnie ma praktykę, często rozmawia z kolegami z branży. - Kit panowała nad sobą z wielką godnością.
- Nie, mam na myśli ludzi takich jak ci tam. Rzucania ślubnej wiązanki nie było. Clio spędziła kilka

minut w holu, chwając się swoim podróżnym kostiumem, po czym opuściła hotel w towarzystwie męża. Wkrótce wyjść miała reszta gości.

Louis podszedł do Kit. Przeczowała to. Wiedział, że Kit jest córką Leny, lecz nie miał pojęcia, że i ona dużo wie.

Kit pragnęła, aby trzymał się od niej jak najdalej, ale byłoby niegrzecznie nie odpowiedzieć uśmiechem na jego ciepły uśmiech.

- Wspaniały dzień, prawda?
- Tak, rzeczywiście.
- Nic nie łączy panią z naszym drużbą? Nie zanosz się na kolejny ślub? Nie będę miał jeszcze jednej uroczej szwagierki?
- Nie, Kevin chodzi z moją przyjaciółką Frankie - wypowiadała słowa powoli, czuła się bardzo skrępowana. I zostawiła go samego.

Lekko skonsternowany Louis odwrócił się, żeby porozmawiać z kimś innym. Młode kobiety rzadko traktowały go w ten sposób. Stevie nie

spuszczał go z oka, widział, jak z tym swoim urokliwym wdziękiem kładzie rękę na ramieniu Kit. Młody Sullivan kipiał wściekłością. Tłum gości zebrał się przy drzwiach, żeby pomachać nowożeńcom na pożegnanie. Na skraju tłumu stali Louis i Stevie.

- Clio mówi, że pan też pochodzi z Lough Glass. To chyba ciekawe miasto, musimy tam kiedyś pojechać.

691

Stevie przysunął twarz do jego twarzy i cedząc słowa powiedział:

- Pan był w Lough Glass. - Zamilkł, by z wyraźną groźbą w głosie dodać: - I jeśli wie pan, co dla pana dobre, lepiej niech pan tam już nie przyjeżdża.

- Co powiedziawszy, odszedł.

Louis zbladł. O co mu chodziło? Zobaczył, jak Stevie obejmuje ramieniem Kit, jak Kit ściska go za rękę. Kit McMahon, córka Leny. I jej chłopak.

Ale, na miłość boską, przecież oni nic nie wiedzą.

Nikt z nich o niczym nie wie.

Lena pisała z Manchesteru. Ludzie byli tu bardzo przyjacielscy, mieli dla siebie więcej czasu niż mieszkańcy Londynu, nie tak bardzo się spieszyli. I jeśli się kogoś poznało, istniało duże prawdopodobieństwo, że spotka się tego kogoś ponownie. Mniej więcej tak samo jak w Dublinie. Lena słabo pamiętała spotkanie z Ritą, ale była pewna, że Kit jakoś to załatwiła. Nie wiedziała, czy wtedy doznała jakiegoś zaćmienia, czy na chwilę postradała zmysły.

Wszystko jedno. Najważniejsze, żeby być, żyć dla córki, która jej bardzo potrzebowała.

Uświadomiła sobie, że musi zrezygnować z Emmeta. Straciła zbyt wiele życia, aby go teraz odwiedzić. Odeszła, gdy był dzieckiem, małym

dzieckiem. Teraz miał już tyle lat, że mógł trzymać w ramionach dziewczynę i wyznawać jej miłość. Nie było sposobu na powrót do jego świata. Koniec fantazjowania, kres wszelkich złudzeń.

Zamierzała nawet wynająć małą kawalerkę w Manchesterze. Peggy Forbes mieszkała z matką, zresztą dzielenie pokoju z podwładną nie byłoby najlepszym pomysłem. Peggy była rozwódką, miała około czterdziestki i cudownie dawała sobie radę z ludźmi. Tak, następnym razem Stevie i Kit powinni przyjechać do Manchesteru. Peggy pokaże im, jak żyje się na północy kraju.

Kit pokazywała mu niekiedy fragmenty listów od Leny. - Nie lubię tego czytać. Ona pisze do ciebie, to sprawy osobiste.

692

- Pokazuję ci tylko niektóre fragmenty. Tych najbardziej osobistych nie zobaczysz.

- Dotyczą mnie?

- Czasami.

- Ostrzeżenia w rodzaju: nie uganiam się za przyjemnościami życia, a zwłaszcza za nim? - patrzył na nią wyczekująco, najwyraźniej bardzo go to interesowało.

- Kiedyś tak. Teraz już nie.

- Kiedy zmieniła zdanie?

- Gdy cię poznała.

Clio i Michael przeprowadzili się do mieszkania Maury niemal zaraz po ślubie. Cenę ustalono bardzo szybko. O'Connor Lepkie Palce wypisał czek bez targowania się.

- Tato, jestem pewien, że to tylko cena na rybkę - zaprotestował Michael. -

Gdybyś się trochę potargował, na pewno spuściłaby kilkaset funtów.

- Zapłacimy, ile chce. - Maura Hayes i jej pasierbica Kit strofowały go od tak dawna, że stary O'Connor miał tego dość. Nie zamierzał się targować i ściągać na siebie ich gniewu.

- Musisz je obejrzeć - zachęcała Clio. - Możesz nawet przyprowadzić z sobą Steviego, jeśli chcesz.

- Nie, dzięki. Przyjdę któregoś wieczoru, kiedy nie będzie go w Dublinie.

- Dużo jest takich wieczorów?

- No cóż, ostatecznie Stevie mieszka i pracuje o dwie godziny jazdy stąd.

- Zdawała sobie sprawę, że powiedziała to zaczepnie i z nieukrywanym sarkazmem. Tylko Clio potrafiła wywołać w niej taką reakcję.

Kiedy w końcu przyszła obejrzeć mieszkanie, Clio była w paskudnym nastroju.

- Jadłaś podwieczorek? - burknęła niegrzecznie.

- Nie, ale nie jestem głodna - odrzekła Kit.

- Nie przypuszczałam, że...

- Nie szkodzi. - Co tu jest do przypuszczania, skoro zaprasza się kogoś na szóstą wieczorem - pomyślała Kit. Większość ludzi o tej porze jada, to chyba normalne.

693

Kit podziwiała mieszkanie i ślubne prezenty. Niektóre z nich, jeszcze nie rozpakowane, stały w pudłach.

- Chyba mam depresję prenatalną - skonstatowała Clio. - Słyszałaś o czymś takim?

- Nie - odrzekła Kit zgodnie z prawdą. - Słyszałam, że kobiety w ciąży są podekscytowane, rozemocjonowane, że robią na drutach wyprawkę dla

dziecka, że przygotowują kolację dla męża i dla swoich przyjaciół.

Clio wybuchnęła płaczem.

- No powiedz, wyrzuć to z siebie - zachęcała ją Kit. Wiedziała, że usłyszysz opowieść o długim łańcuchu nieszczęść. A może powinno się Clio potrząsnąć tak mocno, żeby zaklekotały jej zęby? Może powinni byli zrobić to wiele lat temu? Doktor Kelly i jego żona zawsze wszystko jej odpuszczali.

- Jest strasznie - szlochała Clio - po prostu strasznie. W środę Michael zniknął na całą noc. W hotelu, w którym pracuje, było jakieś przyjęcie i żaden z nich nie wrócił do domu. Louis mieszka w domu tuż obok, ale on też został na noc. Mary Paula jest wściekła, chociaż Louis codziennie kupuje jej kwiaty. A Michael nie kupił mi nawet złamanego badyła i wciąż powtarza, że ze mnie zrzęda. Zrzęda! Ślub był ledwie kilka tygodni temu i już jestem zrzędą!

- Ciii... On tak wcale nie myśli.

- Tatuś też nie chce mi pomóc ani mama. Chciałam do nich przyjechać na parę dni, a oni nie. I w kółko powtarzają tę starą śpiewkę, że jak sobie posłałam, tak się wyśpię. Nie cierpię tej nory, wszędzie widać tu rękę ciotki Maury. Chryste, wszyscy są tacy poirytowani...

- Ja nie.

- Tylko dlatego, że bzykasz się jak głupia z tym Sullivanem i nie możesz myśleć o niczym innym.

- Tak się przypadkiem składa, że jeszcze się z nim nie bzykałam.

- No to może powinnaś.

- Clio, to ty jesteś poirytowana. Porozmawiaj ze mną, rozważmy plusy tej sytuacji, nie minusy. Owszem, Michael przepadł na noc, ale był z... z

twoim szwagrem, więc nie mógł nabroić.

694

- No, nie wiem - mruknęła ponuro Clio. - Mary Paula twierdzi, że były tam dziewczęta, szybkie dziewczęta.

Kit zastanawiała się przez chwilę, czy Mary Paula i Clio, które zaszły w ciążę na długo przed ślubem, mają prawo nazywać inne dziewczęta szybkimi. Lecz puściła tę uwagę mimo uszu.

- Spójrzmy na inne plusy - ciągnęła wytrwale. - Macie piękne mieszkanie, Michael dostał pracę, spodziewasz się dziecka...

- Co znaczy, że ja pracy dostać nie mogę - przerwała jej Clio.

- Przecież nigdy nie chciałaś pracować. Mówiłaś, że idziesz do college'u, by złapać męża. No i złapałaś.

- Wszystko się zmieniło - załkała Clio.

- Tak, zmieniło się i my też musimy się zmienić. Chyba na tym to polega.

- Chciałabym, żebyśmy znowu były młode. Poszłybyśmy odwiedzić siostrę Madeleine, wróciłybyśmy do domu na podwieczorek...

- Teraz my robimy podwieczorki. Chcesz, to pójde coś kupić.

- Poszłabyś? Czuję się strasznie, jestem jak ciężarna kaczka, ledwo chodzę.

- Tak samo jak Mary Paula. Ano właśnie. Kiedy ona rodzi?

- W tym tygodniu, dlatego to takie straszne, z Louisem i w ogóle. W dodatku ojciec Michaela pożarł się z Louisem o pieniądze. Wygląda na to, że ten bęcwał chował całą pensję do kieszeni, nie wiedząc, że musi płacić rachunki. Wczoraj wieczorem doszło do potwornej kłótni.

- A propos. Nie mam za dużo pieniędzy, więc skoro chcesz, żebym coś kupiła...

- Pod zegarem leży piątka. - Clio machnęła ręką w stronę kominka.

Zadzwoił telefon. - Odbierzesz?

Dzwonił Louis.

- To chyba nie Clio - powiedział.

- Nie, Kit McMahon. Słucham?

- Żona jest już w szpitalu, zaczęła rodzić.

695

- Moje gratulacje - rzekła obojętnie Kit.

- Zaraz, chwileczkę. Miałem nadzieję, że Clio zadzwoni do swego teścia, by mu o tym powiedzieć.

- Dlaczego pan sam nie zadzwoni?

- Szczerze mówiąc, doszło między nami do małej sprzeczki. Myślę, że wolałby dowiedzieć się tego od innego członka rodziny. Telefonowałem do Michaela i Kevina, ale nigdzie nie mogę ich złapać.

- Tak, słyszałam, że ma pan kłopoty z teściem. - Kit nie wiedziała, co ją podkusiło. Powiedziała to pewnie dlatego, że na myśl o tym oślizgłym darmozjadzie żyjącym kosztem innych zrobiło się jej niedobrze.

Zmienił mu się głos.

- Co to znaczy? Od kogo pani słyszała?

- Od Clio, która dowiedziała się o wszystkim od pańskiej małżonki. - Była kwintesencją cynizmu.

- To chyba nie pani interes, prawda?

- W rzeczy samej.

- Może pani poprosić do telefonu Clio?

- Nie ma jej.

- No, dobrze...

- Chce pan, żebym zadzwoniła do O'Connorów? Lepkie Palce się ucieszy.
 - Kto?!
 - Lepkie Palce, stary O'Connor. Tak go nazywają, prawda?
 - Wypraszam sobie, to jest bardzo obraźliwe przezwisko. Pan O'Connor to pan O'Connor.
 - Chce pan, abym do niego zadzwoniła i powiedziała, że Mary Paula jest na porodówce i że nie chciał pan zatelefonować do niego osobiście?
- Louis odłożył słuchawkę.
- O co chodzi? - Clio była tak zdumiona, że aż rozdziawiła usta.
 - To ten palant Louis Gray. Boi się zadzwonić do swego teścia.
 - Dlaczego byłaś dla niego taka niegrzeczna?
 - Nienawidzę go.
 - Dlaczego, u licha?

696

- Nie wiem, to chyba irracjonalne. Czasami nienawidzi się kogoś bez powodu.
 - Do ciężkiej cholery, przecież to moi krewni, Kit. Nie wyżywaj się na nich tylko dlatego, że nie układa ci się ze Steviem.
 - Kto powiedział, że mi się nie układa?
 - To oczywiste, w przeciwnym razie nie byłoby go na tym środowym przyjęciu z Louisem i Michaeliem.
- Kit nie wierzyła własnym uszom.
- Stevie tam był?
 - Tak. Nie wspominał ci o tym?

W środę wieczorem... Powiedział, że musi jechać na służbowe przyjęcie do Athlone. Niech piekło pochłonie i Stewiego, i wszystkich podstępnych

przystojniaczków. Kit chwyciła kurtkę i ruszyła do wyjścia.

- Zapomniałaś o pieniądzach. - Clio wyciągnęła rękę w stronę kominka.

- Sama kup sobie coś do żarcia - warknęła Kit i trzasnęła drzwiami.

Bardzo pragnęła napisać do Leny list i powiedzieć jej, że chociaż od ślubu minęło dopiero pięć miesięcy, Louis i Mary Paula przeżywają małżeński kryzys. Pragnęła objąć matkę, wypłakać się na jej piersi, poradzić się jej, czy powinna wziąć w obroty Steviego i spytać go prosto z mostu, gdzie był. A może powinna sprawdzić, czy w Athlone organizowano jakąś imprezę?

Nieustanne sprawdzanie, ciągle ignorowanie oczywistych faktów - czyż nie tę drogę obrała jej matka, by później bardzo tego żałować? Kit szła przed siebie, spoglądając na ludzi, którzy żyli normalnym życiem, troszczyli się o własne sprawy: na mężów wracających z pracy, na żony otwierające drzwi, na dzieci bawiące się w ogródkach w promieniach zachodzącego czerwcowego słońca.

Nie, nie może jej napisać, że Louis popadł w niełaskę. Lena mówiła, że zachowuje spokój ducha tylko dzięki temu, że nic o nim nie wie. Zawsze istniało niebezpieczeństwo - nawet teraz, w tej zupełnie nowej sytuacji - że przyjmie go z powrotem. Że zapomni, że mu wybaczy. Bo jakkolwiek

697

by na to patrzeć, czymże jest żona i dziecko po tym, co przeszła?

Po oficjalnym otwarciu nowego biura Lena i Peggy Forbes jadły kolację we włoskiej restauracji w Manchesterze. Peggy miała czterdzieści trzy lata i była zadbaną blondynką. Wyszła za mąż bardzo młodo i bardzo głupio, tak przynajmniej twierdziła. Poślubiła mężczyznę, do którego lepiej pasowałaby bukmacherka. Poznała go na wyścigach, co powinno było

choć trochę ją zastanowić, ale nie zastanowiło. Rozwiodła się w wieku dwudziestu siedmiu lat, po sześciu latach bardzo nieudanego małżeństwa. Zaczęła pracować, i to ciężko. Czerpała z tego wiele przyjemności. Nie chodziło jej o pieniądze, bo nie bogactwo było celem jej życia. Lubiła przebywać między ludźmi, lubiła pobudzać ich do pracy. I cieszył ją fakt, że jest dzięki temu bezpieczna, że żaden mężczyzna nie sprzeda stołu i krzesel z jadalni, jak zrobił to mąż w dniu jej dwudziestych piątych urodzin.

Peggy wyznała, że opowiadanie historii swego życia nie leży w jej zwyczaju, ale zrobiła to, ponieważ Lena darzy ją tak wielkim zaufaniem.

- Moje życie też jest bardzo poplątane - odrzekła Lena. - Mam za sobą dwa małżeństwa, lecz ani jedno, ani drugie nie wypaliło. W pracy nic o tym nie mówię i prawdę powiedziawszy, o moim pierwszym małżeństwie nikt nie wie. Wszyscy myślą, że drugie wciąż trwa.

Peggy pokiwała głową.

- Tak jest lepiej.

- Opowiadam ci o tym, bo jesteś ze mną szczerą. Szczerą za szczerą, nie chcę, abyś odniosła wrażenie, że natrafiłaś na kamienny mur.

- Musiałabym się z tym pogodzić.

- Bo jesteś kobietą praktyczną i wiesz, że jestem twoją szefową. Ale chciałabym też być twoją przyjaciółką.

- Jestem pewna, że się zaprzyjaźnimy.

- Byłoby bardzo miło, gdybyśmy mogły pójść czasem do kina albo na kolację. Może mogłabym odwiedzić twoją

698

matkę? Ale nie przepadam za włóczęństwem się po klubach ani za tego

rodzaju rozrywkami.

- Ja też nie. Dziewczęta, z którymi pracuję, bardzo mi współczują i ciągle próbują wyciągnąć mnie na wspaniałą zabawę, jak to nazywają.

- Skąd ja to znam - odrzekła współczująco Lena.

- Żal mi tylko jednego. Nie mam dzieci. Chciałabym mieć córkę. A ty?
Lena zawahała się.

- Tak się składa, że mam córkę. Ale o tym też nikt nie wie.

- Nic się nie martw, sekret jest jak w studni. - Peggy uśmiechnęła się do niej szerokim, przyjacielskim uśmiechem.

- Tutejsza filia będzie tak duża jak agencja Millara w Londynie - obiecała Lena.

- Za pięć lat to wy będziecie naszą filią - odrzekła Peggy.

- Myślę, że dokonaliśmy znakomitego wyboru. - Lena opowiedziała Millarom o swoim pobycie w Manchesterze. Wiadomość, że wkrótce mieliby zostać filią tamtejszej agencji, bardzo ich rozbawiła.

- Oto jakiego ducha nam trzeba - rzekł Jim.

Lena uśmiechnęła się do siebie, wspominając początkowy okres pracy u Millara, który był wtedy człowiekiem strachliwym i ostrożnym, tak że musiała negocjować z nim każdą, nawet najdrobniejszą zmianę, co wymagało nie lada jakiej dyplomacji.

Do gabinetu weszła sekretarka.

- Bardzo przepraszam, pani Gray, ale sama pani mówiła, że trzeba mieć inicjatywę, więc...

- Tak, Karen. Kto dzwoni?

- Eee... pan Gray? Mówi, że to bardzo pilna sprawa, że musi z panią porozmawiać.

- Odbierz tutaj, Leno. - Jim i Jessie wstali, żeby wyjść. Lena nawet nie chciała o tym słyszeć.
- Karen, powiedz panu Grayowi, żeby zostawił swój numer. Za pięć minut oddzwonię.

Przeszła do swego gabinetu i spojrzała w lustro. Żyła

699

i miała się dobrze. Była zdrowa na ciele i na umyśle. Nie pozwoli wyprowadzić się z równowagi. Nie zdenerwuje jej nawet najpilniejsza sprawa w życiu Louisa Graya.

Wykręciła dubliński numer i odpowiedziano jej nazwą hotelu. Louis dzwonił z pracy. A więc wszystko po staremu.

- Mówi Lena.
- Dziękuję za telefon. Powinienem był wiedzieć, że oddzwonisz, zawsze można na tobie polegać.
- To prawda. Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała spokojnie.
- Myślisz, że jesteśmy sami?
- Jak wszyscy użytkownicy naszej telefonii. Dlaczego pytasz?
- Mam poważne kłopoty, ty też.
- Czyżby?
- Oni wiedzą.
- Kto wie?
- Całe Lough Glass.
- Co wie całe Lough Glass, Louis?
- Wiedzą o tobie.
- Wątpię. Chyba że im powiedziałeś.
- Przysięgam Bogu, że trzymałem język za zębami. Nikomu nie pisałem

ani słowa. Do teraz, do tej chwili.

Groźba, szantaż - wyraźnie to słyszała. „Do teraz, do tej chwili”. A więc to tak...

- Konkretnie, Louis: kto o mnie wie?
- Facet nazwiskiem Sullivan. Znasz go?
- Tak, pamiętam Sullivana. Jego rodzina ma warsztat samochodowy.
- I Kit, ona też wie. Wczoraj była dla mnie bardzo niegrzeczna, uszczypliwa i złośliwa.
- Wątpię.
- Naprawdę. Powiedziała, że doszły ją słuchy o mojej kłótni z teściem.
- Przykro mi, że kłócisz się z krewnymi - mówiła głosem tak oschłym, że z trudem sama go rozpoznawała.
- Przestań, Leno. Ja też mam kłopoty. - Lena czekała. - Spodziewali się, że będę miał więcej pieniędzy, niż mam.
- No i?

700

- Czytałem w gazetach, że otworzyliście filię w Manchesterze, czytałem o tym nie gdzie indziej jak w dziale giełdowo-finansowym.
- Tak, agencja Millara świetnie sobie radzi.
- Sprawdziłem to, Leno.
- Co sprawdziłeś?
- Wysłałem kogoś na zwiady. Jesteś szefową firmy.
- I co z tego wynika?
- To, że możesz mi pomóc, że masz możliwości. Nigdy w życiu o nic nie prosiłem, teraz cię proszę.

- Nie, Louis, ty nie prosisz, ty próbujesz mnie szantażować.
- Dawałaś mi do zrozumienia, że ktoś może nas podsłuchiwać.
- Nie tutaj, ale kto wie, co dzieje się u ciebie. Zapadła cisza.
- Rozstaliśmy się jak przyjaciele, Leno. Nie możemy nimi pozostać?
- Nie rozstaliśmy się jak przyjaciele.
- Właśnie, że tak. Pamiętam ten wieczór.
- Rozstaliśmy się bez kłótni i awantur. Ale na pewno nie byłam wtedy twoją przyjaciółką. Tym bardziej nie jestem nią teraz. - Znowu chwilę milczeli. - Skoro to wszystko, życzę ci szczęścia, Louis. I mam nadzieję, że jakoś wybrniesz z kłopotów z teściem. Na pewno. Jesteś taki czarujący...
- Tylko jeden datek, Leno. Nigdy więcej o nic cię nie poproszę.
- Nie. I mam nadzieję, że już nigdy do mnie nie zadzwonisz. Jeśli zadzwonisz, sekretarka cię nie połączy.
- Nie wykręcisz się! - krzyknął. - Ta twoja mocarstwowa poza nic ci nie pomoże. Nie wiesz, z kim masz do czynienia.
- Wygląda na to, że z człowiekiem, który jest winien pieniądze teściowi.
- Nic mu nie ukradłem, nie pożyczyłem od niego ani funta. On po prostu oczekuje, że będę miał prywatne fundusze.
- Albo że wyłożysz coś z własnej kieszeni, przynajmniej czasami.

701

Dokładnie tego samego określenia użył stary O'Connor. Louis zełgał mu, że oszczędza pieniądze na dziecko.

- Mam syna - powiedział.
- To cudownie.
- Nie o to chodzi. Potrzebuję pieniędzy, żeby założyć mu rachunek

oszczędnościowy. Powiedziałem O'Connorowi, że odkładam na konto.

- Do widzenia, Louis.

- Jeszcze tego pożałujesz.

- Co mi możesz zrobić?

- Mogę cię zniszczyć. Mogę powiedzieć tym wiejskim pracusiom, Martinowi, Maurze, Peterowi i całej reszcie, że wcale nie umarłaś, że żyjesz, że jesteś wielką dyrektorką, szefową bogatej firmy w Anglii. To by dopiero było! Wyobrażasz sobie to trzęsienie ziemi w Lough Glass? Bigamia, Maura kobietą lekkich obyczajów, Kit i jej braciszek porzuceni przez wyrodną matkę...

Zdała sobie sprawę, że Louis nie zna nawet imienia jej syna.

- Dobrze, zrób to, a pograżysz się głębiej, niż przypuszczasz.

Wybuchnął śmiechem.

- Strachy na lachy.

- Nie, Louis, nie. Popełniłeś wielki błąd, zwracając się z tym do mnie. Nie dam ci ani pensa. Prędzej zdobędziesz pieniądze, sprzedając własną krew do banku krwi, kwarta po kwarcie, albo rabując sklep jubilerski na Grafton Street.

- Lena...

Lecz telefon był głuchy.

Wykręciła numer warsztatu samochodowego Steviego Sullivan. Odebrała Maura McMahon. Lena zawahała się, chciała odłożyć słuchawkę, ale liczyła się każda chwila. Mówiąc marną namiastką londyńskiego cockneya, poprosiła do telefonu Stewiego.

- Obawiam się, że chwilowo go nie ma. Można wiedzieć, kto mówi?

Zapomniała, jak brzmi jej akcent. Uprzejmy ton, miękki głos. Tak,

ostatecznie utwierdziła się w przekonaniu, że tej

702

kobiecie nie wolno zakłócać spokojnego biegu życia. Ani burzyć jej szczęścia u boku Martina McMahona.

- To bardzo pilna sprawa. Mówię z londyńskiego pensjonatu, gdzie się ostatnio zatrzymał.

- Ach tak? - Zaniepokojona Maura natychmiast wzmogła czujność.

- Jest pani pewna, że Stevie nie może podejść do telefonu?

- Czyżby były jakieś problemy z rachunkiem?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - Lena wiedziała, że jej akcent sypie się na wszystkie strony, ale robiła, co mogła.

- Czy pan Sullivan może do państwa zatelefonować, kiedy wróci?

- A kiedy wróci?

- Jutro. Jest w Dublinie.

- Czy można się z nim jakoś skontaktować?

- Obawiam się, że nie. Ale gdyby podała mi pani swoje nazwisko i numer telefonu...

Podawała Maurze nazwisko i numer telefonu Ivy, a potem chwyciła się za głowę.

Stevie był jej jedyną nadzieją.

Tego samego wieczoru do Maury zadzwoniła Kit.

- Słyszałam, że Clio została cioteczka - powiedziała Maura.

- Naprawdę?

- Tak, Lilian mówi, że to chłopczyk.

- Super.

- Znowu się pokłóciłyście?

- To już ostatni raz.
- Cieszę się.
- Nie, nie, nie rozumiesz. To koniec naszej przyjaźni.
- Kit, jesteś za stara, żeby tak myśleć. Prawdziwe przyjaźnie nigdy się nie kończą.
- W takim razie może to nie była prawdziwa przyjaźń.
- Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Zobaczysz się dzisiaj ze Steviem?
- Nie wiem. - Naprawdę nie wiedziała. Ustalili, że jeśli będzie wolny, wpadnie do niej o ósmej. Nie była pewna, czy chce się z nim widzieć, czy nie.

703

/

- Jeśli go zobaczysz, przekaż mu wiadomość, dobrze?
- Zaczekaj... - Kit sięgnęła po notatnik. - Już, możesz dyktować.
- Ma zadzwonić do pensjonatu w Londynie...
- Co?!
- Nie, nie, nie chodzi o rachunek, już pytałam. Ale kobieta, z którą rozmawiałam, była strasznie tajemnicza i nic nie chciała powiedzieć. Stevie ma zadzwonić pod...
- Chyba mam ten numer.
- Podam ci go na wszelki wypadek. Zapisz: Ivy Brown, a to jest jej londyński numer...

Ivy. Kit oparła się o ścianę budki telefonicznej. Lena. Musiało się stać coś złego. Z nią, z Leną. Coś bardzo złego, skoro Ivy prosiła Steviego o telefon. Zrobiło jej się słabo. Boże, co się tam dzieje?

Byłoby wspaniale, gdyby starczyło jej pieniędzy na telefon do Londynu, gdyby mogła zadzwonić stąd, z budki, już teraz, zaraz. Za odkładane przez kilka dni drobne na telefon do Lough Glass zadzwoniłaby do Leny. Nie mogła doczekać się ósmej, a była dopiero szósta piętnaście. Tak, musi pożyczyć od kogoś trochę pieniędzy.

Wychodząc z budki, zobaczyła samochód Steviego. Podjechał bliżej, wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął z niego swoją wyjściową marynarkę. Często podróżował w starej, dla wygody, jak twierdził. Coś takiego, że też wciąż chciało mu się dla niej stroić!

- Próżny paw - mruknęła, przypominając sobie marynarki Louisa Graya wiszące rzędem w szafie Leny. Nie, nie teraz, teraz bardzo go potrzebowała. Zaskoczyła go, nim zdążył zmienić marynarkę.

- Przyłapałaś mnie.

- Dobrze, że tylko na tym.

- Co się stało?

- O co ci chodzi?

- Mówisz tak, jakbyś chowała w zanadrzu listę moich przestępstw.

- Czyżbyś żadnego nie popełnił?

- Tak się składa, że nie. Co się dzieje? Jesteś blada jak ściana.

704

Powiedziała mu o telefonie.

- To pewnie jakaś zakodowana wiadomość.

- Zadzwonię. Chcesz tam ze mną wejść?

- Nie. - Odsunęła się od niego. Chciała uniknąć intymności budki telefonicznej, gdzie musieliby się do siebie przyciskać.

- Dobrze.

Widziała, jak rozmawia, jak odwiesza słuchawkę, jak czeka, aż oddzwonią. Sprawa musiała być poważna. Kit krążyła wokół budki, lecz twarz Stewego nie zdradzała oznak zaszokowania czy przygnębienia, co oznaczałoby, że nie otrzymał wiadomości o chorobie czy o wypadku. Nie, Stevie sprawiał wrażenie rozsierzonego.

Ostrożnie uchyliła drzwi.

- Nie, nie, nie - mówił. - Nic jej nie powiem, dopóki tego nie załatwię.

Doskonale to rozumiem. Tak, może mi pani zaufać. Zadzwoń jutro. Do widzenia.

Wyszedł z budki.

- O co chodzi? - spytała.

- Z twoją matką wszystko w porządku. Rozmawiałem z nią, jest zupełnie zdrowa i spokojna. Prosiła mnie, żebym coś dla niej załatwił i zamierzam to zrobić. Ale prosiła mnie również, żebym ciebie do tego nie mieszał.

- Nie wierzę.

- Dziwne. Gdybyś to ty coś takiego mi powiedziała, od razu bym ci uwierzył.

- Nie ufam ci za grosz! - krzyknęła. - To twój kolejny podstęp. Perfidnie wykorzystujesz moją matkę, żeby zapewnić sobie alibi.

- Kit, ty chyba oszalałaś - stwierdził beznamiętnie. - Sama przekazałaś mi wiadomość, zadzwoniłem pod ten numer i teraz muszę coś załatwić. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Owszem, dobrze wiesz. Mówię o zeszłej środzie. Chcesz, żeby zapewniła ci alibi.

- O zeszłej środzie? - robił wrażenie szczerze zdumionego.

- Tak, o środzie. Ktoś dał ci cynk, iż wszystko się wydało, więc teraz

knujesz z nią jakiś spisek, bo myślisz, że cię lubi.

705

- Tak, mam nadzieję, że mnie lubi. I na pewno mi ufa.

- Jesteś kłamcą, Stevie.

- Nie - odrzekł spokojnie - to nieprawda. - Stali długo, mierząc się wzrokiem. - Nie chcę zostawiać cię przez jakieś nieporozumienie, ale myślę, że jesteś zbyt wściekła, żeby mi to wyjaśnić. Więc co zrobimy? Dokąd chciałabyś pójść?

- Chciałabym, żebyś poszedł do diabła.

- Dlaczego? Dlaczego tak mówisz?

- Tak, jestem nieodrodną córką swojej matki, ale nie zamierzam godzić się z tym, z czym godziła się ona. Lepiej, żebyś zrozumiał to już teraz niż za dwadzieścia lat.

- Muszę iść, muszę coś załatwić. Dla twojej matki, Kit. Chciałbym tu wrócić i porozmawiać.

- Zastaniesz zamknięte drzwi.

- Twoja mama wielokrotnie podkreślała, że nie powinnaś się do tego mieszać, ale skoro chcesz mnie sprawdzić, skoro chcesz przysporzyć jej smutku i zmartwień, zawsze możesz do niej zadzwonić i spytać, czy mówię prawdę. Tylko czy to ma sens?

- A nie ma?

- Chodzi o to, że jeśli mi nie wierzysz i musisz mnie sprawdzać, swojej mamie pewnie też nie uwierzysz, więc szkoda pieniędzy na telefon. - Wsiadł do samochodu i szybko odjechał.

Czuwała do późnej nocy, ale Stevie nie przyszedł. Nie zostawił żadnego listu, nie przysłał żadnej wiadomości. Kiedy w końcu nastał ranek, miała

zaczerwienione oczy. W college'u spotkała Philipa.

- Jesteś przeziębiona, Kit? Jak się czujesz?
- Kiepskawo. A ty?
- Świetnie. Jestem przepracowany. Tego lata mamy sześć tur. Nie przyjechałabyś do nas do pracy? Już się gdzieś załapałaś?
- Sama nie wiem. Lepiej nie pytaj, wybrałaś niedobry dzień.
- Muszę wiedzieć, Kit, i to już niedługo.
- Pod koniec tygodnia - obiecała.
- Dobra. Aha, Clio cię szukała.

706

- Kiedy?
- Tuż zanim wyszedłem. Powiedziała, że gdybym cię spotkał, masz do niej zadzwonić. Bardzo pilna sprawa.
- Ona ma same pilne sprawy. Pewnie chce, żeby ktoś podał jej chustkę do nosa. - W południe wyszła z lektorium i zobaczyła siedzącą w holu Clio. - Zawędrowałaś tak daleko od najelegantszej dzielnicy Dublina? Nie boisz się, że złapiesz tu jakiegoś wirusa?

Clio była biała jak kreda.

- To wszystko moja wina, Kit. Powiedziałam to tylko po to, żeby się na tobie odegrać.
- Co powiedziałaś?
- Że Stevie był na tym przyjęciu. Wcale go tam nie było. Zmyśliłam to, bo byłaś taka z siebie zadowolona.
- W porządku. Dzięki, że mówisz mi o tym teraz. Oczywiście Kit zatańczyły, serce wezbrało radością. Powinna wiedzieć, że to wszystko przez jej złośliwość. Stevie nie kłamał. Nagle

przypomniała się jej wczorajsza rozmowa przed budką telefoniczną i zadrzała. Clio sondowała ją wzrokiem.

- Zrobiłaś taki kawał drogi tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

Niepotrzebnie.

- Musiałam. Po tym, co się stało...

- A co się stało?

- Stevie. Przyszedł do hotelu i porachował Louisowi wszystkie kości.

Złamał mu szczękę i wybił trzy zęby.

- Co?!

- Louis jest w szpitalu. Mary Paula omal nie postradała zmysłów. W przyszłym tygodniu chrzciny, a Louis wygląda jak ochłap z podłogi końskiej jatki.

- Ale dlaczego Stevie to zrobił?

- Pewnie myślał, że to Louis ci powiedział. No wiesz, że Stevie był na przyjęciu.

- Ale ja nawet słowem mu o tym przyjęciu nie wspomniałam.

- W takim razie musiał to zrobić ktoś inny. No bo niby dlaczego miałby go zbić, jak nie dlatego? Jezus Maria, tak mi przykro, Kit. Żyjemy w strasznych czasach.

707

Miała dużo spraw do uporządkowania. Z Manchesteru nadeszła wiadomość: nie wiedzieli, że na górze mieści się biuro agencji towarzyskiej, i dochodziło do coraz liczniejszych nieporozumień wśród klientów. Przeniesienie agencji towarzyskiej gdzie indziej i przejęcie biurowych pomieszczeń na piętrze będzie wymagało wielkiej dyplomacji, a nawet pieniędzy. Lena powiedziała, że zajmie się tym osobiście.

Po południu zadzwonił Louis.

- Jak widzę, jeszcze nie umieściłaś mojego nazwiska na czarnej liście.

Połączono mnie natychmiast.

- Co się stało z twoim głosem, Louis? Brzmi zupełnie inaczej.

- Jakbyś nie wiedziała! Nasłałaś na mnie zbira, żeby mnie pobił.

- To nieprawda. Wysłałam do ciebie przyjaciela, żeby przemówił ci do rozsądku.

- Złamał mi szczękę, wybił trzy zęby i podbił mi oko. Na chrzcinach będę wyglądał wspaniale.

- Jak pech, to pech.

- Nie, to nie pech, to złe wieści. Dla ciebie, Leno. Zamierzam go zaskarżyć i wytłumaczyć w sądzie, dlaczego to robię. Facet ma mnóstwo pieniędzy, a ty też zabulisz, bo gra toczy się o bardzo wysoką stawkę.

Lena parsknęła śmiechem.

- Nie, Louis, nigdy tego nie zrobisz. Miałbyś zrezygnować ze wszystkiego, co masz? Z lukratywnej posady, z młodej żony, z dziecka? Chyba nie chcesz im zdradzić, że zadawałeś się z kobietą, która uciekła od męża i dzieci. Nie, dobrze cię znam, wiem, że blefujesz.

- Gdybyś nie nasłała na mnie tego łowcy nagród, może próbowałbym blefować, ale teraz już za późno. Wszystko przepadło. Nie mam nic do stracenia. Nie zostało mi ani krzty wiarygodności. Idę na dno, ale ty idziesz ze mną. Chciałbym, żebyś o tym wiedziała. Nie będziesz się cieszyła luksusem spokojnego snu.

- Nie wierzę ci, Louis. Od tej pory figurujesz na mojej czarnej liście. Już nigdy się do mnie nie dodzwonisz.

- Nie zamierzam, ale jeszcze o mnie usłyszysz. O mnie i o tym, co cię

czeka.

708

-

- Nie jedź dzisiaj - prosiła Jessie. - Miałaś ciężki dzień.

- Im szybciej będę na miejscu, tym lepiej.

- W takim razie jedź pociągiem, przynajmniej się zdrzemniesz.

- Będę potrzebowała samochodu. - Za radą Steviego kupiła volkswagena „garbusa”. Wóz nigdy jej nie zawiódł i stwierdziła, że jest bezcennym nabytkiem. - Lubię jeździć własnym samochodem. To taki malutki, odrębny świat, gdzie dobrze się myśli.

- Lepiej za dużo nie myśl - odrzekła Jessie. - I zrób sobie postój, jeśli się zmęczysz. Masz przed sobą kawał drogi.

- Leno, jedź rano - prosiła Ivy.

- Nonsens. Długie noce są takie piękne. Zresztą będę podróżowała głównie za dnia.

- Weź termos. Zaparzę kawę, kiedy będziesz się pakowała. To potrwa najwyżej dwie minutki.

- Dobrze. Zaczekaj tylko, aż kupię kawalerkę w Manchesterze. Wtedy nie będę musiała tragać żadnych walizek.

- Proszę, proszę, jeszcze trochę i znajdziesz się w elicie bogaczy wieku odrzutowców.

Jechała drogą A-6 i miała za sobą sporo kilometrów, gdy znowu ogarnęło ją to uczucie: to samo uczucie, którego doświadczyła zaraz po Nowym Roku, gdy wszystko zdawało się dziwnie nierzeczywiste, gdy dźwięki były zniekształcone, a podłoga falowała daleko w dole. Towarzyszył temu ucisk w piersi i strach przed omdleniem czy upadkiem.

To idiotyczne - pomyślała. Przecież wszystko jest w porządku, jadę z normalną szybkością. Zrobić sobie krótki postój? Wypatrzyła odpowiednie miejsce i zjechała na pobocze. Wypiła kilka łyków kawy i wysiadła, żeby rozprostować nogi. Ziemia znowu zafalowała pod dziwnym kątem. Lena przytrzymała się samochodu, żeby nie stracić równowagi. Wszędzie widziała twarz Louisa, zewsząd dochodził ją jego głos: „Nie mam nic do stracenia. Idę na dno, a ty ze mną, Helen McMahan”.

709

Nie mogła prowadzić w takim stanie. Ale zostać tu również nie mogła. Tak, powinna wsiąść do samochodu. To tylko umysł płał jej figle, fotel i kierownica na pewno ją podtrzymają. Po chwili dołączyła do strumienia pojazdów zmierzających na północ. Zmusiła się do myślenia o filii w Manchesterze. Jak to się stało, że nie sprawdzili, co mieści się na górze? Agencja towarzyska. Może przybrali tę szacowną nazwę, żeby nikomu do głowy nie przyszło, aby tam zajrzeć, i dopiero kiedy sytuacja stała się oczywista...

Rozbłysły reflektory. Jezdnia była lśniąca, pewnie mokra, musiało padać. Znowu ujrzała twarz Louisa. Wiedziała, że jest posiniaczona, poharatana, że Louis ma wybite zęby, ale nie mogła tego sobie wyobrazić. Prosiła Steviego, żeby go tylko postraszył. Nie chciała, żeby go bił. Może źle mu to wszystko wytłumaczyła. Louis, jego twarz. Przystojna, rozdrażniona, zniecierpliwiona - taką twarz miał zawsze wtedy, gdy nie dostawał tego, czego chciał.

- Wynocha stąd! - powiedziała na głos.

- Nie mam nic do stracenia - odrzekł Louis. - Idę na dno, a ty idziesz ze mną. Pożałujesz, że mnie nie posłuchałaś. Nie mam nic do stracenia.

Wielka ciężarówka. Błysk reflektorów, straszliwy trzask pękającego szkła, a potem... Potem nie było już nic.

Peggy Forbes spodziewała się telefonu, gdy tylko Lena dotrze do hotelu. Najpóźniej o jedenastej wieczorem. O północy zaczęła się denerwować. W hotelu też się denerwowali.

- Mogliśmy wynająć jej pokój innym gościom, i to wielokrotnie.
- Myślę, że powinniśmy raczej sprawdzić, czy pani Gray nie miała wypadku, to chyba ważniejsze niż kwestia wolnych pokoi - odrzekła Peggy Forbes.

Bardzo ją przeprosili.

Ivy dowiedziała się o drugiej nad ranem. Do drzwi zapukał młody policjant.

- Mogę wejść? - spytał.

710

- Ernest! - krzyknęła. - Ernest, chodź szybko. Lena nie żyje.

Twierdzili, że śmierć była natychmiastowa. Lena zjechała na prawą stronę drogi, wbijając się w strumień pojazdów pędzących z naprzeciwka. Może zasnęła, a może to po prostu chwila nieuwagi. Kierowca ciężarówki był niepokieszony. Siedział na poboczu i płacząc jak dziecko, mówił, że nie zapomni tego do końca życia. Chciałby wytłumaczyć rodzinie ofiary, że w żaden sposób nie mógł uniknąć zderzenia, że Lena straciła panowanie nad kierownicą, ale później doszedł do wniosku, iż nikogo tym nie pocieszy.

- Ona nie ma rodziny - powiedziała Ivy. - Ma tylko mnie i swoją pracę. To my jesteśmy jej rodziną. Rano zawiadomię jej przyjaciół z pracy.

- To jedyne adresy, jakie znaleźliśmy w jej notatniku i w portfelu - odrzekł policjant. - Nasi ludzie obecni na miejscu wypadku twierdzą, że to adresy

pani i państwa Millarów, więc chyba wszystko się zgadza.

- Tak, wszystko się zgadza - potwierdziła Ivy. - Dziękuję panu, wszystko się zgadza.

O dziewiątej rano poszła do agencji. Ubrała się na czarno. Przygotowała listę spraw do omówienia z Jessie Millar. Formalności na policji, zakład pogrzebowy, pogrzeb, ogłoszenia w gazetach.

Nie wiedziała, że można rozpaczać tak bardzo, jak rozpaczała Jessie Millar. Jessie nie opłakiwała koleżanki, opłakiwała prawdziwą przyjaciółkę. Gdy przestała łkać, wszystko uzgodniły.

- Sprawa pana Graya jest bardzo delikatna, dlatego myślę, że spróbuję załatwić ją sama - zaproponowała Ivy.

- Proszę, proszę, niech pani wejdzie i usiądzie przy jej biurku. Proszę dzwonić, gdzie tylko będzie trzeba. Niech pani czuje się tu jak u siebie w domu.

Ivy nigdy w życiu nie była w tak wytwornym gabinecie. Chętnie porozmawiałaby o tym z Leną, zamiast tego jednak siedziała tu i załatwiała formalności związane z jej pogrzebem. Później będzie musiała zająć się sprawą Louisa Graya.

711

Pamiętała nazwę hotelu, gdzie pracował. Była zaskoczona, że zareagował tak gwałtownie.

- To tania, brudna sztuczka!

- Dałby Bóg, żeby tak było - odrzekła trzęsącym się głosem.

- Jeśli Lena ma nadzieję, że się dzięki temu wywinie, to lepiej niech wymyśli coś innego.

- Pogrzeb jest w przyszły czwartek, Louis. Byłoby dobrze, gdybyś

przyjechał.

- Pogrzeb! Nie rozśmieszaj mnie, Ivy.

Podawała mu nazwę i numer telefonu zakładu pogrzebowego. Obiecała, że poświadczy mu to na piśmie, że wyśle do niego list z dopiskiem: „Do rąk własnych”. I jeszcze raz cicho powtórzyła:

- Byłoby dobrze, gdybyś przyjechał.

Potem zatelefonowała do Steviego Sullivana. Odebrała jakaś kobieta, pewnie druga żona Martina McMahona.

- Mówi Ivy.

- My się już znamy, dzwoni pani z pensjonatu, prawda? - spytała uprzejmie Maura.

Podstęp Leny. I pomyśleć, że jeszcze dwa dni temu żyła i miała się znakomicie!

- Czy można go prosić?

- Naturalnie. - Maura była zaskoczona. Ta cała Ivy mówiła dzisiaj zupełnie innym głosem.

- Muszę jechać do Dublina, Mauro - oświadczył Stevie, wrzucając do teczki jakieś dokumenty i biorąc kluczyki samochodowe. - To nagła i bardzo ważna sprawa, nie będzie mnie kilka dni.

- Masz umówione spotkania, rozmowy z klientami...

- Wszystko odwołaj.

- A powód?

- Teraz nie mogę ci podać powodu. Wymyśl coś.

- Nie powiesz mi nic więcej? Proszę cię, Stevie. Trochę się denerwuję, te wszystkie telefony z Londynu...

Stevie przeszył ją spojrzeniem.

- Tak, jadę do Londynu. I zabieram po drodze Kit. Umarła nasza przyjaciółka.

- Jaka przyjaciółka?

712

- Proszę cię, wiem, że się niepokoisz, ale to niedobry moment.

- Jej ojciec będzie chciał wiedzieć, dokąd się tak nagle wymyka...

- Ona się nie wymyka, Mauro. Zdaję sobie sprawę, że uważasz mnie za człowieka, na którym nie zawsze można polegać, ale prędzej bym umarł, niż pozwoliłbym, żeby przytrafiło się jej coś złego. Chyba o tym wiesz. Nie uwiodłem jej i nie będę próbował uwodzić. Mam nadzieję, że za wiele, wiele lat Kit wyjdzie za mnie za męża, ale kto wie, różnie bywa. Jaśniej ci tego nie mogę wytłumaczyć.

- Idź się pakować, Stevie. Resztę zostaw mnie.

Wywołał Kit z zajęć. Wyciągnął do niej rękę i powiedział:

- Drugi raz ktoś musi przekazać ci te wieści, Kit. Złożyła głowę na jego ramieniu i zapłakała.

Gdy szpital wydał zwłoki, przewieziono je do zakładu pogrzebowego w Londynie. Stevie i Kit weszli tam, trzymając się za ręce. Stanęli przed trumną. Zdawało się, że Lena jest pogrążona we śnie. Odbarwienia skóry i ranę na czole zasłaniały włosy. Żadne z nich nie płakało. Po prostu stali tam i długo patrzyli.

Ivy zaprosiła ich na noc do mieszkania Leny.

- Ona by tego chciała. Wszystko dla was przygotowałam.

Ruszyli na górę, poruszając się jak we śnie.

- Zmieniłaś tapety - zauważyła Kit.

- Po jego odejściu, żeby zatrzeć wspomnienia. Myślę, że trochę

poskutkowało.

- Na pewno - odrzekł Stevie.

- Miała przed sobą tyle życia - szepnęła Ivy. Chciało jej się płakać.

Ściągnęła usta i odwróciła się. - Zostawię was samych. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, znajdziecie mnie na dole.

- Jest tu tylko jedno łóżko - skonstatował Stevie.

- Jakoś to przeżyjemy - odrzekła Kit. Zdjęła sukienkę i buty bez nosków.

Stanąwszy w halce przed umywalką, gdzie tak często musiała stawać jej matka, umyła twarz,

713

szyję i ramiona. Później położyła się po lewej stronie łóżka. Stevie położył się po prawej i wzięli się za ręce. Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że Kit zasnęła.

- Nie chce przyjechać - oznajmiła Ivy.

- Przyjedzie - odrzekła Kit. Była blada, ale spokojna.

- Może tak będzie lepiej - spekulował Ernest. - To przez niego te wszystkie zmartwienia.

- Nie pozwolę, żeby złożyli ją do grobu, dopóki ten bydlak nie przyjedzie i nie stanie nad jej mogiłą - oświadczyła Kit. - Lena zasługuje przynajmniej na tyle. Zasługuje na to, żeby Louis Gray nałożył czarny krawat i przyszedł na jej pogrzeb.

- A jeśli nie zechce?

- To go zmuszę.

Louis Gray nie chciał odebrać telefonu od Kit McMahon z Londynu.

Sekretarka otrzymała polecenie, żeby z panną McMahon go nie łączyć.

- Czy zechce mu pani coś przekazać?

- Oczywiście.
- W Londynie odbędzie się pewna uroczystość, na której jest oczekiwany, i muszę wiedzieć, czy zamierza przyjechać, czy nie.
- Chwileczkę, zaraz go o to zapytam... Przykro mi, pan Gray bardzo żałuje, ale odpowiedź brzmi: „nie”.
- W takim razie proszę mu powtórzyć, że mnie również jest bardzo przykro, ale będę musiała po niego przyjechać. - Kit odłożyła słuchawkę. W agencji pożyczyła sto funtów od Jessie Millar. Powiedziała, że potrzebuje pieniędzy na pogrzeb, i Jessie chętnie jej pomogła. Zostawiwszy list dla Steviego, pojechała na lotnisko. Lot trwał godzinę, jazda taksówką do hotelu Louisa również godzinę. Opanowana i spokojna, poprosiła o spotkanie z panem Grayem. Był na naradzie z O'Connorem i z członkami zarządu.
- Czeka na mnie taksówka, więc lepiej tam wejdę i zamienię z nim kilka słów. - Zanim sekretarka zdążyła zaprotestować,

714

Kit była już w sali konferencyjnej. - Bardzo panów przepraszam, ale to pilna sprawa.

Lepkie Palce O'Connor rozpoznał dziewczynę, która sprawiła mu tyle kłopotów.

- Niech pani natychmiast stąd wyjdzie! - warknął Gray.
- Wysłuchaj jej, Louis - rozkazał O'Connor. Gray chwycił się za gardło.
- W Londynie zmarł nasz wielki przyjaciel i chcielibyśmy widzieć pana na pogrzebie. Nie robiłabym z tego dramatu, ale proszę mi wierzyć, że pańska obecność jest bardzo pożądana.
- Kim był ten przyjaciel? - spytał O'Connor, ponieważ wyglądało na to, że

Louis stracił głos.

- Nazywał się Leonard Williams - odrzekła wyraźnie Kit. - Był bratem Jamesa Williamsa, pańskiego poprzedniego pracodawcy, panie Gray. - Patrzyła mu prosto w oczy, chcąc dać mu do zrozumienia, że dochowa tajemnicy. Że jeśli Louis przyjedzie, nic się nie wyda.

- Bratem Jamesa Williamsa, którego poznałem w „Drydenie”? - spytał O'Connor.

- Tego samego. Czy mam rozumieć, że jedzie pan ze mną, panie Gray? Taksówka czeka.

- Nie spodziewają się chyba, że pojedę już teraz - wysapał zaszokowany Louis.

- Im szybciej, tym lepiej - wciąż mierzyli się wzrokiem. Louis wiedział, że Kit jest gotowa na wszystko. Nie miał wyboru.

- Będę musiał wrócić na chrzciny - mruknął.

- Śmierć czyha na nas w każdej minucie życia - odparła Kit. - Chrzciny można na szczęście przełożyć, w przeciwieństwie do nagłej śmierci i pogrzebu.

- Przyjadę dziś wieczorem - burknął Gray.

- Wie pan, gdzie to jest, dom w zachodniej dzielnicy Londynu.

Wszystkiego dowie się pan na miejscu.

- Tak, tak, wiem.

- A pani? - spytał podejrzliwie O'Connor. - Co pani ma z tym wspólnego?

- Zmarły był dla mnie bardzo, bardzo dobry. Był dobry

715

dla nas wszystkich. Dlatego ludzie, którzy znaczyli coś w jego życiu,

powinni być obecni na pogrzebie - odrzekła Kit.

Obecni w sali członkowie zarządu, którzy nie mieli pojęcia, co się dzieje, popatrzyli po sobie nic nie rozumiejącym wzrokiem. Louis Gray, nowy kierownik hotelu: najpierw go pobito - wyglądał jak ofiara knajpianej burdy - a teraz ta młoda dziewczyna, której stary O'Connor słuchał z tak niezwykłym dla niego szacunkiem, prawi mu tajemnicze aluzje.

Louis Gray i jego teść wyszli z sali, by zobaczyć, jak Kit wsiada do taksówki.

- Lepiej jedź, Louis - mruknął stary O'Connor. - Jeśli ta dzierlatka chwyci cię za jaja tak jak mnie, wszyscy pójdziemy na dno.

Dzień był za słoneczny na pogrzeb. A Londyn wyglądał za ładnie, żeby być świadkiem tak smutnej uroczystości. Kit miała na sobie czarną bawełnianą sukienkę, a na głowie jeden z kapeluszy Leny. W ręku ścisnęła małą czarną torebkę, którą znalazła w komodzie matki.

Przyszła Ivy, Jessie, Grace West, stara pani Park na wózku, pogrążona w rozpacz Peggy Forbes z Manchesteru. Przyszli wszyscy pracownicy agencji Millara, przyszedł James Williams, wszyscy lokatorzy domu, w którym mieszkała, klienci agencji, kelnerzy pobliskich restauracji i urzędnicy z banku. W katolickim kościele, gdzie Kit zamówiła mszę, zebrał się tłum żałobników.

Kiedy ksiądz zaczął odmawiać modlitwę za duszę Leny, która przebywała już w niebie, i prosić, by spotkali ją tam aniołowie, Kit ścisnęła Steviego za rękę. Oboje byli w kościele w Lough Glass, gdy ksiądz Baily odmawiał tę samą modlitwę za duszę matki. Ale wtedy, przed laty, proszono aniołów, by zechcieli powitać w niebie Helen McMahan.

Przed mszą ksiądz spytał, czy życzą sobie, by odśpiewano jakąś konkretną

pieśń. Żadna pieśń nie przychodziła Kit do głowy. Dosłownie żadna. Może coś, co śpiewali w szkole - zaproponował duchowny.

- Hymn na cześć Królowej Niebios - zdecydowała Kit.

716

Nie był to dobry wybór. Organista zaczynał dwa razy, ale wierni, z których większość należała do Kościoła anglikańskiego, nie znali hymnu na cześć Błogosławionej Maryi Panny. Lecz Kit nie zamierzała dopuścić do tego, by pieśń zamilkła. Skoro nikt nie śpiewał, będzie śpiewać choćby sama.

Bądź pozdrowiona, Królowo Niebios - zaczęła, a Stevie jej zawtórował.

Gwiazdo oceanu,

Przewodniczko wędrowców.

Ciskani falami życia, oddajemy się pod Twoją opiekę.

Zbaw nas od niebezpieczeństw i od wszystkiego złego.

Nagle zawtórował im ktoś jeszcze... Zobaczyli Louisa Graya w czarnej marynarce i czarnym krawacie. Miał posiniaczoną i wykrzywioną twarz, podbite oko i większość ludzi pomyślała, że uszedł z życiem z wypadku, w którym zginęła Lena. Wspomógł ich silnym, dźwięcznym głosem.

Matko Boża, gwiazdo oceanu,

Módl się za wędrowcami, módl się za nami.

Organista, zadowolony, że ktoś śpiewa, zagrał drugą zwrotkę. Zaśpiewali to samo jeszcze raz i kiedy doszli do Módl się za wędrowcami, módl się za nami, dołączyli do nich wszyscy zebrani. Kit i Stevie wymienili spojrzenia. Anglikański Londyn - Lena byłaby z nich dumna.

Zgodnie z sugestiami Ivy i Kit do krematorium przyszło tylko kilkoro ludzi.

Louis popatrzył na nią żałośnie.

- Ja też mam iść? - spytał.

- Tak - odrzekła Kit.

Wszystko było tu takie obce: nie opuszczano do ziemi trumny, nie brzęczały szpadle, nie dudniła o wieko glina. Była tylko zasłona, która rozsuneła się i zasunęła. Obce i nierzeczywiste.

Stali przed małą kaplicą w krematorium.

- Kiedy się dowiedziałas? - spytał.

- Wiedziałam od samego początku.

- Bzdura. Podczas naszych pierwszych świąt Bożego Narodzenia omal nie umarła ze smutku, bo nie mogła do was zadzwonić.

717

- Ale potem napisała.

- Nie wierzę.

- Jak chcesz. To była nasza tajemnica. Ty miałeś ich o wiele więcej.

Jesteśmy kwita.

- Dobra, w porządku.

Wyglądał staro, sprawiał wrażenie zmęczonego. To była jej zemsta.

Odbyli rozmowę z notariuszem. Lena zapisała cały majątek Mary Katherine McMahon z Lough Glass. Po odliczeniu zapisów na rzecz Ivy i Grace West okazało się, że Kit została właścicielką jednej czwartej udziałów agencji Millara.

- Jak mam przekazać pani pieniądze po urzędowym potwierdzeniu autentyczności testamentu? - spytał notariusz. - Mówimy o kwocie rzędu czterdziestu, pięćdziesięciu tysięcy funtów.

- Napiszę do pana później - odrzekła Kit.

Wynajęli samochód i wracali do domu przez Anglię. Przez pola, lasy,

miasteczka, potem przez Walię. Obiecali, że kiedyś ich odwiedzą. Ivy, Ernesta, Grace i Jessie - przyjaciół w Londynie.

Ale teraz chcieli wrócić do domu.

- Co ja zrobię z tymi pieniędzmi? Przecież nie mogę powiedzieć, że dostałam pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Fakt, nie możesz - odrzekł zamyślony Stevie.

- No to co mam z nimi zrobić? Mama chciała, żebym je zatrzymała, ale... ale muszę zrobić to jak trzeba. Gdyby cała historia wyszła na jaw, zwłaszcza teraz... Nie, to byłoby straszne.

- Możesz dać je mnie.

- Co?

- Zainwestowałbym je w swoje przedsiębiorstwo.

- Zwariowałeś?

- Nie. Mógłbym rozbudować warsztat, a kiedy byśmy się pobrali, wszystko i tak byłoby twoje. Tymczasem rozporządzałbym pieniędzmi w twoim imieniu.

- Dlaczego miałabym ci zaufać?

- Lena mi zaufała.

718

- To prawda. Ale to byłoby czyste szaleństwo.

- Nie. Poszlibyśmy do notariusza spisać oficjalną umowę. Zostałabyś moją cichą współniczką.

- Sama nie wiem, Stevie...

- Wymyśl coś lepszego.

Przemierzali drogi Walii, aż dotarli do Anglesey, gdzie postanowili spędzić noc.

Był to śliczny, mały pensjonat, który prowadziła kobieta ze śpiewnym akcentem.

- Mam dla państwa piękny pokój z wygodnym łóżkiem. Prawie widać stamtąd Irlandię.

Byli zbyt zmęczeni, żeby przeanalizować tę sytuację, a może czekali, aż rozmowę zacznie to drugie. Zresztą spali już niewinnie w jednym łóżku w Londynie, w łóżku Leny. Poszli się położyć. W blasku księżyca Stevie wyglądał tak pięknie. Popatrzyła na jego długie, ciemne włosy, spoczywające na poduszce, i wyciągnęła do niego rękę.

- Jeśli mam być twoją współniczką - szepnęła - to chyba powinnam zdobyć trochę doświadczenia...

W Anglesey zostali trzy dni. I trzy noce. Potem wrócili do domu.

Musieli się przed wszystkimi tłumaczyć, ale mało ich to obchodziło. Kit zgodziła się pracować latem w „Centralnym”. Stevie powiedział Maurze, że wkrótce otrzyma zastrzyk gotówki na rozbudowę warsztatu.

- Wiem, skąd masz pieniądze - powiedziała nagle Maura.

- Jezu, naprawdę?

- Wygrałeś na wyścigach chartów - oznajmiła triumfalnie. - Zgadłam?

Powiedz, zgadłam?

- Tak, coś w tym rodzaju - odrzekł wielce zawstydzony Stevie.

- No i co? Nadal uważasz, że powinnam traktować cię jak człowieka, na którym można polegać?

- Ale właśnie tak mnie traktujesz, prawda?

- Prawda. To dziwne, ale kiedy postanowiliście tak nagle wyjechać, wiedziałam, że nie kłamiesz, że nie uwiodłeś naszej Kit.

Stevie miał nadzieję, iż Maura nie zapyta go o to ponownie.

Była najkrótsza noc w roku. Wyłąnęli łodzią na jezioro, Stevie i Kit.

Wszyscy zdążyli przywyknąć do tego, że ze sobą chodzą, że trzymając się za ręce, spacerują brzegiem Szklanego Jeziora. Mieszkańcy miasteczka przestali zawracać sobie głowę plotkami. Stevie Sullivan i Kit McMahon byli razem, odkąd tylko ludzie sięgali pamięcią, tak samo jak Anna Kelly i młody Emmet. I jak Philip O'Brien i ta cudowna, władcza dziewczyna, studentka, która przyjechała na praktykę do apteki Martina McMahona. Miała na imię Barbara. Ludzie powiadali, że Philip szukał takiej dziewczyny całe życie. O siostrze Madeleine nie pamiętał prawie nikt, a Orla Reilly rzadko przyjeżdżała do Lough Glass. Wieczorami knajpa Paddlesa pękała w szwach. Mona Fitz wyjechała do sanatorium.

Życie toczyło się naprzód i widok dwojga młodych ludzi wypływających nocą na spokojne wody jeziora był czymś zwyczajnym.

Stevie i Kit otworzyli małe pudełko i rozsypali prochy Leny. Księżyc stał wysoko na niebie i nie odczuwali smutku. Nie, to nie był prawdziwy pogrzeb. Prawdziwy pogrzeb odbył się w Londynie i... tutaj, przed wielu, wielu laty. Nie, nie było im smutno, po prostu wiedzieli, że tak trzeba.

Tak samo jak wiedzieli, że postępują słusznie, urządzając sobie krótki miodowy miesiąc w Walii. Po latach, gdy ludzie spojrzą wstecz na historię Lough Glass, gdy wrócą pamięcią do tych, którzy niegdyś tu żyli, kto wie, może wspomną również Helen McMahon, którą pochłoneły wody Szklanego Jeziora. Bo teraz była to prawda: Helen McMahon spoczęła w jeziorze jak wielu innych przed nią. Odeszła cicho i spokojnie.

Rozumieli się bez słów, nie musieli sobie tego tłumaczyć. Po prostu wiedzieli, on i ona. Tak samo jak wiedzieli, że pewnego dnia zamieszkają

nad brzegiem jeziora.

Kiedyś, gdy do tego dorosną.

Koniec.